

David Eddings

Strażnicy Zachodu
Księga Pierwsza Malloreonu

PROLOG

Czyli relacja o tym, w jaki sposób Belgarion zasiadł na tronie Rivy, a także jak pokonał przeklętego boga Toraka.

Ze wstępu do Legend Alory

Powiadają, iż kiedy już siedmiu bogów stworzyło świat, zamieszkali oni wraz z wybranymi przez siebie plemionami ludzkimi i żyli w pokoju i harmonii. Lecz UL, ojciec bogów, trzymał się z dala, póki Gorim, przywódca tych, którzy nie mieli własnego boga, nie wspiął się na wysoką górę i nie przebłagał go. Wtedy serce ULa zmiękło i rozkazał, by Gorim wstał z klęczek; przysiągł mu też, że zostanie bogiem jego i jego ludu, Ulgosów.

Bóg Aldur pozostawał na uboczu, wprowadzając Belgaratha i innych uczniów w tajniki sztuki Woli i Słowa. I nadszedł czas, gdy Aldur ujął w dłoń krągły kamień, nie większy niż serce dziecka. Ludzie nazwali ten kamień Klejnotem Aldura, wypełniała go bowiem potężna moc, jako że był narzędziem Konieczności, która istniała od zarania dziejów.

Torak, bóg narodu Angaraków, pożądał władzy i panowania nad wszystkim, co istnieje, w niego bowiem wcieliła się druga Konieczność, przeciwna pierwszej. Kiedy usłyszał o Klejnocie, zaniepokoił się bardzo, iż przeszkodzi on w spełnieniu jego zamierzeń. Udał się zatem do Aldura, by prosić, aby tamten odrzucił kamień. Kiedy Aldur odmówił, Torak powalił go i umknął z Klejnotem.

Wtedy Aldur wezwał swych braci i wraz z potężną armią stronników wyruszyli razem przeciw Angarakom. Lecz Torak widząc, iż jego lud musi zostać pokonany, podniósł Klejnot i posłużwszy się jego mocą tak rozłamał świat, by Wschodnie Morze oddzieliło go od nieprzyjaciół.

Klejnot jednak, zagniewany, że Torak taki z niego zrobił użytek, poraził go ogniem, którego nic nie mogło ugasić. Lewa ręka Toraka spłonęła, lewa część twarzy została poraniona i zwęglona, lewe oko zaś zajęło się ogniem i zawsze odtąd jaśniał w nim płomień gniewu kamienia.

Cierpiąc męczarnie, Torak poprowadził lud na pustkowia Mallorei, gdzie jego naród zbudował miasto, Cthol Mishrak, zwane Miastem Nocy, Torak bowiem ukrył je pod wieczną chmurą. Tam, w żelaznej wieży, Torak zmagał się z Klejnotem, bezskutecznie próbując pokonać jego nienawiść.

I tak upłynęło dwa tysiące lat. Wtedy to Cherek o Niedźwiedzich Barach, król Alor-

nów, udał się do Doliny Aldura, aby powiedzieć Belgarathowi Czarodziejowi, że droga na północ jest wolna. Opuścili więc Dolinę wraz z trzema mocnymi synami Chereka: Drasem o Bycznym Karku, Algarem o Chyżych Stopach i Rivą o Żelaznej Dłoni. Przemknęli się przez mokradła, prowadzeni przez Belgaratha, który przybrał postać wilka, i tak przeprawili się do Mallorei. Nocą zakradli się do żelaznej wieży Toraka i podczas gdy okaleczony bóg rzucał się we śnie, nękany wiecznym bólem, dotarli do komnaty, w której trzymał Klejnot, zamknięty w żelaznej szkatule. Riva o Żelaznej Dłoni, którego serce było czyste i wolne od zła, zabrał Klejnot, po czym ruszyli na Zachód.

Torak obudzony się odkrył, że Klejnot zniknął, i natychmiast wyruszył w pościg. Lecz Riva wznosił Klejnot, a jego gniewny blask wzbudził strach w sercu Toraka. Tak tedy drużyna opuściła Malloreę i wróciła do swej ojczystej krainy.

Belgarath podzielił Alorię na cztery królestwa. Władcami trzech z nich ustanowił Chereka o Niedźwiedzich Barach, Drasa o Bycznym Karku i Algara o Chyżych Stopach. Rivie o Żelaznej Dłoni i jego potomkom powierzył Klejnot Aldura i oddał we władanie Wyspę Wiatrów.

Belar, bóg Alornów, strącił na ziemię dwie gwiazdy, z których Riva wykuł wielki miecz i osadził Klejnot w jego rękojeści. Miecz ten powiesił na ścianie sali tronowej Cytadeli, aby na zawsze strzegł Zachodu przed Torakiem.

Kiedy Belgarath powrócił do domu, dowiedział się, iż jego żona Poledra powiła dwie bliźniacze córki, po czym umarła. Pełen żalu, nazwał dziewczynki Polgara i Beldaran. Kiedy zaś osiągnęły wiek dojrzały, wyprawił Beldaran do Rivy Żelaznopalcego, aby była mu żoną i matką rivańskiej dynastii. Polgarę jednak zatrzymał przy sobie i nauczył sztuki czarodziej-skiej.

W gniewie po utracie Klejnotu Torak zniszczył Miasto Nocy i podzielił naród Angaraków. Murgom, Nadrakom i Thullom polecił zamieszkać na jałowych ziemiach u zachodnich wybrzeży Morza Wschodniego. Malloreanom rozkazał objąć we władanie cały kontynent. Nad wszystkimi ustanowił swych kapłanów, Grolimów, którzy mieli obserwować współbraci, karać niewiernych i składać mu ludzkie ofiary.

Po wielu stuleciach Zedar Odstępca, sługa Toraka, zaczął spiskować z Salmisrą, królową ludzi-węży, aby ta wysłała na Wyspę Wiatrów emisariuszy, którzy mieli zamordować Goreka, potomka Rivy, i całą jego rodzinę. Tak też się stało, choć krążyły pogłoski, że jednemu z dzieci udało się uciec; nikt jednak nie wiedział nic pewnego.

Ośmielony tym, że śmierć zabrała strażników Klejnotu, Torak zgromadził swe hufce i najechał Zachód, aby podbić jego mieszkańców i odzyskać kamień Aldura. Pod Vo Mimbre,

na równinach Arendii, hordy Angaraków starły się z armiami Zachodu w straszliwej, krwawej bitwie. Tam też Brand, Strażnik Rivy, noszący Klejnot na swej tarczy, spotkał Toraka i w pojedynku powalił kalekiego boga. Na ten widok Angarakowie stracili ducha i wkrótce zostali pokonani i zniszczeni. Lecz nocą, kiedy królowie Zachodu świętowali zwycięstwo, Zedar Odstępca wykradł ciało Toraka i uniósł je ze sobą. Wtedy Najwyższy Kapłan Ulgosów, podobnie jak wszyscy jego poprzednicy zwany Gorimem, wyjawiał, że Torak nie zginął, lecz jedynie zapadł w sen aż do dnia, gdy monarcha z rodu Rivy zasiądzie znów na tronie we Dworze Rivańskiego Króla.

Królowie Zachodu byli przekonani, że nie nastąpi to nigdy, sądzono bowiem, iż ród Rivy wygaśnie bezpowrotnie. Ale Belgarath i jego córka Polgara znali prawdę. Jedno z dzieci rzeczywiście ocalało z rzezi, w której zginęła cała rodzina Goreka. Para czarodziejów przez wieki ukrywała chłopca i jego potomków pośród ludu. Starożytne przepowiednie głosiły jednak, iż wciąż jeszcze nie nastał czas powrotu Rivańskiego Króla.

Mijały stulecia. Wreszcie w bezimiennym mieście na krańcu świata Zedar Odstępca natknął się na niewinne dziecko i postanowił zabrać je z sobą na Wyspę Wiatrów. Uczynił to w nadziei, że niewinność dziecka umożliwi mu zabranie Klejnotu Aldura tkwiącego w rękojeści miecza Rivańskiego Króla. Stało się zgodnie z jego życzeniem i Zedar wraz z dzieckiem i Klejnotem umknął na Wschód.

Polgara Czarodziejka mieszkała w tym czasie na farmie w Sendarii z młodym chłopcem, który nazywał ją ciotką Pol. Chłopcem tym był Garion, osierocony przez rodziców ostatni potomek rodu Rivy, nieświadomy swego pochodzenia.

Gdy Belgarath dowiedział się o kradzieży, pospieszył do córki do Sendarii, pragnąc, aby przyłączyła się do poszukiwań Zedara i Klejnotu. Polgara nalegała, by chłopiec towarzyszył im w wyprawie, toteż Garion wyruszył w drogę wraz ze swoją ciotką Pol i Belgarathem, którego znał jako odwiedzającego czasami farmę bajarza i nazywał dziadkiem.

Durnik, kowal z farmy, uparł się, by im towarzyszyć. Wkrótce też przyłączyli się do nich Barak z Cherek i Kheldar z Drasni, którego ludzie nazywali Silk. Z czasem do drużyny poszukiwaczy dołączyli inni: Hettar, koński mistrz z Algarii, Mandorallen, mimbrański rycerz, i Relg, ulgoski fanatyk. Pozornie też przypadek sprawił, iż księżniczka Ce'Nedra po klótni z ojcem, imperatorem Tolnedry Ranem Borunem XXIII, uciekła z pałacu i dołączyła do kompanii, choć nie znała celu, do jakiego zmierzali. W ten sposób powstała drużyna, której skład zapowiedziało proroctwo z Kodeksu Mrin.

Poszukiwania zawiodły ich do Lasu Driad, gdzie spotkali murgoskiego Grolima Asharaka, który od dawna już w sekrecie obserwował Gariona. Wtedy w umyśle chłopca odezwał

się głos przepowiedni i Garion uderzył Asharaka dłonią i Wolą. I Grolima pochłonął ogień. Tak Garion dowiedział się, że posiada czarodziejską moc. Polgara uradowała się wielce i oznajmiła, iż odtąd powinien zwać się Belgarion, jak przystało czarodziejowi. Wiedziała bowiem, że stulecia wyczekiwania dobiegły kresu i że to Garionowi przeznaczone jest zasiąść na tronie Rivy, jak zostało to przepowiedziane.

Zedar Odstępca w pośpiechu umykał przed Belgarathem. Okazał się jednak na tyle nieroztropny, że wkroczył na ziemie Ctuchika, Najwyższego Kapłana zachodnich Grolimów. Podobnie jak Zedar, Ctuchik był uczniem Toraka, ale od wieków dzieliła ich nienawiść. Gdy tylko Zedar przekroczył posępne góry Cthol Murgos, Ctuchik schwytał go w zasadzkę i odebrał mu Klejnot oraz dziecko, którego niewinność pozwalała mu bez obawy dotknąć kamienia Aldura.

Belgarath nadal podążał tropem Zedara, kiedy Beltira, inny z uczniów Aldura, przekazał mu wieść, że Klejnot i dziecko znaleźli się w rękach Ctuchika. Reszta drużyny wyruszyła do Nyissy, gdzie Salmissra, królowa miłującego węża ludu, poleciła porwać Gariona i przywieźć do jej pałacu. Lecz Polgara uwolniła chłopca i zamieniła Salmissrę w węża, by w tej postaci na wieki władała swym plemieniem.

Kiedy Belgarath dołączył do innych, poprowadził kompanię w pełną trudów podróż do mrocznego miasta Rak Cthol, zbudowanego na szczycie góry pośród pustyni Murgów. Po pełnej trudów wspinaczce stanęli oko w oko z Ctuchikiem, który wiedział o ich nadejściu i czekał wraz z dzieckiem i Klejnotem. Wtedy Belgarath wyzwał Ctuchika na pojedynek czarodziejów. Ctuchik w rozpaczliwym momencie użył niedozwolonego zaklęcia, które unicestwiło go całkowicie i bez śladu.

Wstrząs towarzyszący jego śmierci zwałił Rak Cthol ze szczytu góry. Podczas gdy miasto Grolimów obróciło się w gruzy, Garion chwycił ufne dziecko, dzierżące Klejnot, i uniósł je w bezpieczne miejsce. Wraz z towarzyszami uciekli na Zachód, ścigani przez kohorty Taura Urgasa, króla Murgów. Kiedy jednak przekroczyli granicę Algarii, armie Algarów natarły na Murgów i zmusiły ich do odwrotu. Belgarath mógł wreszcie skierować się na Wyspę Wiatrów i umieścić Klejnot na należnym mu miejscu.

Tam, we Dworze Rivańskiego Króla, w Dzień Zarania chłopiec zwany przez nich Po-darkiem złożył Klejnot Aldura w dłoni Gariona, który stając obok tronu wsunął kamień na jego miejsce w rękojeści wielkiego miecza. A kiedy to uczynił, Klejnot zaśnił żywym ogniem, a miecz stał się jężorem zimnego, błękitnego płomienia. Po tych znakach wszyscy poznali, że Garion jest rzeczywiście prawowitym następcą tronu Rivy. Obwołano go zatem królem Rivy, Władcą Zachodu i Powiernikiem Klejnotu.

Wkrótce, zgodnie z Traktatami podpisanymi po bitwie pod Vo Mimbre, chłopiec, który przebył długą drogę ze skromnej farmy w Sendarii na tron Rivańskiego Króla, przyjął ofiarowaną mu rękę księżniczki Ce'Nedry. Zanim jednak zdążył odbyć się ślub, głos proroctwa, stale obecny w jego umyśle, polecił mu udać się do komnaty, w której przechowywano dokumenty, i zajrzeć do Kodeksu Mrin.

Starożytny zbiór przepowiedni zdradził Garionowi, iż przeznaczone mu jest ująć miecz Rivy i wyruszyć z nim przeciw kalekiemu bogowi Torakowi, aby go zabić lub zginąć samemu i w ten sposób przesądzić o losach świata. Od chwili koronacji Gariona Torak bowiem zaczynał już budzić się ze swego długiego snu, a ich spotkanie miało rozstrzygnąć, która z dwóch przeciwstawnych Konieczności czy też które z proroctw zwycięży.

Garion wiedział, że mógłby zebrać armię i na jej czele najechać Wschód. Ale choć jego serce przepelniał strach, chłopiec postanowił, iż samotnie wyruszy na niebezpieczną wyprawę. Towarzyszyli mu jedynie Belgarath i Silk. O świcie wymknęli się z Cytadeli w Rivie, rozpoczynając długą podróż do mrocznych ruin Miasta Nocy, gdzie spoczywał Torak.

Lecz księżniczka Ce'Nedra udała się do królów Zachodu i przekonała ich, by dołączyli do niej, próbując odwrócić uwagę wojsk Angaraków, tak by ułatwić Garionowi dotarcie do celu. Z pomocą Polgary odwiedziła Sendarię, Arendię i Tolnedrę, zbierając wokół siebie ogromną armię, która miała związać siły Wschodu. Do spotkania doszło na równinie otaczającej miasto Thull Mardu. Pochwycona pomiędzy hufce imperatora Mallorei 'Zakatha i wojska szalonego króla Murgów Taura Urgasa armia Ce'Nedry ledwie uniknęła całkowitej zagłady. Ale Cho-Hag, Wódz Wodzów Klanów Algarii, zabił Taura Urgasa, król Nadraków Drosta lek Thun zaś przeszedł na stronę Zachodu, umożliwiając oddziałom Ce'Nedry odwrót.

Tymczasem jednak Ce'Nedra, Polgara, Durnik i chłopiec Podarek trafili do niewoli i stanęli przed obliczem 'Zakatha, który wysłał ich do zrujnowanego miasta Cthol Mishrak, aby tam osądził ich Zedar. Zedar zabił Durnika i Garion przybył na miejsce w chwili, gdy Polgara łkała nad jego ciałem.

W pojedynku czarodziejów Belgarath uwięził Zedara wewnątrz skały głęboko pod ziemią. Wtedy jednak Torak ostatecznie ocknął się ze snu. Dwa przeznaczenia, które zmagaly się z sobą od zarania dziejów, stanęły do walki w ruinach Miasta Nocy. I tam, pośród ciemności, Garion, Dziecię Światła, zabił Toraka, Dziecię Mroku, płonącym mieczem Rivańskiego Króla, a mroczne proroctwo z jękiem zapadło w otchłań.

UL i sześciu żywych bogów przybyło po ciało Toraka. Polgara zaczęła ich błagać, by ożywili Durnika, co też, z niejakim wahaniem, uczynili. Ponieważ jednak nie przystało, by Polgara tak dalece przewyższała go swą potęgą, bogowie obdarzyli Durnika mocą czarodziej-

ską.

Potem zaś wszyscy wrócili do Rivy. Belgarion poślubił Ce'Nedrę, a Polgara została żoną Durnika. Klejnot znów znalazł się na właściwym miejscu, by odtąd strzec Zachodu. A trwająca od siedmiu tysięcy lat wojna bogów, królów i ludzi wreszcie się zakończyła.

A przynajmniej tak sądzono.

CZEŚĆ PIERWSZA

Dolina Aldura

ROZDZIAŁ 1

Była późna wiosna. Deszcze nadeszły i minęły, mróz na dobre już opuścił ziemię. Rozgrzane delikatnymi muśnięciami słońca wilgotne brązowe pola otworzyły się na przyjęcie ciepłych promieni, okryte jedynie delikatnym zielonym puchem pierwszych kielków, budzących się z zimowego snu. Pewnego pięknego poranka, dość wcześnie, kiedy powietrze wciąż było chłodne, lecz czyste niebo obiecywało złocisty, pogodny dzień, chłopiec Podarek wraz ze swą rodziną opuścił gospodę położoną w jednej ze spokojniejszych dzielnic ruchliwego portu Camaar na południowym wybrzeżu królestwa Sendarii. Podarek nigdy przedtem nie miał żadnych krewnych i poczucie rodzinnej przynależności było dla niego czymś nowym. Wszystko wokół wydawało się inne, jakby mało ważne, w zestawieniu z faktem, że oto stał się częścią niewielkiej, bliskiej sobie grupki ludzi, których łączyła miłość. Cel podróży, rozpoczętej tego wiosennego poranka, był bardzo prozaiczny, a jednocześnie niezwykle doniosły. Wracali do domu. Podobnie jak rodziny, Podarek nie miał też nigdy domu i choć dotąd nie widział jeszcze chaty w Dolinie Aldura, do której zmierzali, to jednak tęsknił już do tego miejsca, jakby każdy tamtejszy kamień, drzewo czy krzak tkwił w jego pamięci od dnia narodzin.

Tuż przed północą znad Morza Wiatrów nadciągnął przelotny deszcz, który ustał równie szybko, jak się pojawił, pozostawiając szare brukowane uliczki i wysokie, kryte dachówką domy Camaar odświeżone na powitanie porannego słońca. Kiedy solidny wóz, kupiony przez kowala Durnika dwa dni wcześniej po długich i dokładnych oględzinach, toczył się wolno ulicami miasta, Podarek, przycupnięty pośród worków z prowiantem i ekwipunkiem wypełniających wnętrze pojazdu, czuł w powietrzu gorzkawy posmak morza. Czerwone dachy domów, które mijali, rzucały błękitne, jasne cienie. Powoził, rzecz jasna, Durnik. Jego silne, opalone ręce fachowo dzierżyły lejce, za ich pośrednictwem przesyłając zaprzęgowi uspokajającą wiadomość, że oto ktoś nad nim panuje i dokładnie wie, co robi.

Silna, flegmatyczna klacz, niosąca na grzbiecie Belgaratha Czarodzieja, najwyraźniej nie podzielała jednak miłego spokoju koni pociągowych. Belgarath, jak to miał czasem w zwyczaju, zasiedział się poprzedniego wieczoru przy szynkwasiu w gospodzie, toteż tego ranka garbił się w siodle, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, dokąd właściwie jedzie. Klacz, również niedawno nabyta, nie zdążyła jeszcze przywyknąć do zwyczajów nowego właściciela i jego niemal agresywny brak zainteresowania drażnił ją. Często wywracała oczami, jakby starała się ustalić, czy ten nieruchomy kloc na jej grzbiecie naprawdę chce, aby biegła obok wozu.

Córka Belgaratha, znana całemu światu jako Polgara Czarodziejka, poważnym wzrokiem obserwowała półsenną wędrowkę ojca ulicami Camaara, komentarze zachowując na później. Siedziała obok Durnika, od kilku tygodni jej męża, odziana w płaszcz z kapturem i prostą sukienkę z szarej wełny. Odłożyła na bok błękitne aksamitne suknie, klejnoty i strojne, oblamowane futrem płaszcze, które nosiła w Rivie i niemal z ulgą przyjęła obecny niewyszukany przyodziewek. Polgara nie miała nic przeciw wykwintnym sukniom, jeśli tego wymagała okazja. W takich strojach wyglądała niczym królowa, zaćmiewając wszystkie władczynie na świecie. Odznaczała się jednak niezwykłym wyczuciem sytuacji, toteż z radością przywdziała skromne ubranie, ponieważ pasowało ono do sytuacji, o której marzyła przez niezliczone stulecia.

W odróżnieniu od swej córki, Belgarath dobierał sobie stroje wyłącznie dla własnej wygody. Fakt, że na nogach miał buty nie od pary, nie wskazywał ani na szczególną biedę, ani na niedbalstwo. Był raczej wynikiem świadomego wyboru: lewy but leżał wygodnie na stopie, podczas gdy jego towarzysz z pary uciskał palce; z kolei prawy but - z innej pary - pasował doskonale, natomiast jego bliźniak obcierał piętę. To samo odnosiło się do reszty stroju Czarodzieja. Nie przeszkadzały mu łąty na kolanach spodni, nie przejmował się tym, iż był jednym z nielicznych ludzi na świecie, którzy przepasywali się kawałkiem sznura, i zadowalał się wygniecioną tuniką, zaplamioną sosem do tego stopnia, że ktoś o choćby umiarkowanej wrażliwości nie użyłby jej nawet jako szmaty do podłogi.

Wielka dębowa brama Camaara była szeroko otwarta, wojna bowiem, szalejąca na równinach Mishrak ac Thull, setki mil na wschód, dobiegła już końca. Ogromna armia, zebrana przez księżniczkę Ce'Nedrę, wróciła do domów i w Królestwach Zachodu raz jeszcze zapanował pokój. Belgarion, król Rivy i Władca Zachodu, zasiadał na tronie we Dworze Rivańskiego Króla, a Klejnot Aldura znów spoczywał na swym właściwym miejscu. Kaleki bóg Angaraków nie żył, a wraz z nim umarła odwieczna groźba, wisząca nad Zachodem.

Wartownicy pełniący straż przy bramie nie zwrócili uwagi na mijającą ich rodzinę Podarka. Tak oto podróżni opuścili Camaara i znaleźli się na szerokim, prostym trakcie imperialnym prowadzącym na wschód, do Muros i dalej, ku zwieńczonym śniegiem pasmom górskim, oddzielającym Sendarię od ziem końskich klanów Algarii.

Liczne ptaki krążyły w przejrzystym powietrzu i śmigały nad głowami zaprzęgu oraz cierplivej klaczy, wspinających się na łagodne wzniesienie za Camaara. Ptaki śpiewały i ćwierkały, zupełnie jakby pozdrowiały wędrowców, często też zawisały nad wozem na rozedrganych skrzydłach. Polgara uniosła swą piękną twarz ku jasnemu, czystemu niebu, nasłuchując.

- Co one mówią? - spytał Durnik. Uśmiechnęła się łagodnie.

- Paplają - odparła dźwięcznym głosem. - Ptaki często to robią. Ogólnie rzecz biorąc cieszą się, że jest poranek, że słońce świeci, a ich gniazda są już gotowe. Większość z nich pragnie opowiedzieć mi o swych jajkach. Ptaki zawsze chcą mówić o jajkach.

- I oczywiście cieszą się, że cię widzą, prawda?

- Chyba tak.

- Jak sądzisz, czy mogłabyś kiedyś nauczyć mnie ich mowy?

- Jeśli sobie życzysz - odparła z uśmiechem. - Ale nie jest to zbyt praktyczna wiedza.

- Parę niepraktycznych wiadomości jeszcze nikomu nie zaszkodziło - odrzekł z kamienną twarzą.

- Och, mój Durniku - zaśmiała się Polgara, czułym gestem nakrywając ręką jego dłoń.

- Jesteś naprawdę cudowny, wiesz o tym?

Podarek, usadowiony tuż za ich plecami pomiędzy torbami, skrzynkami i narzędziami, starannie wybranymi przez Durnika w Camaar, uśmiechnął się, czując, że jego również obejmuje ciepłe, głębokie uczucie, łączące tę parę. Nie przywykł do tego, by ktoś obdarzał go uczuciem. Wychował go - jeśli w ogóle można tu użyć tego słowa - Zedar Odstępca, z wyglądu bardzo przypominający Belgaratha. Zedar po prostu natknął się kiedyś na niego w wąskiej alejce jakiegoś zapomnianego miasta i zabrał ze sobą w ściśle określonym celu. Dawał chłopcu jedzenie i ubranie, nic więcej. Jedyne słowa, jakie kiedykolwiek wypowiadał posępny opiekun, brzmiały: "Przekażesz ode mnie podarek, chłopcze". Chłopczyk nigdy nie słyszał nic innego, toteż kiedy zetknął się z ludźmi, znał tylko jedno słowo: "Podarek". Ponieważ zaś nie wiedzieli, jak ma na imię, tak właśnie go nazwali.

Kiedy dotarli na szczyt wzniesienia, przystanęli na kilka chwil, by dać odetchnąć zaprzęgowi. Ze swego wygodnego miejsca Podarek widział rozległe, starannie ogrodzone pola, które w ukośnych promieniach porannego słońca miały barwę bladej zieleni. Po paru minutach odwrócił się i spojrzał na Camaar o czerwonych dachach, sąsiadujące z migotliwymi błękitnozielonymi wodami przystani, pełnej statków z kilkunastu królestw.

- Nie zimno ci? - spytała Polgara. Podarek pokręcił głową.

- Nie - odparł. - Dziękuję. - Coraz łatwiej przychodziło mu znalezienie odpowiednich słów, choć nadal rzadko się odzywał.

Belgarath pochylił się w siodle i bezmyślnie podrapał krótką siwą brodę. Jego oczy były lekko przekrwione i mrużył je, jakby słoneczny blask sprawiał mu ból.

- Lubię zaczynać podróż w słoneczny dzień - stwierdził. - To dobra wróżba na resztę drogi. - Po chwili skrzywił się. - Ale nie jestem pewien, czy musi być aż tak jasno.

- Czyżbyśmy nie czuli się najlepiej dziś rano, ojcze? - zapytała drwiąco Polgara.

Belgarath odwrócił się i z poważną miną wbił wzrok w córkę.

- No dalej, powiedz to, Pol. Jestem pewien, że tylko na to czekasz.

- Ależ, ojcze - jej promienne oczy spojrzały na niego z udanym zdumieniem - skąd ci przyszło do głowy, że chcę cokolwiek powiedzieć?

Czarodziej tylko odchrząknął.

- Z pewnością sam już doskonale rozumiesz, że wczoraj wypiełeś trochę za dużo piwa - ciągnęła. - Nie muszę ci dodatkowo o tym przypominać.

- Naprawdę nie jestem w nastroju, Polgaro - odparł szorstko Belgarath.

- O moje biedactwo - westchnęła z fałszywym współczuciem Polgara. - Czy chciałbyś, abym przygotowała ci coś, po czym poczujesz się lepiej?

- Dziękuję, ale nie. Niesmak po twoich miksturach pozostaje w ustach przez kilka dni. Chyba wolę już ból głowy.

- Jeżeli lekarstwo dobrze smakuje, to znaczy, że nie jest skuteczne - poinformowała go Polgara i odrzuciła w tył kaptur płaszcz. Jej włosy były długie i bardzo ciemne, poza jednym kosmykiem tuż nad lewą brwią, lśniącem śnieżną bielą. - Uprzedzałam cię, ojcze - ciągnęła uparcie.

- Polgaro - powiedział Belgarath, krzywiąc się - czy moglibyśmy dać spokój wszystkim tym "a nie mówiłam"?

- Słyszałeś przecież, że go uprzedzałam, prawda, Durniku?

Jej mąż najwyraźniej z trudem powstrzymywał śmiech.

Stary mężczyzna westchnął, po czym sięgnął pod tunikę i wydobyl niewielką butelkę. Odkorkował ją zębami i pociągnął długi łyk.

- Ojcze - upomniała go z obrzydzeniem w głosie Polgara - czy nie miałaś już dosyć?

- Nie, jeśli rozmowa nadal będzie obracać się wokół tego tematu - wyciągnął flaszkę w stronę małżonka córki - Durniku? - zaproponował.

- Dzięki, Belgaracie - odparł Durnik - ale jak dla mnie, jest jeszcze za wcześnie.

- Pol? - rzucił Czarodziej, oferując trunek córce.

- Nie bądź śmieszny.

- Jak sobie życzysz - Belgarath wzruszył ramionami, zakorkował butelkę i ukrył ją za pazuchą. - Może byśmy tak ruszyli? Do Doliny Aldura jeszcze kawał drogi.

Tuż przedtem, nim wóz zaczął toczyć się w dół po opadającym zboczu, Podarek obejrzał się w stronę Camaara i ujrzał, jak z bramy wyjeżdża oddział konnych. Błyski i świetlne refleksy świadczyły wyraźnie, że przynajmniej niektóre elementy stroju jeźdźców sporządzo-

no z polerowanej stali. Podarek zawahał się, czy nie powiedzieć innym o swym odkryciu, ale zdecydował, że nie warto. Ponownie usadowił się wygodnie i uniósł wzrok ku intensywnie błękitnemu niebu, nakrapianemu gdzieniegdzie puszystymi białymi obłoczkami. Podarek lubił poranki. Rankiem dzień był zawsze pełen obietnic. Rozczarowania pojawiały się zazwyczaj dopiero później.

Żołnierze z Camaar dogonili ich niecałą milę dalej. Dowódcą oddziału był poważny oficer sendarski mający tylko jedną rękę. Podczas gdy jego podkomendni trzymali się tuż za wozem, on podjechał naprzód.

- Wasza miłość - przywitał oficjalnie Polgarę, skłaniając się sztywno w siodle.

- Generale Brendig - odparła, lekko skinąwszy głową. - Wcześniej pan wstał.

- Żołnierze niemal zawsze wstają wcześniej, wasza miłość.

- Brendigu - wtrącił z rozdrażnieniem Belgarath - czy znalazłeś się tu przypadkiem, czy też wyruszyłeś specjalnie za nami?

- Sendaria to królestwo, w którym panuje porządek, o Przedwieczny - odparł łagodnie Brendig. - Staramy się tak wszystko urządzić, by uniknąć jakichkolwiek przypadków.

- Tak też myślałem - mruknął kwaśno Belgarath. - O co tym razem chodzi Fulrachowi?

- Jego wysokość uznał jedynie, że powinien wyznaczyć wam eskortę.

- Znam drogę, Brendigu. Mimo wszystko, jechałem nią już parę razy.

- Jestem tego pewien, Przedwieczny Belgaracie - zgodził się grzecznie generał. - Eskorta to wyraz przyjaźni i szacunku.

- Rozumiem, że będziesz nalegał?

- Rozkaz to rozkaz, Przedwieczny.

- Czy mógłbyś mnie tak nie nazywać? - poprosił żałośnie Belgarath.

- Dziś rano mojemu ojcu ciążyą jego lata. - Polgara uśmiechnęła się. - Całe siedem tysięcy.

Brendig z wysiłkiem powstrzymał uśmiech.

- Oczywiście, wasza miłość.

- Dlaczego właściwie jest pan dziś taki oficjalny, generale Brendig? - spytała. - Z pewnością znamy się już dość dobrze, żeby dać spokój podobnym bzdurom.

Brendig obdarzył ją zagadkowym spojrzeniem.

- Czy pamięta pani nasze pierwsze spotkanie?

- O ile sobie przypominam, to było wtedy, kiedy nas pan zaaresztował, tak? - wtrącił Durnik z lekkim uśmiechem.

- Cóż - Sendar odkaszlnął lekko - niezupełnie, mości Durniku. Po prostu przekazałem wam zaproszenie od Jego Królewskiej Mości. W każdym razie pani Polgara - pańska szacowna małżonka - podawała się w tym czasie za księżną Erat.

Durnik przytaknął.

- Tak, tak mi się zdaje.

- Ostatnio miałem sposobność przejrzeć kilka starych herbarzy i odkryłem coś ciekawego. Czy jest pan świadom, mości Durniku, że pana żona naprawdę jest księżną Erat?

Durnik zamrugał oczami.

- Pol? - spytał z niedowierzaniem. Polgara wzruszyła ramionami.

- Prawie zapomniałam - powiedziała. - To było bardzo dawno temu.

- Mimo to pani tytuł jest wciąż ważny, wasza miłość - zapewnił ją Brendig. - Każdy włościanin w okręgu Erat wpłaca co roku niewielką daninę na rachunek, utrzymywany dla pani w Sendarze.

- Co za absurd - stwierdziła.

- Chwileczkę, Pol - rzucił ostro Belgarath. W jego oczach rozbłysło nagle zainteresowanie. - Brendigu, jak wielkie jest konto mojej córki - w zaokrągleniu?

- Z tego, co wiem, jest na nim kilkanaście milionów - odparł Sendar.

- No, no - mruknął ze zdumieniem Belgarath. - No, no.

Polgara spojrzała na niego przeciągle.

- Co ci chodzi po głowie, ojcze? - spytała ostro.

- Cieszę się, to wszystko - wyjaśnił wylewnie Belgarath. - Każdy ojciec byłby rad słysząc, że jego dziecko tak świetnie się spisało. - Odwrócił się do oficera. - Proszę mi powiedzieć, generale, kto właściwie zarządza majątkiem mojej córki?

- Zarząd należy do korony, Belgaracie.

- To wielki ciężar dla biednego Fulracha - stwierdził z namysłem stary - biorąc pod uwagę jego liczne obowiązki. Może powinienem...

- Daj temu spokój, Stary Wilku - przerwała mu stanowczo Polgara.

- Myślałem tylko...

- Tak, ojcze, wiem, o czym myślałeś. Pieniądzom dobrze jest tam, gdzie są.

Belgarath westchnął.

- Nigdy przedtem nie byłem bogaty - oznajmił ze smutkiem.

- A zatem nie będzie ci tego brak, prawda?

- Twarda z ciebie kobieta, Polgaro - żeby tak zostawić swojego ojca pogrążonego w biedzie.

- Przez tysiące lat żyłeś bez pieniędzy i majątku, ojcze. Jestem dziwnie pewna, że to zniesiesz.

- W jaki sposób zostałam księżną Erat? - zaciekał się Durnik.

- Wyświadczyłam przysługę księciu Vo Wacune. Chodziło o coś, czego nie mógł zrobić nikt inny. Był bardzo wdzięczny. Durnik wyglądał na oszołomionego.

- Ależ Vo Wacune zostało zniszczone tysiące lat temu - zaprotestował.

- Tak, wiem.

- Chyba niełatwo mi będzie przywyknąć do tego wszystkiego.

- Wiedziałaś, że nie jestem taka jak inne kobiety.

- Tak, ale...

- Czy naprawdę mój wiek tak dużo dla ciebie znaczy? Czy to coś zmienia?

- Nie - odparł natychmiast. - Absolutnie nic.

- A więc nie przejmuj się tym.

Poruszali się krótkimi etapami, przecinając południową Sendarię. Noce spędzali w solidnych, wygodnych zajazdach, kierowanych przez tolnedrańskich legionistów, którzy strzegli i doglądali imperialnego traktu. Po południu trzeciego dnia od opuszczenia Camaar dotarli do Muros. Ogromne stada algarskiego bydła powoli zapełniały już wieloakrowe zagrody, leżące na wschód od miasta, a tumany kurzu, wzbijane przez miliony kopyt, przesłaniały niebo. Muros w szczycie sezonu przeganiania stad nie było zbyt przyjemnym miastem: gorącym, brudnym i hałaśliwym. Belgarath zasugerował, by przejechać je bez postojów i zatrzymać się na noc dopiero w górach, gdzie powietrze jest mniej zapyłone, a sąsiedzi spokojniejsi.

- Czy masz zamiar towarzyszyć nam przez całą drogę do Doliny? - zapytał generała Brendiga, kiedy minęli już bydłce zagrody i posuwali się Wielkim Północnym Traktem w stronę gór.

- Właściwie nie, Belgaracie - odparł Brendig, spoglądając przed siebie, na grupę algarskich jeźdźców, chyżo zmierzającą w ich kierunku. - Prawdę mówiąc, właśnie zawracam.

Dowódcą Algarów był wysoki, odziany w skórzany strój mężczyzna o jastrzębim profilu i wygolonej głowie, zwieńczonej kruczoczarnym kosmykiem. Kiedy zrównał się z wozem, ściągnął wodze wierzchowca.

- Generale Brendig - powiedział cicho, skinieniem głowy pozdrawiając sendarskiego oficera.

- Lordzie Hettar - odparł uprzejmie Brendig.

- Co tu robisz, Hettarze? - spytał obcesowo Belgarath. Algar spojrział na niego ze zdumieniem.

- Waśnie przeprowadziłem stado przez góry - wyjaśnił niewinnym tonem. - Teraz wracam do domu i pomyślałem, że może chcielibyście mieć towarzystwo.

- Cóż za dziwny zbieg okoliczności, że znalazłeś się tu akurat teraz.

- Prawda? - Hettar spojrział na Brendiga i mrugnął.

- Co to za gierki? Nie potrzebuję nadzoru, a już zdecydowanie nie życzę sobie wojskowej eskorty towarzyszącej mi wszędzie, dokąd się udam. Sam doskonale potrafię zadbać o siebie.

- Wszyscy o tym wiemy, Belgaracie - wtrącił pojednawczo Hettar. Przeniósł wzrok na wóz. - Miło cię znowu widzieć, Polgaro - stwierdził ciepło, po czym chytrze spojrział na Durnika. - Małżeństwo ci służy, przyjacielu. Zdaje się, że przybyło ci parę kilogramów.

- Powiedziałbym, że również twoja żona dorzuca ci ostatnio kilka łyżek na talerz. - Durnik uśmiechnął się do przyjaciela.

- Aż tak to widać? Durnik z powagą skinął głową.

- Troszeczkę.

Hettar żałośnie wygiął usta, po czym mrugnął porozumiewawczo do Podarka. Zawsze doskonale się rozumieli, prawdopodobnie dlatego, iż żaden z nich nie czuł przemożnej potrzeby, aby wypełniać ciszę jałową gadaniną.

- Będę już jechał - oznajmił Brendig. - Było mi naprawdę miło - skłonił się Polgarze, po czym skinął głową Hettarowi i wraz ze swym oddziałem, przy akompaniamencie podzwaniającego ekwipunku, ruszył w kierunku Muros.

- Będę musiał odbyć na ten temat poważną rozmowę z Fulrachim - oświadczył ponuro Belgarath. - A także z twoim ojcem.

- To cena nieśmiertelności, Belgaracie - odparł słodko Hettar. - Ludzie zaczynają cię szanować - nawet jeśli wolałbyś tego uniknąć. Jedziemy?

Góry wschodniej Sendarii nie były dość wysokie, by specjalnie utrudnić im przeprawę. Wóz, otoczony gromadą groźnie wyglądających Algarów, toczył się Wielkim Północnym Traktem, mijając zielone lasy i rwące górskie strumienie. W pewnym momencie, kiedy przystanęli, by dać odpocząć koniom, Durnik zeskoczył z wozu i podszedł na skraj drogi, spoglądając z namysłem na głębokie jezioro u stóp małego, hałaśliwego wodospadu.

- Czy bardzo się nam śpieszy? - spytał Belgaratha.

- Niespecjalnie. Dlaczego?

- Pomyślałem właśnie, że to świetne miejsce na posiłek - wyjaśnił kowal z niewinną miną.

Belgarath rozejrzył się.

- Skoro tak sądzisz, nie mam nic przeciw temu.

- Doskonale. - Z tym samym lekko nieobecny wyrazem twarzy Durnik wrócił do wozu i z jednej z toreb wyjął zwój cienkiego, nawoskowanego sznurka. Starannie przywiązał do niego haczyk, ozdobiony kawałkiem jaskrawej włóczki i wyruszył na poszukiwanie mocnego, sprężystego drzewka. W pięć minut później stał już na głazie u brzegu jeziora i zarzucał wędkę w niespokojną toń u stóp wodospadu.

Podarek natychmiast znalazł się na skraju strumienia i zaczął obserwować poczynania wędkarza. Durnik celował w środek głównego nurtu, tak aby rwąca zielonkawa woda uniosła przynętę prosto w głąb jeziora.

Po półgodzinie zawołała ich Polgara.

- Podarek, Durnik! Śniadanie gotowe.

- Tak, kochanie - mruknął z roztargnieniem Durnik. - Za moment.

Podarek posłusznie ruszył w stronę wozu, choć jego oczy tęsknie spoglądały na szumiący potok. Polgara zerknęła na niego wyrozumiale, po czym położyła jego porcję mięsa i sera na wielkiej pajdzie chleba, aby mógł zabrać posiłek na brzeg jeziora.

- Dziękuję - powiedział z wdzięcznością chłopiec. Durnik nadal zarzucał haczyk, całkowicie skupiony na tej czynności. Polgara podeszła na skraj wody.

- Durniku! - krzyknęła. - Śniadanie.

- Tak - odparł, nie odrywając oczu od powierzchni wody. - Już idę - znowu zarzucił wędkę.

Polgara westchnęła.

- No cóż. Przypuszczam, że każdy mężczyzna musi mieć chociaż jedną wadę.

Po kolejnej półgodzinie Durnik zeskoczył ze swego głązu na brzeg strumienia i stanął, drapiąc się po głowie. Sprawiał wrażenie zmieszanego i ze zdumieniem wpatrywał się w wartki nurt.

- Wiem, że tam są - powiedział do Podarka. - Prawie je czuję.

- Tutaj - Podarek wskazał powolny, głęboki wir niedaleko brzegu.

- Myślę, że raczej trochę dalej - odparł z powątpiewaniem kowal.

- Tutaj - powtórzył Podarek, z uporem pokazując palcem.

Durnik wzruszył ramionami.

- Skoro tak twierdzisz - z niedowierzającą miną zarzucił przynętę w sam środek wiru.

- Ja jednak nadal sądzę, że siedzą w głównym nurcie.

I wtedy wędka wygięła się w drżący, napięty łuk.

W krótkim czasie wyciągnął z wody cztery pstrągi: grube, ciężkie pstrągi o srebrzys-

tych, nakrapianych bokach i zakrzywionych szczekach, pełnych ostrych jak igły zębów.

- Dlaczego tak długo nie mogłeś znaleźć odpowiedniego miejsca? - spytał Belgarath, kiedy znów ruszyli w drogę.

- Przy takim jeziorku trzeba działać metodycznie - wyjaśnił Durnik. - Zaczynasz od jednego brzegu i rzut za rzutem posuwasz się w stronę drugiego.

- Rozumiem.

- To jedyny sposób, aby być pewnym, że sprawdziłeś cały staw.

- Oczywiście.

- Jednak od początku podejrzewałem, gdzie naprawdę siedzą.

- Jasne.

- Tylko że chciałem to zrobić we właściwy sposób. Jestem pewien, że to rozumiesz.

- O tak - odparł z powagą Belgarath. Przekroczywszy góry skręcili na południe, przecinając rozległe stopy równiny algarskiej, gdzie stada bydła i koni pasły się pośród ogromnego zielonego morza traw, marszczonego i kołysanego powiewami łagodnego wschodniego wiatru. Chociaż Hettar usilnie namawiał ich, aby wstąpili do twierdzy klanów algarskich, Polgara odmówiła.

- Powiedz Cho-Hagowi i Silar, że może odwiedzimy ich później - oznajmiła. - Teraz jednak naprawdę powinniśmy jechać do Doliny. Doprowadzenie domu mojej matki do takiego stanu, by dało się w nim mieszkać, zajmie nam pewnie większą część lata.

Hettar z powagą skinął głową i uniósł dłoń w krótkim pozdrowieniu, gdy wraz z towarzyszymi zawrócił na wschód, zmierzając poprzez rozległe trawiaste pustkowia ku twierdzy swego ojca, Cho-Haga, Wodza Wodzów Klanów Algarii.

Chata, która niegdyś należała do matki Polgary, leżała w kotlinie pośród łagodnych wzgórz, stanowiących północną granicę Doliny Aldura. Osłonięte dno kotliny przecinał błyszczący strumień, wokół zaś rozciągały się cedrowo-brzozowe lasy. Dom został zbudowany z polnych kamieni: szarych, brunatnych i rudobrazowych, dokładnie dopasowanych do siebie. Był to niski, szeroki budynek, znacznie większy, niż sugerowałoby to określenie "chata". Od przeszło trzech tysięcy lat nikt w nim nie mieszkał, toteż strzecha, podobnie jak drzwi i framugi okien, dawno już przegrała walkę z siłami natury, pozostawiając otwartą skorupę, wypełnioną rozkrzewionymi jeżynami. Mino to jednak otaczała go szczególna atmosfera wyczekiwania, jakby Poledra - kobieta, która kiedyś tu mieszkała - w samych kamieniach swego domu zaszczerpiła wiedzę, że pewnego dnia powróci tu jej córka.

Na miejsce dotarli słonecznym popołudniem, kiedy Podarek, ukołyszany rytmicznym skrzypieniem kół, zapadł w drzemkę. Gdy wóz zatrzymał się, Polgara łagodnie potrząsnęła

chłopcem.

- Podarku - powiedziała - już jesteśmy.

Otworzył oczy i po raz pierwszy ujrzał miejsce, które zawsze odtąd miał nazywać domem. Zobaczył zniszczoną skorupę budynku, stojącą pośród wysokiej zielonej trawy. Ujrzał też rosnące w oddali drzewa, białe pnie brzoź odcinające się ostro na tle ciemnej zieleni cedrów - oraz strumień. Możliwości, oferowane przez to miejsce, były wręcz nieograniczone. Natychmiast to sobie uświadomił. Strumień był oczywiście idealny do tego, by puszczać na nim kaczki, konstruować flotylle łódeczek, a w razie braku pomysłów po prostu wpadać do wody. Kilkanaście drzew zdawało się wprost stworzone do tego, by się na nie wdrapywać, a jedno, wielka stara brzoza rosnąca tuż nad potokiem, obiecywało zapierającą dech w piersiach kombinację wspinaczki i kąpieli jednocześnie.

Teren, na którym stał wóz, stanowił zbocze łagodnego wzgórza, zbiegające wprost ku chacie. Był to ten rodzaj zbocza, po jakim uwielbiają biegać chłopcy w dni, kiedy niebo przybiera głęboką błękitną barwę, tu i ówdzie nakrapianą lekkimi niczym puch dmuchawca obłoczkami, szybującymi z wiatrem. Wysoka do kolan trawa w słońcu wyglądałaby wtedy szczególnie soczyście, a grunt pod nogami byłby twardy i lekko wilgotny. W taki dzień, kiedy biegło się w dół zbocza, owiewające twarz słodkie powietrze wręcz upajało.

Nagle wyraźnie poczuł przejmujący smutek; smutek, który przetrwał nie zmieniony przez wiele stuleci. Podarek odwrócił się, aby spojrzeć na zmęczoną twarz Belgaratha i dostrzegł samotną łzę, spływającą po pobrużdżonym policzku i niknącą w białej, krótko przystrzyżonej brodzie.

Mimo żalu Belgaratha za utraconą żonę, Podarek patrzył na niewielką, zieloną dolinę, jej drzewa, strumień i bujną łąkę, z uczuciem głębokiego, trwałego zadowolenia. Uśmiechnął się i powiedział:

- Dom - wypróbując to słowo. Podobał mu się jego dźwięk.

Polgara uważnie spojrzała mu w twarz. Jej oczy były wielkie i błyszczące, a ich kolor zmieniał się wraz z nastrojem właścicielki od jasnego błękitu, tak bladego, że niemal szarego, do ciepłego szafiru.

- Tak, Podarku - odparła swym wibrującym głosem. - Dom.

Objęła go i lekko przytuliła, a ów łagodny uścisk wyrażał całą tęsknotę za tym miejscem, jaką odczuwała przez wszystkie nużące stulecia, kiedy wraz z ojcem zajęci byli swym nie kończącym się zadaniem.

Kowal Durnik popatrzył z namysłem na stojącą przed nimi ruinę, oświetloną jasnymi promieniami słońca. W myślach zastanawiał się, snuł plany i wciąż na nowo układał je w

głowie.

- Trochę to potrwa, zanim przygotujemy wszystko tak, jakbyśmy chcieli, Pol - poinformował żonę.

- Mamy tyle czasu, ile tylko zechcemy - odrzekła Polgara z łagodnym uśmiechem.

- Pomogę wam rozładować wóz i rozbić namioty. - Belgarath odruchowo podrapał się po brodzie. - A jutro chyba powinienem ruszyć w głąb Doliny - pogadać z Beldinem i bliźniakami, zajrzeć do mojej wieży i tak dalej.

Polgara obdarzyła go uważnym, przeciągłym spojrzeniem.

- Nie spiesz się tak z odjazdem, ojciec - powiedziała. - Widziałeś się z Beldinem w Rivie, ledwo miesiąc temu, a zdarzało się, że przez całe dziesięciolecia nie odwiedzałeś swojej wieży. Zauważyłam, że za każdym razem, kiedy jest coś do zrobienia, ty nagle masz do załatwienia jakąś pilną sprawę gdzie indziej.

Twarz Belgaratha przybrała wyraz urażonej godności.

- Ależ, Polgaro... - zaczął protestować.

- To też na nic ci się nie przyda, ojciec - oznajmiła cierpko. - Kilka tygodni - albo miesiąc czy dwa - pomagania Durnikowi nie zaszkodzi ci zbytnio. A może zamierzałeś porzucić nas tu samych wśród śniegów?

Belgarath z pewnym niesmakiem spojrzał na skorupę domu. Na ścianach ruiny widniały wyraźnie wypisane setki godzin harówki, niezbędne, by doprowadzić budynek do stanu używalności.

- Oczywiście, Polgaro - powiedział nieco zbyt szybko - z radością zostanę i pomogę.

- Wiedziałam, ojciec, że możemy na tobie polegać - odparła ze słodyczą w głosie.

Belgarath popatrzył krytycznie na Durnika, starając się ocenić zdecydowanie kowala.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz robić wszystkiego własnoręcznie - zagaił nieśmiało. - To znaczy... cóż, istnieje dla nas pewna alternatywa.

Durnik sprawiał wrażenie, jakby znalazł się w niezręcznej sytuacji. Jego proste, szczerze oblicze zdradzało lekką dezaprobatę.

- Ja... eee... naprawdę nie wiem, Belgaracie. Nie sądzę, abym czuł się dobrze z czymś takim. Jeśli zrobię coś sam, to wiem, że zostało wykonane właściwie. Na razie ten drugi sposób nie daje mi takiej pewności. W pewnym sensie czuję się, jakbym oszukiwał - jeśli wiesz, co mam na myśli.

Belgarath westchnął.

- Szczerze mówiąc obawiałem się, że tak do tego podejdziesz. - Potrząsnął głową i rozprostował ramiona. - W porządku, wobec tego chodźmy i bierzmy się do roboty.

Usunięcie śmieci, które zbierały się przez trzy tysiąclecia, osadzenie drzwi i okien, położenie wsporników i strzechy - wszystko to zabrało prawie miesiąc. Potrwałoby dwa razy dłużej, gdyby nie fakt, iż Belgarath bezwstydnie oszukiwał za każdym razem, kiedy Durnik odwrócił wzrok. Wszelkie żmudne czynności dziwnym trafem wykonywały się same, gdy kowala nie było w pobliżu. Kiedyś na przykład Durnik wyruszył wozem po nowe drewno, a kiedy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku, Belgarath odrzucił topór, którym mozolnie ociosywał belkę, spojrzął z powagą na Podarka i wyjął zza kaftana gliniany garniec piwa, podwędzony z zapasów Polgary. Pociągnął długi łyk, po czym skierował siłę swej woli na uparty bal i wyzwolił ją, mamrocząc jedno niewyraźne słowo. Powietrze wypełniła chmura białych drewnianych wiórów. Na widok starannie wygładzonej belki Belgarath uśmiechnął się z satysfakcją i szelmowsko mrugnął do chłopca. Podarek odmrugnął z kamienną twarzą.

Już wcześniej widywał czarodziejskie sztuczki. Zedar Odstepca był czarodziejem, podobnie jak Ctuchik. W istocie niemal przez całe życie chłopiec przebywał pod opieką ludzi posiadających ów szczególny dar. Nikt z nich jednak nie wykorzystywał go tak umiejętnie, z takim zapałem, jak Belgarath. Jego zwyczaj dokonywania od niechcenia rzeczy niemożliwych, jakby były to drobnostki niewarte wzmianki, świadczyło o prawdziwym mistrzostwie. Oczywiście Podarek wiedział, jak się to robi. Nie można spędzić tylu lat w towarzystwie czarodziejów nie podchwytyjąc choćby teorii. Łatwość, z jaką działał Belgarath, prawie kusila go, by spróbować samemu, lecz za każdym razem, gdy zastanawiał się nad tym, nieodmiennie dochodził do wniosku, że nie ma nic, czego by aż tak pragnął.

Rzeczy, których nauczył się od Durnika, choć bardziej przyziemne, były niemal równie doniosłe. Podarek natychmiast zorientował się, że nie istnieje praktycznie nic, czego kowal nie potrafiłby zrobić własnymi rękami. Umiał posłużyć się każdym narzędziem. Potrafił pracować w drewnie i kamieniu tak samo zręcznie, jak w żelazie i mosiądzu. Budowa domu, krzesła czy łóżka przychodziła mu z równą łatwością. Obserwując go uważnie, Podarek przyswajał sobie setki sztuczek i kruczków, odróżniających mistrza-rzemieślnika od niezgrabnego amatora.

Polgara zajmowała się gospodarstwem. Namioty, w których sypiali podczas prac nad chatą, były utrzymane równie porządnie, jak każdy dom. Pościel była zawsze wywietrzona, posiłki przygotowane, a pranie wywieszzone. Pewnego dnia Belgarath, który pojawił się, by wyłudzić lub podkraść trochę ale, spojrzął krytycznie na swą córkę, która z zadowoleniem nuciła półgłosem, krojąc świeżo przygotowane mydło.

- Pol - powiedział kwaśno - jesteś najpotężniejszą kobietą na świecie. Masz więcej tytułów, niż potrafisz zliczyć, a każdy z królów skłania przed tobą głowę. Czy możesz mi wyja-

śnić, dlaczego właściwie upierasz się przy takim robieniu mydła? To ciężka, nieprzyjemna praca, a smród jest wręcz okropny.

- Polgara rzuciła mu pogodne spojrzenie.

- Przez tysiące lat byłam najpotężniejszą kobietą świata, Stary Wilku - odparła. - Królów kłaniali mi się przez całe wieki i straciłam rachubę mych tytułów. Teraz jednak po raz pierwszy wyszłam za mąż. Oboje zawsze mieliśmy na to zbyt wiele zajęć. Aleja chciałam wyjść za mąż i spędziłam całe życie na nauce i ćwiczeniach. Wiem wszystko, czego potrzeba dobrej żonie, i umiem zrobić wszystko, co dobrej żonie przystoi. Proszę, nie krytykuj mnie, ojcze, i nie wtrącaj się. Nigdy przedtem nie byłam taka szczęśliwa.

- Gotując mydło?

- Owszem.

- To taka strata czasu - stwierdził Belgarath. Machnął od niechcenia ręką i do gotowych kawałków mydła dołączył nowy, którego przedtem nie było.

- Ojcze! - Polgara tupnęła nogą. - Przestań w tej chwili!

Belgarath wziął do ręki dwa kawałki mydła, jeden swój, drugi jej.

- Czy naprawdę potrafisz je odróżnić, Pol?

- Moje zostało zrobione z miłością, twoje - to tylko sztuczka.

- Ale dokładnie tak samo upierze wszelkie brudy.

- Nie u mnie - oznajmiła, odbierając mu mydło. Położyła je na dłoni i leciutko dmuchnęła. Mydło natychmiast zniknęło.

- To raczej niemądre, Pol - skomentował Belgarath.

- Zdaje się, że niemądre przesady to w naszej rodzinie cecha dziedziczna - odparła spokojnie. - Wracaj do swojej pracy, ojcze, i daj mi wykonywać swoją.

- Jesteś równie okropna, co Durnik - rzucił oskarżycielsko.

Polgara przytaknęła z zadowolonym uśmiechem.

- Wiem. Pewnie dlatego za niego wyszłam.

- Chodź, Podarku - powiedział Belgarath, odwracając się. - To może być zaraźliwe i nie chciałbym, żebyś też zachorował.

- Jeszcze jedno, ojcze! - krzyknęła za nimi Polgara. - Trzymaj się z dala od moich zapasów. Jeśli chcesz, poproś.

Belgarath oddalił się bez słowa, z wyniosłą miną. Kiedy jednak znaleźli się za zakrętem, Podarek wydobyl z zakamarków tuniki gliniany garniec i bez słowa wręczył go staremu.

- Znakomicie, mój chłopcze. - Belgarath uśmiechnął się szeroko. - Widzisz, jakie to łatwe, kiedy nabierzesz wprawy?

Przez całe lato i większą część długiej złotej jesieni cała czwórka pracowała nad wyszkowaniem chaty i zabezpieczeniem jej przed wilgocią i chłodem. Podarek starał się pomóc, choć najczęściej jego pomoc ograniczała się do dotrzymywania towarzystwa i niepląta-
nia się pod nogami.

Kiedy nastały śniegi, cały świat jakby uległ przemianie. Samotny dom bardziej niż kiedykolwiek przedtem stał się ciepłym, bezpiecznym schronieniem. W głównym pokoju, gdzie spożywali posiłki i siadywali razem w długie wieczory, stał wielki kamienny kominek, dostarczający zarówno ciepła, jak i światła. Podarka, który ogromną większość czasu - z wyjątkiem najmroźniejszych dni - spędzał na dworze, podczas tych jasnych, rozświetlonych blaskiem ognia godzin pomiędzy kolacją a pójściem do łóżka zazwyczaj ogarniała senność. Często kładł się wtedy na futrze przed paleniskiem i obserwował roztańczone płomienie, póki oczy nie zamknęły mu się wolno. A później budził się w chłodnej ciemności własnego pokoju, otulony po szyję ciepłą pierzyną, i wiedział, że Polgara przyniosła go tutaj i ułożyła do snu. Wtedy wzdychał radośnie i z powrotem zasypiał.

Oczywiście Durnik zrobił mu sanki, a łagodne zbocze, opadające wprost ku dolinie, okazało się idealnym torem zjazdowym. Śnieg nie był dostatecznie głęboki, by płozy zapadały się, i Podarek wykonywał zaskakująco długie zjazdy w głąb łąki u stóp wzgórza dzięki szaleńczej prędkości, jakiej nabierały sanki ślizgając się po zboczu.

Absolutny gwóźdź saneczkarskiego sezonu nastąpił pewnym późnym mroźnym popołudniem, tuż po tym, jak słońce zapadło za zasnuty purpurowymi chmurami horyzont, a niebo nabrało barwy bladego, lodowatego turkus. Podarek wgramolił się na wzgórze, brnąc przez zmarznięty śnieg i ciągnąc za sobą sanki. Kiedy dotarł na szczyt, przystanął, by złapać oddech. Widoczna w dole kryta strzechą chata przycupnęła pośród zwałów śniegu. Jej okna jarzyły się złocistym blaskiem, a z komina wypływała kolumna błękitnego dymu, która, prosta niczym strzała, wbijała się w nieruchome powietrze.

Podarek z uśmiechem położył się na sankach i odepchnął nogami. Warunki do zjazdu były idealne. Nawet najlżejszy wietrzyk nie hamował pędu sanek, które u stóp wzgórza zyskały imponującą prędkość. Podarek śmignął przez łąkę i wpadł między drzewa. Białe pnie brzóz i ciemne, cieniste cedry przelatywały obok, podczas gdy sanki wjeżdżały coraz głębiej w las. Dotarłyby zapewne jeszcze dalej, gdyby na drodze nie stanął mu strumień. Ale nawet takie zakończenie jazdy było ekscytujące, brzeg potoku bowiem miał kilka metrów wysokości i sanki wraz z Podarkiem poszybowały nad ciemną wodą długim, wdzięcznym łukiem, gwałtownie zakończonym widowiskowym lodowatym pluśnięciem.

Kiedy dotarł do domu, wstrząsany dreszczami, ze świeżym lodem na ubraniu i wło-

sach, Polgara wygłosiła dłuższe kazanie. Zauważył, że Polgara lubiła dramatyzować - szczególnie jeśli nadarzyła jej się okazja wypomnieć komuś jego przewinienia. Spojrzała na niego przeciągle i natychmiast wydobyła skądś paskudne lekarstwo, które hojnie w niego wlała. Potem zaczęła ściągać zamarznięte ubranie chłopca ani na moment nie przestając mówić. Jej głos był wspaniały, słownictwo - nader bogate. Intonacja i akcenty dodawały komentarzom nowego, szerszego znaczenia. W gruncie rzeczy jednak Podarek wolałby krótsze, mniej wyczerpujące omówienie swych najnowszych zbrodni - szczególnie wobec faktu, iż Belgarath i Durnik próbowali bez większego skutku ukryć szerokie uśmiechy na widok czarodziejki, nacierającej malca wielkim szorstkim ręcznikiem.

- No cóż - zauważył Durnik - przynajmniej nie będzie w tym tygodniu potrzebował kąpieli.

Polgara przerwała wycieranie chłopca i powoli odwróciła głowę w stronę męża. Jej twarz nie wyrażała żadnej specjalnej groźby, lecz spojrzenie mroziło.

- Mówiłeś coś? - spytała.

- Eee... nie, kochanie - zapewnił ją pospiesznie. - Właściwie nie. - Z lekkim zakłopotaniem zerknął na Belgaratha, po czym wstał. - Lepiej chyba przyniosę jeszcze trochę drewna.

Jedna z brwi Polgary uniosła się, a jej wzrok powędrował ku ojcu.

- No? - powiedziała.

Belgarath zamrugnął oczami, spoglądając niewinnie na córkę.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się, lecz milczenie zaczęło tężeć, dławiono.

- Może ci pomogę, Durniku? - zaproponował wreszcie stary i także wstał. Obaj mężczyźni wyszli na dwór, pozostawiając Podarka sam na sam z Polgarą.

Z powrotem odwróciła się do niego.

- Zjechałeś z całego wzgórza - spytała bardzo spokojnie - i na przełaj przez łąkę?

Skinął głową.

- A potem przez las? Ponownie przytaknął.

- Iz brzegu do strumienia?

- Tak - przyznał.

- Przypuszczam, że nie przyszło ci do głowy, żeby sturlać się z sanek, zanim spadły do wody?

Podarek nie był zbyt rozmownym chłopcem, ale poczuł, że jego postępowanie w tym przypadku wymaga pewnych wyjaśnień.

- No cóż - zaczął. - Tak naprawdę, to nie myślałem o zeskoczeniu, ale nie sądzę, że bym to zrobił, nawet jeśli wpadłbym na ten pomysł.

- Jestem pewna, że możesz mi to wytłumaczyć. Spojrzał na nią szczerze.

- Do ostatniej chwili wszystko szło tak wspaniale - uważam, że nie byłoby właściwe zeskoczyć tylko dlatego, że kilka rzeczy zaczęło się psuć.

Nastąpiła długa cisza.

- Rozumiem - powiedziała wreszcie Polgara. - A zatem to poczucie moralne nakazało ci podjąć taką decyzję - chodzi mi o zjazd sankami do strumienia?

- Chyba można tak to nazwać.

Przez chwilę popatrzyła na niego bez słowa, po czym wolno ukryła twarz w dłoniach.

- Nie jestem pewna, czy mam dość sił, by jeszcze raz przejść przez to wszystko - oznajmiła tragicznym głosem.

- Przez co? - zapytał, lekko zaniepokojony.

- Wychowanie Gariona było dostatecznie ciężkie - ciągnęła - ale nawet on nie potrafiłby wymyślić bardziej nielogicznego wyjaśnienia. - Następnie uniosła wzrok, roześmiała się ciepło i objęła go.

- Och, Podarku - mruknęła i wszystko znów było w porządku.

ROZDZIAŁ 2

Belgarath Czarodziej był człowiekiem o wielu skazach charakteru. Nigdy nie przepadał za pracą fizyczną i może zanadto lubił ciemne ale czasami nieco mijał się z prawdą i okazywał wielkopańską pogardę wobec szczegółowych aspektów prawa własności. Towarzystwo dam wątpliwej reputacji nie oburzało go zbytnio, a wybór słownictwa pozostawiał zazwyczaj wiele do życzenia.

Polgara Czarodziejka była kobietą obdarzoną niemal nieludzką determinacją. Przez kilka tysięcy lat próbowała zmienić nawyki swego zbląkanego ojca, nie odnosząc jednak widocznych sukcesów. Lecz mimo znikomych szans na powodzenie nie poddawała się. Od stuleci toczyła śmiałą wojnę podjazdową z brzydkimi zwyczajami ojca. Z żalem ustąpiła pola na froncie lenistwa i niechłujstwa. Niechętnie poddała się wobec przeklinania i kłamstw. Pozostała jednak niewzruszona, mimo rozlicznych klęsk, względem opilstwa, kradzieży i rozpusty. Z jakichś przyczyn uważała, że na tym polu jej obowiązkiem jest walka na śmierć i życie.

Ponieważ Belgarath odłożył powrót do swej wieży w Dolinie Aldura do następnej wiosny, Podarek mógł z bliska obserwować nieustanne i niezwykle zawile potyczki, jakimi ojciec i córka wypełniali każdą wolną chwilę. Uwagi Polgary na temat leniwych starców, wążających się po jej kuchni i z równą zręcznością podkradających ciepło z paleniska i chłodne piwo ze spiżarni, były ostre jak cięcie brzytwy, zgrabne uniki Belgaratha zaś zdradzały wieki praktyki. Podarek jednak umiał dojrzeć uczucie, kryjące się pod kąśliwymi uwagami i lekceważącymi replikami. Więzy łączące Belgaratha i jego córkę były tak potężne, że wykraczały daleko poza pojmowanie zwykłych ludzi, toteż oboje musieli ukrywać swą bezgraniczną miłość za nieskończoną fasadą swarów. Nie znaczy to oczywiście, że Polgara nie wołałaby spokojniejszego, porządniejszego ojca, nie była jednak do tego stopnia rozzarowana jego osobą, jak mogłyby na to wskazywać niektóre przytyki.

Oboje wiedzieli, dlaczego Belgarath spędził zimę w chacie Poledry w towarzystwie córki i jej męża. Choć nigdy nie padło między nimi na ten temat ani jedno słowo, rozumieli, że wspomnienia starego człowieka, związane z tym domem, musiały zostać zmienione - nie zatarte, rzecz jasna, żadna potęga świata bowiem nie mogłaby zmusić Belgaratha, by zapomniał o swej żonie. Wymagały jedynie lekkiej korekty, tak by kryta strzechą chata przypominała mu również o spędzonych tu szczęśliwych chwilach, nie zaś wyłącznie o owym ponurym, strasznym dniu, kiedy powrócił, by dowiedzieć się, że jego umiłowana Poledra nie żyje.

Po tym, jak tydzień ciepłych wiosennych deszczów stopił większość śniegu, a niebo znów nabrało błękitnej barwy, Belgarath zdecydował wreszcie, że nadszedł czas podjęcia przerwanej podróży.

- Nic mnie specjalnie nie nagli - przyznał - ale chciałbym wpaść do Beldina i bliźniaków. Poza tym chyba przydałoby się posprzątać w wieży. Przez kilka ostatnich stuleci nieco ją zapuściłem.

- Jeśli chcesz, pojedziemy z tobą - zaproponowała Polgara. - W końcu ty nam pomogłeś - bez specjalnego entuzjazmu, ale pomogłeś. Sprawiedliwość wymaga, byśmy przyszli ci z odsieczą przy sprzątaniu.

- Dzięki za dobre chęci, Pol - przerwał jej stanowczo - ale sprzątanie w twoim wydaniu jak na mój gust bywa nieco zbyt radykalne. Po takich porządkach różne ważne drobiazgi trafiają często na śmietnik. Jeśli o mnie chodzi, to jeżeli na środku pokoju została choć odrobina wolnego miejsca, jest on dostatecznie czysty.

- Och, ojcie - roześmiała się Polgara. - Ty się nigdy nie zmienisz.

- Oczywiście, że nie. - Belgarath spojrział z namysłem na Podarka, który cichutko jadł śniadanie. - Jeśli jednak nie sprawi ci to większej różnicy, chciałbym zabrać ze sobą chłopca.

Zerknęła na niego ze zdumieniem. Belgarath wzruszył ramionami.

- Zawsze to jakieś towarzystwo, a jemu przyda się zmiana otoczenia. Poza tym od ślubu nie mieliście z Durnikiem okazji, by pobyć tylko we dwoje. Jeśli chcesz, możesz to nazwać spóźnionym prezentem ślubnym.

- Dziękuję, ojcie - powiedziała z prostotą Polgara, a w jej oczach pojawił się wyraz pełen ciepła i uczucia.

Belgarath odwrócił wzrok, jakby zakłopotano go spojrzenie córki.

- Czy przywieźć ci twoje rzeczy? Te z wieży. Przez lata nazbierało się tego parę skrzyń.

- To byłoby bardzo miłe z twojej strony, ojcie.

- Potrzebuję miejsca, które zajmują - odparł, uśmiechając się do niej.

- Przypilnujesz chłopca, prawda? Wiem, że czasem, kiedy w swojej wieży zaczniesz w czymś dłużyć, zapominasz o całym świecie.

- Nic mu się nie stanie, Pol - zapewnił ją Belgarath. I tak następnego ranka Belgarath dosiadł swej klaczy, a Durnik posadził Podarka za jego plecami.

- Za kilka tygodni przywiozę go wam z powrotem - oznajmił stary. - A już najpóźniej w połowie lata.

Nachylił się, by potrząsnąć dłoń Durnika, po czym ruszył na południe.

Powietrze było nadal chłodne, choć wczesnowiosenne słońce niemal oślepiało. Wokół unosiły się wonie kielkującego życia, a kiedy coraz bardziej zagłębiali się w Dolinę, Podarek, siedzący w siodle za Belgarathem, z każdą chwilą wyraźniej czuł obecność Aldura. Odczuwał ją jako rodzaj łagodnej, spokojnej świadomości, w której dominowało ogromne pragnienie wiedzy. Tu, w Dolinie, obecność boga Aldura nie była jedynie nieokreślonym, duchowym promieniowaniem, lecz zdawała się rzeczywista, prawie namacalna.

Posuwali się naprzód, wędrując niespiesznie przez wysoką, zbrązowiałą po zimie trawę. Od czasu do czasu mijali rozłożyste drzewa, dźwigające swe korony ku niebu. Czubki gałęzi, spęczniałe gwałtownie pączkującymi liśćmi, wznosiły się w górę, spragnione łagodnych pocałunków rozgrzanego powietrza.

- I co, chłopcze? - zagaił Belgarath po przebyciu paru mil.

- Gdzie są wieże? - spytał grzecznie Podarek.

- Nieco dalej. Skąd o nich wiesz?

- Z twojej rozmowy z Polgarą.

- Podśluchiwanie to bardzo nieładny zwyczaj, Podarku.

- Czy to była poufna rozmowa?

- Nie, chyba nie.

- A zatem tak naprawdę nie podśluchiwałem, prawda? Belgarath obrócił się gwałtownie i spojrzał na siedzącego za nim chłopca.

- To bardzo subtelne rozróżnienie jak na kogoś tak młodego. Skąd wpadłeś na ten pomysł?

Podarek wzruszył ramionami.

- Tak mi się powiedziało. Czy zawsze tak się tu pasą? - wskazał ręką tuzin płowych saren, spokojnie stojących nie opodal.

- Są tu, odkąd pamiętam. Obecność Aldura zdaje się powstrzymywać zwierzęta od atakowania się wzajemnie.

Minęli parę zgrabnych wież, połączonych lekkim, niemal zwiewnym mostem. Belgarath wyjaśnił, że należą one do Beltiry i Belkiry, bliźniaczych czarodziejów, których umysły były tak podobne, że jeden nieodmiennie kończył wypowiedziane przez drugiego zdania. Nieco później w oddali pojawiła się delikatna konstrukcja z różowego kwarcu, która zdawała się niemal płynąć w spokojnym powietrzu niczym różowy klejnot. Ta wieża, poinformował Podarka Belgarath, była siedzibą garbatego Beldina, który otoczył swą brzydotę pięknem tak wspaniałym, że niemal zapierającym dech w piersiach.

Wreszcie dotarli do przysadzistej, funkcyjnej wieży Belgaratha i zsiadli z konia.

- No to jesteśmy - oznajmił stary. - Chodźmy na górę.

Pokój na szczycie wieży był wielki, okrągły i nieprawdopodobnie zagracony. Belgarath rozejrzał się z rezygnacją.

- Posprzątanie tego zabierze nam kilka tygodni - stwierdził.

Wiele przedmiotów w tym pokoju przyciągało wzrok Podarka, chłopiec jednak wiedział, że w obecnym nastroju Belgarath nie będzie miał ochoty cokolwiek demonstrować mu i wyjaśniać. Odszukał zatem kominek, znalazł zaśniedziałą mosiężną śmietniczkę i szczotkę na krótkim kiju, po czym ukląkł przed potężnym, osmalonym otworem.

- Co robisz? - zapytał Belgarath.

- Durnik mówi, że kiedy znajdziesz się w nowym miejscu, pierwszą rzeczą, jaką musisz zrobić, jest przygotowanie paleniska na ogień.

- Ach tak?

- Zazwyczaj nie jest to wielka praca, ale pozwala zrobić początek - a kiedy raz się zacznie, reszta nie wygląda już tak strasznie. Durnik jest bardzo mądry, jeśli chodzi o te rzeczy. Czy masz tu gdzieś wiaderko albo kubek?

- Rzeczywiście masz zamiar oczyścić to palenisko?

- Jeżeli nie masz nic przeciw temu. Jest naprawdę brudne, nie sądzisz?

Belgarath westchnął.

- Pol i Durnik zdążyli cię już zepsuć, chłopcze - mruknął. - Próbowałem cię ratować, ale zły wpływ zawsze w końcu zwycięża.

- Chyba masz rację - zgodził się z nim Podarek. - Więc gdzie jest to wiadro?

Do wieczora uprzątnęli półkolisty teren wokół kominka, odkrywając w trakcie pracy dwa łóżka, kilkanaście krzeseł i solidny stół.

- Nie przypuszczam, abyś miał tu gdzieś coś do jedzenia? - spytał żałośnie Podarek. Jego żołądek zawiadomił go, że zdecydowanie nadeszła pora kolacji.

Belgarath uniósł wzrok znad pergaminu, który właśnie wyłowił spod jednego z łóżek.

- Co takiego? A tak, prawie zapomniałem. Złożymy wizytę bliźniakom. Na pewno coś się tam u nich pichci.

- Czy wiedzą o tym, że przyjdziemy?

- To nieistotne, Podarku. Musisz się nauczyć, że do tego właśnie służą przyjaciele - aby ich wykorzystywać. Jeśli chcesz bez wysiłku przejść przez życie, to zapamiętaj naczelną zasadę: gdy wszystko inne zawiedzie, zwróć się do przyjaciół i rodziny.

Bliźniaczy czarodzieje, Beltira i Belkira, byli zachwyceni ich widokiem, tym zaś, co pichcili, okazał się doskonały gulasz, co najmniej tak smaczny, jak produkty kuchni Polgary.

Kiedy Podarek wyraził taką opinię, Belgarath spojrział na niego z rozbawieniem.

- Jak myślisz, kto ją nauczył gotować? - spytał. Dopiero po kilkunastu dniach, kiedy sprzątanie wieży Belgaratha doszło do etapu, w którym posadzka po raz pierwszy od ładnych paru wieków weszła w bliższy kontakt z wodą, odwiedził ich Beldin.

- Co robicie? - zapytał ostro brudny, niekształtny garbus.

Beldin był bardzo niski, odziany w postrzępione szmaty i pokrzywiony niczym dębowy pień. Miał splątane włosy i zmierzwioną brodę, całą jego postać zaś pokrywały przyczepione tu i ówdzie śmiecie, gałązki i źdźbła trawy.

- To tylko niewielkie sprzątanie - wyjaśnił Belgarath. Wyglądał na lekko zmieszanego.

- Po co? I tak się z powrotem zabrudzi. - Przybysz spojrział na kilka bardzo starych kości, leżących przy półkolistej ścianie. - To, co naprawdę powinieneś zrobić, to poszukać na podłodze surowców na bulion.

- Czy przyszedłeś z wizytą, czy po to, by mi dogadywać?

- Zobaczyłem, że z komina leci dym. Chciałem sprawdzić, czy ktoś tu jest, czy też wszystkie te śmieci samoistnie zajęły się ogniem.

Podarek wiedział, że Belgarath i Beldin naprawdę się lubią, a słowne potyczki stanowią ich ulubiony rodzaj rozrywki. Przysłuchując się rozmowie nie przerywał sprzątania.

- Chcesz trochę ale? - spytał Belgarath.

- Nie, jeśli ty je warzyłeś - odparł bezceremonialnie gość. - Można by sądzić, że ktoś, kto wypił tak wiele, jak ty, powinien nauczyć się wreszcie, jak warzyć porządne piwo.

- Ostatnia porcja nie była taka zła - zaprotestował Belgarath.

- Pijałem już zgniłą wodę, która smakowała lepiej.

- Nie obawiaj się. Pożyczyłem tę beczułkę od bliźniaków.

- Czy wiedzieli, że ją pożyczasz?

- Co za różnica? I tak zawsze wszystkim się dzielimy.

Jedna z krzaczastych brwi Beldina powędrowała do góry.

- Oni dzielą się jedzeniem i napojem, a ty pragnieniem i apetytem. Rzeczywiście, coś w tym chyba jest.

- Oczywiście, że tak. - Belgarath odwrócił się z pełnym bólu spojrzeniem. - Podarku, czy naprawdę musisz to robić?

Chłopiec uniósł wzrok znad kamiennych płyt, które z zapalem szorował.

- Przeszkadza ci to?

- Jasne, że tak. Czy nie wiesz, że upieranie się przy pracy, kiedy ja odpoczywam, jest okropnie niegrzeczne?

- Postaram się to zapamiętać. Jak sadzisz, ile czasu zabierze ci odpoczynek?

- Po prostu odłóż szczotkę, Podarku. Ten kawałek podłogi był brudny przez kilkanaście stuleci. Dzień czy dwa nie sprawi mu większej różnicy.

- Bardzo przypomina Belgariona, prawda? - Beldin rozwalił się wygodnie na jednym z krzeseł obok kominka.

- Prawdopodobnie ma to coś wspólnego z wpływem, jaki wywiera na nich Polgara - zgodził się Belgarath, nalewając z beczułki dwa kufle ale. - Ta kobieta pozostawia swoje piętno na każdym chłopcu, jakiego spotyka. Staram się jednak jak mogę, by złagodzić wpływ zaszczerpionych przez nią przesądów. - Spojrzał ponuro na Podarka. - Ten tutaj jest chyba bystrzejszy niż Garion, ale brak mu jego zamiłowania do przygód - i jest stanowczo za grzeczny.

- Bez wątpienia uda ci się to zmienić.

Belgarath usadowił się na drugim krześle i podsunął nogi bliżej ognia.

- Co porabiałeś? - spytał garbusa. - Nie widziałem cię od ślubu Gariona.

- Pomyślałem, że ktoś powinien mieć na oku Angaraków - odparł Beldin, drapiąc się energicznie pod pachą.

- I?

- I co?

- Skąd ci się wziął ten irytujący zwyczaj? Co słyhać u Angaraków?

- Murgowie nadal nie mogą się pozbierać po śmierci Taura Urgasa. - Beldin roześmiał się. - Był kompletnie - szalony, ale przynajmniej potrafił utrzymać ich razem - póki Cho-Hag nie przebił go szablą. Jego syn Urgit to marny król. Nie umie nawet sprawić, by go słuchali. Zachodni Grolimowie także poszli w rozsypkę. Ctuchik nie żyje, Torak nie żyje, a im pozostało jedynie wpatrywać się w ściany świątyń i rachować palce. Moim zdaniem całe murgoskie społeczeństwo balansuje na krawędzi całkowitego rozpadu.

- Doskonale. Pozbycie się Murgów stanowiło jeden z głównych celów mojego życia.

- Na twoim miejscu nie cieszyłbym się przedwcześnie - mruknął kwaśno garbus. - Kiedy 'Zakath usłyszał wieści o tym, jak to Belgarion zabił Toraka, odrzucił wszelkie pozory fikcyjnej jedności Angaraków i pomaszerował na czele swych Mallorean prosto na Rak Goska. Po jego przejściu niewiele zostało z miasta.

Belgarath wzruszył ramionami.

- I tak nie było to zbyt piękne miejsce.

- Teraz jest dużo gorsze. 'Zakath zdaje się sądzić, że krzyżowanie i wbijanie na pal mogą być bardzo pouczające. Udekorował szczątki murów Rak Goska materiałem na niejedną lekcję pogładową. Za każdym razem, gdy odwiedza jakieś miejsce w Cthol Murgos, pozo-

stawia za sobą korowód krzyży i pali.

- Tak się dziwnie składa, że myśl o nieszczęściach spadających na Murgów niespecjalnie mnie wzrusza - stwierdził dobrotliwie gospodarz.

- Spróbuj popatrzeć na to nieco bardziej realistycznie - warknął Beldin. - Gdybyśmy naprawdę musieli, najprawdopodobniej zdołalibyśmy dorównać liczbą Murgom, ale ludzie nie na darmo opowiadają o "niezliczonych hufcach bezkresnej Mallorei". 'Zakath ma bardzo dużą armię, włada też większością wschodnich portów, skąd może wysłać tyle wojsk, ile mu się zamarzy. Jeśli zdoła unicestwić Murgów, przy naszej południowej granicy znajdzie się mnóstwo znudzonych żołnierzy. W tym momencie ich dowódcy mogą przyjść do głowy różne dziwne pomysły. Belgarath odchrząknął.

- Zaczę się tym martwić, kiedy zajdzie taka potrzeba.

- A, przy okazji - wtrącił nagle Beldin z szerokim, drwiącym uśmiechem. - Odkryłem wreszcie, co oznacza ten apostrof przy jego imieniu.

- Czym imieniu?

- 'Zakatha. Czy uwierzyłbyś, że zastępuje on słowo "Kal"?

- Kal Zakath? - Belgarath wbił w niego pełne niewiary spojrzenie.

- Czyż to nie bezczelność? Domyślam się, że imperatorzy Mallorei marzyli w sekrecie o przyjęciu tego tytułu od czasu bitwy pod Vo Mimbre, ale zawsze obawiali się, że Torak się ocknie i nie będzie zachwycony podobnym zuchwalstwem. Teraz, kiedy nie żyje, spora część Malloreań zaczęła nazywać swego władcę "Kal Zakathem" - przynajmniej ci, którzy pragną zachować głowy.

- Co znaczy to "Kal"? - zaciekawiał się Podarek.

- To słowo w języku Angaraków oznaczające króla i boga - wyjaśnił Belgarath. - Pięćset lat temu Torak odsunął imperatora Mallorei i osobiście poprowadził jego hufce przeciw Zachodowi. Wszyscy Angarakowie - Murgowie, Nadrakowie i Thullowie, a także Malloreań - zwali go wtedy Kal Torakiem.

- I co było dalej? - spytał z zainteresowaniem Podarek. - To znaczy, kiedy Kal Torak najechał Zachód?

- To bardzo stara historia.

- Nie, póki się jej nie usłyszało.

Beldin rzucił Belgarathowi bystre spojrzenie.

- Szybki jest - stwierdził.

Czarodziej z namysłem popatrzył na chłopca.

- W porządku - ustąpił. - Streszczając rzecz całą, Kal Torak zmiażdżył Drasnię, przez

osiem lat oblegał Twierdzę Algarów, po czym przekroczył Ulgołand i dotarł na równinę Arendii. Wojska Królestw Zachodu spotkały się z nim pod Vo Mimbri i tam Torak został powalony w pojedynku przez Strażnika Rivy.

- Ale nie zginął.

- Nie. Nie zginął. Strażnik Rivy przeszył mieczem jego głowę, ale Torak nie umarł. Zapadł jedynie w sen, póki na tronie Rivy znów nie zasiadł król.

- Belgarion - domyślił się Podarek.

- Właśnie. Wiesz, co się zdarzyło potem. Ostatecznie byłeś przy tym.

Podarek westchnął.

- Tak - odparł ze smutkiem.

Belgarath z powrotem odwrócił się do Beldina.

- W porządku - rzucił. - Co słyszeć w Mallorei?

- Ogólnie biorąc bez większych zmian. - Beldin pociągnął łyk piwa i beknął donośnie.

- Biurokracja nadal stanowi klej, spajający to wszystko do kupy. Melcene i Mai Zeth wciąż aż kipią od intryg i spisków. Karanda, Darshiva i Gandahar znajdują się na krawędzi otwartego buntu, a Grolimowie nadal obawiają się zbliżyć do Kell.

- A zatem kościół małloreańskich Grolimów funkcjonuje nadal? - Belgarath sprawiał wrażenie zdumionego. - Sądziłem, że obywatele podjęli pewne kroki - tak, jak to zrobili w Mishrak ac Thull. Z tego, co słyszałem, Thullowie używają Grolimów na podpałkę.

- Kal Zakath wysłał do Mai Zeth stosowne rozkazy i armia wkroczyła, by powstrzymać rzeź. Ostatecznie, jeśli planuje się zostać królem i bogiem, potrzebny jest własny kościół. Zakath zdaje się sądzić, że lepiej w tym celu wykorzystać już istniejącą organizację.

- A co na to Urvon?

- Na razie nie porusza tej sprawy. Zanim interweniowała armia, mieszkańcy Mallorei za najlepszą rozrywkę uważali nabijanie Grolimów na żelazne haki. Urvon siedzi w Mai Yaska i stara się nie przyciągać niczyjej uwagi. Chyba sądzi, że fakt, iż wciąż jeszcze żyje, stanowi jedynie przeoczenie Jego Wysokości Kal Zakatha. Urvon jest śliski jak węże, ale niegłupi.

- Nigdy go nie spotkałem.

- Mała strata - zapewnił go Beldin i nadstawił kufel. - Może byś go tak napełnił?

- Wypijesz całe moje ale.

- Zawsze możesz ukraść nowe. Bliźniacy nigdy nie zamykają drzwi. W każdym razie Urvon był uczniem Toraka, podobnie jak Ctuchik i Zedar. Brak mu jednak ich zalet.

- Oni nie mieli żadnych zalet. - Belgarath podał gościowi pełny kufel.

- Mieli, w porównaniu z Urvonem. To urodzony pochlebca, płaszcząca się, żalosa kreature. Nawet Torak nim gardził. Lecz, jak wszyscy ludzie o tak czarującym charakterze, gdy tylko dorwał się do władzy, oszalał. Nie zadowolają go pełne szacunku ukłony, żąda, aby padano przed nim na twarz.

- Zdaje się, że za nim nie przepadasz - zauważył Belgarath.

- Nienawidzę tego łaciatego krętacza.

- Łaciatego?

- Na twarzy i rękach ma liczne plamy, a jego skóra jest tam zupełnie pozbawiona barwy, toteż wygląda obrzydliwie - jak ktoś dotknięty paskudną chorobą. Ja sam w pewnych kręgach uważany jestem za niezbyt przystojnego, ale na widok Urvona nawet troll dostałby drgawek ze strachu. W każdym razie, jeśli Kal Zakath pragnie przekształcić kościół Grolimów w religie państwową i umieścić na ołtarzach swoje oblicze w miejsce maski Toraka, musi najpierw rozprawić się z Urvonem, a ten ani na krok nie rusza się z Mai Yaska. Tam zaś ochraniają go grolimscy czarownicy. Zakath nie zdoła do niego dotrzeć. Nawet ja nie mogę się tam zbliżyć. Co jakies sto lat ponawiam próbę z nadzieją, że może w końcu ktoś okaże się nieuważny albo poszczęści mi się na tyle, by wbić mu w brzuch wielki, ostry hak. Najchętniej jednak ciągnąłbym go twarzą w dół po rozżarzonych węglach - przez kilka tygodni.

Belgaratha wyraźnie zaskoczyła zaciętość dźwięcząca w głosie przyjaciela.

- Nic zatem więcej nie robi? Siedzi tylko przyczajony w Mai Yaska?

- Ależ skąd! Urvon knuje i spiskuje nawet podczas snu. Przez ostatnie półtora roku - odkąd Belgarion przebił mieczem Toraka - Urvon gorączkowo starał się ocalić to, co jeszcze pozostało z jego kościoła. Istnieją pewne stare, nadgryzione przez mole przepowiednie - Grolimowie nazywają je Wyroczniami - z miejscowości zwanej Ashaba w Górach Karandejskich. Urvon odkurzył je i tak przeinaczył, że zdają się twierdzić, iż Torak powróci - że nie umarł albo może zmartwychwstanie czy urodzi się po raz drugi.

- Co za bzdury! - prychnął Belgarath.

- Oczywiście, ale musieli coś zrobić. Kościół Grolimów wił się w konwulsjach niczym bezgłowy wąż, a Zakath miał lada moment zacisnąć mu palce wokół szyi, tak aby odtąd każdy pokłon Angaraków adresowany był do niego. Urvon zadbał, by pozostało jedynie kilka egzemplarzy tych Wyroczni Ashabińskich, po czym zaczął wymyślać coraz to nowe rzeczy, twierdząc, że znalazł je w przepowiedniach. Jedynie to powstrzymuje w tej chwili Zakatha - i to wyłącznie dlatego, że imperator próbuje z pasją udekorować wszystkie napotkane drzewa jednym czy dwoma Murgami.

- Czy miałeś jakieś kłopoty z poruszaniem się po Mallorei?

Beldin zaklął szorstko.

- Jasne, że nie. Nikt nigdy nie dostrzega twarzy kaleki. Większość ludzi nie potrafiła-
by nawet powiedzieć, czy jestem Alornem, czy Maragiem. Widzą jedynie garb na moich plecach.
- Wstał z krzesła, podszedł do beczułki i ponownie napelnił swój kufel. - Belgaracie -
powiedział bardzo poważnie - czy mówi ci coś nazwa Cthrag Sardius?

- Sardius? Chodzi ci o sardoniks? Beldin wzruszył ramionami.

- Mallorekańscy Grolimowie nazywają to Cthrag Sardius. Na czym polega różnica?

- Sardoniks to kamień szlachetny, taki pomarańczowy z mlecznobiałymi żyłkami. Nie
jest specjalnie rzadki - ani piękny.

- Nie za bardzo to pasuje do sposobu, w jaki mówią o nim Malloreanie. - Beldin
zmarszczył brwi. - Z tego, jak używają nazwy Cthrag Sardius, wnoszę, że jest to pojedynczy
kamień - i że musi być ważny.

- W jakim sensie ważny?

- Nie jestem pewien. Wszystko, czego zdołałem się dowiedzieć, to to, że każdy Gro-
lim w Mallorei oddałby duszę za możliwość dostania go w swoje ręce.

- Może to jakiś lokalny symbol - coś, co dotyczy toczącej się tu walki o władzę?

- Możliwe, ale wówczas czemu jego nazwa miałaby brzmieć Cthrag Sardius? Klejnot
Aldura nazwali Cthrag Yaska, pamiętasz? Prawie na pewno istnieje jakiś związek pomiędzy
Cthrag Yaską i Cthrag Sardiusiem. A jeśli tak, to chyba powinniśmy zająć się tą sprawą.

Belgarath rzucił mu przeciągłe spojrzenie, po czym westchnął. - Sądziłem, że kiedy
już Torak zginie, będziemy mogli w końcu odpocząć.

- Miałeś przecież rok wolnego. Jeszcze trochę i zaczniesz obrastać tłuszczem.

- Jesteś bardzo niemiłym kompanem, wiesz o tym? Beldin uśmiechnął się paskudnie.

- Owszem. Podejrzewałem, że wreszcie to zauważysz. Następnego ranka Belgarath
zaczął starannie sortować potężną górę rozpadających się pergaminów, próbując zaprowadzić
jakiś porządek w wielowiekowym chaosie. Podarek przyglądał mu się przez jakiś czas, po
czym powędrował do okna, aby wyrzec na rozgrzane słońcem łąki Doliny. Mniej więcej o
milę dalej stała jeszcze jedna wieża: smukła, lekka budowla, której widok sprawiał dziwnie
pogodne wrażenie.

- Czy mogę wyjść na dwór? - zapytał Belgaratha.

- Co? A, tak, w porządku. Nie odchodź tylko zbyt daleko.

- Dobrze - obiecał Podarek, ruszając w stronę schodów, opadających szeroką spiralą w
chłodny półmrok na dole.

Promienie porannego słońca padały z ukosa na mokrą od rosy łąkę, skowronki śpie-

wały radośnie i śmigały w pachnącym słodko powietrzu. Z wysokiej trawy wyskoczył brązowy królik i spojrzał ciekawie na Podarka. Po chwili przysiadł na ziemi i zaczął energicznie drapać się tylną łapą w ucho.

Podarek jednak nie wyszedł z wieży po to, by bawić się w słońcu albo obserwować króliki. Musiał złożyć wizytę w pewnym miejscu, toteż ruszył poprzez wilgotną łąkę w kierunku wieży, którą dostrzegł z okna Belgaratha.

Nie spodziewał się rosy i kiedy dotarł wreszcie do samotnej budowli, miał zupełnie mokre nogi. Kilka razy obszedł kamienną wieżę, a jego stopy mlaskały w przemoczonych butach.

- Zastanawiałem się, kiedy wreszcie zdecydujesz się wpaść - powiedział bardzo spokojny głos.

- Byłem zajęty - usprawiedliwiał się Podarek. - Pomagałem Belgarathowi.

- Czy naprawdę potrzebował pomocy?

- Miał pewne kłopoty z zabraniami się do pracy.

- Wejdiesz do środka?

- Jeśli nie masz nic przeciw temu.

- Drzwi są po tamtej stronie.

Podarek okrążył wieżę i znalazł wielki odchylony kamień, odsłaniający wejście. Wszedł do środka i wspiął się po schodach.

Wszystkie pomieszczenia na wieżach są do siebie podobne, to jednak różniło się nieco od siedziby Belgaratha. Podobnie jak tam i tu był kominek, na którym płonął ogień - tyle że pośród płomieni nie było nic, co można by uznać za opał. Sam pokój był dziwnie pusty, jakby właściciel tej wieży przechowywał swe zwoje pergaminu, narzędzia i instrumenty w jakimś niewyobrażalnym miejscu, skąd przywoływał je wedle potrzeby.

Pan wieży siedział przy ogniu. Jego włosy i broda były białe, miał na sobie luźną błękitną szatę.

- Podejdź do kominka i osusz stopy, chłopcze - powiedział swym łagodnym głosem.

- Dziękuję - odparł Podarek.

- Jak się miewa Polgara?

- Doskonale. Jest bardzo szczęśliwa. Myślę, że podoba jej się małżeństwo - uniósł nogę i przysunął ją do ognia.

- Nie przypal sobie butów.

- Będę uważał.

- Masz ochotę na śniadanie?

- To byłoby miłe. Belgarath zapomina czasami o takich drobiazgach.

- Na stole.

Podarek spojrział we wskazane miejsce i ujrzał parujący talerz z owsianką, którego wcześniej nie było.

- Dziękuję - powiedział grzecznie, podchodząc do stołu i odsuwając krzesło.

- Czy chciałbyś porozmawiać o czymś szczególnym?

- Niespecjalnie - odparł chłopiec, po czym wziął ze stołu łyżkę i zabrał się do jedzenia.

- Po prostu uznałem, że powinienem wpaść. Ostatecznie Dolina należy do ciebie.

- Jak widzę, Polgara uczy cię dobrych manier. Podarek uśmiechnął się.

- I wielu innych rzeczy.

- Czy jesteś u niej szczęśliwy, Podarku? - spytał właściciel wieży.

- Tak, Aldurze. Jestem naprawdę szczęśliwy - odrzekł chłopiec i wrócił do swej owsianki.

ROZDZIAŁ 3

W miarę jak upływało lato, Podarek spędzał coraz więcej czasu w towarzystwie Durnika. Jak wkrótce odkrył, kowal był niezwykle cierpliwym człowiekiem, który robił wszystko po staremu - nie z powodu jakichś moralnych uprzedzeń wobec tego, co Belgarath nazywał "pewną dostępną im alternatywą", lecz po prostu dlatego, że praca sprawiała mu ogromne zadowolenie. Nie znaczy to, iż czasami nie ułatwiał sobie zadania. Podarek dostrzegł pewną prawidłowość w działaniu kowala. Durnik nigdy nie szachrował przy wykonywaniu rzeczy, które przygotowywał dla Polgary i ich nowego domu. Nieważne, jak żmudne i pracochłonne było zadanie, Durnik zawsze polegał na zręczności własnych rąk i sile ramion.

Jednak niektóre prace wykaczały nieco poza ścisłe ramy Durnikowej etyki. Na przykład pewnego poranka pojawiło się nagle znikąd dwieście metrów drewnianego ogrodzenia. Ogrodzenie było potrzebne, co do tego nie istniały żadne wątpliwości, coś musiało bowiem uchronić ogród Polgary przed uporczywymi najazdami pasącego się w pobliżu stada algarskiego bydła, zdążającego tamtędy do wodopoju. W istocie pierwsze fragmenty płotu zaczęły wyrastać tuż przed nosem oszołomionych krów. Zwierzęta ze zdumieniem wpatrywały się w pięćdziesiąt metrów ogrodzenia, po czym, rozważywszy problem przez kilka minut, ruszyły, by obejść nieoczekiwaną przeszkodę. Nagle drogę zagrodziło im kolejne pięćdziesiąt metrów płotu. Wkrótce zabawa sprzykrzyła się krowom, które zaczęły biec, być może wiedzione zrodzoną w ich powolnych umysłach nadzieją, iż zdołają wyprzedzić tajemniczego budowniczego ogrodzenia. Durnik jednak siedział niewzruszenie na pieńku. Jego oczy patrzyły ze skupieniem, a twarz wyrażała zaciętą determinację, kiedy stawiał kolejne odcinki ogrodzenia tuż przed głowami coraz bardziej rozszłoszczonych krów.

W końcu pewien ciemnobrązowy buhaj, doprowadzony do bezsilnej furii, zniżył głowę, kilka razy zarył kopytem w ziemię, po czym z donośnym rykiem zaatakował ogrodzenie. Durnik zrobił kolisty ruch dłonią i nagle byk pędził już w przeciwną stronę, w jakiś sposób zawrócony w biegu, choć sam tego nieświadom. Przebiegł tak kilkaset metrów, nim zorientował się, że jego rogi nie zetknęły się jeszcze z niczym namacalnym. Zwolnił i uniosł głowę, rozglądając się ze zdumieniem. Z powątpiewaniem obejrzał się na ogrodzenie, po czym zawrócił, nie zrażony. Raz jeszcze Durnik odwrócił go w powietrzu i raz jeszcze buhaj runął do ataku w niewłaściwym kierunku. Za trzecim razem minął w pędzie szczyt wzgórza i zniknął po drugiej stronie, by już nie wrócić.

Durnik spojrział z powagą na Podarka, po czym mrugnął. Polgara wyszła z domu, wycierając dłonie w fartuch, i ujrzała ogrodzenie, które w tajemniczy sposób zbudowało się samo, podczas gdy ona zmywała naczynia po śniadaniu. Obdarzyła męża zagadkowym spojrzeniem. Durnik wyglądał na nieco zakłopotanego, przyłapany na używaniu czarodziejskiej mocy miast siekiery.

- Bardzo ładne ogrodzenie, kochanie - powiedziała zachęcająco Polgara.

- Potrzebowaliśmy go tutaj - odparł Durnik skruszonym tonem. - Te krowy... cóż, musiałem zrobić to szybko.

- Durniku - rzekła łagodnie - nie ma nic nagannego w wykorzystywaniu swego talentu do podobnych rzeczy - a poza tym powinieneś czasem ćwiczyć. - Spojrzała na zygzakowaty drewniany płot i jej twarz nabrała skupionego wyrazu. Połączenia elementów płotu zostały nagle, jedno po drugim, wzmocnione bujnymi krzewami róż w pełnym rozkwicie. - Proszę - stwierdziła z satysfakcją Polgara, poklepała męża po ramieniu i wróciła do domu.

- To niezwykła kobieta, wiesz o tym? - spytał Durnik.

- Tak - zgodził się Podarek.

Polgara nie była jednak zawsze zadowolona z wypadów małżonka na nowe terytorium. Pewnego razu, pod koniec gorącego, suchego lata, kiedy warzywa w jej ogrodzie zaczynały skłaniać się ku ziemi, Polgara poświęciła większą część poranka na odszukanie niewielkiej czarnej deszczowej chmury nad górami Ulgołandu i łagodne przygnanie specjnie tego wilgocią puszystego kłębaka ku Dolinie Aldura, a dokładniej mówiąc nad spragniony ogród.

Podarek bawił się właśnie przy ogrodzeniu, kiedy chmura napłynęła znad zachodniego wzgórza i zawisła nisko, dokładnie nad domem i wyczekującym deszczu ogrodem. Durnik uniósł wzrok znad naprawianej właśnie uprząży i ujrzawszy rozbawionego jasnowłosego chłopca oraz złowieszczą czarną chmurę tuż nad jego głową bez namysłu zebrał całą swą wolę. Następnie machnął dłonią.

- Sio! - powiedział chmurze.

Chmura wzdrygnęła się lekko, zupełnie jakby wstrząsnęła nią czkawka, po czym powoli odpłynęła na wschód. Gdy już znalazła się kilkaset metrów od znękanego suszą ogrodu Polgary, wypuściła z siebie strugi deszczu - wspaniałej, równej ulewy, która niezwykle starannie nawodniła kilkanaście akrów pustej łąki.

Durnik zupełnie nie był przygotowany na reakcję żony. Drzwi domu otworzyły się z trzaskiem i Polgara wypadła na dwór z niebezpiecznym błyskiem w oczach. Spojrzała twardo na chmurę, radośnie zrzucając swój ciężar, a nasiąknięty wodą obłok znów wzdrygnął się

dziwnie, wyglądając, jakby czuł się winny.

Następnie Polgara odwróciła się i wbiła dziki wzrok w męża.

- Czy to twoja sprawka? - spytała, wskazując chmurę.

- Owszem - odparł. - Zdaje się, że tak, Pol.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Podarek bawił się w ogrodzie - wyjaśnił Duraik, nadal skoncentrowany na uprzęży. - Nie sądziłem, abyś chciała, żeby zmókł.

Polgara spojrzała na chmurę, marnującą cały swój deszcz na podlanie trawy tak głęboko ukorzonej, że z łatwością przetrwałaby dziesięciomiesięczną suszę. Następnie przeniosła wzrok na swój ogród, na opadające liście rzepy i żalostną fasolę. Zaciśnęła zęby, powstrzymując ciskające się na usta słowa i zwroty, które jak wiedziała, mogłyby zszokować jej pocziwego, dobrze wychowanego męża. Uniosła twarz ku niebu i rozpaczliwie wzniosła ręce.

- Dlaczego ja? - spytała doniosłym, tragicznym głosem. - Dlaczego właśnie ja?

- Ależ, kochanie - spytał łagodnie Duraik. - Co się stało?

Polgara wyjaśniła mu, co się stało - długo i dokładnie.

Następny tydzień Durnik spędził na budowie systemu nawadniającego, prowadzącego z górnej części doliny aż do ogrodu. Polgara wybaczyła mu jego błąd, gdy tylko praca została ukończona.

Tego roku zima nadeszła późno, a jesień zabawiła w Dolinie dłużej niż zwykle. Bliźniacy Beltira i Belkira wpadli z wizytą tuż przed pierwszym śniegiem, by oznajmić, że po kilkunastu tygodniach dyskusji zarówno Belgarath, jak i Beldin opuścili Dolinę. Podobno twarze obu czarodziejów miały ów szczególny, poważny wyraz, oznaczający, że dzieje się coś niedobrego.

Tej zimy Podarek tęsknił za towarzystwem Belgaratha. Co prawda stary czarodziej często wpędzał go w tarapaty z Polgarą, lecz w głębi duszy chłopiec czuł, że nie powinno się po nim oczekiwać, by cały czas trzymał się z dala od kłopotów. Kiedy spadły śniegi, znów zaczął jeździć na sankach. Po tym, jak kilka razy ujrzała go szybującego w szalonym pędzie po zboczu i przez łąkę, Polgarą przezornie poprosiła Durnika, aby ogroził barierką brzeg strumienia, zapobiegając w ten sposób powtórce zeszłorocznego wypadku. Właśnie gdy kowal wznosił płotek z plecionej łożyny, mający zatrzymać Podarka na suchym lądzie, jego wzrok przypadkiem skierował się ku wodzie. Ponieważ muliste strużki, wpadające w lecie do strumienia, zastygły wszystkie pośród lodów, poziom wody był bardzo niski, a ona sama - krystalicznie czysta. Durnik niezwykle wyraźnie dostrzegł długie, smukłe kształty, unoszące

się niczym cienie pośród nurtu nad żwirowymi łąchami na dnie strumienia.

- Cóż za ciekawe zjawisko - mruknął, a jego oczy przybrały ów dziwny, roztargniony wyraz. - Nigdy wcześniej ich tu nie zauważyłem.

- Widywałem je, jak skaczą - powiedział Podarek. - Ale przez większość czasu woda jest zbyt mętna, by dostrzec, kiedy tak czają się przy dnie.

- Owszem, to może być powód - zgodził się Durnik. Przymocował koniec łożinowego płotu do drzewa, po czym pomaszerował przez śnieg wprost do szopy, którą zbudował na tyłach domu. Po chwili zjawił się ponownie, niosąc w dłoniach zwój nawoskowanego sznurka; w pięć minut później zarzucał już przynętę. Podarek uśmiechnął się i zawrócił, brnąc przez śnieg w górę zbocza, ciągnąc za sobą sanki. Gdy dotarł na szczyt wzgórza, zastał tam dziwną młodą kobietę o twarzy zakrytej kapturem. Wyraźnie czekała na niego.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytał grzecznie.

Młoda kobieta odrzuciła kaptur. Jej oczy zakrywała ciemna, ściśle przylegająca przepaska.

- Tyś jest tym, którego zwą Podarek? - zapytała. Jej głos był niski i melodyjny, a archaiczna mowa miała własny specyficzny rytm.

- Tak - odparł Podarek - to ja. Czy coś ci się stało w oczy?

- Nie, miłe dziecię. Jednakowoż muszę spoglądać na świat w blasku innym niż światło ziemskiego słońca.

- Może chciałabyś nas odwiedzić? - zaproponował Podarek. - Mogłabyś ogrzać się przy kominku, a Polgara z pewnością ucieszy się z towarzystwa.

- Choć szanuję lady Polgarę, nie nadszedł jeszcze czas naszego spotkania, a tam, gdzie jestem, mróz nie ma dostępu. - Urwała i nachyliła się lekko, jakby mu się przyglądając, choć przepaska skrywająca jej oczy była bardzo gruba. - A zatem to prawda-mruknęła cicho. - Z tak daleka nie mogliśmy być pewni, lecz teraz, gdy stoję tuż obok ciebie, wiem, że się nie myliliśmy. - Wyprostowała się. - Spotkamy się jeszcze.

- Jak pani sobie życzy - odparł Podarek, przypominając sobie maniery, których go uczono.

Nieznajoma uśmiechnęła się, a jej uśmiech był tak promienny, iż zdawał się niczym słońce rozjaśniać mroczne zimowe popołudnie.

- Jestem Cyradis - oznajmiła - i przychodzę w przyjaźni, miły Podarku, choć może na-dejść czas, gdy konieczność zmusi mnie, bym podjęła decyzję przeciw tobie.

Z tymi słowami zniknęła tak nagle, że od momentu, gdy jeszcze stała naprzeciw chłopca, nie minęło nawet jedno uderzenie serca.

Nieco zaskoczony, Podarek zerknął na śnieg, po którym stąpała, i dostrzegł, że nie ma na nim żadnym śladów ani odcisków stóp. Przysiadł na sankach, aby się nad tym zastanowić. Słowa dziwnej młodej kobiety nie miały zbyt wiele sensu, był jednak pewien, że z czasem go nabiorą. Po dłuższym namyśle zdecydował, że ta niezwykła wizyta zmartwiłaby Polgarę, gdyby jej o niej opowiedział. Ponieważ zaś był pewien, iż owa Cyradis nie stanowi dla niego żadnego zagrożenia, postanowił w ogóle nie wspominać o całym incydencie.

Potem, jako że na szczycie wzgórza robiło się coraz zimniej, Podarek pchnął sanki i śmignął w dół, po zboczu i przez łąkę, zatrzymując się w końcu kilkanaście metrów od miejsca, gdzie Duraik łowił ryby. Kowal czynił to z takim skupieniem, że nie dostrzegał niczego, co działo się obok.

Polgara wyrozumiale odnosiła się do ulubionej rozrywki męża. Zawsze okazywała odpowiedni zachwyt wobec długości, wagi i srebrzystej barwy zdobyczy, które znosił do domu, i w zakamarkach swej bogatej skarbnicy wiedzy wynajdywała coraz to nowe, interesujące sposoby smażenia, pieczenia, gotowania, wędzenia, a nawet duszenia ryb. Nalegała jednak niewzruszenie, aby to on je czyścił.

Gdy znów wróciła wiosna, pojawił się Belgarath na grzbiecie żwawego dereszowatego ogiera.

- Co się stało z twoją klaczą? - spytał Durnik, kiedy stary człowiek zeskoczył z siodła przed drzwiami domu.

Belgarath wykrzywił się cierpko.

- Byłem już w połowie drogi do Drasni, kiedy odkryłem, że jest żrebna. Wymieniłem ją na tego oto entuzjastę - rzucił ostre spojrzenie rozbrykanemu dereszowi.

- Zdaje się, że nie straciłeś na tej transakcji - zauważył Durnik, przyglądając się koniowi.

- Klacz była spokojna i rozsądna. Ten tu nie ma w głowie ani śladu mózgu. Wciąż chce się popisywać - biegać, skakać, wierzgać, przebierać kopytami w powietrzu - z niesmakiem potrząsnął głową.

- Zaprowadź go do stodoły, ojczy - zasugerowała Polgara - i umyj się. Przyszedłeś dokładnie na kolację. Możesz dostać pieczoną rybę. W istocie możesz dostać nawet kilka pieczonych ryb, jeśli masz ochotę.

Kiedy już wszyscy zjedli, Belgarath przesunął swój fotel, przechylił się w tył i wyciągnął nogi do ognia. Z zadowoleniem rozejrzał się wokół, dostrzegając wyszorowaną kamienną podłogę, pociągnięte wapnem białe ściany, wiszące na kołkach wypolerowane garnki i patelnie oraz roztańczone cienie i ogień płonący na zwieńczonym łukiem kominku.

- Dobrze jest trochę odpocząć - stwierdził. - Nie wydaje mi się, abym zatrzymał się gdzieś od jesieni.

- Cóż zaszło takiego naglącego, ojcze? - spytała Polgara, zbierając talerze.

- Odbyliśmy z Beldinem bardzo długą rozmowę. W Mallorei dzieją się rzeczy, które niezbyt mi się podobają.

- I co z tego, u licha? Nasze sprawy w Mallorei dobiegły końca w Cthol Mishrak, kiedy zginął Torak. Nikt nie mianował cię strażnikiem całego świata.

- Gdybyż to było takie proste, Pol - westchnął Belgarath. - Czy mówi ci coś nazwa Sardion? Albo może Cthrag Sardius?

Polgara nalewała właśnie gorącą wodę z kociołka do wielkiej miednicy, w której zazwyczaj zmywała naczynia. Na moment zawahała się, lekko marszcząc brwi.

- Mam wrażenie, że słyszałam kiedyś Grolima, wspominającego coś o Cthrag Sardiusie. Był wtedy w malignie i bełkotał coś w staroangrackim.

- Czy pamiętasz, co mówił? - spytał z napięciem Belgarath.

- Przykro mi, ojcze, ale nie znam staroangrackiego. Nigdy jakoś mnie go nie nauczyłeś, pamiętasz? - spojrzała na Podarka i kiwnęła na niego palcem.

Podarek westchnął ciężko, wstał i przyniósł ścierkę do naczyń.

- Nie rób min, Podarku - upomniała Polgara. - Nie zaszkodzi ci, jeśli pomożesz sprzątnąć po kolacji. - Obejrzała się na Belgaratha i zaczęła myć naczynia. - Jakie znaczenie ma ten Sardion, czy jak go tam nazywasz?

- Nie wiem. - Belgarath z zakłopotaniem podrapał się po brodzie. - Ale, jak słusznie zauważył Beldin, Torak nazywał Klejnot naszego Mistrza Cthrag Yaska. Przypuszczam zatem, iż Cthrag Sardius może mieć z nim jakiś związek.

- Słyszę tu wiele "może" i "przypuszczam", ojcze. Zastanawiam się, czy twoje goniwty za złudami wynikają z przyzwyczajenia, czy też robisz to, aby mieć jakieś zajęcie.

- Znasz mnie dostatecznie dobrze, Pol, by wiedzieć, że nie jestem aż takim entuzjastą dodatkowych zajęć - stwierdził kwaśno czarodziej.

- Zauważyłam. Co jeszcze słyhać w wielkim świecie?

- Zobaczymy. - Belgarath odchylił się w fotelu i spojrzał z namysłem na niski belkowany sufit. - Wielki Książę Noragon zjadł coś, co zdecydowanie mu nie posłużyło.

- Kim jest Wielki Książę Noragon? I czemu mamy się zajmować jego trawieniem?

- Wielki Książę Noragon był kandydatem rodu Honethów na następcę Rana Borune na tronie Imperium Tolnedry. - Belgarath prychnął. - Był również skończonym durniem i jego wstąpienie na tron stanowiłoby prawdziwą katastrofę.

- Powiedziałaś “był” - wtrącił Durnik.

- Owszem. Jego niestrawność okazała się śmiertelna. Powszechnie uważa się, że jakiś genialny zwolennik Horbitów użył którejś z egzotycznych mikstur, pochodzących z dżungli Nyissy, aby przyprawić ostatni posiłek Wielkiego Księcia. Z tego, co słyszałem, objawy były dość widowiskowe. Honethowie poszli w rozsypkę, co pozostałe rody przyjęły z nie skrywanym zachwytem.

- Tolnedrańska polityka jest naprawdę obrzydliwa - oznajmiła Polgara.

- Nasz książę Kheldar jest coraz bliższy pozycji najbogatszego człowieka na świecie - ciągnął Belgarath.

- Silk? - Na twarzy Durnika odbiło się lekkie rozbawienie. - Zdażył już ukraść aż tyle?

- Z tego, co się orientuję, tym razem jego działalność jest mniej lub bardziej legalna. Wraz z tym łajdakiem Yarblekiem zdołali w jakiś sposób zyskać kontrolę nad całym rynkiem nadrackich futer. Nie znam zbyt wielu szczegółów, lecz rozpaczliwe jęki, dochodzące ze wszystkich ważniejszych kompanii handlowych w Boktor, zdają się wskazywać, iż nasi przyjaciele całkiem dobrze sobie radzą.

- Miło mi to słyszeć - stwierdził Durnik.

- Zapewne dlatego, że nie próbowałaś ostatnio kupić futrzanego płaszcza - zachichotał stary czarodziej. - Podobno ceny ostro skoczyły w górę. - Zakołysał się w fotelu. - W Cthol Murgos wasz przyjaciel Kal Zakath metodycznie wyrzyna wszystko, co staje na drodze jego wędrówki na wschód. Ostatnio do listy miast, które zdobył i całkowicie wyludnił, dodał jeszcze Rak Cthan i Rak Hagga. Nie przepadam za Murgami, ale powoli zaczynam sądzić, że Zakath posuwa się odrobinę za daleko.

- Kal Zakath? - spytała Polgara, lekko unosząc brew.

- To taka słabostka - wyjaśnił lekceważąco Belgarath.

- Raczej symptom. Władcy Angaraków zawsze byli niezrównoważeni, w taki czy inny sposób. - Odwróciła się i spojrzała na ojca. - I co?

- Co “i co”?

- Miałaś jakieś wieści z Rivy? Co słyhać u Gariona i Ce’Nedry?

- Nic do mnie nie dotarło - poza paroma oficjałkami typu: “Rivański Król uprzejmie ogłasza, że mianował hrabiego jak-mu-tam na stanowisko ambasadora Rivy przy dworze króla Drasni” i temu podobne, ale absolutnie nic bardziej osobistego.

- Chyba umie pisać, prawda? - spytała z irytacją. - Nie wierzę, by przez ostatnie dwa lata był tak zajęty, aby nie miał czasu na napisanie choćby jednego listu!

- On pisał - wtrącił cicho Podarek. Nie wspominałby o liście, ale dla Polgary było to

najwyraźniej bardzo ważne.

Spojrzała na niego ostro.

- Co mówiłeś?

- Belgarion napisał do was zeszłej zimy. List jednak zaginął, kiedy statek, którym podróżował posłaniec, zatonął.

- Skoro statek zatonął, to skąd...

- Pol - przerwał jej Belgarath, jak na niego niezwykle stanowczo - pozwól, że ja się tym zajmę. - Odwrócił się do Podarka. - Powiadasz, że Garion napisał zeszłej zimy do Polgary?

- Tak - odparł chłopiec.

- Ale list zaginął w katastrofie statku, którym podróżował posłaniec?

Podarek skinął głową.

- Czemu zatem Garion nie napisał następnego listu?

- Nie wie, że statek zatonął.

- Ale ty wiesz? Chłopiec znów przytaknął.

- Czy przypadkiem wiesz może również, co było w tym liście?

- Tak.

- Mógłbyś nam go odczytać?

- Chyba tak, jeśli tego chcecie. Ale Belgarion i tak zamierza znów napisać, za jakiś tydzień.

Belgarath spojrzał na niego dziwnym wzrokiem.

- Może jednak powiesz nam, o czym był pierwszy list. W ten sposób nic nam nie umknie.

- W porządku - zgodził się Podarek. W skupieniu zmarszczył brwi. - Zaczął od tego: "Kochana ciociu Pol i Durniku". To miłe, prawda?

- Po prostu odczytaj list - powiedział cierpliwie Belgarath. - Uwagi zostaw na później.

- Dobrze - Podarek z namysłem wpatrzył się w ogień. - "Przepraszam, że wcześniej nie pisałem" - recytował - "ale byłem okropnie zajęty nauką wszystkiego, czego potrzeba, by zostać dobrym królem. Łatwo jest zostać królem - wystarczy tylko urodzić się w odpowiedniej rodzinie. Ale być dobrym królem, jest już znacznie trudniej. Brand pomaga mi, jak tylko może, ale i tak muszę podejmować mnóstwo decyzji o rzeczach, których zupełnie nie rozumiem.

Ce'Nedra ma się dobrze - przynajmniej tak sędzę. Prawie ze sobą nie rozmawiamy, więc trudno mi powiedzieć. Brand niepokoi się, że nie mamy dotąd dzieci, ale nie sędzę, aby

musiał się tym martwić. Z tego, co wiem, nigdy nie będziemy mieć żadnych dzieci. Może to i dobrze. Naprawdę uważam, że powinniśmy byli poznać się lepiej przed ślubem. Z pewnością znalazłby się jakiś sposób, aby wszystko odwołać. Teraz jest już jednak za późno. Pozostaje nam tylko radzić sobie z tym najlepiej jak potrafimy. Jeśli nie widzimy się zbyt często, udaje nam się zazwyczaj traktować dość uprzejmie - przynajmniej na tyle, by zachować pozory.

W lecie zjawił się u nas Barak. Przyplłynął swoim wielkim statkiem. To była bardzo przyjemna wizyta. Opowiedział mi o...”

- Chwileczkę, Podarku - przerwała Polgara. - Czy jest tam coś więcej o kłopotach, jakie mają z Ce’Nedrą?

- Nie - odparł po chwili Podarek, przeglądając w myślach resztę listu. - Píše jeszcze o odwiedzinach Baraka, wieściach od króla Anhega i liście od Mandorallena. To wszystko. Mówi, że was kocha i bardzo za wami tęskni. Tak właśnie zakończył.

Polgara i Belgarath wymienili długie spojrzenia. Podarek wyczuwał ich zakłopotanie, nie wiedział jednak, jak ma ich uspokoić.

- Jesteś pewien, że tak właśnie brzmiał list? - spytał Belgarath.

Podarek skinął głową.

- Dokładnie to pisał Garion.

- I wiedziałeś o tym, gdy tylko go napisał? Chłopiec zawahał się.

- Chyba nie. Widzisz, to tak nie działa. Musisz zacząć o tym myśleć, a ja nie zastanawiałem się nad tym, póki nie poruszyliście tego tematu, kiedy Polgara wspomniała o liście.

- Czy ważne jest, jak daleko znajduje się druga osoba? - zapytał z ciekawością Belgarath.

- Nie - odparł Podarek. - Nie wydaje mi się. Jeśli potrzebuję jakiejś wiadomości, po prostu do mnie przychodzi.

- Nikt nie potrafi czegoś takiego - zaprotestowała Polgara. - Nikt nigdy nie był do tego zdolny.

- Najwyraźniej reguły uległy zmianie - stwierdził z namysłem Belgarath. - Sądzę, że powinniśmy to zaakceptować, a ty?

Skinęła głową.

- Nie ma powodów, by to wymyślił.

- Zdaje się, że będziemy kiedyś musieli odbyć kilka bardzo długich rozmów, Podarku - powiedział stary człowiek.

- Możliwe - wtrąciła Polgara. - Ale nie w tej chwili. - I zwracając się do chłopca, dodała: - Czy mógłbyś mi powtórzyć to, co Garion píše o Ce’Nedrze?

Podarek przytaknął.

- "Ce'Nedra ma się dobrze - przynajmniej tak sędzę. Prawie ze sobą nie rozmawiamy, więc trudno mi powiedzieć. Brand niepokoi się, że..."

- Wystarczy, Podarku. - Polgara lekko uniosła dłoń, po czym spojrzała chłopcu w twarz. Po chwili jedna z jej brwi uniosła się gwałtownie. - Powiedz mi - zaczęła czarodziejka, starannie dobierając słowa - czy wiesz, co zaszło między Garionem i Ce'Nedrą?

- Tak - odrzekł Podarek.

- Mógłbyś mi powiedzieć?

- Jeśli chcesz. Ce'Nedra zrobiła coś, co bardzo rozgniewało Gariona, a potem on zawstydził ją publicznie, co z kolei wzbudziło jej złość. Ce'Nedra uważa, że on nie zwraca na nią dostatecznej uwagi i że po to spędza cały czas przy pracy, by nie zajmować się żoną. Garion sądzi, że Ce'Nedra jest samolubna i rozpieszczona i że nie myśli o nikim poza własną osobą. Oboje się mylą, ale tyle razy kłócili się o to, a gniewne słowa tak bardzo ich zraniły, że zrezygnowali z dalszych pozorów małżeństwa. Są okropnie nieszczęśliwi.

- Dziękuję ci, Podarku. - Polgara zwróciła się do Durnika. - Musimy spakować parę rzeczy.

- Tak? - Spojrzał na nią, zaskoczony.

- Jedziemy do Rivy - oznajmiła stanowczo.

ROZDZIAŁ 4

W Camaar Belgarath natknął się w portowej tawernie na starego przyjaciela. Kiedy przyprowadził brodatego, odzianego w futra Chereka do gospody, w której się zatrzymali, Polgara rzuciła zataczającemu się marynarzowi przeciągłe spojrzenie.

- Od jak dawna jest pan pijany, kapitanie Gredlik? - spytała nie owijając w bawełnę.

- A jaki mamy dzień? - odezwał się niewyraźnie przybysz.

Powiedziała mu.

- Zadziwiające. - Czknął - P-praszam. Zdaje się, że uciekło mi kilka dni. Czy wiecie przypadkiem, jaki mamy tydzień?

- Gredliku - upomniała go Polgara - czy naprawdę musisz się upijać za każdym razem, kiedy zawiniesz do portu?

Gredlik z namysłem obejrzał sufit, drapiąc się po brodzie.

- Teraz, kiedy o tym wspominasz, Polgaro, dochodzę do wniosku, że istotnie muszę. Nigdy przedtem o tym nie pomyślałem, ale skoro sama proponujesz...

Spojrzała na niego ostro, on jednak w odpowiedzi popatrzył na nią z rozmyślną bezczelnością.

- Nie marnuj na mnie czasu, Polgaro. Nie jestem żonaty, nigdy nie byłem żonaty i nie zamierzam się żenić. Moim zachowaniem nie rujnuje życia żadnej kobiecie i z całą pewnością żadna kobieta nie zrujnuje mojego. Belgarath twierdzi, że chcecie dostać się do Rivy. Zbiorę tylko załogę i wypłyniemy z porannym przyplływem.

- Czy twoi marynarze będą dość trzeźwi, by znaleźć drogę z portu?

Gredlik wzruszył ramionami.

- Może wpadniemy na jakiegoś tolnedrańskiego kupca czy dwóch, ale w końcu trafiemy na pełne morze. Pijana czy trzeźwa, moja załoga jest najlepsza. Wysadzimy was na przystani w Rivie pojutrze po południu - chyba że do tego czasu morze zamarznie, bo w takim wypadku potrwa to nieco dłużej. - Ponownie czknął. - P-praszam - powiedział, kołyszac się w przód i w tył i mierząc ją spojrzeniem przekrwionych oczu.

- Gredliku - oznajmił z podziwem Belgarath - jesteś najodważniejszym człowiekiem na świecie.

- Nie boję się morza - odparł Gredlik.

- Nie mówiłem o morzu.

Okolo południa następnego dnia statek Gredlika mknął pośród spienionych fal, unoszony podmuchami świeżej bryzy. Kilku spośród mniej niedysponowanych członków załogi przycupnęło na pokładzie doglądając lin i nie spuszczać mniej lub bardziej czujnego wzroku ze steru, gdzie Gredlik, rozglądający się wokół podpuchniętymi oczami i najwyraźniej cierpiący, przywarł do rumpla.

- Nie zamierzasz skrócić żagli? - spytał Belgarath.

- A po co?

- Ponieważ jeśli będziesz płynął pod pełnymi żaglami przy takiej pogodzie, wiatr wyrwie ci maszt.

- Trzymaj się swojej magii, Belgaracie - poradził mu Gredlik - a żeglarstwo pozostaw mnie. Rozwijamy sporą prędkość, a poza tym deski pokładu zaczynają trzeszczeć i wyginać się na długo przedtem, nim maszt znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie.

- Jak długo?

Gredlik wzruszył ramionami.

- Prawie minutę czy coś koło tego - w każdym razie najczęściej tak się dzieje.

Belgarath spojrział na niego.

- Chyba pójdę na dół - powiedział wreszcie.

- Doskonały pomysł.

Do wieczora wiatr ucichł i gdy zapadła noc, statek Gredlika żeglował dalej po spokojnym morzu. Czasami na niebie na moment pokazywały się gwiazdy, wystarczyło to jednak do utrzymania kursu; gdy następnego ranka wstało słońce, znalazło się, zgodnie z zapowiedzią niesfornego kapitana, dokładnie za rufą. Przed południem na zachodnim horyzoncie ukazały się ciemne poszarpane skały i ostre szczyty Wyspy Wiatrów, a statek raz jeszcze zaczął tańczyć niczym rozbrykany rumak pośród spienionych fal pod czystym, błękitnym niebem. Brodate oblicze Gredlika rozciągnęło się w szerokim uśmiechu, gdy statek podskakiwał i nurkował, kołysząc się na wzburzonym morzu, wyrzucając w powietrze wielkie płachty piany za każdym razem, kiedy dziób niczym nóż przecinał kolejny grzbiet fali.

- Co za absolutnie nieodpowiedzialny człowiek - zauważyła Polgara, rzucając nieprzychylne spojrzenie w stronę kapitana.

- Jest naprawdę doskonałym marynarzem - odparł łagodnie Durnik.

- Nie to miałam na myśli.

- Och.

Statek prześliznął się gładko pomiędzy dwoma skalistymi cyplami i wpłynął do osłoniętej przystani miasta Rivy. Szare kamienne budynki wznosiły się stromymi tarasami ku po-

sępnym, groźnym muirom Cytadeli, która spoglądała z góry na miasto i port.

- To miejsce zawsze wygląda tak ponuro - zauważył Durnik. - Ponuro i niegościnnie.

- Tak właśnie je zaplanowano, Durniku - wyjaśnił Belgarath. - Mieszkańcy nie życzyli sobie zbyt wielu gości.

I wtedy, wychodząc z halsu na sterburtę, Gredlik ostro szarpnął rumpel i jego statek, gwałtownie rozcinając dziobem mroczne wody, ruszył wprost na kamienne nabrzeże, wystające u stóp miasta. W ostatniej chwili kapitan ponownie szarpnął ster. Przy akompaniamencie łopotu połatanych żagli statek zwolnił na ostatnich kilku metrach i łagodnie uderzył o pokryte warstwą soli kamienie nabrzeża.

- Czy sądzisz, że ktoś widział nasze przybycie i uprzedził Gariona? - spytał Durnik.

- Najwyraźniej - Belgarath wskazał dłonią łukowatą bramę, która właśnie rozwarła się, ukazując kamienne schody, prowadzące w głąb potężnych, wysokich murów. Mury te chroniły miasto od strony morza. Z bramy wysypała się grupka oficjalnie wyglądających ludzi, a jej centrum stanowił wysoki, młody mężczyzna o płowych włosach i poważnej twarzy.

- Przejdźmy na drugą stronę pokładu - zaproponował Belgarath. - Chcę mu zrobić niespodziankę.

- Witamy w Rivie, kapitanie Gredlik. - Podarek rozpoznał głos Gariona, choć teraz brzmiała w nim dojrzałość i większa pewność siebie.

Gredlik rzucił mu pełne aprobaty spojrzenie.

- Wyrosłeś, chłopcze - powiedział do króla Rivy. Człowiek tak swobodny jak Gredlik prawie nigdy nie czuł potrzeby używania zwyczajowych form grzecznościowych.

- Ostatnio krąży tu taka choroba - odparł sucho Garion. - Zapadli na nią prawie wszyscy moi rówieśnicy.

- Przywożę ci gości - rzucił kapitan.

Belgarath z szerokim uśmiechem zbliżył się do relingu od strony nabrzeża. Tuż za nim postępowali Durnik i Podarek.

- Dziadek? - Twarz Gariona wyrażała kompletne zdumienie. - Co ty tu robisz? I Durnik - i Podarek?

- Szczerze mówiąc, to był pomysł twojej ciotki - poinformował go Belgarath.

- Cioci Pol? Czy i ona tu jest?

- Oczywiście, że tak - odparła spokojnie Polgara, wynurzając się z niskiej kabiny pod pokładem rufowym.

- Ciocia Pol! - wykrzyknął Garion, spoglądając na nią oszołomionym wzrokiem.

- Nie patrz tak, Garionie - upomniała go, poprawiając kołnierz swego niebieskiego

płaszcz. - To niegrzeczne.

- Ale czemu nie zawiadomiliście mnie o swoim przyjeździe? Skąd się w ogóle wzięliście?

- Przyjechaliśmy z wizytą, skarbie. Ludzie czasem tak robią.

Kiedy dołączyli już do młodego króla, odbyła się tradycyjna wymiana uścisków, powitań i długich spojrzeń w twarze najbliższych, towarzyszących spotkaniom po długiej rozłące. Podarka jednak interesowało coś zupełnie innego. Gdy zaczęli wspinać się ulicami szarego miasta ku wznoszącej się w górze Cytadeli, pociągnął Gariona za rękaw.

- Koń? - zapytał. Garion spojrzał na niego.

- Jest w stajni, Podarku. Ucieszy się na twój widok. Podarek uśmiechnął się i przytaknął.

- Czy on nadal mówi w ten sposób? - spytał Garion Durnika. - Po jednym słowie? Sądziłem, że... cóż...

- Przez większość czasu mówi zupełnie normalnie - jak na swój wiek - odparł kowal - ale odkąd opuściliśmy Dolinę, bez przerwy myślał o tym źrebaku, a kiedy jest podniecony, wraca do dawnych zwyczajów.

- Przynajmniej jednak słucha - dodała Polgara - czego nie można powiedzieć o pewnym chłopcu, kiedy był w jego wieku.

Garion roześmiał się.

- Czy naprawdę byłem taki okropny, ciociu Pol?

- Nie okropny, kochanie. Po prostu nie słuchałeś, co się do ciebie mówi.

Gdy dotarli do Cytadeli, Rivańska Królowa powitała ich pod wyniosłym łukiem frontowej bramy wyciętym w grubym murze. Ce'Nedra była równie piękna, jak zapamiętał ją Podarek. Jej włosy barwy miedzi, podtrzymywane z tyłu głowy dwoma złotymi grzebieniami, spływały na plecy kaskadą płomiennych loków. Zielone oczy były wielkie i przejrzyste. Drobna, niewiele wyższa od Podarka, była jednak w każdym calu królową. Przywitała ich wszystkich dystyngowanie, ściskając Belgaratha i Durnika i lekko całując Polgarę w policzek.

W końcu wyciągnęła obie ręce do Podarka, on zaś ujął jej dłonie i spojrzał w oczy. Tkwiła w nich bariera, cień ochronnego muru, którym odgradzała się od bólu. Przyciągnęła chłopca do siebie i pocałowała; nawet w tym geście wyczuwał bolesne napięcie, którego ona sama zapewne nawet nie była świadoma. Kiedy oderwała miękkie wargi od jego policzka, Podarek raz jeszcze popatrzył jej głęboko w oczy pozwalając, by w tym spojrzeniu zawarła się cała miłość, nadzieja i współczucie, jakie dla niej żywił. Potem zaś bez namysłu wyciągnął rękę i delikatnie pogładził jej policzek. Oczy Ce'Nedry rozszerzyły się, wargi zaczęły drżeć.

Lodowata otoczka ochronna zaczęła się kruszyć. W oczach zakręciły się dwie wielkie łzy; nagle z rozzwierającym jękiem Ce'Nedra odwróciła się i wyciągając ręce, na oślep rzuciła się naprzód.

- Och, lady Polgaro! - krzyknęła.

Polgara spokojnie przytuliła do siebie rozszlochaną królową. Spojrzała przy tym wprost w twarz Podarka, a jedna z jej brwi uniosła się pytająco. Chłopiec odpowiedział potakującym skinieniem głowy.

- Cóż - mruknął Belgarath, lekko zażenowany nagłym wybuchem płaczu Ce'Nedry. Podrapał się po brodzie i powiódł wzrokiem po wewnętrznym dziedzińcu Cytadeli i szerokich granitowych stopniach, wiodących do masywnych wrót.

- Masz może pod ręką coś do picia? - zapytał Gariona. Polgara, nie wypuszczając z objęć płaczącej Ce'Nedry, posłała mu przeciągłe spojrzenie.

- Nie za wcześnie, ojczy? - rzuciła.

- Nie, nie sędzę - odparł łaskawie. - Odrobina ale pomaga ukoić żołądek po trudach morskiej podróży.

- Zawsze znajdziesz jakiś pretekst, prawda?

- Zazwyczaj udaje mi się coś wymyślić.

Podarek spędził popołudnie na wybiegu z tyłu królewskich stajni. Kasztanowy koń nie był już źrebakiem, lecz w pełni wyrosniętym młodym ogierem. Jego ciemna skóra błyszcząca, a mięśnie grały pod nią, gdy biegał w kółko po dziedzińcu. W jasnych promieniach słońca biała plamka na boku lśniła oślepiająco.

W jakiś sposób koń wyczuł, że Podarek wkrótce się zjawi, toteż przez cały ranek był nerwowy i bardzo niespokojny. Stajenny uprzedził o tym chłopca:

- Uważaj na niego. Jest dziś trochę podenerwowany, nie wiem dlaczego.

- Zaraz się uspokoi - odparł Podarek, spokojnie odmykając z haczyka drzwi, prowadzące do przegrody młodego ogiera.

- Na twoim miejscu nie... - zaczął ostro stajenny, wyciągając rękę, by powstrzymać chłopca, lecz Podarek wszedł już do boks, w którym zamknięto rozdrażnione zwierzę. Koń prychnął i zaczął biegać niespokojnie, waląc kopytami w pokrytą słomą podłogę. Po chwili zatrzymał się i stał, drżąc lekko, póki Podarek nie poklepał go po wygiętej szyi. I znów wszystko było w porządku. Chłopiec otworzył szerzej drzwi przegrody i mijając zdumionego stajennego wyprowadził konia na zewnątrz. Zwierzę z zadowoleniem poszturchiwało go pyskiem w ramię.

Na razie wystarczał im sam fakt, że są razem i odnowili więź, która ich łączyła. Więź

ta istniała, jeszcze zanim się spotkali, a nawet, w jakiś szczególny sposób, nim się w ogóle urodzili. Później przyjdzie czas na więcej, tymczasem jednak to im wystarczyło.

Gdy na wschodnim skraju nieba pojawił się pierwszy zwiastun zmierzchu, Podarek nakarmił konia, obiecał, że wróci do niego następnego dnia, i powędrował do Cytadeli w poszukiwaniu przyjaciół. Odnalazł ich siedzących przy stole w nisko sklepionej jadalni. Pomieszczenie było o wiele mniejsze niż wielka sala bankietowa i znacznie mniej oficjalne. Ze wszystkich komnat tej ponurej fortecy do niego najbardziej pasowało określenie "przytulny".

- Czy przyjemnie spędziłeś popołudnie? - spytała Polgara.

Podarek skinął głową.

- A koń ucieszył się ze spotkania?

- Tak.

- Teraz zaś przypuszczam, że jesteś głodny?

- No... troszeczkę - rozejrzał się po sali, dostrzegając nieobecność Rivańskiej Królowej. - A gdzie Ce'Nedra? - zapytał.

- Jest nieco zmęczona - wyjaśniła Polgara. - Odbyliśmy dziś bardzo długą rozmowę.

Podarek spojrzał na nią i zrozumiał. Następnie znów rozejrzał się wokół.

- Chyba rzeczywiście jestem głodny - stwierdził. Polgara roześmiała się ciepło.

- Wszyscy chłopcy są tacy sami.

- Czy naprawdę chciałabyś, abyśmy byli inni? - wtrącił Garion.

- Nie - odparła. - Chyba nie.

Następnego ranka, dość wcześnie, Polgara i Podarek siedzieli razem przed kominkiem w komnacie, która zawsze należała do czarodziejki. Polgara zasiadła na krześle o wysokim oparciu, na stoliku obok postawiła filiżankę wonnej herbaty. Miała na sobie ciemnoniebieską aksamitną suknię, w dłoni trzymała duży kościany grzebień. Podarek przycupnął przed nią na obitym dywanem stołeczku, z rezygnacją poddając się porannemu rytuałowi. Mycie twarzy, uszu i szyi nie zabierało zbyt wiele czasu, lecz czesanie włosów z jakichś przyczyn trwało zazwyczaj prawie kwadrans. Osobiste upodobania Podarka w tej materii były ograniczone do spraw podstawowych. Fryzura nie miała znaczenia, byle tylko włosy nie wpadały do oczu. Polgara jednak zdawała się znajdować dziwną przyjemność w manewrowaniu grzebieniem pośród jego bladozłoty loków. Od czasu do czasu dostrzegał, jak jej oczy przybierają ów szczególny, rozmarzony wyraz, a palce przebierają odruchowo, jakby w poszukiwaniu grzebienia. W takich momentach wiedział, że jeśli natychmiast się czymś nie zajmie, zostanie bez słowa usadzony na krześle i poddany ceremonii czesania. Nagle rozległo się pełne szacunku pukanie do drzwi.

- Tak, Garionie?! - zawołała Polgara.

- Mam nadzieję, że nie jest za wcześnie, ciociu Pol. Czy mogę wejść?

- Oczywiście, kochanie.

Garion miał na sobie błękitną tunikę i spodnie oraz buty z miękkiej skóry. Podarek zauważył, że jeśli tylko miał jakiś wybór, młody król Rivy niemal zawsze ubierał się na niebiesko.

- Dzień dobry, kochanie - rzuciła Polgara, nie wypuszczając z dłoni grzebienia.

- Dzień dobry, ciociu Pol - odparł Garion, po czym spojrzał na chłopca, który wiercił się lekko na stołeczku u stóp Polgary. - Dzień dobry, Podarku.

- Belgarionie - Podarek skinął głową.

- Nie ruszaj się - powiedziała spokojnie Polgara, po czym, zwracając się do Gariona, spytała: - Napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję. - Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw niej. - A gdzie Durnik?

- Wybrał się na spacer po murach. Durnik lubi być na dworze, kiedy wschodzi słońce.

- Tak. - Garion uśmiechnął się. - Chyba pamiętam to jeszcze z farmy Faldora. Czy czego wam nie brakuje? To znaczy tu, w waszych pokojach?

- Zawsze dobrze się tu czuję. W pewnym sensie to miejsce było dla mnie jak dom - przynajmniej do niedawna. - Z satysfakcją spojrzała na szkarłatne aksamitne kotary i krzesła obite ciemną skórą, po czym westchnęła z ukontentowaniem.

- Od dawna należały do ciebie, prawda?

- Tak. Beldaran przeznaczyła je dla mnie po swym ślubie z Żelaznopalcym.

- Jaki on był?

- Żelaznopalcy? Bardzo wysoki - wzrostem niemal dorównywał swojemu ojcu - i niezmiernie silny. - Z powrotem przeniosła wzrok na włosy Podarka.

- Czy był tak wysoki jak Barak?

- Wyższy, ale nieco węższy w ramionach. Sam król Cherek miał ponad dwa metry wzrostu i wszyscy jego synowie byli bardzo potężni. Dras Byczy Kark przypominał pień drzewa. Przesłaniał sobą słońce. Żelaznopalcy był szczuplejszy, miał bujną kruczoczną brodę i przenikliwe błękitne oczy. Kiedy nadszedł czas jego ślubu z Beldaran, w jego włosach i brodzie pojawiły się ślady siwizny, jednak nawet wtedy wyczuwaliśmy w nim wszyscy dziwną niewinność. Bardzo przypominał w tym względzie Podarka.

- Wygląda na to, że świetnie go pamiętasz. Dla mnie zawsze był jedynie postacią z legend. Wszyscy znają jego czyny, ale nie mamy pojęcia, jakim naprawdę był człowiekiem.

- Moje wspomnienia są nieco dokładniejsze. W końcu istniała możliwość, że zostanę

jego żoną.

- Żelaznej Dłoni?

- Aldur polecił ojcu, aby wyprawił jedną ze swych córek do Rivańskiego Króla, który miał ją poślubić. Ojciec musiał wybrać między mną i Beldaran. Uważam, że stary wilk dokonał właściwego wyboru, mimo wszystko jednak Żelaznopalcy pozostał dla mnie kimś wyjątkowym. - Polgara westchnęła, po czym uśmiechnęła się z lekkim smutkiem. - Nie sądzę, abym okazała się dla niego dobrą żoną. Moja siostra Beldaran była słodka, łagodna i bardzo piękna, natomiast mnie trudno było nazwać uprzejmą czy urodziwą.

- Ależ, ciociu Pol, jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie - zaprotestował szybko Garion.

- To miłe z twojej strony, Garionie, lecz kiedy miałam szesnaście lat, większość ludzi uznałaby mnie za brzydulę. Byłam wysoka i niezgrabna. Miałam stale poobijane kolana i zazwyczaj umorusaną twarz. Twój dziadek nigdy nie przejmował się zbytnio wyglądem swoich córek. Czasami mijało kilka tygodni, nim grzebień dotknął moich włosów. Zresztą i tak ich nie lubiłam. Włosy Beldaran było złote i miękkie, natomiast moje przypominały końską grzywę, no i ten paskudny biały kosmyk... - Odruchowo musnęła grzebieniem biały lok na skroni.

- Skąd się w ogóle wziął? - zapytał ciekawie Garion.

- Twój dziadek dotknął mnie tam, kiedy ujrzał mnie po raz pierwszy - byłam wtedy jeszcze niemowlęciem. Kosmyk natychmiast zmienił barwę. Wszyscy zresztą jesteśmy naznaczeni w taki czy inny sposób. Ty masz znamię na dłoni, ja - biały lok; twój dziadek - znak tuż ponad sercem. U każdego z nas znajduje się on w innym miejscu, ale znaczy to samo.

- Co?

- To dotyczy tego, czym jesteśmy, kochanie. - Odwróciła Podarka i przyjrzała mu się, ściągając usta, po czym ostrożnie przyczesła mu włosy nad uszami. - W każdym razie, jak już mówiłam, w młodości byłam szalona i nieznośna, i całkiem nieładna. Dolina Aldura nie jest najlepszym domem dla dziewczynki, a grupka zrzędlivych czarodziejów nie zastąpi matki. Najczęściej zapominali o moim istnieniu. Pamiętasz to ogromne, prastare drzewo pośrodku Doliny?

Garion skinął głową.

- Wspięłam się na nie kiedyś i zostałam tam przez dwa tygodnie, nim ktoś zorientował się, że ostatnio nie płaczę im się pod nogami. Coś takiego może sprawić, że człowiek poczuje się zaniedbany i niekochany.

- W jaki sposób wreszcie to odkryłaś - to znaczy, że jesteś piękna?

Uśmiechnęła się.

- To już inna historia, kochanie. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Czy myślisz, że moglibyśmy już przejść do rzeczy?

- Co masz na myśli?

- Twój list i kłopoty między tobą a Ce'Nedrą.

- Ach, to. Nie powinienem zwracać ci tym głowy, ciociu Pol. To w końcu mój problem. - Zmieszany, odwrócił wzrok.

- Garionie - powiedziała stanowczo Polgara - w naszej szczególnej rodzinie nie istnieje coś takiego, jak osobiste problemy. Sądziłam, że do tej pory już to odkryłeś. O co dokładnie chodzi z Ce'Nedrą?

- To po prostu nie wyszło, ciociu Pol - odrzekł ponuro. - Są rzeczy, których absolutnie muszę dopilnować osobiście, a ona żąda, abym spędzał z nią każdą sekundę - przynajmniej kiedyś. Teraz nie widzimy się przez całe dni. Nie śpimy już w tym samym łóżku, i... - nagle zerknął na Podarka i odkasznął niezręcznie.

- No - stwierdziła Polgara jak gdyby nigdy nic. - Możesz już pokazać się ludziom, Podarku. Czemu nie założysz tego brązowego wełnianego płaszcza i nie pójdziesz poszukać Durnika? Potem możecie wybrać się do stajni i odwiedzić konia.

- Dobrze, Polgaro - zgodził się Podarek, zeskakując ze stołka.

- To bardzo dobry chłopiec, prawda? - mruknął Garion, zwracając się do Polgary.

- Przez większość czasu. Jeśli tylko udaje nam się utrzymać go z dala od rzeki na tyłach domu mojej matki. Z jakichś przyczyn czuje się nieszczęśliwy, jeżeli przynajmniej raz w miesiącu nie wpadnie do wody.

Podarek pocałował Polgarę i ruszył ku drzwiom.

- Powtórz Durnikowi, że powiedziałam, iż możecie nie wracać za szybko - posłała Garionowi wymowne spojrzenie. - Myślę, że będę zajęta przez kilka następnych godzin.

- W porządku - odparł Podarek i wyszedł na korytarz, poświęcając jedynie przelotną myśl problemom, które tak unieszczęśliwiły Gariona i Ce'Nedrę. Polgara wzięła już sprawy w swoje ręce, a Podarek wiedział, że czarodziejka zdoła wszystko naprawić. Sam problem nie był zbyt wielki, został jednak rozdmuchany do gigantycznych rozmiarów poprzez kłótnie i spory, które z niego wynikły. Podarek uświadomił sobie, iż nawet najmniejsze nieporozumienie może stać się zarzewiem konfliktu, jeśli słowom wypowiedzianym w pośpiechu i gniewie nie towarzyszą przeprosiny i przebaczenie. Zrozumiał też, że Garion i Ce'Nedra kochają się tak bardzo, iż oboje stali się niesłychanie wrażliwi na gniewne, raniące słowa. Znakomicie potrafili zadawać sobie ból. Kiedy tylko w pełni to sobie uświadomią, cały problem zniknie.

Korytarze Cytadeli Rivy oświetlały pochodnie, umieszczone w żelaznych pierścieniach sterczących ze ścian. Podarek powędrował wzdłuż szerokiej sieni, prowadzącej ku wschodniej części fortecy, a dalej stopniami, wiodącymi na mury i blanki. Gdy dotarł do grubego wschodniego muru, przystanął, by wyjrzeć przez jedno z niewielkich okienek, za którym widać było wąski pasek stalowoszarego nieba. Cytadela wznosiła się wysoko ponad miastem, toteż szare kamienne budynki i wąskie brukowane ulice nadal skrywały się za zasłoną cienia i porannej mgły. Tu i tam w oknach błyszczały światła. Świeży, słony zapach morza, przynieszony przez lekką bryzę, unosił się nad wyspiarskim królestwem. W kamiennych ścianach Cytadeli zamknięte zostało uczucie osamotnienia, które ogarnęło lud Rivy o Żelaznej Dłoni na widok tej skalistej wyspy, wznoszącej się ponuro pośród targanego sztormami, ołowianoszarego morza. Jednak kamienie te kryły w sobie również gorzką świadomość obowiązku, który kazał Rivanom wydrzeć skałom swą fortecę i całe miasto, tak by stały na zawsze na straży Klejnotu Aldura.

Podarek wspiął się na kamienne schody i znalazł Durnika, stojącego na murach. Kowal spoglądał na Morze Wiatrów, które nieznużenie atakowało brzeg, by rozbić się na skałach w rozbryzgach piany.

- Widzę, że skończyła już z twoimi włosami - zauważył Durnik.

Podarek skinął głową.

- Wreszcie - stwierdził cierpko. Durnik roześmiał się.

- Musimy nauczyć się znosić te parę rzeczy, jeśli jej to sprawia taką przyjemność.

- Tak - odparł Podarek. - Teraz rozmawia z Belgarionem. Wydaje mi się, że chce, abyśmy trzymali się z daleka, póki wszystkiego nie przedyskutują.

- To najlepsze wyjście, naprawdę - zgodził się Durnik. - Pol i Garion są sobie bardzo bliscy. Sam na sam powie jej rzeczy, do których nie przyznałby się w naszej obecności. Mam nadzieję, że Pol zdoła wyjaśnić całą tę sprawę pomiędzy nim a Ce'Nedrą.

- Polgara to załatwi - zapewnił go Podarek. Gdzieś na leżących powyżej łąkach, gdzie promienie porannego słońca dotarły już do szmaragdowych traw, pasterka zanuciła piosenkę swemu stadku. Śpiewała o miłości czystym, nie szkolonym głosem, wznoszącym się ku niebu niczym pieśń skowronka.

- Taka właśnie powinna być miłość - stwierdził Durnik. - Prosta, nieskomplikowana i jasna - jak głos tej dziewczyny.

- Wiem - odparł Podarek. - Polgara powiedziała, że możemy odwiedzić konia - jeśli skończyłeś już swoją przechadzkę.

- Oczywiście. Po drodze zaś równie dobrze możemy wpaść do kuchni i przegryźć coś

na śniadanie.

- To naprawdę wspaniały pomysł - zgodził się chłopiec. Dzień upływał bardzo przyjemnie. Słońce było jasne i ciepłe, a koń baraszkował po wybiegu jak rozbawiony szczeniak.

- Król nie pozwala nam go ujeździć - poinformował Durnika jeden ze stajennych. - Nie zna nawet kantara. Jego Wysokość wspominał kiedyś, że to bardzo wyjątkowy koń. Nie rozumiem tego. Koń to tylko koń, prawda?

- Chodziło mu o coś, co wydarzyło się przy jego narodzinach - wyjaśnił Durnik.

- Wszystkie konie rodzą się tak samo.

- Musiałbyś przy tym być.

Tego wieczoru podczas kolacji Garion i Ce'Nedra wymienili nad stołem kilka nieśmiałych spojrzeń, na ustach Polgary zaś błąkał się tajemniczy uśmiezek.

Gdy wszyscy skończyli posiłek, Garion przeciągnął się i nieco teatralnie ziewnął.

- Z jakiejś przyczyny jestem dziś niezwykle zmęczony - oznajmił. - Wy, jeśli chcecie, możecie zostać tu i dyskutować do woli, ale ja pójdę chyba do łóżka.

- To może być całkiem niezły pomysł, Garionie - stwierdziła Polgara.

Garion podniósł się z krzesła i Podarek prawie czuł, jak przyjaciel drży ze zdenerwowania. Z niemal bolesną nonszalancją odwrócił się do Ce'Nedry.

- Idziesz, kochanie? - spytał, zawierając w tych dwóch słowach całą propozycję rozjemstwa.

Ce'Nedra spojrzała na niego, w jej oczach odbijały się wszystkie targające nią uczucia.

- Ależ... eee... tak, Garionie - odparła z nagłym rumieńcem. - Chyba tak. Ja też czuję dziwne zmęczenie.

- Dobranoc, dzieci - pożegnała ich ciepło Polgara. - Śpijcie dobrze.

- Co im powiedziałaś? - zapytał Belgarath, gdy królewska para trzymając się za ręce opuściła jadalnię.

- Mnóstwo różnych rzeczy, ojciec - rzuciła Polgara z zadowoloną miną.

- Jedna z nich musiała zadziałać. Durniku, bądź tak dobry i napełnij go dla mnie. - Czarodziej podał swój pusty kufel kowalowi, który siedział najbliżej beczułki ale.

Polgara była tak rada ze swego sukcesu, że nawet tego nie skomentowała.

Minęła już północ, gdy Podarek obudził się, zaskoczony.

- Masz bardzo twardy sen - oznajmił głos, który zdawał się przemawiać wewnątrz jego głowy.

- Śniłem - odrzekł chłopiec.

- Zauważyłem - stwierdził sucho głos. - Załóż coś na siebie. Potrzebuję cię w sali tronowej.

Podarek posłusznie wygramolił się z łóżka, po czym wciągnął na siebie tunikę i krótkie, miękkie sendarskie buty.

- Zachowuj się cicho - poinstruował go głos. - Nie obudź przypadkiem Polgary albo Durnika.

Ostrożnie wymknęli się z sypialni i pomaszerowali długimi, pustymi korytarzami do Dworu Rivańskiego Króla, ogromnej sali tronowej, gdzie trzy lata wcześniej Podarek włożył Klejnot Aldura w dłoń Gariona, na zawsze odmieniając życie przyjaciela.

Masywne drzwi zaskrzypiały cicho, kiedy Podarek pociągnął jedno skrzydło.

- Kto tam?! - zawołał ktoś ze środka.

- To tylko ja, Belgarionie - odparł Podarek. Wielką salę oświetlał łagodny błękitny blask Klejnotu Aldura, wprawionego w rękojeść wielkiego miecza Rivy, który wisiał ostrzem w dół ponad tronem.

- Co tu robisz o tak późnej porze, Podarku? - zapytał Garion.

Rivański Król siedział rozparty na swym tronie, z nogą przewieszoną przez poręcz.

- Kazano mi tu przyjść - wyjaśnił Podarek. Garion spojrzał na niego dziwnym wzrokiem.

- Kazano? Kto ci kazał?

- No wiesz... - Podarek wszedł do sali i zamknął za sobą drzwi. - On!

Garion zamrugał z niedowierzaniem.

- Z tobą też rozmawia?

- Dziś był pierwszy raz. Ale już wcześniej wiedziałem o jego istnieniu.

- Skoro nigdy... - Garion urwał i gwałtownie uniósł wzrok na Klejnot, wpatrując się w niego ze zdumieniem. Delikatny błękitny blask zniknął nagle, zastąpiony przez głęboką, gniewną czerwień. Podarek wyraźnie słyszał dziwny dźwięk. Kiedy nosił przy sobie Klejnot, przez cały czas jego uszy wypełniała krystaliczna pieśń kamienia, teraz jednak ów szmer nabrał brzydkich, metalicznych zgrzytów, jakby Klejnot napotkał coś albo kogoś, kto wzbudził w nim niepohamowaną wściekłość.

- Strzeżcie się! - powiedział głos tonem, którego nie można było zapomnieć. - Strzeżcie się! Nadchodzi Zandramas!

ROZDZIAŁ 5

Gdy tylko nastał dzień, obaj wyruszyli na poszukiwanie Belgaratha. Podarek wyczuwał niepokój dręczący Gariona, sam też wiedział, iż przekazane im ostrzeżenie dotyczy spraw tak wielkiej wagi, że w ich obliczu wszystko inne schodzi na dalszy plan. Niewiele o tym rozmawiali podczas mrocznych, milczących godzin, kiedy siedzieli razem we Dworze Rivańskiego Króla, czekając, aż na wschodnim horyzoncie zapłonie pierwszy brzask. Miast tego uważnie obserwowali Klejnot Aldura, lecz po owej krótkiej chwili szkarłatnego gniewu kamień powrócił do swej zwykłej lazuruwej barwy.

W końcu znaleźli starego czarodzieja, siedzącego przed niedawno rozpalonym kominem w sali w pobliżu królewskich kuchni. Na stojącym nie opodal stole leżał spory kawał chleba i gruby plaster sera. Podarek spojrzał na nie, uświadamiając sobie nagle, że jest głodny. Zastanawiał się, czy Belgarath zechce podzielić się swym śniadaniem. Czarodziej wyglądał na zatopionego w myślach. Wpatrywał się w roztańczone płomienie, szczelnie owinięty grubym szarym płaszczem, choć w komnacie było raczej ciepło.

- Wcześniej wstaliście - zauważył, kiedy Garion i Podarek weszli do środka i usiedli obok niego przy palenisku.

- Tak jak i ty, dziadku - odparł Garion.

- Miałem niezwykły sen. Od kilku godzin próbuję się z niego otrząsnąć. Z jakiejś przyczyny śniłem, że Klejnot stał się czerwony.

- Tak było - poinformował go spokojnie Podarek. Belgarath spojrzał na niego ostro.

- Zgadza się, dziadku. Obaj to widzieliśmy - potwierdził Garion. - Parę godzin temu byliśmy w sali tronowej i nagle Klejnot stał się czerwony. Potem głos, który słyszę tutaj - postukał palcem w czoło - powiedział, abyśmy się strzegli, gdyż nadchodzi Zandramas.

- Zandramas? - powtórzył Belgarath ze zdumieniem. - To imię, nazwa jakiejś rzeczy czy co?

- Nie mam pojęcia, dziadku, ale słyszeliśmy to obaj z Podarkiem. Prawda, Podarku?

Chłopiec skinął głową, nadal nie spuszczać wzroku z chleba i sera...

- A co właściwie robiliście obaj o tej porze w sali tronowej? - W oczach Belgaratha błyszczało dziwne napięcie.

- Spałem już - odparł Garion i jego twarz zalał lekki rumieniec. - No, prawie spałem. Długo rozmawialiśmy z Ce'Nedrą. Ostatnio niewiele odzywaliśmy się do siebie, toteż mieli-

śmy sobie mnóstwo rzeczy do powiedzenia. W każdym razie on kazał mi wstać i pójść do sali tronowej.

Czarodziej spojrzał na Podarka.

- A ty?

- Obudził mnie - zaczął chłopiec. - I...

- Chwileczkę - przerwał mu ostro Belgarath. - Kto cię obudził?

- Ten sam co i Gariona.

- Wiesz, kim on jest?

- Tak.

- I wiesz, czym jest? Podarek przytaknął.

- Czy rozmawiał z tobą kiedykolwiek przedtem?

- Nie.

- Ale natychmiast zorientowałaś się, kim i czym on jest?

- Tak. Powiedział, że potrzebuje mnie w sali tronowej, więc ubrałem się i poszedłem.

Kiedy tam dotarłem, Klejnot zapłonął czerwonym blaskiem, a głos kazał nam strzec się Zandramasa.

Belgarath zmarszczył brwi.

- Jesteście absolutnie pewni, że Klejnot zmienił kolor?

- Tak, dziadku - zapewnił go Garion - i jego dźwięk też brzmiał jakoś inaczej. Zazwyczaj wydaje z siebie ciche dzwonienie - jak głos dzwonu, kiedy w niego uderzysz. To było zupełnie inne.

- I jesteś pewien, że stał się czerwony? Nie był to po prostu ciemniejszy odcień niebieskiego czy coś w tym rodzaju?

- Nie, dziadku. Był bez wątpienia czerwony. Belgarath powstał z krzesła, jego twarz przybrała posępny wyraz.

- Chodźcie ze mną - rzucił krótko i ruszył do drzwi.

- Dokąd idziemy? - chciał wiedzieć Garion.

- Do biblioteki. Muszę coś sprawdzić.

- Co?

- Zaczekajcie, póki tego nie przeczytam. To ważne, i muszę mieć pewność, że niczego nie pokręciłem.

Mijając stół Podarek podniósł ser i odłamał spory kawałek. Ugryzł wielki kęs, po czym ruszył za Belgarathem i Garionem. Podążali szybko mrocznymi, oświetlonymi pochodniami korytarzami, ich kroki po stromych, wąskich stopniach odbijały się echem. Przez ostat-

nie kilka lat oblicze Belgaratha nabrało nieco kapryśnego wyrazu; często malowało się na nim leniwe samozadowolenie. Teraz jednak wszystko to zniknęło bez śladu, jego oczy spoglądały czujnie, z napięciem. Gdy dotarli do biblioteki, stary człowiek zdjął z zakurzonego stołu dwie świece i zapalił je od pochodni, umieszczonej w żelaznym pierścieniu tuż przed drzwiami. Wróciwszy do komnaty, postawił jedną ze świec na stole.

- Zaniknij drzwi, Garionie - polecił, nadal dzierżąc w dłoni drugą świecę. - Nie chcę, aby nam przeszkadzano.

Garion bez słowa zatrzasnął masywne dębowe drzwi. Belgarath podszedł do ściany, uniósł świecę i zaczął uważnie przeglądać rzędy zakurzonych, oprawnych w skórę tomów i równo ułożonych zwojów, zawiniętych w jedwab.

- Tutaj - stwierdził, wskazując najwyższą półkę. - Podaj mi go, Garionie - ten obwiązany niebieskim jedwabiem.

Garion wspiął się na palce i zdjął wskazany zwój. Przyjrzał mu się ciekawie, po czym oddał dziadkowi.

- Jesteś pewien? - spytał. - To przecież nie jest Kodeks Mrin.

- Nie - odparł Belgarath - nie jest. Nie pozwól, by Kodeks Mrin przesłonił ci świat. Są jeszcze inne pisma. - Odłożył świecę i delikatnie rozplatał cienki srebrny sznureczek, którym związane zwój. Następnie zsunął jedwabną osłonę i zaczął rozwijać szeleszczący pergamin, przebiegając wzrokiem po starożytnym rękopisie.

- No, jest - oznajmił wreszcie. - "I oto" - czytał - "w dniu, kiedy Aldurowy Klejnot zapłonął szkarłatnym ogniem, wyjawione zostanie imię Dziecięcia Mroku".

- Ale to Torak był Dziecięciem Mroku - zaprotestował Garion. - Co to za zwój?

- Kodeks Dariński. Nie tak dokładny, jak Mrin, ale tylko on wspomina o tym szczególnym zdarzeniu.

- O co w tym wszystkim chodzi? - Garion wyglądał na oszołomionego.

- To trochę skomplikowane - wyjaśnił Belgarath, nadal nie odrywając oczu od przeczytanego fragmentu tekstu. - Najprościej mówiąc, istnieją dwa proroctwa.

- Tak, wiem o tym, lecz myślałem, że kiedy Torak zginął, drugie po prostu... no...

- Niezupełnie. Nie sądzę, aby było to takie proste. Oba proroctwa ścierały się w kolejnych pojedynkach, jeszcze zanim powstał ten świat. Za każdym razem uczestniczy w tym Dziecię Światła i Dziecię Mroku. Gdy spotkaliście się z Torakiem w Cthol Mishrak, ty byłeś Dziecięciem Światła, a on - Dziecięciem Mroku. Nie było to pierwsze takie spotkanie. Najwyraźniej nie miało też być ostatnie.

- A więc to jeszcze nie koniec? - zapytał z niedowierzaniem Garion.

- Zgodnie z tym, nie - odrzekł Belgarath, stukając palcem w pergamin.

- W porządku. Jeśli zatem ten Zandramas jest Dziecięciem Mroku, to kto jest Dziecięciem Światła?

- Z tego, co wiem - ty.

- Ja? Nadal?

- Póki nie usłyszymy czegoś przeciwnego.

- Dlaczego ja?

- Czy nie przeprowadzaliśmy już podobnej rozmowy? - spytał sucho Belgarath.

Ramiona Gariona opadły.

- Teraz doszedł mi jeszcze jeden powód do zmartwienia - pomijając wszystkie inne.

- Och, przestań uważać się nad sobą. Każdy z nas robi to, co musi zostać zrobione, i jęki nic tu nie zmieniają.

- Nie jęczałem.

- Jakkolwiek byś to nazywał. Przestań i zabierz się do pracy.

- A co w ogóle mam robić? - dopytywał się Garion lekko urażonym tonem.

- Możesz zacząć tutaj. - Stary człowiek machnął ręką, co miało oznaczać wszystkie zakurzone księgi i opatulone w jedwab zwoje. - Prawdopodobnie to jeden z największych światowych zbiorów przepowiedni - przynajmniej tych zachodnich. Rzecz jasna, nie ma w nim Wyroczni Malloreńskich Grolimów ani dzieł ludu z Kell, ale na początek to wystarczy. Chcę, żebyś się przez to przekopał - to znaczy przeczytał wszystko - i sprawdził, czy znajdzie się w nich cokolwiek na temat tego Zandramasa. Zwróć uwagę na wszelkie odniesienia do Dziecięcia Mroku. Większość z nich będzie najprawdopodobniej dotyczyła Toraka, ale niektóre mogą oznaczać Zandramasa. - Czarodziej zmarszczył brwi. - I skoro już weźmiesz się do tego, uważaj też na wszystko, co dotyczy Sardiona albo Cthrag Sardiusa.

- A co to takiego?

- Nie wiem. Beldin zetknął się z tą nazwą w Mallorei. To może być ważne - albo nie.

Garion rozejrzał się po bibliotece i lekko zbladł.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że wszystkie te księgi to prorocтва?

- Oczywiście, że nie. Wiele z nich - prawdopodobnie większość - to zebrany bełkot przeróżnych szaleńców, wiernie odtworzony.

- Dlaczego ktoś miałby zawracać sobie głowę zapisywaniem bająn wariatów?

- Tym właśnie bowiem jest Kodeks Mrin - bełkotem wariata. Prorok Mrin był do tego stopnia szalony, że musiano zakuć go w łańcuchy. Po jego śmierci wielu niezwykle sumiennych ludzi wyruszyło w świat, starannie notując gadaninę każdego wariata, jakiego zdołali

znaleźć, w nadziei, że w jego słowach skrywa się wyrocznia.

- Jak mam poznać różnicę?

- Nie jestem do końca pewien. Może kiedy przeczytasz już wszystkie, znajdziesz jakiś sposób, by oddzielić jedne od drugich. Gdyby ci się to udało, daj znać. To mogłoby nam zaoszczędzić sporo czasu.

Garion z rozpaczą spojrział wokoło.

- Ależ, dziadku - zaprotestował - to może potrwać całe lata!

- Lepiej więc będzie, jeśli zaczniesz od razu, nieprawdaż? Postaraj się skoncentrować na tym, co miało się wydarzyć po śmierci Toraka. Wcześniejsze wypadki są nam w końcu doskonale znane.

- Dziadku, żaden ze mnie uczony. A jeśli coś przeoczę?

- Nie rób tego - powiedział twardo Belgarath. - Czy ci się to podoba, czy nie, Gario - nie, jesteś jednym z nas. Masz takie same obowiązki. Możesz śmiało przywyknąć do myśli, że od ciebie zależy przyszłość całego świata - i zapomnieć, że kiedykolwiek słyszałeś słowa: "Dlaczego ja?" To obiekcje dziecka, a ty jesteś już mężczyzną. - Stary człowiek odwrócił się i spojrzął groźnie na Podarka. - A co ty robisz w tym wszystkim?

- Nie jestem pewien - odparł Podarek ze spokojem. - Będziemy chyba musieli poczekać i sprawdzić, prawda?

To popołudnie Podarek spędził u Polgary, w jej ciepłym, przytulnym pokoju dziennym. Czarodziejka siedziała przy kominku, otulona w swą ulubioną błękitną szatę, ze stopami wspartymi na obitym dywanem stołeczku. W dłoni trzymała kółko do wyszywania i nuciała cichutko, podczas gdy jej igła rozbłyskiwała w złocistym blasku ognia. Podarek przysiadł na krytym skórą krześle naprzeciw niej i chrupiąc jabłko przyglądał się, jak szyje. Jedną z jej cech, które uwielbiał, było spokojne, ciche zadowolenie promieniujące z niej przy wykonywaniu najprostszych prac domowych. W takich chwilach sama jej obecność koła zniekaną duszę.

Ładna, młoda Rivanka, pełniąca obowiązki pokojówki Polgary, cicho zapukała do drzwi i weszła do pokoju.

- Lady Polgaro - powiedziała dygając. - Mój pan, Brarid, pyta, czy mógłby zamienić z panią parę słów.

- Oczywiście, kochanie - odparła Polgara, odkładając rozpoczęty haft. - Wprowadź go, proszę.

Podarek zauważył, że Polgara często zwracała się do młodych ludzi "kochanie", z reguły czyniąc to zupełnie odruchowo.

Pokojówka wpuściła do środka wysokiego, siwowłosego Strażnika Rivy, ponownie dygnęła i wycofała się cicho.

- Polgaro - powitał ją Brand swym niskim, dźwięcznym głosem. Był to potężny, mocarny mężczyzna o głęboko pobrużdżonej twarzy i smutnych, zmęczonych oczach; ostatni już Strażnik Rivy. Podczas trwającego wiele wieków bezkrólewia, które nastąpiło po śmierci króla Goreka z rąk zabójców wysłanych przez królową Salmisrę, władza nad Wyspą Wiatrów i ludem Rivy spoczywała w rękach rodu wyróżniającego się zdolnościami i absolutnym oddaniem swym obowiązkom. Oddanie owo posuwało się tak daleko, że każdy Strażnik Rivy porzucał własną tożsamość i przybierał imię Brand. Teraz, gdy Garion wreszcie pojawił się, by zasiąść na swym tronie, namiestnicy nie byli już potrzebni. Lecz ów potężny mężczyzna o smutnych oczach do końca swych dni będzie bez reszty oddany rodowi królewskiemu - nawet nie samemu Garionowi, lecz raczej istocie trwania królewskiej linii. Ta właśnie myśl, kierująca każdym jego krokiem, przywiodła go tego cichego popołudnia do komnaty Polgary, aby mógł podziękować czarodziejce za to, że zajęła się konfliktem pomiędzy Garionem i jego królową.

- W jaki sposób zdołali tak bardzo się od siebie oddalić? - spytała Polgara. - Kiedy się pobrali, wprost nie można było oderwać ich od siebie.

- Wszystko zaczęło się mniej więcej rok temu - wyjaśnił Brand. - Na pomocnym skraju wyspy mieszkają dwa bogate rody. Zawsze panowała między nimi przyjaźń, lecz ostatnio wybuchł spór o sprawy majątkowe, które wynikły z małżeństwa młodzieńca z jednej rodziny z dziewczyną z drugiej. Przedstawiciele jednego rodu przybyli do Cytadeli i przedstawili swą sprawę Ce'Nedrze, która wydała królewski dekret, popierający ich stronę w sporze.

- Zapomniała jednak skonsultować tę decyzję z Garionem? - zapytała domyślnie Polgara.

Brand przytaknął.

- Kiedy się o tym dowiedział, wpadł we wściekłość. Nie ulega wątpliwości, że Ce'Nedra przekroczyła swoje uprawnienia, lecz Garion publicznie odwołał jej dekret.

- Do licha. A więc stąd wzięła się ta cała gorycz. Nie mogłam wyciągnąć od nich jasnej odpowiedzi.

- Zapewne byli zbyt zawstydzeni, by się do tego przyznać. Każde z nich publicznie poniżyło małżonka, a oboje nie są dość dojrzały, by wybaczyć i zapomnieć sobie to, co zaszło. Walczyli tak długo, póki cała sprawa zupełnie nie wymknęła się spod kontroli. Czasami miałem ochotę mocno nimi potrząsnąć - albo wymierzyć parę klapsów.

- To ciekawy pomysł - roześmiała się. - Czemu nie napisałeś do mnie o ich kłopotach?

- Belgarion mi zabronił - odparł bezradnie Brand.

- Czasami trzeba złamać taki zakaz.

- Przykro mi, Polgario, ale nie mogę tego zrobić.

- Tak, przypuszczam, że istotnie nie możesz. - Odwróciła się, by spojrzeć na Podarka, który przyglądał się z bliska wspaniałemu dziełu szklarskiej sztuki - kryształowemu strzyżkowi przycupniętemu na pokrytej pąkami gałązce. - Proszę, nie dotykaj go, Podarku. Łatwo go stłuc, a jest bardzo cenny.

- Tak - zgodził się chłopiec - wiem. - I żeby ją uspokoić, splótł dłonie za plecami.

- No cóż - Polgara z powrotem zwróciła się do Branda. - Mam nadzieję, że to już koniec tej bzdury. Sądzę, że sprawiliśmy, by w królewskiej rodzinie Rivy znów zapanował pokój.

- Oby tak było - westchnął Brand ze zmęczonym uśmiechem. - Zdecydowanie pragnąłbym ujrzyć już lokatora w królewskim pokoju dzieciennym.

- To może potrwać nieco dłużej.

- Sprawa robi się poważna, Polgario - stwierdził Brand. - Wszyscy zaczynamy niepokoić się tym, że wciąż nie ma następcy tronu. Nie chodzi tylko o mnie. Anheg, Rhodar, Chohag - wszyscy wspominali mi o tym w listach. Cała Aloria wstrzymuje oddech w oczekiwaniu, by Ce'Nedra zaczęła rodzić dzieci.

- Ona ma dopiero dziewiętnaście lat.

- Większość naszych dziewcząt ma już w tym wieku co najmniej dwójkę dzieci.

- Ce'Nedra nie jest Alorką. Nie jest nawet do końca Tolnedranką. Jej matka była driadą, a driady dojrzewają w dość specyficzny sposób.

- Trudno będzie wytłumaczyć to innym Alornom - odparł Brand. - Rivański Król musi mieć następcę. Ród musi przetrwać.

- Daj im trochę czasu, Brandzie - poprosiła łagodnie Polgara. - Dadzą sobie radę. Przede wszystkim trzeba było przekonać ich, by na powrót znaleźli się w tej samej sypialni.

Dzień czy dwa później, kiedy promienie słońca migotały na wodach Morza Wiatrów, a silna bryza nakładała zielonym falom pienne białe czapki, wielki cherecki okręt wojenny rozpoczął ociężałe manewry pomiędzy dwoma skalistymi przylądkami, osłaniającymi przystań w Rivie. Również kapitan ogromnego okrętu był więcej niż słusznego wzrostu. Z powiewającą na wietrze rudą brodą Barak, jarl Trollheimu, stał u steru, ze skupieniem lawirując pośród zdradzieckich wirów tuż za jednym z przylądków, a następnie kierując okręt ku kamiennemu nabrzeżu. Nim jeszcze marynarze zdołali na dobre przycumować okręt, Barak wspinał się już na długie granitowe schody, prowadzące do Cytadeli.

Belgarath i Podarek stali na murach fortecy i byli świadkami przybycia okrętu Baraka. Kiedy więc mocarny mężczyzna dotarł do bramy, czekali już na niego.

- Co ty tu robisz, Belgaracie?! - wykrzyknął krzepki Cherek. - Sądziłem, że jesteś w Dolinie.

Belgarath wzruszył ramionami.

- Przyjechaliśmy z wizytą. Barak spojrział na Podarka.

- Witaj, chłopcze. Czy przybyli również Polgara i Durnik?

- Tak - odparł Podarek. - W tej chwili są w sali tronowej i obserwują Belgariona.

- A co on robi?

- Jest królem - wyjaśnił krótko Belgarath. - Widzieliśmy, jak zawijasz do portu.

- Imponujące, prawda? - powiedział z dumą Barak.

- Twój okręt jest tak sterowny jak ciężarny wieloryb - oznajmił brutalnie czarodziej. -

Zdaje się, że wciąż nie dotarł do ciebie prosty fakt, iż większe niekoniecznie musi oznaczać lepsze.

Oblicze Baraka przybrało urażony wyraz.

- Ja nie stroję sobie żartów z twojej własności.

- Baraku, ja nie mam żadnej własności. Co cię sprowadza do Rivy?

- Anheg mnie przysłał. Czy Garion długo jeszcze będzie zajęty tym, co w tej chwili robi?

- Chodźmy i przekonajmy się.

Rivański Król zakończył już jednak oficjalną audiencję, przewidzianą na ten poranek, i wraz z Ce'Nedrą, Polgarą i Durnikiem udał się mrocznym, sekretnym przejściem z wielkiego Dworu Rivańskiego Króla do komnat królewskich.

- Barak! - krzyknął Garion, przyspieszając kroku, by powitać starego przyjaciela w korytarzu przed drzwiami apartamentu królewskiej pary.

Barak spojrział na niego dziwnie i uklonił się z szacunkiem.

- O co ci chodzi? - spytał ze zdumieniem Garion.

- Nadał masz na głowie koronę - przypomniała mu Polgara - i oficjalne szaty. Wszystko to sprawia, że wyglądasz dość dostojnie.

- Och - westchnął Garion, lekko speszony - zapomniałem. Wejźmy do środka. - Otworzył drzwi i wprowadził gości do komnaty.

Cherek z szerokim uśmiechem porwał w objęcia Polgarę.

- Baraku - oznajmiła bez tchu czarodziejka - bliski kontakt z tobą byłby znacznie przyjemniejszy, gdybyś pamiętał o umyciu brody po tym, jak jadłeś wędzoną rybę.

- Tylko jedną - poinformował ją.

- To zazwyczaj wystarczy.

Na te słowa Barak odwrócił się, objął swymi masywnymi ramionami małą postać Ce'Nedry i ucałował ją soczyście.

Drobna królowa zaśmiała się i w ostatnim momencie złapała koronę, nie pozwalając jej ześliznąć się z głowy.

- Masz rację, lady Polgare - stwierdziła - jego broda niewątpliwie roztacza szczególną woń.

- Garionie - wtrącił prosząco Barak - umieram z pragnienia.

- Czyżbyście opróżnili wszystkie baryłki ale na okręcie? - spytała Polgara.

- Na pokładzie "Rybitwy" nie pozwalam na picie.

- Och?

- Chcę, żeby moi marynarze byli trzeźwi.

- Zdumiewające - mruknęła Polgara.

- To kwestia zasad - bronił się Barak.

- Rzeczywiście, potrzebna im jest pełna jasność umysłu - poparł go Belgarath. - Tego wielkiego okrętu nie można nazwać zwrotnym.

Barak spojrzał na niego z urazą.

Garion posłał po piwo, z wyraźną ulgą zdjął koronę i oficjalne szaty i poprosił wszystkich, aby usiedli.

Kiedy Barak zaspokoił już pierwsze pragnienie, jego twarz przybrała poważny wyraz.

- Aneg przysłała mnie, żeby cię ostrzec - powiedział, zwracając się do Gariona. - Znow zaczynamy otrzymywać raporty o działalności kultu Niedźwiedzia.

- Sądziłem, że wszyscy wyginęli pod Thull Mardu - wtrącił Durnik.

- Owszem, podwładni Grodeg. Na nieszczęście Grodeg to jeszcze nie cały kult.

- Niezupełnie cię rozumiem - stwierdził kowal.

- To trochę skomplikowane. Widzisz, tak naprawdę kult Niedźwiedzia istniał od zawsze. To podstawa życia religijnego odległych części Cherek, Drasni i Algarii. Od czasu do czasu jednak ktoś o większej ambicji niż rozumie - jak na przykład Grodeg - przejmuje ster i próbuje wprowadzić kult do miast. To w miastach kryje się władza i ktoś taki automatycznie stara się wykorzystać kult, aby ją zdobyć. Problem w tym, że kult Niedźwiedzia nie przyjmuje się w miastach.

Mina Durnika wyrażała coraz większe osłupienie.

- Mieszkańcy miast stale stykają się z nowymi ludźmi i świeżymi pomysłami - tłum-

czył Barak. - Na wsi natomiast całe pokolenia mogą minąć bez jednej nowej idei. Kult Niedźwiedzia nie uznaje nowych pomysłów, toteż w naturalny sposób przyciąga wieśniaków.

- Nowe pomysły nie zawsze muszą być lepsze - oświadczył sztywno Durnik. W tym momencie wyraźnie ujawniło się jego własne wiejskie pochodzenie.

- Racja - zgodził się Barak - ale to karno tyczy się starych pomysłów, a kult Niedźwiedzia od kilku tysięcy lat opiera się na tej samej idei. Ostatnią rzeczą, jaką Belar powiedział Alornom tuż przedtem, nim bogowie odeszli, był rozkaz, by jego lud poprowadził Królestwa Zachodu do walki z Torakiem. I właśnie słowo "poprowadził" wywołało całe zamieszanie. Może ono znaczyć wiele rzeczy, niestety jednak wyznawcy kultu zawsze uważali, iż oznacza to, że pierwszym krokiem na drodze wypełnienia instrukcji Belara winna być kampania przeciw innym Królestwom Zachodu, aby poddać je alorskiej dominacji. Prawdziwy wyznawca kultu Niedźwiedzia nie myśli nawet o walce z Angarakami, jego uwaga bowiem skupiona jest na podbiciu Sendarii, Arendii, Tolnedry, Nyissy i Maragoru.

- Ale Maragor już nie istnieje - zaprotestował Durnik.

- Wieść o tym nie została jeszcze przyjęta przez kult - odparł cierpko Barak. - W końcu minęło dopiero jakieś trzy tysiące lat. W każdym razie ta mocno przestarzała idea legła u podstaw, kultu Niedźwiedzia. Ich pierwszym celem jest zjednoczenie Alorii; następnym zdobycie i podporządkowanie reszty zachodnich królestw. Dopiero wówczas zaczną myśleć o zaatakowaniu Murgów i Mallolean.

- Są chyba odrobinę zacofani - zauważył Durnik.

- Część z nich nie odkryła dotąd ognia - prychnął Barak.

- Szczerze mówiąc nie rozumiem, dlaczego Anheg jest tak zaniepokojony - odezwał się Belgarath. - Kult Niedźwiedzia nawet na wsi nie sprawia większych kłopotów. Skaczą sobie wokół ognisk w noc letniego przesilenia, nakładają niedźwiedzie skóry i drepczą w nich rzędem w największy mróz, a także recytują długie modlitwy w wypełnionych dymem jaskiniach, póki nie zakręci im się w głowach do tego stopnia, że nie mogą ustać na nogach. Co w tym niebezpiecznego?

- Właśnie do tego dochodzę. - Barak pociągnął palcami za brodę. - Dotąd wiejski kult Niedźwiedzia stanowił zawsze zbiorowisko głupoty i zabobonów, lecz przez ostatni rok zaczęło dziać się coś nowego.

- Czyli? - Belgarath spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Kult ma nowego przywódcę. Nie wiemy nawet, kto to jest. W przeszłości wyznawcy kultu z jednej wioski nie ufali nawet swoim sąsiadom, więc nigdy nie zdołali zorganizować się na tyle, by stanowić poważny problem. Ich nowy przywódca wszystko zmienił. Po raz

pierwszy w historii wiejski kult Niedźwiedzia słucha rozkazów jednego człowieka.

Belgarath zmarszczył brwi.

- To rzeczywiście poważne - przyznał.

- Wszystko to jest bardzo ciekawe, Baraku - wtrącił Garion z lekko zakłopotaną miną - ale dlaczego król Anheg przysłał cię do mnie z ostrzeżeniem? Z tego, co mi mówiono, kult Niedźwiedzia nigdy nie zdołał zdobyć sobie przyczółka na Wyspie Wiatrów.

- Anheg pragnął poradzić ci, abyś podjął jakieś środki ostrożności, wrogość nowego kultu bowiem skierowana jest przede wszystkim przeciw tobie.

- Mnie? Dlaczego?

- Poślubiłeś Tolnedrankę - przypomniał mu Barak. - Dla wyznawcy kultu Niedźwiedzia Tolnedranin jest gorszy niż Murgo.

- To ciekawe stanowisko - zauważyła Ce'Nedra, odrzucając w tył długie loki.

- Tak właśnie rozumują ci ludzie. Większość z tych bałwanów nie wie nawet, czym są Angarakowie. Wszyscy jednak zetknęli się z Tolnedranami - najczęściej są to kupcy, którzy bezlitośnie ich wykorzystują. Przez tysiące lat ludzie ci czekali, aż przybędzie król, który wzniesie miecz Rivy i poprowadzi ich na świętą wojnę przeciw wszystkim Królestwom Zachodu. Tymczasem on, kiedy wreszcie się pojawił, natychmiast poślubił tolnedrańską księżniczkę. Z ich punktu widzenia następny Rivański Król będzie kundlem, mieszańcem. Nienawidzą cię jak zarazy, moja słodka.

- Cóż za krańcowy absurd! - wykrzyknęła.

- Oczywiście - zgodził się wielki Cherek. - Lecz skłonność do absurdu zawsze przeważa w umysłach zdominowanych przez wiarę. Byłoby znacznie lepiej, gdyby Belar w ogóle się nie odzywał.

Belgarath roześmiał się nagle.

- Co cię tak rozśmieszyło? - zapytał Barak.

- Prośenie Belara, aby zachował milczenie, to prawdopodobnie najbardziej daremny trud, jaki można wymyślić - odrzekł ze śmiechem stary czarodziej. - Pamiętam, że pewnego razu przemawiał bez przerwy przez półtora tygodnia.

- O czym mówił? - chciał wiedzieć Garion.

- Wyjaśniał pierwotnym Alornom, dlaczego wyprawa na daleką północ na początku zimy nie jest najlepszym pomysłem. W tamtych czasach trzeba było nieraz naprawdę się nagać, nim do Alorna cokolwiek dotarło.

- To akurat niezbyt się zmieniło - stwierdziła Ce'Nedra, rzucając wyniosłe spojrzenie w stronę męża, po czym roześmiała się i pogłaskała go po rękę.

Następny poranek był jasny i słoneczny. Podarek, jak zawsze, natychmiast po przebudzeniu podbiegł do okna, aby sprawdzić, co obiecuje ten dzień. Popatrzył na miasto Riva, ujrzał słońce, płonące nad Morzem Wiatrów, i uśmiechnął się. Na niebie nie było nawet najmniejszej chmurki. Zapowiadała się piękna pogoda. Ubrał się w spodnie i tunikę, które przygotowała dla niego Polgara, po czym ruszył, aby dołączyć do swej rodziny. Durnik i Polgara siedzieli w dwóch wygodnych, obitych skórą fotelach po przeciwnych stronach kominka i sącząc herbatę rozmawiali cicho. Jak zawsze Podarek podszedł do Polgary, zarzucił jej rękę na szyję i ucałował.

- Późno wstałeś - zauważyła, odgarniając mu włosy z oczu.

- Byłem trochę zmęczony - odparł. - Poprzedniej nocy niewiele spałem.

- Słyszałam o tym. - Niemal odruchowo posadziła go sobie na kolanach i przygarnęła do miękkiego aksamitu niebieskiej szaty.

- Robi się za duży na trzymanie na kolanach - stwierdził Durnik, uśmiechając się do nich ciepło.

- Wiem - odrzekła Polgara. - Dlatego właśnie tak często go przytulam. Niedługo wyrośnie z pieszczot i siadania na kolanach, więc staram się zgromadzić jak największy zapas. Oni dorastają sobie i już, a mnie brak potem towarzystwa uroczego małego szkraba.

Rozległo się mocne pukanie do drzwi i do środka wszedł Belgarath.

- O, dzień dobry, ojciec - powitała go Polgara.

- Pol. - Lekko skinął głową. - Durniku.

- Czy zdołałeś wczoraj położyć Baraka do łóżka? - spytał Durnik z szerokim uśmiechem.

- Zataszczyliśmy go tam koło północy. Pomogli nam synowie Branda. W miarę upływu lat Barak coraz bardziej przybiera na wadze.

- Zdumiewająco dobrze wyglądasz - zauważyła Polgara - biorąc pod uwagę fakt, iż cały wieczór spędziłeś przy baryłce ale.

- Nie wypilem aż tak dużo - poinformował ją, podchodząc do ognia, aby ogrzać dłonie.

Spojrzała na niego, unosząc brew.

- Za wiele mam spraw na głowie - wyjaśnił, po czym popatrzył na nią przeciągle. - Czy między Garionem i Ce'Nedrą wszystko zostało już wyjaśnione?

- Tak, tak mi się wydaje.

- Lepiej upewnijmy się. Nie chciałbym, aby znów coś nawaliło. Chciałabym, żebyśmy wrócili do Doliny, ale jeśli uważasz, że powinnaś tu zostać i mieć oko na tę dwójkę, pojedę

sam.

W jego głosie dźwięczała powaga i zdecydowanie. Podarek zerknął na starego człowieka raz jeszcze uświadamiając sobie, iż czasami Belgarath bywa jakby dwoma różnymi ludźmi. Kiedy nie działo się nic alarmującego, napawał się lenistwem, urozmaicając swój czas trunkiem, oszustwem i drobną kradzieżą. Gdy jednak pojawiał się poważny problem, czarodziej zapominał o wszystkim, poświęcając cały swój czas i energię na znalezienie rozwiązania.

Polgara spokojnie postawiła Podarka na ziemi i spojrzała na ojca.

- Zatem to coś poważnego?

- Nie wiem, Pol, a nie lubię, kiedy dzieje się coś, o czym nie mam pojęcia. Jeśli skończyłaś już z tym, co cię tu sprowadziło, myślę, że powinniśmy wracać. Gdy tylko uda nam się postawić Baraka na nogi, jego okręt zabierze nas do Camaar. Tam możemy kupić konie. Muszę porozmawiać z Beldinem - zobaczyć, czy wie cokolwiek na temat tego Zandramasa.

- Będziemy gotowi, kiedy tylko zechcesz, ojczy - zapewniła go Polgara.

Później tego samego ranka Podarek powędrował do stajni, by pożegnać się z rozbrykanym koniem. Było mu nieco smutno, że tak szybko odjeżdża. Szczerze lubił Gariona i Ce'Nedre. Młody król Rivy traktował go niczym brata, a Ce'Nedra była naprawdę czarująca - jeśli tylko nie wychodziła z siebie, by zrobić wszystkim na złość. Mimo to jednak wiedział, że najbardziej będzie tęsknił za koniem. Podarek nie myślał o nim jak o zwierzęciu pociągowym czy wierzchowcu. Obaj byli młodzi i z entuzjazmem podchodzili do każdego spotkania.

Chłopiec stanął pośrodku wybiegu, a długonogie stworzenie brykało wokół w jasnym porannym słońcu. Nagle kątem oka pochwycił jakiś ruch, odwrócił się i ujrzał Durnika i Gariona.

- Dzień dobry, Podarku - powiedział Rivański Król.

- Belgarionie.

- Zdaje się, że świetnie się bawicie.

- Jesteśmy przyjaciółmi - odparł Podarek. - Lubimy być razem.

Garion spojrzał z lekkim smutkiem na kasztanowego ogiera. Koń podszedł do niego i ciekawie obwąchał mu ubranie. Garion pogłaskał spiczaste uszy i przesunął dłonią po gładkim, lśniącym czole, po czym westchnął.

- Czy chciałbyś dostać go na własność? - zapytał Podarka.

- Przyjaciół nie można mieć na własność, Belgarionie.

- Masz rację - zgodził się Garion. - Czy chcesz jednak, żeby pojechał z tobą do Doliny?

- Ale on lubi także ciebie.

- Zawsze mogę wpaść z wizytą. Nie ma tu dość miejsca, by mógł się wybiegać, a ja jestem zawsze zajęty i nie starcza mi czasu na to, by mu towarzyszyć. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pojedzie z wami. Jak sądzisz?

Podarek zastanowił się nad tym, starając się mieć na względzie jedynie dobro młodego zwierzęcia, nie zaś własne chęci. Spojrzał na Gariona i dostrzegł, jak wiele ta szczodra oferta kosztowała przyjaciela. Kiedy wreszcie odpowiedział, jego głos był cichy i bardzo poważny.

- Wydaje mi się, że masz rację, Belgarionie. W Dolinie naprawdę będzie mu lepiej. Nie będzie uwięziony w stajni jak tu.

- Musisz zacząć go szkolić - zauważył Garion. - Nigdy jeszcze nikt go nie dosiadał.

- Daję sobie z tym radę - zapewnił go Podarek.

- A zatem pojedzie z tobą - zdecydował Garion.

- Dziękuję - powiedział z prostotą chłopiec.

- Proszę bardzo, Podarku.

- Zrobione! - Podarek usłyszał głos tak wyraźnie, jakby ten przemówił w jego własnej głowie.

- Co takiego? - w milczącym pytaniu Gariona kryło się zdumienie.

- Doskonale się spisałeś, Garionie. Chcę, aby ci dwaj byli razem. Mają do zrobienia rzeczy, do których będą potrzebni obaj.

Po tych słowach głos zniknął.

ROZDZIAŁ 6

Na początek najlepiej jest zarzucić mu na grzbiet tunikę albo płaszcz - powiedział Hettar swym cichym głosem. Wysoki Algar jak zwykle miał na sobie strój z czarnej skóry. Wraz z Podarkiem stali na pastwisku, na zachód od domu Poledry. - Upewnij się, by było to coś, co ma na sobie twój zapach. To po to, by koń przywykł do niego i do myśli, że coś, co tak pachnie, może znaleźć się na jego grzbiecie.

- Ale on przecież wie, jak pachnę, prawda? - spytał chłopiec.

- To coś zupełnie innego - odparł Hettar. - Takie rzeszy trzeba robić pomału. Nie chcesz chyba go nastraszyć? Jeśli się złąknie, zrzuci cię.

- Jesteśmy przyjaciółmi - próbował wyjaśnić Podarek. - On wie, że nie zrobię mu krzywdy. Dlaczego miałby próbować skrzywdzić mnie?

Hettar potrząsnął głową i przeniósł wzrok na falujące łąki.

- Po prostu zrób to, co powiedziałem - odrzekł cierpliwie. - Wierz mi, wiem, co mówię.

- Jeśli naprawdę tego chcesz. Ale uważam, że to okropna strata czasu.

- Zaufaj mi.

Podarek posłusznie zarzucił kilka razy swą starą tunikę na grzbiet konia, który spojrzał na niego ciekawie, wyraźnie zastanawiając się, o co mu chodzi. Chłopiec żałował, że nie może przekonać Hettara. Ostrożne podejście algarskiego wojownika do kwestii szkolenia konia kosztowało ich już większą część poranka. Podarek wiedział, że gdyby od razu zabrali się do rzeczy, w tej chwili galopowaliby już po rozległych wzgórzach i dolinach, rozciągających się w dali.

- Czy to wystarczy? - spytał po kilkakrotnym manewrze z tuniką. - Czy teraz mogę już na niego wsiąść?

Hettar westchnął.

- Widzę, że musisz uczyć się na własnych błędach - stwierdził. - W porządku, wskakuj, jeśli chcesz. Spróbuj jednak znaleźć sobie najpierw miękkie miejsce lądowania.

- Nie zrobiłbyś czegoś takiego - odrzekł Podarek pewnym siebie tonem. Położył dłoń na szyi wierzchowca i łagodnie poprowadził go do miejsca, gdzie spośród traw sterczał duży biały głaz.

- Nie sądzisz, że powinienś najpierw założyć mu uzdę? W ten sposób przynajmniej

będziesz się miał czego złapać.

- Nie, chyba nie. To by mu się nie spodobało.

- Jak sobie życzysz - odparł Hettar. - Rób, jak uważasz. Postaraj się tylko nic sobie nie złamać przy upadku.

- Och, nie sądzę, abym spadł.

- Powiedz, czy wiesz, co oznacza słowo "zakład"? Podarek roześmiał się i wskoczył na głaz.

- No to ruszamy - oznajmił i przelożył nogę przez grzbiet konia.

Ogier wzdrygnął się lekko i czekał, drżąc cały.

- Wszystko w porządku - zapewnił go Podarek. Koń odwrócił głowę i spojrzał na niego z niewinnym zdumieniem w wielkich, wilgotnych oczach.

- Lepiej się trzymaj - ostrzegł Hettar, lecz jego jastrzębia twarz wyrażała oszołomienie, a w głosie nie było tyle pewności, co w słowach.

- Nic mi nie będzie. - Podarek poruszył nogami, nie dotykając nawet piętami kasztanowych boków. Koń z wahaniem postąpił krok naprzód, po czym obejrzał się pytająco.

- Właśnie tak - zachęcił go chłopiec.

Ogier przeszedł kilkanaście kroków i znów odwrócił głowę.

- Dobrze. - Podarek poklepał go po karku. - Bardzo, bardzo dobrze.

Koń zaczął podskakiwać z entuzjazmem.

- Uważaj! - krzyknął ostro Hettar.

Chłopiec nachylił się naprzód i wskazał trawiasty pagórek kilkaset metrów na południowy zachód.

- Jedźmy tam - powiedział w nadstawione ucho. Zwierzę zadrzało radośnie, zebrało się w sobie i pobiegło w stronę wzgórza najszybciej, jak potrafiło. Gdy kilka chwil później znaleźli się na szczycie, koń zwolnił i pomaszerował w kółko, dumnie unosząc nogi.

- Świetnie! - Podarek roześmiał się z zachwytem. - A teraz może byśmy podjechali do drzewa na tamym zboczu?

- To było nienaturalne - oświadczył markotnie Hettar wieczorem tego samego dnia, gdy wszyscy siedzieli przy stole w domu Poledry, skąpani w złocistym blasku ognia.

- Wygląda na to, że świetnie sobie radzą - mruknął łagodnie Durnik.

- Ale on robi wszystko nie tak, jak trzeba - protestował Hettar. - Ten koń powinien oszaleć, kiedy Podarek wsiadł na niego bez najmniejszego ostrzeżenia. I nie mówi się zwierzęciu, dokąd ma pójść. Trzeba nim kierować. Do tego właśnie służą wodze.

- Podarek to niezwykły chłopiec - stwierdził Belgarath - a ten koń to niezwykły koń.

Dopóki dobrze im idzie i świetnie się rozumieją, jaką to robi różnicę?

- To nienaturalne - upierał się Hettar. - Czekałem, aż koń wpadnie w panikę, lecz jego umysł pozostał całkowicie spokojny. Wiem, o czym myślą konie, a jedyną rzeczą, jaką wy-
czułem w tym zwierzęciu, była ciekawość. Ciekawość! Ani razu nie zareagował tak, jak po-
winien. - Algar ponuro potrząsnął głową, a jego długi czarny kosmyk na wygolonej czaszce
zakołysał się, podkreślając zdumienie właściciela. - To nienaturalne - warknął, jakby nie znał
innego słowa na określenie tej sytuacji.

- Zdaje się, że powiedziałeś to już kilka razy - zauważyła Polgara. - Może zatem zo-
stawmy już ten temat, skoro tak cię drażni, i zamiast tego opowiesz mi o dziecku Adary.

Na groźnej, jastrzębiej twarzy Hettara wykwitł niemądry uśmiech.

- To chłopiec - oświadczył Algar z ogromną dumą świeżo upieczzonego ojca.

- To już wiemy - odparła cierpliwie Polgara. - Jak duży był po urodzeniu?

- Och - Hettar spojrzał na nią z zakłopotaniem. - Powiedziałbym, że mniej więcej taki.

- Rozsunął dłonie, pokazując jakieś pół metra.

- Nikt nie pomyślał o tym, żeby go zmierzyć?

- Przypuszczam, że to zrobili. Moja matka i inne kobiety krzątały się przy nim od
chwili narodzin.

- Czy mógłbyś oszacować jego wagę?

- Sądzę, że ważył mniej więcej tyle, co dorosły zajac - taki bardziej wyrośnięty - albo
może jeden z tych czerwonych sendarskich serów.

- Rozumiem. Około czterdziestu pięciu centymetrów i cztery - cztery i pół kilo. Czy to
właśnie próbowałeś mi powiedzieć? - Jej spojrzenie nie wyrażało niczego.

- Tak mi się zdaje.

- Czemu więc nie mówiłeś tak od razu? - spytała z rozpaczą w głosie.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Czy to naprawdę aż tak ważne?

- Tak, Hettarze, to naprawdę ważne. Kobiety lubią znać podobne szczegóły.

- Muszę o tym pamiętać. Mnie osobiście interesowało jedynie, czy ma normalną liczbę
rąk, nóg, uszu i nosów - i innych takich. Rzecz jasna, musiałem też dopilnować, by jego
pierwszym posiłkiem było kobyłe mleko.

- Oczywiście - stwierdziła kwaśno czarodziejka.

- To bardzo ważne, Polgaro - zapewnił ją. - Każdy Algar pije najpierw kobyłe mleko.

- Przypuszczam, że to go czyni w części koniem. Hettar zamrugał.

- Nie, oczywiście, że nie, ale tworzy pewną więź.

- Czy wydoiliście dla niego klacz? A może musiał sam podpełznąć i znaleźć pokarm?

- Dziwnie to wszystko przyjmujesz, Polgaro.

- Możesz za to winić mój wiek - odrzekła groźnym głosem.

Prawie natychmiast zrozumiał dźwięczący w nim ton.

- Nie, nie sądzę, abym chciał to zrobić.

- Mądra decyzja - mruknął Durnik. - Mówiłeś, że wybierasz się w góry Ulgołandu.

Hettar przytaknął.

- Pamiętasz hrulgi?

- Mięsożerne konie?

- Mam pewien pomysł, który chciałbym wypróbować. Rzecz jasna nie da się okiełznać dorosłego hrulgi, ale gdybym zdołał schwytać kilka źrebiąt...

- To bardzo niebezpieczne, Hettarze - ostrzegł Belgarath. - Całe stado będzie bronić swych młodych.

- Istnieją sposoby oddzielenia źrebiąt od reszty. Polgara rzuciła mu pełne dezaprobaty spojrzenie.

- A jeżeli ci się uda, to co zamierzasz z nimi zrobić?

- Oswoić je - odparł z prostotą Hettar.

- Ich nie da się oswoić.

- Nikt dotąd tego nie próbował. A nawet jeśli to niemożliwe, może zdołam skrzyżować je ze zwykłymi końmi.

Durnik był wyraźnie zdumiony.

- Po co ci konie z kłami i szponami? Hettar z namysłem wpatrzył się w ogień.

- Są szybsze i silniejsze niż zwyczajne konie. Potrafią znacznie dalej skakać, a... - Jego głos rozpląnął się w ciszy.

- A ty nie możesz znieść myśli, że nie potrafisz osiągnąć czegoś, co wygląda jak koń - dokończył Belgarath.

- Zapewne jest w tym nieco prawdy - przyznał Hettar. - Poza tym dawałyby nam ogromną przewagę w walce.

- Hettarze - wtrącił Durnik. - Dla Algarii najważniejsze jest bydło, prawda?

- Owszem.

- Czy naprawdę chcesz zacząć hodować odmianę koni, dla których krowa byłaby łakomym kąskiem?

Hettar zmarszczył brwi i podrapał się po brodzie.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał.

Teraz, kiedy Podarek miał już wierzchowca, dostępny mu teren ogromnie się powiększył. Energia młodego ogiera zdawała się niewyczerpana; mógł biegać przez cały dzień bez żadnych oznak zmęczenia. Ponieważ Podarek był wciąż jeszcze dzieckiem, jego waga nie obciążała zbytnio pełnego zapału zwierzęcia, toteż wędrowali swobodnie po trawiastych pagórkach południowej Algarii i z rzadka porośniętej drzewami Dolinie Aldura.

Co dzień rano chłopiec zrywał się wcześniej i niecierpliwie połykał śniadanie, wiedząc, że tuż za drzwiami czeka kasztanowy ogier i że już wkrótce będą galopować po mokrej od rosy trawie, bujnej i zielonej w ukośnych promieniach porannego słońca, a rześkie, wonne powietrze będzie szumiało wokół ich głów, gdy w pędzie wbiegną na kolejne wzgórze. Polgara, która chyba instynktownie pojmowała tę potrzebę pędu, nie odzywała się ani słowem, kiedy Podarek pożerał kolejny posiłek. Siadywał przy tym na samym skraju krzesła, tak by w momencie, gdy opróżni talerz, móc natychmiast skoczyć ku drzwiom i przygodom, jakie oferował nowy dzień. Jej oczy obserwowały go czule, a uśmiech, jakim odpowiadała na pospieszne przeprosiny, był niezwykle wyrozumiały.

Pewnego rozśłonecznionego letniego poranka, gdy złociste źdźbła trawy chyliły się pod ciężarem dojrzałych nasion, Podarek wyszedł na dwór i czułym, delikatnym gestem pogładził wygiętą szyję oczekującego przyjaciela. Koń zadrżał radośnie i roztańczonym krokiem podbiegł naprzód, niecierpliwie wyglądając przejażdżki. Chłopiec roześmiał się, chwycił grzywę ogiera, odbił się od ziemi i płynnie wylądował na silnym, lśniącym grzbiecie. Wierzchowca już biegł - ruszył z miejsca, zanim jeszcze Podarek zdołał na dobre się usadowić. Pogalopowali na wzgórze, tam przystanęli, by rzucić okiem na wyłoczone słońcem łąki, po czym okrążyli niewielką kotlinkę, w której stał pokryty strzechą dom, i ruszyli na południe, w głąb Doliny.

Dzisiejsza przejażdżka nie miała być jednak, jak wiele poprzednich, bezcelową wycieczką w nieznane. Od kilku dni Podarek wyczuwał obecność dziwnego umysłu, świadomości umiejscowionej gdzieś w Dolinie. Umysł ten zdawał się wzywać go do siebie i tego dnia wychodząc z domu chłopiec nagle postanowił sprawdzić, skąd dochodzi ów milczący zew.

Gdy tak posuwali się w głąb Doliny, mijając spokojnie pasące się sarny i ciekawskie króliki, Podarek czuł, że dziwna obecność staje się coraz silniejsza. Był to szczególny rodzaj umysłu, w którym dominowała niespotykana cierpliwość - która jak się zdawało, mogłaby czekać tysiące lat na odpowiedź na swe ciche wezwanie.

Ważnie dotarli na szczyt wysokiego, okrągłego wzgórza kilka staj na zachód od wieży Belgaratha, kiedy po trawie u ich stóp przemknął niewielki cień. Podarek uniósł głowę i ujrzał błękitno znaczonego sokoła, wznoszącego się na nieruchomych, rozpostartych skrzydłach w

kolumnie rozgrzanego powietrza. Na oczach chłopca sokół skręcił, śmignął w bok, po czym poszybował w dół, kreśląc wdzięczną spiralę. Gdy znalazł się zaledwie kilka cali nad złotymi kłosami dojrzałych traw, załopotał skrzydłami, wycelował szponami w ziemię i jakby zamigotał w porannym powietrzu. Moment później migotanie zniknęło, a wraz z nim sokół. Na jego miejscu, po pas w trawie, stał garbaty Beldin, przyglądając im się uważnie.

- Co cię tu sprowadza, chłopcze? - spytał bez żadnych wstępów.

- Dzień dobry, Beldinie - powiedział spokojnie Podarek, odchylając się nieco w tył. W ten sposób dawał koniowi znać, że pragnie zatrzymać się na kilka minut.

- Czy Pol wie, jak daleko się zapuszczasz? - wypytywał brzydał, lekceważąc grzeczne powitanie.

- Prawdopodobnie nie do końca - przyznał chłopiec. - Wie, że wybrałem się na przejażdżkę, ale zapewne nie domyśla się, jak daleko możemy dotrzeć.

- Mam ciekawsze zajęcia, niż spędzanie całych dni na pilnowaniu twojej osoby - warknął z rozdrażnieniem stary czarodziej.

- Nie musisz tego robić.

- I tu się mylisz. Muszę. Teraz przypada mój miesiąc. Podarek spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Nie wiedziałeś, że któryś z nas obserwuje cię za każdym razem, kiedy wychodzisz z domu?

- Po co mielibyście to robić?

- Pamiętasz chyba Zedara, prawda?

- Tak. - Chłopiec westchnął smutno.

- Nie marnuj na niego swego współczucia. Dostał dokładnie to, na co zasłużył.

- Nikt nie zasłużył sobie na coś takiego. Beldin parsknął krótkim, brzydkim śmiechem.

- Miał szczęście, że to Belgarath dopadł go pierwszy. Ja na jego miejscu zrobiłbym znacznie więcej, niż tylko uwięzienie go w litej skale. Ale nie o to mi chodziło. Czy pamiętasz, dlaczego Zedar odszukał cię i zabrał ze sobą?

- Aby ukraść Klejnot Aldura.

- Właśnie. Z tego, co wiemy, poza Belgarionem jesteś jedynym człowiekiem, który może dotknąć Klejnotu i nie zginąć na miejscu. Inni też o tym wiedzą, więc lepiej, żebyś przywykł do myśli, że zawsze będziemy cię pilnować. Nie mamy zamiaru pozwolić ci na samotne wędrówki, podczas których ktoś mógłby cię porwać. Przypominam, że nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Jakie pytanie?

- Co cię sprowadza do tej części Doliny?

- Muszę tu coś zobaczyć.

- Co?

- Nie wiem. Jest gdzieś tam, przed nami. Co leży w tamtym kierunku?

- Nic, poza drzewem.

- A zatem to musi być to. Drzewo. Chce mnie zobaczyć.

- Zobaczyć?

- Może to niewłaściwe słowo. Beldin skrzywił się.

- Jesteś pewien, że chodzi o drzewo?

- Nie. Niezupełnie. Wiem tylko, że coś stamtąd... - Podarek zawahał się - zaprasza mnie do siebie. Czy to odpowiednie słowo?

- Ono rozmawia z tobą, nie ze mną. Wybierz określenie, jakie ci się podoba. W porządku, ruszajmy.

- Czy chciałbyś pojechać ze mną? - zaproponował chłopiec. - Koń może ponieść nas obu.

- Wciąż jeszcze nie nadałeś mu imienia?

- "Koń" zupełnie wystarczy. On sam też nie odczuwa potrzeby posiadania innego. Czy chciałbyś się przejechać?

- Po co miałbym jeździć, skoro mogę latać?

- Jakie to uczucie? - spytał Podarek z nagłym zainteresowaniem. - To znaczy, latanie?

Wyraz oczu Beldina uległ zmianie, stał się odległy i niemal rozmarzony.

- Nie potrafisz nawet sobie wyobrazić - odparł. - Obserwuj mnie. Kiedy znajdę się nad tym drzewem, zacznę krążyć, żeby pokazać ci, gdzie jest.

Stojąc pośród wysokiej trawy zgarbił się, uniósł w bok zgięte ręce i odbił się mocno. W powietrzu jego postać rozplynęła się i już jako sokół śmignął naprzód.

Drzewo, samotne w swym ogromie, rosło pośrodku rozległej łąki. Jego pień był większy niż dom, rozłożyste gałęzie ocieniały całe akry ziemi, korona zaś wznosiła się setki metrów w górę. Było niewiarygodnie stare. Korzeniami niemal sięgało jądra świata; jego gałęzie muskały niebo. Stało tak, nieruchome i milczące, tworząc jakby więź pomiędzy ziemią i niebem - więź, której celu istnienia ludzki umysł nie był w stanie ogarnąć.

Gdy Podarek dotarł do rozległego terenu, skrytego w cieniu drzewa, Beldin przemknął mu nad głową, zawisł w powietrzu i runął w dół, po czym przybrał swą właściwą postać.

- W porządku - burknął. - Oto ono. Co teraz?

- Nie jestem pewien.

Chłopiec zsunął się z końskiego grzbietu i ruszył po miękkiej, sprężystej trawie w stronę gigantycznego pnia. Teraz wyraźnie już czuł świadomość drzewa, nadal jednak nie miał pojęcia, czego od niego chce.

A potem wyciągnął rękę i położył dłoń na szorstkim pniu, a w momencie, gdy go dotknął, zrozumiał. Nagle poznał całe życie drzewa. Odkrył, że może spojrzeć w przeszłość, poprzez miliony milionów poranków, aż do dnia, gdy świat oddzielił się od pierwotnego chaosu, z którego zbudowali go bogowie. W jednej chwili przeżył niewiarygodnie długi czas, kiedy ziemia wirowała w milczeniu, oczekując nadejścia człowieka. Ujrzał nieskończone przemijanie pór roku, poczuł drżenie ziemi pod stopami bogów. I, tak jak drzewo, poznał uludę leżącą u podstaw ludzkiej koncepcji czasu. Człowiek musiał szufladkować czas, dzielić go na mniejsze, łatwiejsze do ogarnięcia fragmenty - tysiąclecia, wieki, lata i godziny. Lecz to wieczne drzewo pojmowało, że czas jest jeden - nie stanowi nieskończonej serii powtórek, ale zmierza od swego początku aż po ostateczny cel. Wszelkie wygodne podziały, używane przez ludzi w celu lepszego posługiwania się czasem, nie miały żadnego znaczenia. Drzewo wezwało go tu, by zakomunikować mu tę prostą prawdę. Kiedy uświadomił sobie ten fakt, pozdrowiło go przyjaźnie.

Powoli palce Podarka zsunęły się z pnia. Chłopiec odwrócił się i ruszył w stronę Beldina.

- To wszystko? - spytał stary czarodziej. - Tylko tego chciało?

- Tak. To wszystko. Możemy już wracać. Beldin spojrzał na niego przenikliwie.

- Co ci powiedziało?

- Nie jest to rzecz, którą można by zawrzeć w słowach.

- Postaraj się.

- Cóż... mówiło, że przykładamy zbyt wielką wagę do lat.

- To niezmiernie ciekawe, Podarku - zauważył z ironią stary.

Chłopiec zmagał się z myślami, próbując sformułować zdania, które mogłyby wyrazić to, czego się właśnie dowiedział.

- Rzeczy zdarzają się, gdy nadejdzie ich czas - powiedział wreszcie. - Nie ma znaczenia, jak wiele - lub mało - upłynie tego, co my nazywamy latami.

- O jakich rzeczach rozmawiamy?

- Tych ważnych. Czy naprawdę musisz odprowadzić mnie do samego domu?

- Powinienem mieć na ciebie oko. To wszystko. Zamierzasz już wracać?

- Tak.

- Będę w górze. - Beldin wskazał dłonią błękitną kopułę nieba. Nagle zmienił postać i już jako sokoł uniósł się w powietrze na mocnych skrzydłach.

Podarek wdrapał się na grzbiet kasztanowego ogiera. Jego zamyślony nastrój udzielił się też zwierzęciu - zamiast galopować, koń zawrócił i poczłapał na północ, w stronę domu przycupniętego w Dolinie.

Podczas powolnej jazdy po złotej, wysuszonej słońcem trawie chłopiec rozważał wiadomość, przekazaną mu przez wieczne drzewo, i zatopiony w myślach nie zwracał uwagi na otoczenie. Dlatego też nie dostrzegł spowitej w płaszcz i kaptur postaci, stojącej pod rozłożystą sosną, nim o mały włos na nią nie wpadł. To koń ostrzegł go parsknięciem, gdy postać poruszyła się lekko.

- A zatem tyś jest owym chłopcem - syknęła głosem, który zdawał się nie należeć do istoty ludzkiej.

Podarek pogładził wierzchowca uspokajająco po drżącej szyi i spojrzał na ciemną postać. Czuł fale nienawiści promieniującej z czarnego cienia i wiedział, że ze wszystkich rzeczy, z jakimi dotąd się zetknął, tego powinien bać się najbardziej. Lecz, zaskakująco nawet dla samego siebie, zachował spokój i opanowanie. Postać roześmiała się paskudnym, chrypliwym śmiechem.

- Jesteś głupcem, chłopcze. Winienesz lękać się mnie, nadejdzie bowiem dzień, kiedy na pewno cię zniszczę.

- Nie na pewno - odparł cicho Podarek. Przyjrzawszy się bliżej spowitej w cieniu sylwetce natychmiast pojął, że - podobnie jak Cyradis, którą spotkał na zaśnieżonym wzgórzu - pozornie materialna postać naprawdę nie stoi przed nim, lecz znajduje się zupełnie gdzie indziej, z daleka przesyłając tu swą złowrogą nienawiść. - Poza tym - dodał - jestem już dość duży, by nie bać się cieni.

- Kiedyś spotkamy się naprawdę, chłopcze - warknęła zjawa - i wtedy umrzesz.

- Ale to jeszcze nie zostało ustalone, prawda? To dlatego musimy się spotkać - aby zdecydować, kto z nas zostanie, a kto będzie musiał odejść.

Okryta czarnym płaszczem postać ze świstem wciągnęła powietrze.

- Raduj się swą młodością, bo to całe życie, jakie masz przed sobą. To ja zwyciężę. - I nagle mroczna postać zniknęła.

Podarek odetchnął głęboko i zerknął w górę, na krążącego po niebie Beldina. Uświadomił sobie, że nawet bystre oczy sokoła nie zdołałyby przeniknąć przez zasłonę z gałęzi do miejsca, gdzie stał ów dziwny przybysz. Beldin nie mógł wiedzieć o tym spotkaniu. Podarek szturchnął konia i ruszyli naprzód, coraz dalej od samotnego drzewa. Pośród złotego słonecz-

nego blasku pocwałowali w stronę domu.

ROZDZIAŁ 7

Następne lata spokojnie upływały w domu Polgary. Belgarath i Beldin często wyruszyli w długie podróże, a kiedy wracali, strudzeni i wyczerpani, ich twarze zazwyczaj miały ów szczególny, zirytowany wyraz ludzi, którzy nie zdołali znaleźć tego, czego szukali. Durnik często spędzał długie godziny nad strumieniem, całą uwagę poświęcając kwestii, jak przekonać czujne pstrągi, że niewielki kawałek wypolerowanej blaszki z doczepionymi pasmami czerwonej włóczki, unoszącymi się za nim w wodzie, jest nie tylko jadalny, lecz stanowi przysmak, któremu nie można się oprzeć. Mimo to jednak utrzymywał dom i jego najbliższą okolicę w pedantycznym porządku, który bardziej niż słowa oznajmiał wszem i wobec, iż właściciel farmy jest Sendarem. Choć ogrodzenia z samej swej natury bywają zygawkowate i mają tendencję do podążania za ukształtowaniem terenu, Durnik upierał się, by jego ogrodzenia były absolutnie proste. Najwyraźniej charakter nie pozwalał mu na obejście żadnej przeszkody. Zatem jeśli na trasie planowanego ogrodzenia pojawiał się wielki kamień, Durnik natychmiast przestawał być cieślą i przeistaczał się w kamieniarza.

Polgara zanurzyła się w otchłań prac gospodarskich. Wnętrze domu było niepokalanie czyste. Schody, prowadzące do drzwi, nie tylko często zamiatano, ale i szorowano szczotką. Rzędy fasoli, rzepy i kapusty w ogrodzie były równie proste, co ogrodzenia Durnika, chwastom zaś wstęp był całkowicie zabroniony. Twarz czarodziejki, krzątającej się przy owych pozornie wiecznych zajęciach, miała wyraz rozmarzonego zadowolenia, a jej usta nuciły często podczas pracy jakąś starą pieśń.

Chłopiec Podarek jednak przejawiał czasami skłonności do występku. Nie, żeby był leniwy, lecz wiele prac na farmie było nużących i wymagało ciągłego powtarzania tych samych czynności. Układanie drewna na opał nie należało do ulubionych rozrywek Podarka. Plewienie w ogródku uważał za bezsensowne, chwasty bowiem i tak odrastały w ciągu jednej nocy. Wycieranie naczyń stanowiło dla niego szczyt głupoty, jako że pozostawione samym sobie talerze i tak wysychały bez niczyjej pomocy. Podarek usiłował nawet sprawić, by Polgara przyjęła jego punkt widzenia w tej materii, ona zaś z powagą wysłuchiwała jego niezaprzeczalnie logicznych argumentów, kiwając potakująco głową, gdy z całą elokwencją, na jaką było go stać, dowodził, że naczynia nie wymagają wycierania. Kiedy wreszcie skończył wyjątkowo błyskotliwym podsumowaniem, uśmiechnęła się, powiedziała: tak, kochanie - i, niewzruszona, wręczyła mu ściereczkę.

Nie można jednak powiedzieć, by Podarek był przesadnie obciążony pracą. W istocie każdego dnia udawało mu się spędzić kilka godzin na grzbiecie kasztanowego ogiera, przemierzając otaczające dom łąki niczym swobodny powiew wiatru.

Poza beczasową, złocistą drzemką Doliny świat wędrował własnym torem. Choć ich dom leżał na uboczu, dość często odwiedzali go goście. Najczęściej oczywiście wpadał Hettar, czasem towarzyszyła mu też Adara, jego wysoka, uroczą żona, i ich malutki synek. Podobnie jak jej mąż, Adara była Algarką po koniuszki włosów i czuła się równie pewnie w siodle, co na własnych nogach. Podarek bardzo ją lubił. Choć jej twarz była zawsze spokojna, nawet poważna, pod tą maską krył się ironiczny, przenikliwy dowcip, który chłopiec uwielbiał. I było coś jeszcze. Smukłą, ciemnowłosą dziewczynę o delikatnych rysach i alabastrowej skórze otaczał zawsze obłok lekkiego, subtelnego zapachu, który zdawał się pobudzać odległe rejony jego świadomości. W owej ulotnej woni było coś dziwnie pociągającego. Kiedyś, gdy Polgara bawiła się z jej dzieckiem, Adara pojechała z Podarkiem na szczyt pobliskiego wzgórza i tam opowiedziała, skąd wzięły się jej perfumy.

- Zapewne wiesz, że Garion jest moim kuzynem? - zapytała.

- Tak.

- Kiedyś wybraliśmy się na przejażdżkę z Twierdzy - to było w zimie i wszystko pokrywał szron. Trawa miała martwy, brązowy kolor, z krzaków opadły wszystkie liście. Spytałam go o sztukę czarodziejską - na czym polega i co można za jej pomocą zdziałać. Tak naprawdę nie wierzyłam w czary - chciałam, ale nie mogłam się do tego przekonać. Wziął wtedy gałązkę i owinał ją kilkoma źdźbłami suchej trawy, po czym na moich oczach zamienił to w kwiat.

Podarek skinął głową.

- Tak, to podobne do Gariona. Czy pomogło ci to uwierzyć?

Uśmiechnęła się.

- Nie od razu - przynajmniej nie do końca. Było jeszcze coś, o co go poprosiłam, ale powiedział, że nie może tego zrobić.

- O co chodziło?

Adara zarumieniła się, po czym odparła ze śmiechem:

- Nadal czuję zakłopotanie, kiedy o tym mówię. Chciałam, żeby użył swej mocy i sprawił, by Hettar mnie pokochał.

- Ale przecież nie musiał tego robić. Hettar już cię kochał, prawda?

- Cóż, potrzebował nieco zachęty, nim to sobie uświadomił. Lecz tego dnia czułam się bardzo nieszczęśliwie. Kiedy wróciliśmy go Twierdzy, zapomniałam o kwiatku i zostawiłam

do na osłoniętym zboczu wzgórza. Jakiś rok później całe zbocze pokryło się niskimi krzewami i tymi pięknymi lawendowymi kwiatkami. Ce'Nedra nazwała ten kwiat "rózą Adary", Ariana zaś uważa, że może on mieć wartość leczniczą, choć nigdy nie udało nam się ustalić, co właściwie leczy. Lubię jednak ten zapach, a ponieważ kwiat w pewnym sensie należy do mnie, więc rozsypuję jego płatki w skrzyniach, gdzie przechowuję ubrania. - Zaśmiała się nieco złośliwie. - Sprawia, że Hettar zachowuje się bardzo namiętnie - dodała.

- Nie sądzę, by był to jedynie wpływ kwiatka - stwierdził Podarek.

- Możliwe, ale nie mam zamiaru ryzykować. Jeśli to zapach daje mi przewagę, z pewnością z niego nie zrezygnuję.

- Przypuszczam, że to ma sens.

- Och, Podarku - roześmiała się - jesteś naprawdę uroczym chłopcem.

Wizyty Hettara i Adary nie były do końca towarzyskie. Ojcem Hettara był Cho-Hag, Wódz Wodzów klanów Algarii, który, jako najbliższy z alorskich monarchów, czuł się w obowiązku informować Polgarę o wszystkim, co działo się poza Doliną. Od czasu do czasu przysyłał jej raporty na temat przebiegu krwawej, nie kończącej się wojny w południowym Cthol Murgos, gdzie Kal Zakath, imperator Mallorei, kontynuował swój niepowstrzymany marsz przez równiny Haggi aż po ogromną południową puszcę Gorut. Królowie Zachodu nie potrafili wytłumaczyć sobie, skąd wzięła się ślepa nienawiść Zakatha do jego murgoskich kuzynów. Krążyły pogłoski o jakimś osobistym afrontie w przeszłości, to jednak dotyczyło Taura Urgasa, a Taur Urgas poległ w bitwie pod Thull Mardu. Wrogość, jaką Zakath żywił do Murgów, nie zginęła jednak wraz z ich szalonym władcą. Teraz więc poprowadził swych Malloreańców na okrutną wojnę, najwyraźniej mającą na celu eksterminację wszystkich ludzi, w których płynęła murgoska krew, oraz wymazanie z ludzkiej pamięci wszelkich wspomnień o ich istnieniu.

W Tolnedrze zdrowie imperatora Rana Borune XXIII, ojca królowej Ce'Nedry z Rivy, pogarszało się coraz bardziej, a ponieważ nie miał syna, który mógłby zastąpić go na imperialnym tronie w Tol Honeth, wielkie rody Imperium wdały się w zaciętą walkę o sukcesję. Z rąk do rąk wędrowały gigantyczne łapówki, a nocami po ulicach stolicy skradali się skrytobójcy, niosąc przy sobie ostre sztylety i fiolki śmiertelnych trucizn, nabywanych w sekrecie od węzowego ludu z Nyissy. Przebiegły Ran Borune ku rozpacz i wściekłości Honethów, Yorduów i Horbitów mianował swym regentem generała Yaranę, księcia Anadile, Yarana zaś, którego władza nad legionami była niemal absolutna, podjął stanowcze kroki, aby opanovać nieco szaleńczy wyścig wielkich rodów do tronu.

Mordercze wojny Angaraków i tylko nieco mniej krwawe zmagania Wielkich Książąt

Imperium Tolnedry nie interesowały jednak zbytnio władców alorskich. Pomocnych monarchów znacznie bardziej zajmowało kłopotliwe odrodzenie kultu Niedźwiedzia i smutny, lecz niezaprzeczalny fakt, że król Drasni Rhodar czuł się coraz gorzej. Rhodar, mimo swej tuszy, wykazał się zdumiewającym talentem militarnym podczas kampanii, której kulminację stanowiła bitwa pod Thull Mardu, teraz jednak Cho-Hag ze smutkiem donosił, iż w ostatnich latach korpulentny władca Drasni zaczynał tracić pamięć i czasami zachowywał się dziecinnie. Z powodu swej wielkiej wagi nie mógł już stać bez pomocy służby i często zasypiał, nawet podczas najważniejszych uroczystości dworskich. Jego żona, urocza młoda królowa Porenn, jak tylko mogła, starała się ulżyć mu w obowiązkach, narzucanych przez koronę, lecz dla wszystkich, którzy go znali, oczywiste było, iż król Rhodar nie będzie już długo panował.

Wreszcie, pod koniec ostrej zimy, która skuła północ mrozem i zasypała śniegiem głębszym niż kiedykolwiek, królowa Porenn wyprawiła do Doliny posłańca z prośbą do Polgary, aby ta przybyła do Boktoru i wypróbowała swe uzdrowicielskie moce na drasanskim królu. Posłaniec zjawił się późnym popołudniem szczególnie mroźnego dnia, gdy blade słońce niemal z ulgą opadło na łoża purpurowych chmur, wiszących ciężko nad górami Ulgosów. Wysłannik był szczelnie opatulony w kosztowne sobolowe futro, lecz jego długi, spiczasty nos wystawał poza ciepłe okrycia, natychmiast pozwalając go zidentyfikować.

- Silk! - wykrzyknął Durnik, gdy mały Drasanin zeskoczył z konia na zaśnieżonym podwórzu. - Co ty tu robisz?

- W tej chwili zamierzam - odparł przybysz. - Mam nadzieję, że rozpaliliście solidny ogień.

- Pol, zobacz, kto przyjechał! - zawołał Durnik, i Polgara otworzyła drzwi, aby spojrzeć na gościa.

- Ależ to księżę Kheldar - stwierdziła, uśmiechając się do mężczyzny o szczurzej twarzy. - Czyżbyś ograbił do szczytu Garog Nadrak i przybył tu w poszukiwaniu nowego pola dla swych rabunkowych interesów?

- Nie - odparł Silk, tupiąc na wpół zamarzniętymi stopami. - Popełniłem ten błąd, że po drodze do Val Alom wstąpiłem do Boktoru. Zdybała mnie Porenn i zmusiła do niewielkiej zmiany planów.

- Wejdz do środka - zaprosił Durnik. - Zajmę się twoim koniem.

Zrzuciwszy sobolowy płaszcz Silk, wstrząsany dreszczami, stanął przy kominku i wyciągnął ręce w stronę ognia.

- Przez ostatni tydzień ciągle było mi zimno - mruknął. - Gdzie Belgarath?

- Wraz z Beldinem wybrali się gdzieś na wschód - wyjaśniła Polgara, przygotowując

przemarzniętemu gościowi na rozgrzewkę kubek wina z korzeniami.

- Zresztą to i tak nieważne. W gruncie rzeczy przybyłem tu do ciebie. Słyszałaś, że mój wuj nie czuje się dobrze?

Skinęła głową, ujmując w dłoń rozgrzany pogrzebacz i wsuwając rozpalony do czerwoności koniec do kubka z winem. Natychmiast rozległ się głośny syk i bulgotanie.

- Hettar przekazał nam najświeższe wieści zesłą jesienią. Czy jego lekarze zdołali już określić nekającą go chorobę?

- Wiek. - Silk wzruszył ramionami i z wdzięcznością wziął od niej kubek.

- Rhodar nie jest jeszcze taki stary.

- Ale dźwiga spory dodatkowy ciężar. Po pewnym czasie to człowieka męczy. Porenn jest zrozpaczona. Przysłała mnie, abym cię prosił - nie, błagał - o przyjazd do Boktoru, żebyś zobaczyła, co się da zrobić. Mam ci przekazać, że jeśli nie przyjedziesz, Rhodar nie doczeka powrotu dzikich gęsi.

- Jest aż tak źle?

- Nie jestem lekarzem - odparł Silk - ale nie wygląda zbyt dobrze, a jego umysł zdaje się słabnąć. Zaczyna nawet tracić apetyt, a to zły znak u człowieka, który zawsze zjadał kilka wielkich posiłków dziennie.

- Oczywiście, że pojedziemy - powiedziała szybko Polgara.

- Pozwól tylko, że nieco się ogrzeję - poprosił żałośnie Drasanin.

Mieli kilkudniowe opóźnienie, na południe bowiem od Brodu Aldura złapała ich gwałtowna śnieżycą, która wyrwawszy się spośród gór Sendarii z rykiem pomknęła przez równiny północnej Algarii. Szczęśliwym zrządzeniem losu tuż przed tym, nim burza rozpełtała się na dobre, dotarli do obozowiska wędrownych klanów i wypełnione skowytami wichury i zawiejami dni przesiedzieli w wygodnych wozach gościnnych Algarów. Kiedy wreszcie pogoda poprawiła się, ruszyli w stronę Brodu, przeprawili się przez rzekę i dotarli do szerokiego gościńca, prowadzącego poprzez skute lodem mokradła aż do Boktoru.

Królowa Porenn, wciąż urocza, mimo ciemnych kręgów pod oczami, które wyraźnie świadczyły o zmartwieniach nie pozwalających jej spać, powitała ich przy bramie królewskiego pałacu.

- Och, Polgaro - westchnęła z wdzięcznością i ulgą, obejmując czarodziejkę.

- Kochana Porenn - odparła Polgara, przytulając do siebie wyczerpaną królową Drasni. - Bylibyśmy tu wcześniej, ale zatrzymała nas zła pogoda. Jak się miewa Rhodar?

- Słabnie z każdym dniem. - W głosie Porenn znać było beznadziejną rezygnację. - Teraz męczy go już nawet Kheva.

- Twój syn? Porenn skinęła głową.
- Następny król Drasni. Ma dopiero sześć lat - stanowczo za mało, by wstąpić na tron.
- Cóż, zobaczymy, co da się zrobić, by opóźnić ten moment.

Król Rhodar jednak wyglądał jeszcze gorzej, niż tego oczekiwali po opisie Silka. Po-darek zapamiętał władcę Drasni jako grubego, wesołego mężczyznę o bystrym umyśle i po-zornie niewyczerpanej energii. Teraz ujrzał apatycznego człowieka, którego poszarzała skóra zwisała w grubych fałdach. Nie mógł już wstać; a może jeszcze gorsze było to, że nie mógł też się położyć, jego oddech bowiem natychmiast stawał się bolesny i urywany. Głos, który niegdyś miał w sobie dość mocy, by obudzić śpiącą armię, zmienił się w słaby, zrzędlivy jęk. Rhodar powitał ich zmęczonym uśmiechem, kiedy weszli, lecz po kilku minutach rozmowy znów zapadł w drzemkę.

- Chyba muszę zostać z nim sama - oznajmiła Polgara rześkim, autorytatywnym to-nem, lecz przelotne spojrzenie, jakie wymieniła z Silkiem, niosło ze sobą niewiele nadziei na uzdrowienie chorego monarchy.

Gdy wyszła z komnaty Rhodara, jej twarz miała poważny wyraz.

- I co? - spytała Porenn. W jej oczach czaił się strach.

- Będę mówić szczerze - odparła Polgara. - Znamy się zbyt długo, żebyśmy musiała ukrywać przed tobą prawdę. Mogę ułatwić mu oddychanie i nieco złagodzić ból. Istnieją środki, które przywrócą mu sprawność umysłu - na krótki czas - ale musimy używać ich osz-czędnie, prawdopodobnie jedynie wtedy, gdy będzie musiał podjąć jakąś ważną decyzję.

- Ale nie możesz go wyleczyć. - Cichy głos Porenn balansował na krawędzi płaczu.

- To nie jest coś, co można by wyleczyć. Jego ciało po prostu się zużyło. Od lat po-wtarzałam mu, że zaje się na śmierć. Waży tyle, co trzech normalnych mężczyzn. Ludzkie serce nie zostało przeznaczone do podtrzymywania podobnego ciężaru. Od kilkunastu lat nie uprawiał żadnych ćwiczeń fizycznych, a jego dieta była absolutnie najgorsza ze wszystkich, jakie dałoby się wymyślić.

- Nie możesz użyć czarów? - spytała desperacko królowa Drasni.

- Porenn, musiałabym odbudować go od stóp do głów. Żaden z jego organów nie dzia-ła tak, jak powinien. Czary po prostu nie zadziałają. Przykro mi.

Dwie wielkie łzy zakręciły się w oczach królowej Porenn.

- Jak długo? - Jej głos zniżył się niemal do szeptu.

- Kilka miesięcy - najwyżej sześć, nie więcej. Porenn przytaknęła, po czym - mimo oślepiających ją łez - odważnie uniosła głowę.

- Kiedy uznasz, że jest dostatecznie silny, chciałabym, abyś podała mu ów lek, który

ożywi jego umysł. Musimy porozmawiać. Jest mnóstwo spraw, które trzeba ustalić - dla naszego syna i dla Drasni.

- Oczywiście, Porenn.

Ostry mróz tej długiej, surowej zimy ustąpił nagle kilka dni później. W nocy powiał ciepły wiatr znad Zatoki Cherek, przynosząc z sobą obfite deszcze, które zamieniły blokujące szerokie ulice Boktoru zasy w wilgotną brązową breję. Podarek i księżę Kheva, następcy drasańskiego tronu, odkryli, iż nagła zmiana pogody praktycznie uwięziła ich w pałacu. Kheva był silnym chłopcem o ciemnych oczach i poważnej twarzy. Podobnie jak ojciec, chory król Rhodar, księżę również lubił czerwony kolor i zazwyczaj nosił aksamitną tunikę i spodnie tej właśnie barwy. Choć Podarek był o jakieś pięć lat starszy, obaj chłopcy zaprzyjaźnili się niemal natychmiast. Razem odkryli wspaniałą zabawę, polegającą na zrzucaniu z wysokich kamiennych schodów kolorowej drewnianej piłki. Kiedy jednak podskakująca kula wytrąciła srebrną tacę z rąk głównego kamerdynera, poproszono ich dość stanowczo, by poszukali sobie innych rozrywek.

Przez jakiś czas wędrowali po pałacu, a ich kroki dźwięczały echem w rozległych, marmurowych salach - Kheva w jaskrawoczerwonym aksamicie, Podarek w solidnym chłopskim brązie - póki w końcu nie dotarli do wielkiej sali balowej. Po jednej stronie ogromnego pomieszczenia wznosiły się szerokie marmurowe schody, prowadzące ku górnym piętrom pałacu. Środkiem wyniosłych schodów spływał szkarłatny dywan, a po bokach wznosiły się dwie gładkie marmurowe poręcze. Chłopcy spojrzeli z namysłem na owe bliźniacze balustrady, natychmiast pojmując rozliczne możliwości zabawy, oferowane przez śliski marmur. Wzdłuż ścian sali stały rzędy błyszczących krzeseł, każde z nich wyściełane czerwoną aksamitną poduszką. Chłopcy popatrzyli na poręcze. Potem na poduszki. Następnie obaj obejrzelili się, by się upewnić, czy w okolicy wielkich dwuskrzydłowych drzwi nie widać żadnego strażnika ani kogoś ze służby.

Podarek rozważnie zamknął drzwi, po czym wraz z księciem Khewą zabrali się do roboty. Było wiele krzeseł i mnóstwo aksamitnych poduszek. Kiedy już wszystkie zostały zebrane w dwóch stosach u stóp marmurowych poręczy, utworzyły dwie imponujące góry.

- I co? - zapytał Kheva, gdy wszystko było już gotowe.

- Myślę, że możemy - odparł Podarek.

Razem wspięli się na schody i dosiedli obu gładkich, chłodnych poręczy, opadających wdzięcznie ku białej marmurowej posadzce sali balowej wiele metrów niżej.

- Jazda! - wykrzyknął Kheva i jednocześnie ruszyli w dół, zyskując po drodze sporą prędkość i z miękkim łoskotem lądując na oczekujących stosach poduszek.

Zaśmiewając się z radości, chłopcy ponownie wbiegli po schodach i raz jeszcze zjechali na dół. W sumie popołudnie upłynęło niezwykle przyjemnie, póki w końcu jedna z poduszek nie pękła w szwach, wypełniając nieruchome powietrze wielkiej sali balowej wirującymi kłębamii gęsiego pierza. Naturalnie dokładnie w tym momencie na progu stanęła szukająca ich Polgara. Dziwnym trafem zawsze tak było. W chwili gdy coś się stukło, rozlało czy wywróciło, natychmiast pojawiał się ktoś starszy. Nigdy nie było okazji, by posprzątać, i sytuacja zawsze ukazywała ich w najgorszym możliwym świetle.

Podwójne drzwi na odległym końcu sali balowej rozwarły się i do środka weszła Polgara, piękna niczym królowa, w błękitnych aksamitach. Z powagą przyjrzała się zawstydzonej dwójce, leżącej u stóp schodów na stosach poduszek i otoczonej prawdziwą śnieżycą gęsiego pierza.

Podarek skrzywił się i wstrzymał oddech.

Czarodziejka bardzo ostrożnie zamknęła za sobą drzwi i wolno ruszyła w ich stronę. Jej obcasy stukwały złowieszczo na marmurowej posadzce. Spojrzała na огоłocone krzesła pod ścianami i dwóch chłopców, pokrytych opadającymi piórkami. A potem bez najmniejszego ostrzeżenia zaczęła się śmiać - głośnym, melodyjnym, wibrującym śmiechem, którego dźwięk wypełnił pustą salę.

Podarek poczuł się lekko zawiedziony jej reakcją. Wraz z Khewą niemal wyszli z siebie, by znaleźć się w kłopotach, a ona tylko się śmiała. Nie było żadnych wyrzutów, żadnych kwaśnych uwag - nic poza śmiechem. Wyraźnie czuł, że ów brak powagi jest tu nie na miejscu, zupełnie jakby nie brała całego zajścia tak poważnie, jak powinna. Ogarnęła go lekka gorączka. Zasłużył sobie na wyrzuty, których mu odmawiała.

- Posprzątaście tu chłopcy, prawda? - zapytała Polgara.

- Oczywiście, lady Polgaro - zapewnił ją szybko Kheva. - Właśnie mieliśmy to zrobić.

- Doskonale, Wasza Wysokość - kąciki ust Polgary nadal nieznacznie drgały. - Postarajcie się, proszę, zebrać wszystkie piórka. - Czarodziejka odwróciła się i wyszła z sali balowej, pozostawiając za sobą nikłe echo śmiechu, nadal unoszące się w powietrzu.

Po tym zdarzeniu dość uważnie obserwowano poczynania chłopców. Nic nachalnie rzucającego się w oczy - po prostu dziwnym trafem w ich pobliżu zawsze znajdował się ktoś, kto mógł w razie czego interweniować, nim sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Jakiś tydzień później, gdy deszcze ustały, a mokra breja niemal zupełnie zniknęła z ulic, Podarek i Kheva siedzieli na wyściełanej dywanem podłodze w jednej z komnat pałacu i budowali fortecę z drewnianych klocków. Przy stole nie opodał okna Silk, odziany we wspinały czarny aksamit, czytał uważnie dokumenty, które otrzymał tego ranka od swojego

wspólnika, Yarbлека. Yarbлек nie przyjechał wraz z nim do Drasni, lecz pozostał w Gar og Nadrak, doglądając interesów. Na krótko przed południem w komnacie pojawił się służący i zamienił parę cichych słów z Drasaninem. Silk pokiwał głową, wstał i podszedł do chłopców.

- Panowie, co powiecie na to, by odetchnąć nieco świeżym powietrzem? - zapytał.

- Oczywiście! - Podarek zerwał się na nogi.

- A ty, kuzynie? - Silk zwrócił się do Khevy.

- Chętnie, Wasza Wysokość. Silk roześmiał się.

- Czy musimy być aż tak oficjalni, Khevo?

- Matka twierdzi, że zawsze powinienem używać właściwych tytułów - odparł z powagą młody następca tronu. - To pewnie po to, abym nie wyszedł z wprawy.

- Twojej matki tu nie ma - stwierdził przebiegle Silk - więc możesz nieco poszachrować.

Kheva rozejrzał się nerwowo.

- Naprawdę sądzisz, że powinniśmy? - szepnął.

- Jestem tego pewien. Niewielkie oszustwo każdemu dobrze służy. Pomaga zachować właściwą perspektywę.

- A ty? Czy często oszukujesz?

- Ja? - powtórzył Silk, nie przestając się śmiać. - Cały czas, kuzynie. Cały czas. A teraz znajdziemy jakieś płaszcze i chodźmy do miasta. Muszę wpaść do centrali wywiadu, a ponieważ wyznaczono mnie dziś waszym opiekunem, lepiej będzie, jeśli pójdziecie ze mną.

Powietrze na zewnątrz było chłodne i wilgotne, wiatr przyklejał im płaszcze do nóg, kiedy wędrowali brukowanymi ulicami Boktoru. Stolica Drasni stanowiła jedno z największych centrów handlowych świata, toteż w mieście przelewał się dum, złożony z przedstawicieli wszystkich ras. Bogato przyodziani Tolnedranie dyskutowali na rogach z poważnymi Sendarami ubranymi w praktyczny brąz. Drasanie w krzykliwych strojach, hojnie ozdobionych klejnotami, targowali się ze spowitymi w skóry Nadrakami. Czasami nawet trafiało się kilku Murgów w charakterystycznych czarnych szatach, maszerujących przez ruchliwe ulice. Za nimi postępowali muskularni thullscy tragarze, niosący ciężkie paki, wypełnione towarem. Tragarzom rzecz jasna towarzyszyli - w dyskretnej odległości - wszechobecni szpiegdy.

- Kochany, podstępny Boktor - westchnął z emfazą Silk. - W tym mieście przynajmniej co drugi napotkany człowiek jest szpiegiem.

- Naprawdę wszystko to są szpiegdy? - Kheva rozejrzał się z niedowierzaniem.

- Oczywiście, Wasza Wysokość. - Silk zaśmiał się ponownie. - Każdy Drasanin jest szpiegiem - albo przynajmniej pragnie nim być. To nasz narodowy przemysł. Nie wiedziałeś

o tym?

- Cóż, zdawałem sobie sprawę, że roi się od nich w pałacu, ale nie sądziłem, że są też na ulicach.

- Dlaczego w pałacu mieliby być szpiedzy? - zaciekał się Podarek.

Kheva wzruszył ramionami.

- Wszyscy chcą wiedzieć, co dzieje się u wszystkich innych. Im jesteś ważniejszy, tym więcej szpiegów cię obserwuje.

- Czy jacyś śledzą też ciebie?

- Sześciu, o których wiem. Zapewne jest jeszcze kilku innych - i oczywiście ich także obserwują kolejni szpiedzy.

- Co za niezwykle miejsce - mruknął Podarek. Kheva roześmiał się nagle.

- Kiedyś, gdy miałem jakieś trzy lata, znalazłem sobie kryjówkę pod schodami i zasnąłem. W końcu wszyscy szpiedzy z pałacu zorganizowali wspólne poszukiwania. Zdziwiłbyś się, jak wielu ich jest.

Tym razem to Silk wybuchnął donośnym śmiechem.

- Naprawdę, kuzynie, to oznaka wyjątkowo złego wychowania. Członkowie rodziny królewskiej nie mogą ukrywać się przed szpiegami. Podobne zachowanie niezwykle ich denerwuje. O, to tamten budynek. - Wskazał dłonią duży kamienny magazyn, stojący przy cichej, bocznej uliczce.

- Zawsze sądziłem, że centrala mieści się w tym samym budynku co akademia - zauważył Kheva.

- Tylko oficjalne biura, kuzynie. Tu natomiast odbywa się cała robota.

Weszli do środka i przemierzwszy rozległą salę, po sufit zapchaną skrzyniami i belami, dotarli do małych, niepozornych drzwi. Opierał się o nie potężny mężczyzna w roboczym ubraniu, który zerknął na Silka, uklonił się i przepuścił ich. Za odrapanymi drzwiami kryła się spora, dobrze oświetlona komnata. Wzdłuż jej ścian ustawiono co najmniej tuzin stołów, na których piętrzyły się stosy pergaminów. Przy każdym stole siedziało czterech, pięciu ludzi, uważnie przeglądając dokumenty.

- Co oni robią? - spytał ciekawie Podarek.

- Selekcjonują informacje - odparł Silk. - Przypuszczam, że niewiele jest wydarzeń na świecie, o których w końcu nie dowiedzieliby się ludzie w tej komnacie. Gdybyśmy naprawdę potrzebowali tej informacji, prawdopodobnie po wypyтaniu kilku z nich moglibyśmy ustalić, co jadł dziś na śniadanie król Arendii. Chodźmy, oczekują nas w tamtym pokoju. - Skinął głową w stronę masywnych drzwi po drugiej stronie sali.

Pomieszczenie, do którego weszli, było urządzone skromnie, nawet surowo. Stał w nim stół i cztery krzesła - nic ponadto. Siedzący przy nim mężczyzna miał na sobie czarne spodnie i perłowoszarą tunikę. Był chudy jak szkielet i nawet tu, pośród jego własnych ludzi, wyczuwało się, że jest napięty jak ciasno ściśnięta sprężyna.

- Silk - powiedział z krótkim skinieniem głowy.

- Javelin - odrzekł Silk. - Chciałeś się ze mną widzieć? Mężczyzna przy stole spojrzał na dwóch chłopców i lekko skłonił głowę przed Khewą.

- Wasza Wysokość.

- Margrabio Kheldon - odparł księżę z uprzejmym ukłonem.

Mężczyzna przeniósł wzrok na Silka i zaczął lekko, od niechcienia przebierać palcami.

- Margrabio - wtrącił przepaszającym tonem Kheva. - Moja matka nauczyła mnie tajnego języka. Wiem, o czym pan mówi.

Człowiek, którego Silk nazywał Javelinem, przestał poruszać palcami. Jego twarz przybrała ponury wyraz.

- Widzę, że zostałem ukarany za zbytnią przebiegłość - stwierdził i popatrzył z namysłem na Podarka.

- To jest Podarek, wychowanek Polgary i Durnika - poinformował go Silk.

- A, powiernik Klejnotu.

- Możemy z Khewą zaczekać za drzwiami, jeśli chcecie porozmawiać na osobności - zaproponował chłopiec.

Javelin zastanowił się przez moment.

- To nie będzie konieczne - zdecydował. - Myślę, że możemy zaufać waszej dyskrecji. Usiądźcie, panowie. - Wskazał dłonią pozostałe trzy krzesła.

- W gruncie rzędy wycofałem się, Javelinie - powiedział Silk. - Mam teraz na głowie dostatecznie dużo innych rzeczy.

- Nie miałem zamiaru prosić cię, abyś angażował się osobiście. Chciałbym jedynie, byś znalazł gdzieś miejsce dla kilku nowych pracowników.

Silk popatrzył na niego ciekawie.

- Przesyłasz towary z Gar og Nadrak północnym traktem karawan - ciągnął Javelin. - Jest kilka wiosek przy granicy, których mieszkańcy z ogromną podejrzliwością traktują wszelkich obcych, nie mających ważnego powodu, aby się tam znaleźć.

- A ty chcesz wykorzystać moje karawany jako pretekst dla umieszczenia tam swoich ludzi - podsumował Silk.

Javelin wzruszył ramionami.

- To zwykła praktyka.

- Cóż dzieje się takiego we wschodniej Drasni, co cię aż tak interesuje?

- To samo, co zawsze w odległych prowincjach.

- Kult Niedźwiedzia? - spytał z niedowierzaniem Silk. - Masz zamiar marnować swój czas na nich?

- Ostatnio zachowywali się dość dziwnie. Chcę się dowiedzieć dlaczego.

Silk uniósł brwi.

- Możesz to nazwać cczą ciekawością. Spojrzenie, którym obdarzył go Silk, miało twardość stali.

- O nie, przyjacielu. Nie złapiesz mnie tak łatwo.

- Czyżbyś nie był ani trochę ciekaw?

- Nie. Zupełnie mnie to nie interesuje. Żadne sprytne sztuczki nie zmuszą mnie, bym porzucił własne sprawy i udał się na jedną z twoich ekspedycji, Javelinie. - Jego oczy zwęziły się odrobinę. - Czemu nie wyślesz Łowcy?

- Łowca pracuje teraz gdzie indziej. Przestań wreszcie węszyć. I tak nie dowiesz się, kim jest.

- Warto było spróbować. W istocie zupełnie mnie to nie interesuje. Nic a nic. - Długi, spiczasty nos Silka zadrgał jednak, zadając kłam słowom. - Co masz na myśli, mówiąc o "dziwnym zachowaniu"? - spytał po chwili Drasanin.

- Wydawało mi się, że nie jesteś tym zainteresowany.

- Bo nie jestem - odrzekł pospiesznie Silk. - Zdecydowanie nie jestem. - Wszelako jego nos drgał coraz gwałtowniej. Silk ze złością wstał z krzesła. - Podaj mi imiona ludzi, których miałbym zatrudnić - powiedział szorstko. - Zobaczę, co da się zrobić.

- Oczywiście, książę Kheldarze. Doceniam pańską lojalność wobec swej dawnej służby.

Podarek przypomniał sobie coś, o czym Silk wspominał w zewnętrznej sali.

- Silk mówił, że do tego budynku docierają wieści o niemal wszystkim, co dzieje się na świecie - rzekł, zwracając się do Javelina.

- To zapewne lekka przesada, ale staramy się.

- Może zatem słyszeliście coś o Zandramasie?

Szef drasańskiego wywiadu spojrział na niego pytająco.

- To imię, które słyszeliśmy z Belgarionem - wyjaśnił Podarek. - Belgarath też się tym interesuje. Myślałem, że może pan coś o nim wie.

- Nie mogę powiedzieć, aby tak było - przyznał Javelin. - Oczywiście, znajdujemy się

daleko od Darshivy.

- Co to jest Darshiva? - spytał chłopiec.

- Jedna z prowincji starego Imperium Melceńskiego we wschodniej Mallorei. Zandramas to darshivskie imię. Nie wiedzieliście o tym?

- Nie. Nie wiedzieliśmy. Nagle rozległo się lekkie pukanie.

- Tak? - rzucił Javelin.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich młoda dama, licząca sobie dziewiętnaście bądź dwadzieścia lat. Jej włosy miały barwę miodu, oczy były złocistobrązowe i ciepłe. Miała na sobie prostą szarą suknię. Jej twarz była poważna, lecz na policzkach można było dostrzec ślad figlarnych dołeczków.

- Stryju - powiedziała. Dźwięczny, wibrujący głos miał w sobie coś, czemu trudno było się oprzeć.

Twarde, kanciaste oblicze Javelina wyraźnie złagodniało.

- Tak, Liselle?

- Czyżby to była mała Liselle?! - wykrzyknął Silk.

- Już nie taka mała - odparł Javelin.

- Kiedy widziałem ją ostatnio, wciąż jeszcze nosiła warkocze.

- Rozpuściła je parę lat temu - stwierdził sucho szef wywiadu - i popatrz, co się pod nimi kryło.

- Patrzę, patrzę - mruknął z podziwem Silk.

- Oto raporty, o które prosiłeś, stryju. - Dziewczyna położyła na stole plik pergaminów. Następnie odwróciła się i wdzięcznie dygnęła przed Khewą. - Wasza Wysokość - powitała go.

- Margrabino Liselle - odparł młody książę z grzecznym ukłonem.

- I książę Kheldar - dodała dziewczyna.

- Kiedy byłeś dzieckiem, nie zwracałaś się do mnie tak oficjalnie - zaprotestował Silk.

- Teraz jednak nie jestem już dzieckiem, Wasza Wysokość.

Silk spojrzał na Javelina.

- Gdy była małą dziewczynką, często ciągnęła mnie za nos.

- Ale to taki długi, ciekawy nos - stwierdziła Liselle i uśmiechnęła się. Dołeczki nagle ożyły.

- Liselle pomaga mi w pracy. Za kilka miesięcy wstępuje na akademię - wyjaśnił Javelin.

- Masz zamiar zostać szpiegiem? - spytał z niedowierzaniem Silk.

- To rodzinny interes, książę. Moja matka i ojciec byli szpiegami. Stryj jest szpiegiem. Wszyscy moi przyjaciele są szpiegami. Jak mogłabym zostać czymkolwiek innym?

Silk wyglądał na lekko zbitego z pantałyku.

- Po prostu w jakimś sensie wydaje się to nie w porządku.

- Prawdopodobnie oznacza to, że odniosę sukces, prawda? Pan wygląda na szpiega, książę. Ja - nie. Nie będę więc miała aż tylu problemów co pan.

Choć odpowiedzi dziewczyny były inteligentne i śmiałe, Podarek dostrzegł w jej ciepłych piwnych oczach coś, co zapewne umknęło Silkowi. Mimo faktu, że margrabina Liselle była bez wątpienia dorosłą kobietą, Silk wciąż traktował ją jak małą dziewczynkę - która kiedyś ciągnęła go za nos. Jednak spojrzenie, jakim go obdarzyła, nie należało bynajmniej do małej dziewczynki i Podarek uświadomił sobie, że od lat czekała na chwilę, by spotkać Silka - jak dorosła dorosłego. Chłopiec uniósł dłoń ku ustom, aby ukryć uśmiech. Nadchodzące czasy mogą okazać się niezmiernie ciekawe dla przebiegłego księcia Kheldara.

Drzwi otwały się ponownie. Do środka wszedł niepozorny mężczyzna, szybko przemierzył pokój i szepnął coś do ucha Javelina. Podarek zauważył, że twarz mężczyzny jest blada, a ręce drżą lekko.

Oblicze Javelina spoważniało, z ust wyrwało się westchnienie. Poza tym jednak nic nie zdradziło targających nim uczuć. Wstał z krzesła i obszedł stół.

- Wasza Królewska Mość - powiedział, zwracając się do Khevy - sądzę, że powinien pan natychmiast wracać do pałacu.

Silk i Liselle, natychmiast chwytając znaczenie zmienionego tytułu, spojrzeli ostro na szefa drasańskiego wywiadu.

- Myślę, że powinniśmy wszyscy towarzyszyć królowi w drodze do pałacu - dodał ze smutkiem Javelin. - Musimy przekazać nasze kondolencje jego matce i pocieszyć ją w jej rozpaczy.

Król Drasni popatrzył na swego szefa wywiadu. Jego oczy były szeroko otwarte, dolna warga lekko drżała. Podarek delikatnie ujął dłoń młodszego chłopca.

- Lepiej już chodźmy, Khevo - powiedział. - Twoja matka będzie cię teraz bardzo potrzebować.

ROZDZIAŁ 8

Królowie Alorii zebrali się w Boktorze, aby uczestniczyć w pogrzebie króla Rhodara i koronacji jego syna, Khevy. Podobne spotkania należały, rzecz jasna, do tradycji. Choć ludy północy zmieniały się w miarę upływu stuleci, Alornowie nigdy nie zapomnieli, że kiedyś stanowili jedno królestwo, nad którym panował król derek o Niedźwiedzich Barach. I mimo że było to przed pięciu tysiącami lat, w mrocznej i odległej przeszłości, władcy Alornów spotykali się w chwilach takich jak ta, aby ze smutkiem pochować swego brata. Ponieważ zaś król Rhodar był popularny i szanowany również przez inne nacje, do Anhega z Chereku, Cho-Haga z Algarii i Belgariona z Rivy dołączyli także Fulrach z Sendarii, Korodullin z Arendii, a nawet kapryśny Drosta lek Thun z Gar og Nadrak. Zjawił się też generał Yarana jako przedstawiciel imperatora Rana Borune XXIII z Tolnedry i Sadi, główny eunuch pałacowy królowej Salmissry z Nyissy.

Pogrzeb alorskiego króla był poważną sprawą i wiązał się z pewnymi ceremoniami, na których mogli być obecni jedynie pozostali władcy Alornów. Wszelako żadne spotkanie tak wielu monarchów i wysokiej rangi dyplomatów nie może mieć jedynie ceremonialnego charakteru. Naturalną kolejną rzeczą główny temat cichych rozmów, prowadzonych w żałobnie przystrojonych komnatach pałacu, stanowiła polityka.

W dniach poprzedzających pogrzeb Podarek, przyodziany w żałobny strój i niezwykle spokojny, wędrował od jednej grupki dyskutantów do drugiej. Choć znali go wszyscy królowie, z jakiegoś powodu zdawali się nie zwracać uwagi na jego obecność, dzięki czemu był świadkiem licznych rozmów. Zapewne nie usłyszałby wielu z nich, gdyby ktoś uświadomił sobie, iż nie mają już do czynienia z małym chłopcem, którego poznali podczas kampanii w Mishrak ac Thull.

Królowie Alornów - Belgarion w swej zwyczajowej błękitnej tunice i spodniach, z pozoru brutalny Anheg w wymiętej niebieskiej szacie i pogiętej koronie i cichy Cho-Hag w srebrze i czerni - stali razem przy wysłanej sobolami niszy w jednym z szerokich korytarzy pałacu.

- Porenn będzie musiała podjąć się roli regentki - stwierdził Garion. - Kheva ma dopiero sześć lat i ktoś musi kierować wszystkim, póki chłopak nie będzie dość duży, by sam się tym zająć.

- Kobieta? - jęknął z oburzeniem Anheg.

- Anhegu, czy musimy raz jeszcze powtarzać tę dyskusję? - spytał łagodnie Cho-Hag.

- Nie widzę żadnej alternatywy - dodał Garion najbardziej przekonującym tonem, na jaki było go stać. - Król Drosta aż się ślini na myśl o nieletnim chłopcu na tronie Drasni. Jeśli czegoś nie zrobimy, jego wojska zaczną skubać tereny przygraniczne kawałek po kawałku, zanim jeszcze dotrzemy do domów.

- Ale Porenn jest taka drobna - zaprotestował niemądrze Anheg - i taka śliczna. Jak mogłaby rządzić królestwem?

- Prawdopodobnie bardzo sprawnie - odparł Cho-Hag, przesuwając się, by odciążyć nieco swe kalekie nogi. - Rhodar ufał jej całkowicie i w końcu to ona opracowała cały plan pozbycia się Grodega.

- Poza nią jedyną osobą w Drasni dość kompetentną, by objąć władzę, jest margrabia Kheldon - poinformował króla Chereków Garion. - Ten, którego nazywają Javelin. Czy naprawdę chcesz, by ster rządów znalazł się w rękach szefa drasańskiego wywiadu, zapewniając mu jeszcze większą władzę?

Anheg zadrżał.

- To potworna myśl. A może księżę Kheldar? Garion spojrzał na niego.

- Nie mówisz chyba poważnie, Anhegu - powiedział z niedowierzaniem. - Silk? Regentem?

- Chyba masz rację - zgodził się Anheg po chwili namysłu. - Jest jednak trochę nieodpowiedzialny.

- Trochę? - Garion roześmiał się.

- A zatem ustalone? - wtrącił Cho-Hag. - Wybieramy Porenn, prawda?

Anheg wymamrotał coś pod nosem, w końcu jednak przytaknął. Król Algarów zwrócił się do Gariona.

- Najpewniej będziesz musiał wydać proklamację.

- Ja? Nie mam przecież żadnej władzy w Drasni.

- Jesteś Władcą Zachodu - przypomniał mu Cho-Hag. - Ogłoś po prostu, że uznajesz regencję Porenn i oznajmij, iż każdy, kto się z tym nie zgodzi albo naruszy granice jej kraju, będzie odpowiadał przed tobą.

- To powinno powstrzymać Drostę. - Anheg zachichotał paskudnie. - Boi się ciebie chyba jeszcze bardziej niż Zakatha. Pewnie nękają go koszmary senne o tym, jak wbijasz mu swój płonący miecz między zębra.

W innym korytarzu Podarek natknął się na generała Yaranę i eunucha Sadięgo. Sadi odziany był w cętkowaną, opalizującą szatę Nyissan, generał zaś owinał się srebrzystym tol-nedrańskim płaszczem, obszytym na ramionach szeroką złotą lamówką.

- A zatem to już oficjalna wiadomość? – powiedział Sadi swym dziwnym, wysokim głosem, spoglądając na płaszcz Yarany.

- Jaka wiadomość? - spytał Varana. Generał był barczystym mężczyzną o szpakowatych włosach i lekko rozbawionej minie.

- Do Sthiss Tor dotarły plotki, że Ran Borune adoptował pana jako swojego syna.

- Względy praktyczne. - Yarana wzruszył ramionami. - Największe rody Imperium rujnowały Tolnedrę w swych zmaganiach o koronę. Ran Borune musiał podjąć kroki, aby ich uspokoić.

- Ale przecież po jego śmierci wstąpi pan na tron, prawda?

- Zobaczymy - odparł wymijająco Yarana. - Módlmy się, aby Jego Wysokość żył jeszcze przez wiele lat.

- Oczywiście - mruknął Sadi. - Do twarzy panu w srebrnym płaszczu następcy tronu, drogi generale. - Potarł dłonią o smukłych palcach swą ogoloną czaszkę.

- Dziękuję. - Yarana uklonił się lekko. - A jak tam sprawy w pałacu Sahnissry?

Sadi zaśmiał się ironicznie.

- Bez zmian. Spiskujemy, knujemy przeciw sobie intrygi, a każdy kęsek jedzenia, przygotowany w naszych kuchniach, jest nasączony trucizną.

- Słyszałem o tym zwyczaju - zauważył Yarana. - Jak udaje się wam przeżyć w podobnie śmiercionośnej atmosferze?

- Nerwowo - odparł Sadi, krzywiąc się kwaśno. - Wszyscy przestrzegamy ścisłego reżimu. Rutynowo napychamy się wszelkimi znanymi antidotami na każdą znaną truciznę. Niektóre trucizny bywają nawet całkiem smaczne. Antidota jednak bez wyjątku smakują okropnie.

- Przypuszczam, że można to nazwać ceną władzy.

- Istotnie. Jak zareagowali Wielcy Książęta Tolnedry, kiedy imperator mianował pana swym następcą?

Yarana roześmiał się.

- Echo niosło ich wrzaski od Lasu Driad aż po granicę z Arendią.

- Kiedy nadejdzie czas, będzie pan musiał nastąpić na parę karków.

- To możliwe.

- Rzecz jasna, legiony są panu absolutnie posłuszne?

- Stanowią dla mnie prawdziwą pociechę.

- Podoba mi się pan, generale - oznajmił Nyissanin o wygolonej głowie. - Jestem pewien, że zdołamy dojść do korzystnego porozumienia.

- Zawsze lubię zachowywać dobre stosunki z sąsiadami, Sadi - zgodził się z zimną krwią Yarana.

W kolejnym korytarzu Podarek ujrzał dziwnie dobraną grupkę. Król Fulrach z Sendarii, w skromnym brązowym stroju, rozmawiał cicho z odzianym w purpurę Korodullinem z Arendii i lubieżnym Drostą lek Thun, ubranym w bogato zdobioną klejnotami tunikę w niezdrowym odcieniu żółci.

- Czy któryś z was słyszał już o jakichkolwiek decyzjach, dotyczących regencji? - spytał wychudzony władca Nadraków swym ostrym głosem. Jego wyłupiaste oczy zdawały się niemal wyskakiwać z poznaczonej śladami po ospie twarzy. Cały czas wiercił się niespokojnie.

- Przypuszczam, że królowa Porenn będzie kierować poczynaniami młodego monarchy - stwierdził Fulrach.

- Ależ z pewnością nie oddaliby władzy kobiecie - prychnął Drostą. - Dobrze znam Alornów, a oni wszyscy traktują kobiety jak podludzi.

- Porenn niezupełnie przypomina inne niewiasty - zauważył król Sendarii. - Jest niezwykle uzdolniona.

- Jak mogłaby kobieta bronić granic królestwa tak wielkiego jak Drasnia?

- Wasza Wysokość nie pojmuje sytuacji - oznajmił Korodullin z nietypową dla siebie bezpośredniością. - Bez wątpienia wesprą ją inni władcy Alornów, zwłaszcza zaś Belgarion nie opuści jej w potrzebie. A czyż jest na tym świecie monarcha, który byłby dość głupi, by sprzeciwić się życzeniom Władcy Zachodu?

- Riva leży daleko stąd - zasugerował Drosta. Jego oczy zwęziły się lekko.

- Nie aż tak daleko - odparł Fulrach. - Belgarion ma bardzo długie ręce.

- Jakież dotarły do waszmości nowiny z południa, Wasza Wysokość? - spytał Korodullin króla Nadraków.

Drosta prychnął nieelegancko.

- Kal Zakath brodzi w murgoskiej krwi - powiedział z niesmakiem. - Zepchnął Urgita w zachodnie góry i morduje każdego Murga, jaki wpadnie mu w ręce. Wciąż mam nadzieję, że któryś pośle mu celną strzałę, ale na Murgów nigdy nie można liczyć.

- Czy rozważałeś możliwość sprzymierzenia się z królem Gethellem? - zainteresował się Fulrach.

- Z Thullami? Nie mówisz chyba poważnie, Fulrachu. Nie związałbym się z nimi nawet wtedy, jeśli oznaczałoby to, że muszę sam stawić czoło Malloreanom. Gethell do tego stopnia boi się Zakatha, że moczy spodnie za każdym razem, gdy ktoś wspomni jego imię. Po

bitwie pod Thull Mardu Zakath zapowiedział memu thullskiemu kuzynowi, że jeśli jeszcze raz go zawiedzie, każe go ukrzyżować. Jeżeli Kal Zakath postanowi przybyć na pomoc, Gehell najprawdopodobniej ukryje się w najbliższej gnojówce.

- Z tego, co mi mówiono, waszmość także nie cieszysz się sympatią Zakatha - wtrącił Korodullin.

Drosta roześmiał się. W jego wysokim głosie zabrzmiała nieco histeryczna nuta.

- Najchętniej upiekłby mnie na wolnym ogniu, a z mojej skóry kazał uszyć parę butów.

- Zdumiony jestem, że wy, Angarakowie, nie wymordowaliście się nawzajem tysiące lat temu - zauważył Fulrach z uśmiechem.

- Torak nam zabronił. - Drosta wzruszył ramionami. - I polecał swoim Grolimom wypruć flaki każdemu, kto by się sprzeciwiał. Może nie przepadaliśmy specjalnie za Torakiem, ale zawsze robiliśmy to, co kazał. Tylko idiota postąpiłby inaczej - zazwyczaj był to zresztą martwy idiota.

Następnego dnia ze wschodu przybył Belgarath Czarodziej, a król Rhodar został złożony do grobu. Jasnowłosa królowa Porenn, odziana w najgłębszą czerń, stała podczas ceremonii u boku młodego króla Khevy. Tuż za nimi stanął książę Kheldar. Jego oczy miały dziwny, udręczony wyraz. Patrząc na niego Podarek dostrzegł wyraźnie, że jego przyjaciel od lat kochał drobną żonę swego wuja, lecz ona, choć lubiła go, nie odwzajemniała tej miłości. Oficjalne pogrzeby, podobnie jak inne uroczystości państwowe, trwają bardzo długo. Zarówno królowa Porenn, jak jej syn w miarę upływu nie kończących się obrzędów bledli coraz bardziej, ani przez moment jednak nie okazali trawiącej ich rozpacz.

Natychmiast po pogrzebie nastąpiła koronacja Khevy i nowy władca Drasni oznajmił piskliwym, lecz pewnym głosem, że jego matka poprowadzi go przez nadchodzące trudne lata.

Na zakończenie uroczystości Belgarion, król Rivy i Władca Zachodu, wstał ze swego miejsca i wygłosił krótką mowę do zgromadzonych notabli. Powitał Khewę w dość ekskluzywnym bractwie panujących monarchów, pogratulował mądrego wyboru królowej matki na regentkę oraz poinformował wszystkich, iż w pełni popiera królową Porenn i każdy, kto ośmieliłby się w czymkolwiek ją urazić, z pewnością tego pożałuje. Ponieważ wygłaszając tę deklarację wspierał się na wielkim mieczu Rivy Żelaznopalcego, wszyscy zebrani w drasańskiej sali tronowej potraktowali jego słowa z ogromną powagą.

Kilka dni później goście rozjechali się do domów.

Kiedy Polgara, Durnik, Belgarath i Podarek zmierzali na południe w towarzystwie

króla Cho-Haga i królowej Silar, na równinach Algarii na dobre zagościła już wiosna.

- Smutna to podróż - powiedział Cho-Hag, zwracając się do Belgaratha. - Będzie mi brakowało Rhodara.

- Jak i nam wszystkim - odparł Belgarath. Przed nimi wędrowało ogromne stado bydła, zmierzające pod czujnym okiem algarskich jeźdźców w kierunku gór Sendarii, na wielkie targowiska Muros. - Jestem trochę zaskoczony, że Hettar zgodził się towarzyszyć Garionowi do Rivy o tej porze roku. Zazwyczaj przewodzi stadom.

- Adara go przekonała - wyjaśniła królowa Silar. - Ona i Ce'Nedra pragnęły spędzić razem trochę czasu, a nie ma prawie nic, czego Hettar nie uczyniłby dla swej żony.

Polgara uśmiechnęła się.

- Biedny Hettar. Kiedy zabrały się za niego Adara i Ce'Nedra, nie miał żadnych szans. To para naprawdę stanowczych młodych dam.

- Zmiana otoczenia dobrze mu robi - stwierdził Cho-Hag. - Zazwyczaj w lecie ogarniał go niepokój, a teraz, kiedy wszyscy Murgowie wycofali się na południe, nie mógł nawet zabawiać się ścigając ich bandy.

Gdy dotarli do południowej Algarii, Cho-Hag i Silar pożegnali się i zawrócili na wschód, w stronę Twierdzy. Ostatni odcinek drogi do Doliny przebiegł bez przygód. Belgarath na kilka dni zatrzymał się w domu córki, po czym zaczął szykować się do powrotu do swej wieży. Niemal w ostatniej chwili zaproponował Podarkowi, aby ten mu towarzyszył.

- Mamy tu sporo pracy, ojciec - upomniała go Polgara. - Muszę zająć się ogrodem, a i Durnika czeka mnóstwo zajęć po ostatniej zimie.

- Zatem najlepiej, jeśli chłopiec nie będzie plątał się wam pod nogami.

Rzuciła mu przeciągłe, wymowne spojrzenie, wreszcie jednak ustąpiła.

- Dobrze już, dobrze, ojciec.

- Wiedziałem, że potrafisz spojrzeć na to z mojego punktu widzenia, Pol.

- Nie zatrzymuj go przez całe lato.

- Oczywiście. Chcę tylko pogadać z bliźniakami i sprawdzić, czy Beldin już wrócił. Za jakiś miesiąc znów wyruszam w drogę. Wtedy podrzucę go do domu.

I tak Podarek i Belgarath ponownie wyruszyli w serce Doliny i raz jeszcze zamieszkali w wieży czarodzieja. Beldin jak dotąd nie powrócił z Mallorei, lecz Belgarath miał wiele spraw do omówienia z Beltirą i Belkirą, toteż Podarek i kasztanowy ogier mogli w spokoju oddawać się własnym rozrywkom.

Pewnego słonecznego, wiosennego ranka skierowali się ku zachodniemu brzegowi Doliny, aby zbadać wzgórze wyznaczające granicę Ulgołandu. Po kilkunastu milach prze-

jażdżki pośród łagodnych, pokrytych lasem pagórków zatrzymali się w szerokiej, płytkiej kotlinie, gdzie płynący strumień szemrał na zielonych, pokrytych mchem kamieniach. Poranne słońce grzało bardzo mocno, miło więc było spocząć w cieniu wysokich, wonnych sosen.

Gdy tak odpoczywali, z krzaków na brzegu strumyka cicho wyszła wilczyca. Następnie przystanąła i przysiadła na tylnych łapach, obserwując ich uważnie. Otaczał ją niezwykle błękitny nimb, delikatny blask, który zdawał się dobywać wprost z jej futra.

Normalną reakcją konia na widok czy nawet zapach wilka byłaby ślepa panika. Ogier jednak spokojnie odwzajemnił spojrzenie błękitnej wilczycy, nie okazując nawet cienia lęku.

Chłopiec wiedział, kim była wilczyca, zaskoczyło go jednak niespodziewane spotkanie.

- Dzień dobry - powiedział grzecznie. - Piękny mamy dziś dzień, prawda?

Wilczyca jakby zamigotała, podobnie jak Beldin, kiedy przybierał postać sokoła. Gdy migotanie ustało, w miejscu zwiędnięcia stała kobieta o płowych włosach i złocistych oczach. Na jej ustach błąkał się lekko rozbawiony uśmiech. I choć jej suknia była prosta, uszyta z brązowego materiału, jak u zwykłej chłopki, każda władczyńi w zdobionych klejnotami brokatkach mogłaby pozazdrościć jej istic królewskiego zachowania.

- Czy zawsze witasz wilki równie uprzejmym słowem? - spytała.

- Jak dotąd nie poznałem ich zbyt wielu, ale byłem prawie pewien, z kim mam do czynienia.

- Tak, to do ciebie podobne. Podarek zsunął się z końskiego grzbietu.

- Czy on wie, gdzie podziewasz się dzisiejszego ranka?

- Belgarath? Prawdopodobnie nie. Rozmawia z Beltirą i Belkirą, toteż wraz z koniem wybraliśmy się na poszukiwanie nowych miejsc.

- Byłoby chyba lepiej, gdybyś nie zapuszczał się zanadto w góry Ulgosów - poradziła.

- Kryją się tam naprawdę groźne stworzenia.

Skinął głową.

- Będę o tym pamiętał.

- Czy zrobisz coś dla mnie? - spytała bez dalszych wstępów.

- Jeśli tylko zdołam.

- Porozmawiaj z moją córką.

- Oczywiście.

- Powiedz jej, że na świecie pojawiło się wielkie zło i wielkie niebezpieczeństwo.

- Zandramas? - spytał Podarek.

- Zandramas również ma w tym swój udział, ale to Sardion stanowi źródło zła. Musi

zostać zniszczony. Przekaż mojemu mężowi i córce, aby ostrzegli Belgariona. Jego zadanie nie zostało jeszcze ukończone.

- Powtórzę im - obiecał Podarek. - Ale czy nie mogłabyś równie dobrze porozmawiać z nią o tym sama?

Płowowłosa kobieta spojrzała w dal, w głąb kotliny.

- Nie - odparła ze smutkiem. - Mój widok sprawia jej zbyt wielki ból.

- Dlaczego?

- Przypomina jej o wszystkich straconych latach i ożywia cierpienia małej dziewczynki, która musiała dorastać pozbawiona matczynej opieki. Każde moje pojawienie przywodzi na myśl te bolesne wspomnienia.

- A zatem nigdy jej nie powiedziałaś? O ofierze, jaką zgodziłaś się ponieść?

Jej oczy wpatrzyły się w niego badawczo.

- Jak to możliwe, że o tym wiesz, skoro nawet mój mąż i Polgara nie mają pojęcia, co się stało?

- Nie jestem pewien. Ale wiem - tak samo, jak wiem, że nie umarłaś.

- Czy powiesz o tym Polgarze?

- Tylko jeśli sobie tego życzysz. Westchnęła.

- Może kiedyś, ale jeszcze nie teraz. Sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli oboje pozostaną w nieświadomości. Nadal nie wypełniłam mojego zadania, a jest to rzecz, która wymagać będzie pełnego skupienia.

- Jak wolisz - powiedział grzecznie Podarek.

- Spotkamy się jeszcze - poinformowała go. - Powiedz im o Sardionie. Uprzedź, by Zandramas i obecne poszukiwania nie przesłoniły im najważniejszego celu. To Sardion stanowi źródło wszelkiego zła. I uważaj na Cyradis, kiedy znów ją zobaczysz. Nie ma wobec ciebie złych intencji, ale jej również wyznaczono pewne zadanie i uczyni wszystko, aby doprowadzić je do końca.

- Dobrze, Poledro.

- Och - przypomniała sobie w ostatniej chwili - ktoś na ciebie czeka. O, tam. - Wskazała dłonią długi skalny jęzor, wrzynający się w zieleń Doliny. - Jeszcze cię nie widział, ale czeka. - Po tych słowach uśmiechnęła się i zamigotała, a potem na jej miejscu stała już błękitna wilczyca, która odbiegła w dal, nie oglądając się za siebie.

Wiedziony ciekawością Podarek wskoczył na konia i wyjechał z kotliny, kontynuując jazdę na południe, w stronę skalnego klina, pośród coraz wyższych wzgórz, wznoszących się ku lśniącym białym szczytom krainy Ulgosów. W końcu jego oczy, czujnie przeszukujące

stromie zbocze, pochwyciły momentalny błysk słońca, odbitego od czegoś błyszczącego pośród kępy krzaków w połowie wzniesienia. Bez wahania skierował się w tamtą stronę.

Mężczyzna siedzący pośród gęstych krzewów miał na sobie nietypową kolczugę, sporządzoną z zachodzących na siebie metalowych łusek. Był niski, lecz bardzo muskularny, a jego oczy przesłaniał pasek zwiewnej tkaniny, stanowiący nie tyle przepaskę, co osłonę przed jaskrawymi promieniami słońca.

- Czy to ty, Podarku? - spytał mężczyzna szorstkim głosem.

- Tak - odparł chłopiec. - Dawno cię nie widziałem, Relgu.

- Muszę z tobą porozmawiać - stwierdził ulgowski fanatyk. - Czy moglibyśmy przejść głębiej w cień?

- Oczywiście.

Podarek zsunął się z wierzchowca i ruszył za Ulgosem przez gęste gałęzie do wylotu jaskini, prowadzącej w głąb wzgórza. Relg zgarbił się nieco, wstępując pod skalny nawis, po czym wszedł do środka.

- Zdawało mi się, że cię rozpoznałem - powiedział, gdy chłopiec dołączył do niego w chłodnym półmroku - ale nie byłem pewien w tym ostrym świetle. - Rozwiązał chroniącą oczy opaskę i spojrzał na swego towarzysza. - Wyrosłeś.

- Minęło już parę lat. - Podarek uśmiechnął się. - Jak tam Taiba?

- Obdarzyła mnie synem - odrzekł Relg z zachwytem. - Bardzo szczególnym synem.

- Miło mi to słyszeć.

- Gdy byłem młodszy i przepełniało mnie przekonanie o własnej wyższości, UL przemówił do mnie w głębi mej duszy. Powiedział, że dzięki mnie przybędzie do nas dziecko, które zostanie nowym Gorimem. W swej pysze sądziłem, że oznacza to, iż mam wyszukać owo dziecko i ukazać je światu. Skąd miałem wiedzieć, że miał na myśli coś znacznie prostszego? Mówił o moim synu. Mój syn nosi znak - mój syn! - W głosie fanatyka pobrzmiwała przepełniona lękiem duma.

- Żaden człowiek nie pojmie zamiarów ULa.

- Prawdziwe to słowa.

- A ty? Czy jesteś szczęśliwy?

- Moje życie znalazło cel - odparł z prostotą Relg. - Teraz jednak powierzono mi inne zadanie. Nasz wiekowy Gorim wysłał mnie, abym odszukał Belgaratha. Musi natychmiast udać się ze mną do Prolgu.

- Belgarath jest niedaleko stąd. - Podarek zerknął na Relga i dostrzegł, jak nawet w półmroku jaskini fanatyk mruży oczy, niemal oślepiiony dziennym blaskiem. - Mam tu konia.

Może pojedę po niego i przywiozę tutaj, jeśli chcesz. To potrwa tylko kilka godzin. W ten sposób nie będziesz musiał wychodzić na słońce.

Relg rzucił mu krótkie, pełne wdzięczności spojrzenie, po czym skinął głową.

- Powiedz mu, że jego przyjazd jest konieczny. Gorim musi z nim porozmawiać.

- Czego on ode mnie chce? - spytał z irytacją Belgarath, gdy Podarek wspomniał mu o wizycie Relga.

- Przybył, aby zabrać cię ze sobą do Prolgu - wyjaśnił chłopiec. - Gorim chce się z tobą widzieć - stary Gorim.

- Stary? Czyżby był jakiś nowy? Podarek skinął głową.

- Syn Relga.

Belgarath przez moment patrzył na niego bez słowa, po czym nagle wybuchnął śmiechem.

- Co w tym takiego zabawnego?

- Okazuje się, że UL ma poczucie humoru. No, jeśli Gorim chce się ze mną spotkać, to lepiej ruszajmy.

- Mam jechać z tobą?

- Polgara obdarłaby mnie żywcem ze skóry, gdybym zostawił cię tu samego. Zbierajmy się.

Podarek zawiózł starego czarodzieja na drugą stronę Doliny, aż do pasma wzgórz i jaskini, w której czekał Relg. Trochę czasu zabrało wytłumaczenie młodemu ogierowi, że teraz będzie musiał sam wrócić do wieży Belgaratha. Podarek przemawiał do niego dość długo, aż w końcu nabrał przekonania, że koń zdołał pojąć, co ma zrobić - może nie do końca, lecz dostatecznie.

Wędrówka ciemnymi korytarzami, prowadzącymi do Prolgu, zabrała im kilka dni. Przez większość drogi Podarek miał wrażenie, że poruszają się po omacku, lecz dla Relga, którego oczy w pełnym świetle dnia były praktycznie bezużyteczne, owe pozbawione światła jaskinie stanowiły dom, a wycucie kierunku nigdy go nie zawiodło. I tak dotarli wreszcie do słabo oświetlonej pieczary i czystego jak szkło jeziora, na środku którego wznosiła się wyspa - siedziba Gorima.

- Yad ho, Belgarath! - zawołał święty starzec w białych szatach, gdy stanęli na brzegu podziemnego jeziora. - Groja UL.

- Gorimie - odparł Belgarath z pełnym szacunku ukłonem. - Yad ho, Groja UL.

Następnie przekroczyli marmurową groblę i dołączyli do Grolima. Obaj starcy uściśnęli się serdecznie.

- Minęło już ładne parę lat - stwierdził czarodziej. - Jak się miewasz?
- Czuję się niemal młodo - Gorim uśmiechnął się. - Teraz, kiedy Relg odnalazł mego następcę, mogę wreszcie dojrzeć kres mojej drogi.

- Odnalazł? - powtórzył ze zdumieniem Belgarath.

- W sumie na to samo wychodzi - stary kapłan spojrzał ciepło na Relga. - Kiedyś nie zgadzaliśmy się, prawda, mój synu? Lecz, jak się okazało, obaj zmierzaliśmy do tego samego celu.

- Tyle że ja uświadomiłem to sobie z nieco większym trudem, święty Gorimie - odrzekł cierpko Relg. - Jestem odrobinę bardziej uparty niż większość ludzi. Czasami zdumiewa mnie, że UL miał dla mnie dość cierpliwości. Pozwólcie, że was pożegnam, muszę odwiedzić żonę i syna. Nie widziałem ich od wielu dni. - Odwrócił się i szybkim krokiem pokonał groblę.

Belgarath uśmiechnął się szeroko.

- Co za cudowna przemiana.

- Jego żona to prawdziwa cudotwórczyni - zgodził się Gorim.

- Jesteś pewien, że ich dziecko to kolejny wybraniec?

- UL to potwierdził. Niektórzy protestowali, Taiba bowiem nie jest córą ULa, lecz Marażką, ale głos ULa uciszył ich.

- Z pewnością. Zauważyłem, że głos ULa bywa bardzo donośny. Chciałeś się ze mną widzieć?

Oblicze Gorima przybrało poważny wyraz. Wskazał dłonią swój dom o kształcie piramidy.

- Wejźmy do środka. Jest parę pilnych spraw, które musimy omówić.

Podarek podążył za nimi w głąb domu. Pomieszczenie wewnątrz rozświetlał słaby blask kryształowej kuli, zwisającej z sufitu na grubym łańcuchu. Stał tam stół, otoczony niskimi kamiennymi ławami. Kiedy usiedli, stary Gorim spojrzał z powagą na Belgaratha.

- Nie jesteśmy tacy, jak ludzie, którzy żyją w blasku słońca na powierzchni, przyjacielu - zaczął. - Im przeznaczono szum wiatru w wierzchołkach drzew, szmer bystrych strumieni, śpiew ptaków na niebie. Lecz w naszych jaskiniach docierają do nas jedynie głosy samej ziemi.

Belgarath skinął głową.

- Ziemia i skały przemawiają do ludu Ulgosów w szczególny sposób - ciągnął Gorim. - Czasami docierają do nas dźwięki z przeciwnej strony świata. Podobny odgłos od kilku lat odzywa się w skałach, stając się coraz głośniejszy i wyraźniejszy z każdym miesiącem.

- Może to jakiś uskok? - podsunął Belgarath. - Miejsce, gdzie przesuwają się skalne leża kontynentów?

- Nie sądzę, przyjacielu. Dźwięk, który słyszymy, nie pochodzi od ruchów niespokojnej ziemi. To głos zwiastujący przebudzenie jednego kamienia.

- Nie jestem pewien, czy cię rozumiem. - Belgarath zmarszczył brwi.

- Kamień, który słyszymy, żyje.

Stary czarodziej spojrział na swego przyjaciela.

- Istnieje tylko jeden żywy kamień, Gorimie.

- Sam również zawsze tak myślałem. Słyszałem jednak głos Klejnotu Aldura, gdy wędrował po świecie, i ów nowy dźwięk pochodzi także od żywego kamienia. On się budzi, Belgaracie, i gromadzi swą moc. Jest zły, przyjacielu - tak zły, że nawet ziemia jęczy pod jego ciężarem.

- Od jak dawna dociera do ciebie ten dźwięk?

- Zaczęło się niedługo po śmierci przeklętego Toraka. Belgarath ściągnął wargi.

- Od pewnego czasu wiemy, że w Mallorei coś się dzieje - stwierdził. - Nie mieliśmy jednak pojęcia, że jest to aż tak poważna sprawa. Czy możesz powiedzieć mi coś więcej o tym kamieniu?

- Jedyne jego imię - odparł Gorim. - Słyszeliśmy je, powtarzane szeptem w jaskiniach, pieczarach i szczelinach w skale. Nazywają go Sardius.

Belgarath gwałtownie uniósł głowę.

- Cthrag Sardius? Sardion?

- Słyszałeś o nim?

- Beldin natknął się na tę nazwę w Mallorei. Ma ona coś wspólnego z czymś zwanym Zandramas.

Gorim sapnął, a jego twarz śmiertelnie zbladła.

- Belgaracie! - wykrzyknął wstrząśnięty.

- Co się stało?

- W naszym języku to najpotworniejsze przekleństwo. Czarodziej popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Wydawało mi się, że znam wszystkie słowa w języku Ulgosów. Dlaczego więc nigdy go nie słyszałem?

- Nikt by ci go nie powtórzył.

- Nie sądziłem, że Ulgosi w ogóle znają jakiegokolwiek przekleństwa. Co to w przybliżeniu znaczył

- Wyraz ten oznacza zamieszanie - chaos - absolutne zaprzeczenie wszystkiego. To straszne słowo.

Belgarath zmarszczył brwi.

- Dlaczego ulgoskie przekleństwo miałyby pojawić się w Darshivie jako czyjeś imię albo nazwa? I do tego w związku z Sardionem?

- Może to po prostu dwa różne określenia tej samej rzeczy?

- Nie pomyślałem o tym - przyznał Belgarath. - Przypuszczam, że to możliwe. Wygląda na to, że mają podobne znaczenie.

Polgara starannie pouczała Podarka, że nie powinien wtrącać się do rozmów starszych, tym razem jednak to, co miał do powiedzenia, było dość ważne, by złamać tę regułę.

- To nie to samo - poinformował obu starców. Belgarath spojrzał na niego dziwnym wzrokiem.

- Sardion jest kamieniem, prawda?

- Tak - odparł Gorim.

- Zandramas nie jest kamieniem. To człowiek.

- Skąd możesz to wiedzieć, mój chłopcze?

- Spotkaliśmy się - poinformował ich spokojnie Podarek. - Niezupełnie oko w oko, ale - no cóż... - trudno mu było to wytłumaczyć. - To przypominało cię - tyle że osoba, która go rzucała, była gdzieś daleko.

- Projekcja - wyjaśnił Gorimowi Belgarath. - Dostyc prosta sztuczka. Grolimowie za nią przepadają. - Z powrotem przeniósł uwagę na chłopca. - Czy ten cień rozmawiał z tobą?

Podarek przytaknął.

- Powiedział, że mnie zabije. Czarodziej ze świstem wciągnął powietrze.

- Mówiłeś o tym Polgarze?

- Nie. A powinienem?

- Nie sądziłeś, że to raczej ważne?

- Uznałem, że to tylko pogróżka, żeby mnie przestraszyć.

- I co?

- Chodzi ci o to, czy mnie wystraszył? Nie, niezupełnie.

- Czy ty przypadkiem trochę nie przesadzasz, Podarku? A może ludzie tak często grożą ci śmiercią, że zaczyna cię to nudzić?

- Nie. To był jeden jedyny raz. Ale to tylko cień, a cień nie może przecież nikogo zranić.

- Zetknąłeś się może z innymi podobnymi cieniami?

- Tylko z Cyradis.

- A kim jest Cyradis?

- Nie jestem pewien. Mówiła tak, jak Mandorallen - wszystkie te "zasię", "waszmość" i "azaliż" - a na oczach miała przepaskę.

- Wieszcza - mruknął Belgarath. - Co ci powiedziała?

- Że jeszcze się spotkamy - i że mnie lubi.

- Z pewnością była to niezwykle miła rozmowa - stwierdził sucho czarodziej. - Nie trzymaj takich rzeczy w sekrecie, Podarku. Kiedy zdarzy się coś niezwykłego, opowiedz nam o tym.

- Przepraszam - usprawiedliwiał się Podarek. - Myślałem tylko, że - cóż - ty i Polgara, i Durnik, wszyscy macie i tak dużo spraw na głowie.

- Nie mamy nic przeciw temu, by od czasu do czasu nieco nam przeszkodzić. Podziel się z nami swymi przygodami, chłopcze.

- Jeśli tego chcesz.

Belgarath odwrócił się do Gorima.

- Zdaje się, że zaczynamy do czegoś dochodzić dzięki naszemu małomównemu młodemu przyjacielowi. Wiemy, że Zandramas, jeśli wybaczysz mi to słowo, jest człowiekiem - człowiekiem, który ma związek z żywym kamieniem, zwanym przez Angaraków Cthrag Sardius. Ponieważ już wcześniej ostrzegano nas przed Zandramasem, musimy przyjąć, że również Sardion stanowi bezpośrednie zagrożenie.

- Co zatem powinniśmy robić? - spytał Gorim.

- Sądzę, że musimy skoncentrować się na tym, co naprawdę dzieje się w Mallorei - nawet jeśli konieczne będzie sprawdzenie każdego kamienia. Do tej pory czułem jedynie ciekawość. Teraz jednak wygląda na to, że powinienem potraktować całą sprawę poważnie. Jeśli Sardion jest żywym kamieniem, to przypomina Klejnot, i nie chciałbym, aby przedmiot o podobnej mocy trafił do rąk niewłaściwej osoby - aż tego, czego udało mi się dowiedzieć, wnioskuję, iż Zandramas jest zdecydowanie niewłaściwą osobą. - Odwrócił się, by spojrzeć na Podarka, jego twarz zdradzała zakłopotanie. - Jaki jest twój związek z tym wszystkim, chłopcze? Dlaczego każdy, kto odgrywa tu jakąś rolę, musi koniecznie złożyć ci wizytę?

- Nie wiem, Belgaracie - odparł zgodnie z prawdą Podarek.

- Może zatem od tego powinniśmy zacząć. Od dawna obiecywałem sobie, że któregoś dnia odbędę z tobą dłuższą rozmowę. Możliwe, że dzień ten właśnie nadszedł.

- Jeśli sobie życzysz - zgodził się chłopiec. - Nie wiem jednak, czy zdołam ci w czymkolwiek pomóc.

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć, Podarku. Tego musimy się dowiedzieć.

CZEŚĆ DRUGA

Riva

ROZDZIAŁ 9

Belgarion z Rivy nie był w gruncie rzeczy przygotowany na to, że zasiądzie na tronie. Wychował się na farmie w Sendarii i jego dzieciństwo nie różniło się niczym od doświadczeń innych wiejskich dzieci. Gdy po raz pierwszy ujrzał bazaltowy tron we Dworze Rivańskiego Króla, jego wiedza dotyczyła raczej kuchni i obory na farmie niż sali tronowej czy komnaty dworskiej rady. Sprawowanie rządów stanowiło dla niego kompletną tajemnicę, jego pojęcie zaś o dyplomacji było równie blade, co o algebrze.

Na szczęście Wyspa Wiatrów nie należała do królestw zbyt trudnych do rządzenia. Mieszkańcy Rivy byli porządni, rozważni i wyposażeni w silnie rozwinięte poczucie obowiązku i obywatelskiej odpowiedzialności. Te ich cechy znacznie ułatwiały zadanie wysokiemu, jasnowłosemu monarsze podczas pierwszych wyczerpujących lat panowania, gdy dopiero poznawał sztukę sprawowania władzy. Zdarzały mu się błędy, to prawda, lecz konsekwencje owych wczesnych potknięć i omyłek nigdy nie były zbyt poważne, a jego poddani z radością dostrzegli, że ten szczery, bezpośredni młodzieniec, który tak nagle znalazł się na tronie, nigdy dwa razy nie popełnił tej samej pomyłki. Gdy już na dobre przywykł do korony i do swej pracy, śmiało można było stwierdzić, że Belgarion - albo Garion, wołał bowiem, by tak właśnie go nazywano - nie miał praktycznie większych problemów ze swą godnością Rivańskiego Króla.

Posiadał jednak jeszcze inne tytuły. Część z nich była czysto honorowa, pozostałe nie całkiem. Na przykład miano "Bogobójcy" wiązało się z pewnymi obowiązkami, mało prawdopodobne jednak było, by jeszcze kiedykolwiek wezwano go do ich wypełnienia. Tytuł "Pana Zachodniego Morza" nie przysparzał mu niemal żadnych zmartwień, Garion bowiem bardzo szybko uznał, iż fale i przypyływy nie wymagają specjalnego nadzoru, ryby zaś w większości znakomicie potrafią rządzić się same. Przyczynę najczęstszych bólów głowy stanowił wspaniale brzmiący tytuł "Władcy Zachodu". Garion z początku - tuż po zakończeniu wojny z Angarakami - sądził, że tytuł ten, podobnie jak inne, jest czymś czysto formalnym, pustym, choć imponującym słowem, dodanym do całej reszty po to, by uzupełnić kolekcję. Ostatecznie nie zarabiał dzięki niemu ani grosza z podatków, nie dysponował też specjalną koroną czy tronem ani administracją, która zajmowałaby się codziennymi sprawami.

Ku swej rozpaczy odkrył jednak wkrótce, że w ludzkiej naturze leży skłonność do spychania swych kłopotów na osobę zajmującą wyższe stanowisko. Był całkowicie pewien,

że gdyby nie tytuł Władcy Zachodu, jego koledzy królowie sami potrafiliby poradzić sobie ze wszystkimi uciążliwymi problemami. Ponieważ jednak górował nad nimi rangą, z niemal dziecinną radością przekazywali mu wszelkie najtrudniejsze, najboleśniej i najbardziej skomplikowane sprawy, po czym z ufnym, zadowolonym uśmiechem czekali na rozwiązanie, podczas gdy on zmagał się z zagadnieniem.

Idealną ilustracją problemu mógł być konflikt, jaki wynikł w Arendii latem w roku dwudziestych trzecich urodzin Gariona. Do tego momentu rok upływał bez większych zmartwień. Nieporozumienia, które nękały jego związek z Ce'Nedra, zostały zażegnane, i Garion wraz z żoną rozkoszowali się ciepłem domowego ogniska. Zwycięski pochód armii imperatora Kal Zakatha z Mallorei, której obecność na kontynencie budziła ogólny niepokój, zatrzymał się w górach zachodniego Cthol Murgos. Można było żywić nadzieję, że utknie tam, z dala od granic Królestw Zachodu, na całe dziesięciolecie. Generał Yarana, księżę Anadile i regent schorowanego imperatora Rana Boruna XXIII podjął stanowcze działania, by utemperować nieco szaleństwa wielkich rodów Tolnedry w ich nieprzystojnych zmaganiach o imperialną koronę. W sumie Garion spodziewał się dłuższego okresu pokoju i dobrobytu - aż do tego ciepłego letniego dnia, kiedy otrzymał list od króla Korodullina z Arendii.

Garion i Ce'Nedra spędzali właśnie wspólnie spokojne popołudnie wśród wygod królewskiego apartamentu. Rozmawiali o nieistotnych drobiazgach - bardziej dla przyjemności, jaką sprawiało im własne towarzystwo, niż z zainteresowania bieżącymi sprawami. Garion rozparł się w wielkim, pokrytym błękitnym aksamitem fotelu przy oknie, a Ce'Nedra usiadła przed złotym lustrem, szczotkując swe długie włosy barwy miedzi. Garion uwielbiał włosy Ce'Nedry. Zachwycał go ich kolor - i tak ładnie pachniały. Szczególnie lubił jeden uroczo niesforny lok, który zawsze wymykał się, by spłynąć wzdłuż gładkiej białej szyi. Gdy służący wniósł list od króla Arendii, złożony gustownie na srebrnej tacy, rivański władca niemal z żalem oderwał wzrok od swej czarującej żony. Złamał ozdobną woskową pieczęć i rozłożył skrzypiący pergamin.

- Od kogo to, Garionie? - spytała Ce'Nedra, nadal przeciągając szczotką po włosach. Z rozmarzeniem przyjrzała się swemu odbiciu.

- Od Korodullina - odparł i zaczął czytać. Nagłówek brzmiał:

"Dla Jego Wysokości, króla Belgariona z Rivy, Władcy Zachodu, pozdrowienia.

Pozostajemy w nadziei, że list ten zastanie Was i Waszą królową w dobrym zdrowiu i pogodzie ducha. Z radością pozwoliłbym, by moje pióro opisało w pełni miłość i szacunek, jakim wraz z moją panią darzymy Wasze Wysokości, lecz sytuacja w Arendii zaostrzyła się dramatycznie. A że wynika to wprost z działań pewnych Waszych przyjaciół, postanowiłem

tedy zwrócić się do Was o pomoc w zakończeniu całej sprawy.

Ku naszemu wielkiemu żalowi spieszymy donieść, iż owe dotkliwe rany, jakie nasz drogi przyjaciel, baron Vo Ebor, odniósł na polu bitwy pod Thull Mardu, okazały się w końcu śmiertelne. Jego odejście tej wiosny zasmuciło nas bardziej, niż potrafię wyrazić. Był dzielny i wiernym rycerzem. Ponieważ zaś on i baronowa Nerina pozostali bezdzietni, jego dziezicem został daleki siostrzeniec, niejaki sir Embrig, rycerz znany ze swej zapalczywości.

Obawiam się też, że odziedziczony tytuł i ziemie zajmują go bardziej niż fakt, iż narzuca się nieszczęsnej baronowej. Z pośpiechem zupełnie nie przystojącym człękowi szlachetnego urodzenia wyruszył natychmiast do Vo Ebor, by objąć we władanie nową majątność, wiodąc ze sobą gromadę znajomych rycerzy, towarzyszy zabaw i pijatyk. Gdy dotarli do Vo Ebor, sir Embrig wraz ze swą bandą oddali się nieprzystojnym rozrywkom, a kiedy już nieźle szumiało im w głowach, jeden z owych niegodnych rycerzy wyraził zachwyt osobą niedawno owdowiałej Neriny. Nie bacząc na żalobę nieszczęsnej damy sir Embrig natychmiast przyrzekł jej rękę swemu pijanemu towarzyszowi. Prawo arendyjskie zaś w istocie zezwala na podobny czyn, choć żaden prawy rycerz nie narzucałby w podobnie brutalny sposób swej woli pogrążonej w żalu krewniaczce.

Więści o owym nieszczęściu dotarły wkrótce do sir Mandorallena, mocarnego barona Vo Mandor, i wielki ów rycerz natychmiast skoczył na koń. Znając męstwo sir Mandorallena i głębię jego uczucia dla baronowej Neriny, z łatwością możecie sobie wyobrazić, co zaszło po jego przybyciu do Vo Ebor. Sir Embrig i jego banda nierozważnie próbowali stanąć mu na drodze. Z tego, co wiem, doliczono się wielu ofiar i ciężko rannych. Wasz przyjaciel powiódł baronową do swej własnej twierdzy w Vo Mandor, gdzie strzeże jej czci. Sir Embrig, którego rany okazały się - na nieszczęście - niezbyt poważne, ogłosił wojnę pomiędzy Ebor i Mandor, i wezwał na pomoc licznych szlacheckich synów. Inni rycerze zebrali się tłumnie pod sztandarem sir Mandorallena, i południowo-zachodnia Arendia stoi na krawędzi wojny. Do mych uszu dotarły też pogłoski, że Lelldorin z Wildantor, jak zawsze zapalczywy młodzian, zebrał armię asturskich łuczników i w tej chwili spieszy wraz z nimi na południe, zamierzając wesprzeć starego towarzysza broni.

Tak oto przedstawia się sprawa. Z najwyższą niechęcią wkroczyłbym w ten spór, gdyby bowiem do mnie należał osąd, prawa nasze zmusiłyby mnie, bym poparł sir Embriga.

Zwracam się tedy do ciebie, królu Belgarionie, abyś przybył do Arendii i wpłynął na swych dawnych towarzyszy, by zrezygnowali z dalszych zmaganiań. Lękam się, że tylko Wasza interwencja zdoła odwrócić nadciągające nieszczęście.

Z nadzieją i przyjaźnią Korodullin”.

Garion wpatrywał się w list bezradnym wzrokiem.

- Dlaczego ja? - jęknął bez zastanowienia.

- Co pisze Korodullin, kochanie? - Ce'Nedra zamieniła szczotkę na kościany grzebień.

- Píše, że... - Garion urwał. - Mandorallen i Lelldorin... - Z przekleństwem na ustach wstał z fotela. - Masz - powiedział, rzucając jej list. - Sama przeczytaj. - I zaciskając pięści zaczął przechadzać się po komnacie, nadal mamrocząc przekleństwa.

Ce'Nedra zagłębiła się w list, podczas gdy on wciąż krążył po pokoju.

- Oj, niedobrze - westchnęła z konsternacją. - Niedobrze.

- Powiedziałbym, że to świetne podsumowanie całej sytuacji. - Znow zaczął kłąć.

- Garionie, proszę, nie używaj podobnych słów. Zachowujesz się jak jakiś pirat. Co zamierzasz z tym zrobić?

- Nie mam najbledszego pojęcia.

- Ale przecież musisz znaleźć jakieś wyjście.

- Dlaczego ja? - wybuchnął. - Czemu zawsze zrzucają wszystko na mnie?

- Ponieważ wiedzą, że umiesz poradzić sobie z ich problemami lepiej niż ktokolwiek inny.

- Dziękuję - odparł sucho.

- Bądź grzeczny - upomniała go. Następnie z namysłem ściągnęła usta, stukając grzebieniem o policzek. - Oczywiście potrzebna ci będzie korona - i do tego chyba błękitno-srebrna tunika.

- O czym ty mówisz?

- Musisz przecież jechać do Arendii, aby załagodzić sytuację. Uważam, że powinieneś wyglądać jak najlepiej - Arendowie przykładają wielką wagę do ubioru. Może pójdziesz dowiedzieć się, co ze statkiem, a ja w tym czasie zapakuję parę rzeczy? - Wyjrzała przez okno, za którym widać było złociste popołudniowe słońce. - Czy myślisz, że będzie za ciepło na to, byś włożył gronostaje?

- Nie będę miał na sobie płaszcza z gronostajów, Ce'Nedro, tylko zbroję i mój miecz.

- Nie dramatyzuj, Garionie. Wszystko, co masz do zrobienia, to pojechać tam i kazać im, żeby przestali.

- Możliwe, ale najpierw muszę zwrócić ich uwagę. To dotyczy Mandorallena - i Lelldorina, pamiętasz? Nie mamy tu do czynienia z rozsądnymi ludźmi. Jej czoło przecięła lekka zmarszczka.

- To prawda - przyznała, po chwili jednak rzuciła mu pełen otuchy uśmiech. - Jestem jednak pewna, że sobie poradzisz. Mam do ciebie pełne zaufanie.

- Jesteś równie niezdolna jak inni - mruknął, nieco nadąsany.
- Potrafisz to zrobić, Garionie. Wszyscy o tym wiedzą.
- Chyba lepiej pójde pogadać z Brandem - stwierdził ponuro król Rivy. - Trzeba dopatrzyć paru rzeczy, a cała ta sprawa potrwa zapewne kilka tygodni.

- Zajmę się tym, kochanie - powiedziała ciepło Ce'Nedra i poklepała go po policzku. - A teraz już biegnij. Świetnie dam sobie radę podczas twojej nieobecności.

Garion spojrzał na nią i poczuł nagły ucisk w żołądku.

Gdy w pochmurny poranek kilka dni później dotarł do Vo Mandor, sytuacja zmieniała się jeszcze na gorsze. Siły sir Embriga wyruszyły w pole i rozbiły obozowisko w odległości trzech staj od zamku Mandorallena, a jego właściciel wraz z Lelldorinem wymaszerowali z miasta na ich spotkanie. Garion przygalopował do bram potężnej fortecy na bojowym ruma-ku, pożyczonym od gościnnego barona po przybyciu do Arendii. Król Rivy miał na sobie ciężką stalową zbroję, stanowiącą dar króla Korodullina, w pochwie na plecach spoczywał ogromny miecz Żelaznopalcego. Brama rozwarła się przed nim na oścież i Garion wjechał na dziedziniec, gdzie niezręcznie zeskoczył z siodła i zażądał, by natychmiast zaprowadzono go do baronowej Neriny.

Znalazł ją na blankach - pobladłą, odzianą w głęboką czerń. Ze smutkiem wpatrywała się w pochmurne niebo na wschodzie w poszukiwaniu charakterystycznych kolumn dymu, świadczących o rozpoczęciu bitwy.

- Wszystko to przeze mnie, królu Belgarionie - oznajmiła z niezdrowym zapałem. - Niezgoda, właśnie i rozpacz towarzyszą mi od dnia, gdy poślubiłam mego drogiego zmarłego męża.

- Nie ma sensu obwiniać się o to - powiedział Garion. - Mandorallen zazwyczaj potrafi samodzielnie wpędzić się w kłopoty. Kiedy wyruszyli z Lelldorinem?

- Wczoraj w południe - odparła. - Mniemam, że bitwa rozpocznie się lada chwila. - Rzuciła ponure spojrzenie na wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec, leżący daleko w dole, i westchnęła.

- Wobec tego muszę już ruszać - stwierdził z rezygnacją Garion. - Może, jeśli zdołam tam dotrzeć, zanim zaczną, uda mi się jakoś temu zaradzić.

- Właśnie wpadłam na znakomity pomysł, Wasza Wysokość. - Błądą twarz Neriny rozjaśnił lekki uśmiech. - Tuszę, że zdołam ułatwić czekające was zadanie.

- Mam nadzieję, że ktoś zdoła to zrobić. W tej chwili wygląda na to, że czeka mnie paskudny ranek.

- Spiesz zatem, o panie, na pole, gdzie nad głowami naszych drogich przyjaciół zawi-

sła groźba okrutnej wojny, i przekaz, że przyczyny nadchodzącej bitwy nie ma już na tym świecie.

- Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem.

- To bardzo proste, Wasza Wysokość. Ponieważ to przeze mnie wybuchły niesnaski, do mnie należy ich zakończenie.

Garion zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

- O czym dokładnie mówisz, Nerino? W jaki sposób chcesz przywołać tych idiotów do rozsądku?

Jej uśmiech stał się nagle promienny.

- Trzeba mi jedynie rzucić się z tych wyniosłych murów, mój panie, i w ciszy śmierci dołączyć do mego męża. To zakończy ów straszliwy rozlew krwi, zanim się jeszcze rozpoczął. Spiesz zatem, panie. Zstąp na dziedziniec i dosiądź wierzchowca. Ja zaś wybiorę krótszą, miłszą mi drogę i czekać będę w dole, na okrutnych kamieniach. Wtedy tobie pozostanie jedynie zanieść na pole bitwy wieść o mej śmierci. Gdy umrę, żaden człowiek nie będzie już musiał przelać krwi z mego powodu. - Położyła dłoń na szorstkim kamieniu blanków.

- Przestań, Nerino - powiedział z niesmakiem Garion - i odejdz stamtąd.

- Ależ nie, Wasza Wysokość - odparła stanowczo. - To najlepsze z możliwych rozwiązań. Dzięki niemu mogę zapobiec nadchodzącej walce i pozbyć się nieznośnego ciężaru życia.

- Nerino - oznajmił sucho Garion. - Nie pozwolę ci skoczyć i nie ma już o czym mówić.

- Pan mój nie posunie się chyba do tego, by powstrzymać mnie siłą? - Ton jej głosu zdradzał, jak bardzo wstrząsnęła nią ta myśl.

- Nie będę musiał - odrzekł. Spoglądając na jej bladą twarz, na której malował się wyraz dezorientacji, uświadomił sobie, że nie miała najmniejszego pojęcia, o czym mówi. - Z drugiej strony, może to i nie taki zły pomysł. Droga na dół zajmie ci jakieś półtora dnia, więc będziesz mogła spokojnie przemyśleć całą sytuację - a poza tym uchroni cię podczas mojej nieobecności przed skutkami innych szalonych pomysłów.

Jej oczy rozszerzyły się nagle, gdy stopniowo dotarło do niej znaczenie jego słów.

- Wasza Wysokość nie użyje chyba czarów, by zniszczyć me doskonałe rozwiązanie? - westchnęła.

- Chcesz sprawdzić?

Wpatrzyła się w niego bezradnie, w jej oczach zakręciły się łzy.

- Podobne zachowanie nie przystoi rycerzowi - rzuciła oskarżycielsko.

- Wychowano mnie na farmie w Sendarii, pani - przypomniał jej. - Nie dane mi było skorzystać ze szlacheckiego wykształcenia i od czasu do czasu miewam nawroty chłopskiej bezpośredniości. Jestem pewien, że wybaczysz mi to, iż nie pozwoliłem ci popełnić samobójstwa. Teraz, jeśli pozwolisz, muszę zająć się tą bezsensowną bitwą. - Zawrócił i przy akompaniamencie szczęku zbroi ruszył ku schodom. - Och - dodał, oglądając się przez ramię - nie myśl nawet o tym, by skoczyć, gdy tylko odwrócę się do ciebie plecami. Mam bardzo długie ręce, Nerino - bardzo długie.

Wpatrywała się w niego, jej usta drżały.

- Tak już lepiej - stwierdził i zszedł na dół. Służący, zatrudnieni w zamku Mandorallena, rzuciwszy jedno krótkie spojrzenie na gniewne oblicze gościa, maszerującego na dziedzińcu, przezornie usuwali mu się z drogi. Garion z trudem wgramolił się na grzbiet potężnego dereszowatego rumaka, na którym przybył do Vo Mandor, poprawił na plecach pochwę kryjącą w sobie wielki miecz Rivańskiego Króla i rozejrzał się wokół.

- Niech ktoś przyniesie mi kopię - polecił. Natychmiast zjawiono się kilka osób, każda z pożądaną bronią. Służący przepychali się w pośpiechu, by go zadowolić. Garion wybrał jedną, po czym ruszył naprzód grzmiącym galopem.

Obywatele miasta Yo Mandor, leżącego tuż za murami twierdzy Mandorallena, byli równie rozważni, co zamkowa służba. Na zatłoczonych brukowanych ulicach otwierały się przed wściekłym królem Rivy szerokie ścieżki, bramy miasta zaś, szeroko rozwarte, oczekiwały już na jego wyjazd.

Garion wiedział, że musi jakoś zwrócić na siebie ich uwagę, a Arendowie tuż przed bitwą z najwyższym trudem zauważają cokolwiek. Trzeba będzie czymś ich zaskoczyć. Gdy tak pędził przez zielone pola Arendii, mijając niewielkie wioski o schludnych, krytych strzechą chatach i zagajniki, pełne klonów i brzoź, z namysłem uniósł wzrok ku szarym, unoszonym przez wiatr chmurom. W jego umyśle zaczynał się formować pewien plan.

Kiedy dotarł na miejsce, zastał obie armie stojące w gotowości po dwóch stronach rozległej, otwartej łąki. Jak nakazywał odwieczny arendyjski zwyczaj, na razie odbywało się tylko kilka pojedynków, traktowanych jako swego rodzaju preludium do wielkiej finałowej walki, która miała wkrótce nastąpić. Kilkunastu zakutych w zbroje rycerzy, przedstawicieli obu stron, zmagало się na środku pola, podczas gdy armie obserwowały ich z aprobatą. Bezmyślni młodzieńcy, odziani w stal, z entuzjazmem nacierali na siebie, zasypując trawę gradem odłamków ze swych strzaskanych kopii.

Garion jednym spojrzeniem ogarnął całą scenę i niemal bez zastanowienia wjechał w sam środek walki. Trzeba przyznać, że nieco oszukiwał podczas tego natarcia. Jego kopia

wyglądała identycznie jak te, którymi mimbrańscy rycerze usiłovali pozabijać lub poranić się nawzajem. Jedyne różnica polegała na tym, że ta kopia, w odróżnieniu od innych, nie mogła się złamać, niezależnie od tego, z czym się zetknęła. Co więcej, otaczała ją aura czystej mocy. Garion nie miał wcale zamiaru przeszyć kogokolwiek jej ostrym żelaznym szpicem. Chciał jedynie rzucić ich z siodła. Podczas pierwszego przejazdu pośród zaskoczonych i oszołomionych rycerzy strącił z koni trzech - jednego za drugim. Następnie zawrócił wierzchowca i dołączył do nich jeszcze dwóch tak szybko, że głośny szczęk ich zbroi zlał się w jeden donośny dźwięk.

Potrzeba było jednak czegoś więcej - czegoś na tyle widowiskowego, by zdołało przeniknąć przez twarde czaszki Arendów. Garion z lekceważeniem odrzucił swą niezwyciężoną kopię, sięgnął przez ramię i dobył potężnego miecza Rivańskiego Króla. Klejnot Aldura natychmiast rozjarzył się oślepiającym błękitnym światłem, sam miecz zaś zapłonął zimnym ogniem. Jak zwykle, mimo swych imponujących rozmiarów, miecz w dłoni Gariona zdawał się nic nie ważyć i król Rivy posługiwał się nim z oszałamiającą szybkością. Teraz skierował się wprost na jednego ze zdumionych rycerzy, rąbiąc jego kopię na drobne kawałki. Gdy został już jedynie uchwyt, Garion zamachnął się i strącił przeciwnika na ziemię jednym uderzeniem płazem płonącego miecza. Natychmiast po tym zawrócił konia, przeciął na pół wzniesioną maczugę i najechał na jej właściciela, zwalając go na trawę wraz z wierzchowcem.

Oszołomieni gwałtownością jego ataku, mimbrańscy rycerze wycofali się. Nie sprawiała tego jedynie jego porażająca umiejętność walki. Spomiędzy zaciśniętych zębów króla Rivy sypały się ogniste przekleństwa, a jego dobór słów sprawiał, iż najmężniejsi wojownicy bledli. Wreszcie uniósł swój płonący miecz, wskazując zachmurzone niebo nad głową.

- TERAZ! - warknął głosem przypominającym świst bata.

Chmury zadrżały jak smagnięte pod naporem woli Belgariona. Oślepiająca błyskawica, gruba niczym gałąź potężnego drzewa, uderzyła o ziemię z ogłuszającym grzmiotem, który wstrząsnął łąką na mile wokół. W miejscu, gdzie trafił piorun, w trawie pojawiła się wielka, dymiąca dziura. Jeszcze raz, i jeszcze Garion przyzywał błyskawicę. Ryk grzmotów wypełnił powietrze, a smród płonącej darni i spopielonej ziemi unosił się niczym chmura nad głowami przerażonych rycerzy.

Po chwili zerwała się potworna, wyjąca wichura, a z rozdartych chmur popłynęły na oszołomione armie potężne potoki deszczu. Były one tak obfite, że ich napór wystarczył, by wielu rycerzy spadło z siodła. Nawet pośród skowyczącego wiatru i rozszalałej ulewy oślepiające zygzaki błyskawic nadal uderzały w ziemię pomiędzy wojskami. Towarzyszył im straszliwy syk, powietrze wypełniła para i dym. Przebycie dzielącego armie pola byłoby teraz sza-

leństwem.

Garion z ponurą miną skierował przerażonego rumaka w sam środek rozszalałych żywiołów. Otoczony roztańczonymi błyskawicami, odczekał kilkanaście chwil, pozwalając obu armiom dobrze nasiąknąć wodą. Gdy uznał, że dostatecznie już zwrócił na siebie ich uwagę, wznosił miecz i jednym niedbałym gestem uciszył burzę.

- Dostyc już mam tej głupoty! - oznajmił głosem równie doniosłym, co huk grzmotu. - Natychmiast złożcie broń!

Wpatrzeni w niego rycerze nieufnie zerknęli na przeciwników.

- NATYCHMIAST! - ryknął Garion, podkreślając swój rozkaz kolejną błyskawicą i ogłuszającym grzmotem.

Odpowiedział mu głośny szczęk gwałtownie odrzucanej broni.

- Żądam, aby sir Embrig i sir Mandorallen stawili się dokładnie tutaj - oświadczył Garion, wskazując ostrzem miecza punkt tuż przed swoim koniem. - W tej chwili!

Dwóch zakutych w stal rycerzy podjechało do niego powoli i ostrożnie, niczym para skarconych łobuziaków.

- Co się tu dzieje? - spytał ostro Garion.

- Honor nakazał mi działać, Wasza Wysokość - oznajmił słabym głosem sir Embrig. Był to tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy i fioletowo żyłkowanym nosie człowieka, nadużywającego mocnych trunków. - Sir Mandorallen porwał moją krewną.

- Troska wasza o ową damę ogranicza się jedynie do władzy nad jej osobą - odparł zapalczywie Mandorallen. - Bez śladu poszanowania dla jej uczuć zajęliście jej ziemie i majątek i...

- W porządku - warknął Garion - wystarczy. Wasz prywatny konflikt doprowadził połowę Arendii na krawędź wojny. Czy tego właśnie chcecie? Czyżbyście byli parą małych dzieci, które wolą zniszczyć swoją ojczyznę, niż ustąpić drugiemu?

- Ale... - zaczął Mandorallen.

- Żadne ale. - Przez następne kilka minut Garion wyjaśnił im - szczegółowo - co dokładnie o nich sądzi. Ton jego głosu był pogardliwy, dobór słów zaś niezwykle bogaty. Obaj rycerze słuchali go z pobladłymi twarzami. Nagle dostrzegł Lelldorina, który podkradł się, aby podsłuchać.

- A ty! - Garion odwrócił się do młodego Asturianina - co właściwie robisz w Mimbre?

- Ja? Ależ... Mandorallen jest moim przyjacielem, Garionie.

- Czy prosił cię o pomoc?

- Cóż...

- Tak przypuszczałem. Po prostu wzięłeś to na siebie. - Garion rozszerzył swe komentarze o osobę Lelldorina, często podkreślając słowa ruchami płonącego miecza, trzymanego w prawej dłoni. Cała trójka z niepokojem obserwowała śmigające im przed twarzami ostrze. - Dobrze więc - powiedział wreszcie Garion, wyładowawszy nieco swą złość. - Oto, co zrobimy. - Spojrzał wojowniczo na sir Embriga. - Czy chcesz ze mną walczyć? - spytał groźnie, wyzywająco wysuwając szczękę.

Oblicze sir Embriga zbieleło jak mleko, jego wybałuszone oczy niemal wyszły z orbit.

- Ja, Wasza Wysokość? - sapnął. - Miałbym stanąć przeciw Bogobójcy? - Zaczął gwałtownie dygotać.

- Tak sądziłem - mruknął Garion. - W takim razie natychmiast przekaz mi wszelką władzę, jaką sprawujesz nad osobą baronowej Neriny.

- Z radością, Wasza Wysokość - powiedział pospiesznie sir Embrig.

- Mandorallenie - ciągnął Garion. - Może ty chciałbyś ze mną walczyć?

- Jesteś mym przyjacielem, Garionie - zaprotestował Mandorallen. - Prędzej umrę, niż podniosę na ciebie rękę.

- Doskonale. Zatem zrzekniesz się wszystkich roszczeń terytorialnych, jakie mógłbyś wysunąć w imieniu baronowej na rzecz mojej osoby. Teraz ja jestem jej obrońcą.

- Zgadzam się - odparł ponuro Mandorallen.

- Sir Embrigu - oświadczył Garion - przekazuję wam całość baronii Vo Ebor, łącznie z ziemiami, które normalnie przypadłyby Nerinie. Zgadza się pan?

- Tak, Wasza Wysokość.

- Sir Mandorallenie, ofiaruję ci rękę mojej podopiecznej Neriny z Vo Ebor. Czy przyjmujesz ją?

- Całym sercem, mój panie - wykrztusił Mandorallen. Do oczu napłynęły mu łzy.

- Wspaniale - powiedział z podziwem Lelldorin.

- Zamknij się - warknął Garion. - To wszystko, panowie. Wasza wojna się skończyła. Zbierajcie swoje armie i wracajcie do domu - a jeśli znów zaczniecie, wrócę tu. Następnym razem jednak będę naprawdę zły. Rozumiemy się?

W milczeniu skinęli głowami. I tak wojna dobiegła końca.

Kiedy jednak po powrocie armii Mandorallena do Vo Mandor baronowa Nerina usłyszała o decyzji Gariona, zaczęła wnosić gwałtowne obiekcje.

- Czyż jestem zwykłą niewolną dziewczką, którą oddaje się mężczyźnie wedle woli jej pana? - jęknęła z doskonałym wyczuciem dramatyzmu.

- Kwestionujesz moją władzę jako twego opiekuna? - spytał wprost Garion.

- Nie, mój panie. Sir Embrig zgodził się na to. Teraz ty jesteś moim opiekunem. Muszę czynić tak, jak mi rozkażesz.

- Czy kochasz Mandorallena?

Nerina zerknęła szybko na potężnego rycerza i spłonęła rumieńcem.

- Odpowiadaj!

- Tak, panie - rzekła cicho.

- W czym zatem problem? Kochasz go od lat, ale kiedy każę ci go poślubić, protestujesz.

- Panie mój - odparła sztywno baronowa - istnieją pewne zasady, których należy przestrzegać. Podobnie grubiańskie zachowanie ubliża czci damy. - Z tymi słowy odwróciła się i wypadła z pokoju.

Mandorallen jęknął. Z jego ust wyrwał się stłumiony szloch.

- Co się znów stało? - rzucił ostro Garion.

- Lękam się, iż moja Nerina i ja nigdy nie zostaniemy małżeństwem - stwierdził załamany głosem.

- Nonsens. Lelldorinie, może ty rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

Lelldorin zmarszczył brwi.

- Sądzę, że tak. Istnieje długa seria dość delikatnych negocjacji i formalności, które w ogóle pominąłeś. Kwestia posagu, oficjalna pisemna zgoda opiekuna - i, prawdopodobnie najistotniejsze, uroczyste oświadczyzny przy świadkach.

- Odmówiła z powodu formalności? - powiedział z niedowierzaniem Garion.

- Podobne szczegóły są bardzo ważne dla kobiet. Garion westchnął z rezygnacją. To potrwa dłużej, niż przewidywał.

- Chodźcie ze mną - polecił.

Nerina zamknęła drzwi na klucz i nie odpowiedziała na uprzejme pukanie. W końcu Garion spojrzął na solidne dębowe deski, blokujące mu drogę.

- Pękaj! - rozkazał, i drzwi wybuchły do wewnątrz, obsypując siedzącą na łóżku damę deszczem drzazg i odłamków. - A teraz - oznajmił Garion, wkraczając do środka - bierzmy się za interesy. Jaki posag można według was uznać za odpowiedni?

Mandorallen chętnie - bardziej niż chętnie - przyjąłby jakąś symboliczną sumkę, lecz Nerina z uporem nalegała, by było to coś poważniejszego. Krzywiąc się lekko Garion zaproponował wreszcie kwotę satysfakcjonującą damę. Następnie poprosił o pióro i atrament, po czym - z pomocą Lelldorina - naskrobał stosowny dokument.

- Doskonale - powiedział, zwracając się do Mandorallena. - A teraz poproś ją.

- Wasza Wysokość, podobny pośpiech jest wysoce niestosowny - zaprotestowała Nerina. - Zwyczaj nakazuje, by przed oświadczynami przyszli narzeczem mogli lepiej się poznać, a to wymaga czasu.

- Wy się już znacie, Nerino - przypomniał jej Garion. - No dalej, do dzieła.

Mandorallen padł na kolana przed damą swego serca. Jego zbroja zadzwoniła o posadzkę.

- Nerino, czy zgodzisz się zostać moją żoną? - spytał z nadzieją.

Baronowa spojrzała na niego bezradnie.

- Mój panie, nie miałam dość czasu, by przygotować stosowną odpowiedź.

- Spróbuj po prostu powiedzieć "tak" - podsunął Garion.

- Czy takie jest twoje życzenie, mój panie?

- Jeśli chcesz tak na to ująć.

- Muszę zatem być posłuszna. Zgadzam się, Mandorallenie - z całego serca.

- Wspaniale - stwierdził energicznie Garion, zacierając ręce. - Mandorallenie, wstań. Idziemy do kaplicy. Poszukamy jakiegoś kapłana i do kolacji wszystko powinno być załatwione.

- Mój panie, nie każesz chyba, byśmy od razu wzięli ślub? - Nerina była wstrząśnięta.

- W istocie takie jest właśnie moje życzenie. Muszę wracać do Rivy, a nie mogę tego zrobić, póki się nie pobierzecie. W Arendii sprawy mają zwyczaj przybierać nieoczekiwany obrót, jeśli osobiście nie dopatrzy się wszystkiego.

- Nie jestem właściwie przyodziana - zaprotestowała Nerina, spoglądając na swą czarną suknię. - Nie zechcecie chyba, bym stanęła do ślubu w stroju żałobnej barwy?

- Ja zaś - wtrącił Mandorallen - wciąż jeszcze nie zdjąłem zbroi. Mężczyzna nie powinien wkraczać do kaplicy okryty stalą.

- Zupełnie nie obchodzą mnie wasze stroje - poinformował ich Garion. - Liczy się to, co macie w sercach, a nie to, co nosicie na grzbiecie.

- Ale... - Nerina zająknęła się. - Nie mam nawet welonu.

Garion rzucił jej chłodne, przeciągłe spojrzenie. Następnie rozejrzał się po komnacie, zdjął z pobliskiego stołu koronkową serwetę i umieścił ją starannie na głowie damy.

- Uroczo - mruknął. - Jeszcze coś?

- Obrączka? - podsunął z wahaniem Lelldorin. Garion odwrócił się i wbił w niego wzrok.

- Ty też zaczynasz?

- Naprawdę powinni mieć obrączkę, Garionie - bronił się Lelldorin.

Rivański Król zastanowił się przez moment, po czym skupił wolę i wprost z powietrza stworzył prostą, złotą obrączkę.

- Nada się? - spytał, wręczając ją narzeczonemu.

- Mamże być sama? - wtrąciła Nerina słabym, drżącym głosem. - Nie przystoi szlachciance ślubować bez asysty damy odpowiedniej rangi, która mogłaby wspomóc ją i podtrzymać.

- Idź, przyprowadź kogoś - polecił Garion Lelldorinowi.

- Kogo mam wybrać? - zapytał bezradnie Asturianin.

- Wszystko jedno. Po prostu sprowadź do kaplicy damę szlacheckiego rodu - nawet jeśli będziesz musiał przyciągnąć ją tu siłą.

Lelldorin wybiegł z komnaty.

- Coś jeszcze? - W głosie Gariona dźwięczała niebezpieczna nuta, świadcząca, iż jego cierpliwość zaczyna się wyczerpywać.

- Zwyczaj nakazuje, by panu młodemu towarzyszył bliski przyjaciel - przypomniał mu Mandorallen.

- Będzie tam Lelldorin i ja również. Nie pozwolimy ci upaść ani zemdleć, nie mówiąc już o ucieczce.

- Czy mogłabym dostać choć kilka kwiatków? - poprosiła nieśmiało Nerina.

- Ależ oczywiście - odrzekł Garion niebezpiecznie łagodnym głosem. - Wyciągnij rękę.

Zaczął bardzo szybko tworzyć lilie i składać je jedną za drugą w nadstawione dłonie zdumionej damy.

- Czy mają odpowiedni kolor, Nerino? - spytał. - Mogę go zmienić, jeśli sobie życzysz - na fioletowy, żółtozielony, a może wolisz jaskrawoniebieski?

I wtedy zrozumiał wreszcie, że prowadzi to donikąd. Mandorallen i Nerina nigdy nie przestaną wymyślać nowych obiekcji - tak długo, jak to będzie możliwe. Do tego stopnia przywykli do życia w centrum ich miłosnej tragedii, że nie chcieli - a co więcej, nie potrafili - zrezygnować z owej melodramatycznej rozrywki. Z konieczności na niego spadł obowiązek doprowadzenia sprawy do końca. Wiedział, że zachowuje się jak kiepski aktor, mając jednak na względzie wychowanie i umysłowość stojącej przed nim pary, dobył miecza.

- A teraz wszyscy przejdziemy do kaplicy - oznajmił - gdzie odbędzie się wasz ślub. - Wskazał mieczem strzaskane drzwi. - Ruszajcie! - rozkazał.

I tak jedna z najtragiczniejszych historii miłosnych wszechczasów dobiegła wreszcie

szczęśliwie do końca. Tego samego popołudnia Mandorallen i Nerina pobrali się, a Garion dosłownie stał im nad głowami z płonącym mieczem w dłoni, by upewnić się, że w ostatniej chwili nie pojawią się żadne przeszkody.

W sumie Garion był dość zadowolony z siebie i ze sposobu, w jaki załatwił całą sprawę. Następnego dnia w miłym nastroju wyruszył do Rivy.

ROZDZIAŁ 10

I wtedy - opowiadał Garion, odpoczywając w towarzystwie Ce'Nedry w ich wyściełanym błękitnym dywanem salonie wieczorem pierwszego dnia po powrocie do Rivy - kiedy wróciliśmy do zamku Mandorallen i poinformowałem Nerinę, że mogą pobrać się bez przeszkód, ona zaczęła protestować.

- Zawsze sądziłam, że go kocha - zauważyła Ce'Nedra.

- Owszem, ale przez tyle lat znajdowała się w samym centrum wielkiej miłosnej tragedii, że teraz nie chciała z tego zrezygnować. Nie zdołała jeszcze pozbyć się syndromu "szlachetnego cierpienia".

- Nie bądź złośliwy, Garionie.

- Towarzystwo Arendów przyprawia mnie o ból zębów. Po pierwsze zażądała posagu - i to znacznego.

- To chyba rozsądne.

- Nie wtedy, jeśli uświadomisz sobie, że to ja musiałem go zapłacić.

- Ty? Ale dlaczego?

- Jestem jej opiekunem, pamiętasz? Mimo tych wszystkich "zasię" i "azaliż" i przy całej damskiej wrażliwości targowała się jak drasański handlarz koni. Kiedy się wreszcie uspokoiła, moja sakiewka była już bardzo chuda. Musiałem jej także dać oficjalną zgodę na piśmie - oraz welon, damę do towarzystwa, obrączkę i kwiaty. A z każdą chwilą irytowałem się coraz bardziej.

- Nie zapominasz o czymś?

- Nie sądzę.

- Czy Mandorallen nie oświadczył się jej? - Ce'Nedra nachyliła się, jej twarz wyrażała niezwykle zaciekawienie. - Jestem pewna, że na to nalegała.

- Masz rację. Prawie o tym zapominałem. Ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Och, Garionie - westchnęła z dezaprobatą.

- To było wcześniej - zaraz po posagu. W każdym razie oświadczył się jej, a ja kazałem jej powiedzieć "tak", no a potem...

- Chwileczkę. - Ce'Nedra stanowczym gestem uniosła drobną dłoń. - Nie tak szybko. Co dokładnie powiedział, prosząc ją o rękę?

Garion podrapał się za uchem.

- Nie wiem, czy zdołam sobie przypomnieć - wyznał.

- Spróbuj - nalegała. - Proszę.

- Zobaczmy - odrzekł z namysłem, wpatrując się w rzeźbione belki sufitu - Po pierwsze, nie spodobało jej się, że oświadczyły nastąpią przed, jak to nazwała, "bliższym poznaniem" narzeczonych. Zgaduję, że miała na myśli wszystkie te gry w kotka i myszkę, aby choć na chwilę mogli zostać sami w odosobnionym miejscu - oraz miłosne wiersze, kwiaty i cielecy wzrok.

Ce'Nedra rzuciła mu twarde spojrzenie.

- Wiesz, czasami potrafisz być absolutnie niezdolny. Masz tyle wrażliwości co kawał drewna.

- Co to miało znaczyć?

- Mniejsza z tym. Opowiadaj, co było dalej.

- Cóż, wypaliłem jej prosto z mostu, że nie zgadzam się na te wszystkie bzdury. W końcu już się znali. Kazałem im brać się do rzeczy.

- Uroczy z ciebie opiekun, nie ma co - mruknęła ironicznie królowa.

- Ce'Nedro, o co ci chodzi?

- Nieważne. Mów dalej. Zawsze strasznie się wleciesz, kiedy opowiadasz podobne historie.

- Ja? To ty stale mi przerywasz.

- Po prostu opowiadaj, Garionie. Garion wzruszył ramionami.

- To już prawie koniec. Oświadczył się; ona powiedziała "tak" i pogoniłem ich do kaplicy.

- Dokładnie, Garionie - nalegała. - Dokładnie. Co takiego powiedział?

- Nic wstrząsającego. To szło jakoś tak: "Nerino, czy zgodzisz się zostać moją żoną?"

- Och... - W głosie Ce'Nedry zabrzmiało wzruszenie. Ze zdumieniem dostrzegł, że do oczu napłynęły jej łzy.

- Co się stało? - zapytał szybko.

- Nic, nic - odparła, ocierając oczy małąk zwiwną chusteczką. - A ona? Jak zareagowała?

- Stwierdziła, że nie miała czasu, by ułożyć stosowną odpowiedź, więc kazałem jej po prostu powiedzieć "tak".

- I?

- I powiedziała: "Zgadzam się, Mandorallenie - z całego serca".

- Och - powtórzyła Ce'Nedra, ponownie unosząc chusteczkę do zwilgotniałych oczu. -

To po prostu urocze.

- Tak uważasz? Mnie wydawało się lekko naciągane.

- Czasami jesteś po prostu beznadziejny - mruknęła, po czym westchnęła tęsknie. - Ja nigdy nie przeżyłam prawdziwych oświadczeń.

- To nieprawda - zaprzeczył z oburzeniem. - Nie pamiętasz całej tej ceremonii, gdy wraz z ambasadorem Tolnedry przybyłaś do sali tronowej?

- Ale to ja ci się oświadczyłam, Garionie - przypomniała, odrzucając w tył swe ogniste loki. - Stałam przed twym tronem i spytałam, czy zgodzisz się mnie poślubić. Odpowiedziałeś, że tak, i to wszystko. Nigdy nie zapytałeś mnie. Zmarszczył brwi, wracając myślą do dawnych czasów.

- Musiałem cię spytać.

- Ani razu.

- Cóż, skoro już się pobraliśmy, nie jest to chyba aż tak ważne, prawda?

Z jej oczu powiało mrozem. Garion dostrzegł to spojrzenie.

- Czy to rzeczywiście tak istotne, Ce'Nedro?

- Tak, Garionie. Bardzo.

- W porządku - westchnął. - Chyba więc to zrobię.

- Co zrobisz?

- Oświadczę ci się. Czy wyjdiesz za mnie, Ce'Nedro?

- Tylko na tyle cię stać?

Rzucił jej wymowne, przeciągłe spojrzenie. Musiał przyznać, że była niezwykle atrakcyjna. Miała na sobie bładozieloną suknię, pełną falbanek, tu i ówdzie ozdobioną kawałkiem koronki. Siedziała sztywno w fotelu z nadąsaną, niezadowoloną miną. Garion wstał z krzesła, podszedł do niej i dramatycznie padł na kolana. Ujął jej drobną dłoń i spojrzał błagalnie w oczy, próbując naśladować bezrozumne uwielbienie, jakie okazał swej pani Mandorallen.

- Czy Wasza Imperialna Wysokość zgodzi się, bym został jej mężem? - wyrecytował.

- Niewiele mogę ofiarować poza szczerym, kochającym sercem i bezgranicznym oddaniem.

- Drwisz sobie ze mnie? - spytała podejrzliwie.

- Nie. Pragnęłaś oficjalnych oświadczeń. Proszę bardzo. I co?

- Co i co?

- Wyjdiesz za mnie?

Popatrzyła na niego wyniośle, w jej oczach zamigotał złośliwy błysk. Nagle wyciągnęła rękę i czule wzburzyła mu włosy.

- Zastanowię się nad tym - odparła.

- Co to znaczy "zastanowię się nad tym"?

- Kto wie? - stwierdziła z figlarnym uśmiechem. - Może dostanę jakąś lepszą ofertę. Wstań już, Garionie, jeśli pokłęczysz jeszcze trochę, zupełnie rozepchasz sobie spodnie na kolanach.

- Kobiety! - westchnął z desperacją Garion, wyciągając ręce ku niebu.

Spojrzała na niego z ową smutną, niewinną miną, która - póki po raz pierwszy nie przejrzał jej gry - zawsze sprawiała, że ugiwały się pod nim kolana.

- Nie kochasz mnie już ani odrobinę? - spytała drżącym, nieszczerym głosem małej dziewczynki.

- Chyba zdecydowaliśmy jakiś czas temu, że nie będziemy więcej tego robić.

- To szczególna okazja, kochanie - odparła, po czym roześmiała się, wyskoczyła z fotela i zarzuciła mu ręce na szyję. - Och, Garionie! - wykrzyknęła, nie przestając się śmiać. - Kocham cię.

- Mam nadzieję - przytulił ją do siebie i pocałował w nadstawione usta.

Następnego ranka Garion ubrał się dość swobodnie, po czym zastukał do drzwi prywatnego saloniku Ce'Nedry.

- Tak?! - zawołała.

- To ja, Garion. Mogę wejść? - Jego sendarskie wychowanie odcisnęło na nim tak głębokie piętno, że choć to on był tu królem, zawsze prosił o pozwolenie, nim otworzył drzwi do czyjejs komnaty.

- Oczywiście - odparła.

Przekręcił klamkę i wkroczył na jej prywatny teren, do pokoju utrzymanego w barwie różu i bladej zieleni, pełnego falbanek, szeleszczącej satyny i brokatowych zasłon. Ulubiona dama dworu Ce'Nedry, Arell, natychmiast zerwała się na nogi, by wykonać zwyczajowy dyg. Arell była siostrzenicą Branda, córką jego najmłodszej siostry i jedną z kilkunastu rivańskich panien z najlepszych rodzin, usługujących królowej. Była także niemal archetypiczną Alo-mką - wysoka, jasnowłosa i hoża, o złotych warkoczach zawiniętych wokół głowy, głębokich niebieskich oczach i mlecznobiałej cerze. Wraz z Ce'Nedrą stanowiły niemal nierozłączną parę, spędzając większość czasu z głowami nachylonymi do siebie, szepcząc i chichocząc. Z jakiejś przyczyny Arell zawsze pokrywała się głębokim rumieńcem, gdy tylko Garion wszedł do pokoju. Nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje, w głębi ducha jednak podejrzewał, iż Ce'Nedra opowiedziała swej przyjaciółce pewne rzeczy, które naprawdę powinny pozostać w sekrecie - rzeczy, które sprawiały, że na jego widok policzki młodej Rivanki pokrywał gorący rumieniec.

- Wybierani się do miasta - oznajmił Garion. - Potrzebujesz czegoś?

- Wolę sama załatwiać własne sprawunki - odparła Ce'Nedra, wygładzając przód satynowego szlafroka. - Zresztą i tak zawsze coś pokręcisz.

Miał już na końcu języka złośliwą odpowiedź, lecz powstrzymał ją w ostatniej chwili.

- Jak chcesz. A zatem do zobaczenia na drugim śniadaniu.

- Jak mój pan rozkaże. - Ce'Nedra skłoniła się ironicznie.

- Przestań.

Wykrzywiła się do niego, po czym podbiegła i ucałowała go w policzek. Garion odwrócił się do Arell.

- Pani - powiedział z uprzejmym ukłonem.

W jej niebieskich oczach dostrzegł tłumione rozbawienie i pełną namysłu ciekawość. Arell zarumieniała się i ponownie dygnęła.

- Wasza Wysokość - odrzekła z szacunkiem. Wychodząc z królewskiego apartamentu Garion zastanawiał się od niechcienia, co takiego powiedziała Arell Ce'Nedra, by mogło stać się przyczyną wszystkich tych rumieńców i ukradkowych spojrzeń. Jednocześnie jednak czuł wdzięczność dla tej jasnowłosej dziewczyny. Dotrzymywała Ce'Nedrze towarzystwa, dzięki czemu on sam mógł się zająć innymi sprawami. Od czasu interwencji cioci Pol i zakończenia sporu, który sprawił im tak wiele bólu, Ce'Nedra stała się bardzo zaborcza, jeśli chodzi o wolny czas męża. Ogólnie rzecz biorąc Garion uważał, że małżeństwo to dość miła instytucja, czasem jednak Ce'Nedra nieco przesadzała.

Na korytarzu czekał już drugi syn Branda, Kail, trzymający w dłoni arkusz pergaminu.

- Sądzę, Wasza Wysokość, że sprawa ta wymaga natychmiastowej uwagi - oświadczył oficjalnym tonem.

Choć Kail, podobnie jak jego ojciec i bracia, był prawdziwym wojownikiem-wysokim, o szerokich barach - wyróżniał się też wykształceniem, inteligencją i dyskrecją. Ogromna wiedza na temat Rivy i jej mieszkańców umożliwiała mu dokonywanie selekcji pośród obszernych petycji, apelacji i propozycji adresowanych do korony, i oddzielanie spraw ważnych od trywialnych. Gdy Garion zasiadł na tronie Rivy, zorientował się, że pilnie potrzebuje kogoś, kto mógłby kierować całą administracją. Kail był idealnym kandydatem na to stanowisko. Miał dwadzieścia cztery lata i krótko przyciętą brązową brodę. Godziny spędzane w gabinecie sprawiły, że lekko zezował, a między jego brwiami na dobre usadowiła się pionowa zmarszczka. Ponieważ co dzień spędzali razem kilka godzin, wkrótce zostali przyjaciółmi. Garion wysoko cenił osąd i rady Kaila.

- Czy to poważne? - spytał, odbierając pergamin i przebiegając wzrokiem treść doku-

mentu.

- Być może - odparł Kail. - Dotyczy dysputy na temat własności pewnej doliny. Obie rodziny są dość potężne i uważam, że powinniśmy rozstrzygnąć ich konflikt, zanim sprawy posuną się za daleko.

- Czy istnieją wyraźne dowody, świadczące na korzyść którejkolwiek ze stron?

Kail potrząsnął głową.

- Oba rody od wieków wspólnie korzystały z tej doliny. Ostatnio jednak o coś się pokłóciły.

- Rozumiem - mruknął Garion. Zastanowił się przez chwilę. - Niezależnie od tego, co zdecyduję, zawsze jedna ze stron będzie niezadowolona. Mam rację?

- Najprawdopodobniej, Wasza Wysokość.

- W porządku. Pozwólmy zatem, by obie były niezadowolone. Napisz jakąś w miarę oficjalną deklarację, głoszącą, iż od tej pory sporna dolina należy do mnie. Przez jakiś tydzień damy im podduśnić się nieco we własnym sosie, po czym podzielę ziemię na dwie równe części, z których każdą oddam jednej rodzinie. Będą tak wściekli na mnie, że zapomną o wzajemnych pretensjach. Nie życzę sobie, aby ta wyspa stała się nową Arendią.

Kail roześmiał się.

- To bardzo praktyczne rozwiązanie, Belgarionie.

- Wychowałem się w Sendarii, pamiętasz? - odparł Garion z szerokim uśmiechem. - Aha, zatrzymaj dla nas pas terenu dokładnie pośrodku, szeroki na jakieś sto metrów. Nazwiemy go ziemią koronną i zabronimy komukolwiek wstępu. To powinno powstrzymać ich przed walkami o miedzę. - Oddał Kailowi pergamin i ruszył korytarzem, bardzo zadowolony z siebie.

Celem jego dzisiejszej wyprawy do miasta był warsztat młodego mistrza szklarskiego, zdolnego rzemieślnika imieniem Joran. Pretekst do odwiedzin stanowiło obejrzenie kompletu kryształowych pucharów, który zamówił jako prezent dla Ce'Nedry, prawdziwy powód był jednak znacznie poważniejszy. Dzięki swemu skromnemu wychowaniu Garion bardziej niż inni władcy interesował się kłopotami i opiniami zwyczajnych ludzi, które rzadko trafiały do sali tronowej. Był przekonany, iż potrzebuje w mieście swoich uszu - nie po to, by szpiegować osoby nieprzychylnie królowi, lecz by zdobyć prawdziwe rzetelne informacje na temat problemów swych poddanych. Joran był jego uszami. Po ukończeniu oględzin pucharów obaj przeszli do małego służbowego pomieszczenia na tyłach warsztatu.

- Twoja wiadomość dotarła do mnie zaraz po moim powrocie z Arendii - powiedział Garion. - Czy naprawdę jest aż tak źle?

- Obawiam się, że tak, Wasza Wysokość. Ten podatek stanowczo był źle pomyślany i stał się w mieście powodem wielu nieprzychylnych opinii.

- W dodatku dotyczących mojej osoby, co?

- Ostatecznie jest pan królem.

- Dziękuję - odparł sucho Garion. - Co budzi największe niezadowolenie?

- Wszystkie podatki są uciążliwe - zauważył Joran - ale da się je znieść, jeśli każdy musi płacić tyle samo. To zwolnienia denerwują ludzi.

- Zwolnienia? Jakie zwolnienia?

- Szlachta nie musi płacić podatków od handlu. Nie wiedział pan o tym?

- Nie.

- Wzięło się to stąd, że w teorii każdy szlachcic ma jeszcze inne zobowiązania - szkolenie i utrzymanie żołnierzy i tak dalej. W tej chwili to już tylko mit. Korona wystawia teraz swą własną armię. Jeśli jednak szlachcic bierze się do handlu, nie musi płacić ani grosza podatku. Jedyna różnica między nim a jakimkolwiek innym kupcem jest taka, że przypadkiem ma tytuł szlachecki. Jego sklep wygląda dokładnie tak samo jak mój, jego praca w niczym nie różni się od mojej - tyle że ja muszę płacić podatek, a on nie.

- Nie wygląda to zbyt sprawiedliwie - zgodził się Garion.

- Co gorsza, ja muszę ustalać wyższe ceny, aby móc spłacić podatek, lecz szlachcic może obniżyć koszty i ukraść mi klientów.

- Trzeba to naprawić - zdecydował Garion. - Zlikwidujemy zwolnienia.

- Szlachta nie będzie zachwycona - uprzedził Joran.

- I nie musi - odparł stanowczo Garion.

- Jest pan bardzo sprawiedliwym władcą, Wasza Wysokość.

- Poczucie sprawiedliwości nie ma tu nic do rzeczy. Jak wielu szlachciców zajmuje się handlem w tym mieście?

Joran wzruszył ramionami.

- Ze dwa tuziny.

- A ilu jest innych kupców?

- Setki.

- Wolę zatem, by nienawidziły mnie dwa tuziny ludzi niż kilkuset.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał Joran.

- Ja muszę brać to pod uwagę - odrzekł cierpko Garion.

W następnym tygodniu znad Morza Wiatrów napłynęły nad wyspę ciężkie chmury, przynosząc z sobą zimny wiatr i przelotne ostre deszcze. Pogoda w Rivie nigdy nie należała

do najprzyjemniejszych i letnie burze były tu tak powszechne, że Rivanie uważali je za coś naturalnego. Ce'Nedra jednak wychowała się daleko na południu, w słońcu Tol Honeth, i wilgotny chłód, przenikający mury Cytadeli za każdym razem, gdy niebo przybierało barwę ołowiu, rozdrażniał ją i przygnębiał. Zazwyczaj podczas ataków złej pogody kuliła się w wielkim, obitym zielonym aksamitem fotelu, stojącym tuż obok ognia. Tam, opatulona w koc, siedziała godzinami z filiżanką herbaty w jednej ręce i grubą księgą w drugiej - najczęściej był to jakiś arendyjski romans, opowiadający rozwlekle o niewiarygodnie dzielnych rycerzach i wdychających damach, stale balansujących na krawędzi katastrofy. Jednak dłuższe uwięzienie w pałacu sprawiało zazwyczaj, że w końcu odrywała się od książki i wyruszała na poszukiwanie innych rozrywek.

Pewnego późnego poranka, gdy wiatr jęczał w kominach, a krople deszczu uderzały o okna, Ce'Nedra wkroczyła do gabinetu Gariona. Jej mąż pograżył się głęboko w lekturze wyczerpującego raportu dotyczącego produkcji wełny na ziemiach koronnych na pomocy. Drobną królowa miała na sobie zielony aksamitny płaszcz, obramowany gronostajami. Jej mina zdradzała głębokie niezadowolenie.

- Co robisz? - spytała.

- Czytam o wełnie.

- Po co?

- Zdaje się, że powinienem o niej coś wiedzieć. Wszyscy wokół z poważnymi minami prowadzą długie dyskusje na temat wełny. Wygląda na to, że to dla nich bardzo ważne.

- Naprawdę tak cię to interesuje? Wzruszył ramionami.

- Takie rzeczy pomagają pospłacać rachunki. Ce'Nedra podeszła do okna i wyjrzała na smagane deszczem budynki.

- Czy ten deszcz kiedykolwiek ustanie? - spytała po chwili.

- Przypuszczam, że w końcu tak.

- Chyba poślę po Arell. Może wybierzemy się do miasta i pomyszkujemy po sklepach.

- Na dworze jest dość mokro, Ce'Nedro.

- Mogę założyć płaszcz, a zresztą nie jestem z cukru. Czy dasz mi trochę pieniędzy?

- Zdaje się, że dostałaś coś w zeszłym tygodniu.

- Wydałam je. Teraz potrzebuję więcej.

Garion odłożył raport i skierował się do masywnego sekretarzyka stojącego przy ścianie. Wyjął z kieszeni tuniki klucz, otworzył sekretarzyk i wysunął najwyższą szufladę. Ce'Nedra podeszła do niego i ciekawie zajrzała do środka. Połowę szuflady wypełniały monety, złote, srebrne i miedziane, bezładnie wymieszane razem.

- Skąd to masz?! - wykrzyknęła.

- Dają mi je od czasu do czasu - wyjaśnił. - Wrzucam je tutaj, bo nie chce mi się nosić ich przy sobie. Myślałem, że o tym wiesz.

- Skąd miałabym wiedzieć? Nigdy nic mi nie mówisz. Ile tu jest?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Garionie! - była wstrząśnięta. - Czy nigdy ich nie liczyłeś?

- Nie. A powinienem?

- Od razu widać, że nie jesteś Tolnedraninem. To chyba nie cały królewski skarbiec?

- Nie. Skarbiec znajduje się gdzie indziej. Zdaje mi się, że to pieniądze na moje osobiste wydatki.

- Koniecznie trzeba je policzyć.

- Nie mam na to czasu, Ce'Nedro.

- Ale ja mam. Wyjmij tę szufladę i zanieś na stół. Posłuchał, lekko stękając pod ciężarem, po czym stanął obok, przyglądając się z czułym uśmiechem, jak jego żona siada i zaczyna radośnie liczyć pieniądze. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak wielką przyjemność sprawiało jej przeliczanie i segregowanie monet. Promieniała szczęściem, gdy metaliczny brzęk pieniędzy wypełniał jej uszy. Kilka monet pokryło się śnieżką. Obejrzała je z dezaprobatą i przerwała liczenie, by wypolerować każdą ostrożnie rąbkiem spódnicy.

- Podobno wybierałaś się do miasta - zauważył, wracając na swoje miejsce po drugiej stronie stołu.

- Chyba już nie dzisiaj.

Liczyła dalej. Niesforny lok opadł jej na twarz i Ce'Nedra co chwila odrzucała go dmuchnięciem, całkowicie pochłonięta swą pracą. Zaczepnęła z szuflady kolejną garść monet i zaczęła starannie rozkładać je na stole przed sobą. Miała przy tym tak poważną minę, że Garion wybuchnął śmiechem. Gwałtownie uniosła wzrok.

- Co cię tak śmieszy? - spytała ostro.

- Nic, kochanie - odparł i wrócił do pracy przy dźwięcznym akompaniamencie brzęczących monet.

W miarę upływu lata z południa napływały coraz pomyślniejsze wieści. Król Urgit z Cthol Murgos wycofał się głęboko w góry i wojska imperatora Zakatha niemal całkowicie przestały posuwać się naprzód. Podczas pierwszej próby ścigania Murgów pośród owych niedostępnych pustkowi armia malloreańska poniosła tak ogromne straty, że teraz poruszała się niezwykle ostrożnie. Garion z satysfakcją przyjął wiadomość o tym, że na razie wojna An-

garaków utkwiała w martwym punkcie.

Pod koniec lata wysłannicy z Algarii przynieśli wieść, iż kuzynka Gariona Adara obdarzyła Hettara drugim synem. Ce'Nedra niemal oszalała z radości i sięgnęła głęboko do szuflady w sekretarzyku męża, by sprawić matce i dziecku odpowiednie upominki.

Nowiny, które dotarły do nich wczesną jesienią, nie były już niestety tak radosne. W krótkim, smutnym liście generał Yarana donosił, że zdrowie ojca Ce'Nedry, imperatora Rana Boruna XXIII, pogarsza się z każdą chwilą i że powinni natychmiast wyruszyć do Tol Honeth. Na szczęście jesienne niebo wypogodziło się i pozostało czyste, gdy statek unoszący Rivańskiego Króla i jego straszliwie zaniepokojoną maleńką żonę żeglował na południe, unoszony stałą, łagodną bryzą. Po tygodniu dotarli do Tol Horb u szerokiego ujścia Nedrane, po czym skierowali się w górę rzeki do stolicy imperium, Tol Honeth.

Po kilku zaledwie milach ich statek natknął się na oczekującą go flotyllę biało-złotych barek, które natychmiast utworzyły eskortę i towarzyszyły mu do Tol Honeth. Na pokładach barek stały grupki młodych Tolnedranek, sypiących garściami płatki kwiatów na spokojną powierzchnię rzeki i wznoszących chóralne śpiewy na powitanie Księżniczki Imperium.

Garion stał na pokładzie statku u boku swej żony. Słyszając powitalną pieśń zmarszczył brwi.

- Czy to przypadkiem nie przesada? - spytał.

- Taki jest zwyczaj - wyjaśniła. - Członkowie imperialnego rodu zawsze otrzymują eskortę do bram miasta.

Król Rivy wsłuchał się w słowa pieśni.

- Czy nie słyszeli jeszcze o twoim ślubie? Witają Księżniczkę Imperium, nie Rivańską Królową.

- Tolnedranie to prowincjusze, Garionie. W ich oczach Księżniczka Imperium jest znacznie ważniejsza niż królowa jakiejś odległej wyspy.

Śpiewy towarzyszyły im przez całą drogę. Gdy ujrzeli przed sobą lśniące białe mury Tol Honeth, powitała ich ogłuszająca fanfara. Oddział legionistów w błyszczących napierśnikach i hełmach z powiewającymi pióropuszcami oczekiwał już na marmurowym nabrzeżu pod łopoczącymi na wietrze proporcami. Żołnierze mieli odprowadzić ich poprzez szerokie ulice aż do pałacu imperatora.

Przy bramie powitał ich generał Yarana. Był to mężczyzna o masywnej sylwetce zawodowego żołnierza i krótko przyciętych kręconych włosach. Wyraźnie kulał, a jego twarz miała poważny wyraz.

- Czy zdążyliśmy na czas, wuju? - spytała Ce'Nedra. - W jej głosie zabrzmiało przera-

żenie.

General skinał głową, po czym mocno objął drobną postać królowej.

- Musisz być dzielna, Ce'Nedro - powiedział. - Twój ojciec jest bardzo, bardzo chory.

- Czy jest jeszcze jakakolwiek szansa? - Jej głos zadrżał lekko.

- Zawsze możemy mieć nadzieję - odparł, lecz ton jego głosu zdradzał, iż dawno ją już utracił.

- Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście - generał spojrzał z powagą na Gariona. - Wasza Wysokość - skłonił lekko głowę.

- Wasza Miłość - odrzekł Garion, pamiętając, iż kapryśny ojciec Ce'Nedry adoptował Yaranę kilka lat wcześniej i że generał był obecnie prawowitym następcą tronu imperium.

Yarana poprowadził ich, kulejąc, przez wykładane marmurem korytarze ogromnego pałacu do skrzydła, którego drzwi strzegła para legionistów w wypolerowanych napierśnikach. Gdy się zbliżyli, drzwi otwarły się bezszelestnie i wyszedł zza nich lord Morin, odziany w brunatny płaszcz, Szambelan Imperium. Od czasu, kiedy Garion widział go po raz ostatni, Morin znacznie się postarzał. Na jego twarzy malowała się troska o chorego władcę.

- Kochany Morinie! - zawołała impulsywnie Ce'Nedra, obejmując najbliższego przyjaciela ojca.

- Maleńka Ce'Nedra! - odparł czule, - Tak się cieszę, że zdążyliście. Pytał o ciebie. Mam wrażenie, że jedynie oczekiwanie na twój przyjazd trzyma go jeszcze przy życiu.

- Czy jest przytomny? Morin przytaknął.

- Najczęściej drzemie, ale wciąż jeszcze zachował pełnię umysłowych sił.

Ce'Nedra wyprostowała się, ściągnęła łopatki i starannie wygięła wargi w radosny, optymistyczny uśmiech.

- W porządku - oświadczyła. - Chodźmy.

Ran Borune leżał w przepastnym, osłoniętym baldachimem łożu pod złocistą kołdrą. Nigdy nie był zbyt muskularny, a choroba przekształciła go w żywy szkielet. Jego cerę trudno było nazwać bladą - miała szary, niezdrowy odcień, a wydatny nos wychudł i sterczał ze ściągniętej twarzy niczym dziób chyżego statku. Jego oczy były zamknięte, a chuda pierś dygotała spazmatycznie, gdy zmagał się z każdym oddechem.

- Ojczy? - powiedziała Ce'Nedra tak cicho, że jej głos był tylko odrobinę głośniejszy od szeptu.

Imperator otworzył jedno oko.

- O - stwierdził gniewnie - widzę, że wreszcie się zjawiłaś.

- Nic nie mogłoby mnie powstrzymać - odparła, nachylając się nad nim, by ucałować pomarszczony policzek.

- Dla mnie to raczej mało pocieszające - mruknął.

- Teraz, kiedy tu jestem, zobaczymy, co się da zrobić. Niedługo znów będziesz zdrowy.

- Nie traktuj mnie jak małe dziecko, Ce'Nedro. Moi lekarze spisali mnie już na straty.

- Co oni wiedzą? My, Borunowie, jesteśmy niezniszczalni.

- Czy ktoś wydał takie prawo za moimi plecami? - imperator spojrzał ponad ramieniem córki na swego zięcia. - Dobrze wyglądasz, Garionie. I proszę, nie marnuj czasu na fałszywe komplementy. Wyglądam okropnie, prawda?

- Dość okropnie, tak - zgodził się Garion.

Ran Borune przesłał mu porozumiewawczy uśmiech. Zaraz potem z powrotem przeniósł wzrok na córkę.

- No, Ce'Nedro? - powiedział miłym głosem. - O co dziś się pokłócimy?

- Pokłócimy? Kto mówi, że będziemy się kłócić?

- Zawsze się kłócimy. Nie mogłem się już tego doczekać. Nie pamiętam żadnej porządnej awantury od dnia, kiedy ukradłaś moje legiony.

- Pożyczyłam, ojczy - poprawiła sucho Ce'Nedra, jakby na przekór sobie.

- Tak to nazywasz? - mrugnęła do Gariona. - Szkoda, że cię przy tym nie było - zachichotał. - Doprowadziła mnie do ataku, a potem podwędziła całą armię, gdy ja ocierałem usta z piany.

- Podwędziła?! - krzyknęła Ce'Nedra.

Ran Borune wybuchnął śmiechem, który wkrótce jednak przeszedł w gwałtowny kaszel. Gdy się uspokoił, z trudem chwycił oddech i był tak słaby, że nie mógł nawet unieść głowy. Przymknął oczy i zdrzemnął się, podczas gdy Ce'Nedra niespokojnie krzątała się wokół.

Po mniej więcej kwadransie do komnaty wkroczył cicho lord Morin, niosący w dłoni niewielką butelkę i srebrną łyżeczkę.

- Czas już na jego lekarstwo - powiedział cicho. - Nie sądzę, aby mogło mu w czymś pomóc, ale nigdy nie zaszkodzi spróbować.

- Czy to ty, Morinie? - spytał imperator nie otwierając oczu.

- Tak, Wasza Wysokość.

- Przyszła już odpowiedź z Tol Ranę?

- Owszem.

- I co?

- Obawiam się, że sezon również i tam dobiegł końca.

- Musi być gdzieś na świecie choć jedno drzewo, które wciąż jeszcze wydaje owoce - powiedział z rozpaczą wychudzony mężczyzna w królewskim łożu.

- Jego Wysokość wyraził pragnienie skosztowania świeżych owoców - wyjaśnił Ce'Nedrze i Garionowi Morin.

- Nie byle jakich owoców - wykrztusił Ran Borune. - Wiśni. Chcę wiśni. W tej chwili podarowałbym wielkie księstwo człowiekowi, który dostarczyłby mi dojrzałych wiśni.

- Nie bądź niemądry - upomniała go Ce'Nedra. - Sezon na wiśni zakończył się parę miesięcy temu. Może masz ochotę na ładną, świeżą brzoskwinie?

- Nie chcę brzoskwiń. Chcę wiśni!

- Cóż, i tak ich nie dostaniesz.

- Niedobra z ciebie córka, Ce'Nedro - rzucił oskarżycielsko imperator.

Garion odsunął się nieco i zaczął szeptać do ucha Ce'Nedry.

- Zaraz wrócę - oznajmił i w towarzystwie Morina opuścił pokój. Na zewnątrz spotkali generała Yaranę.

- Jak on się czuje? - spytał generał.

- Kaprysi - odparł Garion. - Domaga się wiśni.

- Wiem - stwierdził kwaśno Yarana. - Prosi o nie od tygodni. To typowe dla Borunów - zawsze żądają niemożliwego.

- Czy gdzieś w pobliżu rosną jakieś wiśnie?

- Jest kilka w jego prywatnym ogrodzie. Dlaczego?

- Myślałem, że może pogawędzę z nimi przez chwilę - odrzekł niewinnie Garion. - Wyjaśnię parę rzeczy, rzucę kilka słów zachęty.

Yarana spojrzał na niego z głębokim niesmakiem.

- To naprawdę nic zdrożnego - zapewnił go Garion. Generał uniósł dłoń i odwrócił wzrok.

- Proszę, Belgarionie - powiedział bolesnym głosem - nie staraj mi się tego wyjaśnić. Nie chcę nawet o tym słuchać. Jeśli masz zamiar to zrobić, po prostu zrób i tyle. Ale nie próbuj mnie przekonać, że to naturalne i zdrowe.

- W porządku - zgodził się Garion. - Jak mam trafić do tego ogrodu?

Oczywiście nie było to zbyt trudne. Garion widział, jak Belgarath Czarodziej robił już podobne rzeczy przy różnych okazjach. Po dziesięciu zaledwie minutach wrócił na korytarz przed drzwi chorego władcy, niosąc w dłoni niewielki koszyk pełen ciemnoczerwonych

wiśni.

Yarana spojrział przeciągle na koszyk, nie odezwał się jednak ani słowem. Król Rivy otworzył cicho drzwi i wszedł do środka.

Ran Borune leżał wsparty na swych poduszkach, jego ściągnięta twarz zdradzała wyczerpanie.

- Nie widzę powodów, czemu nie - mówił właśnie do Ce'Nedry. - Dobra córka obdarzyłaby do tego czasu swego ojca co najmniej pół tuzinem wnuków.

- Dojdziemy do tego, ojcze - odparła. - Dlaczego wszyscy tak się tym przejmują?

- Bo to ważne, Ce'Nedro. Nawet ty nie możesz być tak niemądra, by... - urwał, wpatrując się z niedowierzaniem w koszyk w ręku Gariona. - Skąd je wzięłeś?! - wykrzyknął.

- Nie sądzę, abyś naprawdę chciał to wiedzieć. To jedna z tych rzeczy, które z niewiadomych przyczyn okropnie denerwują Tolnedran.

- Nie stworzyłeś ich chyba? - spytał podejrzliwie imperator.

- Nie. To dużo trudniejsze. Po prostu nieco zachęciłem do współpracy drzewa w twoim ogrodzie. Były bardzo chętne do działania.

- Cóż za wspaniałego młodzieńca poślubiłaś, Ce'Nedro - westchnął Ran Borune, łaskomie spoglądając na wiśnie. - Postaw je tutaj, chłopcze. - Poklepał dłonią koldrę obok siebie.

Ce'Nedra posłała mężowi pełen wdzięczności uśmiech, odebrała mu koszyk i postawiła u boku ojca. Niemal odruchowo wzięła jedną wiśnię i wsunęła do ust.

- Ce'Nedro! Zostaw moje wiśnie w spokoju!

- Chciałam tylko sprawdzić, czy są dojrzałe, ojcze.

- Każdy idiota widzi, że są dojrzałe - odparł, zazdrośnie tuląc do siebie koszyk. - Jeśli masz ochotę na wiśnie, to sama sobie nazrywaj. - Starannie wybrał duży, lśniący owoc. - Znakomite - stwierdził, przetykając radośnie.

- Ojcze, nie pluj pestkami na podłogę - upomniała go Ce'Nedra.

- To moja podłoga - odrzekł. - Zajmij się swoimi sprawami. Plucie pestkami jest najprzyjemniejsze. - Zjadł jeszcze kilka wiśni. - Nie będziemy dyskutować o tym, skąd je zdobyłeś, Garionie - oznajmił wielkodusznie. - Teoretycznie użycie czarów na terytorium imperium sprzeciwia się tolnedrańskiemu prawu, ale przymknę na to oko - tym razem.

- Dziękuję, Ranie Borune - odparł Garion. - Doceniam to.

Po zjedzeniu prawie połowy wiśni imperator uśmiechnął się i westchnął, ukontentowany.

- Już czuję się lepiej - stwierdził. - Kiedyś Ce'Vanne przynosiła mi świeże wiśnie w podobnym koszyku.

- Moja matka - poinformowała Gariona Ce'Nedra. Oczy Rana Borune zaszyły nagle mgłą smutku.

- Tęsknię za nią - powiedział bardzo cicho. - Życie z nią było zupełnie niemożliwe, ale z każdym dniem coraz bardziej za nią tęsknię.

- Ledwie ją pamiętam - wtrąciła z żalem Ce'Nedra.

- Ja pamiętam ją bardzo dobrze - odrzekł jej ojciec. - Oddałbym całe moje imperium, żeby tylko raz jeszcze ujrzeć jej twarz.

Ce'Nedra ujęła w dłoń wychudzoną rękę Rana Borune i błagalnie spojrzała na męża.

- Czy mógłbyś? - spytała. W jej oczach pojawiły się dwie wielkie łzy.

- Nie jestem zupełnie pewien - mruknął z zakłopotaniem Garion. - Zdaje mi się, że wiem, jak to zrobić, ale nigdy nie spotkałem twojej matki, musiałbym więc... - urwał, jego umysł pracował gorączkowo. - Z pewnością ciocia Pol potrafiłaby, ale... - Podszedł do łóżka. - Zawsze możemy spróbować. - Ścisnął wolną rękę Ce'Nedry, drugą dłonią ujmując palce imperatora i łącząc ich w jeden krąg.

Było to niezmiernie trudne. Wiek i długa choroba zaćmiły wspomnienia Rana Borune, obecny zaś w umyśle Ce'Nedry obraz matki był tak niewyraźny, że ledwie dawało się go odczytać. Garion skupił się, zbierając całą swą wolę. Na jego czoło wystąpiły kropelki potu, gdy walczył, by połączyć owe ulotne wspomnienia w jeden obraz.

Światło, przenikające przez zwiewne zasłony nagle pociemniało, jakby po niebie przepłynęła chmura, przesłaniając słońce. W oddali rozległ się delikatny dźwięk małych złotych dzwoneczków. W komnacie rozszedł się dziwny, leśny zapach - ulotna woń mchu, liści i zielonych drzew. Światło przygasło jeszcze mocniej, dzwonenie zaś i zapach nasiliły się.

I nagle w powietrzu u stóp łoża umierającego imperatora ukazał się mglisty, jaśniejący obłok. Jego blask płonął coraz mocniej i w nim ukazała się ona. Ce'Vanne była nieco wyższa niż jej córka, lecz Garion natychmiast dostrzegł, dlaczego Rana Borune zawsze darzył swą jedynaczkę takim uwielbieniem. Ich włosy miały ten sam odcień głębokiej czerwieni, cera była identycznie złocistooliwkowa, a oczy zielone. Twarz Ce'Vanne zdradzała upór i niezależność, lecz w spojrzeniu kryła się głęboka miłość.

Postać bezszelestnie obeszła łóżko, wyciągając dłoń, by musnąć policzek Ce'Nedry stęsknionymi, widmowymi palcami. Garion zauważył nagle źródło owego dziwnego dźwięku. Matka Ce'Nedry miała w uszach złote kolczyki w kształcie żółędzi, ulubioną ozdobę córki. Ukryte wewnątrz dzwoneczki wydawały z siebie cichy, melodyjny brzęk za każdym razem, gdy ich właścicielka poruszyła głowę. Zupełnie irracjonalnie Garion przypomniał sobie, że te same kolczyki leżały w tej chwili na toalecie Ce'Nedry w Rivie.

Ce'Vanne wyciągnęła dłoń do męża. Twarz Rana Borune wyrażała zachwyt, jego oczy były pełne łez.

- Ce'Vanne - powiedział drżącym szeptem, próbując podnieść się na łóżku. Wyszarpnął rozdygotaną rękę z uścisku Gariona i sięgnął ku zjawie. Przez moment ich dłonie zdawały się stykać, a potem Ran Borune wydał z siebie długie, chrapliwe westchnienie, opadł na poduszki i umarł.

Ce'Nedra przez długi czas siedziała bez ruchu, trzymając w dłoni rękę ojca, podczas gdy z pokoju wolno ulatniała się leśna woń, dźwięk dzwoneczków znikał w dali, a światło dzienne powracało. Wreszcie ostrożnie złożyła wyniszczoną dłoń na kołdrze, wstała i niemal obojętnie rozejrzała się po komnacie.

- Oczywiście trzeba tu będzie wywietrzyć - stwierdziła z roztargnieniem. - I może przynieść jakieś kwiaty, aby odświeżyć powietrze. - Wygładziła kołdrę z boku łóżka i spojrzała poważnie na ciało ojca. Następnie odwróciła się. - Och, Garionie! - zaszlochała i nagle rzuciła mu się w ramiona.

Garion przytulił ją do siebie, gładząc jej włosy i czując drżenie drobnego ciała. Cały czas jednak nie odrywał wzroku od nieruchomej, spokojnej twarzy imperatora Tolnedry. Zapewne musiało to być złudzenie, ale wydało mu się, że na ustach Rana Borune dostrzega szczęśliwy uśmiech.

ROZDZIAŁ 11

Uroczysty pogrzeb imperatora Rana Borune XXIII z Trzeciej Dynastii Borunów odbył się kilka dni później w świątyni Nedry, Boga-Lwa czczonego w imperium. Świątynia mieściła się w wielkim marmurowym budynku nie opodal pałacu imperatora. Ołtarz wspierał się na potężnym wachlarzu z czystego złota, z wyrytą pośrodku lwią głową. Tuż przed ołtarzem ustawiono prosty marmurowy katafalk, na którym złożono ojca Ce'Nedry. Nieżyjący imperator leżał spokojnie, od stóp aż po szyję okryty złotą materią. Przedzielone rzędami kolumn wewnątrz świątyni wypełniło się po brzegi rywalizującymi członkami wielkich rodów. Nie chodziło im bynajmniej o okazanie szacunku zmarłemu, lecz o popisanie się bogactwem strojów i ciężarem przystrajających je klejnotów.

Garion i Ce'Nedra, odziani w najgłębszą czerń, siedzieli u boku generała Yarany z przodu rozległej sali i słuchali mów pożegnalnych. Tolnedrańska polityka wymagała, by przedstawiciel każdego z potężnych rodów zabrał głos przy tej smutnej okazji. Garion podejrzewał, że przemówienia przygotowano z dużym wyprzedzeniem. Wszystkie były niezwykle kwieciste i nużące, i każde zdawało się zmierzać do stwierdzenia, że choć Ran Borune odszedł, imperium trwa dalej. Wielu mówców, wygłaszających te słowa, sprawiało wrażenie bardzo zadowolonych z siebie.

Gdy wreszcie mowy dobiegły końca, okryty białą szatą najwyższy kapłan Nedry - pękaty, spocony mężczyzna o wulgarnych zmysłowych ustach - powstał z miejsca i stanął przed ołtarzem, by dodać parę słów od siebie. Posługując się przykładami z życia Rana Borune wygłosił długie kazanie, dotyczące korzyści z posiadania majątku i mądrego z niego korzystania. Z początku Garion był wstrząśnięty doborem tematu homilii, lecz urzeczony twarzą zebranego w świątyni tłumu przekonały go, iż dla Tolnedran kazanie o pieniądzach jest naprawdę wzruszające, a najwyższy kapłan dzięki tak porywającemu tematowi mógł przemycić w swej mowie liczne pochwały dotyczące ojca Ce'Nedry.

Kiedy wygłoszono już wszystkie rozwlekłe przemówienia, drobne ciało imperatora zostało złożone obok jego żony pod marmurową płytą w należącej do Borunów części katakumb w podziemiach świątyni. Następnie żałobnicy powrócili do głównej sali, aby wyrazić kondolencje pogrążonej w smutku rodzinie. Ce'Nedra znosiła to dobrze, choć była bardzo blada. W pewnym momencie zachwiała się lekko i Garion odruchowo sięgnął, aby ją podtrzymać.

- Nie dotykaj mnie! - syknęła cicho, gwałtownie unosząc głowę.

- Słucham? - Garion spojrział na nią ze zdumieniem.

- Nie wolno nam okazać ani śladu słabości w obecności naszych nieprzyjaciół. Nie załamuję się, żeby dostarczyć rozrywki Honethom, Horbitom czy Yorduom. Gdybym to zrobiła, mój ojciec z oburzenia powstałby z grobu.

Wielmoże ze wszystkich znaczniejszych rodzin nadal podchodzili do nich, by wygłosić sążniste i wyraźnie nieszczerze kondolencje, skierowane do obleczonej w żałobę Rivańskiej Królowej. W Garionie ich ledwie skrywane uśmieški budziły pogardę, a jadowite uwagi - niesmak.

Z każdą chwilą stawał się coraz surowszy i bardziej wyniosły. Jego groźna obecność wkrótce odebrała całą radość Wielkim Książętom, ich damom i pochlebcom. Tolnedranie rzeczywiście bali się tego wysokiego, tajemniczego władcy Alornów, który zjawił się znikąd, aby objąć tron Rivy, a jego kroki wstrząsnęły całą ziemią. Gdy podchodzili do Ce'Nedry, aby wyrecytować zjadliwe komentarze, wyraz jego chłodnej, ponurej twarzy sprawiał, że słowa więzły im w gardłach i wiele starannie przygotowanych impertynencji pozostało nie wypowiedzianych.

Wreszcie, oburzony tak bardzo, że opuściły go nawet jego dobre sendarskie maniery, Garion stanowczym gestem ujął żonę pod rękę.

- Pójdziemy już - oświadczył donośnym głosem, wyraźnie słyszalnym w całej świątyni. - Powietrze w tym miejscu zaczyna nieco cuchnąć.

Ce'Nedra rzuciła mu krótkie, zdumione spojrzenie, po czym uniosła podbródek w swój najbardziej władczy, królewski sposób, wsparła się lekko na ramieniu Gariona i wraz z nim ruszyła ku wielkim drzwiom z brązu. W świątyni zapadła grobowa cisza, a przed królewską parą otwarła się szeroka ścieżka.

- Świetna robota, kochanie - pogratulowała mu ciepło Ce'Nedra, gdy siedzieli już w wyłożonej złotem imperatorskiej karecie, wiozącej ich w stronę pałacu.

- Uznałem to za właściwe - odparł. - Osiągnąłem punkt, w którym musiałem albo powiedzieć coś przykrego, albo zamienić całą tę hałastrę w stado ropuch.

- Cóż za urzekająca myśl! - wykrzyknęła. - Jeśli chcesz, możemy zawrócić.

Kiedy Yarana zjawił się w pałacu jakąś godzinę później, wręcz promieniował zadowoleniem.

- Belgarionie - oznajmił z szerokim uśmiechem - wspaniały z ciebie młodzieniec, wiesz o tym? Jednym jedynym słowem zdołałeś śmiertelnie obrazić praktycznie całą szlachtę północnej Tolnedry.

- Jakim słowem?

- "Cuchnąć".

- Przykro mi.

- Nieśluszenie. Doskonale ich opisuje.

- Jest jednak nieco grubiańskie.

- Bynajmniej, biorąc pod uwagę okoliczności. Udało ci się jednak narobić sobie wielu nieprzejednanych wrogów.

- Tego właśnie potrzebuję - odrzekł kwaśno Garion. - Dajcie mi jeszcze parę lat, a będę miał wrogów na całym świecie.

- Król nie może właściwie wypełniać swoich obowiązków nie zrażając ludzi, Belgarionie. Byle dureń potrafi przejść przez życie nie obrażając nikogo.

- Dzięki.

Nikt nie wiedział dokładnie, jak postąpi Yarana po śmierci Rana Borune. Jego adopcja przez nieżyjącego imperatora była niewątpliwie wybiegiem, i to niezbyt legalnym. Kandydaci do tronu, oślepieni żądzą władzy nad imperium, zdołali przekonać samych siebie, że Yarana posłuży jedynie jako tymczasowy zarządca, póki kwestia sukcesji nie zostanie rozstrzygnięta w zwyczajowy sposób.

Wątpliwości pozostały aż do dnia jego oficjalnej koronacji, która miała miejsce dwa dni po pogrzebie Rana Borune. Kiedy generał wkuśtykał do Świątyni Nedry, ubrany w swój mundur miast tradycyjnego złotego płaszcza, który mógł nosić jedynie imperator, tryumf i radość pretendentów do tronu stały się niemal wyczuwalne. Najwyraźniej ten człowiek nie traktował poważnie swego wyniesienia. Przekupienie go mogło wymagać sporej sumki, lecz droga do pałacu imperatorskiego wciąż stała otworem. Zebrani z szerokimi uśmiechami przyglądali się, jak Yarana w inkrustowanym złotem napierśniku podchodzi do ołtarza.

Najwyższy kapłan schylił się na moment, szepcząc kilka słów. Yarana odpowiedział i oblicze kapłana pokryło się nagle śmiertelną bladością. Dygocząc gwałtownie otworzył spoczywającą na ołtarzu szkatułę ze złota i kryształu i wyjął z niej wysadzaną klejnotami Koronę Imperium. Krótko przycięte włosy Yarany zostały namaszczone tradycyjnymi olejami, po czym najwyższy kapłan uniósł drżącymi rękami koronę.

- Niniejszym koronuję cię - oznajmił głosem niemal piskliwym z przerażenia - na imperatora Rana Borune XXIV, władcę Tolnedry.

Minął moment, nim znaczenie tych słów dotarło do słuchaczy. Po chwili świątynię wypełniły gorączkowe okrzyki protestu, gdy tolnedrańscy wielmoże uświadomili sobie, że wybierając takie, a nie inne imię Yarana stanowczo dał do zrozumienia, iż zamierza zatrzy-

mać koronę dla siebie. Protesty ucichły nagle jak ucięte nożem, kiedy legionieści, którzy cichcem wypełnili ukryte za kolumnami boczne nawy świątyni, z głośnym, metalicznym szczękiem dobyli swych mieczy. Błyszczące klingi uniosły się w salucie.

- Niech żyje Ran Borune! - zagrzmiały legiony. - Niech żyje imperator Tolnedry!

I tyle.

Tego wieczoru Garion, Ce'Nedra i nowo koronowany imperator zasiedli razem w prywatnej komnacie Yarany, pełnej szkarłatnych draperii i rozjarzonej blaskiem dziesiątków świec.

- Zaskoczenie jest równie ważne w polityce, co w taktyce wojskowej, Belgarionie - wyjaśniał Yarana. - Jeśli przeciwnik nie wie, co zamierzasz zrobić, w żaden sposób nie może przygotować środków zaradczych.

Generał już otwarcie nosił złoty imperatorski płaszcz.

- To prawda - odparł Garion, sącząc z kielicha tolnedrańskie wino. - Fakt, że zamiast płaszcza założyłeś napierśnik, sprawił, że do samego końca mogli tylko zgadywać.

- Kierowały mną bardziej praktyczne względy - zaśmiał się generał. - Wielu z tych młodzieńców odbyło szkolenie wojskowe, a w legionach uczymy żołnierzy rzucać nożem. Ponieważ musiałem odwrócić się do nich plecami, wołałem, żeby przestrzeń między moimi łopatkami była okryta solidną warstwą stali.

- Wygląda na to, że tolnedrańscy politycy są bardzo nerwowi.

Yarana skinął głową.

- Ale to właśnie jest zabawne - dodał.

- Masz dziwne pojęcie o zabawie. Parę razy rzucano już we mnie nożem i niespecjalnie mnie to rozbawiło.

- My, Anadilowie, zawsze mieliśmy szczególne poczucie humoru.

- Borunowie, wuju - poprawiła z naciskiem Ce'Nedra.

- Co mówiłaś, kochanie?

- Teraz jesteś Borunem, nie Anadilem - i powinieneś zacząć zachowywać się jak jeden z Borunów.

- Czyli jak choleryk? Niezbyt zgadza się to z moją naturą.

- Jeśli chcesz, Ce'Nedra może udzielić ci paru lekcji - zaproponował Garion, uśmiechając się czule do żony.

- Co takiego?! - krzyknęła z oburzeniem Ce'Nedra. Jej głos wzniósł się co najmniej o oktawę.

- Przypuszczam, że masz rację - zgodził się Varana. - Zawsze była w tym doskonała.

Ce'Nedra westchnęła żałośnie, przyglądając się dwóm uśmiechniętym monarchom. Jej twarz przybrała teatralnie tragiczny wyraz.

- O, ja biedne dziewczę, cóż mam teraz począć? - spytała drżącym głosem. - Oto obraża mnie i dręczy nie tylko mój mąż, ale i brat.

Yarana spojrział na nią ze zdumieniem.

- Wiesz, w ogóle o tym nie pomyślałem. Ty rzeczywiście jesteś teraz moją siostrą, prawda?

- Może nie jesteś tak sprytny, jak sądziłam, kochany braciszku - wymamrotała ze słodyczą w głosie. - Wiem, że Garion nie jest zbyt bystry, ale myślałam, że ty okażesz się mądrzejszy.

Garion i Yarana wymienili ponure spojrzenia.

- Czy macie, panowie, ochotę na dalszą zabawę? - W oczach Ce'Nedry zamigotał nagle błysk, na jej wargach błąkał się uśmiezek zadowolenia.

Nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Tak? - rzucił Yarana.

- Lord Morin chce się zobaczyć z Waszą Wysokością - oznajmił strażnik za drzwiami.

- Przyślij go tutaj.

Imperialny szambelan bezszelestnie wkroczył do komnaty. Smutek, jaki odczuwał po śmierci człowieka, któremu tak długo i wiernie służył, pozostawił ślady na jego twarzy, jednak pełnił swoje obowiązki sprawnie i bez hałasu, jak zawsze.

- Tak, Morinie?

- Na zewnątrz czeka pewna osoba, Wasza Wysokość. Jest raczej powszechnie znana, więc sadiłem, że powinienem zawiadomić Waszą Wysokość osobiście, zanim ją wprowadzę.

- Znana?

- To kurtyzana Bethra, Wasza Wysokość - oświadczył Morin, zerkając z zakłopotaniem na Ce'Nedre. - W przeszłości wyświadczyła koronie pewne... powiedzmy, przysługi. Dzięki swemu zajęciu miała dostęp do wielu informacji i była wieloletnią przyjaciółką Rana Borune. Od czasu do czasu informowała go o poczynaniach niektórych wrogich mu wielmożów. Ran Borune rozkazał przygotować dla niej specjalne sekretne wejście do pałacu, aby mogli, eee... w spokoju rozmawiać - między innymi.

- Przebiegły stary lis.

- Z tego co wiem, jej informacje zawsze okazywały się ściśle - ciągnął Morin. - Twierdzi, że ma coś ważnego do zakomunikowania Waszej Wysokości.

- Lepiej więc przyprowadź ją, Morinie - polecił Yarana. - Rzecz jasna, za twoim po-

zwoleniem, droga siostró - dodał, zwracając się do Ce'Nedry.

- Oczywiście - przytaknęła Ce'Nedra. Jej oczy błyszczały z ciekawości.

Kobieta, którą Morin wprowadził, miała na sobie lekki płaszcz z kapturem, gdy jednak wyciągnęła krągłą, gładką rękę i odrzuciła go, Garion zdumiał się. Znał ją. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś, gdy wraz z ciotką Pol i innymi towarzyszami przejeżdżali przez Tol Honeth w pościgu za Zedarem Odstępcą i skradzionym Klejnotem, ta sama kobieta zaczepiła Silka i wymieniła z nim kilka kpiących słów. Kiedy odpięła płaszcz, pozwalając, aby zmysłowo zsunął się z jej kremowych ramion, ujrzał, że przez prawie dziesięć lat, jakie minęło od ich poprzedniego spotkania, zupełnie się nie zmieniła. W jej lśniących, granatowoczarnych włosach nie pojawił się nawet ślad siwizny. Oszłamiająco piękna twarz była nadal gładka jak u dziewczynki, a w oczach o ciężkich powiekach kryła się przewrotna złośliwość. Jej suknia była barwy najbledszej lawendy, a skrojono ją w sposób, który miast osłaniać, miał raczej podkreślać kształty bujnego, niemal zbyt zmysłowego ciała. To ciało stanowiło wyzwanie dla każdego napotkanego mężczyzny. Garion zagapił się na nią otwarcie, póki nie pochwycił wwiercającego się weń spojrzenia zielonych oczu Ce'Nedry, po czym szybko odwrócił wzrok.

- Wasza Wysokość - powiedziała Bethra gardłowym kontraltem, dygając z wdziękiem przed nowym imperatorem - odczekałabym pewien czas przed przedstawieniem panu mojej osoby, ale dotarło do mnie kilka rzeczy, które natychmiast powinien pan usłyszeć.

- Doceniam pani przyjaźń, lady Bethro - odparł Yarana z nienaganną uprzejmością.

Roześmiała się ciepłym, zmysłowym śmiechem.

- Nie jestem damą, Wasza Wysokość - poprawiła go. - Zdecydowanie nie jestem damą. - Ukłoniła się Ce'Nedrze. - Księżniczko - mruknęła.

- Pani - odparła Ce'Nedra z prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy. W jej głosie znać było lekki chłód.

- Ach - westchnęła niemal ze smutkiem Bethra, po czym z powrotem odwróciła się do Yarany. - Dziś po południu podejmowałam u siebie hrabiego Ergona i barona Kelbora.

- Dwóch potężnych członków rodziny Honethów - wyjaśnił Garionowi Yarana.

- Panowie z rodu Honethów są niezbyt zachwyceni dokonaniem przez Waszą Wysokość wyborem oficjalnego imienia - ciągnęła Bethra. - Rozmawiali w pośpiechu i podnieceniu, ale obawiam się, że ich słowa należy potraktować poważnie. Ergon to kompletny osioł, pompatyczny, zadufany dureń, jednakże baron Kelbor to przeciwnik, którego nie można lekceważyć. W każdym razie ustalili, że ponieważ w pałacu roi się od legionistów, nie ma praktycznie szans, by mógł Waszą Wysokość dosięgnąć jakiś zabójca. Potem jednak Kelbor po-

wiedział: “Jeśli chce się zabić węża, trzeba odciąć mu ogon - tuż poniżej głowy. Nie możemy dotrzeć do Yarany, lecz jego syn pozostaje w naszym zasięgu. Bez następcy ród Yarany wygaśnie wraz z jego śmiercią”.

- Mój syn? - spytał ostro Yarana.

- Jego życiu zagraża poważne niebezpieczeństwo, Wasza Wysokość. Uznałam, że powinien pan o tym wiedzieć.

- Dziękuję ci, Bethro - odparł z powagą generał i dodał, zwracając się do Morina: - Poślij oddział trzeciego legionu do domu mojego syna. Nikt nie ma prawa wejść do środka ani go opuścić, póki nie poczynię innych ustaleń.

- W tej chwili, Wasza Wysokość.

- Chciałbym także zamienić parę słów z dwoma dżentelmenami z rodu Honethów. Wyślij żołnierzy, aby zaprosili ich do pałacu. Niech zaczekają w komnacie przylegającej do sali tortur. Porozmawiam z nimi w wolnej chwili.

- Nie zrobiłbyś tego! - wykrzyknęła Ce’Nedra.

- Prawdopodobnie nie - przyznał Yarana - ale oni nie muszą o tym wiedzieć, prawda? Zapewnijmy im parę nerwowych godzin.

- Natychmiast się tym zajmę - stwierdził Morin. Ukłonił się i cicho opuścił pokój.

- Powiedziano mi, że znała pani mojego ojca. - Ce’Nedra zwróciła się do posągowej piękności, stojącej na środku komnaty.

- Tak, księżniczko - odparła Bethra. - I to całkiem dobrze. Od lat byliśmy przyjaciółmi.

Oczy Ce’Nedry zwęziły się.

- Twój ojciec, księżniczko, był pełnym temperamentu mężczyzną - stwierdziła beznamytnie Bethra. - Podobno większość ludzi nie wierzy, że takie rzeczy mogłyby dotyczyć ich rodziców, ale zdarza się to od czasu do czasu. Bardzo go lubiłam i przypuszczam, że będzie mi go brak.

- Nie wierzę ci - oznajmiła szorstko Ce’Nedra.

- To już oczywiście zależy wyłącznie od ciebie.

- Mój ojciec nie zrobiłby czegoś takiego.

- Skoro tak twierdzisz, księżniczko - odparła Bethra z leciutkim uśmiechem.

- Kłamiesz! - warknęła Ce’Nedra.

Przez moment w oczach Bethry zamigotał nagły błysk.

- Nie, księżniczko. Ja nie kłamię. Czasami mogę ukrywać prawdę, ale nigdy nie kłamię. Kłamstwo zbyt łatwo wykryć. Ran Borune był moim bliskim przyjacielem. Czuliśmy się

dobrze w swoim towarzystwie - w różnych sytuacjach. - Głos kurtyzany zdradzał rozbawienie. - Pałacowe wychowanie uchroniło cię przed poznaniem pewnych faktów, księżniczko. Tol Honeth to dogłębnie zepsute miasto, a ja czuję się w nim jak ryba w wodzie. Spójrzmy w oczy brutalnej prawdzie. Jestem dziwką i nie staram się tego ukrywać. Pracę mam łatwą - często również przyjemną - i dobrze zarabiam. Przyjaźnię się z wieloma spośród najbogatszych i najpotężniejszych mężczyzn na świecie. Rozmawiamy, a oni cenią sobie konwersację ze mną, kiedy jednak przychodzą do mojego domu, to nie po to, by prowadzić dyskusje. Rozmowy zaczynają się później. Tak samo było, gdy odwiedzałam twojego ojca. Owszem, rozmawialiśmy, księżniczko, ale zazwyczaj później.

Twarz Ce'Nedry płonęła, jej oczy były szeroko otwarte ze zdumienia.

- Nikt jeszcze nigdy tak do mnie nie mówił!

- Zatem najwyższy czas, aby ktoś odważył się na to - stwierdziła ze spokojem Bethra.

- Jesteś teraz znacznie mądrzejsza - może nie szczęśliwsza, ale z pewnością mądrzejsza. Obecnie zaś, jeśli pozwolicie, pójdę już. Honethowie mają wszędzie swoich szpiegów i nie byłoby najlepiej, gdyby dowiedzieli się o tej wizycie.

- Chciałbym ci podziękować za dostarczone informacje - powiedział Varana. - Pozwól, że wynagrodzę ci jakoś ten kłopot.

- To nigdy nie było konieczne, Wasza Wysokość - odparła z wyniosłym uśmiechem.

- Informacja nie należy do rzeczy, którymi handluję. Pójdę już - o ile oczywiście nie chce pan porozmawiać o interesach. - Przerwała układanie płaszcza, posyłając mu porozumiewawcze spojrzenie.

- Ach, może to nie najlepszy moment, Bethro - odparł Yarana, zerkając ukradkiem na Ce'Nedre. W jego głosie zabrzmiała nuta żalu.

- Zatem innym razem. - Kurtyzana dygnęła i bezszelestnie opuściła pokój, pozostawiając za sobą jedynie pizmową woń perfum.

Policzki Ce'Nedry nadal płonęły, w jej oczach błyszczało oburzenie. Odwróciła się gwałtownie, stając naprzeciw Gariona i Yarany.

- Niech żaden z was nie śmie pisnąć ani słowa - rozkazała. - Nawet jednego słowa.

Kilka dni później smutna wizyta w Tol Honeth dobiegła końca i Garion z Ce'Nedrą znaleźli się na pokładzie statku zdążającego w stronę Wyspy Wiatrów. Choć Ce'Nedra rzadko okazywała swą rozpacz, Garion znał ją dostatecznie dobrze, by pojąć, że śmierć ojca zraniła ją do głębi. Ponieważ kochał ją i szanował jej uczucia, przez kilka następnych miesięcy traktował ją szczególnie troskliwie i czule.

W tym samym roku, w połowie jesieni, królowie Alornów wraz z królową Porenn, re-

gentką Drasni, przybyli do Rivy na tradycyjne spotkanie Rady Alornów. Jednak temu spotkaniu nie towarzyszyła gorączkowa atmosfera poprzednich zebrań Rady. Torak nie żył, Angarakowie pograżyli się w bratobójczych wojnach, a na tronie Rivy znów zasiadał król. Zjazd miał więc tym razem charakter czysto towarzyski, choć królowie udawali zaabsorbowanych polityką i zebraли się w błękitnej sali obrad, wysoko w południowej baszcie Cytadeli. Ze śmiertelną powagą rozprawiali o wojnie w południowym Cthol Murgos, która najwyraźniej utknęła w martwym punkcie, oraz o kłopotach Yarany z rodem Yorduów z północnej Tolnedry.

Być może zrazem niepowodzeniem Honethów, którym nie udało się dokonać zamachu, Yorduowie postanowili spróbować secesji. Wkrótce po koronacji Yarany na imperatora Rana Borune XXIV ród Yorduów ogłosił, że ich wielkie księstwo nie stanowi już części Tolnedry, lecz jest oddzielnym, niezależnym królestwem - choć nie zdecydowali jeszcze, który z nich ma zasiąść na tronie.

- Yarana będzie musiał wysłać przeciw nim legiony - oznajmił król Anheg, ocierając rękawem usta z piwnej piany. - W przeciwnym razie inne rodziny także się odłączą i Tolnedra rozleci się niczym połamana sprężyna.

- To nie takie proste, Anhegu - wtrąciła gładko królowa Porenn, odwracając się od okna, z którego obserwowała krzątanicę w leżącym w dole porcie. Władczyni Drasni wciąż nie zdjęła żałoby i czerń jej sukni podkreślała jeszcze złocistą urodę właścicielki. - Legiony z chęcią wyruszą przeciw każdemu zewnętrznemu wrogowi, lecz Yarana nie może im rozkazać, by wystąpiły przeciwko własnym rodakom.

Anheg wzruszył ramionami.

- Może sprowadzić żołnierzy z południa. To sami Borunowie, Anadilowie albo Ranici. Z chęcią zdeptaliby Yorduów na miazgę.

- Wtedy jednak wkroczyłyby północne legiony, próbując ich powstrzymać. Kiedy lecie raz zaczną walczyć między sobą, imperium naprawdę się rozpadnie.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał Anheg. - Wiesz, Porenn, jesteś niezwykle inteligentna - jak na kobietę.

- A ty niezwykle spostrzegawczy - jak na mężczyznę - odparła ze słodkim uśmiechem.

- Punkt dla niej - oznajmił cicho Cho-Hag.

- Czyżby ktoś notował punktację? - zaciekał się łagodnie Garion.

- To nam pomaga na bieżąco orientować się w wynikach - twarz Wodza Wodzów klanów Algarii pozostała niewzruszona.

Dopiero kilkanaście dni później do Rivy dotarły wieści o tym, w jak nowatorski spo-

sób Yarana podszedł do problemu Yorduów. Pewnego ranka do przystani przybił drasański statek, przywożący raporty wywiadu, które natychmiast dostarczono królowej Porenn. Po ich przeczytaniu władczyni Drasni wkroczyła do komnaty Rady z zadowolonym uśmiechem.

- Panowie, odnoszę wrażenie, że możemy uspokoić się co do zdolności Yarany - oznajmiła. - Jak się zdaje, właśnie znalazł rozwiązanie kwestii Yorduów.

- Tak? - zagrział Brand. - Mianowicie jakie?

- Moi informatorzy donoszą, że zawarł tajne porozumienie z królem Arendii Korodulinem. W tak zwanym Królestwie Yorduckim pojawiły się nagle liczne bandy arendyjskich rozbójników - większość z nich, o dziwo, przyodzianych w pełne zbroje.

- Chwileczkę, Porenn - przerwał jej Anheg. - Skoro to tajne porozumienie, to skąd o nim wiesz?

Jasnowłosa królowa Drasni skromnie spuściła oczy.

- Ależ, Anhegu, mój drogi, czyżbyś dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, że ja wiem wszystko?

- Jeszcze jeden punkt dla niej - zauważył Cho-Hag.

- Bez wątplenia - zgodził się Garion.

- W każdym razie - ciągnęła Porenn - w Yordue wałęsają się teraz całe hordy młodych bezmózgich mimbrańskich rycerzy, którzy udają rabusiów, paląc i grabiąc bez opamiętania. Yorduowie nie mają niczego, co można by nazwać armią, więc z wrzaskiem wzywają na pomoc legiony. Moi ludzie zdołali zdobyć kopię odpowiedzi Yarany. - Rozwinęła dokument i zaczęła czytać: - *“Rządowi Królestwa Yorduckiego, pozdrowienia. Wasza niedawna prośba o pomoc stanowi dla nas wielkie zaskoczenie. Z pewnością szanowni mężowie z Tol Yordue nie życzą sobie, byśmy naruszyli suwerenność ich nowo powstałego królestwa, wysyłając tol-nedrańskie legiony po to, by rozprawiły się z kilkoma rozbójnikami z Arendii. Utrzymanie porządku publicznego należy do najważniejszych obowiązków każdego rządu, toteż nie śmielibyśmy wraz z naszymi wojskami wkraczać w tak podstawową dziedzinę jego działalności. Podobny czyn wzbudziłby w umysłach rozsądnych ludzi całego świata wątpliwości co do wiarygodności waszego nowego państwa. Przesyłamy jednakowoż najserdeczniejsze życzenia powodzenia w rozwiązywaniu tej, ściśle w końcu wewnętrznej, kwestii”*.

Anheg zaczął się śmiać, z radości waląc ciężką pięścią w stół.

- Trzeba za to wypić - wykrztusił, nadal rechocząc.

- I to nawet parę razy - poparł go Garion. - Wzniesmy toast za wysiłki Yorduów, zmierzające do zaprowadzenia porządku.

- W takim razie mam nadzieję, panowie, że mi wybaczycie - wtrąciła królowa Porenn.

- Żadna zwyczajna kobieta nie mogłaby marzyć o konkurowaniu z królami Alorii, jeśli chodzi o naprawdę poważne picie.

- Oczywiście, Porenn - zgodził się wielkodusznie Anheg. - Co więcej, wypijemy za ciebie twoją działkę.

- Jesteście zbyt uprzejmi - mruknęła i wycofała się. W pamięci Gariona dalszą część wieczoru na zawsze skryły opary ale. Miał wrażenie, że przypomina sobie, jak wraz z Anhegiem i Brandem wędrowali w dół korytarza. Obejmowali się ramionami i zataczali w sposób niezwykle wręcz zgrany. Zdawało mu się również, że pamięta, jak śpiewali. Na trzeźwo Garion nigdy nie śpiewał. Wtedy jednak uważał to za coś zupełnie naturalnego, więcej - za najprzyjemniejsze zajęcie na świecie.

Nigdy przedtem nie był pijany. Ciocia Pol wyrażała się o picciu z dezaprobatą, a on, jak w większości wypadków, podporządkował się jej opiniom w tej materii. Nie był więc zupełnie przygotowany na to, co czekało go następnego ranka.

Ce'Nedra, oględnie mówiąc, nie okazywała nawet cienia współczucia. Wzorem wszystkich kobiet od początku świata wręcz napawała się cierpieniami męża.

- Mówiłam ci, że za wiele pijesz - przypomniała mu.

- Proszę, daj spokój - odparł, ściskając rękami obolałą głowę.

- To wyłącznie twoja wina - prychnęła.

- Zostaw mnie - błagał. - Umieram.

- Och, nie sądzę, abyś umarł, Garionie. Możesz tego pragnąć, ale śmierć nie nadejdzie tak szybko.

- Czy musisz mówić tak głośno?

- Wszyscy byliśmy wprost zachwyceni twoim śpiewem - pogratulowała mu obłudnie.

- Mam wrażenie, że wymyśliłeś dźwięki, jakie nigdy dotąd nie istniały.

Garion jęknął i ponownie ukrył twarz w trzęsących się dłoniach.

Rada Alornów trwała jeszcze przez następny tydzień. Mogłaby potrwać i dłużej, gdyby nie gwałtowny jesienny sztorm. Wycie wichury wyraźnie oznajmiało, że nadszedł już czas, by goście wracali na kontynent, póki Morze Wiatrów nadaje się jeszcze do żeglugi.

Po kilku zaledwie dniach Brand, wysoki, starzejący się Strażnik Rivy, poprosił Gariona o prywatną audiencję. Na dworze padał ulewny deszcz i strugi wody bębniły o okna gabinetu Gariona. Obaj mężczyźni zasiedli wygodnie na krzesłach po przeciwnych stronach stołu.

- Czy mogę mówić otwarcie, Belgarionie? - spytał potężny Strażnik, spoglądając na niego smutnymi oczami.

- Wiesz, że nie musisz o to pytać.

- Sprawa, którą zamierzam poruszyć, jest bardzo osobista. Nie chciałbym cię urazić.

- Możesz mówić wszystko, co według ciebie winno być powiedziane. Obiecuję, że się nie obrażę.

Brand zerknął za okno na posępne szare niebo i unoszone wiatrem fale deszczu.

- Belgarionie, mija już prawie osiem lat od czasu, gdy poślubiłeś księżniczkę Ce'Nedrę.

Garion przytaknął.

- Nie zamierzam ingerować w twoje życie osobiste, lecz fakt, iż twoja żona do tej pory nie dała ci następcy tronu, stanowi problem wagi państwowej.

Garion zacisnął usta.

- Wiem, że ty, Anheg i inni bardzo się tym przejmujecie. Sądzę jednak, że wasza troska jest przedwczesna.

- Osiem lat to bardzo długo, Belgarionie. Wszyscy wiemy, jak bardzo kochasz swoją żonę. My także ją lubimy. - Brand uśmiechnął się lekko. - Choć czasem bywa trudna we współżyciu.

- Zauważyłeś?

- Z chęcią poszliśmy za nią do bitwy pod Thull Mardu - i prawdopodobnie zrobilibyśmy to ponownie, gdyby tego zażądała. - Sądzę jednak, iż powinniśmy wziąć pod uwagę możliwość, że jest bezpłodna.

- Jestem pewien, że nie - stwierdził stanowczo Garion.

- A zatem czemu nie rodzi dzieci?

Król Rivy nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

- Belgarionie, los tego państwa - i całej Alorii - wisi na włosku. To praktycznie jedyny temat rozmów we wszystkich północnych królestwach.

- Nie wiedziałem o tym - przyznał Garion.

- Pod Thull Mardu Grodeg i jego zausznicy zostali wybici niemal do nogi, ale w ostatnich latach w odległych prowincjach Chereku, Drasni i Algarii kult Niedźwiedzia znów się odrodził. Wiedziałeś o tym, prawda?

Garion skinął głową.

- Nawet w miastach można znaleźć grupki potajemnych sympatyków kultu, podziwiających jego wiarę i cele. Ci ludzie nie byli zbyt szczęśliwi, że wybrałeś sobie za żonę Tolnedrankę. Krążą już pogłoski, że bezdzietność Ce'Nedry stanowi oznakę gniewu Belara z powodu waszego ślubu.

- To idiotyczne przesady - parsknął lekceważąco Garion.

- Oczywiście, ale jeśli taki sposób myślenia stanie się powszechny, to jego efekty okażą się w końcu bardzo nieprzyjemne. Inne kręgi alorskiej społeczności, przychylnie twojej osobie, bardzo się tym niepokoją. Mówiąc bez ogródek, coraz więcej osób uważa, że nadszedł czas, abyś rozwiódł się z Ce'Nedrą.

- Co takiego?

- Masz przecież taką władzę. Tak, jak to widzi większość, najlepszym rozwiązaniem byłoby odsuniecie bezpłodnej tolnedrańskiej królowej. Wtedy mógłbyś poślubić jakąś miłą, płodną Alornkę, która urodziłaby ci tuzin potomków.

- To absolutnie wykluczone - oznajmił ostro Garion. - Nie zrobię tego. Czy ci idioci nie słyszeli o Traktatach z Vo Mimbre? Nawet gdybym chciał rozwieść się z Ce'Nedrą, nie mógłbym tego zrobić. Nasze małżeństwo zostało zaaranżowane pięćset lat temu.

- Kult Niedźwiedzia uważa, że ustalenia te zostały narzucone Alornom przez Belgartha i Polgarę - odparł Brand. - Ponieważ ci dwoje są sługami Aldura, wyznawcy kultu twierdzą, iż wszystko to mogło się odbyć bez aprobaty Belara.

- Bzdura - warknął Garion.

- W każdej religii kryje się sporo bzdur, Belgarionie. Pozostaje jednak faktem, że Ce'Nedra nie ma zbyt wielu przyjaciół pośród Alornów. Nawet ci, którzy sprzyjają tobie, nie przepadają za nią. Zarówno twoi przyjaciele, jak i wrogowie pragnęliby, abyś się z nią rozstał. Wszyscy wiedzą, jak bardzo ją kochasz, więc nie będą ci nawet tego proponowali. Zamiast tego najprawdopodobniej podejmą bardziej bezpośrednie kroki.

- Czyli?

- Ponieważ wiedzą, że nikt nie zdoła cię przekonać do rozwodu z żoną, ktoś może spróbować usunąć ją na dobre.

- Nie ośmieliliby się!

- Alornowie prawie tak samo dają się ponieść emocjom, jak Arendowie, Belgarionie - i czasami są niemal równie uparci. Wszyscy mamy tego świadomość. Zarówno Anheg, jak i Cho-Hag nalegali, bym uprzedził cię o takiej możliwości, Porenn zaś zaangażowała całą armię szpiegów, którzy w tej chwili pracują nad tą sprawą, tak by przynajmniej zdążyć nas ostrzec, jeśli ktoś zacznie spiskować przeciw królowej.

- A ty, Brandzie? Jaka jest twoja opinia w tej sprawie? - spytał cicho Garion.

- Belgarionie - odparł stanowczo potężny mężczyzna - kocham cię jak własnego syna, a Ce'Nedra jest mi droga jak córka, której nigdy nie miałem. Nic na tym świecie nie uszczęśliwiłoby mnie bardziej niż widok pokoju dziecinnego obok waszej sypialni wypełnionego potomstwem. Ale minęło już osiem lat. Dotarliśmy do punktu, w którym koniecznie trzeba pod-

jąc jakąś decyzję - jeśli nie z innych przyczyn, to po to, by ochronić tę maleńką, odważną kobietkę, którą obaj kochamy.

- Co możemy zrobić? - wtrącił bezradnie król Rivy.

- Ty i ja jesteśmy tylko mężczyznami, Garionie. Skąd mamy wiedzieć, dlaczego kobieta ma, czy nie ma, dzieci? A to stanowi podstawowy problem. Proszę cię, Garionie - błagam cię - poślij po Polgarę. Potrzeba nam jej rady i pomocy - i to jak najszybciej.

Po wyjściu Strażnika Garion jeszcze długo siedział w gabinecie, spoglądając na strugi deszczu. W końcu zdecydował, że lepiej będzie nie wspominać Ce'Nedrze o tej rozmowie. Nie chciał jej straszyc wizją morderców, czyhających w mrocznych korytarzach, a jakakolwiek aluzja, że względy polityczne mogłyby zmusić go do rozważenia kwestii rozwodu, nie zostałyby mile przyjęta. Po gruntownym namyśle uznał, że najlepiej będzie nic nie mówiąc posłać po Polgarę. Niestety, zapomniał o pewnym ważnym drobiazgu. Kiedy tego wieczoru wkroczył do przytulnych, oświetlonych blaskiem świec apartamentów królewskich, jego usta wykrzywiał starannie dobrany uśmiech, który miał sugerować, że przez cały dzień nie zdarzyło się nic specjalnego.

Mroźna cisza, jaka go powitała, powinna była ostrzec Gariona. Nawet jeśli nie dostrzegł tej oznaki niebezpieczeństwa, winien był zauważyć szramy na powierzchni drzwi oraz leżące po kątach odłamki kilkunastu stłuczonych wazonów i porcelanowych figurek, pobieżnie i w pośpiechu uprzątnięte po jakimś tajemniczym kataklizmie. Rivański Król bywał jednak czasami mało spostrzegawczy.

- Dobry wieczór, kochanie - powitał pogodnie swą lodowatą żonę.

- Czyżby?

- Jak ci minął dzień?

Odwróciła się do niego. W jej spojrzeniu kryły się setki maleńkich sztyletów.

- Jak możesz w ogóle o to pytać? Garion zamrugał, zdumiony.

- Powiedz mi - ciągnęła Ce'Nedra - kiedy dokładnie mam być odsunięta, aby mój pan mógł poślubić jakąś jasnowłosą klacz zarodową, która zajmie moje miejsce w jego łóżu i wypełni całą Cytadelę stadami zakatarzonych alorskich szkrabów?

- Skąd...

- Mój pan najwyraźniej zapomniał o podarunku, który założył mi na szyję w dniu naszych zaręczyn. Zapomniał też zapewne o tym, co dokładnie potrafi amulet Beldaran.

- Oho - mruknął Garion, przypominając sobie to nagle. - Niedobrze.

- Na nieszczęście amuletu nie da się zdjąć - powiedziała jadownicie Ce'Nedra. - Nie będziesz mógł wręczyć go swej następnej żonie - chyba że zamierzasz ściąć mi głowę, aby go

odzyskać.

- Przeszanieś wreszcie?

- Jak mój pan rozkaże. Czy zamierzasz odesłać mnie do Tolnedry, czy też po prostu wyrzucisz za bramę na deszcz, bym radziła sobie sama?

- Rozumiem, że słyszałaś rozmowę, jaką przeprowadziłem z Brandem.

- Oczywiście.

- Zakładam, że jeśli usłyszałaś choć część, to przynajmniej wysłuchałaś jej do końca. Brand doniósł mi jedynie o niebezpieczeństwie, które grozi ci z powodu bezsensownych pomysłów oszalałych fanatyków.

- Nie powinieneś być nawet tego słuchać.

- Gdy próbował mnie ostrzec, że ktoś może starać się cię zabić? Ce'Nedro, bądź rozsądna.

- Teraz ta myśl zdołała już zagnieździć ci się w głowie - stwierdziła oskarżycielsko. - Już wiesz, że możesz się mnie pozbyć, kiedy tylko zechcesz. Widziałam, jak przyglądasz się tym pustogłowym Alornkom o długich, jasnych warkoczach i przesadnie rozwiniętych łonach. Teraz nadeszła twoja szansa, Garionie. Którą wybierzesz?

- Czy już skończyłaś? Jej oczy zwężyły się.

- Rozumiem. A więc jestem już nie tylko bezpłodna. Według ciebie reaguję histerycznie.

- Nie, tylko trochę niemądrze. Zdarza ci się to czasami. To wszystko.

- Niemądrze?

- Od czasu do czasu każdy zachowuje się niemądrze - dodał spokojnie Garion. - Taka jest ludzka natura. Szczerze mówiąc, jestem zdumiony, że nie rzucasz przedmiotami.

Ce'Nedra rzuciła szybkie, pełne winy spojrzenie w stronę leżących w kącie skorup.

- Ach - mruknął, dostrzegając, na co patrzy. - Widzę, że już to robiłaś. Cieszę się, że ominęła mnie ta część dyskusji. Trudno przemówić komuś do rozsądku, gdy uskakuje się przed latającą porcelaną, a druga osoba wykrzykuje przekleństwa.

Ce'Nedra zarumieniła się lekko.

- To też robiłaś? - spytał łagodnie. - Czasami zastanawiam się, gdzie nauczyłaś się tych wszystkich słów. Skąd wiedziałaś, co właściwie znaczą?

- Ty ciągle przeklinasz - rzuciła oskarżycielsko.

- Wiem - przyznał. - To okropnie niesprawiedliwe. Mnie wolno kląć, ale tobie - nie.

- Chciałabym wiedzieć, kto wymyślił podobną regułę - zaczęła, po czym nagle zmrużyła oczy. - Próbujesz zmienić temat.

- Nie, Ce'Nedro. Już to zrobiłem. Poprzedni prowadził donikąd. Nie jesteś bezpłodna, a ja nie zamierzam się z tobą rozwieść - nieważne, jak długie są czyjeś warkocze ani jak rozwinięte... mniejsza z tym.

Spojrzała na niego.

- Och, Garionie, a jeśli to prawda? - spytała nieszczęśliwym głosem. - Jeśli rzeczywiście jestem bezpłodna?

- To nonsens, Ce'Nedro. Nie będziemy nawet o tym rozmawiać.

Lecz powątpiewanie, widoczne w oczach Rivańskiej Królowej, świadczyło wyraźnie, że jeśli nawet nie będą o tym dyskutować, ona nie przestanie martwić się z tego powodu.

ROZDZIAŁ 12

O tej porze roku żegluga po Morzu Wiatrów była niezwykle niebezpieczna i Garion musiał odczekać pełny miesiąc, nim zdołał pchnąć posłańca do Doliny Aldura. Do tego czasu późnojesienne śnieżyce zablokowały przełęcze w górach wschodniej Sendarii, toteż królewski wysłannik był zmuszony dosłownie przebijać się przez zaspy torując sobie drogę na równinach Algarii. Wszystkie te opóźnienia sprawiły, że kiedy ciocia Pol, Durnik i Podarek wylądowali wreszcie w zaśnieżonej przystani Rivy, był już niemal Dzień Zaranja. Durnik musiał przyznać, iż jedynie przypadkowe spotkanie z niesfornym kapitanem Gredikiem, który nie lękał się żadnej morskiej burzy, w ogóle umożliwiło im przyjazd. Nim wyruszyli w długą wspinaczkę po stopniach, prowadzących do Cytadeli, Polgara zamieniła parę słów z hardym żeglarzem i Garion ze zdumieniem zauważył, iż Gredik natychmiast rzucił cumy i znów wypłynął na morze.

Polgara wydawała się zupełnie nie przejęta wagą problemu, który kazał Galionowi posłać po nią. Rozmawiała z nim kilka razy, zadając przy tym bardzo niedyskretne pytania, po których płonęły mu uszy. Jej dyskusje z Ce'Nedrą były dłuższe, ale tylko odrobinę. Garion odniósł wrażenie, że czekała na coś albo kogoś przed podjęciem dalszych kroków.

Tego roku w Rivie obchody Dnia Zaranja były jakby mniej radosne. Choć wizyta Polgary, Durnika i Podarka sprawiła mu ogromną przyjemność, troska, nękająca Gariona od czasu rozmowy z Brandem, odebrała mu znaczną część wesołości, z jaką witał zazwyczaj nadejście święta.

Pewnego śnieżnego popołudnia, kilka tygodni później Garion wszedł do królewskich komnat, by zastać tam Polgarę i Ce'Nedrę, siedzące przy ciepłym kominku, sączące herbatę i rozmawiające cicho. W tym momencie ciekawość, która narastała w nim od czasu przybycia gości, dosięgła wreszcie zenitu.

- Ciociu Pol - zaczął.

- Tak, kochanie?

- Jesteś tu już od miesiąca.

- Aż tak długo? Rzeczywiście, czas szybko płynie, jeśli przebywa się w towarzystwie ludzi, których kochamy.

- Pozostaje jeszcze ten maleńki problem - przypomniał jej.

- Tak, Garionie - odparła cierpliwie. - Zdaję sobie z tego sprawę.

- Czy robimy już coś w tej materii?

- Nie - powiedziała łagodnie. - Przynajmniej na razie.

- To ważne, ciociu Pol. Nie chciałbym cię oczywiście popędzać, ale... - urwał bezradnie.

Polgara wstała z krzesła, podeszła do okna i wyjrzała na leżący w dole niewielki ogród. Pokrywała go gruba warstwa śniegu, a para splecionych młodych dębów, które Ce'Nedra zasadziła tam w czasie swych zaręczyn z Garionem, pochyliła się lekko pod ciężarem białych poduch, leżących na gałęziach.

- Jedną z rzeczy, jakich uczysz się w miarę upływu lat, Garionie - oznajmiła, spoglądając z powagą na skryty pod białą pierzyną ogród - jest cierpliwość. Wszystko ma swoje miejsce i czas. Rozwiązanie waszego problemu nie jest zbyt trudne, po prostu nie nadeszła jeszcze odpowiednia chwila, by się z nim zmierzyć.

- Nic z tego nie rozumiem, ciociu Pol.

- Zatem będziesz musiał mi zaufać, nieprawdaż?

- Oczywiście, że ci ufam, ciociu. Tyle że...

- Tyle że co, kochanie?

- Nic.

Zima powoli dobiegała już końca, gdy kapitan Gredlik powrócił wreszcie z południa. Burza uszkodziła poszycie jego statku, który mocno nabierał wody. Ciężko okrążając przylądek wpłynął do portu.

- Już myślałem, że nie ominie nas kąpiel - burknął brodaty Cherek, zeskakując na nabrzeże. - Potrzebuję dobrego miejsca, gdzie mógłbym wyciągnąć moją staruszkę na brzeg. Trzeba ją uszczelnić.

- Większość żeglarzy korzysta z tej zatoczki - odparł Garion, wskazując ręką.

- Nienawidzę zimowych napraw - powiedział gorzko Gredlik. - Czy gdzieś tu można się czegoś napić?

- W Cytadeli - zaproponował Garion.

- Dzięki. Och, przywiozłem gościa, którego wezwała Polgara.

- Gościa?

Gredlik cofnął się o krok i mrużąc oczy przyjrzał się burcie statku, próbując ustalić położenie kabiny na rufie, po czym podszedł bliżej i kilka razy kopnął poszycie.

- Jesteśmy na miejscu! - ryknął, po czym odwrócił się do Gariona. - Nie cierpię żeglować z kobietami na pokładzie - Nie jestem przesądny, ale czasem naprawdę myślę, że to przynosi pecha - a przy tym zawsze trzeba uważać na maniery.

- Masz na pokładzie kobietę? - spytał ciekawie Garion.

Gredlik przytaknął kwaśno.

- Ładniutkie stworzenie, ale spodziewa się szczególnych względów, a kiedy cała załoga wybiera wodę z zęzy, nie ma zbyt wiele czasu na podobne bzdury.

- Witaj, Garionie - dobiegł z góry dźwięczny głos.

- Xera? - Garion ujrzał przed sobą drobną twarzyczkę kuzynki żony. - To naprawdę ty?

- Tak, Garionie - odparła spokojnie rudowłosa driada. Była okutana po czubki uszu w grube, ciepłe futra, a jej oddech tworzył w mroźnym powietrzu małe białe obłoczki. - Przybyłam najszybciej, jak mogłam, gdy tylko dotarło do mnie wezwanie lady Polgary. - Uśmiechnęła się słodko do skrzywionego Gredlika. - Kapitanie, czy ktoś z pańskiej załogi mógłby znieść tu moje paki?

- Piach - prychnął Gredlik. - Żegluję dwa tysiące mil w najgorszym okresie zimy tylko po to, by przywieźć jedną drobną dziewczynę, dwie baryłki wody i cztery paki piachu.

- Próchnicy, kapitanie - poprawiła skrupulatnie Xera - próchnicy. To pewna różnica.

- Jestem żeglarzem - oznajmił Gredlik. - Dla mnie piach to piach.

- Jak pan sobie życzy, kapitanie - odparła z czarującym uśmiechem Xera. - A teraz proszę, niech pan będzie tak kochany i każe zanieść te paki do Cytadeli. Będę też potrzebowała tych beczulek.

Kapitan Gredlik wymamrotał coś pod nosem i wydał stosowne rozkazy.

Ce'Nedra z zachwytem przyjęła wieść o przybyciu kuzynki. Rzuciły się sobie w ramiona i natychmiast pobiegły na poszukiwanie Polgary.

- Bardzo się lubią, prawda? - zauważył Durnik. Kowal był odziany w futra, na nogach miał dobrze nasmołowane buty. Wkrótce po przyjeździe, mimo że był właśnie sam środek zimy, Durnik odkrył spore, pełne wirów jezioro, utworzone przez rzekę, która wypływała z gór i okrążała miasto od północy. Okazując zdumiewające opanowanie kowal przyglądał się otoczonemu obwódka lodu zbiornikowi przez pełne dziesięć minut, zanim wyruszył na poszukiwanie wędki. Teraz, szczęśliwy, spędzał prawie całe dni sondując za pomocą nawoskowanej linki i jaskrawej przynęty ciemne, spienione wody w pogoni za przyczajonym pod wzburzoną powierzchnią srebrystopłetwym łososiem. Pewnego dnia w obecności Gariona ciocia Pol o mały włos po raz pierwszy nie zrobiła awantury swemu mężowi, kiedy przechwyciła go w drodze na dwór, pogwizdującego radośnie, z zarzuconą na ramię wędką, podczas gdy na zewnątrz wściekle szalała śnieżycą.

- Co mam z tym wszystkim zrobić? - spytał Gredlik, wskazując na sześciu krzepkich

żeglarzy, którzy przydźwigali paki i beczułki Xery po długich schodach aż do bram wznoszącej się nad miastem ponurej fortecy.

- Och - odparł Garion - każ im postawić to gdzieś tutaj. - Pokazał kąt przedpokoju, do którego właśnie weszli. - Później dowiem się, po co one naszym paniom.

- Dobra - mruknął Gredlik, zacierając ręce. - Zdaje się, że wspominałeś o czymś do picia...

Garion nie miał pojęcia, co knuła jego żona wraz z Polgarą i Xerą. Najczęściej, gdy tylko wchodził do pokoju, ich rozmowy natychmiast cichły. Ku jego zdumieniu cztery paki próchnicy i dwie beczułki czegoś, co wyglądało zupełnie jak woda, ustawiono dość niechlujnie w kącie królewskiej sypialni. Ce'Nedra kategorycznie odmówiła jakichkolwiek wyjaśnień, lecz spojrzenie, jakie mu rzuciła, gdy spytał, czemu te rzeczy muszą koniecznie stać tak blisko ich łoża, było nie tylko zagadkowe, ale i mocno uwodzicielskie.

W tydzień czy dwa po przyjeździe Xery nagła zmiana pogody sprawiła, że na niebo wypłynęło słońce, a temperatura podniosła się gwałtownie, osiągając niemal granicę topienia lodu. Na krótko przed południem Garion odbywał naradę z ambasadorem Drasni, gdy do królewskiego gabinetu nieśmiało zajrzał najwyraźniej przerażony służący.

- Wasza Wysokość - wyjąkał nieszczęśnik. - Proszę wybaczyć, ale lady Polgara poleciła mi natychmiast wezwać do niej Waszą Wysokość. Próbowałem jej wyjaśnić, że zazwyczaj nie przeszkadzamy panu, gdy jest pan zajęty, ale ona - no cóż - nalegała.

- Lepiej będzie, jeśli Wasza Wysokość pójdzie zobaczyć, o co jej chodzi - poradził ambasador. - Gdyby to mnie wezwała lady Polgara, już bym do niej biegł.

- Nie musi się pan jej bać, margrabio - powiedział Garion. - Nie zrobi panu krzywdy.

- To ryzyko, którego wolałbym nie podejmować, Wasza Wysokość. O naszych sprawach możemy porozmawiać innym razem.

Marszcząc brwi Garion ruszył korytarzem do apartamentu cioci Pol. Zapukał lekko i wszedł do środka.

- No, nareszcie jesteś - powitała go szorstko. - Właśnie miałam posłać po ciebie następnego służącego. - Miała na sobie podbity futrem płaszcz z kapturem, który zarzuciła na głowę, tak że odsłaniał tylko twarz. Ce'Nedra i Xera, podobnie odziane, stały tuż za jej plecami. - Chciałabym, żebyś znalazł Durnika. Pewnie łowi teraz ryby. Odszukaj go i przyprowadź do Cytadeli. Zdobądź gdzieś łopatę i kilof i przynieście je z Durnikiem do małego ogrodu pod waszymi oknami.

Wpatrzył się w nią ze zdumieniem.

Polgara machnęła dłonią w ponagląjącym geście.

- Szybko, Garionie. Nie mamy czasu do stracenia.

- Tak, ciociu Pol - powiedział bez namysłu. Odwrócił się i niemal biegiem pospieszył z powrotem. Dotarł już prawie do końca korytarza, zanim przypomniał sobie, że to on jest tu królem i inni naprawdę nie powinni tak nim komenderować.

Durnik, rzecz jasna, natychmiast odpowiedział na wezwanie żony. No, prawie natychmiast. Wykonał jeszcze ostatni rzut, po czym starannie zwinął wędkę i podążył za Garionem do Cytadeli. Gdy obaj dotarli do niewielkiego, prywatnego ogrodu obok apartamentów królewskiej pary, ciocia Pol, Ce'Nedra i Xera czekały już na nich pod splecionymi dębami.

- Oto, co musimy zrobić - oznajmiła żwawo ciocia Pol. - Chciałabym, abyście wykopali dół wokół tych drzew - głęboki na jakieś pół metra.

- Hmm... ciociu Pol - wtrącił Garion - ziemia jest trochę zamrznięta. Kopanie może okazać się dość trudne.

- Właśnie po to jest kilof, kochanie - odparła cierpliwie.

- Czy nie byłoby prościej poczekać, póki grunt nie odtaje?

- Prawdopodobnie, ale trzeba to zrobić teraz. Kop, Garionie.

- Mam ogrodników, ciociu. Moglibyśmy zawołać tu paru. - Garion spojrzał niechętnie na łopatę i kilof.

- Lepiej będzie, jeśli to pozostanie w rodzinie, kochanie. Możesz zacząć od tego miejsca - pokazała palcem.

Garion westchnął i ujął kilof.

To, co nastąpiło potem, nie miało żadnego sensu. Garion i Durnik do późnego popołudnia kuli i szarpali zamrzniętą ziemię, odkrywając teren wskazany przez ciocię Pol. Następnie wrzucili do przygotowanej dziury cztery paki próchnicy, udeptali pozostałą ziemię i hojnie podlali ciemną glebę wodą z dwóch beczulek. Potem ciocia Pol poleciła im na powrót okryć wszystko śniegiem.

- Zrozumiałeś coś z tego? - spytał Garion Durnika, gdy obaj odnieśli narzędzia do szopy ogrodnika tuż obok stajni.

- Nie - przyznał Durnik - ale jestem pewien, że Pol wie, co robi. - Zerknął na wieczorne niebo i westchnął. - Chyba już trochę za późno, by wrócić nad staw - stwierdził z żalem.

Ciocia Pol i dziewczęta co dzień odwiedzały ogród, lecz Garion nigdy nie zdołał odkryć, co właściwie robiły, a w następnym tygodniu jego uwagę odwrócił nagły przyjazd dziadka, Belgaratha Czarodzieja. Młody król siedział właśnie w swym gabinecie z Podarkiem. Chłopiec opisywał mu szczegółowo szkolenie konia, którego dostał od Gariona kilka lat wcześniej, gdy nagle drzwi rozwarły się bezceremonialnie i do środka wpadł Belgarath.

Jego wygląd świadczył o tym, że odbył długą podróż, oczy ciskały pioruny.

- Dziadku! - krzyknął Garion, zrywając się na nogi. - Skąd...

- Zamknij się i siadaj! - ryknął Belgarath.

- Co?

- Rób, co ci każe. Musimy porozmawiać, Garionie - to znaczy ja będę mówił, a ty - słuchał. - Urwał, najwyraźniej starając się opanować nieco roszadzającą go wściekłość. - Czy masz pojęcie, co narobiłeś? - spytał w końcu.

- Ja? O czym ty mówisz, dziadku?

- Rozmawiamy o twoim małym pokazie pirotechniki na równinach Mimbre - odparł lodowato Belgarath. - O tej zaimprovizowanej burzy.

- Dziadku - wyjaśnił Garion najspokojniej, jak tylko potrafił - wojna wisiała na włosku. Najprawdopodobniej zaangażowałyby się w nią cała Arendia. Sam mówiłeś, że nie można do tego dopuścić. Musiałem ich powstrzymać.

- Nie dyskutujemy w tej chwili o motywach, które tobą kierowały. Mówimy o metodach. Co cię podkusiło, żeby wykorzystać burzę?

- Uznałem, że to najlepszy sposób, by przyciągnąć ich uwagę.

- Nie mogłeś wymyślić czegoś innego?

- Waśnie ruszali do ataku, dziadku. Nie miałem zbyt wiele czasu, by rozważyć alternatywy.

- Czy nie powtarzałem ci wiele razy, że nie wtrącamy się do pogody?

- Cóż, sytuacja była dość krytyczna.

- Jeśli uważasz, że to była krytyczna sytuacja, to powinieneś zobaczyć śnieżyce, jaką wywołałeś w Dolinie - i zrodzone przez nią huragany na Wschodnim Morzu - nie mówiąc nawet o suszach i trąbach powietrznych w różnych zakątkach świata. Czy ty w ogóle masz jakiegokolwiek poczucie odpowiedzialności?

- Nie wiedziałem, że tak będzie. - Garion był naprawdę przerażony.

- Masz obowiązek to wiedzieć! - ryknął niespodziewanie Belgarath. Na jego rozwścieczoną twarz wystąpiły czerwone plamy. - Wyciszenie tego wszystkiego kosztowało mnie i Beldina sześć miesięcy bezustannych podróży i bogowie jedyni wiedzą, ile wysiłku. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że przez swoją bezmyślną burzę omal nie zmieniłeś układu pogody na całym świecie? I że ta zmiana byłaby wręcz katastrofalna?

- Przez jedną maleńką burzę?

- Tak, jedną maleńką burzę - powtórzył zjadliwie Belgarath. - Twoja maleńka burza, we właściwym miejscu o właściwym czasie, o mały włos nie zmieniła pogody na następne

tysiąclecia - na całym świecie, ty durniu!

- Dziadku! - zaprotestował Garion.

- Czy wiesz, co oznacza pojęcie "era lodowcowa"? Garion potrząsnął głową.

- To okres, kiedy średnia temperatura spada - zaledwie odrobinę. Na najdalszej północy oznacza to, że w lecie nie topnieją śniegi. Rok po roku zbierają się kolejne warstwy śniegu. Powstają z nich lodowce, które posuwają się coraz dalej na południe. Po zaledwie kilkuset latach dzięki twojemu popisowi wysoka na sześćdziesiąt metrów ściana lodu dotarłaby na mokradła Drasni. Boktor i Val Alorn zginęłyby, pogrzebane pod warstwą lodu. Czy tego właśnie chciałeś, idioto?

- Oczywiście, że nie, dziadku. Naprawdę nie wiedziałem. W przeciwnym razie w ogóle bym nie zaczynał.

- Istotnie, byłoby to ogromną pociechą dla milionów ludzi, którzy przez ciebie o mało nie zginęli w okowach lodowca - odpalił sarkastycznie Belgarath. - Nigdy więcej tego nie rób! Nawet nie myśl o tym, by zabrać się do czegoś, póki nie jesteś całkowicie pewien, że przewidziałeś wszystko, co może się zdarzyć. I nawet w takim wypadku lepiej nie ryzykować.

- Ale... ale przecież razem z ciocią Pol wezwaliście deszcz w Lesie Driad - przypomniał, broniąc się Garion.

- Owszem, ale wiedzieliśmy, co robimy! - głos Belgaratha wzniósł się prawie do krzyku. - Nie było żadnego niebezpieczeństwa. - Z najwyższym trudem stary człowiek powściągnął gniew. - Nigdy więcej nie tykaj pogody, Garionie - przynajmniej do czasu, aż będziesz miał za sobą co najmniej tysiąc lat nauki.

- Tysiąc lat!

- Co najmniej. W twoim przypadku może dwa tysiące. Masz niezwykle szczęście do tego, by znajdować się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

- Nie zrobię tego więcej, dziadku - przyrzekł pospiesznie Garion. Poczul dreszcz na myśl o ogromnej ścianie lodu, nieubłaganie sunącej przez świat.

Belgarath rzucił mu długie, chłodne spojrzenie i zrezygnował z dalszej dyskusji. Później, kiedy już odzyskał równowagę, wyciągnął się w fotelu przy kominku z kuflem ale w dłoni. Garion dostatecznie znał swego dziadka, by wiedzieć, że piwo zawsze poprawia mu humor, więc rozważnie posłał po nie natychmiast, gdy tylko ucichł pierwszy sztorm.

- Jak tam twoje studia, chłopcze? - spytał stary czarodziej.

- Ostatnio nie miałem zbyt wiele czasu, dziadku - powiedział Garion z miną winowajcy.

Belgarath spojrział na niego przeciągle i Garion wyraźnie dostrzegł nagłe napięcie

szyi, zwiastujące, że wewnętrzna temperatura starca znów poszybowała w górę.

- Przepraszam, dziadku - usprawiedliwił się pospiesznie. - Od tej chwili sam zapewnię sobie dostateczną ilość czasu.

Oczy czarodzieja rozszerzyły się odrobinę.

- Nie rób tego - powiedział szybko. - Twoje zabawy z pogodą narobiły już dość szkód. Jeśli zaczniesz to samo z czasem, nawet bogowie nie zdołają przewidzieć, co się zdarzy.

- Niezupełnie to miałem na myśli, dziadku.

- Mów więc dokładnie to, o co ci chodzi. Nieporozumienia w podobnej materii mogą drogo kosztować. - Belgarath odwrócił się do Podarka. - Co tu porabiasz, chłopcze?

- Są tu Durnik i Polgara - odparł Podarek. - Uznali, że lepiej będzie, jeśli zabiorą mnie ze sobą.

- Polgara jest tutaj? - Belgarath wyglądał na zaskoczonego.

- Poprosiłem, aby przyjechała - wyjaśnił Garion. - Mam pewien problem i liczyłem, że ciocia Pol pomoże mi go rozwiązać. Podjęła już pewne kroki - przynajmniej tak mi się zdaje. Ostatnio zachowuje się nieco zagadkowo.

- Czasami wykazuje skłonności do pewnej przesady, to prawda. Na czym dokładnie polega ów problem?

- Hmm - Garion zerknął na Podarka, który siedział obok i przyglądał się im z uprzejmym zainteresowaniem. Król Rivy zarumienił się lekko. - No cóż, eee... to dotyczy... eee... dziedzica tronu Rivy - wyjaśnił subtelnie.

- Gdzie tu problem? - zdziwił się Belgarath. - Przecież ty jesteś dziedzicem tronu Rivy.

- Nie. Chodzi o następnego.

- Nadal nie widzę, w czym rzecz.

- Dziadku, jego jeszcze nie ma - przynajmniej na razie.

- Nie ma? Co ty robiłeś przez te wszystkie lata, chłopcze?

- Nieważne - poddał się Garion.

Kiedy w końcu nadeszła wiosna, troska, jaką Polgara okazywała dwóm młodym splecionym dębom, przekroczyła wszelkie granice. Każdego dnia czarodziejka odbywała co najmniej tuzin wypraw do ogrodu, gdzie uważnie oglądała każdą gałązkę w poszukiwaniu pierwszych pąków. Gdy wreszcie końcówki gałązek zaczęły nabrzmiewać, na twarzy Polgary dostrzec można było dziwne zadowolenie. Raz jeszcze wszystkie trzy: Polgara, Ce'Nedra i Xera, zaczęły krzątać się w ogrodzie. Garion ze zdumieniem - a nawet lekkim rozdrażnieniem - obserwował te botaniczne rozrywki. Ostatecznie wezwał cicię Pol, aby pomogła mu uporać

się ze znacznie poważniejszym problemem.

Przy pierwszej poprawie pogody Xera wróciła do domu, do Lasu Driad. Niedługo potem ciocia Pol oznajmiła spokojnie, że wkrótce także wyjeżdżają, z Durnikiem i Podarkiem,

- Zabierzemy ze sobą ojca - oświadczyła, spoglądając z dezaprobatą na starego czarodzieja, który pił ale i bezwstydnie przekomarzał się z zarumienioną siostrzenicą Branda, lady Arell.

- Ciociu Pol - zaprotestował Garion - a co z tym niewielkim... hm... kłopotem, jaki mieliśmy z Ce'Nedrą?

- Co z nim, kochanie?

- Nie masz zamiaru czegoś z tym zrobić?

- Już to zrobiłam, Garionie - odparła dobrotliwie.

- Ciociu Pol, cały swój pobyt spędziłaś w tym ogrodzie.

- Tak, kochanie. Wiem.

Po ich wyjeździe Garion przez kilka tygodni rozmyślał nad tym wszystkim. Zaczął się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie dość dokładnie wyjaśnił istotę problemu albo czy ciocia Pol źle go nie zrozumiała.

Kiedy wiosna rozkwitła w całej krasie, a stromo wznoszące się w górę łąki za miastem przybrały soczystą, zieloną barwę, tu i ówdzie muśniętą kolorowymi plamami kwiatów, Ce'Nedra zaczęła zachowywać się dziwnie. Często zastawał ją siedzącą w ogrodzie, czule wpatrzoną w jej dwa dębczaki. Nierzadko w ogóle zniknęła z Cytadeli, aby wrócić pod wieczór z towarzystwem lady Arell, obładowana polnymi kwiatami. Przed każdym posiłkiem pociągała łyk z małej, srebrnej buteleczki, krzywiąc się okropnie.

- Co pijesz? - spytał ciekawie któregoś ranka.

- To rodzaj lekarstwa - odparła i wstrząsnęła się. - Są w nim pączki dębu i smakuje absolutnie potwornie.

- Zrobiła ci je ciocia Pol.

- Skąd wiesz?

- Jej lekarstwa zawsze mają paskudny smak.

- Mmmm - zgodziła się z roztargnieniem, po czym rzuciła mu długie spojrzenie. - Czy będziesz dziś bardzo zajęty?

- Niespecjalnie. Dlaczego?

- Pomyślałam, że moglibyśmy wpaść do kuchni, zabrać trochę wędlin, chleba i sera i wybrać się do lasu.

- Do lasu? Po co?

- Garionie. - W głosie Ce'Nedry zabrzmiała lekko urażona nuta. - Przez całą zimę byłam uwięziona w tym ponurym starym zamku. Potrzebuję świeżego powietrza i słońca - oraz woni drzew i kwiatów zamiast wilgotnych kamieni.

- Czemu nie poprosisz Arell, żeby ci towarzyszyła? Nie powinienem chyba wychodzić na cały dzień.

Spojrzała na niego z rozdrażnieniem.

- Dopiero co powiedziałaś, że nie masz nic ważnego do roboty.

- Nigdy nic nie wiadomo. Zawsze może coś wyskoczyć.

- To poczeka - wycedziła przez zaciśnięte zęby. Garion zerknął na nią, dostrzegł sygnały niebezpieczeństwa i odparł tak łagodnie, jak tylko potrafił:

- Chyba masz rację, kochanie. Nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyśmy się wybrać na wycieczkę. Moglibyśmy też poprosić Arell - i może Kaila - żeby do nas dołączyli.

- Nie, Garionie - powiedziała stanowczo.

- Nie?

- Absolutnie nie.

I tak, wkrótce po śniadaniu, Rivański Król pod rękę ze swą drobniutką królową opuścili Cytadelę, zabierając ze sobą dobrze zaopatrzone koszyki. Przecięli rozległą łąkę za miastem i znaleźli się w nakrapianym słonecznymi plamkami cieniu wiecznie zielonych drzew, porastających strome zbocza aż po skryte pod błyszczącymi śnieżnymi czapami szczyty, tworzące stos pacierzowy wyspy.

Gdy weszli do lasu, z twarzy Ce'Nedry natychmiast zniknęły wszelkie ślady niezadowolonia. Wędrując pomiędzy wysokimi sosnami i jodłami zbierała leśne kwiaty, z których uplotła sobie wianek. Ukośne promienie porannego słońca przenikały przez gęste korony drzew, tworząc na poszyciu szachownicę złocistych plam i błękitnych cieni. Żywiczny, ciężki zapach wyniosłych iglaków unosił się w powietrzu, a pośród kolumn pni śmigały ptaki, śpiewając na powitanie słońca.

Po jakimś czasie trafili na porośniętą mchami polanę - otwartą przestrzeń w kręgu drzew. Przeplływający przez nią strumyk szemrał i gaworzył na lśniących kamieniach, by w końcu wpaść do małego leśnego jeziora. Stała tam sarna, a kiedy weszli na polanę, zwierzę uniosło głowę znad wody, opływającej jej delikatne brązowe nogi, spojrzało na nich bez lęku łagodnymi oczami, po czym odbiegło w las. Pozostało po nim tylko echo stukotu kopytek na kamieniach.

- Och, co za idealne miejsce - oświadczyła Ce'Nedra, uśmiechając się rozkosznie. Przysiadła na okrągłym głazie i zaczęła rozsznurowywać trzewiki.

Garion położył koszyk na ziemi i przeciągnął się, czując, jak troski kilku ostatnich tygodni powoli ulatują w dal.

- Cieszę się, że o tym pomyślałaś - powiedział, układając się wygodnie na rozgrzanym słońcem mchu. - To naprawdę świetny pomysł.

- Naturalnie - odparła. - Wszystkie moje pomysły są świetne.

- Nie wiem, czy posuwałbym się aż tak daleko. - Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. - Ce'Nedro - powiedział.

- Co?

- Od dawna chciałem cię o coś zapytać. Wszystkie driady mają imiona zaczynające się na X, prawda? Xera, Xantha i tak dalej.

- To nasz zwyczaj - odrzekła Ce'Nedra, nie przestając rozplątywać rzemyków.

- Dlaczego więc ty nie? To znaczy, twoje imię nie zaczyna się przecież na X?

- Owszem, zaczyna - zsunęła z nogi but. - Po prostu Tolnedranie wymawiają je nieco inaczej. Dlatego też inaczej je zapisują. Driady niewiele czytają i piszą, więc nie przejmują się zbyt ortografią.

- X'Nedra?

- Blisko. Musisz tylko trochę bardziej zmiękczyć X.

- Wiesz, od dawna nie dawało mi to spokoju.

- To czemu nie spytałeś?

- Nie wiem. Jakoś nigdy nie przyszło mi to do głowy.

- Wszystko ma swój powód, Garionie - oznajmiła - ale nigdy go nie poznasz, jeśli nie zapytasz.

- Zupełnie jakbym słyszał ciocię Pol.

- Tak, kochanie, wiem. - Uśmiechnęła się, zrzuciła drugi trzewik i z zadowoleniem podkurczyła palce u nóg.

- Czemu chcesz chodzić na bosaka? - spytał z czystej ciekawości.

- Lubię czuć mech pod stopami - i myślę, że za jakiś czas pójde popływać.

- Jest za zimno. Ten strumień spływa wprost z lodowca.

- Trochę zimnej wody mi nie zaszkodzi. - Wzruszyła ramionami po czym, jakby odpowiadając na wyzwanie, wstała i zaczęła zdejmować ubranie.

- Ce'Nedro! A co, jeśli ktoś przyjdzie? Roześmiała się srebrzyście.

- A jeśli nawet? Nie zamierzam zmoczyć sobie sukni dla zachowania przyzwoitości. Nie bądź takim skromnisiem, Garionie.

- Nie o to chodzi. Tylko że...

- Że co?

- Nieważne.

Lekkim krokiem wbiegła do jeziora, piszcząc radośnie, gdy wokół rozbryznięta się lodowata woda. Potem zanurkowała i zniknęła pod powierzchnią stawu, przepłynęła na drugą stronę, gdzie w krystalicznie czystej wodzie leżał koniec potężnego, omszałego pnia i wynurzyła się, odrzucając mokre włosy. Posłała mu drwiący uśmiech.

- I co?! - zawołała.

- Co "co"?

- Nie wejdiesz?

- Oczywiście, że nie.

- Czyżby wszechmocny Władca Zachodu obawiał się zimnej wody?

- Wszechmocny Władca Zachodu ma dość rozsądku, by nie złapać przeziębienia dla jednej krótkiej kąpieli.

- Doprawdy, Garionie, robisz się ociężały. Zdejmij koronę i odpręż się.

- Nie mam na sobie korony.

- Więc zdejmij co innego.

- Ce'Nedro!

Ponownie roześmiała się dźwięcznie i zaczęła wymachiwać bosymi stopami, wysyłając w powietrze deszcz błyszczących kropeł, które w porannym słońcu mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Potem położyła się płasko na wodzie, a jej włosy rozłożyły się niczym ciemnoczerwony wachlarz na powierzchni jeziora. Wianek, który uplotła sobie wcześniej, rozleciał się podczas pływania i pojedyncze kwiaty unosiły się teraz na wodzie, tańcząc na drobnych falach.

Garion usiadł na porośniętym mchem głazie, opierając wygodnie plecy o pień drzewa. Słońce przyjemnie grzało, a jego nozdrza wypełniała woń drzew, trawy i polnych kwiatów. Niosący słoń gorycz morza wietrzyk wzdychał wśród zielonych koron jodeł, otaczających niewielką polanę, a złociste słoneczne promienie malowały jasne plamy na leśnym poszyciu.

Spomiędzy wyniosłych pni wyleciał nagle zabłąkany motyl, jego wzorzyste, błękitno-złote skrzydełka migotały w słońcu. Zwabiony kolorami, zapachem czy może inną tajemniczą przynętą owad pożeglował w czystym powietrzu ku jezioru i unoszącym się na nim kwiatom. Wędrował ciekawie z kwiatka na kwiatek, dotykając każdego lekko skrzydełkami. Ce'Nedra jak zauroczona powoli zanurzyła głowę w wodzie, póki nad powierzchnię nie wystawała jedynie twarz. Ciekawski motyl kontynuując swe badania coraz bardziej zbliżał się do oczekującej królowej. Wreszcie zawisł nad jej obliczem, z ekstazą muskając delikatnymi

skrzydełkami wytęsknione usta.

- No, pięknie - roześmiał się Garion. - Teraz moja żona zadaje się z motylami.

- Zrobię wszystko za jednego całusa - odparła, rzucając mu łobuzerskie spojrzenie.

- Jeśli potrzeba ci tylko całusów, sam się tym zajmę - oznajmił.

- Ciekawa propozycja. Mam chyba właśnie ochotę na jednego - w tej chwili. Mój drugi kochanek, jak się zdaje, przestał się mną interesować - wskazała dłonią motyla, który przysiadł z rozedrganymi skrzydełkami na krzaku tuż przy brzegu. - Chodź i pocałuj mnie, Garionie.

- Jesteś dokładnie na środku najgłębszej części jeziora - zauważył.

- I co z tego?

- Nie sądzę, abyś uznała za stosowne wyjść.

- Proponowałeś pocałunki, Garionie. Bez żadnych wstępnych warunków.

Garion westchnął, wstał i zaczął zdejmować ubranie.

- Oboje tego pożałujemy - przepowiadał. - Letnie przeziębienia trwają całymi miesiącami.

- Nie przeziębisz się. Chodź już.

Jęknął, po czym mężnie wszedł do lodowatej wody.

- Okrutna z ciebie niewiasta, Ce'Nedro - rzucił oskarżycielsko, krzywiąc się przy zatkanie z przenikliwym chłodem.

- Nie bądź dzieckiem. No, chodź.

Zaciskając zęby ruszył ku niej, brodząc w coraz głębszej wodzie. Po drodze boleśnie uderzył palcem u nogi w duży kamień. Kiedy dotarł do żony, zarzuciła mu na szyję mokre, zimne ręce i przywarła wargami do jego ust. Pocałunek przedłużał się, wytrącając Gariona z równowagi. Poczul, jak jej wargi napinają się lekko, gdy nie przerywając pocałunku uśmiechnęła się figlarnie i nagle, bez żadnego ostrzeżenia podkurczyła nogi, a jej ciężar wciągnął go pod wodę.

Wynurzył się prychnając i klnąc.

- Czyż to nie zabawne? - zaśmiała się Ce'Nedra.

- Niespecjalnie - mruknął. - Tonicie nie należy do moich ulubionych sportów.

Puściła tę uwagę mimo uszu.

- Teraz, kiedy już się zmoczyłeś, równie dobrze możesz ze mną popływać.

Pływali razem przez kwadrans, po czym wynurzyli się z jeziora dygocząc z zimna, z posiniałymi ustami.

- Rozpal ogień, Garionie! - Zęby Ce'Nedry szczękały głośno.

- Nie mam przy sobie hubki - odparł - ani krzesiwa.
- Wobec tego zrób to w inny sposób.
- Jaki inny sposób? - spytał nic nie pojmującym tonem.
- No wiesz... - machnęła ręką w tajemniczym geście.
- Och. Zapomniałem o tym.
- Pospiesz się, Garionie. Zamarzam.

Garion zebrał naręcze suchych badyli opadłych gałęzi, oczyścił kawałek gruntu z mchu i skupił wolę na stosie drewna. Z początku w powietrze wzniosła się jedynie wada smużka dymu, po chwili jednak w ślad za nią wystrzelił jasny pomarańczowy płomień. Kilka minut później obok pokrytego mchem głazu, na którym kuliła się drżąca Ce'Nedra, płonęło już niewielkie ognisko.

- Tak już znacznie lepiej - stwierdziła, wyciągając ręce do ognia. - Dobrze jest mieć cię przy sobie, mój panie.

- Dziękuję, o pani. Czy Wasza Wysokość nie chciałaby może założyć czegoś na siebie?

- Moja Wysokość nie uczyni nic podobnego, póki nie wyschnie. Nie cierpię nakładania suchego ubrania na mokrą skórę.

- W takim razie miejmy nadzieję, że nikt się tu nie zjawi. Nie jesteśmy zbyt stosownie odziani.

- Garionie, jesteś taki konwencjonalny.

- Przypuszczam, że tak.

- Czemu się do mnie nie przyłączysz? - rzuciła zapraszająco. - Tu jest znacznie cieplej.

Nie potrafił wymyślić żadnej wymówki, więc przysiadł koło niej na ciepłym mchu.

- Widzisz? - stwierdziła, obejmując go za szyję. - Czyż tak nie jest przyjemniej? - Pocałowała go, mocno i zdecydowanie. Garion wstrzymał oddech, poczuł, jak wali mu serce.

Gdy wreszcie zwolniła swój uścisk wokół szyi męża, Garion nerwowo rozejrzał się po polanie. Jego uwagę przykuł nagły ruch przy brzegu jeziora. Zakasłał, zaambarasowany, odwracając wzrok.

- Co się stało? - spytała Ce'Nedra.

- Zdaje mi się, że ktoś na nas patrzy. Ten motyl... - odparł z lekkim rumieńcem.

- Nie szkodzi - uśmiechnęła się Ce'Nedra. Przytuliła się do niego i raz jeszcze go pocałowała.

Świat sprawiał wrażenie zastygłego w bezruchu, gdy tego roku wiosna niepostrzeżenie

zamieniła się w lato. Secesja Yorduów załamała się pod naciskiem ataków ciężkozbrojnych mimbrańskich “rozbójników” i buntowniczy ród w końcu skapitulował, błagając z niemal szczerą skruchą, aby z powrotem przyjęto go na łono imperium. I choć poborcy podatkowi Yarany nie cieszyli się u nich szczególną popularnością, wszyscy Yorduowie wybiegli na ulice, by powitać nadciągające legiony.

Nowiny z Cthol Murgos można by w najlepszym razie uznać za ogólnikowe, lecz ich generalny ton wskazywał, że walczące strony wciąż znajdowały się w impasie - Malloreanie Kal Zakatha władali równinami, podczas gdy Murgowie Urgita umacniali pozycje w górach.

Okresowe raporty, przekazywane Garionowi przez drasański wywiad, wskazywały, że odrodzony kult Niedźwiedzia, usadowiwszy się na wsi, nie podejmuje na razie żadnych nowych działań.

Króla Rivy cieszyło to nagłe uspokojenie sytuacji. Ponieważ nie miał zbyt wielu palących zajęć, zaczął dłużej sypiać, czasami wylegując się w łóżu w luksusowej drzemce jeszcze dwie - trzy godziny po wschodzie słońca.

Jednego z takich poranków, niedługo przed letnim przesileniem, nawiedził go absolutnie wspaniały sen. Wraz z Ce’Nedrą skakali ze stryszku w stodole Faldora na miękki stos siana, leżący poniżej. Przebudzenie nastąpiło wyjątkowo brutalnie, gdy jego żona wyskoczyła z łóżka i pobiegła do sąsiedniej komnaty, gdzie dostała gwałtownych, hałaśliwych wymiotów.

- Ce’Nedro! - krzyknął, zrywając się w ślad za nią. - Co robisz?

- Rzygam - odparła, unosząc pobladłą twarz znad trzymanej na kolanach miednicy.

- Jesteś chora?

- Nie - prychnęła z ironią. - Robię to dla przyjemności.

- Zaraz wezwę lekarza - oznajmił, chwytając szlafrok.

- Nie trzeba.

- Ale przecież jesteś chora.

- Owszem, ale nie potrzebuję lekarza.

- To nie ma sensu, Ce’Nedro. Jest ci niedobrze. Powinien obejrzeć cię medyk.

- Ma mi być niedobrze - poinformowała go.

- Jak to?

- Naprawdę nie wiesz, Garionie? Prawdopodobnie będzie mi niedobrze co rano przez następnych kilka miesięcy.

- Zupełnie cię nie rozumiem, Ce’Nedro.

- Jesteś niemożliwie tępy. Kobiety w moim stanie zawsze wymiotują.

- Stanie? Jakim stanie?

Z desperacją przewróciła oczami.

- Garionie - powiedziała z nieco przesadną cierpliwością - czy pamiętasz problem, jaki mieliśmy zeszłej jesieni? Ten, który kazał ci wezwać lady Polgarę?

- No... tak.

- Cieszę się. Cóż, już go nie mamy.

Wpatrzył się w nią, w jego oczach wolno rozbłyskało zrozumienie.

- To znaczy...

- Tak, kochanie - odparła ze słabym uśmiechem. - Zostaniesz ojcem. A teraz, jeśli pozwolisz - myślę, że znów zwymiotuję.

ROZDZIAŁ 13

Nie pasowały do siebie. Niezależnie od tego, jak Garion przekręcał i nagiął sens obu fragmentów - po prostu nie mógł ich do siebie dopasować. Mimo faktu, iż oba opisywały ten sam okres, wyraźnie prowadziły w różne strony. Na dworze był złocisty jesienny poranek, lecz zakurzona biblioteka sprawiała wrażenie mrocznej, chłodnej i odpychającej.

Garion nie uważał się za badacza, toteż z pewnym wahaniem zabrał się do wypełniania polecenia Belgaratha. Już sama objętość dokumentów, które musiał przeczytać, onieśmiewiała go, to ponure pomieszczenie zaś, wypełnione wonią starych pergaminów i spleśniałych skórzanych opraw, zawsze budziło w nim przygnębienie. Robił już jednak w swym życiu nieprzyjemne rzeczy i choć nie przejawiał zbytniego entuzjazmu, każdego dnia spędzał obowiązkowo co najmniej dwie godziny zamknięty w tym podobnym do więziennej celi pokoju, zmagając się ze starożytnymi księgami i zwojami, zapisanymi często prawie nieczytelnym pismem. Powtarzał sobie, że przynajmniej jest to lepsze niż szorowanie garnków.

Zacisnął zęby i położył oba zwoje na stole, by raz jeszcze je porównać. Zaczął czytać, wolno i na głos, być może w nadziei, że uszy wychwycą to, czego nie dostrzegły oczy.

Kodeks Dariński wyglądał na stosunkowo prosty i nieskomplikowany. "I oto", głosił tekst, "w dniu, kiedy Aldurowy Klejnot zapłonie szkarłatnym ogniem, objawione zostanie imię Dziecięcia Mroku. Strzeżcie dobrze syna Dziecięcia Światła, nie będzie on bowiem miał brata. I nadejdzie czas, gdy to, co kiedyś było jednym, a teraz jest dwoma, znów się połączy i w połączeniu tym jedno z nich odejdzie, by już nigdy nie powrócić".

Klejnot rzeczywiście przybrał szkarłatną barwę i istotnie zostało wyjawione imię Dziecięcia Mroku - Zandramas. Jak do tej pory treść proroctwa zgadzała się z rzeczywistością. Informacja, że syn Dziecięcia Światła - jego syn - nie będzie miał braci, nieco zaniepokoiła Gariona. Z początku uznał, iż oznacza to, że będą mieli z Ce'Nedrą tylko jedno dziecko, ale im dłużej się zastanawiał, tym jaśniej pojmował, że rozumowanie to jest błędne. Przepowiednia mówiła jedynie o synach. Po namyśle Garion musiał przyznać, że wizja stłoczonego wokół jego kolan stadka rozszczebiotanych dziewczynek bardzo mu się podoba.

Natomiast ostatnie zdanie - to o dwóch, które kiedyś były jednym - na razie nie miało dla niego najmniejszego sensu. Był jednak pewien, że nabierze go z czasem.

Przesunął dłoń, podążając palcem wzdłuż wierszy Kodeksu Mrin. Wyteżył wzrok i w niepewnym żółtym blasku świecy raz jeszcze odczytał uważnie starożytny tekst. "I Dziecię

Światła zmierzy się z Dziecięciem Mroku i pokona go” - to niewątpliwie odnosiło się do jego walki z Torakiem - “i Ciemność umknie w otchłań”. Mroczne Proroctwo istotnie uciekło, gdy Torak zginął. “Lecz stanie się, że Kamień, który leży w sercu Światła...” - bez wątplenia chodziło o Klejnot - “niespodzianie...” W tym miejscu widniał kleks, zasłaniający jedno słowo. Garion zmarszczył brwi, próbując zgadnąć, co kryje się pod tą nieregularną plamą atramentu. I gdy tak na nią patrzył, ogarnęła go nagła niemoc, jakby próba usunięcia kleksa i odsłonięcia tego, co ukrywał, równała się co najmniej poruszeniu góry. Wzruszył ramionami i zaczął czytać dalej: “...i spotkanie to nastąpi w miejscu, którego już nie ma, i tam dokona się wybór”.

Ten ostatni fragment doprowadzał go do rozpacz. Jak spotkanie - czy cokolwiek innego - może odbyć się w miejscu, którego nie ma? I co oznaczał ów “wybór”? Jaki wybór? Czyj wybór? Pomiędzy czym a czym?

Zaklął i raz jeszcze wrócił do lektury. Ponownie też poczuł dziwną niechęć, gdy jego wzrok spoczął na plamie atramentu. Zlekceważył to jednak i wrócił do pracy. Nieważne, co kryło się pod tą plamą - wciąż było to tylko jedno słowo, a jedno słowo nie może być aż tak ważne. Z irytacją odłożył zwój i zastanowił się nad rozbieżnością. Pierwsze wytłumaczenie, jakie mu się nasunęło, było bardzo proste - plama stanowi kolejne z wielu miejsc, gdzie szalony prorok Mrin dostał jednego ze swych słynnych ataków. Możliwe też, że ten szczególny egzemplarz był niekompletny. Skryba, który go przepisywał, mógł niechcący opuścić linijkę czy dwie, gdy zaplamił pergamin. Garion przypomniał sobie, jak sam zrobił kiedyś coś podobnego, zamieniając zupełnie łagodną proklamację w złowrogą deklarację, w której o mały włos nie ustanowił się militarnym dyktatorem wszystkich królestw po tej stronie Wschodniego Szańca. Gdy zauważył pomyłkę, nie tylko natychmiast wymazał nieszczęsne linijki, ale z dreszczem zgrozy spalił całą kartkę, by się upewnić, że nie ujrzy jej niczyje oko.

Wstał z krzesła i przeciągnął się, by rozruszać zeszywniałe mięśnie, po czym podszedł do małego, zakratowanego okienka biblioteki. Jesienne niebo miało barwę chłodnego błękitu. Od kilku tygodni noce stały się zimne i wschodzące słońce często zastawało łąki, leżące na wyższych zboczach za miastem, pokryte białą warstewką szronu. Dni jednak wciąż pozostawały rozłożone i ciepłe. Sprawdził położenie słońca, aby ustalić godzinę. W południe umówił się z hrabią Yalgonem, tolnedrańskim ambasadorem, i nie chciał się spóźnić. Ciocia Pol zawsze podkreślała znaczenie punktualności i Garion zwykle starał się być wszędzie o czasie.

Z powrotem podszedł do stołu i odruchowo zwinął oba kodeksy, w myślach nadal zmagając się z problemem sprzecznych fragmentów. Następnie zdmuchnął świecę i wyszedł z biblioteki, starannie zamykając za sobą drzwi.

Yalgon, jak zawsze, okazał się męczący. Garion miał wrażenie, że w samej naturze Tolnedran leżała wrodzona pompatyczność, nie pozwalająca im powiedzieć tego, co mieli na myśli, bez tasiemcowych ozdobników. Tego dnia ich dyskusja dotyczyła priorytetów w rozładunku statków handlowych w rivańskim porcie. Yalgon zdawał się żywić szczególne upodobanie do słowa "priorytet", wynajdując preteksty, by wtrącać je w co drugim zdaniu. W gruncie rzeczy jego wystąpienie sprowadzało się do prośby - czy raczej żądania - by tolnedrańscy kupcy mieli zawsze zapewnione pierwszeństwo w dostępie do nieco przyciasnych nabrzeży u stóp miasta.

- Mój drogi Yalgonie - zaczął Garion, starając się znaleźć jakiś dyplomatyczny wykręt - wydaje mi się, że sprawa ta wymaga... - urwał, unosząc wzrok, wielkie, rzeźbione drzwi sali tronowej bowiem rozwarły się nagle.

Jeden z potężnych, odzianych w szare płaszcze strażników, którzy zawsze trzymali wartę na korytarzu, gdy Garion udzielał audiencji, wmaszerował do środka, odchrząknął i oznajmił głosem, słyszalnym prawdopodobnie na drugim końcu wyspy:

- Jej Królewska Wysokość Ce'Nedra, królowa Rivy, księżniczka imperium Tolnedry, Dowódca Armii Zachodu, ukochana żona Jego Wysokości Belgariona z Rivy, Bogobójcy, Pana Zachodniego Morza i Władcy Zachodu!

Tuż za wartownikiem do sali weszła Ce'Nedra. Jej twarz miała skromny wyraz, a ciężar tak licznych tytułów ani odrobinę nie przygniótł wyprostowanych pleców. Miała na sobie szmaragdowozieloną aksamitną suknię z podniesionym stanem, kryjącą powiększony brzuch. W jej oczach lśniły złośliwe iskierki.

Yalgon odwrócił się i złożył jej dworski ukłon.

Ce'Nedra dotknęła ramienia strażnika, wspięła się na palce i szepnęła mu coś do ucha. Wartownik przytaknął, z powrotem zwrócił się w stronę tronu i raz jeszcze odchrząknął.

- Jego Wysokość książę Kheldar z Drasni, siostrzeniec nieodżałowanej pamięci króla Rhodara, kuzyn króla Khevy, Pana Północnych Kresów!

Garion spojrzał na niego ze zdumieniem.

Silk dumnym krokiem wmaszerował do sali. Jego tunikę uszyto z bogatej, perłowo-szarej materii, palce lśniły od pierścieni, z szyi zwisał wielki szafirowy wisior na złotym łańcuchu.

- W porządku, panowie - powiedział pod adresem Gariona i hrabiego Yalgona, lekceważąco machając ręką. - Nie musicie wstawać. - Wyniosłym gestem podał ramię Ce'Nedrze i oboje ruszyli szerokim, wyściełanym dywanem przejściem, mijając trzy wycięte w podłodze paleniska.

- Silk! - wykrzyknął Garion.

- We własnej osobie - odparł Drasanin z ironicznym ukłonem. - Wasza Wysokość dobrze wygląda - biorąc pod uwagę okoliczności.

- Jakie okoliczności? Silk mrugnął do niego.

- Jestem zaszczycony ponownym spotkaniem z tak sławnym księciem kupców - wymamrotał uprzejmie Yalgon. - W ostatnich latach Wasza Wysokość stał się prawdziwą legendą. Pańskie dokonania na Wschodzie doprowadzają do rozpaczki wszystkie większe domy handlowe w Tol Honeth.

- To prawda, odnieśliśmy pewne skromne sukcesy. - Silk chuchnął na wielki rubin na swej lewej dłoni, po czym wypolerował go o przód tuniki. - Proszę w swym następnym raporcie przekazać moje pozdrowienia waszemu nowemu imperatorowi. Zastosowane przez niego rozwiązanie kwestii Yorduów było rzeczywiście mistrzowskie.

Yalgon pozwolił sobie na słaby uśmiezek.

- Pewien jestem, że Jego Imperialna Wysokość doceni pańską aprobatę, książę. - Odwrócił się do Gariona. - Wiem, że Wasza Wysokość zechce zapewne omówić wiele spraw ze swym starym przyjacielem - stwierdził. - Naszą dyskusję możemy dokończyć w późniejszym terminie. - Ukłonił się. - Za pozwoleniem Waszej Wysokości, pożegnam się.

- Oczywiście, Yalgonie - odparł Garion. - I dziękuję. Tolnedranin ponownie ukłonił się i bezszelestnie opuścił salę tronową. Ce'Nedra podeszła do stóp tronu i czule ujęła rękę Silka.

- Mam nadzieję, że nie gniewasz się za to, iż ci przeszkodziliśmy, Garionie - stwierdziła. - Wiem, że twoja rozmowa z Yalgonem była naprawdę fascynująca.

Garion skrzywił się.

- Po co te wszystkie formalności? - spytał ciekawie. - Wyliczanie tytułów i tak dalej?

- To pomysł Ce'Nedry - Silk uśmiechnął się szeroko. - Uznała, że jeśli oszołomimy Yalgona dostateczną liczbą tytułów, zdołamy go przekonać, by sobie poszedł. Czy przeszkodziliśmy w czymś ważnym?

Garion rzucił mu kwaśne spojrzenie.

- Mówił właśnie o problemach związanych z rozładunkiem statków tolnedrańskich kupców. Mam wrażenie, że gdybym jeszcze raz usłyszał słowo "priorytet", zerwałbym się z miejsca i udusił go gołymi rękami.

- Tak? - Ce'Nedra szeroko otworzyła oczy i przybrała minę małej dziewczynki. - W takim razie zawołajmy go z powrotem.

- Wnioskuje, że za nim nie przepadasz - stwierdził Silk.

- To jeden z Honethów - wyjaśniła, prychając pogardliwie. - Nie znoszę Honethów.

- Chodźmy gdzieś, gdzie można pogadać - zaproponował Garion, rozglądając się po ogromnej sali.

- Skoro takie jest życzenie Waszej Wysokości - odparł Silk z wytwornym ukłonem.

- Och, przestań już! - Garion zeskoczył z podwyższenia i poprowadził do bocznych drzwi.

Gdy znaleźli się w cichym, rozświetlonym słońcem sanktuarium królewskiego apartamentu, Garion westchnął z ulgą, zdejmując koronę i zrzucając z siebie oficjalną monarszą szatę.

- Nie macie pojęcia, jak to grzeje - powiedział, ciskając ją niedbale na stojące w kącie krzesło.

- Ale także się gniecie, kochanie - przypomniała mu Ce'Nedra. Podniosła porzucony strój, złożyła go starannie i przewiesiła przez oparcie.

- Może mógłbym znaleźć ci szatę z malloreńskiej satyny: w odpowiednim kolorze, przetykaną srebrną nicią - podsunął Silk. - Wyglądałaby bardzo bogato, choć dyskretnie i ze smakiem - no i nie byłaby taka ciężka.

- Dobry pomysł.

- I bez wątpienia ofiarowałbym ci ją za bardzo atrakcyjną cenę.

Garion rzucił mu zdumione spojrzenie i Drasanin wybuchnął śmiechem.

- Nigdy się nie zmienisz, prawda? - spytała Ce'Nedra.

- Oczywiście, że nie - odparł Silk, bez zaproszenia sadowiąc się na krzesło.

- Co cię sprowadza do Rivy? - Garion zajął miejsce przy stole naprzeciw przyjaciela.

- Przede wszystkim sentyment. Nie widziałem was przez ładnych parę lat. - Rozejrzał się wokół. - Czy sądzisz, że dałoby się zorganizować coś do picia?

- Myślę, że coś się znajdzie. - Garion posłał mu szeroki uśmiech.

- Mamy tu dość przyjemne wino - zaproponowała Ce'Nedra, podchodząc do kredensu z ciemnego, wypolerowanego drzewa. - Próbujemy utrzymać Gariona z dala od piwa.

Jedna z brwi Silka powędrowała do góry.

- Kiedy wypije ale, objawia niestety skłonność do śpiewania - wyjaśniła królowa. - Nie chciałabym cię narazić na podobne przeżycie.

- Wystarczy - wtrącił Garion.

- Nie chodzi nawet o jego głos - ciągnęła niestrudzenie Ce'Nedra. - Raczej o upór, z jakim poszukuje właściwych dźwięków - i nie znajduje ich.

- Czy mogłabyś przestać?

Roześmiała się melodyjnie i napełniła dwa srebrne puchary czerwonym jak krew toledrańskim winem.

- Nie przyłączysz się do nas? - spytał Silk. Ce'Nedra wykrzywiła się lekko.

- Następca tronu Rivy nie przepada za winem - położyła dłoń na napęczniałym brzuchu. - Albo może przepada za nim aż za bardzo. Zaczyna wtedy kopać, a wolałabym, żeby nie połamał mi zbyt wielu żeber.

- Ach - mruknął Silk.

Ce'Nedra wzięła kielichy i postawiła je na stole przed nimi.

- Teraz, panowie, jeśli mi wybaczycie, już czas, bym odwiedziła łaźnię.

- To jej hobby - wyjaśnił Garion. - Każdego popołudnia spędza co najmniej dwie godziny w łaźni - nawet kiedy nie jest brudna.

- Pozwalam odpocząć moim plecami - wzruszyła ramionami. - Ostatnio stale noszę przed sobą spory ciężar - ponownie poklepała się po brzuchu. - I mam wrażenie, że z każdym dniem staje się coraz cięższy.

- Cieszę się, że to kobiety rodzą dzieci - stwierdził Silk. - Jestem pewien, że nie miałbym na to siły.

- Paskudny z ciebie człowiek, Kheldarze - odparła zgryźliwie.

- Oczywiście.

Rzuciła mu miażdżące spojrzenie, po czym ruszyła na poszukiwanie lady Arell, która najczęściej towarzyszyła jej w kąpielni.

- Wygląda wprost kwitnąco - zauważył Silk - i ma znacznie lepszy humor, niż oczekiwałem.

- Trzeba było ją zobaczyć kilka miesięcy temu.

- Było aż tak źle?

- Nie wyobrażasz sobie.

- Przypuszczam, że to się zdarza - tak mi przynajmniej mówiono.

- Co ostatnio porabiałeś? - spytał Garion, odchylając się na krześle. - Niewiele o tobie słyszeliśmy.

- Byłem w Mallorei - odrzekł Silk, sącząc wino. - Handel futrami przestaje być interesujący, zresztą tą dziedziną zajmuje się Yarblek. Uznaliśmy, że można zyskać sporo grosza na malloreańskich jedwabkach, dywanach i nie szlifowanych kamieniach szlachetnych, więc wybrałem się tam na rekonesans.

- Czy dla zachodniego kupca Mallorea nie jest trochę niebezpieczna?

Silk wzruszył ramionami.

- Nie bardziej niż Rak Goska albo Tol Honeth. Całe życie spędziłem w niebezpiecznych miejscach.

- Nie mógłbyś po prostu kupić towarów w Yar Marak czy Thull Zelik, wprost z malloreańskich statków?

- Najtaniej jest kupować u źródła. Za każdym razem, kiedy towar przechodzi z rąk do rąk, jego cena podwaja się.

- To chyba ma sens. - Garion zerknął na przyjaciela, zazdroszcząc mu swobody, która pozwalała Silkowi podróżować po całym świecie, gdzie mu się żywnie spodoba. - Jaka naprawdę jest Malloreia? - spytał. - Słyszałem o niej sporo historii, ale obawiam się, że to tylko pogłoski.

- W tej chwili panuje tam zamęt - odparł ponuro Silk. - Kal Zakath wyruszył na wojnę z Murgami, a Grolimowie poszli w rozsypkę, gdy tylko dotarła do nich wieść o śmierci Toraka. Ludem Mallorei zawsze ktoś rządził - z Mai Zeth albo Mai Yaska - imperator lub kościół. Teraz jednak zapanowało bezkrólewie. Biurokracja rządowa stara się utrzymać porządek, lecz Malloeranie potrzebują silnej władzy - a w tej chwili jej im zabrakło. Zaczynają się więc pojawiać dziwne zjawiska - bunty, nowe religie i podobne rzeczy.

Garionowi przyszła nagle do głowy pewna myśl.

- Czy zetknąłeś się może z imieniem Zandramas? - spytał z zainteresowaniem.

Silk spojrzał na niego ostro.

- Dziwne, że o to pytasz. Kiedy byłem w Boktorze, tuż przed śmiercią Rhodara rozmawiałem z Javelinem. Przypadkiem towarzyszył mi Podarek, który zadał Javelinowi to samo pytanie. Javelin wyjaśnił, że samo imię jest pochodzenia darshivskiego. Nic poza tym nie wiedział. Po powrocie do Mallorei pytałem w paru miejscach, ale ludzie za każdym razem bledli i stawali się niezmiernie oszczędni w słowach, więc dałem sobie spokój. Domyślałem się tylko, że ma ono coś wspólnego z jedną z tych nowych religii, o których już wspominałem.

- A może mówi ci coś nazwa Sardion - albo Cthrag Sardius?

Silk zmarszczył brwi, z namysłem postukując kielichem o dolną wargę.

- Brzmi znajomo, ale nie potrafię stwierdzić, gdzie ją słyszałem.

- Jeśli zdołasz to sobie przypomnieć, byłbym wdzięczny za wszelkie, nawet najbardziej błahe informacje.

- Czy to ważne?

- Tak mi się zdaje. Dziadek i Beldin są tym bardzo zainteresowani.

- Mam pewne kontakty w Mai Zeth i Melcene - stwierdził Silk. - Kiedy tam wrócę, zobaczę, co się da zrobić.

- Zatem niedługo wracasz? Drasanin skinął głową.

- Miałem w ogóle nie wyjeżdżać, ale w Yar Nadrak wynikły pewne kłopoty. Król Drosta zrobił się przesadnie chciwy. Płaciliśmy mu spore łapówki po to, by przymykał oko na niektóre nasze działania w jego królestwie. Kiedy zorientował się, że zarabiamy całkiem sporo, zaczął przemyśliwać nad konfiskatą naszego majątku w Gar og Nadrak. Musiałem wybrać się do niego i przekonać go, by porzucił ten pomysł.

- Jak to osiągnąłeś? Zawsze miałem wrażenie, że Drosta robi w Gar og Nadrak wszystko, na co przyjdzie mu ochota.

- Postraszyłem go - odparł Silk. - Zwróciłem mu uwagę, że jestem blisko spokrewniony z królem Drasni, i dałem do zrozumienia, iż pozostaję w zażyłych stosunkach z Kal Zakathem. Perspektywa inwazji ze wschodu lub zachodu nie zachwyciła go zbytnio, więc zrezygnował.

- Naprawdę jesteś w dobrych stosunkach z Zakathem?

- Nawet go nie znam, ale Drosta o tym nie wie.

- Okłamałeś go? Czy to nie jest niebezpieczne? Silk roześmiał się.

- Mnóstwo rzeczy jest niebezpieczne, Garionie. Bywaliśmy już w tarapatach. Rak Cthol, jeśli pamiętasz, nie zaliczało się raczej do najbezpieczniejszych miejsc na świecie, a i Cthol Mishrak każdego mogło zdenerwować.

Garion bawił się swym kielichem.

- Wiesz co, Silku? - powiedział. - Chyba brak mi tego wszystkiego.

- Czego wszystkiego?

- Sam nie wiem - niebezpieczeństw, związanego z nimi podniecenia. W gruncie rzeczy usatkowałem się na dobre. Jedyna zabawa, jaka mi została, to potyczki z tolnedrańskim ambasadorem. Czasami chciałbym... - urwał.

- Możesz pojechać ze mną do Mallorei, jeśli masz ochotę - zaproponował Silk. - Człowiek o twoich talentach z pewnością znalazłby u mnie interesującą pracę.

- Nie sądzę, aby Ce'Nedra była tym zachwycona - zwłaszcza teraz.

- To jeden z powodów, dla których się nie ożeniłem. Nie muszę się przejmować podobnymi rzeczami.

- Czy w drodze powrotnej zatrzymasz się w Boktorze?

- Może na krótko. Jadąc z Yar Nadrak odwiedziłem już wszystkich, których musiałem. Porenn znakomicie radzi sobie z Khewą. Chłopak będzie w przyszłości bardzo dobrym królem. I oczywiście wpadłem też do Javelina. Tego się po nas oczekuje. Javelin lubi wysłuchiwać naszych wrażeń z innych krajów - nawet jeśli nie działamy tam w oficjalnych misjach.

- Jest bardzo dobry, prawda?

- Najlepszy.

- Zawsze sądziłem, że to ty jesteś najlepszy.

- O nie, Garionie. - Silk uśmiechnął się. - Jestem zbyt niestały. Genialny, ale niekonsekwentny. Zbyt łatwo się rozpraszam. Kiedy Javelin raz wejdzie na trop, nie zboczy z niego, póki nie dopadnie zdobyczy. W tej chwili próbuje rozpracować kult Niedźwiedzia.

- I jak mu idzie?

- Na razie marnie. Od kilkunastu lat starał się umieścić kogoś w wewnętrznych kręgach kultu - bez powodzenia. Mówiłem mu, że powinien wysłać Łowcę, ale on odparł, że Łowca jest zajęty gdzie indziej i żebym pilnował własnego nosa.

- Łowca? Kto to jest Łowca?

- Nie mam pojęcia - przyznał Silk. - Widzisz, to nie jest określona osoba. To imię, jakie nadajemy najtajniejszemu z naszych szpiegów. Od czasu do czasu Łowcy się zmieniają. Tylko Javelin wie, kto to jest, i nie powie tego nikomu - nawet Porenn. Sam Javelin też kiedyś był Łowcą, jakieś piętnaście lat temu. Nie zawsze jednak musi to być Drasanin - czy nawet mężczyzna. To może być ktokolwiek na całym świecie. Nawet ktoś, kogo znamy - Barak albo Relg - czy wręcz ktoś w Nyissie.

- Może Mandorallen? - podsunął z uśmiechem Garion. Silk zastanowił się przez chwilę.

- Nie, Garionie - oznajmił wreszcie. - Nie sądzę, by Mandorallen miał odpowiednie cechy. Mógłbyś się jednak zdziwić. Przy paru okazjach Łowca był nawet Murgiem.

- Murgiem? Jak mogliście zaufać Murgowi?

- Nie powiedziałem, że koniecznie musimy ufać Łowcy. Garion bezradnie potrząsnął głową.

- Nigdy nie zrozumiem szpiegów i szpiegowania.

- To gra - odparł Silk. - Kiedy raz zaczniesz w niej uczestniczyć, po pewnym czasie sama gra staje się ważniejsza niż to, po czyjej stoisz stronie. Powody, dla których postępujemy tak, a nie inaczej, bywają czasami dość dziwne.

- Zauważyłem - mruknął Garion. - A skoro już jesteśmy przy tym temacie, to jakie są prawdziwe powody twojego przyjazdu do Rivy?

- Nie ma w tym nic specjalnie tajemniczego - odrzekł dystyngowanym tonem Silk, poprawiając mankiety swej szarej tuniki. - Kilka lat temu uświadomiłem sobie, iż pozostając w podróży kupiec traci wyczucie. Jeśli chce się wiedzieć o wszystkim, trzeba mieć na miejscu swego przedstawiciela, kogoś, kto może wykorzystać nadarzącą się okazję. Udało mi się

znaleźć rynek zbytu dla pewnych rivańskich towarów - szkła, butów, wełnianych płaszczy i tym podobnych - więc postanowiłem, że nie byłoby źle, gdybym miał tu swojego agenta.

- To naprawdę świetny pomysł, Silku. W mieście panuje pewien zastój. Przydałoby się parę nowych placówek, żeby trochę rozruszać interesy.

Silk uśmiechnął się szeroko.

- A dodatkowe dochody też są nie do pogardzenia - dodał Garion.

- Co takiego?

- Mamy tu kilka podatków - nic specjalnie uciążliwego. Z pewnością to zrozumiesz.

Kierowanie królestwem to bardzo kosztowne zajęcie.

- Garionie! - jęknął boleśnie Silk.

- To jedna z pierwszych rzeczy, jakich się nauczyłem. Ludzie znacznie łatwiej znoszą podatki, jeśli mają pewność, że wszyscy płacą tyle samo. Nie mogę robić żadnych wyjątków - nawet dla starego przyjaciela. Przedstawię cię Kailowi. To mój główny administrator. Zajmie się szczegółami.

- Zawiodłem się na tobie, Garionie - oznajmił Silk, rzucając mu cierpiętnicze spojrzenie.

- Jak sam wielokrotnie mawiałeś, interes to interes. Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

- Tak? - rzucił Garion.

- Strażnik Rivy do Waszej Wysokości - odparł z korytarza wartownik.

- Poproś.

Wysoki, siwiejący Strażnik wszedł cicho do komnaty.

- Książę Kheldarze - powitał Silka lekkim skinieniem głowy, po czym zwrócił się do Gariona. - Nie przeszkadzałbym Waszej Wysokości - stwierdził przepaszającym tonem - ale wynikła dosyć pilna sprawa.

- Oczywiście, Brandzie - odparł uprzejmie Garion. - Usiądź.

- Dziękuję, Belgarionie - powiedział z wdzięcznością Brand, opadając na krzesło. - Moje nogi nie są już takie, jak niegdyś.

- Czyż starzenie się nie jest prawdziwą rozkoszą? - spytał Silk. - Umysł staje się coraz bystrzejszy, lecz reszta zaczyna się rozpadać.

Brand uśmiechnął się lekko.

- W garnizonie Cytadeli miała miejsce drobna sprzeczka, Belgarionie - oznajmił, od razu przechodząc do rzeczy. - Sam ukarałbym dwóch zamieszanych w nią młodzieńców, ale pomyślałem, że gdybyś ty z nimi pomówił, moglibyśmy uniknąć przelewu krwi.

- Przelewu krwi?

- Pokłócili się o coś zupełnie nieistotnego, wiesz, jak to nieraz bywa. Pobili się, wybili sobie parę zębów. I to powinien być koniec całej historii, ale oni zaczęli uroczyście wyzywać się nawzajem na pojedynek. Byłem pewien, że wolałbyś, by obyło się bez użycia mieczy.

- Zdecydowanie.

- Mogę im rozkazać, by wycofali wyzwania, ale zawsze istnieje możliwość, że któregoś nocy wymkną się w jakieś odludne miejsce, by ze sobą walczyć. Wydaje mi się, że gdyby pomówił z nimi ich król, zrezygnowaliby z tej głupoty. To dwóch naprawdę porządnych chłopców i lepiej by było, gdyby nie posiekali się nawzajem na gulasz.

Garion przytaknął.

- Przyślij ich do mnie jutro rano, gdy tylko... Medalion, którego nigdy nie zdejmował z szyi, drgnął nagle i król Rivy urwał, zaskoczony ostrym szarpnięciem. Poczł bijące z amuletu gorąco, uszy wypełnił mu dziwny szmer.

- Co się stało, Garionie? - spytał z zaciekawieniem Silk.

Garion zaczął właśnie unosić rękę, próbując określić źródło owego szumu. Nagle amulet zadrżał gwałtownie; Garion miał wrażenie, jakby ktoś mocno uderzył go w pierś. Bariera szmerów roztrzaskała się i Rivański Król usłyszał głos Ce'Nedry:

- Garionie! Ratuj mnie!

Zerwał się na nogi, przyciągając zdumione spojrzenia Branda i Silka.

- Ce'Nedro! - wrzasnął. - Gdzie jesteś?

- Pomóż mi, Garionie! W łaźni!

- Prędko! - krzyknął Garion. - Ce'Nedra nas potrzebuje! W łaźni! - Wybiegając z komnaty chwycił stojącą w kącie pochwę z mieczem.

- Co się stało? - spytał Silk, gdy ramię w ramię wypadli na korytarz.

- Nie wiem! - wykrztusił Garion. - Zawołała mnie na pomoc. - Machnął mieczem, usiłując obnażyć ostrze. - Coś złego dzieje się w łaźni.

Do łaźni w podziemiach Cytadeli prowadziły długie, nie kończące się schody, oświetlone blaskiem pochodni. Garion pokonywał po trzy lub cztery stopnie naraz, Silk i Brand deptali mu po piętach. Zdumieni służący i urzędnicy uskakiwali im z drogi, gdy tak biegli na dół, z ponurymi, zaciętymi twarzami i dobytą bronią w rękach.

U stóp ostatnich stopni odkryli, iż ciężkie drzwi do kobiecej łaźni zostały zaryglowane od wewnątrz. Garion natychmiast skupił wolę i rozkazał im:

- Pękajcie!

Okute żelazem drzwi runęły do środka, wylatując z zawiasów.

Wewnątrz ujrzeni przerażającą scenę. Lady Arell leżała bezwładnie na wykładanej płytkami posadzce. Spomiędzy jej łopatek sterczała rękojeść sztyletu. Pośrodku parującego basenu wysoka, koścista kobieta w ciemnym płaszczu nieubłaganie przytrzymywała coś pod wodą - coś, co szarpało się słabo - a na powierzchni unosił się wielki wachlarz miedzianych włosów.

- Ce'Nedra! - ryknął Garion i unosząc miecz wskoczył do wody.

Kobieta w płaszczu rzuciła mu jedno zaskoczone spojrzenie, po czym z szaleńczym pluskiem uciekła przed rozwścieczonym królem.

Drobne ciało Ce'Nedry wypłynęło bezwładnie, unosząc się twarzą w dół na wzburzonej powierzchni. Z okrzykiem bólu Garion odrzucił miecz i brodząc w ciepłej, sięgającej pasa wodzie desperacko usiłował pochwycić ciało, pływające tuż poza jego zasięgiem.

Unosząc miecz Brand z wściekłym rykiem rzucił się biegnącą wokół basenu, wykładaną płytkami ścieżką w pogoń za wysoką kobietą, która uciekała w stronę wąskich drzwi po przeciwnej stronie łaźni. Silk jednak zdążył go już wyprzedzić, biegnąc chyżo za nieznajomą. W dłoni dzierżył sztylet o długim ostrzu.

Garion pochwycił w ramiona ciało żony i z trudem ruszył ku brzegowi. Z przerażeniem uświadomił sobie, że Ce'Nedra nie oddycha.

- Co mam robić?! - krzyknął z desperacją. - Ciociu Pol, co mam robić?

Ale ciocia Pol była daleko. Garion złożył Ce'Nedrę na płytkach posadzki. Nawet nie drgnęła, jej pierś zamarała z bezruchu, a twarz miała okropny szarosiny kolor.

- Niech ktoś mi pomoże! - zawołał, chwytając pozbawione życia ciało w ramiona i przyciskając do siebie.

Coś szarpnęło się na jego piersi i Garion błyskawicznie spojrzał w nieruchome oblicze żony, rozpaczliwie poszukując najmniejszej oznaki życia. Ce'Nedra jednak nie poruszyła się, jej drobne ciało było zupełnie bezwładne. Ponownie przytulił ją mocno.

Raz jeszcze poczuł owo dziwne szarpnięcie - niemal uderzenie w okolicy serca. Odsunął od siebie Ce'Nedrę, poszukując pełnymi łez oczami źródła tego dziwnego uczucia. Migotliwy blask jednej z pochodni, osadzonych w żelaznych pierścieniach wzdłuż marmurowych ścian basenu, zatańczył na lśniącej powierzchni srebrnego amuletu na szyi dziewczyny. Może to...? Wyciągnął drżącą rękę i przytknął palce do medalionu. Odpowiedziało mu ostre ukłucie. Zaskoczony, natychmiast cofnął dłoń, by zaraz zamknąć w niej amulet. Czuł, jak medalion pulsuje mu w ręce niczym małe, srebrne serce, którego bicie z wolna ustaje.

- Ce'Nedro! - powiedział ostro. - Musisz się ocknąć. Proszę, nie umieraj, Ce'Nedro! - Ale żona nie dawała znaku życia, nawet nie drgnęła. Nadal ściskając amulet Garion rozplakał

się. - Ciociu Pol! - krzyknął rozpaczliwie. - Co mam robić?

- Garion? - odezwał się zdumiony głos cioci Pol, dochodzący z odległości setek mil.

- Ciociu Pol - wykrztusił - pomóż mi!

- O co chodzi? Co się stało?

- To Ce'Nedra. Ona... ona utonęła! - I nagle cała groza tych słów uderzyła w niego niczym potężny taran. Garion znów zaczął szlochać, rozdzierająco, rozpaczliwie.

- Przestań! - Głos cioci Pol chlasnął go niczym uderzenie bicia. - Gdzie? - spytała ostro. - Kiedy to się stało?

- Tutaj, w łaźni. Ona nie oddycha, ciociu. Wydaje mi się, że chyba nie żyje.

- Uspokój się! - Jej słowa podziałały otrzeźwiająco, jak policzek. - Jak dawno ustał oddech?

- Chyba kilka minut temu, nie wiem.

- Nie masz ani chwili do stracenia. Czy wyciągnąłeś ją z wody?

- Tak, ale nie oddycha, a jej twarz jest szara jak popiół.

- Posłuchaj uważnie. Musisz wypompować wodę z jej płuc. Połóż ją na brzuchu i zacznij naciskać na plecy. Staraj się robić to w rytmie normalnego oddechu i uważaj, żeby nie naciskać zbyt mocno. Nie chcesz przecież zrobić krzywdy dziecku.

- Ale...

- Rób, co ci każe, Garionie!

Odwrócił swą milczącą żonę i począł ostrożnie ugniatać jej żebra. Z ust drobnej dziewczyny wypłynęło zdumiewająco dużo wody, Ce'Nedra jednak pozostała cicha i nieruchoma.

Garion wstał i ponownie ujął amulet.

- Nic się nie dzieje, ciociu Pol.

- Nie przestawaj.

Znów zaczął napierać dłońmi na żebra Ce'Nedry. Już miał wpaść w rozpacz, gdy zakasłała, a on niemal zapłakał z ulgi. Ani na chwilę nie przestawał miarowo naciskać na jej plecy. Raz jeszcze zakasłała, po czym zaczęła słabo płakać. Garion położył rękę na amulecie.

- Ona płacze, ciociu Pol! Żyje!

- Dobrze. Możesz już przestać. Co się stało?

- Jakaś kobieta próbowała ją zabić. W łaźni. Silk i Brand ścigają ją teraz.

Zapadła długa cisza.

- Rozumiem - powiedziała wreszcie ciocia Pol. - A teraz, Garionie, posłuchaj mnie uważnie. Po tym wypadku płuca Ce'Nedry będą bardzo osłabione. W tej chwili najgorsze

niebezpieczeństwo to zator i gorączka. Musisz jej zapewnić ciepło i spokój. Zależy od tego życie - jej i dziecka. Gdy tylko oddech wzmocni się nieco, zanieś ją do łóżka. Będę tam najszybciej, jak się da.

Garion ruszał się szybko, zbierając każdy ręcznik i płaszcz kąpielowy, jaki tylko mógł znaleźć, by otulić nim swą słabą, zapłakaną żonę. W chwili kiedy nakrył ją płaszczem, zjawił się Silk. Miał bardzo ponurą minę. Tuż za jego plecami postępował zdyszany Brand.

- Czy z nią wszystko w porządku? - spytał potężny Strażnik. Jego twarz zdradzała rozpaczliwą troskę.

- Tak mi się wydaje - odparł Garion. - Znow zaczęła oddychać. Czy ta kobieta uciekła?

- Niezupełnie - stwierdził Silk. - Pobieгла na górę, na blanki. Gdy tam dotarła, byłam tuż za nią. Zorientowała się, że nie ma dokąd uciec, i rzuciła się z murów. Garion poczuł, jak ogarnia go fala satysfakcji.

- To dobrze - powiedział bez namysłu.

- Nie. Niezupełnie. Potrzebowaliśmy jej zeznań. Teraz już nigdy się nie dowiemy, kto ją tu przysłał.

- Nie pomyślałem o tym.

Brand podszedł do nieruchomego ciała swojej siostrzenicy.

- Moja biedna Arell - mruknął; w jego głosie słychać było łzy. Ukłękł obok zwłok i ujął rękojeść sztyletu, wystającą z jej pleców. - Nawet w śmierci służyła swej pani - oznajmił z odcieniem dumy.

Garion spojrzał na niego pytająco.

- Sztylet zakleszczył się - wyjaśnił Brand, szarpiąc rękojeść. - Kobieta, która ją zabiła, nie była w stanie go wydobyć. To dlatego próbowała utopić Ce'Nedrę. Gdyby mogła użyć noża, przybylibyśmy za późno.

- Dowiem się, kto jest za to odpowiedzialny - wycedził Garion przez zaciśnięte zęby. - Myślę, że każę go obedrzeć ze skóry.

- Obdzieranie ze skóry jest w porządku - zgodził się Silk. - Albo gotowanie. Osobiście zawsze przepadałem za gotowaniem.

- Garionie?- powiedziała słabo Ce'Nedra i z umysłu króla Rivy natychmiast zniknęła wszelka myśl o zemście. Tuląc do siebie żonę jak przez mgłę słyssał cichą rozmowę Silka z Brandem.

- Kiedy już ktoś zbierze resztki niedoszłej morderczyni - mówił mały człowieczek spokojnie - chcę, aby przyniesiono mi jej ubranie.

- Ubranie?

- Tak. Ta kobieta nic nam już nie powie, ale jej strój... Zdumiałbyś się, jak wiele można się o kimś dowiedzieć oglądając jego bieliznę. Musimy odkryć, kto za tym stoi, i martwa kobieta jest naszą jedyną przesłanką. Chcę wiedzieć, kim była i skąd pochodziła. Im szybciej zdołam się tego dowiedzieć, tym szybciej możemy zacząć podgrzewać olej.

- Olej?

- Mam zamiar usmażyć na nim tego, kto za to odpowiada - powoli i dokładnie, nie pomijając żadnego szczegółu.

ROZDZIAŁ 14

Polgara zjawiała się późnym popołudniem tego samego dnia. Nikt nie uznał za stosowne dopytywać się, w jaki sposób pokonała setki staj, dzielących Dolinę Aldura od Rivy w ciągu paru godzin, zamiast kilku tygodni. Oczy wartownika, pełniącego straż na szczycie murów, który odprowadzał ją do komnaty chorej królowej, miały lekko błędny wyraz, jak gdyby ich właściciel ujrzał przed chwilą coś, o czym wolałby nie mówić.

W chwili gdy weszła, Garion dyskutował właśnie z jednym z dworskich medyków nad terapeutyczną wartością puszczenia krwi. Rozmowa osiągnęła punkt, w którym władca Rivy uniósł miecz i zagroził drogę zdumionemu medykowi, zmierzającemu z lancetem w dłoni w stronę łóżka.

- Jeśli spróbujesz otworzyć tym żyły mojej żony - zagroził stanowczo młody król - ja zaraz otworzę twoje.

- W porządku - powiedziała rażno Polgara. - Wystarczy, Galionie. - Zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez oparcie krzesła.

- Ciocia Pol! - westchnął z ulgą Garion.

Polgara jednak zdążyła już obrócić się ku czterem lekarzom, dogładającym drobnej królowej.

- Dziękuję za wasze wysiłki, panowie - oznajmiła. - Jeśli będę was potrzebowała, posłę po was. - Ton jej głosu nie dopuszczał nawet cienia sprzeciwu i cała czwórka wymknęła się bez słowa.

- Lady Polgaro? - odezwała się słabo Ce'Nedra. Czarodziejka natychmiast odwróciła się do niej.

- Tak, kochanie? - spytała, ujmując jej dłoń. - Jak się czujesz?

- Kłuje mnie w piersiach i ciągle chce mi się spać.

- Za parę dni będziesz zdrowa jak ryba - zapewniła ją Polgara. Spojrzała krytycznie na łóżko. - Chyba będę potrzebowała więcej poduszek, Garionie - stwierdziła. - Chcę ją podnieść do pozycji siedzącej.

Garion posłusznie podszedł do drzwi prowadzących na korytarz.

- Słucham, Wasza Wysokość? - odezwał się pełniący wartę strażnik.

- Czy mógłbyś przynieść mi jakiś tuzin poduszek?

- Oczywiście, Wasza Wysokość. - Żołnierz runął biegiem w dół korytarza.

- Wiesz co, lepiej niech to będą dwa tuziny! - zawołał za nim Garion, po czym wrócił do sypialni.

- Naprawdę, lady Polgaro - mówiła właśnie Ce'Nedra słabym głosem. - Jeśli kiedykolwiek będziesz musiała podjąć decyzję, ratuj dziecko. Nawet nie myśl o mnie.

- Rozumiem - odparła surowo Polgara. - Miałam nadzieję, że wyleczyłaś się już z tych bzdur.

Ce'Nedra spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Melodramat zawsze budził we mnie lekkie mdłości. Powoli na policzki królowej wypełzł rumieniec.

- To dobry znak - rzuciła zachęcająco ciocia Pol. - Skoro się rumienisz, to znaczy, że czujesz się na tyle dobrze, by przejmować się drobiazgami.

- Drobiazgami?

- Takimi, jak zakłopotanie z powodu tego, jak głupie było twoje ostatnie stwierdzenie. Twój syn czuje się dobrze, Ce'Nedro. W istocie ma się lepiej od ciebie. W tej chwili śpi. Oczy Ce'Nedry rozszerzyły się ze zdumienia, jej dłonie objęły opiekuńczym gestem powiększony brzuch.

- Widzisz go? - spytała z niedowierzaniem.

- "Widzisz" to niewłaściwe słowo, kochanie. - Polgara wymieszała w kieliszku dwa proszki. - Po prostu wiem, co porabia i o czym myśli. - Dodała wody do mikstury i przyglądała się uważnie bulgoczącej, parującej zawartości. - Masz - poleciła, podając kieliszek pacjentce - wypij to. - Następnie zwróciła się do Gariona. - Rozpal ogień, kochanie. W końcu mamy jesień. Nie chcemy, żeby zmarzła.

Brand i Silk bardzo uważnie zbadali zgruchotane ciało morderczyni i kiedy wieczorem dołączył do nich Garion, zajęli się już jej ubraniem.

- Czy dowiedzieliście się czegokolwiek? - spytał, wchodząc do komnaty.

- Wiemy, że była Alornką - odparł Brand swym grzmiącym głosem. - Około trzydziestu lat, nie utrzymywała się z pracy rąk. A przynajmniej nie robiła nic takiego, co pozostawiłoby odciski na dłoniach.

- Niewiele tego - zauważył Garion.

- Przynajmniej jest to jakiś początek - oznajmił Silk, starannie oglądając rąbek zakrwawionej sukni.

- W takim razie wskazywałoby to chyba na kult Niedźwiedzia, prawda?

- Niekoniecznie - Silk odłożył suknię i podniósł lnianą koszulę. - Kiedy starasz się ukryć swą tożsamość, wybierasz zabójcę z innego kraju. Oczywiście, podobne rozumowanie

może być nieco zbyt wyrafinowane jak na kult Niedźwiedzia. - Zmarszczył brwi. - Gdzie ja widziałem podobny ścieg? - mruknął, nie odrywając wzroku od bielizny martwej kobiety.

- Tak mi przykro z powodu Arell - powiedział Garion do Branda. - Wszyscy bardzo ją lubiliśmy. - Poczł całą banalność swoich słów.

- Doceniłaby to, Belgarionie - odparł cicho Brand. - Bardzo kochała Ce'Nedrę.

Garion odwrócił się do Silka. Czuł, jak ogarnia go gwałtowne zniechęcenie.

- Co mamy robić? - zapytał ostro. - Jeśli nie zdołamy odkryć, kto za tym stoi, ten ktoś najprawdopodobniej znów spróbuje.

- Mam taką nadzieję - odrzekł Silk.

- Co?

- Oszczędzimy masę czasu, jeśli uda nam się schwytać kogoś, kto jeszcze żyje. Z nieboszczyków nie da się zbyt wiele wyciągnąć.

- Żałuję, że nie byliśmy bardziej dokładni, kiedy zniszczyliśmy kult pod Thull Mardu - wtrącił Brand.

- Nie upierałbym się zanadto przy myśli, że to akurat kult Niedźwiedzia jest odpowiedzialny za ten zamach - stwierdził Silk. - Są jeszcze inne możliwości.

- Kto inny chciałby skrzywdzić Ce'Nedrę? - chciał wiedzieć Garion.

Drasanin wyciągnął się na krześle, z roztargnieniem drapiąc się po policzku. Zmarszczył czoło w głębokim namyśle.

- Może nie chodziło o Ce'Nedrę.

- Co takiego?

- Zupełnie możliwe, że atak był skierowany przeciw dziecku, które nosi w łonie. Są na świecie ludzie, którzy nie życzą sobie dziedzica tronu Żelaznopalcego.

- Kto?

- Natychmiast nasuwają się na myśl Grolimowie - odparł Silk. - Czy też Nyissanie - albo nawet kilku Tolnedran. Póki nie dowiem się jeszcze paru rzeczy, chcę zachować w tej sprawie otwarty umysł. - Uniósł zaplamioną koszulę. - Zacznę od tego. Jutro rano wezmę to do miasta i pokażę każdemu krawcowi i szwaczce, jakich uda mi się znaleźć. Może zdołam dowiedzieć się czegoś o splocie tkaniny. Jest tu jeszcze nietypowy ścieg przy rąbku. Gdybym odnalazł kogoś, kto mógłby mi o nim coś powiedzieć, miałbym jakiś punkt zaczepienia.

Brand spojrział z namysłem na nieruchome, owinięte kocem zwłoki kobiety, która próbowała zamordować Ce'Nedrę.

- Musiała dostać się do Cytadeli przez którąś z bram - zastanawiał się głośno. - To znaczy, że minęła strażnika i musiała podać mu jakiś powód wizyty w zamku. Zbiorę wszyst-

kich żołnierzy, którzy pełnili wartę przez ostatni tydzień, i przyprowadzę ich tutaj, żeby rzucili na nią okiem. Kiedy dowiemy się dokładnie, którędy weszła, możemy zacząć śledzić jej kroki. Chciałbym odszukać statek, którym przyплыnęła, i zamienić parę słów z kapitanem.

- Co ja mam robić? - spytał szybko Garion.

- Prawdopodobnie powinieneś nie odstępować sypialni Ce'Nedry - zasugerował Silk. - Za każdym razem, kiedy Polgara z jakiegoś powodu wyjdzie stamtąd, musisz zająć jej miejsce. Mogą zdarzyć się jeszcze inne zamachy i sądzę, że wszyscy poczujemy się lepiej, jeśli Ce'Nedra będzie dobrze strzeżona.

Pod czujnym okiem Polgary Ce'Nedra spokojnie przespała noc i następnego dnia jej oddech był już znacznie mocniejszy. Narzekała gwałtownie na smak leków, które jej podawano. Polgara okazała wielkie zainteresowanie długą tyradą królowej.

- Tak, kochanie - zgodziła się radośnie. - A teraz wypij wszystko do dna.

- Czy to musi tak okropnie smakować? - spytała Ce'Nedra i zadrżała.

- Oczywiście. Gdyby lekarstwa były smaczne, chorzy mogliby odczuwać pokusę, by dłużej pozostać w łóżku i rozkoszować się nimi. Im są gorsze, tym szybciej się zdrowieje.

Po południu tego samego dnia Silk wrócił do Cytadeli ze zde gustowaną miną.

- Nie miałem pojęcia, jak wiele istnieje sposobów na to, by połączyć ze sobą dwa kawałki materiału - mruknął z niezadowoleniem.

- Rozumiem z tego, że nie dopisało ci szczęście - stwierdził Garion.

- Nie do końca - Silk rzucił się na krzesło. - Zdołałem jednak zgromadzić mnóstwo fachowych domysłów.

- Ach, tak?

- Pewien krawiec był gotów postawić całą swoją reputację na to, iż tego szczególnego ściegu używa się wyłącznie w Nyissie. Szwaczka poinformowała mnie w zaufaniu, że to strój ulgoski. A jeden półgłówek posunął się nawet do twierdzenia, że właściciel tej koszuli musiał być marynarzem, za pomocą tego ściegu bowiem reperuje się wyłącznie podarte żagle.

- O czym mówisz, Silku? - spytała ciekawie Polgara, przechodząca właśnie przez pokój w drodze do sypialni Ce'Nedry.

- Próbowałem znaleźć kogoś, kto mógłby zidentyfikować ścieg na rąbku tego łacha - odparł z niesmakiem, wymachując zakrwawioną koszulą.

- Pokaż. Niech to zobaczę.

Silk bez słowa wręczył jej żądany przedmiot. Zerknęła na niego od niechcienia.

- Północno-wschodnia Drasnia - oznajmiła. - Okolice miasta Rheon.

- Jesteś pewna? - Silk zerwał się na nogi. Skinęła głową.

- Podobne ściegi powstały setki lat temu - w czasach, kiedy wszystkie ubrania sporządzano tam ze skór reniferów.

- To okropne - rzucił Silk.

- Co takiego?

- Przez cały dzień ganiam z tą koszulą - w górę i na dół po tych wszystkich schodach. Docieram do każdej pracowni krawieckiej w Rivie. A wystarczyło tylko pokazać ją tobie.

- To już nie moja wina, książę - odparła, oddając mu koszulę. - Jeśli do tej pory nie nauczyłeś się przychodzić do mnie ze swymi małymi kłopotami, to prawdopodobnie nie ma dla ciebie większej nadziei.

- Dzięki, Polgaro - powiedział sucho.

- A zatem morderczyni była Drasanką - stwierdził Garion.

- Północno-wschodnią Drasanką - poprawił Silk. - Mieszkają tam dziwni ludzie - chyba nawet gorsi niż ci z mokradel.

- Dziwni?

- Szywni, skryci, tajemniczy, trzymający się razem i nieprzyjaźnie nastawieni do obcych. W północno-wschodniej Drasni każdy zachowuje się tak, jakby w jego głowie kryły się wszystkie tajemnice Korony.

- Czemu mieliby tak bardzo nienawidzić Ce'Nedry? - Garion zmarszczył brwi ze zdumieniem.

- Nie wyciągałbym zbyt daleko idących wniosków z faktu, iż zabójczyni była Drasanką. Ludzie, którzy angażują innych do wykonywania brudnej roboty, nie zawsze szukają kandydatów w najbliższym sąsiedztwie - a choć na świecie roi się od zawodowych morderców, niewielu z nich to kobiety. - Silk z namysłem ściągnął usta. - Mimo wszystko jednak wybiorę się chyba do Rheonu i rozejrzę się tam.

Z nastaniem pierwszych mrozów Polgara oznajmiła wreszcie, iż Ce'Nedrze nie grozi już żadne niebezpieczeństwo.

- Myślę, że mimo to zostanę - dodała. - Durnik i Podarek poradzą sobie sami w domu jeszcze przez kilka miesięcy, a zresztą gdybym tylko dotarła do Doliny i tak zaraz musiałabym wracać.

Garion spojrzał na nią nic nie pojmującym wzrokiem.

- Nie sądziłeś chyba, że pozwolę, aby kto inny odebrał pierwsze dziecko Ce'Nedry, prawda?

Tuż przed Dniem Zarania spadł obfity śnieg i strome uliczki Rivy były praktycznie nie do przebycia. Usposobienie Ce'Nedry wyraźnie się pogorszyło. Rozmiary brzucha sprawiały,

że jej dawna zręczność zniknęła, a głęboki śnieg na ulicach miasta skutecznie uwięził ją w Cytadeli. Polgara ze spokojem przyjmowała wybuchy wściekłości i płaczu, prawie nie reagując nawet na najgorsze ataki.

- Chcesz przecież urodzić to dziecko, prawda? - spytała uszczypliwie podczas jednego z nich.

- Oczywiście, że tak - odparła z oburzeniem Ce'Nedra.

- Musisz więc przez to przejść. To jedyny znany mi sposób na zapełnienie pokoju dzieciennego.

- Nie próbuj przedstawiać mi rozsądnych argumentów, lady Polgaro - wypaliła królowa. - W tej chwili nie jestem w nastroju.

Polgara rzuciła jej lekko rozbawione spojrzenie i Ce'Nedra, na przekór samej sobie, zaczęła się śmiać.

- Jestem nieznośna, prawda?

- Owszem, odrobinę.

- To dlatego, że czuję się taka wielka i brzydka.

- To minie, Ce'Nedro.

- Czasami żałuję, że nie mogę po prostu złożyć jajek - tak jak ptaki.

- Na twoim miejscu trzymałabym się jednak tradycyjnych metod, kochanie. Nie sądzę, abyś miała dość cierpliwości, by je potem wysiedzieć.

Dzień Zarania nadszedł i minął. Na wyspie świętowano go uroczyście, lecz z pewną powściągliwością, jakby wszyscy mieszkańcy wstrzymywali oddech w oczekiwaniu na znacznie ważniejszą uroczystość. Zima nie ustępowała, z każdym tygodniem dodając więcej śniegu do i tak wysokich zasp. W jakiś miesiąc po Zaraniu nadeszła krótka odwilż, trwająca zaledwie parę dni, po czym znów powróciły ostre mrozy, które zmieniły mokrą breję w twarde kawały lodu. Tygodnie upływały leniwie. Wszyscy czekali.

- Spójrz tylko na to! - jęknęła ze złością Ce'Nedra pewnego ranka tuż po tym, jak oboje wstali z łóżka.

- Na co, kochanie? - spytał łagodnie Garion.

- Na to! - z niesmakiem wskazała widok za oknem. - Znów pada śnieg. - W jej głosie zabrzmiała oskarżycielska nuta.

- To nie moja wina - bronił się jej mąż.

- A kto mówi, że to twoja wina? - Odwróciła się niezręcznie, by zmiażdżyć go wzrokiem. Jej drobny wzrost sprawiał, iż nabrzmiały brzuch zdawał się jeszcze większy. Czasami wypinała go w stronę męża, jakby było to wyłącznie jego dzieło.

- To absolutnie nie do zniesienia - oświadczyła. - Dlaczego sprowadziłeś mnie na tę zamarzniętą... - urwała w pół zdania, jej twarz przybrała dziwny wyraz.

- Dobrze się czujesz, kochanie?

- Daj sobie spokój z tym "kochanie". Ja... - znów urwała. - Ojej - powiedziała bez tchu.

- Co się stało? - Garion zerwał się na nogi.

- Ojej - westchnęła Ce'Nedra, naciskając dłońmi obolały krzyż. - Ojej, ojej, ojej.

- Ce'Nedro, niezbyt mi pomagasz. Co ci jest?

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli się położę - odparła z roztargnieniem. Ruszyła naprzód, posuwając się małymi, dystyngowanymi kroczkami. Przystanęła. - Ojej - powiedziała ze znacznie większym naciskiem. Jej twarz była blada. Wyciągnęła rękę, by wesprzeć się o oparcie krzesła. - Chyba powinieneś posłać po lady Polgarę, Garionie.

- Czy to...? To znaczy, czy ty...?

- Nie gadaj tyle, Garionie - odparła z napięciem. - Po prostu otwórz drzwi i zawołaj ciocię Pol.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Nie chcę, Garionie. Ja to mówię. Sprowadź ją tu - jak najszybciej. - Dotarła do drzwi sypialni i znów przystanęła, zachłystując się nagle. - O bogowie! - westchnęła.

Garion jednym skokiem dopadł drzwi i szarpnął je.

- Sprowadź lady Polgarę! - krzyknął do zaskoczonego wartownika. - Natychmiast! Biegiem!

- Tak jest, Wasza Wysokość! - Strażnik odrzucił włócznie i popędził naprzód.

Garion zatrzasnął drzwi i rzucił się ku Ce'Nedrze.

- Czy mogę coś zrobić? - spytał, wylamując palce.

- Pomóż mi dojść do łóżka.

- Łóżko! - powtórzył. - Dobrze! - Chwycił ją za ramię i zaczął szarpać.

- Co robisz?

- Łóżko - wykrztusił, wskazując królewskie łoże z baldachimem.

- Wiem, co to jest, Garionie. Pomóż mi. Nie ciągnij mnie tak mocno.

- Och. - Ujął jej dłoń, wolną ręką opasał żonę w talii i uniósł ją w powietrze. Potykając się ruszył w stronę łóżka. W oczach i głowie miał kompletną pustkę.

- Postaw mnie z powrotem, ty ośle!

- Łóżko! - nalegał, starając się wyjaśnić, o co mu chodzi, z całą dostępną mu elokwencją. Delikatnie postawił Ce'Nedre na podłodze i pobiegł naprzód. - Ładne łóżko - zachęcająco

poklepał kołdrę.

Ce'Nedra przymknęła oczy i westchnęła.

- Zejdź mi tylko z drogi, Garionie - rzuciła z rezygnacją.

- Ale...

- Może rozpalilibyś ogień? - zaproponowała.

- Co? - Rozejrzał się oszołomiony.

- Kominek - to ten otwór w ścianie, w którym pali się ogień. Dołóż do niego drew.

Chcemy przecież, żeby dziecku było przyjemnie i ciepło. - Dotarła do łóżka i oparła się o nie ciężko.

Garion podskoczył do kominka i stanął, wpatrując się w niego ogłupiałym wzrokiem.

- Co się stało?

- Drewno - odparł. - Nie ma drewna.

- Przynieś je zatem z drugiego pokoju.

Cóż za wspaniały pomysł! Spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Idź do sąsiedniego pokoju, Garionie - powiedziała bardzo wolno i wyraźnie. - Weź stamtąd drewno. Przynieś je tutaj. Dołóż do ognia. Czy, jak dotąd, wszystko rozumiałeś?

- Dobrze! - zawołał radośnie. Popędził do drugiej komnaty, porwał ze stosu drew jedną szczapę i pobiegł z powrotem do sypialni.

- Drewno - oznajmił, tryumfalnie unosząc patyk.

- Doskonale, Garionie - odparła Ce'Nedra, z trudem wdrapując się na łóżko. - Teraz dołóż go do ognia, wróć tam i przynieś więcej.

- Więcej - zgodził się, ciskając szczapę na palenisko i wypadając za drzwi.

Kiedy już opróżnił pojemnik na drewno w salonie - po jednym kawałku - rozejrzał się dziko, próbując zdecydować, co dalej. Uniósł krzesło. Gdyby uderzył nim o ścianę, rozmował, powinno połamać się na odpowiednie kawałki.

Drzwi komnaty otwarły się i stanęła w nich Polgara. Zatrzymała się, patrząc na oszołomionego Gariona.

- Co, u licha, wyprawiasz z tym krzesłem? - spytała ostro.

- Drewno - wyjaśnił, wymachując ciężkim meblem. - Trzeba drewna - na opał.

Obdarzyła go długim spojrzeniem, gładząc przód swego białego fartucha.

- Rozumiem - powiedziała. - Jeszcze jeden - westchnęła. - Odłóż to krzesło, Garionie.

Gdzie Ce'Nedra?

- Łóżko - odparł, odstawiając z żalem wypolerowane krzesło. Następnie popatrzył na nią promiennie. - Dziecko - poinformował ją.

Polgara wywróciła oczami.

- Garionie - zaczęła, mówiąc powoli, jak do dziecka - jest jeszcze stanowczo za wcześnie na to, by Ce'Nedra kładła się do łóżka. Powinna spacerować, ruszać się.

Z uporem potrząsnął głową.

- Łóżko - powtórzył. - Dziecko. - Ponownie podniósł krzesło.

Polgara westchnęła, otworzyła drzwi i wezwała strażnika.

- Młodzieńcze - poleciała - zabierz, proszę, Jego Wysokość na dziedziniec obok kuchni, dobrze? Jest tam spory stos pniaków. Daj mu siekierę, aby mógł narąbać drewna.

Wszyscy dziś mieli naprawdę znakomite pomysły. Garion z zachwytem przyjął sugestię cioci Pol. Znów odstawił krzesło i wybiegł z komnaty, ścigany przez zaskoczonego wartownika.

Przez pierwszą godzinę porąbał niemal sag drewna, wysyłając w powietrze prawdziwą burzę wiórów, gdy wymachiwał siekierą tak szybko, że jej kształt rozmazywał się w powietrzu. Po godzinie przerwał, zdjął tunikę i znów zabrał się do roboty. Koło południa kucharz przyniósł mu z uszanowaniem plaster świeżej wołowej pieczeni, duży kawał chleba i garniec ale. Garion przełknął kilka kęsów, pociągnął łyk piwa i z powrotem ujął siekierę, by zaatakować kolejny pniak. Zupełnie możliwe, że wkrótce skończyłby zapas drewna obok kuchni i wyruszył na poszukiwanie kolejnych drzew, gdyby nie Brand, który przeszkodził mu tuż przed zachodem słońca.

Potężny, siwowłosy Strażnik uśmiechał się szeroko.

- Moje gratulacje, Belgarionie - oznajmił. - Masz syna.

Garion znieruchomiał, niemal z żalem spoglądając na pozostałe pnie. Po chwili słowa Branda przeniknęły w końcu do jego świadomości. Siekiera wysunęła mu się z rąk.

- Syna? - powtórzył. - Zdumiewające. I to tak szybko. - Zerknął na stos drewna. - Dopiero co tu przyszedłem. Zawsze sądziłem, że to trwa znacznie dłużej.

Brand spojrział na niego uważnie, po czym łagodnie ujął rękę króla.

- Chodź już, Belgarionie. Musimy poznać twojego syna. Garion schylił się i zebrał naręcze drewnianych szczap.

- Na opał - wyjaśnił. - Ce'Nedra chciała mieć ładny, ciepły ogień.

- Będzie z ciebie bardzo dumna, Belgarionie - zapewnił go Brand.

Gdy dotarli do królewskiej sypialni, Garion starannie złożył naręcze dREW na błyszczącym stoliku obok okna, po czym na palcach podszedł do łóżka.

Ce'Nedra była wymizerowana i zmęczona, lecz na jej ustach błąkał się zadowolony uśmiešek. Obok niej, owinięta w miękkie koc spoczywała bardzo mała osóbka. Nowy przy-

bysz miał czerwoną twarzyczkę i prawie żadnych włosów. Wyglądało na to, że spał, lecz kiedy Garion zbliżył się do łóżka, oczy dziecka otwały się. Następca tronu spojrział z powagą na ojca, po czym westchnął, beknął i znów usnął.

- Czyż nie jest piękny, Garionie? - spytała z zachwytem Ce'Nedra.

- Tak - odparł Garion, czując, jak w gardle rośnie mu wielka kula. - I ty także. - Ukląkł obok łóżka i objął żonę wraz z synem.

- Ślicznie, moje dzieci - powiedziała Polgara z drugiej strony łoża. - Oboje znakomicie się spisaliście.

Następnego dnia Garion i jego nowo narodzony syn uczestniczyli w bardzo starej ceremonii. Z postępującą u boku Polgarą, odzianą we wspaniałą niebiesko-srebrną suknię, zaniósł dziecko do Dworu Rivańskiego Króla, gdzie czekali już notable z całego królestwa. Gdy cała trójka weszła do sali, osadzony w rękojeści wielkiego miecza Żelaznopalcego Klejnot Aldura zapłonął jasnym błękitnym płomieniem. Garion jak otumaniony podszedł do tronu.

- Oto mój syn, Geran - oznajmił, zwracając się nie tylko do zebranego tłumu, lecz także, w szczególny sposób, do samego Klejnotu. Wybór imienia syna nie był zbyt trudny. Choć sam nie pamiętał swego ojca, Garion pragnął go uczcić, a nic nie zdawało się właściwsze niż nazwanie pierworodnego jego imieniem.

Ostrożnie podał dziecko Polgarze, sięgnął w górę i zdjął ze ściany wielki miecz. Ujmując go za ostrze, wyciągnął rękojeść ku owiniętemu w kocyk niemowlęciu w ramionach Czarodziejki. Migotliwy blask Klejnotu stał się jeszcze jaśniejszy. A potem, jakby zwabiony tym blaskiem, Geran wyciągnął małą różową dłoń i położył ją na lśniącem kamieniu. Pod dotykiem dziecięcych palców z Klejnotu wystrzeliła aura wielobarwnego światła, otaczając całą trójkę pulsującą tęczą, która rozświetliła całą salę. Uszy Gariona wypełnił potężny chór głosów, wznoszący się w donośnym śpiewie, który zdawał się wstrząsać posadami świata.

- Bądź pozdrowiony, Geranie! - zagrzmiął Brand. - Następco tronu Rivy, powierniku Klejnotu Aldura!

- Bądź pozdrowiony, Geranie! - odpowiedział jak echo zebrany tłum.

- Bądź pozdrowiony - dodał cicho suchy głos w umyśle Gariona.

Polgarą nie odezwała się ani słowem. Nie musiała nic mówić, ponieważ wyraz jej oczu powiedział wszystko za nią.

Choć była zima i Morze Wiatrów szalało, smagane sztormami, wszyscy królowie Alornów wyruszyli do Rivy, aby świętować narodziny Gerana. Również wielu innych przyjaciół i starych znajomych dołączyło do Anhega, Cho-Haga i królowej Porenn. Oczywiście zjawił się Barak w towarzystwie swej żony Merel, a także Hettar i Adara. Lelldorin i Mando-

rallen przybyli z dalekiej Arendii wraz z Arianą i Neriną.

Garion, obecnie nieco bardziej spostrzegawczy w tej materii, ze zdumieniem odkrył, jak wiele potomstwa wyprodukowali jego przyjaciele. Bez względu na to, w którą stronę się zwrócił, zawsze widział dzieci, a głosy chłopców i dziewcząt, uganiających się ze śmiechem po korytarzach, wypełniły ponure mury Cytadeli. Chłopięcy król Drasni Kheva i syn Baraka Unrak stali się wkrótce najlepszymi przyjaciółmi. Córki Neriny dokazywały z synami Adary, rozgrywając nie kończące się zabawy, pełne krzyków i chichotów. Najstarsza córka Baraka, Gundred, obecnie czarująca młoda dama, siała spustoszenie w sercach całych zastępców młodych rivańskich szlachciców. Jej potężny, rudobrody ojciec ani na moment nie spuszczał z niej czujnego oka, i choć nigdy nie zagroził niczym żadnemu z zalotników córki, wyraz jego twarzy świadczył aż nadto wyraźnie, że nie będzie tolerował żadnych bzdur. Mała Terzie, młodsza siostra Gundred, balansowała już na granicy kobiecości, w jednym momencie swawoląc z młodszymi dziećmi, w drugim - rzucając niszczycielskie spojrzenia w stronę grupki rivańskich wyrostków, która dziwnym trafem zawsze znajdowała się tuż obok niej.

Król Fulrach i generał Brendig przyплыnęli z Sendarii w połowie uroczystości. Królowa Layla przesyłała najserdeczniejsze życzenia, ale nie towarzyszyła mężowi w wyprawie.

- Prawie już wsiadła na statek - donosił Fulrach - wtedy jednak nagły poryw wiatru wpędził kilka fal na kamienie nabrzeża i zemdlała. W tym momencie zdecydowaliśmy nie narażać jej na trudy podróży.

- Zapewne tak jest najlepiej - zgodził się Garion. Naturalnie z Doliny Aldura przybyli też Durnik i Podarek, a wraz z nimi zjawił się Belgarath.

Uroczystości ciągnęły się tygodniami. Wciąż odbywały się nowe uczty i oficjalne wręczanie prezentów, przywiezionych przez gości i ambasadorów zaprzyjaźnionych królestw. I oczywiście były też godziny wypełnione wspomnieniami i sporo poważnego picia. Ce'Nedra promieniała, ponieważ wraz ze swym synkiem znajdowała się w samym centrum uwagi.

Garion odkrył, że zabawy w połączeniu ze zwykłymi obowiązkami nie pozostawiają mu ani chwili wolnego czasu. Żałował, że nie może znaleźć paru godzin, aby pogadać z Barakiem, Hettarem, Mandorallenem i Lelldorinem, ale niezależnie od tego, jak bardzo starał się ułożyć sobie rozkład dnia, czasu nie przybywało.

Jednak pewnego dnia, bardzo późnym wieczorem dopadł go Belgarath. Gdy stary czarodziej wszedł do jego gabinetu, Garion uniósł wzrok znad raportu, który właśnie przeglądał.

- Pomyślałem, że moglibyśmy chwilę porozmawiać - oznajmił Belgarath.

Garion odrzucił raport.

- Nie chciałem cię zaniedbywać, dziadku - przeprosił szybko - ale przez całe dni jestem zajęty.

Belgarath wzruszył ramionami.

- W końcu wszystko się unormuje. Czy pogratulowałem ci już?

- Chyba tak.

- Świetnie. Zatem to załatwione. Ludzie zawsze okropnie przejmują się dziećmi. Osobiście niewiele mnie one obchodzą. Przez większość czasu moczą się i wrzeszczą, poza tym zupełnie nie da się z nimi rozmawiać. Nie masz nic przeciw temu, że się poczęstuję? - Wskazał stojącą na stole kryształową karafkę pełną bladeżółtego wina.

- Ależ oczywiście. Nie krępuj się.

- A ty?

- Nie, dziękuję, dziadku.

Belgarath nalał sobie kielich wina, po czym usiadł naprzeciw Gariona.

- Jak tam królowanie? - spytał.

- Nużące - odparł ponuro Garion.

- W gruncie rzeczy to nieźle. Kiedy zaczyna być interesująco, zazwyczaj oznacza to, że dzieje się coś paskudnego.

- Chyba masz rację.

- A badania?

Garion wyprostował się gwałtownie.

- Cieszę się, że o tym wspomniałeś. Tak wiele się działo, że o mały włos nie zapomniałem o czymś ważnym.

- Och?

- Jak dokładni byli ludzie, sporządzający kopie tych proroctw?

Czarodziej wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że raczej dokładni. Czemu pytasz?

- Mam wrażenie, że w moim egzemplarzu Kodeksu Mrin czegoś brakuje.

- Czemu tak myślisz?

- Jest tam ustęp, który po prostu nie ma sensu.

- Może dla ciebie, ale ty przecież nie studiujesz zbyt długo.

- Nie o tym mówiłem, dziadku. Nie chodzi mi o zagmatwane znaczenie. Mam na myśli zdanie, które zaczyna się, po czym urywa w połowie. Nie ma żadnego zakończenia.

- Przejmujesz się gramatyką? Garion podrapał się po głowie.

- To jedyny fragment, który urywa się w ten sposób. To idzie tak: "Lecz stanie się, że

kamień, który leży w sercu Światła niespodzianie...” - tu jest kleks, a po nim następuje: “...i spotkanie to nastąpi w miejscu, którego już nie ma, i tam dokona się wybór”.

Belgarath zmarszczył brwi.

- Zdaje mi się, że znam ten ustęp.

- Te dwa fragmenty po prostu do siebie nie pasują, dziadku. Pierwszy mówi o Klejnocie - przynajmniej ja go tak rozumiem - a drugi dotyczy spotkania. Nie wiem, jakie słowo kryje się pod kleksem, ale za żadne skarby nie potrafię zrozumieć, jak można połączyć te dwie części. Myślę, że czegoś tu brak. To dlatego pytałem o przepisywanie. Czy skryba, który sporządzał kopię, mógł opuścić parę linijek?

- Nie sądzę, Garionie - odparł Belgarath. - Zawsze ktoś jeszcze oprócz skryby porównuje nowy egzemplarz ze starym. Bardzo uważamy na podobne rzeczy.

- Co więc jest pod tą plamą?

Czarodziej z namysłem poskrobał się po brodzie.

- Nie mogę sobie przypomnieć - przyznał. - Jest tu Anheg. Może on pamięta - albo po prostu poproś go, żeby kazał przepisać ten kawałek ze swojego egzemplarza i przysłał ci go po powrocie do Val Alorn.

- To dobry pomysł.

- Nie przejmowałbym się tak bardzo tą sprawą, Garionie. Ostatecznie to tylko fragment jednego ustępu.

- Jest tam wiele rzeczy, które są tylko jednym małym ustępem, dziadku, a okazały się dosyć ważne.

- Jeśli tak cię to interesuje, zajmij się tym. To dobry sposób, by się czegoś nauczyć.

- Nie jesteś ani trochę ciekaw?

- Mam na głowie inne rzeczy. To ty wykryłeś tę rozbieżność, więc tobie zostawiam glorię sławy przed światem i znalezienie rozwiązania.

- Niewiele mi pomogłeś, dziadku. Belgarath uśmiechnął się szeroko.

- Wcale nie miałem zamiaru. Jesteś już dość dorosły, by rozwiązywać własne problemy - zerknął na karafkę. - Chyba poczęstuję się jeszcze odrobiną - rzucił.

ROZDZIAŁ 15

“A będzie ich dwunastu, dwanaście bowiem to liczba miła bogom. Wiem, że to prawda, bo kiedyś przybył do mnie we śnie kruk i powiedział mi o tym. Zawsze kochałem liczbę dwanaście i dlatego bogowie wybrali mnie, bym objawił tę prawdę wszystkim ludom...”

Garion spojrział gniewnie na księgę, roztaczającą wokół słabą woń pleśni i stęchlizny. Lektura pierwszych stron wyglądała obiecująco - były tam mętne wzmianki o Świetle i Mroku oraz wielce zachęcający fragment, który głosił wprost, iż “Najświętsza z rzeczy zawsze będzie barwy nieba, prócz jedynie chwili, gdy wyczuje wielkie zło, wtedy bowiem zapłonie szkarłatnym ogniem”. Kiedy dotarł do tego ustępu, z zapalem zaczął czytać dalej, przekonany, że oto natrafił na prawdziwe, nigdy wcześniej nie odkryte proroctwo. Niestety reszta księgi okazała się kompletnym bełkotem. Zamieszczona na początku krótka notka biograficzna informowała, iż autor był majątnym drasańskim kupcem, żyjącym w trzecim tysiącleciu, a te sekretne zapiski znaleziono dopiero po jego śmierci. Garion zastanawiał się, jak człowiek o tak zaburzonym umyśle mógł kiedykolwiek funkcjonować w normalnej społeczności.

Z niesmakiem zamknął księgę i dodał ją do wciąż rosnącego stosu szalonych bredni, gromadzącego się na jego biurku. Następnie uniósł cienką książeczkę, znaną w opuszczonym domu w Arendii. Pierwsze kartki zawierały rachunki domowe drobnego arendzkiego szlachcica. Na czwartej stronie jednak przyziemna pisanina urywała się nagle. “Dziecię Światła ujmie w dłoń miecz i wyruszy na poszukiwanie tego, co zostało ukryte” - przeczytał Garion. Zaraz po tym następował żmudny opis zakupu tuzina świń od sąsiada. Dalej nieznanemu autorowi przeskoczył w proroctwo: “Wyprawa Dziecięcia Światła poprowadzi go śladami tego, któremu odebrano duszę, kamienia, w którego sercu kryje się pustka, i małego dziecka, które w jednej dłoni dźrzyż będzie Światło, a w drugiej Mrok”. To zaczynało dokądś prowadzić. Garion przysunął bliżej jedną z kapiących świec i nachylił się nad książką, uważnie odczytując stronę po stronie. Jednakże owe dwa fragmenty okazały się jedynymi w całym tomie nie dotyczącymi codziennych spraw zapomnianej farmy na arendzkiej prowincji.

Garion westchnął, wyprostował się i powiódł wzrokiem po mrocznej bibliotece. Oprawne w skórę woluminy stały w zakurzonych rzędach na ciemnych półkach, opatulone zaś w płótno zwoje ułożono na wierzchu pełnych książek szaf. W migotliwym blasku dwóch świec pomieszczenie zdawało się tańczyć.

- Musi być jakiś szybszy sposób - wymamrotał.

- I jest - odparł suchy głos w jego umyśle.
- Co?
- Mówiłeś, że musi być jakiś szybszy sposób. Odpowiedziałem, że jest.
- Gdzie byłeś?
- Tu i tam.

Garion znał już na tyle swą drugą świadomość, by wiedzieć, że powie mu tylko to, co uzna za stosowne.

- W porządku - odrzekł. - Więc jaki to sposób?
- Nie musisz czytać uważnie każdego słowa. Otwórz swój umysł i po prostu przekartkuj książki. Zdania, które w nich umieściłem, same rzucą ci się w oczy.
- Czy proroctwa są zawsze wymieszane z całym stekiem bzdur?
- Owszem, zazwyczaj.
- Dlaczego?
- Z kilku przyczyn. Najczęściej nie chciałem, by nawet ten, kto pisał księgę, wiedział, co tam ukryłem. I, oczywiście, to doskonały sposób, by informacje nie wpadły w niepowołane ręce.

- A także powołane.
- Chcesz wyjaśnić czy szukasz jedynie okazji, by wypowiedzieć parę błyskotliwych uwag?
- W porządku - ustąpił z westchnieniem Garion.
- Chyba już ci mówiłem, że to słowa nadają znaczenie wydarzeniom. Zatem słowa muszą zostać zapisane, lecz niekoniecznie tak, by każdy mógł je odczytać.

Garion zmarszczył brwi.

- To znaczy, że umieściłeś to wszystko w książkach jedynie po to, by mogło je znaleźć kilku ludzi?
- Określenie "kilku" nie jest zbyt precyzyjne. Spróbuj je zastąpić słowem "Jeden".
- Jeden? Kto?
- Oczywiście ty.
- Ja? Dlaczego właśnie ja?
- Czy znów musimy do tego wracać?
- Chcesz powiedzieć, że to coś w rodzaju prywatnego listu przeznaczonego wyłącznie dla mnie?
- Można to tak ująć.
- A gdybym go nie przeczytał?

- Czemu więc czytasz go teraz?

- Ponieważ Belgarath mi kazał.

- A jak sądzisz, dlaczego Belgarath polecił ci to zrobić?

- Bo... - Garion urwał. - Ty mu kazałeś?

- Naturalnie. Rzecz jasna, nie był tego świadom. Pokierowałem nim tylko. Do Kodeksu Mrin mają dostęp najróżniejsi ludzie. Dlatego uczyniłem go tak zagmatwanym. Natomiast twoje instrukcje winny być całkiem jasne - jeśli będziesz uważał.

- Czemu po prostu nie powiesz mi, co mam robić?

- To zabronione.

- Zabronione?

- Mamy swoje zasady, mój przeciwnik i ja. Nasze siły są dokładnie zrównoważone i muszą takimi pozostać. Zgodziliśmy się działać wyłącznie za pośrednictwem naszych instrumentów i gdybym interweniował osobiście - na przykład mówiąc ci otwarcie, jak masz postępować - mój przeciwnik także mógłby przekroczyć tę granicę. Dlatego obaj posługujemy się tak zwanymi prorocत्वami.

- To chyba trochę skomplikowane, nieprawdaż?

- Alternatywą byłby całkowity chaos. Mój przeciwnik i ja jesteśmy wszechmocni. Gdybyśmy starli się w bezpośredniej walce, całe słońca uległyby zniszczeniu.

Garion zadrżał, przełykając ślinę.

- Nie miałem o tym pojęcia - przyznał. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. - Czy wolno ci coś powiedzieć o tym wersie w Kodeksie Mrin - tym, który ma w środku jedno zamazane słowo?

- To zależy, jak wiele chciałbyś wiedzieć.

- Jaki wyraz kryje się pod kleksem?

- Jest ich tam kilkanaście. Jeśli spojrzysz na tekst we właściwym świetle, powinieneś je dostrzec. Co do innych ksiąg, spróbuj sposobu, o którym ci mówiłem. Myślę, że wkrótce odkryjesz, ile czasu dzięki temu zyskasz - a nie masz go do stracenia zbyt wiele.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Głos jednak zamilkł.

Drzwi biblioteki otwarły się i do środka weszła Ce'Nedra w nocnej koszuli, owinięta w ciepły szlafrok.

- Garionie - westchnęła. - Czy nigdy nie przyjdiesz do łóżka?

- Co takiego? - uniósł wzrok. - A, tak. Już idę.

- Kto tu był z tobą?

- Nikt. Dlaczego pytasz?

- Słyszałam, jak z kimś rozmawiasz.

- Po prostu czytałem, i tyle.

- Kładź się do łóżka, Garionie - powiedziała stanowczo. - Nie możesz w jeden wieczór przeczytać całej biblioteki.

- Tak, kochanie - zgodził się.

Niedługo potem, gdy łąki za murami Cytadeli doświadczyły pierwszego muśnięcia wiosny, do Rivy dotarł obiecany list od króla Anhega. Garion natychmiast zaniósł kopię owego kłopotliwego fragmentu Kodeksu Mrin do biblioteki, by porównać ją ze swym egzemplarzem. Kiedy jednak położył je obok siebie, zaklął. W tekście przesłanym przez Anhega w dokładnie tym samym miejscu też widniał kleks.

- Mówiłem mu przecież! - wybuchnął wściekle. - Powiedziałem wyraźnie, że potrzebny mi dokładnie ten fragment! Nawet go mu pokazałem! - przeklinając gniewnie zaczął krążyć po komnacie, gwałtownie wymachując rękami.

O dziwo, Ce'Nedra zupełnie spokojnie przyjęła obsesyjne zainteresowanie męża Kodeksem Mrin. Jej uwaga skupiała się niemal wyłącznie na nowo narodzonym synu i Garion był przekonany, że wszystko, cokolwiek by zrobił czy powiedział, docierało do niej jak przez mgłę. Młody książę Geran był stanowczo chowany na maminego synka. Ce'Nedra tuliła go w ramionach od momentu, gdy się obudził, a często nawet, kiedy spał. Geran był spokojnym dzieckiem i rzadko płakał czy kaprysił. Cierpliwie znosił stałą opiekę matki i obojętnie przyjmował wszelkie uściski, pieszczoty i impulsywne pocałunki. Garion jednak uważał, że Ce'Nedra trochę przesadza. Ponieważ praktycznie nie wypuszczała Gerana z objęć, oznaczało to, iż on sam coraz rzadziej mógł wziąć na ręce własnego syna. Kiedyś miał już na końcu języka pytanie, kiedy właściwie nadejdzie jego kolej, w ostatniej chwili jednak powstrzymał się od komentarza. Najbardziej jednak oburzała go jej zaborczość. Za każdym razem, gdy Ce'Nedra w końcu odłożyła dziecko do kołyski i Garion mógłby je przytulić, dłoń drobnej królowej prawie automatycznie wędrowała do guzików stanika i młoda matka radośnie oznajmiała, iż nadeszła pora karmienia. Oczywiście Garion daleki był od tego, by bronić synowi jedzenia, ale najczęściej dziecko naprawdę nie wyglądało na specjalnie głodne.

Po pewnym czasie jednak, gdy przywykł wreszcie do niezaprzeczalnej obecności Gerana w ich życiu, Garion znów poczuł zew mrocznej, woniejącej stechlizną biblioteki. Procedura, którą podsunął mu ów suchy głos, zadziałała zdumiewająco dobrze. Nabrawszy nieco praktyki Garion odkrył, że może szybko przebiegać wzrokiem po kartkach wypełnionych opisem przyziemnych spraw, a jego wzrok automatycznie zatrzyma się na fragmentach prorocstwa ukrytych pośród najzwyklejszych tekstów. Zaskoczyło go, jak wiele takich ustępów kryło

się w najmniej spodziewanych miejscach. W większości wypadków rzucało się w oczy, iż sami autorzy nie mieli pojęcia, co napisali. Często jakieś zdanie urywało się w pół słowa, by przejść w przepowiednię, a następnie podjąć wątek dokładnie w tym samym miejscu. Garion był pewien, że przy ponownym odczytywaniu tekstu nieświadomy swej roli prorok, który nakreślił te słowa, nie dostrzegał w swych zapiskach nic szczególnego.

Jednakże Kodeks Mrin i - w mniejszym stopniu - również Kodeks Dariński pozostawały najważniejszym elementem całej sprawy. Ustępy z innych ksiąg tłumaczyły bądź rozbudowywały poszczególne fragmenty, lecz oba główne proroctwa podawały je w czystej, nieskażonej formie.

W miarę postępów pracy Garion sporządził sobie indeks, oznaczając każdy nowy urywek tekstu kolejną liczbą i przypisując go do serii liter, określających ustępy zwoju Mrin. Wkrótce też odkrył, że każdemu akapitowi Kodeksu Mrin odpowiadały trzy lub cztery potwierdzające go lub wyjaśniające fragmenty innych dzieł - każdemu, z wyjątkiem owego tajemniczego ustępu z plamą pośrodku.

- Jak tam poszukiwania? - spytała radośnie Ce'Nedra pewnego wieczoru, gdy przynębiony i nieswój wrócił do królewskiego apartamentu. Karmiła właśnie Gerana i jej twarz, zwrócona ku trzymanemu przy piersi dziecku, jaśniała czułością.

- Dojrzewam do tego, by dać sobie spokój - oznajmił, opadając na krzesło. - Myślę, że po prostu zamknę bibliotekę i wyrzucę klucz.

Spojrzała na niego czule i uśmiechnęła się.

- Wiesz przecież, że to by nic nie dało. Po paru dniach nie mógłbyś tego znieść, a nie ma tak mocnych drzwi, których nie potrafiłbyś wyłamać.

- Może zatem powinienem spalić wszystkie te księgi i zwoje - odparł posępnie. - Nie potrafię już skoncentrować się na niczym innym. Wiem, że coś kryje się pod tym kleksem, ale nie mogę znaleźć żadnej wskazówki, co to może być.

- Jeśli spalisz bibliotekę, Belgarath prawdopodobnie zamieni cię w rzodkiewkę - ostrzegła z uśmiechem. - Wiesz, jak bardzo szanuje książki.

- Miło byłoby przez jakiś czas pobycć rzodkiewką - odrzekł.

- To naprawdę bardzo proste, Garionie - stwierdziła z tą swoją doprowadzającą do szału pogodą ducha. - Skoro na wszystkich kopiach jest kleks, czemu nie obejrzyysz oryginału?

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Musi przecież gdzieś być, prawda?

- No cóż, przypuszczam, że tak.

- Dowiedz się zatem, gdzie go znaleźć, i jedź tam albo poślij po niego.
- Nigdy o tym nie pomyślałem.
- Najwyraźniej. Znacznie zabawniej jest wściekać się, szaleć i złościć.
- Wiesz, Ce'Nedro, to naprawdę doskonały pomysł.
- Naturalnie. Wy, mężczyźni, zawsze lubicie komplikować sprawy. Następnym razem, jeśli będziesz miał jakiś problem, kochanie, od razu zwróć się do mnie. Powiem ci, jak go rozwiązać.

Garion puścił to mimo uszu.

Następnego ranka pierwsze kroki skierował do miasta, do Świątyni Belara, gdzie złożył wizytę Diakonowi Rivy. Diakon był łagodnym człowiekiem o poważnej twarzy. W odróżnieniu od kapłanów Belara w głównych świątyniach na kontynencie, często bardziej zajętych polityką niż troską o swe stadka, przełożony rivańskiego Kościoła poświęcił się niemal bez reszty dbaniu o dobrobyt - zarówno fizyczny, jak i duchowy - zwykłych ludzi. Garion zawsze go lubił.

- Nigdy nie widziałem go na własne oczy, Wasza Wysokość - odparł diakon na pytanie Gariona - ale zawsze mówiono mi, że przechowuje się go w kaplicy na brzegu rzeki Mrin, między granicą mokradeł a Boktorem.

- W kaplicy?

- Wzniesli ją starożytni Drasanie w miejscu, gdzie trzymano przykutego na łańcuchu Proroka Mrin - wyjaśnił diakon. - Po śmierci tego nieszczęśnika król Byczy Kark polecił, aby zbudować tam jakiś pomnik. Kaplicę postawiono dokładnie na jego grobie. W środku umieszczono oryginalny zwój, zamknięty w dużej kryształowej szkatule. Strzeże go grupka kapłanów. Większości ludzi w ogóle by do niego nie dopuszczono, zważywszy jednak fakt, iż jest pan Rivańskim Królem, z pewnością uczynią wyjątek.

- Czy zawsze go tam trzymano?

- Tak, poza okresem inwazji Angaraków w czwartym tysiącleciu. Wywieziono go statkiem na przechowanie do Val Alom tuż przedtem, nim najeźdźcy spalili Boktor. Torak chciał go dostać w swoje ręce, więc uznano, że mądrzej będzie usunąć Kodeks z kraju.

- To logiczne - przyznał Garion. - Dziękuję za informacje, wasza wielbność.

- Cieszę się, że mogłem w czymkolwiek pomóc.

Wyglądało na to, że wyjazd okaże się bardzo trudny.

W ciągu tygodnia w ogóle nie mogło być o tym mowy, dwa dni później bowiem zaplanowano spotkanie z władzami portu. A następny tydzień zapowiadał się jeszcze gorzej. Te wszystkie oficjalne spotkania i funkcje państwowe! Garion westchnął i kontynuował wspi-

naczkę po długich kamiennych stopniach prowadzących do Cytadeli. U jego boku dreptał nieodłączny strażnik. Czasami Garion miał wrażenie, że jest niemal więźniem na tej wyspie. Jego czas był teraz taki cenny! Pamiętał, jak kiedyś, nie tak dawno temu, zaczynał każdy dzień w siodle i rzadko spał przez dwie noce w tym samym łóżku. Po namyśle jednak musiał przyznać, że nawet wtedy nie mógł postępować zgodnie z własnymi życzeniami. Choć wówczas o tym nie wiedział, ciężar odpowiedzialności spoczął na jego barkach wiele lat temu, tej wietrznej, jesiennej nocy, gdy wraz z cicią Pol, Belgarathem i Durnikiem wymknęli się przez bramę farmy Faldora, wyruszając w otwierający się przed nimi szeroki świat.

- Trudno - wymamrotał pod nosem - to też jest ważne. Brand sam da sobie radę. Po prostu będą musieli przez jakiś czas obyć się beze mnie.

- Mówił pan coś, Wasza Wysokość? - spytał grzecznie strażnik.

- Tylko głośno myślałem - odparł Garion, lekko zawstydzony.

Tego wieczoru Ce'Nedra była nieswoja i nie w humorze. Niemal z roztargnieniem tuliła do siebie Gerana, nie zwracając na niego uwagi, podczas gdy synek ze skupionym wyrazem twarzy bawił się zwisającym z jej szyi amuletem.

- Co ci jest, kochanie? - zapytał Garion.

- To tylko ból głowy, nic więcej - odparła krótko. - Poza tym dziwnie dzwoni mi w uszach.

- Jesteś zmęczona.

- Może i masz rację - wstała. - Chyba położę Gerana i sama pójde do łóżka - oznajmiła. - Po dobrze przespanej nocy powinnam poczuć się lepiej.

- Jeśli chcesz, ja go położę - zaoferował Garion.

- Nie - odparła z dziwną miną. - Chcę być pewna, że bezpiecznie leży w kołysce.

- Bezpiecznie? - roześmiał się Garion. - Ce'Nedro, jesteśmy w Rivie. To najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

- Idź, powiedz to Arell - odrzekła i poszła do niewielkiej, sąsiadującej z sypialnią komnaty, w której stała kołyska Gerana.

Tego wieczoru Garion dość późno skończył czytać. Niespokojny nastrój Ce'Nedry udzielił się również i jemu. Czuł, że nie jest jeszcze gotów iść spać. Wreszcie odłożył książkę i podszedł do okna, aby wyjrzeć na osrebrzone blaskiem księżycy wody Morza Wiatrów. Długie, leniwe fale w bladym świetle przypominały płynny metal, a ich rytmiczny taniec wywierał niemal hipnotyczny wpływ. Wreszcie król Rivy zdmuchnął świece i cicho udał się do sypialni.

Ce'Nedra rzucała się niespokojnie we śnie i mamrotała coś niewyraźnie - jakieś bez-

sensowne urywki nie mającej początku ani końca rozmowy. Garion rozebrał się i wśliznął pod koce, starając się jej nie zbudzić.

- Nie - powiedziała rozkazująco Ce'Nedra. - Nie pozwolę ci tego zrobić. - Po czym jęknęła i potrząsnęła głową.

Garion leżał w nieprzeniknionych ciemnościach, słuchając, jak jego żona mówi przez sen.

- Garionie! - sapnęła, ocknąwszy się nagle. - Masz okropnie zimne stopy!

- Och - odparł. - Przepraszam.

Niemal natychmiast z powrotem odpłynęła w sen i znów zaczęła mamrotać.

W kilka godzin później Gariona obudził dźwięk czyjegoś głosu. Głos ten brzmiał dziwnie znajomo i władca Rivy leżał bez ruchu, wciąż na wpół śpiący, próbując przypomnieć sobie, gdzie mógł go słyszeć. Niski i melodyjny, należał do kobiety i przemawiał szczególnym, kojącym tonem.

Nagle Garion uświadomił sobie, iż w łóżku obok niego nie ma Ce'Nedry, i natychmiast całkowicie się przebudził.

- Ale przecież muszę go przed nimi ukryć - dobiegł go dziwnie monotony głos żony. Garion odrzucił kołdrę i wysliznął się z łóżka.

Przez uchylone drzwi pokoju dziecinnego dostrzegł nagle światło. To stamtąd zdawały się dochodzić głosy. Szybko ruszył w ich stronę, jego bosa stopy stąpały bezszelestnie po wyłożonej dywanem posadzce.

- Odkryj swoje dziecko, Ce'Nedro - mówiła łagodnie nieznajoma. - Zrobisz mu krzywdę.

Garion zerknął do środka. Ce'Nedra stała obok kołyski. Wciąż była w białej nocnej koszuli, jej oczy miały pusty, nieobecny wyraz. Obok dostrzegł drugą postać. Na krześle u stóp kołyski piętrzyła się sarta koców i poduszek. Jak we śnie Rivańska Królowa metodycznie układała stos pościeli na główce dziecka.

- Ce'Nedro - powiedziała kobieta. - Przestań. Posłuchaj mnie.

- Muszę go ukryć - powtarzała z uporem Ce'Nedra. - Chcą go zabić.

- Ce'Nedro, udusisz go. Zabierz z powrotem te poduszki.

- Ale...

- Rób, co ci każę, Ce'Nedro - poleciła stanowczo kobieta. - Natychmiast.

Królowa jęknęła cicho, po czym posłusznie zaczęła wyjmować pościel z kołyski.

- Tak już lepiej. Teraz posłuchaj mnie uważnie. Musisz go ignorować, kiedy mówi ci podobne rzeczy. On nie jest twoim przyjacielem.

- Nie? - twarz Ce'Nedry przybrała zaskoczony wyraz.

- To wróg. Właśnie on chce skrzywdzić Gerana.

- Moje dziecko?

- Twoje dziecko czuje się dobrze, Ce'Nedro. Ale nie wolno ci poddawać się głosowi, który przychodzi do ciebie nocą.

- Kim... - zaczął Garion, ale wtedy nieznajoma odwróciła się do niego i słowa zamarzyły mu na ustach. Kobieta miała płowe włosy i ciepłe, złociste oczy. Jej prosta suknia była uszyta z brązowej tkaniny, barwą przypominającej ziemię. Garion znał ją. Spotkał ją już kiedyś na mokradłach wschodniej Drasni, gdy wraz z Belgarathem i Silkiem zdążył na owo przerażające spotkanie w nawiedzonych ruinach Cthol Mishrak.

Matka cioci Pol była bardzo podobna do córki. Jej oblicze odznaczało się tą samą spokojną, nieskazitelną urodą, głowa była uniesiona w podobnie dumny sposób. Jednak ta bezczasowa twarz naznaczona była dziwnym, niemal odwiecznym smutkiem, który sprawił, że Garionowi głos uwiązł w gardle.

- Poledra! - wykrztusił - Co...? Matka cioci Pol położyła palec na ustach.

- Nie zbudź jej, Belgarionie - ostrzegła. - Połóżmy ją z powrotem do łóżka.

- Geran...

- Z nim wszystko w porządku. Zdążyłam w samą porę. Zaprowadź ją do łóżka, powoli. Resztę nocy prześpi bez dalszych przygód.

Garion podszedł do żony i objął ją ramieniem.

- Chodź, Ce'Nedro - powiedział łagodnie. Skinęła głową, nadal spoglądając przed siebie pustymi oczami, i posłusznie poszła z nim do królewskiej sypialni.

- Czy mogłabyś odsunąć tę poduszkę? - poprosił cicho Poledrę. Zaśmiała się.

- Prawdę mówiąc, nie mogłabym - odparła. - Zapominasz, że w rzeczywistości mnie tu nie ma.

- Och - mruknął. - Przepraszam. Zdawało mi się... Odepchnął z drogi zagłówek, ostrożnie położył Ce'Nedrę i opatulił ją kołdrą aż po brodę. Jego żona westchnęła i zapadła w sen.

- Przejdźmy do drugiego pokoju - zaproponowała Poledra.

Przytaknął i cicho ruszył za nią do sąsiedniej komnaty, wciąż słabo oświetlonej czerwonym żarem dogasającego ognia.

- Co to było? - spytał, delikatnie zamykając drzwi.

- Jest ktoś, kto nienawidzi i boi się twojego syna, Belgarionie - odparła poważnym tonem.

- To tylko dziecko - zaprotestował Garion.

- Jego nieprzyjaciel lęka się tego, kim Geran zostanie kiedyś - nie kim jest teraz. Jak pamiętasz, coś takiego zdarzyło się już wcześniej.

- Wtedy, gdy Asharak zamordował moich rodziców? Skinęła głową.

- Naprawdę chodziło mu o ciebie.

- Ale jak mam uchronić Gerana przed jego własną matką? To znaczy, jeśli ten człowiek potrafi przyjść do niej we śnie i zmusić, by wypełniała jego polecenia, to jak...?

- To się już nie przydarzy, Belgarionie. Zadbaliśmy o to.

- Ale jak mogłaś tego dokonać? Ty przecież... no...

- Nie żyję? To nie do końca prawda. Zresztą, nieważne. W tej chwili Geran jest bezpieczny, a Ce'Nedra nie zrobi już nic podobnego. Musimy pomówić o czymś innym.

- W porządku.

- Jesteś bliski bardzo ważnego odkrycia. Nie mogę powiedzieć ci wszystkiego, ale musisz obejrzeć Kodeks Mrin - prawdziwy Kodeks, nie jedną z kopii. Musisz znaleźć to, co tam ukryto.

- Nie mogę zostawić Ce'Nedry - nie teraz.

- Jej nic nie będzie, a tylko ty możesz tego dokonać. Jedź do kaplicy nad rzeką Mrin i obejrzyj Kodeks. To rozpaczliwie ważne.

Garion zgarbił się, pokonany.

- Zgoda. Wyruszę jutro rano.

- I jeszcze jedno.

- Tak?

- Weź ze sobą Klejnot.

- Klejnot?

- Bez niego nie zobaczysz tego, co musisz ujrzeć.

- Dobrze, Poledro - odparł, po czym skrzywił się żałośnie. - Właściwie nie wiem, czemu protestuję. Przez całe życie robiłem rzeczy, których nie rozumiałem.

- W swoim czasie wszystko się wyjaśni - zapewniła Poledra, po czym zmierzyła go krytycznym wzrokiem. - Garionie - powiedziała tonem tak bardzo przypominającym ciotkę Pol, że król Rivy automatycznie odpowiedział:

- Słucham?

- Naprawdę nie powinieneś biegać po nocy bez okrycia. Możesz się przeziębic.

Statek, który wynajął w Kotu, był niewielki, przeznaczony głównie do żeglugi rzecznej. Płaskodenna łódź o szerokim kadłubie podskakiwała czasem na wodzie niczym kawałek

drewna. Krzepcy wioslarze utrzymywali dobre tempo, pokonując leniwy nurt rzeki Mrin, wijącej się pośród mokradeł.

O zmierzchu znaleźli się już o dziesięć mil w górę rzeki od Kotu i kapitan rozważnie zacumował łódź do suchego pnia za pomocą jednej z nasmołowanych lin.

- Szukanie kanału nocą to szaleństwo - poinformował Gariona. - Jeden skręt w niewłaściwą stronę i moglibyśmy spędzić następny miesiąc blakając się wśród mokradeł.

- Pan wie najlepiej, co robić, kapitanie - odparł Garion. - Nie będę się wtrącał.

- Czy ma pan ochotę na kufel ale, Wasza Wysokość? - zaproponował kapitan.

- Nieglupi pomysł - zgodził się Garion.

Jakiś czas później oparł się o reling z kuflem w rękę, obserwując śmigające wokół iskierki świetlików, zasłuchany w nie milknący chór żab. Była ciepła, wiosenna noc, a wilgotna, ciężka woń moczarów wypełniała mu nozdrza.

Usłyszał cichy plusk - ryby albo może nurkującej wydry.

- Belgarionie? - głos, który się odezwał, był dziwnie piskliwy, lecz bardzo wyraźny.

Dochodził zza burty.

Garion wytężył wzrok, próbując przeniknąć aksamitną ciemność.

- Belgarionie? - powtórzył głos. Dobiegał gdzieś z dołu.

- Tak? - odparł ostrożnie Garion.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Kolejne pluśnięcie. Łódź zachybotła się lekko. Utrzymująca ją cuma naprężyła się, gdy błyskawicznie przesunął się po niej cień, by zadziwiająco płynnym ruchem przemknąć nad burtą. Cień wstał i Garion dostrzegł, że przybysz ocieka wodą. Nie był wysoki, miał zaledwie nieco ponad metr wzrostu. Ruszył w stronę Gariona dziwnie powłócząc nogami.

- Jesteś starszy - powiedział przybysz.

- Zdarza się.

Garion wpatrywał się w postać, próbując dojrzeć twarz. Nagle zza chmur wypłynął księżyc i król Rivy stwierdził, iż ma przed sobą porośnięte futrem wielkookie oblicze błotniaka.

- Tupik? - spytał z niedowierzaniem. - Czy to ty?

- Więc mnie pamiętasz. - Małe, futrzaste stworzenie wyglądało na zadowolone.

Łódź ponownie zakołysała się i kolejny włochaty cień przebiegł po cumie. Tupik odwrócił się z irytacją.

- Poppi! - zaszczębiotał gniewnie. - Wracaj do domu!

- Nie - padła spokojna odpowiedź.

- Musisz robić to, co ci każe! - powiedział błotniak, tupiąc nogą o pokład.

- Dlaczego?

Tupik zerknął na nią z wyraźnym rozdrażnieniem.

- Czy one wszystkie są takie? - jęknął, zwracając się do Gariona.

- Jakie "one"?

- Samice. - Tupik wymówił to słowo z pewnym niesmakiem.

- Owszem, w większości. Błotniak westchnął.

- Jak się miewa Yordai? - spytał Garion. Poppi wydała z siebie niezwykły, żalospisk.

- Nasza matka odeszła - odparła ze smutkiem.

- Przykro mi.

- Była bardzo zmęczona - dodał Tupik.

- Okryliśmy ją kwiatami - uzupełniła Poppi - a potem zamknęliśmy jej dom.

- To by jej się podobało.

- Powiedziała, że pewnego dnia powrócisz - ciągnął Tupik. - Była bardzo mądra.

- O tak.

- Kazała, żebyśmy poczekali na twoje przybycie i przekazali ci wiadomość.

- Och?

- Zło wystąpiło przeciwko tobie.

- Zaczynałem podejrzewać coś podobnego.

- Matka kazała ci powiedzieć, że zło ma wiele twarzy i oblicza te nie zawsze się pokrywają, lecz to, co kryje się pod nimi, w ogóle nie ma twarzy i pochodzi z bardzo daleka - dalej niż przypuszczasz.

- Niezupełnie rozumiem.

- Zło pochodzi spoza gwiazd. Garion spojrzał na niego oszołomiony.

- To właśnie kazano nam przekazać - zapewniła go Poppi. - Tupik powtórzył dokładnie to, co powiedziała matka.

- Opowiedz o niej Belgarathowi - poprosił Tupik. - I przekaz, że przesyła mu podziękowania.

- Zrobię to.

- Do widzenia, Belgarionie - rzucił błotniak. Poppi chrząknęła czule, przyczłapała bliżej, po czym otarła się serdecznie o dłoń Gariona.

A potem oboje prześliznęli się przez burtę i zniknęli w mrocznych wodach mokradeł.

ROZDZIAŁ 16

Było to okropne miejsce. Wioska przycupnęła na skraju płaskiej, monotonnej równiny, porośniętej szorstką, ciemnozieloną trawą. Glebę, z której wyrastała, tworzył napływowy muł - szary, śliski i nieprzyjemny. Tuż za szerokim zakolem rzeki Mrin rozciągały się aż po horyzont zielono-brązowe połacie mokradeł. Sama wieś składała się może z dwóch tuzinów ciemnobrunatnych chat, stłoczonych wokół kanciastej kamiennej kaplicy. Rozchwiane pomosty, zbudowane z białego jak kość drewna, przyniesionego przez nurt, wbijały się w rzekę niczym palce szkieletu, a suszące się sieci zwisały z palików, roztaczając niemiłą woń w wilgotnym, pełnym komarów powietrzu.

Łódź Gariona przybiła do brzegu około południa i król Rivy natychmiast ruszył z trzeszczącego pomostu błotnistą, zrytą koleinami drogą, prowadzącą do kaplicy. Stąpając uważnie, by się nie pośliznąć, czuł na sobie ciekawe spojrzenia mętnookich wieśniaków, przyglądających się osobie przybysza i wielkiemu mieczowi Żelaznopalcego, przytroczonemu do jego pleców.

Gdy stanął u zaśniedziałej bramy z brązu i zażądał, aby wpuszczono go do środka, strzegący kaplicy kapłani Belara powitali go uniesieniem, niemal służalczo. Poprowadzili go przez wybrukowany kamieniami dziedziniec, z dumą wskazując gnijącą budę i solidny, nasmołowany pal z kawałkiem ciężkiego, zardzewiałego łańcucha, gdzie szalony prorok Mrin spędził ostatnie lata swego życia.

W samej kaplicy wznosił się tradycyjny ołtarz, zwieńczony wielką, kamienną głową niedźwiedzia. Garion zauważył, że wewnątrz kaplicy pilnie domaga się porządnego sprzątnięcia, a sami kapłani-strażnicy są rozczochrani i brudni. Już dawno stwierdził, iż jeden z pierwszych objawów religijnego entuzjazmu stanowi potężna awersja do wody i mydła. Święte miejsca - i ci, którzy sprawowali nad nimi pieczę - zawsze nieco cuchnęły.

Kiedy dotarli do nisko sklepionego przybytku, gdzie w kryształowej szkatule leżał pożółkły pergaminowy zwój oryginalnego Kodeksu Mrin, oświetlony dwiema grubymi świecami, wysokości rosnącego mężczyzny, pojawił się pewien niewielki problem. Jeden z kapłanów, fanatyk o szalonych oczach, którego włosy i broda przypominały poszarpany wiatrem snop siana, zaprotestował gwałtownie - niemal histerycznie - gdy Garion uprzejmie poprosił o otwarcie szkatuły. Główny kapłan jednak na tyle orientował się w polityce, by wiedzieć, że Rivański Król - szczególnie jeśli ma przy sobie Klejnot Aldura - ma niezaprzeczalne prawo

obejrzeć każdy święty przedmiot, na jaki przyjdzie mu ochota. Garion raz jeszcze uświadomił sobie, iż, w pewien szczególny sposób, on sam w umysłach części Alornów stanowił prawdziwą świętość.

Fanatyk ustąpił w końcu, mamrocząc pod nosem słowo: "świętokradztwo". Szkatuła została otwarta zardzewiałym żelaznym kluczem, a w oświetlony blaskiem świec krąg wniesiono niewielki stolik i krzesło, aby Garion mógł w spokoju zbadać Kodeks.

- Sądzę, że teraz poradzę już sobie sam, wielebni - powiedział z naciskiem. Nie życzył sobie, aby ktoś czytał mu przez ramię, i w ogóle niespecjalnie pragnął towarzystwa. Usiadł przy stole, położył dłonie na zwoju i spojrzał prosto na grupkę kapłanów. - Jeśli będę czegoś potrzebował, zawołam.

Ich twarze zdradzały dezaprobatę, lecz władcze zachowanie Rivańskiego Króla onieśmieliło ich do tego stopnia, że bez protestów przyjęli stanowczą odprawę. Cicho wymknęli się z komnaty, pozostawiając go sam na sam ze zwojem.

Garion czuł podniecenie. Rozwiązanie problemu, który nękał go przez tyle miesięcy, znajdowało się nareszcie w zasięgu ręki. Sztywnymi z emocji palcami rozplatał jedwabny sznur i zaczął rozwijać skrzypiący pergamin. Pokrywające go pismo było archaiczne, lecz pięknie wykaligrafowane. Poszczególne litery zostały nie tyle napisane, co żmudnie narysowane. Niemal od razu zorientował się, że nieznany skryba poświęcił całe swe życie wykonaniu tego jednego manuskryptu. Jego ręce drżały z podniecenia, gdy ostrożnie odwijał zwój, przebiegając wzrokiem po znajomych słowach i frazach, w poszukiwaniu fragmentu, który raz na zawsze wyjaśni dręczącą go tajemnicę.

I oto był! Garion wpatrzył się w niego z osłupieniem, nie wierząc własnym oczom. Ujrzał bowiem ten sam kleks, identyczny jak we wszystkich kopiach. Niemal krzyknął ze złości.

Z druzgocącym poczuciem klęski raz jeszcze odczytał owe fatalne zdania: "I Dziecię Światła zmierzy się z Dziecięciem Mroku i pokona go, i Ciemność umknie w otchłań. Lecz stanie się, że Kamień, który leży w sercu Światła, niespodzianie..." i znów ta przeklęta plama.

Kiedy to czytał, zdarzyło się coś dziwnego. Nagle ogarnęło go szczególne zniechęcenie. Czemu właściwie tak bardzo kłopotał się tym zamazanym słowem? Jaką różnicę mógł zrobić jeden wyraz? Niemal wstał z krzesła z zamiarem odłożenia zwoju na miejsce i opuszczenia tego śmierdzącego budynku. Nagle zawahał się, wspominając wszystkie godziny, spędzone na poszukiwaniu znaczenia tego ustępu.

Może nie zaszkodzi przeczytać go jeszcze raz. W końcu specjalnie po to przebył dość długą drogę.

Od nowa zabrał się do lektury, lecz niechęć, jaką odczuwał, stała się tak silna, że nie mógł jej znieść. Po co marnował czas na takie bzdury? Odbył całą tę długą podróż, aby teraz tracić wzrok nad tym pleśniejącym zbiorem bredni wariata - tym cuchnącym, na wpół zgniłym skrawkiem marnie wyprawionej owczej skóry. Z niesmakiem odepchnął Kodeks. To kompletny idiotyzm. Odsunął krzesło i wstał, poprawiając wiszący na plecach wielki miecz Żelaznopalcego. Jego łódź zapewne nadal tam czeka, zacumowana do rozklekotanego pomostu. Do wieczora zdoła dotrzeć do Kotu, a za tydzień będzie już w Rivie. Raz na zawsze zamknie bibliotekę i zajmie się swoimi sprawami. Ostatecznie król nie ma czasu na jałowe, szalone spekulacje. Zdecydowanym ruchem odwrócił się plecami do zwoju i ruszył w stronę drzwi.

Jednak gdy tylko stracił z oczu zwój, zatrzymał się nagle. Co on robi? Zagadka wciąż tam tkwiła. Nie uczynił nic, by ją rozwiązać. Musi odkryć prawdę. Lecz kiedy obrócił się i znów ujrzał Kodeks, załała go ta sama fala nieznośnej niechęci. Była ona tak silna, że zakręciło mu się w głowie. Raz jeszcze odwrócił się i uczucie ponownie zniknęło. Zupełnie jakby sam zwój starał się go zniechęcić.

Zaczął przechadzać się po komnacie, uważając, by nie zawadzić wzrokiem o pergamin. Co powiedział mu suchy głos w umyśle? "Jest tam kilkanaście słów. Jeśli spojrzysz na tekst we właściwym świetle, powinieneś je dostrzec". W jakim świetle? Najwyraźniej świece w kaplicy nie były tym, o co chodziło głosowi. Słonecznym? To mało prawdopodobne. Poledra mówiła, że musi odczytać ukryte słowa - ale jak, skoro Kodeks dosłownie go odpychał za każdym razem, gdy Garion na niego spojrzał?

Nagle przystanął. Co jeszcze powiedziała Poledra? Coś o tym, że nie zobaczy nic bez...

Fala niesmaku, która go uderzyła, była tak potężna, że żołądek Gariona ścisnął się gwałtownie. Natychmiast odwrócił się na pięcie, aby nie widzieć nienawistnego dokumentu i w trakcie tego ruchu rękojeść miecza Żelaznopalcego uderzyła go boleśnie w bok głowy. Ze złością sięgnął przez ramię, by odepchnąć miecz, zamiast tego jednak jego dłoń spoczęła na Klejnocie. Uczucie wstrętu zniknęło natychmiast. Jego umysł rozjaśnił się, myśli poszybowały naprzód. Światło! Oczywiście! Musiał odczytać Kodeks w świetle Klejnotu! To właśnie próbowali mu powiedzieć Poledra i głos. Niezgrabnie wyciągnął rękę w górę i za plecy, chwytając Klejnot.

- Wyjdź! - mruknął. Z lekkim szczękiem kamień wylądował w jego dłoni. Nagła waga potężnego miecza, przytroczonego do pleców, niemal powaliła Gariona na kolana. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że pozorna lekkość oręża była wyłącznie dziełem Klejnotu. Wal-

cząc z przytłaczającym go ciężarem, zaczął gmerać palcami przy sprzączce na piersi, odpiął ją i poczuł, jak ogromna masa zsuwa mu się z pleców. Miecz Rivańskiego Króla z głośnym łoskotem upadł na posadzkę.

Trzymając przed sobą Klejnot Garion obrócił się i spojrzał prosto na zwój. Wydało mu się, że słyszy wściekły pomruk, unoszący się w powietrzu, lecz jego umysł pozostał jasny. Podeszedł do stołu i jedną ręką rozwinął Kodeks, drugą unosząc jaśniejący Klejnot.

Wreszcie ujrzał znaczenie plamy, która od tak dawna nie dawała mu spokoju. Nie był to jedynie przypadkowy kleks, kropla rozbryzniętego atramentu. To była wiadomość - cała wiadomość, lecz jej słowa zapisano jedno na drugim! Całe proroctwo kryło się w jednej plamie! W błękitnym, jednostajnym blasku Klejnotu Aldura oczy Gariona zdawały się zanurzać coraz głębiej pod powierzchnię pergaminu, a ukryte od tysiącleci wyrazy poczęły wznosić się w górę niczym pęcherzyki powietrza.

“Lecz stanie się” - głosił ów kluczowy fragment - “że Kamień, który leży w sercu Światła, niespodzianie zapłonie czerwonym ogniem i mój głos przemówi do Dziecięcia Światła, by wyjawić mu imię Dziecięcia Mroku. I Dziecię Światła ujmie w dłoń miecz Strażnika i wyruszy na poszukiwanie tego, co kiedyś ukryto. A wyprawa jego będzie długa i mieć będzie potrójny cel. A dowiedcie się, że się zaczęła, gdy ród Powiernika odnowi się. Strzeżcie dobrze nasienia Powiernika, nie będzie on bowiem miał innego następcy. Strzeżcie go dobrze, jeśli bowiem jego potomek wpadnie w ręce Dziecięcia Mroku i powiedziona zostanie do miejsca, w którym czai się zło, jedynie ślepy los zadecyduje o wszystkim. Gdyby jednak uprowadzono dziecię Powiernika, Wieczny i Ukochany musi wskazać drogę. A szlak, prowadzący ku miejscu, gdzie czai się zło, odnajdzie w Misteriach. W każdym zaś Misterium kryje się jedynie część szlaku, on więc znaleźć musi wszystkie - wszystkie - bo inaczej pobłądzi i Mrok zatryumfuje. Spieszcie zatem na miejsce spotkania, gdzie zakończy się owa wyprawa o potrójnym celu. I spotkanie to nastąpi w miejscu, którego już nie ma, i tam dokona się wybór”.

Garion ponownie odczytał cały tekst, a później raz jeszcze, czując, jak z wolna ogarnia go złowieszczy chłód, gdy słowa przepowiedni odbijały się coraz głośniejszym echem w jego umyśle. Wreszcie wstał i podeszedł do drzwi rozjarzonej blaskiem świec, nisko sklepionej krypty.

- Potrzebuję czegoś do pisania - powiedział czekającemu tuż za progiem kapłanowi. - I pošlijcie kogoś nad rzekę. Niech przekaże kapitanowi mojej łodzi, żeby był gotów. Gdy tylko skończę, wracamy do Kotu.

Kapłan wpatrywał się oszołomiony w lśniący jaskrawym blaskiem Klejnot w dłoni Gariona.

- Nie stój tak, człowieku! Biegnij! Zależą od tego losy całego świata!

Kapłan zamrugał i śmignął na zewnątrz.

Następnego dnia Garion dotarł do Kotu, a w półtora dnia później osiągnął Bród Aldura w północnej Algarii. Szczęśliwym zrzędzeniem losu przez tę szeroką pływiczną przechodziło właśnie stado na wół dzikiego algarskiego bydła, zmierzające do Muros. Król Rivy natychmiast udał się na poszukiwanie przewodnika.

- Będę potrzebował dwóch koni - oświadczył, lekceważąc zwyczajowe powitania - najlepszych, jakie macie. Jeszcze w tym tygodniu muszę dotrzeć do Doliny Aldura.

Przewodnik stad, groźny algarski wojownik odziany w czarne skóry, spojrział na niego z namysłem.

- Dobre konie kosztują, Wasza Wysokość - zagadnął, a jego oczy rozblęły.

- To nie ma znaczenia. Proszę, przygotuj je w ciągu kwadransa - i dołóż do juków nieco prowiantu.

- Czy Wasza Wysokość nie ma zamiaru porozmawiać o cenie? - głos przewodnika zdradzał głębokie rozczarowanie.

- Niekoniecznie - odparł Garion. - Po prostu dodaj wszystkie sumy, a ja zapłacę.

Przewodnik westchnął.

- Proszę je potraktować jako dar, Wasza Wysokość - powiedział. Następnie zerknął żałośnie na Rivańskiego Króla. - Oczywiście zdaje pan sobie sprawę z tego, że zupełnie zepsuł pan całe moje popołudnie.

Garion posłał mu porozumiewawczy uśmiech.

- Gdybym miał na to czas, targowałbym się z tobą przez cały dzień - do ostatniego grosika. Lecz na południu oczekują mnie nie cierpiące zwłoki sprawy.

Algar ze smutkiem potrząsnął głową.

- Nie bierz sobie tak tego do serca, przyjacielu - pocieszył go Garion. - Jeśli chcesz, mogę przeklinać twoje imię przy każdym napotkanym człowieku i głośno narzekać, jak bardzo mnie oszukałeś.

Oczy przewodnika stad rozpogodziły się lekko.

- To byłoby niezwykle uprzejme ze strony Waszej Wysokości - oświadczył, a dostrzegając rozbawione spojrzenie Gariona, dodał: - W końcu muszę dbać o moją reputację. Konie będą gotowe na pański rozkaz. Wybiorę je osobiście.

Podróż na południe nie zabrała zbyt wiele czasu. Garion oszczędzał siły koni, zmieniając wierzchowce co dwie lub trzy staje. Długie poszukiwania Klejnotu nauczyły go wielu sposobów, jak zachować siły dobrego konia, i teraz korzystał ze wszystkich poznanych sztu-

czek. Kiedy na drodze wyrastało strome wzgórze, zwalniał aż do stępa, nadrabiając stracony czas podczas galopu opadającym w dół zboczem. Gdy tylko mógł, okrążał nierówności terenu. Zatrzymał się na popas późnym wieczorem i o pierwszym brzasku wyruszył w dalszą drogę.

Cały czas kierował się na południe, pokonując morze sięgających kolan stepowych traw, bujnych i zielonych w ciepłych promieniach wiosennego słońca. Ominął stworzoną rękami człowieka górę algarskiej Twierdzy, wiedząc, iż król Cho-Hag i królowa Silar, a już na pewno Hettar i Adara nalegaliby, by zatrzymał się u nich przez dzień lub dwa. Z żalem przejechał też o jakąś milę od domu Poledry. Miał nadzieję, że później znajdzie dość czasu, by odwiedzić ciocię Pol, Durnika i Podarka. Teraz jednak musiał zobaczyć się z Belgarathem i pokazać mu ów ustęp z Kodeksu Mrin, który skopiował uważnie i ukrył w wewnętrznej kieszeni tuniki.

Gdy wreszcie dotarł do okrągłej, przysadzistej wieży Belgaratha, był tak zmęczony, że kiedy zeskoczył ze spienionego konia, ugiwały się pod nim nogi. Natychmiast podszedł do wielkiego, płaskiego głazu, służącego czarodziejowi za drzwi.

- Dziadku! - krzyknął w stronę okien nad głową. - Dziadku, to ja!

Nie było odpowiedzi. Przysadzista wieża wznosiła się, milcząca, pośród wysokich traw, a jej kontur rysował się ostro na tle jasnego nieba. Garion w ogóle nie przewidział możliwości, że starego czarodzieja mogłoby nie być w domu.

- Dziadku! - zawołał ponownie. Nadal żadnej reakcji. Czerwonoskrzydły kos śmignął mu nad głową, wylądował na szczycie wieży i zerknął ciekawie na Gariona. Następnie zaczął przeczesywać dziobem piórka.

Niemal chory z zawodu, Garion wbił wzrok w milczący głaz, który zawsze uchylał się przed Belgarathem. Choć wiedział, że stanowi to poważne naruszenie etykiety, zebrał jednak wolę, spojrzął na kamień i polecił:

- Otwórz się.

Głaz drgnął lekko, jakby zaskoczony, po czym posłusznie usunął się na bok. Garion wszedł do środka i szybkim krokiem pokonał stopnie, w ostatniej chwili przypominając sobie, by dać krok ponad jednym z nich, którego kamienna płyta wciąż jeszcze chwiała się, nie naprawiona.

- Dziadku! - krzyknął, unosząc głowę.

- Garion? - w dobiegającym z góry głosie starego czarodzieja brzmiało zdumienie. -

Czy to ty?

- Wołałem cię - powiedział Garion, wchodząc do zapchanej sprzętami okrągłej kom-

naty u szczytu schodów. - Nie słyszałeś mnie?

- Byłem skoncentrowany na czymś innym - odparł starzec. - Co się stało? Skąd się tu wzięłaś?

- Wreszcie znalazłem ten ustęp - odparł Garion.

- Jaki ustęp?

- Z Kodeksu Mrin - ten, którego brakuje.

Wyraz twarzy Belgaratha zdradził nagle napięcie, więcej - czujność.

- O czym ty mówisz, chłopcze? W Kodeksie Mrin nie ma żadnego niepełnego ustępu.

- Rozmawialiśmy o tym w Rivie. Nie pamiętasz? Chodzi o miejsce, gdzie kleks zakrywa część wiersza. Sam ci je pokazałem.

Oblicze czarodzieja uległo naglej zmianie. Teraz malował się na nim niesmak i wzgarda.

- I z powodu podobnego drobiazgu przeszkadzasz mi w pracy? - spytał ostro.

Garion spojrzał na niego, zdumiony. To nie był Belgarath, którego znał. Stary człowiek nigdy wcześniej nie potraktował go z takim chłodem.

- Dziadku, co ci się stało? To przecież bardzo ważne. Ktoś w jakiś sposób ukrył część Kodeksu. Kiedy go czytasz, nie zauważasz pewnego fragmentu.

- Ale ty go zauważyłeś? - odparł Belgarath pełnym pogardy tonem. - Ty? Chłopak, który, póki nie dorósł, w ogóle nie umiał czytać? Reszta z nas studiowała Kodeks od tysięcy lat, a teraz ty przychodzisz do mnie i twierdzisz, że coś przeoczyliśmy?

- Posłuchaj mnie, dziadku. Próbuję ci wyjaśnić. Kiedy dochodzisz do tego miejsca, coś dzieje się z twoim umysłem. Nie zwracasz na nie uwagi, ponieważ, z jakiegoś powodu, nie chcesz go dostrzec.

- Bzdura! - prychnął Belgarath. - Nie potrzebuję, aby jakiś kompletny żółtodziób pouczał mnie, jak prowadzić badania.

- Nie spojrzysz przynajmniej na to, co znalazłem? - spytał błagalnie Garion, wyciągając z wewnętrznej kieszeni pergamin i podając go staremu czarodziejowi.

- Nie! - krzyknął Belgarath, odtrącając ręką ofiarowaną mu kartkę. - Zabierz ode mnie te bzdury. Wynoś się z mojej wieży, Garionie!

- Dziadku!

- Znikaj stąd! - Twarz starca pobladła ze złości, oczy ciskały pioruny.

Gariona tak bardzo zraniły słowa dziadka, że w jego oczach zakręciły się prawdziwe łzy. Jak Belgarath mógł powiedzieć mu coś takiego?

Czarodziej wpadał w coraz większą furję. Zaczął przechadzać się po komnacie, mam-

rocząc z wściekłością:

- Mam do wykonania pracę - bardzo ważną pracę - a ty wpadasz tu nagle z jakąś szaloną historyjką o brakującym fragmencie. Jak śmiesz? Jak śmiesz przeszkadzać mi z powodu podobnego idiotyzmu? Czy nie wiesz, kim jestem? - Machnął dłonią w stronę pergaminu, który Garion podniósł z podłogi i znów trzymał przed sobą. - Zabierz mi z oczu to paskudztwo!

I wtedy Garion nagle zrozumiał. Cokolwiek lub ktokolwiek próbował zataić słowa, ukryte w tej dziwnej plamie atramentu, desperacko starał się sprawić, by Belgarath ich nie odczytał, wpędzając go w tak nietypową dla niego wściekłość. Istniał tylko jeden sposób, by przełamać ową niezwykłą ślepotę. Garion odłożył pergamin na stół, po czym chłodno i z rozmysłem odpiął biegnący w poprzek piersi ciężki pas, zdjął z pleców miecz Żelaznopalcego i ustawił go pod ścianą. Położył dłoń na wprawionym w rękojeść Klejnocie i rozkazał:

- Wyjdź.

Kamień znalazł się w jego ręce, rozbłyskując pod dotykiem palców Rivańskiego Króla.

- Co robisz? - chciał wiedzieć Belgarath.

- Mam zamiar zmusić cię do tego, byś zobaczył, o czym mówię, dziadku - odrzekł nieszczęśliwym tonem Garion. - Nie zrobię ci krzywdy, ale musisz na to spojrzeć. - Powoli ruszył w stronę czarodzieja, trzymając przed sobą Klejnot.

- Garionie - Belgarath cofnął się z lękiem - uważaj.

- Podejdź do stołu, dziadku - polecił ponuro Garion. - Podejdź do stołu i przeczytaj, co odkryłem.

- Grozisz mi? - spytał z niedowierzaniem Belgarath.

- Po prostu zrób to, dziadku.

- Nie traktujemy siebie w taki sposób - zaprotestował starzec, nadal cofając się przed lśniącem kamieniem.

- Stół - powtórzył Garion. - Podejdź tam i przeczytaj. Na czoło Belgaratha wystąpiły krople potu. Niechętnie, zupełnie jakby sprawiało mu to jakiś niezwykły ból, zbliżył się do stołu i pochylił nad kawałkiem pergaminu. Po chwili potrząsnął głową.

- Nic nie widzę - oświadczył, choć tuż obok stała płonąca świeca. - Tu jest za ciemno.

- Proszę - Garion wyciągnął ku niemu błyszczący Klejnot. - Poświecę ci. - Klejnot rozbłysnął nagle i jego błękitny blask padł na pergamin. Cała komnata rozjarzyła się niebieskim światłem. - Czytaj, dziadku - dodał nieustępliwie Garion.

Belgarath spojrział na niego błagalnie.

- Garionie...

- Czytaj.

Czarodziej spuścił wzrok na leżącą przed nim kartkę i nagle jakby się zachłysnął.

- Gdzie...? Skąd to masz?

- Wszystko było pod tym kleksem. Czy teraz już widzisz?

- Oczywiście, że widzę. - Belgarath, podekscytowany, uniósł pergamin i raz jeszcze odczytał zapisane na nim słowa. Jego ręce zaczęły drżeć. - J esteś pewien, że zapisałeś to dokładnie?

- Słowo po słowie, dziadku - wprost z oryginalnego zwoju.

- W jaki sposób zdołałeś to odczytać?

- Tak jak i ty - w świetle Klejnotu.

- Zdumiewające - stwierdził starzec. - Zastanawiam się... - Szybkim krokiem podszedł do stojącej pod ścianą szafki, przez moment grzebał w niej, po czym wrócił do stołu, niosąc w dłoniach zwój. Rozłożył go prędko. - Przysuń bliżej Klejnot, chłopcze - poprosił. Garion posłuchał i razem z dziadkiem patrzył, jak ukryte słowa powoli wypływają na powierzchnię, zupełnie tak samo, jak wcześniej w kaplicy.

- Absolutnie zdumiewające. Co prawda tekst jest rozmyty, a niektóre słowa nieco zamazane, ale jest. Jak to możliwe, że nikt z nas nie dostrzegł tego wcześniej - i jak ty to odkryłeś?

- Otrzymałem pomoc. Głos powiedział mi, że potrzebuję specjalnego światła. - Zawahał się, wiedząc, jak wiele bólu sprawią starcowi jego następne słowa. - A potem złożyła nam wizytę Poledra.

- Poledra? - Gdy wymawiał imię żony, głos Belgaratha załamał się lekko.

- Ktoś kierował Ce'Nedra we śnie, zmuszając ją, aby coś zrobiła - coś bardzo niebezpiecznego - i Poledra przybyła, by ją powstrzymać. Potem powiedziała mi, że muszę się udać do kaplicy w Drasni i przeczytać oryginalny Kodeks. Wyraźnie poleciła, abym zabrał ze sobą Klejnot. Kiedy tam dotarłem i zacząłem czytać, o mało nie wyszedłem. Wszystko to wydawało mi się kompletną głupotą. Potem przypomniałem sobie, co mi radzono, i dodałem dwa do dwóch. Gdy tylko zacząłem czytać w świetle Klejnotu, uczucie, że marnuję czas, zniknęło. Dziadku, skąd się to bierze? Myślałem, że to dotyczy tylko mnie, ale na ciebie też podziałało.

Belgarath zastanowił się przez moment, marszcząc brwi.

- To był interdikt - wyjaśnił w końcu. - Ktoś kiedyś skupił swą wolę na tym fragmencie, czyniąc go tak odstręczającym, by nikt w ogóle go nie zauważył.

- Ale przecież on tu jest - nawet w twoim egzemplarzu. Jak to możliwe, że kopiujący

go skryba widział dość wyraźnie, by go dokładnie przepisać, a my w ogóle nic nie dostrzegliśmy?

- W dawnych czasach wielu kopistów w ogóle nie umiało czytać. Znajomość liter nie jest konieczna do ich przepisywania. Skrybowie po prostu kreślili na papierze dokładne duplikaty widzianych słów.

- Ale ten - jak go nazwałś?

- Interdykt. To skomplikowane słowo, określające proste zjawisko. Zdaje się, że wymyślił je Beldin. Czasami zachłystuje się własną inteligencją.

- Zatem to interdykt kazał skrybom zapisywać jedno słowo na drugim - choć nie mieli pojęcia, co znaczą wszystkie te wyrazy?

Belgarath chrząknął potakująco, pogrążony w myślach.

- Ktokolwiek to zrobił, jest bardzo silny - i bardzo subtelny. W ogóle nie podejrzewałem, że ktoś manipuluje moim umysłem.

- Kiedy to się stało?

- Prawdopodobnie w tym samym czasie, gdy Prorok Mrin po raz pierwszy wypowiedział te słowa.

- Czy interdykt działałby dalej po śmierci osoby, która była jego autorem?

- Nie.

- A więc...

- Zgadza się. On wciąż gdzieś się tu kręci.

- Może to ten Zandramas, o którym wciąż słyszymy?

- Przypuszczam, że to możliwe. - Belgarath podniósł kartkę z przepisaniem przez Gariona tekstem. - Teraz widzę go już w zwyczajnym świetle - stwierdził. - Najwyraźniej jeśli dana osoba raz przełamie interdykt, to w jej przypadku zostaje on zdjęty na dobre. - Raz jeszcze uważnie odczytał kluczowy fragment. - To naprawdę ważne, Garionie.

- Byłem tego pewien - odparł Garion. - Choć niedokładnie go rozumiem. Pierwsza część jest względnie jasna - Klejnot, zmieniający barwę na czerwoną i wyjawione imię Dziecięcia Mroku. Wygląda na to, że będę chyba musiał odbyć jeszcze jedną z tych moich wypraw.

- I to długą, jeśli proroctwo się nie myli.

- O co chodzi w następnej części?

- Cóż, o ile się orientuję, twoja misja - na czymkolwiek by miała polegać - już się rozpoczęła. Jej początkiem były narodziny Gerana. - Stary człowiek zmarszczył brwi. - Niezbyt jednak podoba mi się fragment, który mówi, że decyzja może zależeć od ślepego losu. Po-

dobne rzeczy zawsze spędzały mi sen z powiek.

- Kto to jest “Wieczny i Ukochany”?

- Najprawdopodobniej ja.

Garion spojrzał na niego ze zdumieniem. Czarodziej wzruszył ramionami.

- To lekka ostentacja - przyznał - ale niektórzy naprawdę nazywają mnie “Wiecznym Belgarathem”, a kiedy mój Mistrz zmienił mi imię, dodał do niego cząstkę “Bel”. W starej mowie “Bel” oznacza “ukochany”. - Uśmiechnął się i dodał z odrobiną smutku. - Mój Mistrz zawsze umiał radzić sobie ze słowami.

- Co to za misteria, o których wspomina tekst?

- To archaizm. W dawnych czasach mianem tym określano to, co my nazywamy proctwami. Biorąc pod uwagę, jak zagmatwane są niektóre z nich, przypuszczam, że to ma sens.

- Hej! Garionie! Belgaracie! - dobiegł ich głos z dworu.

- Kto to jest? - spytał Belgarath. - Czy wspominałeś komukolwiek, że się tu wybierasz?

- Nie - odparł Garion. - Nikomu.

Podszedł do okna i spojrzał w dół. Ujrzał wysokiego Algara o jastrzębiej twarzy i powiewającym czarnym kosmyku włosów na wygolonej czaszce. Przybysz dosiadał spienionego i wyraźnie zmęczonego wierzchowca.

- Hettarze! - zawołał król Rivy. - Czy coś się stało?

- Wpuść mnie, Garionie. Muszę z tobą porozmawiać. Belgarath dołączył do Gariona przy oknie.

- Drzwi są po drugiej stronie - rzucił. - Otworzę ci je. Uważaj na piąty stopień - dodał, gdy Hettar zaczął okrążyć wieżę. - Chwieje się.

- Kiedy go wreszcie naprawisz, dziadku? - spytał Garion. Poczł lekkie, znajome echo, gdy stary czarodziej otworzył drzwi.

- Och, kiedyś w końcu się za to wezmę.

Gdy Hettar znalazł się w okrągłej komnacie na szczycie wieży, dostrzegli, że jego pościągła twarz ma ponury wyraz.

- Co cię tu sprowadza w takim pośpiechu? - powitał go Garion. - Nigdy nie widziałem, abys tak bardzo zajeździł konia.

Hettar głęboko zaczerpnął powietrza.

- Garionie, musisz natychmiast wracać do Rivy - oznajmił.

- Czy coś się stało? - Garion poczuł, jak ogarnia go nagły chłód.

Algar westchnął.

- Przykro mi, że to ja muszę cię o tym powiadomić, ale Ce'Nedra prosiła, abym skontaktował się z tobą najszybciej, jak to będzie możliwe. Musisz bezzwłocznie wracać do Rivy.

Garion zebrał całą swą odwagę. Wyobraźnia podsuwała mu tuzin najokropniejszych wizji.

- Dlaczego? - spytał cicho.

- Przykro mi, Garionie - bardziej, niż jestem w stanie wyrazić - ale Brand został zamordowany.

ROZDZIAŁ 18

Porucznik Bledik był jednym z tych surowych, młodych sendarskich oficerów, którzy traktują wszystko ze śmiertelną powagą. Niezwykle punktualnie zjawił się w Gospodzie Pod Lwem w portowym mieście Camaar, gdzie przepasany fartuchem oberżysta zaprowadził go na górę. Pokoje, w których zatrzymali się Garion i jego towarzysze, były przestronne i dobrze wyposażone, ich okna wychodziły na przystań. Garion stał przy jednym z nich i odsunąwszy zieloną kotarę spoglądał w przestrzeń, jakby wierzył, że jego wzrok zdoła przebyć setki mil wód i dojrzeć, co dzieje się w Rivie.

- Wasza Wysokość posyłał po mnie? - spytał Bledik z pełnym szacunku ukłonem.

- Tak, poruczniku, proszę wejść - odparł Garion, odwracając się ku niemu. - Mam pilną wiadomość dla króla Fulracha. Jak szybko zdoła pan dotrzeć do Sendaru?

Porucznik zastanowił się. Jedno spojrzenie na jego poważne oblicze powiedziało Galionowi, że młodzieniec zawsze brał po uwagę wszystkie możliwości. Bledik ściągnął usta, odruchowo poprawiając kołnierz szkarłatnego munduru.

- Jeśli będę jechał bez zatrzymywania i zmieniał konie w każdej oberży po drodze, powinienem znaleźć się w pałacu jutro późnym popołudniem.

- Znakomicie. - Garion wręczył młodemu oficerowi złożony i zapieczętowany list do sendarskiego władcy. - Kiedy zobaczysz króla Fulracha, powiedz mu, że wysłałem lorda Hettara z Algarii do wszystkich królów Alorii z wiadomością, iż zwołuję do Rivy spotkanie Rady Alornów i chciałbym, aby i on na nie przybył.

- Tak jest, Wasza Wysokość.

- Powiedz mu też, że Strażnik Rivy został zamordowany.

Oczy Bledika rozszerzyły się ze zdumienia, jego twarz pobladła.

- Kto to uczynił?

- Nie znam jeszcze żadnych szczegółów, lecz gdy tylko zdołamy znaleźć statek, wracamy na Wyspę.

- Garionie, kochanie - wtrąciła Polgara, siedząca w fotelu przy oknie - wyjaśniłeś już wszystko w liście. Porucznik ma przed sobą długą drogę, a ty go zatrzymujesz.

- Chyba masz rację, ciociu - przyznał, po czym zwrócił się do Bledika. - Czy będą ci potrzebne pieniądze czy cokolwiek innego?

- Nie, Wasza Wysokość.

- Lepiej więc ruszaj.

- Natychmiast, Wasza Wysokość. - Porucznik zsalutował i wybiegł z pokoju.

Garion zaczął przechadzać się niecierpliwie po kosztownym malloreańskim dywanie, podczas gdy Polgara, odziana w prostą, błękitną podróżną suknię, niewzruszenie reperowała jedną z tunik Podarka. Jej igła błyskała w strumieniu słonecznego światła, wlewającego się przez okno.

- Jak możesz być tak spokojna? - spytał z irytacją.

- Nie jestem, kochanie - odparła. - Właśnie dlatego szyję.

- Czemu to trwa tak długo?

- Wynajęcie statku wymaga czasu, Garionie. To nie to samo, co kupić bochenek chleba.

- Komu mogłoby zależeć na śmierci Branda? - wybuchnął Garion. W ciągu tygodnia, który upłynął od ich wyjazdu z Doliny, setki razy zadawał sobie to pytanie. Potężny Strażnik był całkowicie oddany rivańskiemu tronowi - do tego stopnia, iż praktycznie nie posiadał już odrębnej tożsamości. Z tego, co Garion wiedział, Brand nie miał na całym świecie ani jednego wroga.

- To jedna z pierwszych rzeczy, których będziemy musieli się dowiedzieć po przybyciu do Rivy. A teraz proszę, spróbuj się uspokoić. Spacer po pokoju nic nie dają, a bardzo rozpraszają uwagę.

Był już prawie wieczór, gdy Belgarath, Durnik i Podarek wrócili do gospody, prowadząc ze sobą wysokiego, siwowłosego Riyanina, którego ubranie, przesiąknięte charakterystyczną wonią słonej wody i smoły, niechybnie zdradzało w nim żeglarza.

- To jest kapitan Jandra - przedstawił go Belgarath. - Zgodził się przewieźć nas na Wyspę.

- Dziękuję, kapitanie - powiedział krótko Garion.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Wasza Wysokość - odparł Jandra ze sztywnym ukłonem.

- Czy przyplłynął pan z Rivy? - spytała Polgara.

- Wczoraj po południu, pani.

- Wie pan może, co się tam stało?

- Do portu nie dotarło zbyt wiele szczegółów. Czasami mieszkańcy Cytadeli bywają dość skryci - bez obrazy, Wasza Wysokość. Po mieście krążą jednak przeróżne plotki - większość z nich bardzo naciągana. Jedyne, co mogę powiedzieć z pewnością, to że Strażnik został zaatakowany i zamordowany przez grupkę Chereków.

- Chereków! - wykrzyknął Garion.

- Co do tego zgadzają się wszyscy, Wasza Wysokość. Niektórzy twierdzą, że mordercy zostali zabici. Inni mówią, że paru z nich przeżyło. Wiem tylko, że pochowano sześć trupów.

- To dobrze - mruknął Belgarath.

- Nie, jeśli w ogóle było ich tylko sześciu, ojciec - zwróciła mu uwagę Polgara. - Potrzebne nam odpowiedzi, nie ciała.

- Eee - przepraszam, Wasza Wysokość - wtrącił z zakłopotaniem Jandra. - Może nie powinienem tego mówić, ale niektóre plotki głoszą, że Cherekowie byli dyplomatami z Val Alom wysłanymi przez króla Anhega.

- Anhega? To absurd.

- Tak przynajmniej twierdzą ludzie, Wasza Wysokość. Osobiście nie bardzo w to wierzę, ale sądzę, że nie chciałbyś, panie, by podobne pogłoski za bardzo się rozprzestrzeniły. Strażnik był bardzo lubiany i wielu ludzi zaczyna już ostrzyć miecze - jeśli rozumiesz, panie, o co mi chodzi.

- Myślę, że powinienem wracać do domu najszybciej jak to możliwe - stwierdził Garion. - Ile potrwa przeprawa do Rivy?

Kapitan zastanowił się przez chwilę.

- Mój statek nie jest tak szybki, jak wojenne okręty Chereków - usprawiedliwił się. - Powiedzmy, trzy dni - o ile utrzyma się obecna pogoda. Jeżeli będziecie gotowi, możemy ruszyć z porannym przyplływem.

- Niech więc tak będzie - odparł Garion.

Późne lato na Morzu Wiatrów było pogodne i ciepłe. Statek Jandry pewnie pruł migotliwe, rozłożone słonecznym blaskiem fale, przechylając się pod naporem bocznego wiatru. Garion większą część podróży spędził spacerując po pokładzie. Kiedy trzeciego dnia od opuszczenia Camaara na horyzoncie pojawiły się poszarpane kontury Wyspy Wiatrów, króla ogarnęła szaleńcza niecierpliwość. Tak wiele pytań wymagało odpowiedzi, było tak wiele rzeczy do zrobienia, że nawet niecała godzina, potrzebna na dotarcie do portu, zdawała się nieznośnym opóźnieniem.

Minęło już południe, gdy statek Jandry okrążył cypel u wejścia do zatoki i skierował się ku kamiennym nabrzeżom u stóp miasta.

- Pójdę naprzód - poinformował towarzyszy Garion. - Idźcie za mną, gdy tylko będziecie mogli.

I w chwili, gdy marynarze dopiero zaczynali mocować cumy, skoczył na pokryte war-

stewką soli kamienie przystani, po czym zaczął wspinać się do Cytadeli, pokonując po dwa stopnie naraz.

Ce'Nedra czekała na niego przy masywnej bramie Cytadeli, odziana w czarną, żałobną suknię. Jej twarz była bardzo blada, w oczach miała łzy.

- Och, Garionie! - krzyknęła na jego widok. Zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła szlochać, tuląc głowę do piersi męża.

- Jak dawno to się stało, Ce'Nedro? - spytał, obejmując ją mocno. - Hettar nie znał zbyt wielu szczegółów.

- Jakies trzy tygodnie temu - wykrztusiła wśród łez. - Biedny Brand! Biedny, kochany Brand!

- Czy wiesz, gdzie mogę znaleźć Kaila?

- Wciąż pracuje przy biurku Branda - odparła. - Nie sądzę, aby od czasu jego śmierci sypiał dłużej niż kilka godzin na dobę.

- Niedługo powinni się tu zjawić ciocia Pol i inni. Ja muszę zobaczyć się z Kailiem. Czy przyprowadzisz ich do nas, gdy tylko tu dotrą?

- Oczywiście, kochanie. - Ce'Nedra otarła oczy wierzchem dłoni.

- Porozmawiamy później - obiecał. - W tej chwili muszę dowiedzieć się, co dokładnie zaszło.

- Garionie - powiedziała poważnym tonem Ce'Ned-ra. - To byli Cherekowie.

- Słyszałem o tym i dlatego właśnie muszę jak najszybciej dotrzeć do sedna tej sprawy.

Korytarze Cytadeli były mroczne i dziwnie ciche. Gdy Garion maszerował w stronę kilku komnat w zachodnim skrzydle, z których Brand zawsze kierował codziennymi sprawami królestwa, napotkani słudzy i urzędnicy kłaniali mu się z respektem i ustępowali z drogi.

Kail był ubrany w głęboką czerń, jego oblicze poszarzało ze znużenia i smutku. Jednak starannie ułożone stosy papierów na masywnym biurku Branda świadczyły, że mimo żalu niestrudzenie pracował, zajmując się nie tylko swymi obowiązkami, ale także sprawami ojca. Kiedy Garion wszedł do komnaty, Kail uniósł wzrok i zaczął podnosić się z krzesła.

- Proszę, nie - powstrzymał go Garion. - Mamy zbyt wiele do zrobienia, by zawracać sobie głowę formalnościami. - Spojrzał na wyczerpanego przyjaciela. - Kailu - powiedział ze smutkiem - jest mi bardzo przykro, bardziej, niż potrafię wyrazić.

- Dziękuję, Wasza Wysokość.

Król Rivy osunął się na krzesło po drugiej stronie biurka. Nagle zalała go gwałtowna fala zmęczenia.

- Nie udało mi się poznać żadnych szczegółów. Czy mógłbyś mi powiedzieć, co dokładnie zaszło?

Kail skinął głową i wyprostował się.

- To było mniej więcej miesiąc temu - zaczął. - Niedługo po twoim wyjeździe do Drasni. Przybyła do nas delegacja handlowa króla Anhega. Wyglądało na to, że ich dokumenty są w porządku, ale dość mętnie opowiadali o celu swojej wizyty. Przyjęliśmy ich uprzejmie, a oni większość czasu spędzali w wyznaczonych im komnatach. Pewnego dnia późnym wieczorem ojciec omawiał jakieś sprawy z królową Ce'Nedra i wracał właśnie do siebie, gdy spotkał ich w korytarzu prowadzącym do królewskiego apartamentu. Spytał, czy mógłby im w czymś pomóc, a oni zaatakowali go bez najmniejszego ostrzeżenia. - Kail urwał i Garion dostrzegł, jak zaciska szczęki. Syn Branda odetchnął głęboko i przetarł dłonią oczy. - Wasza Wysokość, ojciec nie był nawet uzbrojony. Robił, co mógł, by się obronić, i zanim go powalono, zdołał wezwać pomocy. Wraz z braćmi pobiegliśmy mu na ratunek - my i kilkunastu żołnierzy - i usiłowaliśmy schwycić morderców, oni jednak po prostu nie pozwolili wziąć się żywcem. - Zmarszczył brwi. - Zupełnie jakby z rozmysłem wybrali śmierć. Nie mieliśmy wyjścia. Musieliśmy ich zabić.

- Wszystkich? - Garion poczuł nagły ucisk w żołądku.

- Wszystkich, oprócz jednego - odparł Kail. - Mój brat Brin uderzył go płazem topora w głowę. Od tego czasu tamten nie odzyskał przytomności.

- Jest ze mną ciocia Pol. Ona go ocuci, jeśli to w ogóle możliwe. - Jego twarz przybrała zacięty wyraz. - A kiedy już się ocknie, zamienię z nim parę słów.

- Ja też chciałbym uzyskać odpowiedzi na kilka pytań - zgodził się Kail. Zawahał się, wyraźnie zakłopotany. - Belgarionie, oni mieli ze sobą list od króla Anhega. To dlatego wpuściliśmy ich do Cytadeli.

- Z pewnością istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie.

- Mam ten list. Jest na nim jego pieczęć i podpis.

- Zwołałem spotkanie Rady Alornów. Gdy tylko zjawi się Anheg, wyjaśnimy całą sprawę.

- Jeśli przyjedzie - dodał posępnym tonem Kail. Drzwi otwarły się cicho i Ce'Nedra wprowadziła do komnaty pozostałych przybyszów.

- W porządku - zaczął energicznie Belgarath. - Zobaczmy, czy zdołamy to wszystko uporządkować. Czy któryś z nich przeżył?

- Jeden, o Przedwieczny - odparł Kail. - Ale jest nieprzytomny.

- Gdzie jest w tej chwili? - spytała Polgara.

- Umieściliśmy go w pokoju w północnej wieży, pani. Medycy opatrzyli mu rany, ale nie zdołali go ocucić.

- Natychmiast się tym zajmę.

Podarek podszedł do Kaila i ze współczuciem położył dłoń na ramieniu młodego Rivanina. Szczęki młodzieńca znów się zacisnęły, do jego oczu napłynęły łzy.

- Mieli list od Anhega, dziadku - oświadczył Garion, zwracając się do starego czarodzieja. - Dzięki niemu dostali się do Cytadeli.

- Czy masz gdzieś ten list? - spytał Kaila Belgarath.

- Tak, Przedwieczny. O tu - młodzieniec zaczął przeglądać stos dokumentów.

- To chyba najlepszy punkt zaczepienia - stwierdził czarodziej. - Lepiej bierzmy się do pracy. Zależy od tego los całego Sojuszu Alornów.

Zapadł już wieczór, nim Polgara skończyła badać jedyne ocalałego zamachowca. Gdy weszła do królewskiego apartamentu, w którym nadal trwała rozmowa, jej twarz miała ponury wyraz.

- Przykro mi, ale absolutnie nic nie mogę z nim zrobić - oznajmiła. - Ma zdruzgotany cały tył czaszki. Ledwie tli się w nim życie. Jeśli spróbuję go ocucić, umrze.

- Potrzebuję odpowiedzi na pewne pytania, ciociu Pol - powiedział Garion. - Jak sądzisz, czy długo potrwa, zanim sam się obudzi?

Potrząsnęła głową.

- Wątpię, aby nastąpiło to kiedykolwiek - a jeśli nawet, to najprawdopodobniej nie będzie w stanie wypowiedzieć nic sensownego. W tej chwili tylko skóra trzyma jego głowę w kupie.

Spojrzał na nią bezradnie.

- Czy nie mogłabyś...

- Nie, Garionie. W jego umyśle nie pozostało nic, do czego można by dotrzeć.

W dwa dni później do Rivy przybył król Cho-Hag, wódz klanów algarskich jeźdźców. Towarzyszyły mu królowa Silar i Adara, wysoka, ciemnowłosa kuzynka Gariona.

- To bardzo smutna okazja - zauważył Cho-Hag swym cichym głosem, gdy uścisnęli sobie dłonie na nabrzeżu.

- Wygląda na to, że ostatnio spotykamy się wyłącznie na pogrzebach - zgodził się Garion. - A gdzie Hettar?

- Myślę, że w Val Alom. Zapewne przybędzie z Anhegiem.

- To coś, o czym musimy porozmawiać - powiedział Garion.

Cho-Hag uniósł jedną brew.

- Zabójcy Branda byli Cherekami - wyjaśnił cicho Garion. - Mieli ze sobą list od Anhega.

- Anheg nie mógł mieć z tym nic wspólnego - oświadczył stanowczo Cho-Hag. - Kochał Branda jak brata. Musi za tym stać ktoś inny.

- Jestem pewien, że masz rację, ale na razie w Rivie panuje ogromne napięcie. Niektórzy wspominają nawet o wojnie.

Oblicze Cho-Haga sposepniało.

- Dlatego właśnie musimy jak najszybciej dotrzeć do prawdy - ciągnął Garion. - Trzeba wypełnić podobne pomysły, nim cała sprawa zupełnie wymknie się spod kontroli.

Następnego dnia do portu zawinął solidny statek o szerokim kadłubie, wiozący króla Sendarii Fulracha. Towarzyszyli mu: jednoręki generał Brendig, wiekowy, lecz wciąż rażny hrabia Seline i, o dziwo, królowa Layla we własnej osobie - dama, której lęk przed podróżą morską był wręcz legendarny. Tego samego popołudnia królowa Porenn, nadal w głębokiej żałobie po śmierci męża, wysiadła z pomalowanego na czarno drasańskiego statku, który przywiózł ją wraz z synem, młodym królem Khewą, i chudym jak szkielet margrabią Khendonem, zwanym Javelinem.

- Och, mój drogi Garionie - westchnęła Porenn, obejmując go u stóp trapu. - Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo mi przykro.

- Wszyscy straciliśmy jednego z naszych najdroższych przyjaciół - odparł, po czym zwrócił się do Khevy. - Wasza Wysokość - powitał go z oficjalnym ukłonem.

- Wasza Wysokość - odrzekł Kheva, również się skłaniając.

- Słyszeliśmy, że zabójstwo otacza jakaś tajemnica - stwierdziła Porenn. - Obecny tu Khendon znakomicie sobie radzi z wyjaśnianiem tajemnic.

- Wasza Wysokość - Javelin odwrócił się i wyciągnął rękę do młodej kobiety o włosach barwy miodu i ciepłych brązowych oczach, schodzącej po trapie. - Pamięta pan zapewne moją siostrzenicę?

- Margrabino Liselle - przywitał dziewczynę Garion.

- Wasza Wysokość - odparła z dworskim dygnięciem. Choć zapewne sama nie była tego świadoma, delikatny cień dołeczków na policzkach nadawał jej twarzy nieco figlarny wyraz. - Wuj wciągnął mnie do organizacji jako swoją sekretarkę. Twierdzi, że zawodzą go oczy, ale podejrzewam, iż to tylko pretekst, mający na celu niedopuszczenie mnie do prawdziwych zadań. Starsi krewni okazują się czasem nieco nadopiekuńczy, nie sądzisz, panie?

Garion uśmiechnął się lekko.

- Czy ktokolwiek miał jakieś wieści od Silka?

- Silk siedzi w Rheonie - wyjaśnił Javelin - i próbuje zgromadzić informacje na temat kultu Niedźwiedzia. Wyprawiliśmy do niego posłańców, ale czasami trudno go znaleźć. Przypuszczam jednak, iż wkrótce się tu zjawi.

- Czy Anheg już przybył? - spytała Porenn. Garion potrząsnął głową.

- Są już Cho-Hag i Fulrach, ale od Anhega ani słowa.

- Słyszeliśmy, że część ludzi go podejrzewa - stwierdziła jasnowłosa królowa. - To nie może być prawda, Garionie.

- Jestem pewien, że gdy tylko się zjawi, będzie umiał wszystko wyjaśnić.

- Czy któryś z morderców przeżył? - wtrącił Javelin.

- Jeden - poinformował go Garion - ale obawiam się, że niewiele nam to pomoże. Syn Branda strzaskał mu czaszkę. Zdaje się, że nigdy nie odzyska przytomności.

- Szkoda - mruknął Javelin - ale czasami nawet ci, którzy nie mogą mówić, potrafią dostarczyć cennych informacji.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - oświadczył z przekonaniem król Rivy.

Rozmowa przy kolacji i po niej była nieco wymuszona. Choć nikt nie powiedział tego otwarcie, wszyscy unikali wzmianki o nękających ich ponurych przypuszczeniach. Podniesienie tej kwestii pod nieobecność Anhega mogłoby wzmóc wątpliwości i podejrzania i nadać spotkaniu ton, którego usilnie starali się uniknąć.

- Kiedy odbędzie się pogrzeb Branda? - spytała Porenn.

- Myślę, że gdy tylko przybędzie Anheg - odrzekł Garion.

- Czy podjąłeś już decyzję w sprawie jego urzędu? - chciał wiedzieć Fulrach.

- Niezupełnie rozumiem.

- Stanowisko Strażnika powstało dawno temu, by wypełnić pustkę powstałą po tym, jak Nyissanie zamordowali króla Goreka i jego rodzinę. Teraz, kiedy wstąpiłeś na tron, czy naprawdę potrzebujesz Strażnika?

- Szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym. Brand zawsze tu był. Wydawał się równie wieczny jak kamienie Cytadeli.

- Kto wykonywał jego pracę od czasu morderstwa, Wasza Wysokość? - wtrącił siwo-włosy hrabia Seline.

- Jego drugi syn, Kail.

- Masz wiele innych obowiązków, Belgarionie - zauważył hrabia. - Naprawdę potrzebny ci ktoś, kto zajmowałby się codziennymi sprawami - przynajmniej do czasu, gdy będziemy mieli za sobą obecny kryzys. Nie sądzę jednak, abyś już w tej chwili musiał podjąć wiążącą decyzję w sprawie Strażnika. Jestem pewien, że jeśli go poprosisz, Kail nadal będzie

wypełniał obowiązki ojca bez formalnej nominacji.

- Hrabia ma rację, Garionie - dodała Ce'Nedra. - Kail jest ci całkowicie oddany. Zrobi wszystko, o co go poprosisz.

- Jeśli ten młody człowiek dobrze sprawuje się w pracy, najlepiej mu w niej nie przeszkadzać - podsunął Seline. Po jego ustach przemknął przelotny uśmiech. - W Sendarii mamy stare przysłowie: "Jeśli coś nie jest zepsute, nie próbuj go naprawiać".

Następnego ranka do przystani wpłynął niezwykle statek pod stanowczo zbyt pełnymi żaglami. Jego dziób i rufę ozdabiały wymyślne konstrukcje. Garion, który stał akurat na murach Cytadeli, rozmawiając cicho z Javelinem, zmarszczył brwi na ten widok.

- Co to za statek? - spytał. - Nie rozpoznaję tej sylwetki.

- Arendzki, Wasza Wysokość. Arendowie odczuwają potrzebę, by wszystko upodabniać do zamków.

- Nie wiedziałem, że w ogóle mają jakiegokolwiek statki.

- Niewiele - odparł Javelin. - Ich okręty przejawiają tendencję do wywracania się pod wpływem mocniejszej bryzy.

- Chyba powinniśmy zejść na dół i sprawdzić, kto to.

- W porządku - zgodził się Drasanin. Pasażerowie, którzy przybyli na pokładzie niezgrabnej arendzkiej jednostki, okazali się starymi przyjaciółmi. Przy relingu stał Mandorallen, mocarny baron Vo Mandor, a jego zbroja błyszczała w słońcu. U jego boku ujrzeni Lelldorina z Wildantor. Towarzyszyły im żony, Nerina i Ariana, strojnie odziane w ciężkie suknie z ciemnego brokatu.

- Wyruszyliśmy natychmiast, gdy tylko dosięgła nas wieść o waszej tragedii, Garionie! - zawołał Mandorallen, podczas gdy arendzka załoga z trudem kierowała nieruchawy okręt w stronę nabrzeża, na którym oczekiwali Garion i Javelin. - Miłość, jaką darzymy ciebie i podstępnie zamordowanego Strażnika, a także rycerski obowiązek przywiodły nas tu, aby wspomóc cię w twojej słusznej zemście. Dołączyłby do nas także Krodullin, gdyby nie choroba, która przykuła go do łóża.

- Chyba powinienem był się tego spodziewać - wymamrotał Garion.

- Czy ich obecność skomplikuje sprawy? - spytał cicho Javelin.

Garion zadrżał.

- I to jak.

Dopiero w dwa dni później dowiedziona przez Baraka "Rybitwa" okrążyła przylądek i wpłynęła do zatoki. Wzdłuż burt stały szeregi krzepkich chereckich wojowników w kolczugach. Ich twarze zdradzały czujność, oczy spoglądały bacznie, gdy Barak wprowadzał okręt

do portu.

Kiedy Garion dotarł do stóp długich schodów, prowadzących z Cytadeli, na nabrzeżu zgromadził się już spory tłum. Nastrój zebranych był groźny, większość mężczyzn o ponurych twarzach miało u boków miecze.

- Zdaje się, że możemy tu mieć niezły bigos - powiedział cicho Garion, zwracając się do towarzyszącego mu Kaila. - Lepiej będzie, jeśli podczas tego spotkania przyjmiemy jak najlepsze miny.

Kail spojrzał na zacięte oblicza ludzi stłoczonych na przystani.

- Chyba masz rację, Belgarionie.

- Podczas powitania Anhega będziemy musieli okazać jak największą serdeczność.

- Prosisz o bardzo wiele, Belgarionie.

- Przykro mi to mówić, Kailu, ale to nie jest prośba. Ci Cherekowie na pokładzie to osobista straż Anhega. Jeśli coś się wydarzy, dojdzie do ogromnego przelewu krwi - i najprawdopodobniej do wojny, której nikt z nas nie pragnie. A teraz uśmiechnij się i chodźmy powitać króla Chereku.

Aby wszystko wyglądało jak najbardziej przyjaźnie, Garion poprowadził Kaila po trapie na pokład statku Baraka, by spotkanie z królem Anhegiem odbyło się na oczach gniewnego tłumu. Barak, odziany w oficjalną zieloną tunikę i sprawiający wrażenie jeszcze większego niż poprzednim razem, zbliżył się, aby ich powitać.

- Nastają dla nas smutne czasy - oznajmił, ściskając dłoń Gariona, a potem Kaila. - Anheg i Hettar są pod pokładem z paniami.

- Paniami? - powtórzył Garion.

- Isleną i Merel.

- Dotarli do was plotki? Barak skinął głową.

- To jeden z powodów, dla których przywieźliśmy swoje żony.

- Dobry pomysł - stwierdził z aprobatą Garion. - Człowiek, który wyrusza do walki, zazwyczaj nie zabiera z sobą żony. A chcemy przecież, aby wszystko wyglądało jak najlepiej.

- Zejdę i zawołam Anhega - powiedział Barak, zerkając na zebrany przed trapem posępny tłum.

Kiedy król Anheg, odziany w swą zwykłą błękitną szatę, wynurzył się spod pokładu, jego groźna, okolona czarną brodą twarz była spięta i znużona.

- Anhegu, przyjacielu - powitał go Garion głosem obliczonym na to, by dotarł do wszystkich zebranych. Pospieszył naprzód i mocno objął króla Chereku. - Chyba powinniśmy się uśmiechać - szepnął. - Chcemy, aby ci ludzie widzieli, że nadal jesteśmy najlepszymi

przyjaciółmi.

- A jesteście, Garionie? - spytał Anheg nieszczęśliwym tonem.

- Miedzy nami nic się nie zmieniło, Anhegu - odparł stanowczo Garion.

- A zatem nie zwlekajmy. - Anheg uniósł głos. - Królewska rodzina Chereku składa kondolencje tronowi Rivy w tej godzinie żałoby - oznajmił oficjalnie.

- Hipokryta! - krzyknął ktoś z tłumu.

Twarz Anhega stężała, lecz Garion podszedł szybko do relingu. Jego oczy płonęły.

- Ktokolwiek obraża mojego przyjaciela, obraża również mnie - powiedział śmiertelnie zimnym tonem. - Czy ktoś ma mi coś do powiedzenia?

Tłum cofnął się nerwowo.

Rivański Król obrócił się z powrotem do Anhega.

- Wyglądasz na zmęczonego - stwierdził.

- Od chwili, gdy dotarły do mnie wieści, przetrząsałem cały pałac - i większą część Val Alom - w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki. Bezskutecznie. - Czarnobrody władca Chereków przystanął i spojrzał wprost w oczy Gariona. Jego spojrzenie błagało o pomoc. - Przysięgam ci, Garionie, że nie miałem absolutnie nic wspólnego ze śmiercią Branda.

- Wiem o tym, Anhegu - odparł krótko Garion, zerkając na wciąż niespokojny tłum. - Może lepiej zabierzmy Hettara i panie do Cytadeli. Wszyscy inni już czekają, musimy już zacząć. - I dodał, zwracając się do Kaila: - Gdy tylko tam dotrzemy, chcę, abyś wysłał paru żołnierzy, by odprawili stąd tych ludzi. Każ im zamknąć dostęp do tej części portu. Nie życzę sobie żadnych kłopotów.

- Jest aż tak źle? - spytał cicho Anheg.

- To tylko środki ostrożności - odrzekł Garion. - Nie dopuszczę, aby sytuacja wymknęła się spod kontroli - do czasu, gdy wyjaśnimy całą tę sprawę.

ROZDZIAŁ 18

Ceremonia pogrzebowa Branda, Strażnika Rivy, odbyła się następnego dnia we Dworze Rivańskiego Króla. Garion, odziany w czerń, siedział i na swym bazaltowym tronie, z Ce'Nedrą u boku, podczas gdy Diakon Rivy wygłaszał kazanie do zebranego tłumu. Obecność króla Chereku Anhega wywołała wzburzenie wśród zgromadzonej na tej smutnej uroczystości rivańskiej szlachty. Jedynie głęboki szacunek, jakim darzyli Branda, i surowy wzrok Gariona sprawiły, iż szepty w głębi sali nie przerodziły się w głośne wyrazy potępienia. Anheg, siedzący pomiędzy Porenn i Cho-Hagiem, zachował kamienną twarz. Natychmiast po zakończeniu ceremonii opuścił salę.

- Nigdy jeszcze nie widziałem go w takim stanie - powiedział cicho Barak do Gariona.

- Jak dotąd ani razu nie oskarżano go o morderstwo, więc nie wie, jak sobie z tym poradzić.

- Nikt go nie oskarża - zaprotestował szybko Garion.

- Odwróć się i spójrz na swych poddanych, Garionie - odparł ze smutkiem Barak. - Zobacz, co kryją ich spojrzenia.

Garion westchnął.

- Nie muszę patrzeć. Dokładnie wiem, co myślą.

- Kiedy chcesz zacząć naradę?

- Za jakiś czas - zdecydował Garion. - Nieszczególnie zachwyca mnie wizja Anhega wędrującego korytarzami Cytadeli, wciąż pełnymi żałobników, z których każdy ma za pasem sztylet.

- Dobrze mówisz - zgodził się Barak.

Zebrali się wczesnym popołudniem w przybranej błękitnymi draperiami komnacie rady w południowej wieży. Gdy tylko Kail zamknął drzwi, Anheg powstał i zwrócił się do zgromadzonych.

- Od razu chcę powiedzieć, że nie miałem absolutnie nic wspólnego z tym, co tu zaszło - oznajmił. - Brand był zawsze jednym z moich najbliższych przyjaciół i prędzej odrąbałbym sobie rękę, niż wyrządził mu jakakolwiek krzywdę. Daję wam na to moje słowo - słowo króla i Alorna.

- Nikt cię o nic nie oskarża, Anhegu - stwierdził cicho Cho-Hag.

- Ha! Nie jestem tak głupi, na jakiego wyglądam - a nawet jeśli, nadal mam oczy i uszy. Tutejsi ludzie na wszystkie sposoby okazują mi swą niechęć. Dobrze jeszcze, że nie plu-

ją mi w twarz.

Srebrzystowłosy hrabia Seline odchylił się na krzesło.

- Przypuszczam, że źródłem tych podejrzeń - rzecz jasna całkowicie bezpodstawnych - jest list, który zamachowcy przedstawili po przyjeździe. Może zatem najlepiej będzie zacząć od oględzin tego dokumentu?

- Niezły pomysł - stwierdził Garion, po czym odwrócił się do Kaila. - Czy moglibyśmy zobaczyć ten list?

- Ma go Przedwieczny Belgarath, Wasza Wysokość.

- A, prawda - wtrącił czarodziej. - Zupełnie zapomniałem. - Sięgnął za pazuchę, wydobyl zwinięty pergamin i podał go sędziwemu sendarskiemu arystokracie.

- Wygląda na autentyk - mruknął hrabia, odczytawszy dokument.

- Pokażcie mi go - zażądał Anheg. Z obrzydzeniem ujął list i krzywiąc się obejrzał go.

- Rzeczywiście, to mój podpis - przyznał - i moja pieczęć, ale ja tego nie napisałem.

Garionowi przysłała do głowy pewna myśl.

- Czy zawsze czytasz wszystko, co dają ci do podpisu? - spytał. - Wiem, że czasami przynoszą mi całe stopy papierów, a ja po prostu piszę swoje imię na dole każdego arkusza. Chodzi mi o to, że... czy to możliwe, by ktoś podsunął ci ten list z innymi dokumentami, a ty podpisałeś go nie wiedząc, co zawiera?

Król Chereku potrząsnął głową.

- Kiedyś przytrafiło mi się coś takiego - odparł. - Teraz czytam wszystko przed złożeniem podpisu. Co więcej, sam dyktuję sygnowane przeze mnie dokumenty. W ten sposób wiem, że mówią dokładnie to, czego chcę. - Gwałtownym gestem podsunął Garionowi list. - Spójrz na to! - rzucił, wskazując palcem drugi akapit. - "Kontent, że handel, stanowiący krwiobiegiem obu naszych królestw..." - i tak dalej. Do diaska, Garionie! Nigdy w życiu nie użyłem słowa "kontent"!

- Jak zatem to pogodzić? - spytał hrabia Seline. - Stwierdziliśmy autentyczność podpisu i pieczęci. Król Anheg twierdzi, że nie tylko czyta wszystko, co podpisuje, ale osobiście dyktuje każdy list i proklamację. A jednak w samym dokumencie odnajdujemy niespójności leksykalne.

- Seline - przerwał mu kwaśno Anheg - czy kiedykolwiek babrałeś się w prawie? Mówisz zupełnie jak prawnik.

Hrabia roześmiał się.

- Staram się jedynie być dokładny, Wasza Wysokość.

- Nie cierpię prawników.

Przez resztę dnia ów kompromitujący list stanowił centralny punkt dyskusji, niczego jednak nie osiągnięto. Tej nocy Garion zmęczony położył się do łóżka równie zagubiony i pełen wątpliwości, co poprzednio.

Spał źle i obudził się późno. Gdy leżał pod baldachimem królewskiego łoża, próbując uporządkować myśli, usłyszał dochodzące z sąsiedniej komnaty głosy. Odruchowo zaczął je rozpoznawać. Oczywiście była tam Ce'Nedra i ciocia Pol. Beztroski śmiech królowej Layli bardzo ułatwiał jej identyfikację. Charakterystyczny mimbrański akcent zdradzał obecność Neriny i Ariany. Były tam też inne, lecz ich głosy niknęły w ogólnej wrzawie.

Garion wolno usiadł na łóżku, czując się tak, jakby w ogóle nie spał. Odrzucił pierzynę i opuścił nogi na podłogę. Nie miał wcale ochoty, by stawić czoło nadchodzącemu dniowi. Westchnął i wstał. Przesunął wzrokiem po ciężkiej czarnej tunice i spodniach, które miał na sobie poprzedniego dnia, po czym potrząsnął głową. Dalsze noszenie żałoby mogłoby zostać uznane za milczące oskarżenie. Temu zaś musiał zapobiec za wszelką cenę. Położenie, w jakim znalazł się król Anheg, było w tej chwili tak delikatne, że najmniejsza aluzja mogłaby wywołać kryzys. Podszedł do szafy, w której przechowywał swoje stroje, wybrał jedną z tradycyjnych błękitnych tunik i zaczął się ubierać.

Rozmowa w sąsiednim pokoju urwała się nagle na dźwięk pukania do drzwi.

- Czy mogę wejść? - dobiegło go nieśmiałe pytanie królowej Isleny.

- Oczywiście - odparła ciocia Pol.

- Sądziłam, że... - Islena zamilkła, po czym podjęła: - Biorąc pod uwagę to, co się stało, myślałam, że może lepiej będzie, jeśli zostanę u siebie.

- Bzdura - oznajmiła królowa Layla. - Wejdz, Isleno. Poparł ją ogólny szmer aprobaty.

- Przysięgam wam, że mój mąż nie jest winny tej zbrodni - powiedziała głośno Islena.

- Nikt nie twierdzi, że jest winny - odparła spokojnie ciocia Pol.

- Może nie otwarcie, ale wokół jest pełno paskudnych podejrzeń.

- Jestem pewna, że Garion i inni dotrą do sedna tej sprawy - stwierdziła stanowczo Ce'Nedra. - Wtedy wszystko się wyjaśni.

- Mój biedny Anheg w ogóle nie spał tej nocy - mruknęła ze smutkiem Islena. - Wiem, że wygląda na brutala, ale w głębi ducha jest naprawdę wrażliwy. Ta sprawa boleśnie go zraniła. Raz nawet płakał.

- Nasi panowie pomszczą łyzy, przelane przez twego małżonka, na ciele łotra, który kryje się za tą potworną zbrodnią - oświadczyła baronowa Nerina. - Gdy zaś prawda wyjdzie na jaw, głupcy, którzy zwątpili w szczerą przyjaźń króla Chereku, okryją się wstydem z winy swej nieufności.

- Mam tylko nadzieję, że się nie mylisz - westchnęła Islena.

- To smutny temat do rozmów, moje panie - upomniała zebrane damy kuzynka Gario-na Adara - i nie ma on nic wspólnego z prawdziwym powodem naszej obecności.

- A jakież to powód, miła Adaro? - zapytała Ariana.

- Dziecko, Ariano. Przyszliśmy, żeby znów zobaczyć twoje dziecko, Ce'Nedro. Jestem pewna, że już nie śpi, może więc je przyniesiesz, abyśmy mogły się pozachwycać?

Ce'Nedra roześmiała się.

- Myślałam, że nigdy o to nie poprosicie.

Rada spotkała się ponownie późnym rankiem. Królowie i ich doradcy zebrali się raz jeszcze w błękitnej komnacie. Złociste promienie letniego słońca wlewały się przez okna, łagodny morski wietrzyk poruszał zasłonami. Rozmowy miały charakter nieoficjalny, toteż monarchowie wraz z towarzyszymi rozparli się wygodnie w wyściełanych aksamitem krzesłach, rozstawionych tu i tam po pokoju.

- Naprawdę nie sądzę, abyśmy coś osiągnęli, walukując kolejny dzień sprawę tego listu - zaczął Belgarath. - Zgódźmy się, że to jakieś fałszerstwo, i przejdźmy dalej.

- Spojrzał na Kaila. - Czy twój ojciec miał jakichś wrogów na Wyspie? Kogoś dość bogatego i potężnego, by wynająć chereckich zabójców? Kail zmarszczył brwi.

- Nikt nie zdoła przejść przez życie nie nadepnawszy paru osobom na odcisk, Przedwieczny - odparł - ale nie sądzę, by ktokolwiek zachował aż taką urazę.

- Po prawdzie, przyjaciele - poinformował go Mandorallen - niektórzy ludzie, kiedy poczują się dotknięci, w milczeniu chowają nienawiść w sercu. Obłudnie kryją swe prawdziwe uczucia, póki nie nadarzy się sposobność dokonania zemsty. Historia Arendii obfituje w podobne zdarzenia.

- To możliwe - zgodził się król Fulrach. - Zresztą lepiej będzie rozejrzeć się w pobliżu, nim zaczniemy szukać z dala od domu.

- Przydałaby się lista - podsunął Javelin. - Jeśli spiszemy imiona wszystkich mieszkańców Wyspy Wiatrów, których Brand mógł w czymś urazić, będziemy mogli zacząć ich eliminować. Kiedy lista zawęzi się, rozpoczniemy śledztwo. Jeżeli człowiek, który za tym stoi, jest Rivaninem, musiał albo odwiedzić Cherek, albo też niedawno mieć jakiś kontakt z Cherekami.

Sporządzenie listy zajęło resztę poranka. Kail posłał po dokumenty i wszyscy pochyli-li się nad nimi, rozważając każdą decyzję, jaką Brand podjął w ciągu ostatnich pięciu lat. Ponieważ Strażnik pełnił rolę głównego arbitra królestwa, wydawał wiele wyroków, i zazwyczaj każda sprawa miała swego zwycięzcę i przegranego.

Po obiedzie rozpoczęli proces eliminacji, wykreślając imiona ludzi, nie dysponujących dostateczną władzą lub majątkiem, by stać ich było na wynajęcie płatnych zabójców.

- Już lepiej - stwierdził Javelin, skreślając kolejną pozycję. Uniósł spis. - Powoli ograniczamy to do znośnych rozmiarów.

345

Rozległo się pełne szacunku pukanie do drzwi. Jeden z pełniących wartę żołnierzy zamienił parę słów z kimś na zewnątrz, po czym podszedł do Baraka i szepnął mu coś do ucha. Rudobrody Cherek skinął głową, wstał i opuścił komnatę.

- A co z tym? - spytał Kaila Javelin, wskazując kolejne imię.

Kail podrapał się po policzku.

- Nie sędzę.

- To był spór o ziemię - zauważył Javelin - a niektórzy ludzie okazują niezwykle zacietrzewienie, jeśli chodzi o ziemię.

- Konflikt dotyczył pastwiska - przypomniał sobie Kail - i to niezbyt dużego. Zresztą ten człowiek ma i tak więcej ziemi, niż może ogarnąć.

- Czemu zatem odwołał się do prawa?

- To jego przeciwnik wniósł sprawę do mojego ojca. Barak wrócił do pokoju.

- Anhegu - zaczął, zwracając się do kuzyna. - Jest tu Gredlik. Ma ci coś ważnego do powiedzenia.

Anheg na w pół uniósł się z krzesła, nagle jednak zatrzymał się i spojrzał wokoło.

- Każ mu tu przyjść - polecił krótko. - Nie chcę, aby ktokolwiek pomyślał, że mam jakieś tajemnice.

- Wszyscy mamy swoje sekrety, Anhegu - mruknęła królowa Porenn.

- Moja sytuacja jest dość szczególna - poprawił swą wgniecioną koronę, która zsunęła się na jedno ucho.

W tym momencie, rozpychając strażników, do komnaty wmaszerował brodaty, odziany w skóry Gredlik.

- Masz kłopoty w domu, Anhegu - oznajmił obcesowo.

- Jakie kłopoty?

- Wracam właśnie z Jandksholmu - odparł Gredlik. - Nastawienie tamtejszych mieszkańców jest bardzo nieprzyjazne.

- To nic nowego.

- Próbowali mnie zatopić. Na urwiskach po obu stronach wejścia do fiordu ustawili rzędy katapult. Przez jakiś czas powietrze było pełne latających głazów. Zupełnie jakby padał

grad.

Anheg skrzywił się.

- Czemu cię zaatakowali?

- Zapewne nie chcieli, żebym zobaczył, co robią.

- A cóż takiego robią, co musieliby utrzymać w tajemnicy?

- Budują flotę.

Anheg wzruszył ramionami.

- Mnóstwo ludzi w Chereku buduje statki.

- Setkę naraz?

- Ile?!

- Musiałem unikać kamieni, więc nie mogłem policzyć dokładnie, ale cały brzeg fiordu był pełen doków. Położyli już kile i zaczynają stawiać wręgi. Przy okazji, pracują też nad murami miasta.

- Murami? I tak przewyższają już te w Val Alom.

- Teraz są jeszcze wyższe.

- Co oni planują?

- Anhegu, jeśli budujesz flotę i zaczynasz wzmacniać swe fortyfikacje, oznacza to za zwyczaj, iż szykujesz się do wojny. A skoro próbujesz zatopić statek człowieka, który znany jest ze swej przyjaźni do korony, znaczy to, że przeciwnikiem w tej wojnie ma być sam król.

- Coś w tym jest, Anhegu - stwierdził Barak.

- Kto w tej chwili kontroluje Jarviksholm? - spytał ciekawie Garion.

- Kult Niedźwiedzia - odparł z niesmakiem Anheg. - Przez ostatnie dziesięć lat napływali tam z całego Chereku.

- To bardzo poważna sprawa - wtrącił Barak.

- Jak również kompletnie nietypowa - zauważył Javelin. - Kult nigdy dotąd nie skłaniał się ku polityce konfrontacji.

- Jakiej polityce? - nie zrozumiał Anheg.

- To inne określenie na otwartą wojnę z koroną - wyjaśnił szef drasańskiego wywiadu.

- Mów więc jasno, o co ci chodzi, człowieku.

- To nawyk zawodowy. Zawsze dotąd kult starał się działać od wewnątrz - próbując zgromadzić dość sił, by móc zmusić królów Alornów do postępowania zgodnie z ich planami. Nie sądzę, aby wyznawcy kultu Niedźwiedzia kiedykolwiek rozważali pomysł otwartego buntu.

- Zawsze musi być pierwszy raz - stwierdził Hettar. Javelin zmarszczył brwi.

- To do nich niepodobne. Takie postępowanie stanowi całkowity zwrot w polityce, której trzymali się przez trzy tysiące lat.

- Ludzie się zmieniają - wtrącił generał Brendig.

- Nie kult Niedźwiedzia - wyjaśnił Barak - W umyśle przeciętnego wyznawcy nie ma miejsca na więcej niż jedną myśl naraz.

- Myślę, że powinieneś ruszyć tyłek i wracać do Val Alorn, Anhegu - oznajmił Grel-dik. - Jeśli te okręty znajdą się na wodzie, będą kontrolować całe zachodnie wybrzeże Chere-ku.

Anheg potrząsnął głową.

- Muszę tu zostać. Mam ważniejsze problemy. Grel-dik wzruszył ramionami.

- To twoje królestwo - przynajmniej na razie.

- Dzięki, Grel-diku - odparł sucho Anheg. - Nie masz pojęcia, jak mnie pocieszyłeś. Ile czasu zajmie ci droga do Val Alorn?

- Trzy, może cztery dni. To zależy, czy trafię na przyływ w Przesmyku.

- Popłyn tam - polecił Anheg. - Powiedz admirałom, że rozkazuję im wysłać flotę z Val Alorn i zająć posterunki przy cieśninach Halbergu. Kiedy skończymy obrady, udam się chyba na krótką wycieczkę do Jarviksholmu. Niewiele trzeba, by spalić ich stocznie.

Grel-dik odpowiedział mu złowrogim uśmiechem.

Kiedy pod wieczór uczestnicy narady rozchodzili się, Kail dogonił Gariona w oświetlonym pochodniami korytarzu.

- Uważam, że jest coś, co powinieneś rozważyć, Belgarionie - powiedział cicho.

- Tak?

- Niepokoją mnie ruchy chereckiej floty.

- To okręty Anhega - odparł Garion - i jego królestwo.

- Jedynie nie potwierdzone słowa Grel-dika są dowodem na istnienie owych stoczni w Jandksholmie - podkreślił Kail. - A cieśniny Halbergu znajdują się zaledwie o trzy dni żeglugi od Rivy.

- Czy to przypadkiem nie przesadna podejrzliwość?

- Wasza Wysokość, zgadzam się całkowicie, że król Anheg zasługuje na to, by wszystkie wątpliwości rozpatrywać na jego korzyść. Ale fakt, że dziwnym trafem cherecka flota zbiera się niedaleko Rivy, to już zupełnie inna sprawa. Sądzę, że powinniśmy dyskretnie zorganizować obronę - na wszelki wypadek.

- Zastanowię się nad tym - odparł krótko Garion i ruszył dalej korytarzem.

Następnego dnia około południa w Rivie zjawił się Silk. Drobny Drasanin był odziany

w kosztowną tunikę z szarego aksamitu. Jak to miał ostatnio w zwyczaju, na palcach nosił mnóstwo mieniących się drogocennych pierścieni. Po krótkim powitaniu z przyjaciółmi odszedł na bok, by odbyć prywatną rozmowę z Javelinem.

Gdy tego popołudnia Belgarath wkroczył do komnaty rady, na jego twarzy widniał zadowolony uśmiešek. Czarodziej trzymał w dłoni list króla Anhega.

- Co się stało, ojcze? - spytała z ciekawością Polgara. - Wyglądasz jak kot w składzie z rybami.

- Zawsze się cieszę, kiedy rozwiążę zagadkę, Pol. - Odwrócił się do reszty zebranych. - Okazuje się, że Anheg rzeczywiście napisał ten list.

Król Anheg zerwał się na nogi z wykrzywioną oburzeniem twarzą. Belgarath uniósł dłoń.

- Ale - ciągnął - nie napisał bynajmniej tego, co głosi ów list. - Położył na stole pergamin. - Sami zobaczcie - poprosił.

Gdy Garion spojrział na list, wyraźnie dostrzegł czerwone litery ukryte pod tekstem, który pośrednio obciążał Anhega odpowiedzialnością za śmierć Branda.

- Co to jest, Belgaracie? - spytał król Fulrach.

- List do jarla Maelrogu - wyjaśnił starzec. - Dotyczy decyzji Anhega w sprawie podniesienia podatków od połowu śledzi.

- Napisałem tamten list cztery lata temu - oznajmił Anheg. Jego oblicze zdradzało, że jest kompletnie zagubiony.

- Właśnie - odparł Belgarath. - A jeśli pamięć mnie nie myli, jarl Maelrogu zmarł zeszłej wiosny, prawda?

- Owszem - odrzekł Anheg. - Byłem na jego pogrzebie.

- Wygląda więc na to, że po jego śmierci ktoś dostał się do dokumentów i wykradł ten list. Następnie zadał sobie trud, by wywabić pierwotną treść - oczywiście poza podpisem - i napisać list polecający dla tej tak zwanej delegacji handlowej.

- Czemu nie widzieliśmy tego wcześniej? - chciał wiedzieć Barak.

- Musiałem trochę nad nim popracować - przyznał Belgarath.

- Czarami?

- Nie. W istocie użyłem roztworu pewnych soli. Czary mogłyby wywołać poprzedni tekst, lecz najprawdopodobniej wymazałyby nowy, a może się okazać, że będziemy potrzebować dowodu.

Twarz Baraka zdradziła lekkie rozczarowanie.

- Czary nie są jedynym sposobem, by do czegoś dojść, Baraku.

- Jak to odkryłeś? - spytał Garion. - Skąd wiedziałeś, że list miał przedtem inną treść?

- Środek, którego użyto, pozostawia delikatny zapach na papierze. - Czarodziej skrzywił się cierpko. - Dopiero dziś rano uświadomiłem sobie w końcu, co czuję. - Odwrócił się do Anhega. - Przykro mi, że oczyszczenie cię z podejrzeń zabrało mi tak wiele czasu.

- W porządku, Belgaracie - odparł wielkodusznie Anheg. - Dzięki temu miałem okazję przekonać się, kto jest naprawdę moim przyjacielem.

Kail wstał nagle, na jego twarzy walczyły sprzeczne uczucia. Podszedł do Anhega i uklęknął na jedno kolano.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość - powiedział z prostotą. - Przyznaję, panie, że cię podejrzewałem.

- Oczywiście, że ci wybaczam. - Anheg roześmiał się nagle. - Na zęby Belara! Kiedy przeczytałem ten list, sam zacząłem siebie podejrzewać. Wstań, młodzieńcze. Zawsze stój z uniesioną głową - nawet jeśli popełnisz błąd.

- Kailu - powiedział Garion - czy mógłbyś dopilnować, aby informacja o tym odkryciu dotarła do wszystkich? Każ ludziom w mieście, aby przestali ostrzyć miecze.

- Natychmiast się tym zajmę, Wasza Wysokość.

- Nadal jednak pozostaje nie rozwiązana zagadka - zauważył hrabia Seline. - Wiemy, że Anheg nie stał za tym zamachem, ale czyja to sprawa?

- Mamy już punkt zaczepienia - oznajmił Lelldorin. - Dysponujemy listą ludzi, którzy mogliby mieć powody, by nienawidzić Branda.

- Wydaje mi się, że to fałszywy trop - nie zgodziła się królowa Porenn. - Morderstwo Strażnika Rivy to jedno, ale próba zrzucenia odpowiedzialności na Anhega to już zupełnie inna sprawa.

- Niezupełnie cię rozumiem, Porenn - przyznał Anheg.

- Gdybyś miał bardzo bliskiego przyjaciela - masz przecież kilku przyjaciół, prawda, mój drogi? - i gdyby ten przyjaciel sprawował wysokie stanowisko w twoim rządzie, a król innego państwa rozkazałby go zabić, co byś zrobił?

- Moje okręty wojenne wyruszyłyby z następnym przypływem.

- Właśnie. Morderstwo Branda niekoniecznie musi być spowodowane czyjąś urazą. To może być próba wywołania wojny między Rivą i Cherekiem.

Anheg zamrugnął ze zdumienia.

- Porenn, jesteś niezwykłą kobietą.

- Dziękuję ci, Anhegu.

Drzwi komnaty otworzyły się i do środka weszli Javelin i Silk.

- Nasz niezrównany książę Kheldar ma dla nas niezmiernie ciekawe wieści - oznajmił Javelin.

Silk wystąpił naprzód i uklonił się zamaszyście.

- Wasze Królewskie Moście - zaczął. - Drodzy przyjaciele. Nie mogę z całą pewnością stwierdzić, jak dalece sprawa ta wiąże się z tematem waszej obecnej rozmowy, sądzę jednak, iż powinniście o niej usłyszeć.

- Czy zauważyłeś, jak pewni ludzie nadymają się, gdy tylko nieco dopisze im szczęście? - spytał Barak Hettara.

- Owszem - zgodził się łagodnie Algar. Silk posłał przyjaciółom szybki uśmiech.

- W każdym razie - ciągnął swobodnym tonem - ostatnich kilka miesięcy spędziłem w Rheonie, na wschodniej granicy kochanej starej Drasni. Ciekawe miasto ten Rheon. Bardzo malownicze - szczególnie odkąd podwojono wysokość jego murów.

- Kheldarze - odezwała się królowa Porenn, niecierpliwie stukając palcami o poręcz krzesła - masz chyba zamiar kiedyś wreszcie przejść do sedna sprawy?

- Ależ oczywiście, najdroższa cioteczko - odparł z przekąsem. - Rheon zawsze był dobrze ufortyfikowany, głównie z powodu sąsiedztwa granicy z Nadrakiem. Poza tym zamieszkują go ludzie tak konserwatywni, że większość z nich wciąż niechętnie odnosi się do używania ognia. To naturalny żyzny grunt dla kultu Niedźwiedzia. Po zamachu na życie Ce'Nedry zeszłego lata trafiłem tam, aby nieco powęszyc.

- Celne określenie - skomentował Barak.

- Przechodzę właśnie okres szczerości. - Silk wzruszył ramionami. - Cieszcie się nim, póki możecie, bo zbyt otwartość zaczyna już mnie nudzić. Wygląda na to, że kult Niedźwiedzia ma nowego przywódcę - mężczyznę imieniem Ulfgar. Po tym, jak Grodeg zarobił cios murgoskim toporem w plecy pod Thull Mardu, wyznawcy kultu poszli w rozsypkę. I nagle znikąd pojawił się Ulfgar, by zebrać ich do kupy. Ten człowiek potrafiłby przekonać rybę, by zamieszkała na pustyni. W przeszłości przywództwo kultu zawsze skupiało się w rękach kapłanów i zawsze jego ośrodek stanowił Cherek.

- Powiedz mi coś, o czym nie wiem - powiedział kwaśno Anheg.

- Z tego, co mi wiadomo, Ulfgar nie jest kapłanem Belara - ciągnął Silk - a jego ośrodek władzy mieści się w Rheonie.

- Kheldarze, proszę, do rzeczy - wtrąciła Porenn.

- Właśnie do tego dochodzę, Wasza Wysokość - zapewnił ją. - Przez kilka ostatnich miesięcy nasz przyjaciel Ulfgar dyskretnie zwoływał swe hordy. Wyznawcy kultu napływają z Algarii i całej Drasni do Rheonu. Miasto dosłownie pęka w szwach, przepełnione zbrojny-

mi. Oceniam, że obecnie Ulfgar zgromadził w Rheonie siły co najmniej równe całej drasańskiej armii. - Spojrzał na młodego króla Khewę. - Przykro mi, kuzynie, ale wygląda na to, że w tej chwili dysponujesz dopiero drugą co do wielkości armią w Drasni.

- Jeśli będzie trzeba, szybko to naprawię, kuzynie - odparł stanowczo Kheva.

- Wspaniale wychowujesz tego chłopca, cioteczko - pogratulował Porenn Silk.

- Kheldarze - odrzekła kwaśno królowa - czy muszę kazać łamać cię kołem, by wyciągnąć z ciebie całą historię?

- Ależ najdroższa cioteczko, cóż za szokująca propozycja, ów tajemniczy Ulfgar wskrzesił pewne starożytne rytuały i obrzędy - między innymi nieusuwalne piętno, wyróżniające wszystkie bratnie dusze - jeśli to tak można określić. Z jego rozkazu każdy wyznawca kultu w Alorii ma na prawej stopie wypalony charakterystyczny znak. Istnieje spora szansa, że każda ujrzana osoba, kulejąca na prawą nogę, to nowo nawrócony wyznawca kultu Niedźwiedzia.

Barak skrzywił się.

- To musi naprawdę boleć.

- Noszą je z dumą - odparł Silk. - Przynajmniej, kiedy już się zagoi.

- Jak wygląda to piętno? - chciał wiedzieć Cho-Hag.

- To uproszczony symbol niedźwiedziej łapy - wyjaśnił Drasanin. - Przypomina literę U z kilkoma kreskami na górze, mającymi przedstawiać pazury.

- Gdy tylko Kheldar powiedział mi o tym - podjął Javelin - złożyliśmy krótką wizytę nieprzytomnemu zabójcy. Na jego prawej stopie wypalono owo piętno.

- Więc teraz już wiemy - stwierdził Hettar.

- Istotnie - przytaknął Belgarath.

- Wszelako... - wtrącił Mandorallen. Jego twarz zdradzała zakłopotanie. - Zawsze mówiono mi, iż głównym celem owego dziwnego wyznania jest ponowne zjednoczenie Alorii, tego kolosalnego imperium północy, niegdyś kwitnącego pod rządami króla Chereka o Niedźwiedzich Barach, najpotężniejszego władcy starożytności.

- Całkiem możliwe, że nadal do tego dążą - odrzekł Belgarath. - Gdyby ten Ulfgar zdołał doprowadzić do wojny między Cherekiem i Riwą, byłby zapewne w stanie zdobyć Drasnię, a może i Algarię. Podczas gdy Anheg i Garion próbowaliby unicestwić się nawzajem, z łatwością zdołałyby podbić również ich królestwa.

- Szczególnie z pomocą floty, którą jego ludzie budują w Jarviksholmie - uzupełnił Anheg.

- Jego strategia wydaje się bardzo prosta, a zarazem jest niezwykle złożona - dodał z

namysłem generała Brendig. - Był już bliski sukcesu.

- Zbyt bliski - stwierdziła Polgara. - Co z tym zrobimy, ojczy?

- Sądzę, że trzeba będzie podjąć jakieś kroki - odparł Belgarath. - Ów Ulfgar nadal chce zjednoczyć Alorię pod swoją władzą jako następcy Chereka o Niedźwiedzich Barach. Przez trzy tysiąclecia kult działał skrycie. Teraz najwyraźniej szykują się do otwartej wojny.

Oblicze Gariona stężało.

- Cóż - powiedział - jeśli szukają wojny, to przybyli we właściwe miejsce.

- Chętnie za to wypiję - przytaknął Anheg. Zastanowił się przez chwilę. - Jeśli interesuje cię moja opinia, proponowałbym, by przed atakiem na Rheon zniszczyć Jaroksholm. Nie chcemy przecież, by wyznawcy kultu z Chereku zaszli nas od tyłu na mokradłach wschodniej Drasni, a już z pewnością nie życzymy sobie ich floty na Morzu Wiatrów. Jeśli choć połowa z tego, co mówił Gredlik, okaże się prawdą, to będziemy musieli spalić ich doki, zanim zdołają spuścić okręty na wodę. Inaczej mógłbyś przeprowadzić niezwykle skuteczny atak na Rheon, Garionie, a po powrocie zastać wrogie siły okupujące Rivę.

Garion rozważył jego słowa.

- Masz rację. Najpierw wyruszymy do Jaroksholmu. Potem odwiedzimy Rheon i utniemy sobie małą pogawędkę z tym Ulfgarem. Naprawdę chciałbym zobaczyć jegomościa, który uważa, że jest dość potężny, by zająć miejsce Chereka o Niedźwiedzich Barach.

ROZDZIAŁ 19

- Przykro mi, Kailu - powiedział Garion do przyjaciela, gdy siedzieli razem w królewskim gabinecie, zalanym blaskiem porannego słońca - ale musisz wraz z braćmi pozostać w Rivie. Zabieram ze sobą prawie całą armię, więc ktoś musi być na miejscu, by zorganizować obronę miasta w razie, gdyby jakieś statki tych fanatyków nam się wymknęły. Twarz Kaila wykrzywił gniew.

- To nie jest prawdziwy powód, prawda? - spytał oskarżycielsko.

- Nie jedyny - przyznał Garion. - Wiem, jak kochaliście swojego ojca i jak bardzo pragniecie zemścić się na ludziach, odpowiedzialnych za jego śmierć.

- To chyba naturalne?

- Oczywiście, ale podobne uczucia często ograniczają jasność myślenia. Sprawiają, że zaczynasz działać pochopnie i sam wystawiasz się na niebezpieczeństwo. Wasza rodzina przelała już dość krwi - najpierw twój brat Olban, potem Arell i wreszcie twój ojciec - więc nie zamierzam ryzykować.

Kail wstał. Jego oblicze poczerwieniało z powstrzymanego gniewu.

- Czy Wasza Wysokość ma jeszcze dla mnie jakieś rozkazy? - spytał oschle.

Garion westchnął.

- Nie, Kailu. Nie w tej chwili. Wiesz, co masz robić.

- Tak, Wasza Wysokość. - Kail uklonił się sztywno, odwrócił się i opuścił komnatę.

Drugimi drzwiami do gabinetu wszedł Belgarath.

- Nie był zachwycony - stwierdził Garion.

- Tak podejrzewałem. - Stary czarodziej wzruszył ramionami, drapiąc się po zarosniętym policzku. - Ale jest dla nas zbyt ważny tutaj, byśmy mieli narażać jego życie. Przez jakiś czas powścieka się, ale w końcu mu przejdzie.

- Czy ciocia Pol też zostaje? Belgarath skrzywił się.

- Nie. Uparła się, żeby jechać. Przynajmniej pozostałe panie mają dość rozsądku, by pojąć, że pole bitwy to nieodpowiednie miejsce dla kobiet. Myślę, że powinniśmy też zostawić tu Podarka. Ten młodzieniec zupełnie nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, a to niedobra cecha, gdy dochodzi do walki. Lepiej się zbieraj. Właśnie zaczyna się odpływ i jesteśmy już niemal gotowi do drogi.

Gdy tego słonecznego poranka "Rybitwa" opuściła przystań, prowadząc za sobą flo-

tyllę mocnych rivańskich statków, Garion i jego towarzysze zebrali się w przestronnej, nisko sklepionej kabinie, nachylając się nad mapami i omawiając strategię działania.

- Fiord prowadzący do Jarviksholmu jest wyjątkowo wąski - zawiadomił ich Anheg - i pokrętny bardziej niż tolnedrański traktat handlowy. Będziemy zmuszeni posuwać się bardzo wolno.

- A wtedy katapulty ustawione nad urwiskiem zatopią połowę floty - dodał ponuro Barak.

- Czy istnieje sposób, żeby podkraść się do miasta od tyłu? - spytał Hettar.

- Jest droga, prowadząca z Halbergu - odparł Barak - ale jakieś pięćdziesiąt staj na południe od miasta przekracza kilka przełęczy. To idealne miejsca na zasadzkę.

Generał Brendig uważnie studiował mapę.

- Jaki jest w tym miejscu teren? - spytał, wskazując punkt po południowej stronie ujścia fiordu.

- Nierówny - stwierdził Barak - i stromy.

- Ten opis pasuje do prawie całego Chereku - zauważył Silk.

- Czy da się go przebyć? - nalegał Brendig.

- Och, można się tam wspiąć, ale byłbyś dokładnie na widoku obsługi katapult. Zanim dotarłbyś na górę, czekałaby na ciebie cała armia.

- Nie, jeśli zrobiłbym to nocą - odrzekł generał.

- Nocą? - prychnął olbrzym. - Brendigu, czy naprawdę chcesz zacząć uprawiać nocną wspinaczkę? W twoim wieku?

Brendig wzruszył ramionami.

- Jeśli to jedyny sposób, żeby tam dotrzeć. Mandorallen także oglądał mapę.

- Rzeknij, mój panie - powiedział, zwracając się do Baraka - czy północne zbocze również swą łagodnością dopuszcza wejście na szczyt?

Barak potrząsnął głową.

- To pionowa ściana.

- Zatem musimy odszukać inny sposób na wyeliminowanie katapult po tej stronie. Rycerz zastanawiał się przez chwilę, po czym stwierdził z uśmiechem: - Dysponujemy środkami, aby tego dokonać.

- Ciekaw jestem, co masz na myśli - wtrącił król Fulrach.

- To najprostsze możliwe rozwiązanie, Wasza Wysokość. - Mandorallen uśmiechnął się promiennie. - Wciągnięcie machin oblężniczych na południowe zbocze byłoby trudne - szczególnie w ciemnościach. Zresztą to zupełnie niezbędne, zważywszy, iż wszystko, czego po-

trzeba do zniszczenia wyrzutni z północnego urwiska, jest już na miejscu.

- Niezupełnie pojmuję, o co ci chodzi - przyznał Garion.

- A ja tak - stwierdził Hettar. - Musimy jedynie wspiąć się nocą na południowe urwisko, zdobyć katapulty i zacząć bombardować wyrzutnie po drugiej stronie fiordu.

- A kiedy już odwrócicie ich uwagę, ja wpłynę do środka, wyślę flotyllę branderów i spalę ich doki - dodał Anheg.

- Ale w ten sposób miasto pozostanie nietknięte - zauważył powątpiewająco Fulrach.

Garion wstał i zaczął przechadzać się po kajucie, pogrążony w myślach.

- Kiedy już zaczniemy przetrzucać kamienie nad fiordem, a łodzie Anhega ruszą w stronę stoczni, zapewne przyciągnie to uwagę sporej części mieszkańców miasta, nie sądzić cie?

- Rzekłbym, że to niemal gwarantowane - odparł Brendig.

- Czy zatem nie byłby to idealny moment, by zaatakować miasto z lądu? Wszyscy obrońcy zgromadzą się na murach od strony portu, pozostawiając na tyłach zaledwie kilka posterunków. Jeśli uderzymy dostatecznie szybko, możemy znaleźć się w środku, nim większość mieszkańców dostrzeże nasze przybycie.

- Doskonale, Belgarionie - mruknął król Cho-Hag.

- Trzeba to jednak dokładnie zgrać w czasie - zauważył z namysłem Barak. - Musimy opracować metodę przekazywania wieści.

- To żaden problem, Baraku - poinformowała go ciocia Pol. - Zajmiemy się tym.

- Wiecie - stwierdził Anheg - sądzę, że to może zadziałać. Jeśli dopisze nam szczęście, zdobędziemy Jarviksholm w ciągu jednego dnia.

- Nigdy nie przepadałem za długimi oblężeniami - stwierdził Silk, starannie polerując jeden ze swoich pierścieni.

W dwa dni później natknęli się na cherecką flotę, która zarzuciła kotwice naprzeciw cieśnin Halbergu, wąskiego przejścia pomiędzy skupiskiem niewielkich, skalistych wysepek, wyrastających z wód w pobliżu zachodniej części półwyspu Chereku. Wysepki porośnięte były karłowatymi drzewami, odcinającymi się zielenią na białym tle pokrytych śniegiem gór w głębi lądu. Garion stał przy relingu, chłonąc wzrokiem piękno tych dzikich wybrzeży. Odgłos lekkich kroków za plecami i znajoma woń perfum uprzedziły go o nadejściu cioci Pol.

- Ślicznie tu, prawda? - powiedziała.

- Oszałamiająco - zgodził się.

- Zawsze tak jest. Dziwnym trafem za każdym razem, gdy zmierzasz ku czemuś paskudnemu, natrafiasz nagle na przebłycki piękna. - Spojrzała na niego poważnie. - Będiesz

ostrożny w Jarviksholmie, prawda?

- Zawsze jestem ostrożny, ciociu Pol.

- Naprawdę? Wydaje mi się, że pamiętam parę incydentów z niedawnej przeszłości...

- Byłem wtedy dzieckiem.

- Obawiam się, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. - Niespodziewanie objęła go za szyję i westchnęła. - Och, mój Garionie. Brakowało mi tego przez ostatnie lata, wiesz?

- Mnie też, ciociu Pol. Czasami chciałbym... - nie dokończył zdania.

- Żebyśmy nigdy nie opuszczali farmy Faldora?

- To wcale nie było takie złe miejsce.

- Nie. Było doskonałe - dla dziecka. Ale teraz jesteś już dorosły. Czy naprawdę chciałbyś tam zostać? Życie u Faldora było spokojne i ciche.

- Gdybyśmy nie wyjechali, nigdy nie poznałbym innego życia.

- Ale wtedy nie spotkałbyś Ce'Nedry.

- Chyba o tym nie pomyślałem.

- Zejdzmy pod pokład, dobrze? - zaproponowała. - Ten wiatr jest dość przenikliwy.

W wąskim przejściu prowadzącym do głównej kajuty natknęli się na króla Anhega i Baraka.

- Baraku - mówił kwaśno Anheg - jesteś gorszy niż stara baba.

- Nie interesuje mnie twoja opinia - warknął rudobrody Cherek. - Nie wprowadzisz "Rybitwy" do fiordu, póki nie unieszkodlicie wszystkich katapult. Nie po to wydałem na nią kupę pieniędzy, żeby teraz ktoś obrzucał ją kamieniami. To mój statek, to ja dyktuję zasady.

Zbliżył się do nich Javelin.

- Czy coś się stało, panowie? - spytał.

- Właśnie ustalałem parę rzeczy z Anhegiem - wyjaśnił Barak. - Podczas mojej nieobecności będzie dowodził moim statkiem.

- Wybiera się pan gdzieś, jarlu?

- Zamierzam towarzyszyć Garionowi podczas ataku na miasto.

- Jak pan uważa. Czy sądzi pan, że dotarcie do ujścia fiordu zabierze nam dużo czasu?

Barak szarpnął swą bujną rudą brodę.

- Rivańskie stateczki wiozące wojska Gariona nie są tak szybkie jak nasze okręty - rzekł z namysłem. - Powiedziałbym, że potrwa to jakieś półtora dnia. Zgadzasz się ze mną, Anhegu?

- Coś koło tego.

- To oznaczałoby jutrzejszy wieczór, tak? - uściślił Javelin.

- Owszem - odparł Barak. - I wtedy zacznie się zabawa.

Ciocia Pol westchnęła.

- Ach, ci Alornowie!

Po kilku naradach, polegających na przerzucaniu się okrzykami ze statku na statek, połączone floty skręciły ostro z coraz silniejszym wiatrem, kierując się na północ, wzdłuż poszarpanego zachodniego brzegu półwyspu Chereku w stronę Jarviksholmu.

Następnego ranka Garion wyszedł na pokład w towarzystwie Baraka i Hettara, aby obejrzeć, jak słońce wylania się spoza lesistych, zaśnieżonych szczytów Chereku. Zalegające w dolinach cienie miały barwę mglistego błękitu, promienie słońca skrzyły się na falach.

Odziany w kolczugę cherecki wojownik, w sposób ostentacyjny zajęty zwijaniem liny, porzucił nagle swe zajęcie i pchnął sztyletem w odsłonięte plecy stojącego przy relingu Gariona.

Atak mógłby okazać się śmiertelny, gdyby nie błyskawiczna reakcja Durnika. Garion odwrócił się na czas, by dostrzec odlatujący w powietrzu nóż. W tym samym momencie usłyszał zdumiony okrzyk i głośny plusk. Obrócił się na pięcie i ujrzał rozpaczliwie szukającą uchwytu dłoń, która zniknęła pod wodą jakieś piętnaście sążni od bakburty. Spojrzał pytająco na Polgarę, ta jednak pokręciła głową.

- Zapomniałem o kolczudze - stwierdził przeproszającym tonem Durnik. - Trudno chyba pływać w czymś takim, prawda?

- Nie "chyba" - zapewnił go Barak.

- Przypuszczam, że wolelibyście go przesłuchać. Mogę go wyłować, jeśli chcecie.

- Jak sądzisz, Hettarze? - rzucił Barak.

Hettar zastanawiał się przez chwilę, obserwując strumień bąbelków, wypływających na powierzchnię.

- To chereckie wody, prawda?

Barak przytaknął.

- Zatem myślę, że powinniśmy zwrócić się do króla Anhega i zasięgnąć jego opinii.

- Anheg jeszcze śpi. - Barak również nie spuszczał wzroku z pęcherzyków powietrza.

- Nie warto go budzić - zdecydował Hettar. - Ostatnio ma wiele na głowie i potrzebuje mu wypoczynku. - Wysoki Algar zwrócił się do Durnika, zachowując kamienną twarz. - Powiem ci, co zrobimy. Gdy tylko król Anheg wstanie, przedstawimy mu tę sprawę.

- Czy translokowałeś już coś kiedyś, Durniku? - spytała męża Polgara.

- Nie, nigdy. Oczywiście, wiedziałem, jak się to robi, ale dotąd nie miałem okazji, by

spróbować samemu. Obawiam się, że odrzuciłem go nieco dalej, niż zamierzałem.

- To tylko kwestia praktyki, kochanie - zapewniła go, po czym odwróciła się do Gariona. - Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku, ciociu Pol. Nawet się do mnie nie zbliżył - dzięki Durnikowi.

- Zawsze dobrze jest mieć go w pobliżu - stwierdziła, obdarzając męża ciepłym uśmiechem.

- Skąd pochodził ten człowiek? - spytał Hettar.

- Wyobraź sobie, że z Val Alom. Zawsze wyglądał na porządnego gościa. Robił, co do niego należało, i nie gadał zbyt wiele. Nigdy nie podejrzewałem go o fanatyzm religijny.

- Może nadszedł czas, aby obejrzeć wszystkim stopy - zasugerował Hettar.

Barak spojrział na niego nic nie pojmującym wzrokiem.

- Jeśli Silk ma rację, wszyscy wyznawcy kultu Niedźwiedzia mają na podeszwach prawej stopy piętno. Przypuszczam, że na dłuższą metę łatwiej będzie to sprawdzić, niż pozwolić, by Garion nadstawiał pleców wszystkim ostrzom na pokładzie statku.

- Może i masz rację - zgodził się Barak.

O zachodzie słońca dotarli do szerokiego ujścia krętego fiordu, prowadzącego do Jaraksholmu.

- Czy nie powinniśmy byli zaczekać, nim zapadnie ciemność, zanim się zbliżyliśmy? - spytał Garion, stojący wraz z innymi królami na pokładzie dziobowym "Rybitwy".

Anheg wzruszył ramionami.

- Wiedzieli, że nadpływamy. Obserwują nas od chwili, gdy opuściliśmy cieśniny Halbergu. Poza tym, ponieważ tu jesteśmy, obsługa katapult skupi się na śledzeniu okrętów. To może ułatwić wam z Brendigiem dotarcie na ich tyły, kiedy nadejdzie czas.

- To chyba ma sens.

Barak zbliżył się do nich, prowadząc jednorękiego generała Brendiga.

- Ostatecznie ustaliliśmy, że powinniśmy zacząć około północy - stwierdził. - Grupa Gariona wyruszy pierwsza i okrąży miasto, póki nie znajdzie się na tyłach. Potem podąży za nami Brendig i wraz ze swymi ludźmi zacznie zdobywać katapulty. Gdy tylko trochę się rozjaśni, rozpocznie bombardowanie drugiej strony fiordu.

- Czy zapewni to Galionowi dość czasu, by mógł zająć pozycję do ataku? - zapytał Fulrach.

- Powinno wystarczyć, Wasza Wysokość - uspokoił go Brendig. - Lord Barak twierdzi, że kiedy już znajdziemy się na szczycie, napotkamy dość płaski teren.

- Rosną tam też drzewa - uzupełnił Barak. - Powinny zapewnić wystarczające ukrycie.

- Jaką odległość na otwartej przestrzeni będziemy musieli pokonać, ruszając do ataku?
- chciał wiedzieć Garion.

- Jakieś dwieście pięćdziesiąt sążni.

- Spory kawałek.

- Mniej więcej tyle mogę jeszcze pokonać biegiem.

Zmierzch zapadał powoli nad spokojnymi wodami fiordu, malując fioletem strome urwiska po obu stronach ujścia. Garion wykorzystał resztkę światła, aby obejrzeć każdy cal skały, na którą jego ludzie będą wdrapywać się za parę godzin. Kątem oka pochwycił ruch w górze. Uniósł wzrok dość szybko, by dostrzec biały kształt, szybujący niczym zjawa w nieruchomym, mrocznym powietrzu. Jedno białe piórko opadło powoli na pokład. Hettar podniósł je z powagą.

W chwilę później ciocia Pol, opatulona w niebieski płaszcz, zeszła pod pokład i dołączyła do nich.

- Musicie zachować szczególną ostrożność, gdy zbliżycie się do doków - uprzedziła Anhega, który stał nie opodal. - Przenieśli część katapult na plażę, żeby was tam nie dopuścić.

- Spodziewałem się tego - odparł, obojętnie wzruszając ramionami.

- Lepiej jej posłuchaj, Anhegu - powiedział groźnym tonem Barak - ponieważ jeśli przez ciebie zatopią mi statek, wyrwę ci brodę, włos po włosku.

- Cóż za oryginalny sposób zwracania się do swego króla - mruknął Silk do Javelina.

- Jak wygląda obrona tyłów miasta? - spytał Garion Polgarę.

- Mury są wysokie - odparła - a brama wygląda imponująco. Nie ma jednak zbyt wielu ludzi.

- Świetnie.

Hettar w milczeniu podał jej piórko.

- Ależ dziękuję ci. Brakowałoby mi go.

Zbocze, którym podchodziło się na skalisty płaskowyż, było jeszcze bardziej strome, niż wskazywały obserwacje Gariona. Odłamki zwietrzałej skały, niemal niewidoczne w ciemnościach, usuwały się zdradziecko pod nogami, a sztywne gałęzie karłowatych krzewów, porastających cały teren, zdawały się z rozmysłem napierać na jego twarz i pierś, kiedy wspinał się w górę. Kolczuga ciążyła mu nieznośnie i wkrótce poczuł, że sływa po nim pot.

- Ciężka przeprawa - zauważył lakonicznie Hettar. Gdy wreszcie pokonali to nieprzystępne zbocze, na niebo wpłynął srebrzysty księżyc. Dotarłszy na szczyt przekonali się, iż porasta go gęsty las jodłowoświerkowy.

- To może potrwać nieco dłużej, niż sądziłem - wymamrotał Barak, mierząc wzrokiem

gęste poszycie.

Garion przystanął, aby złapać oddech.

- Zatrzymajmy się na chwilę - zaproponował. Rzucił posępne spojrzenie na zagrażający im drogę las. - Jeżeli wszyscy zaczniemy się tędy przedzierać, zaalarmujemy obsługę katapult - powiedział. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli wyślemy paru zwiadowców, aby poszukali jakiejś ścieżki czy przejścia.

- Daj mi chwilę - odparł Silk.

- Weź paru ludzi.

- Tylko mnie opóźnią. Niedługo wrócę. - Drobnym Drasanin zniknął między drzewami.

- On nigdy się nie zmieni - mruknął Hettar. Barak zaśmiał się krótko.

- Naprawdę sądziłeś, że mógłby?

- Jak wiele czasu, wedle waszego mniemania, pozostało do świtu, mój panie? - zapytał Mandorallen, zwracając się do potężnego Chereka.

- Dwie, może trzy godziny.

Wspinaczka trochę trwała. Lelldorin, z lukiem przewieszonym przez plecy, dołączył do nich na skraju lasu.

- Generał Brendig już wyruszył - zameldował.

- Ciekawe, jak sobie poradzi z jedną ręką - zastanowił się Barak.

- Nie sądzę, żebyś musiał martwić się o Brendiga - odrzekł Hettar. - Generał zazwyczaj osiąga to, co postanowił.

- To porządny człowiek - zgodził się Barak.

Czekali w mroku ciepłej, letniej nocy, podczas gdy księżyc żeglował wolno po wschodnim niebie. Garion słyszał dochodzące z dołu okrzyki ludzi Anhega i skrzyp kołowrotów. To marynarze starali się zagłuszyć wszelkie przypadkowe odgłosy, jakie mogłyby towarzyszyć wspinaczce ludzi Brendiga po porośniętym krzewami zboczu. Wreszcie powrócił Silk, wyłaniając się bezszelestnie spośród zarośli.

- Jakieś ćwierć mili na południe od tego miejsca jest droga - zawiadomił ich cicho. - Wygląda na to, że zmierza w stronę Jarviksholmu.

- Doskonale - ucieszył się Mandorallen. - Ruszajmy zatem, panowie. Oczekuje nas całe miasto.

- Mam nadzieję, że nie - odparł Garion. - Chodzi przecież o to, żeby ich zaskoczyć.

Znaleziona przez Silka wąska droga okazała się ścieżką drwali, prowadzącą zakosami mniej więcej na wschód, w głąb lasu. Garion słyszał za plecami brzęk koleczugi i miarowy szelest kroków żołnierzy, przemierzających skryty w głębokim cieniu mijającej nocy las. W kie-

rowaniu ruchami tej masy ludzi bez twarzy, wędrujących w ciemnościach, kryła się nieubłagana celowość. Odkąd opuścili okręt, czuł, jak narasta w nim podniecenie i napięcie. Z tak wielką niecierpliwością oczekiwał rozpoczęcia ataku, że z trudem powstrzymywał chęć, by ruszyć biegiem.

Dotarli w końcu do rozległego otwartego terenu. Na dalekim krańcu pola biała wstęga szerokiego gościńca przecinała posrebrzone promieniami księżyca pastwiska, kierując się na północ.

- To trakt z Halbergu - wyjaśnił Barak. - Jesteśmy prawie na miejscu.

- Lepiej sprawdzę, co słychać u Brendiga - stwierdził Garion. Ostrożnie sięgnął myślą, muskając umysły zebranych wokół żołnierzy, w poszukiwaniu znajomego dotknięcia myśli Durnika.

- Durniku - odezwał się bezgłośnie - słyszysz mnie?

- Garion? - dotarły do niego myśli kowala.

- To ja. Czy przechwyciliście już wszystkie katapulty?

- Został nam jeszcze jakiś tuzin. Brendig porusza się powoli, żeby uniknąć zbędnego hałasu.

- Czy będziecie mieli wszystkie, zanim zacznie świtać?

- Jestem pewien, że tak.

- Znakomicie. Zawiadom mnie, kiedy zdobędziecie ostatnią.

- Dobrze.

- Jak im idzie? - spytał Lelldorin. W głosie młodego łucznika słychać było podniecenie.

- Będą gotowi na czas.

- Jak sadzisz, panie - zagadnął Baraka Mandorallen - czy to nie właściwa chwila, by wybrać parę solidnych drzew, które posłużą nam za tarany do wyważenia bram miasta?

- Ja zajmę się bramą - oznajmił stanowczo Garion. Barak spojrział na niego.

- To znaczy, że zamierzasz... - Machnął dłonią o grubych palcach.

Król Rivy skinął głową.

- To bardzo niestosowne - zaprotestował Cherek. Jego głos zdradzał dezaprobatę.

- Niestosowne?

- Istnieją pewne zasady postępowania. Bramy miast powinny być rozbijane taranami.

- Podczas gdy obrońcy oblewają atakującą armię wrzącą smołą?

- To część ryzyka - wyjaśnił Barak. - Bitwa bez odrobiny ryzyka to żadna zabawa.

Hettar roześmiał się cicho.

- Przykro mi, że postępuję wbrew tradycji - stwierdził Garion - ale nie zamierzam pozwolić, by bezsensownie zabijano mi ludzi tylko dlatego, że tak każe odwieczny zwyczaj.

Zwiewna mgła, błyszcząca w świetle księżyca, unosiła się nad rozległą łąką leżącą między skrajem lasu a wyniosłymi murami Jarviksholmu. Daleko na wschodzie pierwszy brzask rozjaśnił aksamitnie czarne niebo. Na szczycie potężnych umocnień miasta płonęły czerwone pochodnie; w ich blasku Garion ujrzał kilkunastu zbrojnych ludzi.

- Jak blisko musisz podejść do bramy? - wyszeptał Silk.

- Im bliżej, tym lepiej.

- W porządku. Będziemy więc musieli podejść kawałek. Ukryje nas mgła i wysoka trawa.

- Pójdę z wami - postanowił Barak. - Czy będzie dużo hałasu?

- Najprawdopodobniej - odparł Garion.

Wielki Cherek odwrócił się do Hettara i Mandorallena.

- To będzie sygnał dla was. Kiedy Garion otworzy bramę, atakujcie.

Hettar skinął głową.

Król Rivy odetchnął głęboko.

- W porządku - powiedział. - Idziemy. Pochylając się nisko, cała trójka zaczęła się skradać przez otwartą łąkę ku miastu. Gdy byli jakieś pięćdziesiąt sążni od bramy, ukryli się w trawie.

- Garionie - z kierunku, gdzie wstawał brzask, dobiegła go myśl Durnika. - Zdobyliśmy już wszystkie katapulty.

- Czy możesz dostrzec te na północnym urwisku?

- Jeszcze parę minut.

- Powiedz Brendigowi, żeby zaczynał, gdy tylko dojrzy ich stanowiska.

Czekali, a niebo na wschodzie rozjaśniało się nieprzerwanie. Nagle za miastem rozległ się szereg głuchych trzasków, po chwili zastąpionych łoskotem kamieni miażdżących drewniane belki oraz okrzykami zaskoczenia i bólu.

- Zaczęło się - doniósł Durnik.

- Garionie - do młodego króla dotarła myśl Polgary. - Czy zajęliście stanowiska?

- Tak, ciociu Pol.

- Ruszamy w głąb fiordu.

- Powiadomcie mnie, kiedy ujrzycie miasto.

- Uważaj, Garionie.

- Dobrze.

- Co się dzieje? - szepnął Barak, obserwując posterunki na murach.

- Zaczęli obrzucać kamieniami północne urwisko - odparł cicho Garion - a Anheg ruszył z całą flotą.

Barak zazgrzytał zębami.

- Mówiłem mu, żeby zaczekał, póki nie zniszczą wszystkich katapult.

- Nie martw się tak bardzo o swój statek - mruknął Silk. - Trudno dobrze wycelować katapultę, jeśli cały czas unika się spadających głazów.

- Komuś może dopisać szczęście.

Czekali w napięciu, podczas gdy światło dnia stawało się coraz jaśniejsze. Garion, mierząc wzrokiem solidną bramę, czuł unoszący się w powietrzu słony powiew morza i ciężką woń iglaków.

- Widzimy już miasto, Garionie - doniosła ciocia Pol. Zza murów dobiegły głośne okrzyki i Garion ujrzał, jak pełniący wartę zbrojni rzucają się biegiem ku położonym dalej dzielnicom miasta.

- Gotowi? - spytał szeptem obu przyjaciół.

- Zaczynamy - powiedział z napięciem Silk. Garion wstał i skupił się. Poczł coś niemal jak uderzenie fali powietrznej, gdy nagle skoncentrował swą wolę. Gromadzeniu ogromnej siły towarzyszyło dziwne mrowienie. Dostojnym gestem dobył miecza Żelaznopalcowego, który dotąd trzymał w pochwie, by ukryć zdradziecki błękitny blask. Klejnot zapłonął radośnie.

- No to zaczynamy - wycedził przez zaciśnięte zęby i skierował miecz w stronę bramy, mocnej i niewzruszonej, wznoszącej się jakieś pięćdziesiąt sążni od niego.

- Pękaj! - rozkazał i cała zgromadzona wola przepłynęła przez płonący miecz i wystrzeliła naprzód.

Rzecz jasna nie przewidział jednego, a mianowicie tego, że Klejnot będzie chciał mu pomóc. Moc, która uderzyła w bramę Jandksholmu, była, delikatnie mówiąc, przesadna. Drewniane belki zniknęły całkowicie, drzazgi zaś i odłamki nasmołowanej bramy odnajdywano później w odległości nawet pięciu mil od miasta. Mocarny kamienny mur, w którym osadzono bramę, także rozprysnął się na kawałki, i wiele z tych potężnych, ledwo ociosanych głazów pofrunęło niczym małe kamyczki, by runąć na przystań i wody fiordu. Większa część tylnych umocnień Jamksholmu zapadła się. Towarzyszący temu hałas był ogłuszający.

- Na Belara! - zaklął ze zdumieniem Barak, obserwując to straszliwe zniszczenie.

Przez moment zapadła pełna oszołomienia cisza, po czym z lasu dobiegł donośny krzyk, gdy Mandorallen i Hettar poprowadzili zmasowany atak Rivan i Chereków na miasto.

Nie była to ładna walka. Kult Niedźwiedzia przyciągał nie tylko wojowników. Zwabił też w swe szeregi starców, kobiety i dzieci. Zacięty fanatyzm owych ludzi sprawił, iż wkraczający do miasta żołnierze musieli często zabijać tych, którym w innych okolicznościach oszczędzono by życie. Po południu pozostały jedynie nieliczne grupki stawiających opór mieszkańców, skupione w północnej dzielnicy Jandksholmu. Większa część miasta płonęła.

Garion, którego smród dymu i okrutna rzeź przyprawiły o mdłości, wycofał się chwiejnym krokiem przez płonące ruiny i strzaskany mur, docierając na otwartą przestrzeń. Zmęczony i obolały, wędrował jakiś czas bez celu, póki nie natknął się na Silka, siedzącego wygodnie na wielkim kamieniu i obserwującego zagładę miasta.

- Czy już skończyliście? - spytał Drasanin.

- Prawie. W ich rękach pozostało już tylko parę budynków.

- Jak było?

- Nieprzyjemnie. Zginęło mnóstwo starców, kobiet i dzieci.

- To się zdarza.

- Czy Anheg powiedział, co zamierza zrobić z jeńcami? Sądzę, że wystarczy już trupów.

- Trudno orzec - stwierdził Silk. - Nasi chereccy kuzyni bywają czasem dość nieokrzesani. W ciągu następnych paru dni będą się prawdopodobnie działy różne rzeczy, których zapewne wołałbyś nie oglądać. Na przykład to. - Wskazał dłonią skraj lasu, gdzie zebrała się grupka Chereków, pracująca nad czymś zawzięcie. Wzniesiono długi pal i osadzono go w ziemi. Na jego szczycie umocowano poziomą belkę. Do belki przywiązany był człowiek.

- Nie! - wykrzyknął Garion.

- Na twoim miejscu nie wtrącałbym się, Garionie - ostrzegł Silk. - W tym kraju rządzi Anheg i może postępować ze zdrajcami i zbrodniarzami w sposób, jaki uzna za stosowny.

- Ale to barbarzyństwo!

- Łagodnie to ująłeś. Jak już jednak wspomniałem, w naturze Chereków leży pewne okrucieństwo.

- Czy nie powinniśmy jednak najpierw przesłuchać więźniów?

- Javelin się tym zajmie.

Garion wpatrywał się w tłumek żołnierzy, uwijających się w ostatnich, krwawych promieniach zachodzącego słońca.

- Przykro mi - stwierdził głosem zdławionym odrazą - ale tego już za wiele. Mam zamiar ich powstrzymać.

- Lepiej trzymaj się od tego z daleka.

- O nie - nie wówczas, kiedy zaczynają krzyżować kobiety!

- Co takiego? - Silk odwrócił się, by spojrzeć na żołnierzy. Nagle z jego twarzy odpłynęła cała krew i mały Drasanin zerwał się na nogi. Rzucił się biegiem przez łąkę, a Garion podążał mu tuż za plecami.

- Chyba kompletnie oszalałeś! - krzyknął wściekle do chudego jak szkielet szefa drańskiego wywiadu, siedzącego spokojnie przy topornym stole pośród oddziału Chereków.

- Co cię ugryzło, Kheldarze?

- Czy wiesz, kogo właśnie ukrzyżowaliście?

- Naturalnie. Sam ją przesłuchiwałem. - Jego palce poruszyły się od niechcenia, lecz Silk stał dokładnie przed stołem, zasłaniając Garionowi widok rąk dowódcy grupy.

- Zdejmijcie ją stamtąd! - warknął Silk, znacznie już mniej gniewnym głosem.

- Czemu nie zajmiesz się swoimi sprawami, Kheldarze? - zasugerował Javelin. - Resztę pozostaw mnie. - Odwrócił się do krzepkiego Chereka, który stał w pobliżu. - Książę Kheldar i Rivański Król już odchodzą - oznajmił chłodno. - Proszę, odprowadź ich. Myślę, że powinni się znaleźć co najmniej jakieś ćwierć mili stąd.

- Zabiję go - prychnął Silk, kiedy razem z Garionem wędrowali pod eskortą żołnierzy.

- Zabiję go gołymi rękami.

Gdy tylko jednak strażnicy doprowadzili ich we wskazane przez Javelina miejsce i zawrócili do swej ponurej pracy, mały człowieczek zdumiewająco szybko odzyskał spokój.

- O co w tym wszystkim chodziło? - chciał wiedzieć Garion.

- Dziewczyna, którą właśnie ukrzyżował, to jego siostrzenica Liselle - odparł spokojnie Silk.

- Żartujesz chyba!

- Znam ją, odkąd była dzieckiem. Obiecał, że później wszystko wyjaśni. Lepiej jednak, by jego argumenty były naprawdę mocne, bo inaczej poderżnę mu gardło. - Spod perłowszarej tuniki wy dobył długi sztylet i kciukiem sprawdził jego ostrze. Było już po zmroku, gdy Javelin ich odszukał.

- Och, odłóż to, Kheldarze - powiedział z niesmakiem, spoglądając na sztylet Silka.

- Za chwilę mogę go potrzebować - odparł mały Drasanin. - Zacznij mówić, Javelinie, i lepiej, żeby była to bardzo przekonująca opowieść, bo inaczej wypruję ci flaki.

- Wyglądasz na zdenerwowanego.

- Zauważyłeś? Co za spostrzegawczość.

- Miałem szczególny powód, by tak postąpić.

- Wspaniale. A ja myślałem, że to tylko rozrywka.

- Nie trzeba mi twojego sarkazmu, Silku. Do tej pory powinieneś się już nauczyć, że nigdy nie robię niczego bez przyczyny. Możesz przestać się niepokoić o Liselle. Najprawdopodobniej już została uwolniona.

- Uwolniona?

- Inaczej mówiąc, uciekła. W tych lasach ukryły się dziesiątki wyznawców kultu. Najwyraźniej popsuł ci się wzrok, skoro ich nie dostrzegłeś. W każdym razie do tej chwili wszyscy ukrzyżowani więźniowie zostali już uwolnieni i zmierzają do kryjówek w górach.

- O co ci dokładnie chodzi, Javelinie?

- To naprawdę bardzo proste. Od lat próbowaliśmy umieścić kogoś w wyższych kręgach kultu Niedźwiedzia. Teraz wyznawcy ocalili autentyczną bohaterkę - męczennicę sprawy. Liselle jest dość sprytna, by wykorzystując to wśliznąć się do elity.

- Po pierwsze, skąd się w ogóle tam wzięła? Javelin wzruszył ramionami.

- Założyła kolczugę, a ja przemyciłem ją na pokład statku Trollheima. Gdy walka niemal dobiegła końca, dyskretnie dołączyłem ją do innych więźniów.

- Czy inni uratowani nie odkryją, że nigdy nie była w mieście?

- Nie, Wasza Wysokość, nie przypuszczam. Będzie twierdziła, że pochodzi z północno-wschodniej dzielnicy Jarvikshoknu. Pozostali ukrzyżowani mieszkali w południowo-zachodniej części miasta. Jarviksholm jest dość spory. Nikt nie będzie mógł stwierdzić z całą pewnością, że nie była tam od początku.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś jej coś takiego - upierał się Silk.

- Długo mnie przekonywała. Musiała sporo się nagadać, nim mnie namówiła - przyznał Javelin.

Silk spojrział na niego ze zdumieniem.

- O tak. Nie domyśliłeś się tego? To był wyłącznie jej pomysł.

Nagle Garion usłyszał głuchy szmer, zbliżający się falą w jego stronę. W sekundę później dobiegł go głos Ce'Nedry.

- Garionie! - krzyczała z bólem. - Natychmiast wracaj! Ktoś porwał nasze dziecko!

ROZDZIAŁ 20

Polgara spojrzała krytycznie na Gariona, stojącego obok niej na rozległej łące, rozciągającej się ponad wciąż płonącym Jarviksholmem. Na niebie pierwszy brzask zaczynał już gasić gwiazdy.

- Masz za krótkie lotki - stwierdziła. Garion wydłużył pióra.

- O wiele lepiej - uznała. Następnie w jej oczach pojawiło się głębokie skupienie i czarodziejka również przybrała kształt sokoła. - Nigdy nie lubiłam tego sztywnego upierzenia - mruknęła, kłapiąc zakrzywionym dziobem. Jej złote oczy wpatrzyły się w Gariona. - Spróbuj zapamiętać wszystko, o czym ci mówiłam, kochanie. Podczas twojego pierwszego lotu nie wzbijemy się zbyt wysoko.

Rozpostarła skrzydła, przebiegła kilka kroków na swych szponiastych nogach i bez wysiłku uniosła się w powietrze. Garion próbował naśladować jej ruchy, ale zarył dziobem w trawę. Zawróciła ku niemu.

- Musisz użyć ogona, Galionie. Skrzydła dają napęd, ale ogon to twój ster. Spróbuj jeszcze raz.

W drugim podejściu powiodło mu się nieco lepiej. Przeleciał nawet ponad dwadzieścia sążni, zanim zderzył się z drzewem.

- Bardzo ładnie, kochanie. Postaraj się jednak patrzeć, dokąd lecisz.

Garion potrząsnął głową, próbując uwolnić się od dzwonienia w uszach. Przed oczami migwały mu iskierki.

- Przyglądź pióra, kochanie. Jeszcze raz.

- Miną miesiące, zanim się tego nauczę, ciociu. Czy nie byłoby szybciej, gdybyśmy popłynęli "Rybitwą"?

- Nie, kochanie - odparła stanowczo. - Potrzeba ci jedynie nieco praktyki.

Trzecia próba była już zupełnie udana. Zaczynał się orientować, w jaki sposób koordynować pracę skrzydeł i ogona, nadal jednak czuł się niezręcznie i bezradnie miotał się w powietrzu.

- Nie walcz z tym, Garionie. Daj się unieść. Kilkanaście razy okrążyli łąkę, rozjaśnioną bezcienistym blaskiem poranka. Garion, podążając za Polgarą po wznoszącej się w górę spirali, widział czarny dym, unoszący się nad miastem i wypalonymi dokami na wybrzeżu. W miarę jak wzrastała jego pewność siebie, ogarniał go zachwyty. Dotyk chłodnego porannego

powietrza, przepływającego między piórami, oszałamiał. Garion odkrył, że niemal bez wysiłku potrafi wznosić się coraz wyżej i wyżej. Gdy zza horyzontu wyłoniła się cała tarcza słońca, powietrze nie było już jego wrogiem. Zaczynał opanowywać setki drobnych ruchów mięśni, koniecznych, by w pełni wykorzystać możliwości skrzydeł.

Nagle dołączył do nich Belgarath z Durnikiem lecącym nieco w tyle.

- Jak mu idzie? - spytał groźny sokół, zwracając się do Polgary.

- Jest już prawie gotów, ojczu.

- Świetnie. Niech poćwiczy jeszcze jakiś kwadrans, a potem ruszamy. Tam, znad jeziora, wznosi się kolumna ciepłego powietrza. To nam ułatwi wznoszenie - zgiął lekko skrzydło i odpłynął długim, majestatycznym łukiem.

- To naprawdę wspaniałe, Pol - stwierdził Durnik. - Powinienem być nauczyć się tego wiele lat temu.

Gdy znaleźli się w kolumnie powietrza, podnoszącej się od tafli ciepłych wód jeziora, Garion poznał sekret latania bez wysiłku. Szeroko rozkładając skrzydła, w całkowitym bezruchu, pozwolił, by powietrze dźwigało go w górę. Powierzchnia ziemi oddalała się coraz bardziej, wszystko gwałtownie malało. Jarviksholm przypominał teraz miasto z klocków, jego przystań roiała się od niezliczonych maleńkich okręcików. W porannym słońcu wzgórze i lasy miały barwę soczystej zieleni. Morze było lazurowe, a śnieżne pola na najwyższych szczytach tak intensywnie białe, że na ich widok niemal bolały oczy.

Nie opodal usłyszał głos Durnika.

- Jak wysoko jesteśmy według ciebie? - spytał kowal Belgaratha.

- Kilka tysięcy łokci.

- To zupełnie jak pływanie, prawda? Nieważne, jak głęboka jest woda, ty i tak korzystasz tylko z najwyższych warstw.

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. - Belgarath spojrzał na ciocię Pol. - Chyba dotarliśmy już dostatecznie wysoko - oznajmił ostrym, sokolim gwizdem. - Ruszamy do Rivy.

Cała czwórka skierowała się na zachód, nad Morze Wiatrów, pozostawiając za sobą wybrzeże Chereku. Przez jakiś czas wspomagała ich lekka bryza, lecz koło południa ucichła i sami musieli pokonywać milę za milą. Garion czuł ból w plecach; bolały go nieprzywykłe do lotu mięśnie klatki piersiowej. Z ponurą zaciętością leciał dalej. Daleko w dole dostrzegł długie na wiele staj fale Morza Wiatrów, z tej wysokości wyglądające jak zmarszczki na rozświetlonej popołudniowym słońcem powierzchni wody.

Słońce chyliło się już nad zachodnim horyzontem, gdy ujrzeli przed sobą skaliste wy-

brzeża Wyspy Wiatrów. Skręcili na południe, podążając wzdłuż wschodniego brzegu, póki w końcu nie opadli spiralą ku wyniosłym wieżom i murom Cytadeli, wznoszącym się groźnie ponad miastem.

Niedbale oparty na swej włóczni wartownik, pełniący straż na najwyższym murze, spojrzał ze zdumieniem na cztery sokoły, które wylądowały tuż przed nim. Jego oczy niemal wyszły z orbit, gdy ptaki zamigotały i przybrały ludzką postać.

- W-wasza Wysokość - wyjąkał, niezgrabnie próbując ukłonić się, nie wypuszczając przy tym z rąk włóczni.

- Co się tu zdarzyło? - spytał ostro Garion.

- Ktoś porwał waszego syna, panie - zameldował wartownik. - Zamknęliśmy wszystkie porty, ale jak dotąd, nie zdołaliśmy go schwytać.

- Chodźmy na dół - rzucił Garion, zwracając się do swych towarzyszy. - Chcę porozmawiać z Ce'Nedra.

Ale to, oczywiście, okazało się prawie niemożliwe. Gdy tylko Garion wszedł do obitych błękitnymi draperiami komnat królewskich, żona natychmiast rzuciła mu się w objęcia i wybuchnęła histerycznym płaczem. Czuł, jak jej drobne ciało gwałtownie dygocze. Przywarła do niego, wpijając mu palce w ramiona.

- Ce'Nedro - błagał - uspokój się. Musisz opowiedzieć nam, co zaszło.

- Nie ma go, Garionie - załkała. - K-ktoś wtargnął d-do pokoju dziecinnego i z-zabrał go! - Znów zaczęła płakać.

Ariana, złotowłosa mimbrańska żona Lelldorina, stała tuż obok. Spod okna przyglądała się im ciemnowłosa Adara, w jej oczach znać było ból.

- Zobacz, co da się z nią zrobić, Pol - powiedział cicho Belgarath. - Postaraj się ją uspokoić. Muszę z nią pomówić - ale zapewne później. W tej chwili sędzę, że powinniśmy zostawić cię tu samą i pójść do Kaila.

Polgara zdjęła płaszcz, złożyła go starannie i powiesiła na oparciu krzesła.

- Zgoda, ojcze - odparła. Przeszła przez pokój i delikatnie uwolniła rozszlochaną królową z objęć Gariona. - Już dobrze, Ce'Nedro - mruknęła kojącym tonem. - Jesteśmy tu. Zajmiemy się wszystkim.

Ce'Nedra przytuliła się do niej.

- Och, lady Polgaro! - załkała.

- Dawałaś jej coś? - spytała ciocia Pol, zwracając się do Ariany.

- Nie, lady Polgaro - odparła jasnowłosa dziewczyna. - Lękałam się, że dręczący ją żal sprawi, iż najczęściej stosowane uspokajające driakwie uczynią jej jeszcze większą krzywdę.

- Pozwól, że spojrzę na twoją apteczkę.

- Natychmiast, lady Polgaro.

- Chodźcie - rzucił Belgarath do Durnika i Gariona. W jego oczach zamigotał stalowy błysk. - Poszukamy Kaila i zobaczymy, czy uda nam się dotrzeć do sedna sprawy.

Znaleźli go siedzącego za stołem w gabinecie ojca. Na blacie leżała wielka mapa wyspy, nad którą Kail pochylał się ze znużeniem.

- To się stało wczoraj rano, Belgarionie - oznajmił ponuro po tym, jak wymienili zwięzłe powitania. - Przed brzaskiem. Kilka godzin po północy królowa Ce'Nedra zaglądała do królewicza i wszystko było w porządku. W parę godzin później zniknął.

- Co zrobiliście, jak dotąd? - zapytał Belgarath.

- Poleciałem zamknąć port. Potem przeszukaliśmy całą Cytadelę. Ktokolwiek porwał królewicza, opuścił już fortecę, ale od chwili, gdy wydałem rozkazy, żaden statek nie przybił ani nie wypłynął z portu, a zarządca, zameldował, że od północy nikt nie wyszedł w morze. Z tego więc, co wiem, porywacz jest wciąż na Wyspie Wiatrów.

- To dobrze. - Garion poczuł, jak rośnie w nim nadzieja.

- W tej chwili wysłane przeze mnie oddziały sprawdzają w mieście dom po domu, a statki patrolują każdą piędź wybrzeża. Wyspa jest kompletnie odcięta.

- Czy przeszukaliście lasy i góry? - spytał stary czarodziej.

- Najpierw chcemy zakończyć poszukiwania w mieście. Potem zamkniemy je i wyślemy żołnierzy w głąb wyspy.

Belgarath skinął głową, wpatrując się w mapę.

- Musimy poruszać się bardzo ostrożnie - stwierdził. - Nie możemy przyprzeć tego złodzieja dzieci do muru - przynajmniej dopóki mój prawnuk nie znajdzie się bezpiecznie w domu.

Kail przytaknął.

- Najważniejsze jest bezpieczeństwo królewicza. Do komnaty weszła cicho Polgara.

- Dałam jej coś, co ją uspi - oznajmiła. - Ariana czuwa przy łożu. Nie sądzę, aby w tej chwili udało się coś z niej wydobyć. Przede wszystkim potrzebuje snu.

- Zapewne masz rację, ciociu Pol - odparł Garion - ale ja nie zamierzam spać aż do chwili, gdy odkryję, co stało się z moim synem.

Następnego dnia zebrali się wczesnym rankiem w schludnym gabinecie Kaila, aby raz jeszcze przyjrzeć się mapie. Garion miał właśnie zapytać o postępy poszukiwań na terenie miasta, powstrzymało go jednak nagłe szarpnięcie wielkiego miecza, który miał zawieszony w pochwie na plecach. Nie odrywając wzroku od pożółkłego pergaminu, rozłożonego na stole

Kaila, odruchowo poprawił pas. Miecz szarpnął ponownie, tym razem bardziej nagląco.

- Garionie - powiedział z ciekawością Durnik - czy Klejnot błyszczy czasem sam, mimo że nie trzymasz w ręku miecza? Garion obejrzał się przez ramię na płonącego Klejnot.

- Czemu to robi? - spytał ze zdumieniem. Następne szarpnięcie o mało nie zważyło go z nóg.

- Dziadku! - rzucił, lekko zaalarmowany. Oblicze Belgaratha przybrało czujny wyraz.

- Garionie - oznajmił opanowanym tonem czarodziej - wyjmij miecz z pochwy. Myślę, że Klejnot próbuje ci coś powiedzieć.

Garion sięgnął przez ramię i z metalicznym zgrzytem dobył wielkiego miecza Żelaznopalcego. Nie zastanawiając się nawet, jak irracjonalnie zabrzmiały jego słowa, zwrócił się wprost do lśniącego kamienia osadzonego w rękojeści.

- W tej chwili jestem okropnie zajęty. Czy to nie może poczekać?

Odpowiedziało mu silne szarpnięcie w stronę drzwi.

- Co on robi? - rzucił z irytacją.

- Najlepiej chodźmy za nim - odparł Belgarath. Garion bezradnie ruszył, wiedziony potężnym zewem - przez drzwi, na oświetlony pochodniami korytarz. Przyjaciele podążali jego śladem. Czuł niezwykłą krystaliczną świadomość Klejnotu i jego bezmierny gniew. Od owej straszliwej nocy w Cthol Mishrak, gdy stawił czoło kalekiemu bogu Angaraków, ani razu nie doświadczył tak potężnej nienawiści, emanującej z żywego kamienia. Miecz nadal ciągnął go w dół korytarza, coraz prędzej i prędzej, aż w końcu Garion zaczął niemal biec, aby dotrzymać mu kroku.

- Co on próbuje zrobić, ojczy? - spytała zdumiona Polgara. - Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał.

- Nie jestem pewien - odparł starzec. - Musimy po prostu pójść za nim i sprawdzić, o co mu chodzi. Mam wrażenie, że to może być coś ważnego.

Kail przystanął na moment przed żołnierzem, trzymającym wartę w korytarzu.

- Czy mógłbyś wezwać moich braci? Powiedz im, aby stawili się w komnatach królewskich.

- Tak jest - odparł wartownik, salutując.

Garion zatrzymał się przy drzwiach z ciemnego, wypolerowanego drzewa, prowadzących do królewskiego apartamentu. Otworzył je i wszedł do środka, nadal czując zew miecza.

Królowa Layla nakrywała właśnie kocem wyczerpaną Adarę, która zasnęła na kozetce. Ze zdumieniem uniosła wzrok.

- Co, na bogów... - zaczęła.

- Cśśś... Laylo - odparła Polgara. - Dzieje się coś, czego nie pojmujemy.

Garion zebrał wszystkie siły i ruszył do sypialni. Ce'Nedra leżała w łóżku, wierząc się i jęcząc przez sen. U jej stóp siedziały królowa Islena i żona Baraka, Merel. Ariana drzemała w fotelu obok okna. Król Rivy zdołał jednak rzucić damom dogląającym jego żony jedynie przelotne spojrzenie, miecz bowiem zaciągnął go do pokoju dzieciennego. Widok pustej kołyski przeszył bólem serce Gariona. Wielki miecz gwałtownie nachylił się nad kołyską, Klejnot rozblęsnął jaskrawo. Przez moment zamigotało w nim pulsujące światło.

- Chyba zaczynam rozumieć - stwierdził Belgarath. - Nie mogę przysiąc, ale odnoszę wrażenie, że Klejnot próbuje wskazać nam ślad Gerana.

- Czy potrafi to zrobić? - spytał się Durnik.

- Potrafi niemal wszystko i jest całkowicie oddany rodowi Rivy. Nie powstrzymuj go, Garionie. Zobaczmy, dokąd cię zaprowadzi.

Na korytarzu dołączyli do nich dwaj bracia Kaila, Yerdan i Brin. Yerdan, najstarszy z całej trójki, był krzepki jak byk, a Brin, najmłodszy, tylko nieznacznie ustępował mu posturą. Obaj mieli na sobie kolczugi i hełmy, u pasów nosili ciężkie miecze.

- Sądzimy, że Klejnot może próbować doprowadzić nas do królewicza - wyjaśnił zwięźle Kail. - Kiedy go już znajdziemy, możemy was potrzebować.

Brin błysnął w odpowiedzi szerokim, niemal chłopięcym uśmiechem.

- Zatem przed wieczorem głowa porywacza znajdzie się na palu - rzucił.

- Nie spieszmy się z odcinaniem głów - zaoponował Belgarath. - Najpierw chciałbym uzyskać odpowiedź na parę pytań.

- Niech jedna z was ani na moment nie opuszcza Ce'Nedry - poleciała ciocia Pol, zwracając się do królowej Layli, która wiedziona ciekawością dreptała obok nich. - Najprawdopodobniej ocknie się po południu. Pozwólcie Arianie przespać się nieco. Po przebudzeniu Ce'Nedra może jej potrzebować.

- Oczywiście, Polgaro - odrzekła pulchna władczyni Sendarii.

- A jeśli chodzi o ciebie - ciągnęła stanowczo ciocia Pol, odwracając się do Podarka, który właśnie pojawił się w korytarzu - chcę, żebyś został w komnatach królewskich i robił dokładnie to, co ci każe Layla.

- Ale... - zaczął protestować.

- Żadne ale, Podarku. To, co nas czeka, może okazać się niebezpieczne, a ty jak dotąd nie nauczyłeś się jeszcze, co znaczy to słowo.

Chłopiec westchnął.

- Dobrze, Polgaro - powiedział niepocieszonym tonem.

Wiedziony przez osadzonego w rękojeści ciężkiego miecza Klejnot Garion podążał niewidocznym śladem porywacza swego syna. Kamień doprowadził go do jednej z bocznych bram. Reszta towarzyszy wędrowała tuż za nim.

- Zdaje się, że ciągnie mnie w stronę gór - stwierdził Garion. - Myślałem, że ślad poprowadzi w dół, do miasta.

- Nie myśl, Garionie - odparła Polgara. - Po prostu idź tam, dokąd prowadzi cię Klejnot.

Ślad przecinał rozległą łąkę, wznoszącą się stromo za murami Cytadeli, po czym zagłębiał się w las, pomiędzy ciemne jodły i świerki. Garion i Ce'Nedra często przechadzali się tam podczas swych letnich wycieczek.

- Jesteś pewien, że on wie, co robi? - spytał powątpiewająco Garion, przedzierając się przez gęste, splątane poszycie. - Tu nie ma ani śladu ścieżki. Nie sądzę, aby ktokolwiek tędy przechodził.

- Klejnot podąża jakimś śladem, Garionie - zapewnił go Belgarath. - Idź za nim, to wszystko.

Przez jakąś godzinę przedzierali się przez krzaki. W pewnym momencie spod nóg Gariona wystartowało z ogłuszającym trzepotem stadko cietrzewi.

- Będę musiał zapamiętać to miejsce - stwierdził Brin. - Wygląda bardzo obiecująco. Chyba warto wybrać się tu na łowy.

- Dziś polujemy na inną zwierzynę - odrzekł Kail. - Skoncentruj się na tym.

Gdy osiągnęli górną granicę drzew, Garion spojrzał na rozciągającą się przed nimi stromą, zasypaną skalnymi odłamkami łąkę.

- Czy w tych górach jest jakaś przełęcz? - spytał.

- Na lewo od tamtego wielkiego szczytu - odrzekł Brin, wskazując ręką. - Korzystam z niej podczas polowań na jelenie, a pasterze przeganiają tamtędy stada na pastwiska w dolinach.

- Pasterki również - dodał sucho Yerdan. - Czasami zwierzyna, którą ściga mój brat, pozbawiona jest rogów.

Brin zerknął nerwowo na Polgarę. Na jego policzki wolno wypełził rumieniec.

- Zawsze dosyć lubiłem pasterki - zauważył dobrotliwie Belgarath. - Najczęściej to miłe, sympatyczne dziewczęta - i często bywają samotne, prawda, Brinie?

- Wystarczy, ojciec - wtrąciła z dezaprobatą Polgara. Przeprawa przez przełęcz i zielone pastwiska, leżące w ukrytych pomiędzy szczytami dolinach, zabrała im większą część dnia. Słońce wisiało już tuż nad lśniącem niczym płynny metal morzem po zachodniej stronie

Wyspy Wiatrów, gdy wspięli się na pokryty głazami grzbiet i ruszyli w dół skalistego zbocza ku urwisku i spienionym falom, które rozbijały się o brzeg wyspy.

- Czy po tej stronie może przybić statek? - spytał Kaila Garion, gdy wędrowali w dół.

Kail dyszał z wysiłku, wyczerpany ciężkim marszem przez całą wyspę. Otarł rękawem zalewające twarz strużki potu.

- Jest kilka takich miejsc, Belgarionie - jeśli ktoś zna się na rzeczy. To trudne i niebezpieczne, ale wykonalne.

Gariona ogarnęła nagła rozpacz.

- A zatem mogli już uciec.

- Są tam nasze okręty. - Kail wskazał dłonią morze. - Wyprawilem je, gdy tylko usłyszałem o porwaniu królewicza. Wyłącznie w jednym wypadku ktoś mógłby przedostać się przez całą wyspę i odpłynąć, zanim dotarły tu nasze statki - gdyby umiał latać.

- A zatem mamy go - wykrzyknął niesforny Brin, wysuwając miecz z pochwy. Jego bystre spojrzenie łowcy omiotło zasypane głazami zbocze i krawędź urwiska.

- Chwileczkę! - powiedział ostro Durnik. Następnie uniósł głowę i zaczął węszyć. - Ktoś jest przed nami.

- Co? - Garion czuł, jak narasta w nim nagłe napięcie.

- Właśnie doszła mnie wyraźna woń kogoś, kto nie kąpie się zbyt często.

Twarz Belgaratha przybrała skupiony wyraz.

- Pol - zaproponował - może rozejrzysz się tam nieco?

Czarodziejka skinęła krótko głową; w skupieniu zmarszczyła czoło. Garion poczuł i usłyszał szept jej umysłu, badającego teren przed nimi.

- Cherekowie - oznajmiła po chwili. - Około dwunastu. Ukrywają się za głazami blisko krawędzi. Obserwują nas i planują zasadzkę.

- Cherekowie?! - krzyknął Brin. - Czemu Cherekowie mieliby nas atakować?

- To wyznawcy kultu Niedźwiedzia - wyjaśniła Polgara. - A nikt nie wie, do czego zdolni są ci szaleńcy.

- Co robimy? - spytał Brin, zniżając głos niemal do szeptu.

- Skryty w zasadzce napastnik zawsze ma przewagę - odparł Yerdan - chyba że jego ofiara wie, gdzie go szukać. W takim wypadku jest dokładnie na odwrót.

Spojrzał ponuro na zbocze, zaciskając potężną dłoń na rękojeści miecza.

- Więc wejdziemy prosto w pułapkę? - dopytywał się z zapalem Brin.

Kail spojrzał na Belgaratha.

- Jak sądzisz, Przedwieczny? Teraz my mamy przewagę. Kiedy zaatakują, spodziewa-

jąc się nas zaskoczyć, będziemy gotowi. Możemy powalić co najmniej połowę, nim spostrzeżę swą pomyłkę.

Belgarath zerknął zmrużonymi oczami na zachodzące słońce.

- Normalnie powiedziałbym "nie" - stwierdził. - Te drobne przypadkowe potyczki niewiele dają. Ale zbliża się noc. - Odwrócił się do cioci Pol. - Czy Geran jest gdzieś w pobliżu?

- Nie - odparła. - Nie ma po nim ani śladu. Belgarath podrapał się po brodzie.

- Jeśli zostawimy tu tych Chereków, będą szli za nami, a niezbyt mi się podoba taka perspektywa, szczególnie po zmroku. - Jego pomarszczone oblicze rozciągnęło się w wilczym uśmiechu. - W porządku, zabawmy się.

- Oszczędźcie jednak choć kilku, ojczy - wtrąciła Polgara. - Mam parę pytań, na które chciałabym uzyskać odpowiedź. Spróbujcie też uniknąć ran, panowie. Dość już mam zajęć medycznych, jak na jeden dzień.

- Koniec z medycyną, lady Polgaro - przyrzekł Brin z błogą miną. - Może kilka po-grzebów, ale nic z medycyny.

Czarodziejka uniosła oczy ku niebu.

- Alornowie! - westchnęła.

Zasadzka nie przyniosła efektu, jakiego oczekiwali wyznawcy kultu Niedźwiedzia. Odziany w futra Cherek, który z wyciem skoczył na Gariona, jeszcze w powietrzu napotkał płonący miecz Rivańskiego Króla. Potężne ostrze rozcięło go w pasie niemal na pół. Cherek padł, wijąc się w agonii na zalaną krwią trawę. Kail beznamyślnie strzaskał czaszkę jednego z porywaczy, podczas gdy jego bracia runęli na zaskoczonych fanatyków i zaczęli gwałtownie, lecz metodycznie rąbać ich na kawałki.

Jeden z Chereków wskoczył na wielki głaz i naciągnął łuk, celując wprost w Gariona, lecz Belgarath uczynił drobny gest lewą ręką i łucznik nagle poleciał w tył, kreśląc w powietrzu długą, wdzięczną krzywą, której koniec nikał za krawędzią pobliskiego urwiska. Strzała śmignęła w górę, nie czyniąc nikomu żadnej szkody, podczas gdy strzelec z wrzaskiem spadał ku spienionym grzywaczom pięćset łokci niżej.

- Pamiętajcie, potrzeba mi kilku żywych! - przypomniała ostro Pplgara, rzeź bowiem zaczynała wymykać się spod kontroli.

Kail mruknął potakująco, po czym zgrabnie odparował desperacki cios fanatyka. Jego pięść zatoczyła szeroki łuk i uderzyła w bok głowy Chereka, posyłając go nieprzytomnego na ziemię.

Durnik używał swej ulubionej broni, solidnej pałki, długiej na jakieś pół sążnia.

Wprawnym ruchem wytrącił miecz z ręki przeciwnika i zadał mu mocny cios w głowę. Oczy mężczyzny zaszyły mgłą i zwałił się na ziemię. Belgarath przyjrzał się potyczce, wybrał odpowiedniego kandydata i uniósł go pięćdziesiąt łokci w powietrze. Zawieszony w górze mężczyzna w pierwszej chwili w ogóle nie zorientował się, co się stało, i nadal wymierzał ciosy w otaczającą go pustkę.

Wkrótce walka dobiegła końca. Purpurowe promienie zachodzącego słońca padały na szkarłatne plamy krwi, pokrywające trawę przy krawędzi przepaści. Grunt zaścielały strzaskane miecze i strzępy zakrwawionych niedźwiedziich skór.

- O dziwo, czuję się teraz o wiele lepiej - oznajmił Garion, ocierając ostrze miecza o zwłoki jednego z fanatyków. Zauważył, że Klejnot również jarzy się blaskiem ognistej satysfakcji.

Polgara beznamiętnie badała dwójkę nieprzytomnych porywaczy.

- Pośpią sobie parę godzin - stwierdziła, unosząc powiekę rannego, aby spojrzeć na skryte pod nią zmętniałe oko. - Ściągnij go, ojczu - poleciła, wskazując zawieszony w powietrzu jeńca. - O ile to możliwe, w jednym kawałku. Chciałabym go przesłuchać.

- Oczywiście, Pol - oczy starego czarodzieja błyszczały, szeroki uśmiech przecięł twarz niemal na połowę.

- Ojczu - upomniała go Polgara - kiedy wreszcie dorośniesz?

- Ależ Polgaro! - zaprotestował drwiąco. - Jak możesz mówić coś takiego!

Uwięziony mężczyzna uświadomił sobie w końcu, co się dzieje, i wypadł mu z dłoni miecz. Dygocząc z przerażenia, stał w powietrzu, a ręce i nogi drżały mu gwałtownie. Gdy Belgarath łagodnie opuścił go na dół, jeniec natychmiast padł na trawę, trzęsąc się ze strachu. Czarodziej złapał mocno przód futrzanej tuniki i brutalnie postawił go na nogi.

- Czy wiesz, kim jestem? - spytał ostro, zbliżając twarz do oczu więźnia, który odsunął się gwałtownie.

- Ty... ja...

- Wiesz? - Głos Belgaratha był jak chłasknięcie biczem.

- Tak - wykrztusił mężczyzna.

- Wiesz zatem także, że jeśli spróbujesz uciec, zawieszę cię z powrotem w powietrzu i tak zostawię. Rozumiesz chyba, że mogę to zrobić?

- Tak.

- To nie będzie konieczne, ojczu - wtrąciła zimno Polgara. - Ten człowiek z pewnością okaże chęć współpracy.

- Nic wam nie powiem, czarownico - oznajmił jeniec, choć w jego oczach nadal kryło

się szaleństwo.

- O nie, przyjacielu - odparła z uśmiechem, który mroził krew w żyłach. - Powiesz. Powiesz wszystko. Jeśli zechcę, będziesz mówił przez całe tygodnie. - Spojrzała na niego twardo, po czym lewą ręką uczyniła drobny gest przed jego twarzą. - Przyjrzyj się uważnie, przyjacielu. Napawaj się każdym szczegółem.

Brodaty wyznawca kultu wpatrzył się w powietrze tuż przed swą głową. Z jego policzków odpłynęła cała krew. Prerażone oczy niemal wyszły z orbit. Mężczyzna wrzasnął i chwiejnie cofnął się o krok. Polgara z ponurą miną zatoczyła łuk wciąż wyciągniętą ręką i jeniec zatrzymał się natychmiast.

- Nie możesz przed tym uciec - powiedziała - a jeśli nie zaczniesz mówić, i to zaraz, będziesz widział to przed oczami aż do końca swoich dni.

- Zabierz go! - W jego obłąkańczym jęku zabrzmiała błagalna nuta. - Proszę! Zrobię wszystko, wszystko!

- Ciekawe, gdzie się tego nauczyła - mruknął Belgarath do Gariona. - Sam nigdy nie potrafiłem zrobić czegoś takiego - a nie myśl, że nie próbowałem.

- Teraz powie ci wszystko, co wie, Garionie - oznajmiła Polgara. - Zdaje sobie sprawę, co się stanie, jeśli odmówi.

- Co zrobiliście z moim synem? - spytał gwałtownie Garion.

Prerażony jeniec nerwowo przełknął ślinę, po czym wyprostował się dumnie.

- Jest poza twoim zasięgiem, królu Rivy.

W Garionie znów zakipiała wściekłość. Bez zastanowienia sięgnął po miecz.

- Garionie! - upomniała go ostro Polgara. Fanatyk odskoczył w tył, blednąc.

- Twój syn żyje - dodał pospiesznie. Nagle po jego twarzy przebiegł zadowolony uśmiešek. - Ale kiedy spotkacie się następnym razem, zabije cię.

- O czym ty mówisz?

- Ulfgar poradził się wyroczni. Nie jesteś tym Rivańskim Królem, którego nadejścia wyglądaliśmy przez stulecia. Dopiero następny król Rivy zjednoczy Alorię i powiedzie nas przeciw królestwom południa. To będzie twój syn, Belgarionie. Poprowadzi nas, zostanie bowiem wychowany w naszej wierze.

- Gdzie jest mój syn?! - krzyknął Garion.

- Tam gdzie nigdy go nie znajdziesz - odparł drwiąco jeniec. - Wychowamy go i zaszczepimy mu prawdziwą wiarę, jak przystało na władcę Alornów. A kiedy dorośnie, wyruszy, aby cię zabić i odebrać swoją koronę, miecz i Klejnot z twych niegodnych dłoni. - Mężczyzna wybałuszył oczy, jego ciało zadrżało w religijnej ekstazie. Na ustach zaczęła tworzyć

się piana. - Zginiesz z ręki własnego syna, Belgarionie z Rivy! - ryknął. - A król Geran poprowadzi wszystkich Alornów przeciw niewiernym z południa, jak nakazał Belar.

- Ten wątek nie zaprowadzi nas chyba zbyt daleko - stwierdził Belgarath. - Pozwólcie, że ja spróbuję. - Odwrócił się do jeńca, który rozglądał się błędnie wokoło. - Co wiesz o Ulfgarze?

- To Namiestnik Niedźwiedzia. Ma moc większą nawet niż ty, starcze.

- Bardzo interesujące - mruknął Belgarath. - Czy spotkałeś kiedykolwiek tego mistrza magii - albo czy chociaż widziałeś go na własne oczy?

- Cóż... - zaczął z rezerwą jeńiec.

- Tak przypuszczałem. Skąd zatem wiedzieliście, że jego życzeniem jest, abyście tu przybyli i porwali syna Belgariona?

Cherek zagryzł usta.

- Odpowiadaj!

- Wyprawił do nas wysłannika - odrzekł niechętnie mężczyzna.

Nagle Garionowi wpadła do głowy pewna myśl.

- Czy ten wasz Ulfgar krył się także za próbą zamordowania mojej żony? - spytał ostro.

- Żony! - prychnął fanatyk. - Żaden Alorn nie pojąłby za żonę tolnedrańskiej suki. Ty - dziedzic Żelaznopalcego - powinieneś wiedzieć o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Oczywiście, że próbowaliśmy zabić tolnedrańską dziewczkę. Był to jedyny sposób, aby uwolnić Alorię od zarazy, jaką tu przywlokłeś.

- Przyjacielu, zaczynasz mnie drażnić - oznajmił groźnie Garion. - Nie rób tego więcej.

- Wróćmy do owego wysłannika - wtrącił Belgarath. - Twierdzisz, że dziecko znajduje się poza naszym zasięgiem, ale ty sam jesteś przecież tutaj, prawda? Czy nie oznacza to, iż to wysłannik był prawdziwym porywaczem, ty zaś i twoi druhowie to jedynie pionki?

Wzrok fanatyka zdradzał szaleńczy strach. Mężczyzna rozglądał się wokół niczym zaszczute zwierzę. Gwałtownie dygotał.

- Zdaje się, przyjacielu, że doszliśmy do pytania, na które nie chcesz udzielić odpowiedzi - stwierdził czarodziej.

To, co nastąpiło w tym momencie, przypominało fizyczne uderzenie. Gwałtowne szarpnięcie, jakby ktoś sięgnął w głąb czaszki, by pochwycić i zmiażdżyć skryty w środku mózg. Jeńiec wrzasnął, posłał Belgarathowi szalone spojrzenie, po czym odwrócił się nagle, zrobił trzy szybkie kroki i rzucił się z urwiska.

- Pytaj mnie teraz! - zaskrzeczał już w powietrzu, spadając ku pierwszym ceniom zmierzchu, wstającym z mrocznych, gniewnych wód, oblewających skały u stóp urwiska. Garrion usłyszał dobiegający z oddali wybuch szalonego śmiechu, cichnący w miarę, jak fanatyk spadał coraz niżej.

Ciocia Pol ruszyła szybko ku krawędzi skały, lecz Belgarath powstrzymał ją.

- Zostaw go, Pol - powiedział. - Lepiej dla niego, jeśli nie będziemy go ratować. Ktoś wniknął w jego umysł i umieścił tam coś, co zmiażdżyło go w chwili, gdy zadaliśmy mu to pytanie.

- Kto mógłby zrobić coś takiego?

- Nie wiem, ale bądź pewna, że się dowiem.

Nadal dobiegało ich echo gasnącego, szalonego śmiechu. Nagle dźwięk urwał się daleko w dole.

ROZDZIAŁ 21

W dwa dni po walce na urwisku znad Wielkiego Zachodniego Morza nadciągnęła nie spodziewana letnia burza. Z ogłuszającym skowytym wichry przeorały wyspę. Strugi deszczu waliły w okna komnaty rady w południowej wieży. Chudy jak szkielet Javelin, który wraz z innymi przybył tego ranka do Rivy na pokładzie "Rybitwy", rozparł się na krześle i bębniąc z namysłem palcami o poręcz patrzył na szalejący sztorm.

- Dokąd w końcu prowadził ślad? - zapytał.

- Do ukrytej zatoczki, a stamtąd wprost do wody - odparł Garion.

- Możemy zatem przyjąć, iż porywacz zdołał umknąć z księciem. Wymagało to zapewne sporego pośpiechu, lecz załogi statków, patrolujących wybrzeże, skupiały uwagę na samej wyspie, i okręt, który przed ich przybyciem zdążył wyjść daleko w morze, mógł pozostać nie zauważony.

Barak cisnął naręczę drew w głąb przepastnego kominka.

- Czemu zatem część porywaczy została z tyłu? - spytał. - To bez sensu.

- Mówimy o kulcie Niedźwiedzia - przypomniał mu Silk. - Po tych ludziach nie należy się spodziewać niczego rozsądnego.

- Jest w tym jednak pewna logika - zauważył hrabia Seline. - Jeśli to, co wyznał przed śmiercią ten fanatyk, było prawdą, ów Ulfgar wypowiedział Belgarionowi wojnę. Czyż nie jest zatem możliwe, że ludzi tych pozostawiono specjalnie, by opóźnić poszukiwania? Wiadomo było, że wcześniej czy później Garion ruszy tym śladem.

- Nadal coś mi tu nie pasuje. - Javelin zmarszczył brwi. - Muszę się nad tym zastanowić.

- Później zajmiemy się motywami ich postępowania - oświadczył Garion. - Teraz najważniejsze jest ustalenie, dokąd zabrali mojego syna.

- Najprawdopodobniej do Rheonu - stwierdził Anheg. - Odkąd zniszczyliśmy Jandks-holm, pozostał im tylko jeden silny ośrodek.

- Nie byłabym tego taka pewna, Anhegu - nie zgodziła się królowa Porenn. - Porwanie księcia Gerana zostało niewątpliwie zaplanowane jakiś czas temu, a Jarviksholm padł zaledwie przed tygodniem. Niemożliwe, by porywacze o tym wiedzieli. Uważam, iż nie można wykluczyć, że księcia uwiedziono do Chereku.

- Co zatem zrobimy? - spytał bezradnie Garion.

- Rozdzielimy się - odrzekł ze spokojem król Cho-Hag. - Anheg zbierze swe wojska i zacznie przetrząsać każdą wieś i farmę w Chereku. Reszta z nas wyruszy do Rheonu i zajmie się jego mieszkańcami.

- Jest tylko jedna trudność - wtrącił Anheg. - Wszystkie dzieci są jednakowe. Jak moi ludzie rozpoznają syna Gariona, jeśli nawet natkną się na niego?

- To żaden problem, Anhegu - poinformowała go Polgara ze swego fotela przy kominku, gdzie siedziała, popijając herbatę. - Pokaż im swoją dłoń, Garionie.

Garion uniósł prawą rękę i zademonstrował władcy Chereków znaczące ją srebrzyste znamię.

- Zupełnie o tym zapomniałem - mruknął Anheg. - Czy księżę Geran też ma coś takiego?

- Wszyscy następcy Rivańskiego Tronu mają na dłoniach ten sam znak - odparła Polagra. - Dzieje się od tak od czasu pierwotnego syna Żelaznopalcego.

- W porządku. Moi ludzie będą wiedzieli, czego szukać. Ale czy wystarczy wam wojsk, by zdobyć Rheon? Zgromadzili się tam wyznawcy kultu z całej Algarii i Drasni. Ulfgar dysponuje nieliczną armią.

General Brendig wstał z miejsca i podszedł do wielkiej mapy, rozpiętej na ścianie.

- Jeśli natychmiast wyruszę do Sendaru, za kilka dni zbiorę sporą armię. Wyteżony marsz doprowadzi nas do Darine, nim minie tydzień.

- Poślę tam okręty, aby przeprowiły was do Boktoru - przyrzekł Anheg.

- Ja zaś ruszę na południe i zawiadomię klany - wtrącił Hettar. - Skierujemy się wprost na północ, do Rheonu.

Garion również spoglądał na mapę.

- Jeśli okręty Anhega przewiozą mnie i moje oddziały do Boktoru, będziemy mogli połączyć się z drasańskimi pikinierami i pomaszerować na Rheon od zachodu - stwierdził. - Potem statki mogą wrócić do Darine i zabrać Brendiga.

- To pozwoli oszczędzić trochę czasu - zgodził się Brendig.

- Z Rivanami i Drasanami powinno wystarczyć ci ludzi, by okrążyć miasto - powiedział Silk. - Może nie będziesz miał dość sił, aby je zdobyć, ale zdołasz powstrzymać każdego, kto chciałby dostać się do środka albo wyjść poza mury. Potem będziesz musiał jedynie rozbić obóz i czekać na Brendiga i Hettara. Razem zyskacie miażdżącą przewagę.

- To rozsądny plan, Garionie - stwierdził z aprobatą Barak.

Mandorallen wstał.

- A kiedy już dotrzemy do owej twierdzy na mokradłach wschodniej Drasni, użyję

machin oblężniczych i wszelkich innych metod, by osłabić mury, ułatwiając nam wtargnięcie do środka, gdy ruszymy do ostatecznego ataku - zadeklarował. - Rheon padnie, my zaś szybko wymierzmy obmierzłemu Ulfgarowi srogą sprawiedliwość.

- Mam nadzieję, że nie tak znów szybko - mruknął Hettar. - Myślałem raczej o czymś nieco dłuższym i bardziej bolesnym.

- Kiedy go schwytamy, będzie dość czasu, by się nad tym zastanowić - rzucił Barak.

Drzwi otwały się i do środka weszła blada, wymizerowana Ce'Nedra. Towarzyszyła jej królowa Layla i inne damy.

- Czemu jeszcze tu jesteście? - spytała ostro. - Dlaczego nie poruszacie świata w posiadach, by znaleźć moje dziecko?

- To niezbyt sprawiedliwe - upomniał ją łagodnie Garion.

- Nie próbuję być sprawiedliwa. Chcę odzyskać dziecko.

- Ja również, ale nie osiągniemy zbyt wiele uganiając się w kółko za własnym cieniem, prawda?

- Jeśli będę musiała, sama zgromadzę armię - oznajmiła z ogniem. - Już raz to zrobiłam i z pewnością mogę dokonać tego powtórnie.

- I gdzie byś ją powiodła, kochanie? - zapytała Polgara.

- Tam, dokąd zabrano moje dziecko.

- Czyli gdzie? Jeśli wiesz coś, co nam umknęło, powinnaś chyba podzielić się tym z nami?

Ce'Nedra spojrzała na nią bezradnie, do oczu napłynęły jej łzy.

Belgarath nie włączał się dotąd do rozmowy. Zamiast tego siedział zamyślony w miękkim fotelu, wpatrując się w rozszalałe żywioły za oknem.

- Mam przecucie, że czegoś nie dostrzegam - wymamrotał, gdy Adara i Nerina doprowadziły rozstrojoną Ce'Nedrę do krzesła obok stołu rady.

- Co mówiłeś, Belgaracie? - Anheg zdjął swą pogiętą koronę i rzucił ją na blat.

- Powiedziałem, że czegoś nie dostrzegam - powtórzył starzec. - Anhegu, jak wielka jest twoja biblioteka?

Król Chereku wzruszył ramionami i poskrobał się po głowie.

- Nie sądzę, aby mogła się równać z uniwersyteckimi zbiorami w Tol Honeth - przyznał - ale zdołałem zgromadzić większość ważniejszych ksiąg z całego świata.

- Jak wygląda twoja kolekcja w dziedzinie misteriów?

- Czego?

- Proroctw. Nie chodzi mi tu o Kodeksy, Mrin czy Dariński, ale o inne dzieła: Obj-

wienia Wieszców z Kell, Grolimskie Przepowiednie z Rak Cthol, Wyrocznie z Ashaby...

- Te mam - przerwał mu Anheg. - To coś z Ashaby. Kupiłem je jakieś dziesięć lat temu.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli wybiorę się do Val Alorn i rzucę na nie okiem.

- Nie czas teraz na wycieczki, dziadku - zaoponował Garion.

- Garionie, wiemy, że dzieje się coś, co wykracza poza bunt garstki religijnych fanatyków. Odnaleziony przez ciebie ustęp Kodeksu Mrińskiego mówi o tym bardzo wyraźnie. Po-lecono mi w nim zbadać misteria i obawiam się, że jeśli nie posłucham, wszyscy tego poża-lujemy. - Czarodziej odwrócił się do Anhega. - Gdzie jest twój egzemplarz Wyroczni Ashabiń-skich?

- Na górnej półce w bibliotece. Nie mogłem zrozumieć, o co w nich chodzi, więc wsunąłem go na górę. Zawsze zamierzałem kiedyś wrócić do przerwanej lektury. - Nagle An-hegowi przyszła do głowy pewna myśl. - A przy okazji: w klasztorze w Mar Terrin przechowywany jest egzemplarz Objawień Malloreńskich.

Belgarath spojrział na niego ze zdumieniem.

- To chyba jedna z tych ksiąg, o które pytałeś? Ta napisana przez Wieszców z Kell?

- Skąd możesz wiedzieć, co znajduje się w bibliotece w Mar Terrin?

- Słyszałem o niej kilka lat temu. Mam ludzi, którzy wyszukują dla mnie rzadkie księ-gi. W każdym razie zaproponowałem mnichom pewną sumę - całkiem sporą - ale negocjacje nie doprowadziły do niczego.

- Jesteś prawdziwą krynicyą wiedzy, Anhegu. Czy wiesz może jeszcze o czymś?

- Obawiam się, że nie mogę ci pomóc, jeśli chodzi o Grolimskie Przepowiednie z Rak Cthol. Jedyne egzemplarz, o jakim mi wiadomo, należał do Ctuchika i zapewne został po-grzebany pod ruinami, kiedy strąciłeś Rak Cthol ze szczytu góry. W razie czego możesz zaw-sze tam pokopać.

- Dzięki, Anhegu - odparł sucho Belgarath. - Nie masz pojęcia, jak bardzo pomogły mi twoje uwagi.

- Nie wierzę własnym uszom - rzuciła oskarżycielsko Ce'Nedra, zwracając się do Be-lgaratha. - Ktoś porwał moje dziecko, twojego prawnuka, a ty, zamiast go ratować, zamie-rzasz wyruszyć na poszukiwanie jakichś zapomnianych manuskryptów!

- Nie porzucam dziecka, Ce'Nedro. Po prostu szukam jego śladu w innym miejscu, to wszystko. - Spojrział na nią, w jego oczach znać było współczucie. - Nadal jesteś bardzo mło-da - stwierdził - i dostrzegasz tylko jedną rzeczywistość, w której odebrano ci dziecko. Istnie-ją jednak dwa rodzaje rzeczywistości. Garion będzie szukał twojego syna w tej, ja zaś - w

drugiej. Chodzi nam jednak o to samo, a w ten sposób nie zaniedbamy niczego.

Przez moment wpatrywała się w niego, po czym nagle ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Garion podszedł do niej i przytulił do siebie.

- Ce'Nedro - powiedział kojąco. - No, już, Ce'Nedro, wszystko będzie dobrze.

- Nic nie będzie dobrze - wyszlochała z rozpaczą. - Tak się boję o dziecko, Garionie. Już nigdy nic nie będzie dobrze.

Mandorallen zerwał się z miejsca, jego oczy zwilgotniały.

- Jako twój prawy rycerz i orędownik, najdroższa Ce'Nedro, klnę się na me życie, że nienawistny ci Ulfgar nie doczeka następnego lata.

- W ten sposób doszliśmy do sedna sprawy - zauważył Hettar. - Czemu więc zaraz nie wyruszymy do Rheonu i nie przybijemy Ulfgara do pala - bardzo długimi ćwiekami?

Anheg popatrzył na Cho-Haga.

- Twój syn potrafi znakomicie uchwycić wymogi tej sytuacji - skonstatował.

- Jest prawdziwą chlubą mych zmierzchających dni - odparł z dumą Cho-Hag.

Kłótnia z Ce'Nedrą wybuchła natychmiast, gdy Garion wrócił do królewskiego apartamentu. Najpierw próbował rozsądku, potem rozkazów. Wreszcie uciekł się do gróźb.

- Nie obchodzi mnie, co powiesz, Garionie! Jadę do Rheonu!

- Nie jedziesz!

- A właśnie że tak!

- Zamknę cię w sypialni.

- A ja, gdy tylko wyjedziesz, każę komuś otworzyć drzwi albo sama je porąbię - i znajdę się na następnym statku, który wypłynie z portu.

- Ce'Nedro, to zbyt niebezpieczne.

- Tak samo, jak Thull Mardu albo Cthol Mishrak, a przecież nie ulękałam się wtedy. Jadę do Rheonu, Garionie - z tobą lub bez ciebie. Zamierzam odzyskać dziecko, nawet jeśli będę musiała gołymi rękami zwalić mury miasta.

- Ce'Nedro, proszę.

- Nie! - wykrzyknęła, tupiąc nogą. - Jadę, Garionie, i nic, co powiesz czy zrobisz, mnie nie powstrzyma!

Garion uniósł ręce.

- Kobiety! - powiedział z rozpaczą.

Flota opuściła Rivę następnego dnia o świcie, wypływając na wzburzone morze, pełne brudnej piany i wodorostów - pozostałości cichnącego sztormu.

Garion stał na pokładzie rufowym "Rybitwy" obok Baraka, którego potężne dłonie

mocno ścisnęły rumpel.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek jeszcze będę musiał to robić - mruknął ponuro.

- Żeglowanie przy złej pogodzie nie jest takie straszne. - Barak wzruszył ramionami.

Wiatr szarpał jego rudą brodę.

- Nie to miałem na myśli. Wierzyłem, że po śmierci Toraka resztę swych dni przeżyję w pokoju.

- Masz szczęście - pocieszył go Barak.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Od pokoju tylko rośnie zadek i śniedzieje umysł - oświadczył gwałtownie olbrzym. -

Nie ma to jak miła, przyjemna wojenka.

Po kilkunastu milach od flotyli odłączyła się grupka okrętów, by pożeglować na wschód, w stronę Sendaru, unosząc z sobą króla Fulracha, generała Brendiga, hrabiego Seline i nafaszerowaną lekami królową Layłę.

- Mam nadzieję, że Brendig zjawi się w Darine na czas - stwierdził Anheg, wsparty o reling. - Będę naprawdę potrzebował tych statków podczas poszukiwań.

- Skąd zamierzasz zacząć? - spytała królowa Porenn.

- Kult skupia się głównie na zachodnim wybrzeżu - odparł. - Jeśli porywacze księcia Gerana umknęli do Chereku, prawdopodobnie skierują się ku jednej z twierdz kultu. Zacznę od wybrzeża i będę posuwał się w głąb lądu.

- To chyba rozsądna strategia - zgodziła się. - Rozlokuj swoich ludzi i przeczesz okolice.

- Porenn - Anheg rzucił jej zbolale spojrzenie - kocham cię jak siostrę, ale w rozmowie ze mną nie używaj terminów wojskowych. Taki język w ustach kobiety strasznie gra mi na nerwach.

Przeprawa przez Przesmyk Chereku opóźniła ich o dwa dni. Choć Gredlik i kilku innych twardych żeglarzy wręcz rwali się, by stawić czoło Wielkiemu Maelstromowi przy wzburzonym po niedawnym sztormie morzu, opinia mniej zapalczywych i rozważniejszych kapitanów przeważała.

- Jestem pewien, że morze wkrótce się uspokoi - ryknął Barak do przyjaciela - a Rheon nam nie ucieknie. Nie traćmy okrętów, skoro nie musimy.

- Baraku! - odkrzyknął Gredlik. - Robi się z ciebie stara baba.

- Anheg mówił to samo tuż przed Jaraksholmem - zauważył Barak.

- Mądry z niego król.

- To nie jego statek.

Kiedy minawszy Przesmyk wpłynęli na spokojniejsze wody Zatoki Cherek, król Anheg zebrał sporą część floty i pożeglował do Yal Alom. Przed przesiadką na jeden z okrętów Anhega Belgarath przystanął na pokładzie, by zamienić parę słów z Garionem i Polgarą.

- Gdy tylko załatwię wszystko w Yal Alom, ruszam wprost do Mar Terrin - oznajmił.
- Gdybym nie zdążył wrócić, nim dotrzecie do Rheonu, uważajcie na siebie. Wyznawcy kultu to fanatycy, a rozpętana przez nich wojna jest skierowana przeciw tobie osobiście, Galionie.

- Będę go pilnować, ojczy - zapewniła Polgara

- Całkiem nieźle sam potrafię o siebie zadbać, ciociu - zaproponował Garion.

- Oczywiście, kochanie, ale trudno jest pozbyć się starych nawyków.

- Ile muszę mieć lat, zanim uświadomisz sobie wreszcie, że już dorosłem?

- Zgłoś się do mnie za jakiś tysiąc lat, zgoda? Wtedy porozmawiamy.

Garion uśmiechnął się, po czym westchnął.

- Ciociu Pol - powiedział. - Kocham cię.

- Tak, kochanie - odparła, klepiąc go po policzku. - Wiem o tym. Ja też cię kocham.

W Kotu okręt wiozący Hettara wraz z żoną i rodzicami skręcił na południe, ku Brodowi Aldura.

- Zobaczymy się w Rheonie za jakieś trzy tygodnie! - zawołał Algar o jastrzębiej twarzy do przyjaciół na pokładzie "Rybitwy". - Zostawcie dla mnie trochę nieprzyjaciół.

- Będziesz musiał się pospieszyć! - odkrzyknął pogodnie Lelldorin.

- Sama nie wiem, kto gorszy - mruknęła ciocia Pol do Ce'Nedry - Arendowie czy Alornowie.

- Może są ze sobą spokrewnieni? - zasugerowała Ce'Nedra.

Ciocia Pol roześmiała się, po czym zmarszczyła nos, spoglądając na nabrzeża portu w Kotu.

- Chodź, kochanie. Zejdźmy pod pokład. Wszystkie porty okropnie cuchną.

Flota minęła Kotu i wpłynęła w ujście rzeki Mrin. Leniwy prąd toczył się powoli, po obu stronach rozciągały się wilgotne, zielone żuławy. Garion stał na dziobie "Rybitwy", dla zabicia czasu obserwując umykające w tył szarozielone trzciny i karłowate zarośla. Wioślarze rytmicznie popychali statek w górę rzeki.

- A, tu jesteś, Garionie - stwierdziła królowa Porenn, podchodząc do niego od tyłu. - Chciałabym z tobą chwilę porozmawiać.

- Oczywiście. - Garion darzył szczególnym uczuciem tę drobną, jasnowłosą kobietę, której odwaga i poświęcenie świadczyły o ogromnej wrażliwości i żelaznej woli.

- Kiedy dotrzemy do Boktoru, chciałabym zostawić Khevę w pałacu. Nie sądzę, aby

mu się to spodobało, ale jest jeszcze nieco za młody na udział w bitwie. Gdyby się upierał, czy mógłbyś rozkazać mu, aby został w domu?

- Ja?

- Jesteś Władcą Zachodu, Garionie - przypomniała mu. - Ja zaś - tylko jego matką.

- Obawiam się, że nieco przecenia się wagę tego tytułu. - Z roztargnieniem potarł ucho. - Zastanawiam się, czy nie mógłbym przekonać Ce'Nedry, aby również zaczekała w Boktorze.

- Wątpię - stwierdziła Porenn. - Kheva może uznać cię za swego suwerena, lecz dla Ce'Nedry jesteś po prostu mężem. To wielka różnica.

Skrzywił się cierpko.

- Chyba masz rację - przyznał. - Warto jednak spróbować. Jak daleko w głąb Mrin można dopłynąć statkiem?

- Północne odgałęzienie przechodzi w serię rozlewisk jakieś sześćdziesiąt mil za Doktorem - odparła. - Zapewne moglibyśmy przenieść statki lądem, ale niewiele by to dało. Trzydzieści mil dalej natrafilibyśmy na kolejne pasmo płycizn, a potem zaczynają się katarakty. Zmarnowalibyśmy mnóstwo czasu na wyciąganiu statków na brzeg i ponownym spuszczeniu ich na wodę.

- Zatem szybciej będzie, jeśli od pierwszych rozlewisk pomaszujemy lądem?

Skinęła głową.

- Zebranie wojsk i zgromadzenie odpowiedniej ilości zapasów najprawdopodobniej zajmie moim generałom kilka dni - dodała. - Rozkaże, by ruszyli za nami najszybciej, jak się da. Gdy do nas dołączą, możemy kontynuować marsz ku Rheonowi i oblegać miasto aż do przybycia Brendiga i Hettara.

- Wiesz, Porenn, jesteś w tym naprawdę dobra. Królowa uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Rhodar był doskonałym nauczycielem.

- Bardzo go kochałaś, prawda? Westchnęła.

- Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Następnego popołudnia dotarli do Boktoru. Garion towarzyszył królowej Porenn i jej lekko nadąsanemu synowi do pałacu. Kawałek za nimi włókł się Silk. Gdy tylko znaleźli się w środku, Porenn pchnęła posłańca do dowództwa drasańskich sił zbrojnych.

- Może tymczasem napijemy się herbaty, panowie? - zaproponowała drobna, jasnowłosa królowa. Cała trójka zasiadła wygodnie w przestronnej, wysokiej komnacie, której okna przesłaniały czerwone aksamitne kotary.

- Jeśli nie znajdzie się coś mocniejszego - odparł Silk z beczelnym uśmiechem.

- Czy przypadkiem nie za wcześnie na to, księżę? - spytała z dezaprobatą.
- Jestem Alornem, najdroższa cioteczko. Nam odpowiada każda pora.
- Kheldarze, proszę, nie nazywaj mnie tak. Czuję się przez to przeraźliwie stara.
- Ale przecież to prawda, Porenn - oczywiście nie to, że jesteś stara, tylko że jesteś

moją ciotką.

- Czy ty kiedykolwiek bywasz poważny?
- Nie, jeśli mogę temu zaradzić.

Królowa westchnęła, po czym roześmiała się srebrzyście. Jakiś kwadrans później do komnaty wprowadzono krępego mężczyznę o czerwonej twarzy w nieco zbyt jaskrawym pomarańczowym mundurze.

- Wasza Wysokość mnie wzywała? - spytał, kłaniając się z szacunkiem.
- A, generał Haldar - odparła. - Czy zna pan Jego Wysokość króla Belgariona?
- Poznaliśmy się już, pani, na pogrzebie waszego małżonka. - Złożył Garionowi wyszukany ukłon. - Wasza Wysokość.

- Generale.

- I niewątpliwie zna pan księcia Kheldara.

- Oczywiście - odrzekł Haldar. - Wasza Miłość.

- Generale. - Silk przyjrzał mu się uważnie. - Czy to nowe odznaczenie, Haldarze?

Rumiany Drasanin lekceważąco musnął palcami pęk medali na piersi.

- To podstawowe zajęcie generałów w czasie pokoju, księżę. Przyznajemy sobie nawzajem medale.

- Obawiam się, że okres pokoju zmierza ku końcowi - oznajmiła dość cierpko Porenn.

- Zakładam, że słyszał pan o tym, co się stało w Janoksholmie w Chereku.

- Tak, Wasza Wysokość. Doskonale poprowadzona kampania.

- Obecnie wyruszamy, by zaatakować Rheon. Kult Niedźwiedzia porwał syna króla Belgariona.

- Porwał? - Wyras twarzy Haldara zdradzał całkowite niedowierzenie.

- Niestety. Uważam, że nadszedł czas, by całkowicie zlikwidować kult. Dlatego właśnie ruszamy na Rheon. U nabrzeży czeka flotylla statków pełnych rivańskich żołnierzy. Jutro poześlujemy do rozlewisk i tam wylądujemy, po czym pomaszerujemy na miasto. Chcę, żebyś zebrał armię i jak najszybciej ruszył za nami.

Haldar marszczył brwi, jakby coś, co usłyszał, nie dawało mu spokoju.

- Czy Wasza Królewska Mość jest pewna, że rivański księżę został porwany? Nie zamordowano go?

- Nie - odparł stanowczo Garion. - To było porwanie.

Haldar zaczął nerwowo przechadzać się po komnacie.

- To nie ma sensu - mruknął, jakby odpowiadając własnym myślom.

- Czy zrozumiał pan moje rozkazy, generale? - spytała Porenn.

- Słucham? O tak, Wasza Wysokość. Mam zebrać armię i dogonić Rivan króla Belgariona, zanim dotrą do Rheonu.

- Dokładnie. Będziemy oblegać miasto, póki nie przybędą posiłki. Pod Rheonem dołączą do nas Algarowie i część armii Sendaru.

- Natychmiast się tym zajmę, Wasza Wysokość - zapewnił ją. Jego twarz nadal miała lekko roztargniony wyraz, brwi marszczyły się niespokojnie.

- Czy coś się stało, generale? - chciała wiedzieć Porenn.

- Proszę? Och, nie, Wasza Wysokość. Udam się do sztabu i bezzwłocznie wydam niezbędne rozkazy.

- Dziękuję, generale. To wszystko.

- Najwyraźniej usłyszał coś, co mu się nie spodobało - zauważył Silk po wyjściu Haldara.

- Ostatnie nowiny nie zachwyciły nikogo - stwierdził Garion.

- Niezupełnie to miałem na myśli - mruknął Silk. - Przepraszam was na chwilę. Chyba pójde zasięgnąć paru informacji.

Wstał z krzesła i cicho opuścił pokój.

Wczesnym rankiem następnego dnia flota podniosła kotwicę i skierowała się powoli w górę rzeki. Choć poranek był pogodny i słoneczny, koło południa znad Zatoki Cherek napłynęła ławica ciężkich chmur, powlekając drasański krajobraz przygnębiającą szarością.

- Mam nadzieję, że nie będzie padać - warknął Barak ze swego miejsca przy rumplu. - Nie cierpię babrania się w błocie, gdy u celu czeka mnie walka.

Rozlewiska Mrin okazały się bardzo szerokim odcinkiem rzeki, na którym z płytkiej wody wyłaniały się zwirowe łachy.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad pogłębieniem tego kawałka? - spytał Garion królową Drasni.

- Nie - odparła. - Ze względów politycznych chcę, aby od tego miejsca Mrin nie była już żeglowna. Wolę, by tolnedrańscy kupcy nie mogli ominąć Boktoru. - Uśmiechnęła się słodko do Ce'Nedry. - Nie bierz tego do siebie, kochanie, ale twoi rodacy zawsze starają się uniknąć cła. W tej chwili to ja kontroluję Północny Szlak Karawan i potrzebuję wpływów z opłat celnych.

- Rozumiem cię, Porenn - zapewniła ją Ce'Nedra. - Sama też bym tak postąpiła.

Flota przybiła do północnego brzegu rzeki i wojska Gariona zaczęły schodzić na ląd.

- A zatem poprowadzisz okręty z powrotem w dół rzeki i dalej, do Darine? - spytał Barak, kierując swe słowa do brodatego Gredlika.

- Owszem. W ciągu tygodnia dostarczę tu Brendiga i jego Sendarów.

- Doskonale. Powiedz mu, aby jak najszybciej ruszał do Rheonu. Nigdy nie przepadałem za długimi oblężeniami.

- Czy wyślesz ze mną "Rybitwę"? Barak z namysłem podrapał się po głowie.

- Nie - odparł w końcu. - Chyba zostawię ją tutaj.

- Wierz mi, nie zatopię ci jej.

- Wiem, ale będę czuł się lepiej ze świadomością, że w razie czego mam ją pod ręką.

Czy zjawisz się w Rheonie z Brendigiem? Zapowiada się niezła walka.

Po twarzy Gredlika przemknął wyraz żalu.

- Niestety, Anheg rozkazał, abym wracał do Val Alom, gdy tylko przewiozę tu Sendarów.

- Och, szkoda.

Kapitan odchrząknął szorstko.

- Baw się dobrze w Rheonie - rzucił - i spróbuj nie dać się zabić.

- Dołożę wszelkich starań.

Gdy wszyscy żołnierze wraz z zapasami żywności znaleźli się na brzegu, było już późne popołudnie. Po niebie nadal przepływały ławice chmur, lecz na razie obyło się bez deszczu.

- Myślę, że równie dobrze możemy tu rozbić obóz - stwierdził Garion, stojąc wraz z przyjaciółmi na łagodnie wznoszącym się brzegu rzeki. - I tak nie zaszlibyśmy daleko przed zmrokiem, a jeśli porządnie się wyśpimy, będziemy mogli wyruszyć wczesnym rankiem.

- To ma sens - zgodził się Silk.

- Czy dowiedziałeś się czegoś o Haldarze? - spytała go królowa Porenn. - Wiem, że coś w jego zachowaniu nie dawało ci spokoju.

- Nic szczególnego. - Silk wzruszył ramionami. - Tyle tylko, że ostatnio dużo podróżował.

- To generał, Kheldarze, i mój szef sztabu. Generałowie muszą przecież wyruszać czasem na inspekcje, prawda?

- Ale chyba nie sami - odparł Silk. - A kiedy on wybiera się w podróż, nie bierze ze sobą nawet adiutanta.

- Nie jesteś czasem przesadnie podejrzliwy?
- Podejrzliwość leży w mej naturze, najdroższa cioteczko.

Porenn tupnęła nogą.

- Czy przestaniesz wreszcie tak mnie nazywać? Spojrzał na nią z łagodnym zdumieniem.

- Naprawdę tak ci to przeszkadza?
- Mówiłam już, że tak.
- Może zatem powinienem to zapamiętać.
- Jesteś absolutnie niemożliwy, wiesz o tym?
- Oczywiście, najdroższa cioteczko.

Przez następne dwa dni rivańska armia maszerowała rażno na wschód przez ponure, szarzielone pustkowia mokradeł. Otaczały ich nagie, niemal pozbawione roślinności wzgórze, między którymi wyrastały bujne kępy jeżyn i innych ciemnych krzewów, okalające ciemne kałuże cuchnącej wody. Niebo wciąż było szare i groźne, nie spadła jednak ani kropla deszczu.

Garion jechał na czele kolumny. Jego twarz miała zacięty wyraz; poza wydawaniem rozkazów rzadko się odzywał. Co pewien czas docierały do niego meldunki zwiadowców. Jak dotąd nie stwierdzono obecności sił nieprzyjaciela. Nie było również ani śladu drasańskich pikinierów pod dowództwem generała Haldara, którzy mieli dogonić Rivan po drodze.

Gdy drugiego dnia zatrzymali się na pospieszny posiłek, do Gariona zbliżyła się Polgara. Jej niebieski płaszcz zdawał się szeptać w wysokiej trawie, a znajomy zapach, unoszony lekkim wiatrem, otoczył Gariona niczym obłok.

- Przejdźmy się, Garionie - powiedziała cicho. - Musimy o czymś pomówić.
- Dobrze. - Jego odpowiedź była zwięzła, prawie niegrzeczna.

I wtedy Polgara uczyniła coś, co rzadko robiła przez ostatnie lata. Z uroczystą czułością podała mu ramię i razem ruszyli naprzód, wspinając się na trawiasty pagórek i pozostawiając za sobą przyjaciół oraz całą armię.

- Przez ostatnie tygodnie stałeś się bardzo ponury, kochanie - stwierdziła, gdy przystanąli na szczycie wzgórza.

- Chyba mam po temu wystarczające powody, ciociu Pol.
- Wiem, że to wszystko głęboko cię zraniło, Garionie, i wzbudziło w tobie słuszny gniew. Nie pozwól jednak, by zmienił cię on w dzikusa.

- Ciociu Pol, to nie ja zacząłem - przypomniał jej. - Usiłowali zabić mi żonę. Potem zamordowali jednego z moich najbliższych przyjaciół i omal nie rozpętali wojny pomiędzy

mną i Anhegiem. A teraz porwali mojego syna. Nie sądzisz, że zasłużyli na karę?

- Może - odparła, patrząc mu prosto w twarz. - Ale nie pozwól, by twój gniew wyniknął się spod kontroli i sprawił, że zaczniesz brodzić we krwi wrogów. Dysponujesz potężną mocą, Garionie, i z łatwością mógłbyś użyć jej, by wyrządzić swym nieprzyjaciołom niewyobrażalne szkody. Jeśli to uczynisz, moc ta przemieni cię w kogoś równie odrażającego jak kiedyś Torak. Okrutne czyny zaczną sprawiać ci przyjemność. Wkrótce to uczucie całkowicie tobą owładnie.

Spojrzał na nią, zdumiony natarczywością, brzmącą w jej głosie. Białe lok na skroni czarodziejki zdawał się płonąć.

- To jest prawdziwe niebezpieczeństwo, Garionie. W pewnym sensie teraz jesteś bardziej zagrożony niż wtedy, gdy stanąłeś oko w oko z Torakiem.

- Nie pozwolę, aby to, co uczynili, uszło im bezkarnie - powiedział z uporem. - Nie zamierzam puścić im tego płazem.

- Wcale tego nie sugeruję, kochanie. Wkrótce dotrzemy do Rheonu i zacznie się walka. Jako Alom z pewnością okażesz należyty entuzjazm. Chcę, abyś mi obiecał, że nie pozwolisz, by ten entuzjazm i twoja nienawiść zaślepiły cię, zmieniając walkę w bezrozumną rzeź.

- Nie, jeśli się poddadzą - odparł sztywno.

- I co wtedy? Co zrobisz z jeńcami?

Garion zmarszczył brwi. Nie pomyślał o tym wcześniej.

- Wyznawcy kultu Niedźwiedzia to w większości ludzie prości i zagubieni. Ta jedna idea opanowała ich do tego stopnia, że nie są nawet w stanie pojąć ogromu zła, jakie wyrządzili. Czy wymordujesz ich za głupotę? Głupota to nieszczęście, lecz nie zasługuje chyba na aż taką karę.

- A co z Ulfgarem?

Polgara uśmiechnęła się złowrogo.

- To już zupełnie inna sprawa.

Z mrocznego nieba spłynął nagle wielki, błękitno znaczony sokół.

- Czyżby małe spotkanie rodzinne? - zagadnął szorstko Beldin, przybierając ludzką postać.

- Gdzie się podziewałeś, wuju? - spytała spokojnie Polgara. - Zostawiłam ci wiadomość u bliźniaków. Miałeś do nas dołączyć.

- Właśnie wracam z Mallorei - mruknął, drapiąc się po brzuchu. - Gdzie Belgarath?

- W Val Alorn, później zaś wybiera się do Mar Terrin. Stara się podążać tropem, który

ponoć kryje się w misteriach. Słyszałeś o tym, co się tu działo?

- Przynajmniej o większości. Bliźniacy pokazali mi ustęp ukryty w Kodeksie Mrińskim, wiem też o Strażniku Rivy i synu Belgariona. Wyruszyliście przeciw Rheonowi, tak?

- Naturalnie - odparła. - To źródło tej zarazy. Garbus spojrział z namysłem na Gariona.

- Jestem pewien, że znakomicie znasz się na taktyce wojskowej, Belgarionie - stwierdził - lecz w tym przypadku twoje rozumowanie mnie zadziwia.

Garion wpatrzył się w niego wyczekująco.

- Zamierzacie zaatakować liczniejsze od was siły zamknięte w umocnionym mieście, zgadza się?

- Przypuszczam, że można to tak ująć.

- Dlaczego zatem więcej niż połowa waszej armii obozuje przy rozlewiskach Mrin, dwa dni drogi od was? Nie sądzicie, że możecie ich potrzebować?

- O czym ty mówisz, wuju? - spytała ostro Polgara.

- Sądziłem, że wyrażam się całkiem jasno. Drasańska armia rozbiła obóz przy rozlewiskach. Nie widać po nich, aby mieli zamiar ruszyć się stamtąd w najbliższym czasie. Zaczynają nawet umacniać swe pozycje.

- To niemożliwe. Beldin wzruszył ramionami.

- Leć i sama się przekonaj.

- Lepiej chodźmy powiedzieć o tym innym - stwierdziła ponuro ciocia Pol. - Coś gdzieś jest strasznie nie w porządku.

ROZDZIAŁ 22

- Co on sobie myśli? - wybuchła Porenn w nietypowym dla niej ataku wściekłości. - Wyraźnie rozkazałam mu, aby do nas dołączył. Twarz Silka nie zdradzała żadnych uczuć.

- Myślę, że powinniśmy byli sprawdzić, czy na stopie nieocenionego generała Haldara nie znajdzie się znajome piętno - stwierdził.

- Chyba nie mówisz poważnie! - wykrzyknęła Porenn.

- Z rozmysłem złamał twój rozkaz, Porenn, i uczynił to w sposób, który zagraża twojemu bezpieczeństwu - nie mówiąc już o nas wszystkich.

- Wierz mi, że gdy tylko wrócę do Boktoru, wyjaśnię tę sprawę.

- Niestety, na razie nie wybieramy się w tamtym kierunku.

- Zatem sama zawrócę do rozlewisk - oświadczyła Porenn. - I jeśli trzeba, odbiorę mu dowództwo.

- Nie - odparł stanowczo Silk. - Nie zawrócisz. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Kheldarze, czy zdajesz sobie sprawę, do kogo mówisz?

- Owszem, Porenn, ale to zbyt niebezpieczne.

- To mój obowiązek.

- Nie - poprawił ją. - Twoim obowiązkiem jest zostać przy życiu, dopóki nie wycho-
wasz Khevy na króla Drasni. Królowa zagryzła wargę.

- To niesprawiedliwe, Kheldarze.

- Takie jest życie, Porenn.

- On ma rację, Wasza Wysokość - wtrącił Javelin. - Generał Haldar popełnił już zdra-
dę, łamiąc królewski rozkaz. Wątpię, czy zawahałby się przed dodaniem morderstwa do listy
swych zbrodni.

- Będziemy potrzebowali wsparcia - zagrzmiał Barak - choćby niewielkiego. W prze-
ciwnym razie pozostaje nam rozbić obóz i czekać na Brendiga.

Silk potrząsnął głową.

- Przy rozlewiskach rozbił obóz Haldar. Jeśli nasze podejrzania są prawdziwe, jego
oddziały mogą nie dopuścić do tego, by wojska Brendiga w ogóle zeszły na ląd.

- Cóż więc mamy robić? - spytała gniewnie Ce'Nedra.

- Myślę, że nie mamy wielkiego wyboru - stwierdził Barak. - Musimy zawrócić do
rozlewisk i aresztować Haldara za zdradę. Wtedy wrócimy tu razem z jego żołnierzami.

- To potrwa prawie tydzień! - zaprotestowała.

- Co innego nam pozostaje? Musimy mieć tych pikinierów.

- Chyba coś przeoczyłeś, Baraku - wtrącił Silk. - Czy zauważyłeś lekki chłód w powietrzu przez ostatnie dwa dni?

- Leciutki - wcześniej rano.

- Jesteśmy w północno-wschodniej Drasni. W tych okolicach zima nadchodzi bardzo szybko.

- Zima? Ależ dopiero niedawno zaczęła się jesień!

- Przyjacielu, znajdujemy się daleko na północy. W każdej chwili możemy się spodziewać pierwszych śniegów.

Barak zaczął przeklinać.

Silk skinął na Javelina. Obaj odeszli na bok i zaczęli szeptać do siebie.

- Cały plan się zawalił, prawda, Garionie? - westchnęła Ce'Nedra. Jej dolna warga zadrzęła.

- Naprawimy to - odparł, tuląc ją do siebie.

- Ale jak?

- Jeszcze nie opracowałem szczegółów.

- Nasza pozycja nie jest najlepsza, Garionie - oznajmił z powagą Barak. - Maszerujemy wprost na terytorium kultu z siłami znacznie słabszymi niż przeciwnik. W każdej chwili możemy wpaść w zasadzkę.

- Będziecie potrzebowali kogoś, kto zbada teren przed wami - stwierdził Beldin, unosząc wzrok znad kawałka mięsa, który szarpał zębami. Wepchnął do ust resztkę pieczeni i otarł palce o przód wysmarowanej tuniki. - Jeśli chcę, potrafię nie rzucać się w oczy.

- Ja się tym zajmę, wujku - odparła Polgara. - Z północy jedzie tu Hettar z algarskimi klanami. Czy mógłbyś polecieć do niego i opowiedzieć, co się stało? Potrzebujemy go tak szybko, jak to tylko możliwe.

Beldin, nadal żując mięso, rzucił jej pełne uznania spojrzenie.

- Zupełnie niezły pomysł, Pol - przyznał. - Sądziłem, że życie w małżeństwie osłabi ci umysł, ale wygląda na to, że sflaczał ci jedynie zadek.

- Wystarczy, wuju - ucięła kwaśno.

- Lepiej już ruszę - stwierdził. Przykucnął, rozłożył ramiona i przybrał postać sokoła.

- Nie będzie mnie przez kilka dni - oznajmił Silk, podchodząc do przyjaciół. - Może uda się jeszcze ocalić tę wyprawę. - Z tymi słowami zawrócił na pięcie i ruszył wprost do swego wierzchowca.

- Dokąd on jedzie? - spytał Javelina Garion.

- Potrzebujemy ludzi - odparł Drasanin. - Jedzie ich poszukać.

- Porenn - powiedziała Polgara, starając się spojrzeć w dół przez ramię - czy nie uważasz, że przez ostatnie parę miesięcy przybyło mi parę funtów?

Królowa Drasni uśmiechnęła się ciepło.

- Oczywiście, że nie, Polgaro. Drażnił się z tobą, nic więcej.

Mimo to gdy czarodziejka zdejmowała swój niebieski płaszcz, jej twarz wyrażała lekką obawę.

- Ruszę na zwiady - poinformowała Gariona. - Nie zatrzymujcie wojsk, ale też nie pędźcie. Wolałabym, żebyście nie wpakowali się w kłopoty, zanim zdążę was uprzedzić. - Jej postać zamigotała i wielka śnieżna sowa odpłynęła w dal na miękkich, bezszelestnych skrzydłach.

Po tym ostrzeżeniu Garion ostrożnie prowadził swoją armię, na czas marszu ustawivszy oddziały w możliwie najlepszym szyku obronnym. Podwoił liczbę zwiadowców i osobiście wjeżdżał na szczyt każdego wzgórza, aby sprawdzić następny odcinek drogi. Tempo marszu spadło do nie więcej niż piętnastu mil dziennie, i choć to opóźnienie irytowało go, wiedział, że nie ma innego wyjścia.

Polgara wracała każdego ranka, aby donieść, że od przodu nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo, po czym znów odlatywała bezgłośnie.

- Jak ona to robi? - spytała Ce'Nedra. - Mam wrażenie, że w ogóle nie śpi.

- Pol potrafi obywać się bez snu przez kilka tygodni - odrzekł Durnik. - Nic jej nie będzie, jeśli to nie potrwa przesadnie długo.

- Belgarionie - powiedział beztroskim głosem Podarek, ściągając wodze kasztanowego ogiera. - Wiesz chyba, że jesteśmy obserwowani?

- Co?

- Śledzą nas jacyś ludzie.

- Skąd?

- Z kilku miejsc. Są okropnie dobrze ukryci. A inni ludzie galopują bez przerwy pomiędzy tym miastem, do którego zmierzamy, a armią nad rzeką.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Barak. - Wygląda to tak, jakby starali się koordynować jakieś działania.

Garion obejrzał się przez ramię na królową Porenn, jadącą obok Ce'Nedry.

- Czy drasańska armia zaatakowałaby nas, gdyby Haldar wydał taki rozkaz? - zapytał.

- Nie - odparła stanowczo. - Wojska są mi absolutnie oddane. Odmówiłyby wykonania

podobnego rozkazu.

- A jeśli żołnierze sądziliby, że cię ratują? - wtrącił Podarek.

- Ratują?

- To właśnie zasugerował Ulfgar - wyjaśnił młodzieniec. - Generał ma powiedzieć swym wojskom, że jesteś naszym więźniem.

- Myślę, że w takich okolicznościach istotnie mogliby zaatakować, Wasza Wysokość - stwierdził Javelin. - Jeśli znajdziemy się między grupami wyznawców kultu a naszą armią, będziemy w niezłych opałach.

- Co jeszcze może pójść źle? - rzucił z irytacją Garion.

- Przynajmniej nie pada śnieg - pocieszył go Lelldorin. - W każdym razie w tej chwili.

Wydawało się, że armia niemal pełnie przez pozbawioną drzew okolicę. Po niebie nadal wędrowały złowieszcze chmury, cały świat skrył się za mroźną, szarą zasłoną. Każdego ranka warstwa lodu na cuchnących kałużach stawała się coraz grubsza.

- W tym tempie nigdy nie zajedziemy na miejsce, Garionie - rzuciła niecierpliwie Ce'Nedra któregoś ponurego ranka.

- Jeśli wpadniemy w zasadzkę, w ogóle nigdzie nie dotrzemy - odparł. - Nie podoba mi się to tak samo jak tobie, ale nie sądzę, abyśmy mieli jakikolwiek wybór.

- Chcę moje dziecko.

- Ja także.

- W takim razie zrób coś.

- Jestem otwarty na propozycje.

- Nie mógłbyś... - zrobiła znaczący gest ręką. Garion potrząsnął głową.

- Wiesz, że nawet te rzeczy mają pewne ograniczenia.

- To co z nich za pożytek? - spytała gorzko, owijając się ciasniej szarym rivańskim płaszczem.

Wielka biała sowa czekała na nich tuż za następnym wzniesieniem. Siedziała na kikutach gałęzi martwego pniaka, obserwując ich złotymi oczami, które nigdy nie mrugały.

- Lady Polgaro - powitała ją Ce'Nedra, lekko skłoniwszy głowę.

Biała sowa odpowiedziała sztywnym, statecznym ukłonem. Garion roześmiał się nagle.

Sowa zamigotała, otaczające ją powietrze zadrzało. Po sekundzie na jej miejscu siedziała Polgara, krzyżując nogi w kostkach.

- Z czego się śmiejesz, Garionie? - spytała.

- Nigdy przedtem nie widziałem kłaniającego się ptaka. Po prostu wydało mi się to zabawne.

- Żeby cię tylko brzuch nie rozboleł, kochanie - powiedziała, sznurując usta. - Chodź tu i pomóż mi zejść.

- Tak, ciociu Pol.

Gdy już zsadził ją na ziemię, spojrziała na niego z powagą.

- Sześć mil dalej przygotował zasadzkę duży oddział wyznawców kultu - poinformowała go.

- Jak duży?

- O połowę większy od was.

- Lepiej zawiadomimy resztę - oznajmił ponuro Garion, zawracając konia.

- Czy nie moglibyśmy w jakiś sposób ich wyminąć? - spytał Durnik, kiedy Polgara uprzedziła wszystkich o zasadzce.

- Nie sądzę, Durniku - odparła. - Wiedzą, że tu jesteśmy, i z pewnością nas śledzą.

- Trzeba nam więc ruszać do ataku - oznajmił z mocą Mandorallen. - Stajemy w słusznej sprawie i zwycięstwo jest pewne.

- To ciekawy przesąd - zauważył Barak - ale wolałbym, aby poparła go przewaga liczebna. - Potężny Cherek odwrócił się do Polgary. - Jak są rozlokowani? To znaczy...

- Wiem, co oznacza to słowo, Baraku. - Oczyszczyła stopą kawałek ziemi i wzięła do ręki patyk. - Szlak, którym podążamy, przechodzi przez wąwóz, przecinający niedalekie pasmo wzgórz. Mniej więcej w najgłębszym punkcie wąwozu odchodzi od niego w górę kilka rozpadlin skalnych. W czterech z nich ukryły się oddziały wroga. - Narysowała patykiem szkic terenu. - Bez wątpienia chcą zaczekać, póki nie znajdziemy się dokładnie między nimi, i wtedy zaatakować ze wszystkich stron.

Durnik przyjrzał się szkicowi, marszcząc czoło.

- Z łatwością zdołalibyśmy pokonać każdą z tych grup osobno - stwierdził, z namysłem drapiąc się po policzku. - Potrzebny nam jedynie sposób na powstrzymanie pozostałych trzech oddziałów.

- Dobrze to ująłeś - odrzekł Barak - ale nie sądzę, by tamci stali z boku tylko dlatego, że nie otrzymali osobnego zaproszenia.

- Nie - zgodził się kowal - więc będziemy musieli wznieść jakąś barierę, żeby im przeszkodzić.

- Coś wymyśliłeś, prawda, Durniku? - zgađła Porenn.

- Jakaż bariera zdołaby sprawić, by te łotry nie pospieszyły z pomocą swym kompa-

nom? - zapytał Mandorallen.

Durnik wzruszył ramionami.

- Sądzę, że mógłby tego dokonać ogień.

Javelin potrząsnął głową i wskazał na rosnące wokół niskie krzewy janowca.

- Cała tutejsza roślinność jest wciąż jeszcze zielona. Wątpię, aby zbyt dobrze się paliła.

Kowal uśmiechnął się.

- To nie musi być prawdziwy ogień.

- Mogłabyś to zrobić, Polgaro? - Oczy Baraka rozblęły.

Czarodziejka zastanowiła się przez chwilę.

- Nie w trzech miejscach jednocześnie.

- Ale przecież jest nas troje, Pol - przypomniał Durnik. - Ty możesz zablokować iluzorycznym ogniem jedną grupę; ja zajmę się drugą, a Garion - trzecią. Moglibyśmy zablokować trzy oddziały w ich rozpadlinach, a potem, kiedy już rozprawimy się z pierwszym, przejdziemy do następnych. - Lekko zmarszczył brwi. - Jedyne problem w tym, że nie bardzo wiem, jak dokładnie tworzy się iluzje.

- To nic trudnego, kochanie - zapewniła go ciocia Pol. - Wkrótce obaj z Garionem powinniście zorientować się, o co w tym chodzi.

- Co o tym sądzisz? - spytała Porenn Javelina.

- To niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne.

- Czy mamy jakiś wybór?

- Chyba nie.

- A zatem postanowione - oznajmił Garion. - Jeśli wyjaśnicie żołnierzom, co zamierzamy drobić, ja i Durnik możemy zacząć się uczyć rozpalania widmowych ognii.

W jakąś godzinę później rivańskie wojska ostrożnie ruszyły naprzód. Przechodząc przez szarozielone zarośla janowca każdy żołnierz trzymał rękę na głównej miecza. Przed nimi wznosiło się ciemne pasmo niskich wzgórz, a szlak, którym zdążali, prowadził wprost do kamienistego wąwozu, gdzie wyznawcy kultu Niedźwiedzia zaczęli się w zasadzce. Wjeżdżając w głęboki parów Garion zebrał całą odwagę i skupił wolę, przypominając sobie wszystko, czego nauczyła go ciocia Pol.

Plan zadziałał zaskakująco dobrze. Gdy pierwsza grupa nieprzyjaciół wyskoczyła ze swej kryjówki ze wzniesioną bronią i zwycięskim okrzykiem na ustach, Garion, Durnik i Polgara natychmiast zablokowali wyloty pozostałych trzech szczelin. Napastnicy zawahali się, a na widok płomieni, odgradzających kompanów od pola walki, ich tryumf zmienił się w roz-

pacz. Rivanie Gariona błyskawicznie wykorzystali ten moment zaskoczenia. Krok za krokiem pierwszy wrogi oddział ustępował pod ich naporem, cofając się w stronę wąskiej rozpadliny swej niedawnej kryjówki.

Garion jedynie drobną częścią umysłu rejestrował przebieg walki. Siedział na koniu, z Lelldorinem u boku, skupiając się całkowicie na podtrzymywaniu iluzji płomieni, gorąca i trzasku ognia, zamykającego wylot rozpadliny położonej dokładnie naprzeciw tej, w której toczyła się walka. Za zasłoną roztańczonych płomieni dostrzegał niewyraźne sylwetki wyznawców kultu, próbujących osłonić twarze przed żarem, którego w rzeczywistości nie było. I wtedy zdarzyło się coś, czego nikt nie przewidział. Uwięzieni fanatycy zaczęli pospiesznie czerpać wodę z cuchnącego stawu - i wylewać ją na nie istniejące płomienie. Oczywiście, owej próbie zduszenia iluzji ognia nie towarzyszył żaden syk, kłęby pary ani inne widoczne efekty. Po kilku chwilach jeden z wyznawców kultu, kuląc się ze strachu przestąpił barierę.

- Nie jest prawdziwy! - krzyknął przez ramię. - Ogień nie jest prawdziwy!

- Ale to jest - mruknął ponuro Lelldorin, wypuszczając strzałę prosto w pierś mężczyzny. Fanatyk rozrzucił ramiona i runął do tyłu prosto w ogień, który nie wyrządził żadnej szkody bezwładnemu ciału. To, rzecz jasna, zdradziło cały podstęp. Z początku kilku, potem zaś kilkunastu nieprzyjaciół przebiegło przez iluzję Gariona. Ręce Lelldonna poruszały się tak szybko, że tworzyły jedynie zamazaną plamę, kiedy wypuszczał strzałę za strzałą w gromadę szarżującą od strony wylotu rozpadliny.

- Jest ich zbyt wielu, Garionie! - krzyknął. - Nie powstrzymam ich! Musimy się wycofać!

- Ciociu Pol! - ryknął Garion. - Przebijają się!

- Zatrzymaj ich - odkrzyknęła. - Użyj woli. Skoncentrował się jeszcze bardziej i całą siłą woli odepchnął ludzi, wyłaniających się z rozpadliny. Z początku wydawało się, że nowy wybieg działa, ale towarzyszący temu wysiłek był ogromny i Garion wkrótce zaczął się męczyć. Krawędzie pospiesznie wzniesionej bariery poczęły słabnąć i ustępować. Napastnicy, których tak desperacko starał się powstrzymać, wkrótce odkryli owe słabe punkty.

Kierując całą swą wolę na podtrzymanie bariery, jak przez mgłę usłyszał nagły łoskot, niczym głos dalekiego gromu.

- Garionie! - zawołał Lelldorin. - Jeźdźcy, całe setki! Zdumiony, Garion uniósł wzrok i ujrzał nadeżdżającą ze wschodu hordę konnych wojowników, którzy wypadli spoza pobliskiego wzniesienia.

- Ciociu Pol! - krzyknął, sięgając przez ramię, aby dobyć wielkiego miecza Żelaznopalcego.

Nagle jednak fala jeźdźców skręciła gwałtownie i runęła wprost na szeregi wyznawców kultu, którzy właśnie mieli przebić się przez blokadę. Nowi sprzymierzeńcy byli smukli, spaleni słońcem, a z ich twarzy spoglądały dziwne, skośne oczy.

- Nadrakowie! Na bogów, to Nadrakowie! - ryknął Barak z przeciwnej strony wąwozu.

- Co oni tu robią? - wymamrotał pod nosem Garion.

- Garionie! - wykrzyknął Lelldorin. - Ten człowiek w środku grupy - czy to nie ksiązę Kheldar?

Szarża nowego oddziału szybko przeważyla szalę bitwy.

Nadrakowie ruszyli wprost na zaskoczonych fanatyków, wysypujących się ze swych rozpadlin, siejąc przeraźliwe spustoszenie.

Doprowadziwszy jeźdźców na miejsce, Silk porzucił ich i dołączył do Gariona i Lelldorina.

- Dzień dobry, panowie - powitał ich wyniośle. - Mam nadzieję, że nie musieliście zbyt długo czekać.

- Skąd wzięłeś tych wszystkich Nadraków? - spytał Garion. Gwałtowna ulga sprawiła, iż niemal dygotał.

- Oczywiście w Gar og Nadrak.

- Dlaczego mieliby nam pomagać?

- Bo im zapłaciłem. - Silk wzruszył ramionami. - Jesteś mi winien sporą sumę pieniędzy, Garionie.

- Jak zdołałeś tak szybko ich zebrać? - zainteresował się Lelldorin.

- Tuż za granicą mamy z Yarblekiem faktorię, gdzie handlujemy futrami. Myśliwi, którzy ostatniej wiosny dostarczyli tam swoje skóry, obozowali w pobliżu, popijając i grając w kości, więc ich wynająłem.

- Zdążyłeś w sam czas - stwierdził Garion.

- Zauważyłem. Te wasze ognie to użyteczna sztuczka.

- Do chwili, kiedy zaczęli polewać je wodą. W tym momencie sytuacja stała się napięta.

Kilkuset pochwyconych w dwa ognie fanatyków zdołało umknąć z ogólnej rzezi, wspinając się po stromych zboczach i czmychając na mokradła, lecz dla większości ich towarzyszy nie było ucieczki.

Barak ruszył w górę jaru, w którym rivańskie wojska likwidowały nielicznych niedobitków, ocalałych z pierwszego ataku.

- Chcesz dać im możliwość poddania się? - spytał. Garion przypomniał sobie rozmowę z Polgarą sprzed kilkunastu dni.

- Chyba powinniśmy - odparł po krótkim namyśle.

- Wiesz, że nie musisz tego robić - podkreślił Barak. - W tych okolicznościach nikt nie miałby do ciebie pretensji, gdybyś ich wybił do nogi.

- Nie - uciął Garion. - Nie sądzę, abym tego pragnął. Powiedz ocalałym, że darujemy im życie, jeśli złożą broń.

Barak wzruszył ramionami.

- Ty tu decydujesz.

- Silk, ty kłamliwy stary złodzieju! - ryknął wysoki Nadrak w filcowym płaszczu i nieprawdopodobnym futrzanym kapeluszu. Zajęty był brutalnym przeszukiwaniem zwłok zabitego fanatyka. - Mówiłeś, że wszyscy mają przy sobie pieniądze i są obwieszani złotymi łańcuchami i bransoletami. Cały majątek tego tutaj to kilka pcheł.

- Może odrobinę przesadziłem, Yableku - przyznał uprzejmie Silk.

- Czy wiesz, że powinienem wypruć ci flaki?

- Ależ Yableku - zaprotestował Silk, znakomicie udając oburzenie - jak możesz tak mówić do własnego brata?

- Brata! - prychnął Nadrak. Powoli podniósł się z ziemi i wymierzył solidnego kopniaka ciała, które tak boleśnie zawiodło jego oczekiwania.

- Ustaliliśmy przecież, zawiązując spółkę, że będziemy się traktować jak bracia.

- Nie przekręcaj moich słów, stary lisie. Poza tym swojego brata poczęstowałem nożem dwadzieścia lat temu - za to, że mnie okłamał.

Gdy ostatni otoczeni fanatycy w obliczu przewagi wroga odrzucili broń, do wąwozu wjechali ostrożnie Polgara, Ce'Nedra i Podarek. Towarzyszył im brudny, garbaty Beldin.

- Wasze algarskie posiłki są wciąż kilkanaście dni drogi za wami - poinformował Gariona czarodziej. - Próbowałem ich nieco pogonić, ale są zbyt pobłażliwi dla swoich koni. Skąd wzięliście tylu Nadraków?

- Silk ich wynajął.

Beldin z aprobatą skinął głową.

- Najemnicy to najlepsi żołnierze - stwierdził. Yablek zwrócił swą nieokrzesaną twarz w stronę Polgary. Kiedy ją poznał, jego oczy zabłyśły.

- Jesteś równie urocza, co kiedyś, dziewczyno - powiedział. - Czy nadal upierasz się, że nie mogę cię kupić?

- Nie, Yableku - odparła. - Przynajmniej nie na razie. Zjawileś się w najodpowied-

niejszej chwili.

- Tylko dlatego, że pewien oszust obiecał mi duże łupy. - Rzucił gniewne spojrzenie Silkowi, po czym trącił nogą leżącego obok trupa. - Szczerze mówiąc, więcej bym zarobił, obdzierając zdechłe kury.

Beldin zerknął na Gariona.

- Jeśli zamierzasz odzyskać syna, nim puści mu się broda, to lepiej ruszaj.

- Muszę zdecydować, co zrobić z jeńcami - odrzekł Garion.

- O czym tu myśleć? - Yarblek wzruszył ramionami. - Ustaw ich w rzędzie i odrąb głowy.

- Absolutnie nie!

- Po co wdawać się w walkę, jeśli potem nie można zarżnąć jeńców?

- Któregoś dnia, gdy będziemy mieli trochę więcej czasu, postaram ci się to wyjaśnić - stwierdził Silk.

- Alornowie! - westchnął Yarblek, unosząc wzrok ku ołowianoszaremu niebu.

- Yarblek, ty parszywy psi synu! - odezwała się kruczowłosa kobieta w skórzanych bryczesach i obcisłej skórzanej kamizeli. Otaczała ją aura gniewu i zniewalającej zmysłowości. - Zdaje się, że wspominałeś, iż zarobimy, obszukując trupy. Te szczury nie mają przy sobie złamanego grosza.

- Oszukano nas, Yellu - odparł ponuro, gromiąc spojrzeniem Silka.

- Mówiłam ci, żebyś nie ufał temu małemu krętaczowi. Nie tylko jesteś paskudny, Yarbleku, ale także głupi jak but.

Garion wpatrywał się ciekawie w rozgniewaną kobietę.

- Czy to nie ta sama dziewczyna, która tańczyła wtedy w tawernie w Gar og Nadrak? - spytał Silka, wspominając niezwykłą, zmysłową tancerkę, która rozpałała krew każdego mężczyzny w przydrożnym zajeździe.

Drobny Drasanin skinął głową.

- Poślubiła tego trapera - Tekka - ale w kilka lat później jej mąż wdał się w dyskusję z niedźwiedziem i to niedźwiedź miał ostatnie słowo. Brat Tekka sprzedał ją Yarblekowi.

- Najgorszy błąd, jaki kiedykolwiek popełniłem - oznajmił żałośnie Yarblek. - Jej noże są niemal tak ostre jak język. - Podciągnął rękaw i zademonstrował jaskrawoczerwoną bliznę. - Próbowałem tylko się zaprzyjaźnić.

Yella roześmiała się.

- Ha! Znasz zasady, Yarbleku. Jeśli chcesz zachować swoje flaki, trzymaj ręce przy sobie.

Beldin popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Zuchwała dziewczka, co? - mruknął do Yableka. - Lubię panny o ostrym dowcipie i ciętym języku.

W oczach Nadraka rozbłysła szalona nadzieja.

- Podoba ci się? - spytał z zapalem. - Jeśli chcesz, mogę ci ją sprzedać.

- Czy zupełnie straciłeś rozum, Yableku? - rzuciła z oburzeniem Yella.

- Proszę cię. Rozmawiam o interesach.

- Tego obdartego karła nie stać nawet na kufel taniego ale, a co dopiero na mnie. - Odwróciła się do Beldina. - Czy miałeś kiedykolwiek choćby dwa grosze naraz, bęcwale?

- Po co się wtrącasz? Zepsułaś całe negocjacje - zaprotestował żałośnie Yablek.

Beldin jednak posłał ciemnowłosej kobiecie złośliwy, krzywy uśmiezek.

- Ciekawisz mnie, dziewczyno - oznajmił - a od kiedy pamiętam, nikomu nie udało się tego dokonać. Postaraj się jednak trochę popracować nad swoimi przekleństwami. Powinny mieć płynniejszy rytm. - Odwrócił się do Polgary. - Chyba wrócę i sprawdzę, co knują ci draśnący pikinierzy. Mam dziwne wrażenie, że nie chcemy, żeby podeszli nas zniecać. - To rzekłszy rozłożył ramiona, przykucnął i zmienił się w sokoła.

Yella odprowadziła go pełnym niedowierzania wzrokiem.

- Jak on to zrobił? - westchnęła.

- Jest bardzo utalentowany - stwierdził Silk.

- Istotnie. - Rzuciła Yablekowi płomienne spojrzenie. - Czemu pozwoliłeś mi tak go potraktować? Wiesz, jak ważne jest pierwsze wrażenie. Teraz nigdy nie zaproponuje za mnie przyzwoitej ceny.

- Widzisz przecież, że nie ma ani grosza.

- Istnieją rzeczy ważniejsze od pieniędzy.

Yablek potrząsnął głową i odszedł, mamrocząc coś do siebie. Oczy Ce'Nedry były twarde niczym zielone agaty.

- Garionie - powiedziała niebezpiecznie łagodnym tonem - któregoś niezbyt odległego dnia będziemy musieli pomówić o tawernach, które wspomniałeś, a także o tancerkach - i jeszcze paru innych rzeczach.

- To było bardzo dawno temu, kochanie - odparł szybko.

- Nie dość dawno.

- Czy ktoś tu ma cokolwiek do jedzenia? - rzuciła głośno Yella, rozglądając się wokół.

- Jestem głodna jak wilczyca z tuzinem szczeniąt.

- Myślę, że coś dla ciebie znajdę - stwierdziła Polgara. Yella spojrzała na nią i jej oczy

wolno rozszerzyły się ze zdumienia.

- Czy jesteś tym, za kogo cię uważam? - spytała pełnym czci głosem.

- To zależy, za kogo mnie uważasz, kochanie.

- Rozumiem, że pani tańczy - zagadnęła chłodno Ce'Nedra.

Yella wzruszyła ramionami.

- Wszystkie kobiety tańczą. Ja po prostu jestem najlepsza.

- Wydajesz się bardzo pewna siebie.

- Stwierdzam fakt, i tyle. - Yella przyjrzała się jej ciekawie. - Ależ z ciebie drobina - zauważyła. - Chyba niezbyt wyrosłaś?

- Jestem królową Rivy - oznajmiła Ce'Nedra, dumnie unosząc głowę.

- Brawo, dziewczyno! - odparła ciepło Yella, klepiąc ją po ramieniu. - Zawsze się cieszę, kiedy kobieta do czegoś dojdzie.

Był późny ranek szarego, pochmurnego dnia, kiedy Garion stanął na szczycie wzgórza i po drugiej stronie płytkiej doliny ujrzał przed sobą potężną bryłę Rheonu. Miasto stało na stromym wzniesieniu, jego mury wznosiły się wśród bujnych janowców, porastających zboża.

- No cóż - stwierdził Barak, dołączając do Gariona. - Oto i on.

- Nie przypuszczałem, że jego mury są aż tak wysokie - przyznał Garion.

- Pracowali nad nimi - Barak wskazał ręką. - Na blankach widać świeży kamień.

Nad miastem, szarpana mroźnym wiatrem, powiewała z łopotem szkarłatna chorągiew kultu Niedźwiedzia - wyzywająca krwistoczerwona flaga z wyrysowaną pośrodku czarną sylwetką stojącego niedźwiedzia. Z jakichś przyczyn jej widok wzbudził w Garionie bezrozumną furję.

- Trzeba to zwalić - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Po to właśnie przybyliśmy - odparł Barak.

Po chwili stanął obok nich Mandorallen, zakuty w lśniącą zbroję.

- To nie pójdzie tak łatwo, co? - rzucił Garion.

- Nie będzie tak źle - pocieszył go Barak - kiedy tylko dotrze tu Hettar.

Mandorallen wprawnym okiem ocenił fortyfikacje.

- Nie przewiduję nijakich trudów, których nie dałoby się przewyciężyć - oświadczył pewnym siebie tonem. - Gdy zaś powrócą zbrojni, których kilka setek wyprawilem po drwa do puszczy, leżącej kilkanaście staj na północ, rozpocznę budowę machin oblężniczych.

- Czy naprawdę można wyrzucić z katapulty kamień dość duży, by wybił dziurę w murach tej grubości? - spytał z powątpiewaniem Garion.

- Niejedno przecie uderzenie miażdży mury, Garionie - odrzekł rycerz - lecz raczej liczne ciosy, padające jeden za drugim. Zamknę miasto w pierścieniu machin i zasypię mury deszczem głazów. Wierzę, że nim przybędzie tu mości Hettar, zdołamy uczynić parę wyłomów.

- Czy ludzie w środku nie będą naprawiać murów równie szybko, jak ty będziesz je niszczyć? - chciał wiedzieć Garion.

- Nie, jeśli część katapult zacznie ich obrzucać płonąca smołą - poinformował go Barak. - Kiedy się palisz, trudno jest skupić się na czymkolwiek.

Garion skrzywił się.

- Nie cierpię używać ognia przeciwko ludziom - stwierdził, wspominając przez moment Murga Asharaka.

- To jedyny sposób - odparł z powagą Cherek. - W przeciwnym razie stracisz mnóstwo dobrych żołnierzy.

- W porządku - westchnął Garion. - Bierzmy się więc do roboty.

Rivanie, wzmocnieni oddziałem myśliwych Yarbleka, utworzyli szeroką obręcz wokół ufortyfikowanego miasta. Choć ich połączone siły były wciąż za małe, by przeprowadzić udany atak na posępne, wyniosłe mury, zdołali jednak całkowicie otoczyć miasto. Budowa machin oblężniczych Mandorallena zabrała tylko parę dni, a gdy je ukończono i rozmieszczono na odpowiednich pozycjach, jednostajny jęk ciasno skręconych sznurów, rozwijających się z potworną siłą, i głuchy łoskot kamieni roztrzaskujących się o mury wypełniały powietrze nieustannym hałasem.

Ze swego punktu obserwacyjnego na szczycie pobliskiego wzgórza Garion przyglądał się, jak kamień za kamieniem szybuje wysokim łukiem, aby uderzyć w niewzruszone, zdawałoby się, mury.

- Smutno na to patrzeć - zauważyła towarzysząca mu królowa Porenn. Wiatr szarpał jej czarną suknię i unosił płowe włosy, gdy przygnębionym wzrokiem obserwowała, jak maszyny Mandorallena nieznużenie atakują miasto. - Rheon stoi tu od niemal trzech tysięcy lat. Był jak skała, strzegąca granicy. To dziwne uczucie - oblegać jedno ze swoich własnych miast - szczególnie jeśli pamiętać, że połowa naszych sił to Nadrakowie, przed którymi właśnie Rheon miał nas bronić.

- Wojny są zawsze nieco absurdalne, Porenn - zgodził się Garion.

- Bardziej niż nieco. A przy okazji - Polgara prosiła, aby cię zawiadomić, że wrócił Beldin. Ma ci coś do powiedzenia.

- Dobrze. Zatem wracamy? - podał ramię królowej Drasni.

Beldin leżał wyciągnięty w trawie obok namiotów, ogryzając strzępy mięsa z kości z rosołu i wymieniając błahe wyzwiska z Yellą.

- Masz niewielki problem, Belgarionie - oznajmił. - Drasańscy pikinierzy zwinęli obóz i maszerują w tę stronę. Garion zmarszczył brwi.

- Jak daleko jest Hettar?

- Dość daleko, by cała rzecz zamieniła się w wyścig - odparł garbus. - Spodziewam się, że wynik całego przedsięwzięcia zależeć będzie od tego, która armia dotrze tu pierwsza.

- Drasanie chyba nas nie zaatakują, prawda? - wtrąciła Ce'Nedra.

- Trudno powiedzieć - odrzekła Porenn. - Jeśli Haldar przekonał ich, że jestem więźniem Gariona, to mogą uderzyć. Javelin wziął konia i pojechał do nich, żeby sprawdzić, czy zdoła dowiedzieć się czegoś bliższego.

Garion zaczął niespokojnie przechadzać się tam i z powrotem, skubiąc zębami czubek palca.

- Nie obgryzaj paznokci, kochanie - upomniała go Polgara.

- Tak, ciociu - odparł odruchowo, nadal zatopiony w myślach. - Czy Hettar jedzie najszybciej, jak potrafi? - spytał Beldina.

- Popędza konie tak bardzo, jak na to pozwala ich wytrzymałość.

- Gdyby tylko istniał sposób, by opóźnić marsz pikinierów.

- Mam kilka pomysłów - stwierdził Beldin i spojrzał na Polgarę. - Co powiesz na krótki lot, Pol? Mogę potrzebować pomocy.

- Nie życzę sobie, abyś zrobił krzywdę tym ludziom - oznajmiła stanowczo królowa Porenn. - To moi poddani, nawet jeśli ich okłamano.

- Jeżeli plan, o którym myślę, powiedzie się, nikomu nic się nie stanie - zapewnił ją czarodziej. Wstał z ziemi i otrzepał tył brudnej tuniki. - Miło było z tobą pogawędzić, panienko - zwrócił się do Yelli.

Ta obsypała go takim gradem przekleństw, że Ce'Nedra aż zbladła.

- Coraz lepiej ci idzie - powiedział z aprobatą. - Chyba zaczynasz nabierać wprawy. Idziesz, Pol?

Yella odprowadziła wzrokiem wznoszącą się w górę parę ptaków: błękitno znaczonego sokoła i śnieżnobiałą sowę. Jej twarz miała nieprzenikniony wyraz.

ROZDZIAŁ 23

Gdy później tego samego dnia Garion wybrał się na przejażdżkę, chcąc przyjrzeć się postępowi w pracach oblężniczych wokół Rheonu, zastał Baraka, Mandorallena i Durnika pograżonych w zaciętej dyskusji.

- Chodzi o to, w jaki sposób buduje się mury, Mandorallenie - tłumaczył Durnik. - Miejskie fortyfikacje stawiane są po to, by wytrzymać dokładnie to, co właśnie starasz się z nimi zrobić.

Rycerz wzruszył ramionami.

- A zatem to próba sił, mości Durniku. Przekonamy się, co jest mocniejsze - ich mury czy moje maszyny.

- Taka próba może potrwać parę miesięcy - zauważył kowal. - Gdybyś jednak, zamiast obrzucać mur kamieniami od zewnątrz, tak przestawił katapulty, by pociski celowały w wewnętrzną powierzchnię umocnień po przeciwnej stronie miasta, to istnieje duża szansa, że zdołasz je po prostu przewrócić.

Mandorallen zmarszczył brwi, przetrawiając słowa przyjaciela.

- On może mieć rację - wtrącił Barak. - Miejskie mury są zazwyczaj podparte od środka. Buduje się je po to, by nie wpuścić wroga, nie po to, by uwięzić mieszkańców. Jeśli zaczniesz walić kamieniami od wewnątrz, podpory na nic się nie przydadzą. Co więcej, jeżeli mur runie na zewnątrz, stworzy nam znakomite podejście. Nie będziemy potrzebowali drabin.

Yarblek, przechadzający się nie opodal, dołączył do rozmowy. Gdy Durnik opowiedział mu o swym pomysle, oczy Nadraka zwęziły się, skupione. Odruchowo poprawił swą zawadiacko przekrzywioną futrzaną czapę.

- Coś w tym jest, Arendzie - stwierdził, zwracając się do Mandorallena. - A kiedy twoje katapulty dostatecznie osłabią mury, możemy zarzucić na nie kilka mocnych haków. Jeśli to się powiedzie, zapewne zdołamy je wyrwać.

- Muszę przyznać, że te niezmiernie nieortodoksyjne metody mogą okazać się przełomem w sztuce oblężniczej - stwierdził Mandorallen. - Choć wyraźnie sprzeciwiają się odwiecznej tradycji, to jednocześnie zapowiadają znaczne skrócenie nużących działań, zmierzających do zburzenia murów. - Zerknął ciekawie na Yarbleka. - Nigdy nie przyszło mi na myśl, że można by użyć haków - przyznał.

Yarblek roześmiał się chrapliwie.

- Prawdopodobnie dlatego, że nie jesteś Nadrakiem. Cierpliwość nie należy do naszych najmocniejszych stron, więc budujemy kiepskie mury. W swoim czasie zwałem niejedną na oko całkiem solidny dom - z różnych względów.

- Uważam jednak, że nie powinniśmy się spieszyć z użyciem haków - ostrzegł Barak.
- W tej chwili ludzie w mieście przewyższają nas liczbą i nie chcemy dać im powodu, by wyroili się stamtąd. Jeśli zaś rozwalisz czyjś mur, właściciel zwykle trochę się denerwuje.

Oblężenie Rheonu trwało kolejne dwa dni, nim Javelin wrócił na grzbiecie spienionego wierzchowca.

- Haldar umieścił swoich ludzi na większości ważniejszych stanowisk w armii - oznajmił, gdy wszyscy zebrali się w wielkim, ciemnobrązowym namiocie, służącym za kwaterę główną oblegających wojsk. - Kręcą się wszędzie, wygłaszając płomienne mowy o tym, jak Belgarion uwięził królową Porenn. Już prawie przekonali wojsko, że idą jej na pomoc.

- Czy wiadomo cokolwiek o Brendigu i jego Sendarach? - zapytał Garion.

- Osobiście ich nie widziałem, ale Haldar prowadzi swą armię bardzo forsownym marszem i zostawia za sobą mnóstwo zwiadowców. Zdaje się, że jest przekonany, iż Brendig depcze mu po piętach. W powrotnej drodze natknąłem się na lady Polgarę i czarodzieja Belcina. Chyba coś planowali, ale nie miałem czasu, by wypytywać o szczegóły.

Ciężko opadł na krzesło, jego twarz zdradzała krańcowe wyczerpanie.

- Jesteś zmęczony, Kheldonie - stwierdziła Porenn. - Prześpij się może parę godzin, a wieczorem znów się spotkamy.

- Nic mi nie jest, Wasza Wysokość - odparł szybko.

- Idź do łóżka, Javelinie - powiedziała stanowczo królowa. - Twój udział w dyskusji nie na wiele się zda, jeśli zaśniesz na krześle.

- Równie dobrze możesz zrobić to, co ci każe - poradził Silk. - I tak będzie ci matkować, czy ci się to podoba, czy nie.

- Wystarczy, Silku - wtrąciła Porenn.

- Ale przecież tak będzie, ciociu. Jesteś znana, jak świat długi i szeroki, jako mateczka Drasni.

- Powiedziałam: wystarczy.

- Tak, mamó.

- Stąpasz po bardzo niepewnym gruncie, Silku - zauważył Yarblek.

- Zawsze stąпам po niepewnym gruncie. To nadaje smak życiu.

Ponury dzień zaczynał przechodzić w jeszcze bardziej ponury wieczór, gdy Garion wraz z przyjaciółmi ponownie zebrali się w wielkim namiocie pośrodku obozu. Yarblek przy-

niósł ze sobą kilka zwiniętych dywanów i żelaznych żarników, i te dodatki do wyposażenia kwatery głównej nadały wnętrzu namiotu nieco barwnej, wręcz barbarzyńskiej atmosfery.

- Gdzie jest Silk? - spytał Garion, rozglądając się, gdy wszyscy zasiedli już wokół rozpalonych żarników.

- Poszedł powęszyć - odparł Barak. Garion skrzywił się.

- Choć raz mógłby być tam, gdzie powinien.

Po kilku godzinach snu Javelin odzyskał swą zwykłą czujność. Jego twarz miała jednak poważny wyraz.

- Mamy coraz mniej czasu - oznajmił. - W tej chwili zmierzają ku nam trzy armie. Z południa nadciąga lord Hettar, z zachodu - generał Brendig. Na nieszczęście wygląda na to, że pierwsi zjawią się drasańscy pikinierzy.

- Chyba że Pol i Beldin zdołają opóźnić ich marsz - uzupełnił Durnik.

- Nie wątpię w zdolności lady Polgary i mistrza Beldina - odrzekł Javelin - ale sądzę, że powinniśmy postanowić, co zrobimy w wypadku, gdyby im się nie powiodło. Zawsze lepiej jest być przygotowanym na najgorsze.

- Mądre to słowa, mój panie - mruknął Mandorallen.

- Tymczasem my - ciągnął szef drasańskiego wywiadu - wcale nie chcemy walczyć z tymi pikinierami. Po pierwsze, nie są oni naprawdę naszymi nieprzyjaciółmi, po drugie - bitwa z nimi do tego stopnia osłabiłaby nasze siły, że każda większa wycieczka z miasta mogłaby nas pokonać.

- Do czego zmierzasz, Javelinie? - spytała Porenn.

- Uważam, że powinniśmy dostać się do miasta.

- Mamy za mało ludzi - odparł niewzruszenie Barak.

- Powalenie murów zaś zabierze jeszcze kilka dni - dodał Mandorallen.

Javelin uniósł dłoń.

- Jeśli skupimy maszyny oblężnicze na krótkim odcinku umocnień, możemy przebić się w jeden dzień.

- Ale w ten sposób sami ogłosimy, gdzie zamierzamy uderzyć - zaprotestował Lelldorin. - Wojska wewnątrz murów będą już na nas czekać.

- Nie, jeśli reszta miasta zacznie się palić - odrzekł Javelin.

- Nie ma mowy - oznajmił Garion tonem nie dopuszczającym najmniejszego sprzeciwu. - Tam może być mój syn. Nie mam zamiaru narażać go na śmierć w płomieniach.

- Nadal twierdzą, że nie mamy dość ludzi, by zająć miasto - upierał się Barak.

- Nie musimy zajmować całego Rheonu, lordzie Trelheim. Wystarczy, że dostaniemy

się do środka. Jeśli zdobędziemy jedną dzielnicę i umocnimy się w niej, możemy bronić się tam zarówno przed wyznawcami kultu z miasta, jak i przed Haldarem atakującym z zewnątrz. Powstrzymamy ich, póki nie przybędą lord Hettar i generał Brendig.

- Brzmi to obiecująco - stwierdził Yablek. - W tej chwili znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Jeśli pikinierzy dotrą tu pierwsi, waszym przyjaciółom pozostanie jedynie zebranie naszych szczątków.

- Żadnego ognia - oświadczył nieustępliwie Garion.

- Lękam się wszakże, że jakkolwiek wybierzemy drogę, nie wdrzemy się do miasta, póki nie runą mury - zauważył Mandorallen.

- Mury to żaden problem - odparł cicho Durnik. - Żaden z nich nie jest mocniejszy niż jego podstawa.

- To niemożliwe, mości Durniku - przerwał mu rycerz. - Na fundamencie spoczywa cały ciężar murów. Żadna machina w świecie nie zdoła poruszyć podobnej masy.

- Nie mówiłem o machinie.

- Co masz na myśli, Durniku? - spytał Garion.

- To nie będzie specjalnie trudne. Dobrze przyjrzałem się fortyfikacjom. Nie stoją na skale, lecz na ubitej ziemi. Musimy jedynie nieco ją poruszyć. W tej okolicy jest mnóstwo podziemnych źródeł. We dwóch powinniśmy bez trudu skierować wody pod określony odcinek murów. W mieście nikt tego nie zauważy. Kiedy grunt solidnie rozmięknie, parę tuzinów haków Yableka bez kłopotu załatwi sprawę.

- Czy da się to zrobić, Garionie? - zapytał Lelldorin. Garion zastanowił się.

- To możliwe - stwierdził wreszcie. - Zupełnie możliwe.

- A jeśli zrobimy to w nocy, będziemy mogli zająć pozycje w pobliżu i natychmiast wtargnąć do miasta - dodał Barak. - Dostaniemy się do środka nie tracąc ani jednego człowieka.

- Ciekawy pomysł - zauważył Silk, stając w wejściu do namiotu. - Odrobinę nieetyczny, ale zupełnie nowatorski.

- Gdzie się podziewałeś, spryciarzu? - rzucił Yablek.

- Prawdę mówiąc, byłem w Rheonie.

- W samym mieście? - spytał ze zdumieniem Barak. Silk wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Uznałem, że lepiej będzie, jeśli wyprowadzę stamtąd naszą wspólną przyjaciółkę, nim zamienimy to miejsce w kupę gruzów. - Odsunął się z drwiącym uśmiechem i wpuścił do środka miodowłosą margrabiankę Liselle.

- To dopiero urodziwa kobieta - westchnął z zachwytem Yablek.

Liselle uśmiechnęła się do niego, na jej policzkach zatańczyły dołeczki.

- Któreśy dostałeś się do środka? - zainteresował się Garion.

- Wolałbyś tego nie wiedzieć, Garionie - odparł Drasanin o szczurzej twarzy. - Zawsze istnieje droga do – i z - miasta, jeśli ma się w sobie dość determinacji.

- Nie pachniecie zbyt pięknie - stwierdził Yarblek.

- To właśnie z powodu drogi, jaką musieliśmy wybrać - odparła Liselle, marszcząc z niesmakiem nos.

- Świetnie wyglądasz - zagadnął siostrzenicę Javelin - biorąc pod uwagę okoliczności.

- Dziękuję, wuju. - Dziewczyna odwróciła się do Gariona. - Czy pogłoski krążące po mieście są prawdziwe, Wasza Wysokość? - spytała. - Pański syn rzeczywiście został porwany?

Garion ponuro skinął głową.

- To się stało tuż po tym, jak zdobyliśmy Jandksholm. Dlatego tu jesteśmy.

- Ale z tego, co mi wiadomo, księcia Gerana nie ma w mieście.

- Jesteś pewna?! - wykrzyknęła Ce'Nedra.

- Tak sądzę, Wasza Wysokość. Wyznawcy kultu są zdumieni. Wydaje się, że nie mają pojęcia, kto go wprowadził.

- Przypuśćmy, że Ulfgar trzyma to w sekrecie - zasugerował Javelin. - Może tylko niewielka grupka zna prawdę.

- Możliwe, ale nie sądzę, aby tak było. Nie zdołałam dotrzeć dość blisko niego, by się upewnić, na oko jednak sprawiał wrażenie kogoś, kogo wszystkie plany przybrały zły obrót. Nie sądzę, aby oczekiwał ataku na Rheon. Fortyfikacje miasta nie są bynajmniej tak potężne, jak to się zdaje z zewnątrz. Dotyczy to zwłaszcza północnej części murów. Rozbudowa umocnień była jedynie rozpaczliwym posunięciem. Ulfgar nie spodziewał się oblężenia. Gdyby to on zorganizował porwanie, przygotowałby się do walki - chyba że sądził, iż nigdy nie domyślicie się jego związku z tą sprawą.

- To wspaniałe wieści, pani - pochwalił ją Mandorallen. - Skoro wiadomo nam o słabości północnych umocnień, na nich właśnie skupimy nasze wysiłki. Jeżeli plan mości Durnika okaże się wykonalny, osłabienie podstawy muru z tamtej strony rychło go obali.

- Co możesz nam powiedzieć o samym Ulfgarze? - spytał dziewczynę Barak.

- Widziałam go tylko przelotnie i z daleka. Większość czasu spędza w swym domu, gdzie wstęp mają jedynie najbardziej zaufani ludzie. Ale tuż przed tym, jak wysłał swoje oddziały na wasze spotkanie, wygłosił mowę. Przemawia z ogromnym uczuciem i całkowicie kontroluje tłumy. Mogę o nim powiedzieć tylko jedno: to nie Alorn.

- Nie? - Barak sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Jego twarz nie zdradza narodowości, ale akcent i wymowa nie należą do Alorna.

- Czemu kult miałby zaakceptować obcokrajowca jako swego przywódcę? - zapytał Garion.

- Nie mają pojęcia, że to obcy. Niewłaściwie wymawia pewne słowa - zaledwie kilka - i tylko wyszkolone ucho jest w stanie to wychwycić. Gdybym zdołała znaleźć się w jego najbliższym otoczeniu, spróbowałabym skłonić go do wypowiedzenia słów, które mogłyby zdradzić jego narodowość. Przykro mi, że nie mogę powiedzieć nic więcej.

- Jak silna jest jego władza nad kultem? - spytał Javelin.

- Absolutna. Zrobią wszystko, co im każe. Uważają go za coś w rodzaju boga.

- Musimy wziąć go żywcem - oznajmił posępnie Garion. - Chcę, żeby odpowiedział mi na kilka pytań.

- To może się okazać niezmiernie trudne, Wasza Wysokość - stwierdziła Liselle. - Mieszkańcy Rheonu wierzą, że Ulfgar jest czarodziejem. Osobiście nie zetknęłam się z żadnymi dowodami, które by to potwierdzały, ale rozmawiałam z ludźmi, którzy ponoć byli naczynymi świadkami jego wyczynów - a przynajmniej tak twierdzili.

- Zasłużyła sobie pani na naszą wdzięczność, margrabianko - oznajmiła ciepło Porenn.

- Nie zapomnimy o tym.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - odparła z prostotą Liselle i dygnęła z wdziękiem. Następnie znów zwróciła się do Gariona. - Informacje, które zdołałam zgromadzić, pozwalają sądzić, że zebrane w mieście siły kultu nie są wcale tak potężne jak przypuszczaliśmy. Wyznawców jest wprawdzie mnóstwo, lecz spora część z nich to młodzi chłopcy i starcy. Zdaje się, że desperacko liczą na maszerujące tu wojska dowodzone przez sekretnego wyznawcę kultu.

- Haldara - wtrącił Barak. Skinęła głową.

- A to z powrotem doprowadza nas do poprzedniego tematu - stwierdził Javelin. - Bezwzględnie musimy dostać się za mury. - Zerknął na Durnika. - Jak sądzisz, ile czasu potrzeba, by grunt pod północnymi umocnieniami zmiękł na tyle, aby można było powalić całą konstrukcję?

Durnik wyprostował się na krześle, spoglądając z namysłem w sufit namiotu.

- Chcemy ich zaskoczyć - powiedział - więc nie możemy dopuścić, by woda wytrysnęła na powierzchnię - przynajmniej z początku. Stopniowe nasycenie gruntu powinno pozostać nie zauważone. Potrzeba jednak czasu, aby go rozmiękczyć.

- I musimy działać bardzo ostrożnie - dodał Garion. - Jeśli ten Ulfgar rzeczywiście jest

czarodziejem, usłyszysz nas, gdybyśmy narobili hałasu.

- Kiedy runie mur, i tak będzie spory hałas - zauważył Barak. - Czemu po prostu nie roztrzaskasz go, jak tamten w Jantiksholmie?

Garion potrząsnął głową.

- Po takim ataku następuje kilka chwil, gdy jest się całkowicie bezbronnym wobec kogoś dysponującego podobną mocą. Kiedy odnajdę mojego syna, wolałbym nie być martwy ani szalony.

- Jak długo potrwa, nim ziemia pod murem całkowicie nasiąknie wodą? - spytał Javelin.

Durnik podrapał się po policzku.

- Najbliższą noc i cały jutrzejszy dzień. Jutro koło północy mur powinien być poważnie osłabiony. Wtedy, tuż przed atakiem, możemy z Garionem przyspieszyć przepływ wody i wymyć większość ziemi spod umocnień. Do tego czasu będzie już bardzo mokra i miękka i silny strumień szybko ją wypłucze. Jeśli jednocześnie będziemy obrzucać mur od wewnątrz kamieniami i zaczepimy o niego kilkanaście haków, powinniśmy bez kłopotu go wywrócić.

- Może pospieszysz się z machinami - zaproponował Mandorallenowi Yarbek. - Niech ludzie w mieście przywykną do kamieni przelatujących nad głowami. Nie zwrócą wtedy uwagi, kiedy jutro w nocy zaczniesz bombardować mury.

- A zatem jutro w nocy? - spytał Barak.

- Tak - odparł stanowczo Garion. Javelin spojrzał na siostrzenicę.

- Czy dobrze pamiętasz rozkład północnej dzielnicy miasta?

Skinęła głową.

- Naszkicuj go nam. Musimy wiedzieć, gdzie rozmieścić barykady, kiedy dostaniemy się do środka.

- Jak tylko się wykąpię, wuju.

- Potrzebujemy tego planu, Liselle.

- Nie tak bardzo, jak ja kąpielem.

- Ty także, Kheldarze - oznajmiła stanowczo królowa Porenn.

Silk rzucił Liselle pytające spojrzenie.

- Nic z tego, Kheldarze - odparła. - Dziękuję, ale sama potrafię umyć sobie plecy.

- Choć, Durniku, poszukamy wody - rzekł Garion, wstając z miejsca. - Podziemnej - dodał szybko.

- Dobrze - zgodził się kowal.

Oczywiście, nie było widać księżyca. Chmury, od ponad tygodnia wiszące nad okoli-

cą, przesłaniały niebo. W powietrzu czuło się mróz. Garion i Durnik wędrowali cicho płytką doliną w stronę obłązonego miasta.

- Zimna noc - mruknął Durnik, stąpając pośród bujnych janowców.

- Umm - przytaknął Garion. - Jak sądzisz, czy woda znajduje się bardzo głęboko?

- Nie tak bardzo - odparł Durnik. - Spytałem Liselle, jak głębokie są studnie w mieście. Odparła, że dosyć płytkie. Przypuszczam, że natrafimy na wodę po jakichś piętnastu łokciach.

- Skąd w ogóle przyszedł ci do głowy ten pomysł? Durnik zachichotał w ciemności.

- Kiedy byłem o wiele młodszy, pracowałem u farmera, który okropnie się puszył. Wymyślił sobie, że zaimponuje sąsiadom, jeśli będzie miał studnię wewnątrz domu. Kopaliśmy przez całą zimę, aż wreszcie natrafiliśmy na źródło artezyjskie. Trzy dni później zawalił się dom. Farmer nie był tym zachwycony.

- Wyobrażam sobie.

Kowal spojrzał na wznoszące się nie opodal mury.

- Nie sądzę, abyśmy musieli podchodzić bliżej - rzekł. - Trudno będzie się skupić, jeśli nas zobaczą i zaczną zasypywać strzałami. Skręćmy na północ.

- Zgoda.

Teraz poruszali się jeszcze ostrożniej, starając się bezszelestnie stawiać stopy w gęstcu szeleszczących janowców.

- Wystarczy - szepnął Durnik. - Zobaczmy, co kryje się w dole.

Garion pozwolił, aby jego myśli zatonęły łagodnie w ubitej ziemi pod północnym murem miasta. Kilka pierwszych łokci było trudne, wciąż bowiem natrafiał na krety i dżdżownice. Wściekły jazgot uświadomił mu, że zaniepokoił borsuka. Wreszcie natrafił na warstwę skały i sięgnął myślą wzdłuż jej powierzchni w poszukiwaniu szczelin.

- Trochę na lewo - wymamrotał Durnik. - Czy to nie pękniecie?

Garion znalazł je i zapuścił myśl w głąb skały. W miarę jak posuwał się naprzód, szczelina stawała się coraz bardziej wilgotna.

- Mokro - szepnął - ale szpara jest tak wąska, że woda ledwie się przez nią przesącza.

- Poszerzmy ją - tylko odrobinę, żeby pociekł mały strumyczek.

Garion nagiął swą wolę i poczuł, jak dołącza do niej wola kowala. Razem rozepchnęli pęknięcie w skale. Woda, leżąca w głębi, wystrzeliła w górę. Cofnęli się i poczuli, jak wilgoć przenika ubitą ziemię pod murem, rozlewając się coraz szerzej w ciemności.

- Przejdźmy dalej - wyszeptał Durnik. - Powinniśmy otworzyć sześć do ośmiu szczelin pod murem, aby porządnie rozmiękczyć grunt. Wtedy jutro wieczorem całkiem je roze-

wrzemy.

- Czy woda nie zmyje całego zbocza? - spytał także szeptem Garion.

- Prawdopodobnie.

- To chyba utrudni nieco atak naszym żołnierzom.

- Niewątpliwie zamoczą nogi - odparł Durnik. - Ale czy nie sadzisz, że to lepsze, niż wspinanie się na mury, podczas gdy z góry ktoś oblewa cię wrzącym olejem?

- O wiele lepsze - zgodził się Garion.

Ruszyli naprzód, w mroźną ciemność. Nagle coś musnęło policzek Gariona. Z początku zignorował to, ale po chwili znów poczuł ów dotyk - miękki, wilgotny i zimny. Serce mu zamarło.

- Durniku - szepnął. - Zaczyna padać śnieg.

- Tak właśnie przypuszczałem. Obawiam się, że nie będzie to dla nas zbyt przyjemne.

Śnieg sypał bez przerwy przez resztę nocy i cały ranek. Choć zdarzały się okresy zadymki, kiedy tumany białych płatków wirowały wokół posępnej fortecy, przez większość czasu opady pozostawały umiarkowane. Był to lepki, wilgotny śnieg, który zamieniał się w lodowatą breję niemal natychmiast po tym, jak dotknął ziemi.

Niedługo przed południem Garion i Lelldorin, przywdziawszy ciężkie wełniane płaszcze i solidne buty, wyszli z zasypanego obozu i skierowali się ku północnym murom Rheonu. Kiedy od podstawy wzgórza dzieliło ich jakieś dwieście kroków, skręcili na bok, usilnie starając się wyglądać na niegroźną parę żołnierzy patrolujących teren. Zerknąwszy w stronę fortecy Garion znów ujrzał czerwono-czarną chorągiew Niedźwiedzia i ponownie widok ten wzbudził w nim irracjonalny gniew.

- Jesteś pewien, że zdołasz rozpoznać w ciemności swoje strzały? - spytał przyjaciela.

- Oprócz nich mnóstwo innych sterczy tu z ziemi.

Lelldorin naciągnął łuk i wypuścił strzałę w stronę miasta. Pierzaste drzewce poszybowało wysoko w powietrzu, po czym opadło, by zatonać w pokrytej warstwą śniegu darni jakieś pięćdziesiąt kroków od zbocza.

- Sam sporządziłem te strzały, Garionie - stwierdził, wyjmując kolejny grot z kołczanu na plecach. - Wierz mi, rozpoznam każdą z nich, gdy tylko jej dotknę. - Odchylił się do tyłu i ponownie napiął łuk. - Czy grunt pod murem zaczyna już mięknąć?

Garion sięgnął myślą ku wzgórzom i wyczuł zimną, ciężką wilgoć skrytej pod śniegiem ziemi.

- Powolutku - odparł. - Nadal jednak jest dość twardy.

- Już prawie południe - powiedział Lelldorin z powagą, sięgając po kolejną strzałę. -

Wiem, że mistrz Dumik starannie wszystko planuje, ale czy jego pomysł naprawdę będzie działać?

- To musi potrwać - wyjaśnił Garion. - Najpierw trzeba nasączyć niższe warstwy ziemi. Następnie woda zaczyna się podnosić i wymywać grunt bezpośrednio spod muru. Potrzeba na to czasu, ale gdyby z króliczych nor wytrysnęła woda, ludzie na murach wiedzieliby, że dzieje się coś złego.

- Pomyśl raczej, jak czułyby się króliki! - Lelldorin uśmiechnął się szeroko i wypuścił następną strzałę.

Ruszyli naprzód. Garion patrzył, jak jego przyjaciel z pozorną nonszalancją zaznacza linię nocnego ataku.

- No dobrze - powiedział wreszcie. - Wiem, że ty sam potrafisz rozpoznać własne strzały, ale co z nami? Dla mnie wszystkie są takie same.

- To proste - odparł młody łucznik. - Po zmroku podkradnę się, znajdę je i rozciągnę między nimi sznurek. Kiedy na niego natraficie, zatrzymacie się i zaczekacie, póki nie runie mur. Wtedy ruszycie do ataku. W Asturii od wieków zasadzamy się tak na domy Mimbratów.

Przez resztę owego śnieżnego dnia Garion i Durnik w regularnych odstępach czasu sprawdzali poziom wilgotności gruntu północnego zbocza stromego wzgórza, na którym wznosiło się miasto Rheon.

- Zbliżamy się do punktu nasycenia - zameldował Durnik o zmierzchu. - W dole zbocza w kilku miejscach woda zaczyna przesączać się przez śnieg.

- Dobrze, że już się ściemnia - odparł Garion, nerwowo poprawiając kolczugę. Zbroja, jak zawsze, ciążyła mu, a perspektywa rychłego ataku na miasto budziła szczególne uczucie - mieszaninę niepokoju i wyczekiwania.

Durnik, jego stary przyjaciel, spojrział na niego ze zrozumieniem i uśmiechnął się cierpko.

- Co robi para rozsądnych sendarskich farmerów na polu bitwy pośród śniegów wschodniej Drasni? - spytał.

- Wygrywa - taką mam przynajmniej nadzieję.

- Zwycięzimy, Garionie - zapewnił go kowal, z czułością kładąc dłoń na ramieniu młodszego mężczyzny. - Sendarowie w końcu zawsze zwyciężają.

Na godzinę przed północą Mandorallen zaczął przesuwać swe maszyny, pozostawiając po zachodniej i wschodniej stronie tylko tyle, by mogły podtrzymywać nieustające bombardowanie miasta, maskując prawdziwe zamiary atakujących. Po kilkunastu minutach Garion, Lelldorin, Durnik i Silk podkradli się naprzód ku niewidzialnej linii strzał, sterczących ze

śniegu.

- Mam jedną - wyszeptał Durnik, gdy jego wyciągnięta ręka napotkała drzewce strzały.

- Daj mi dotknąć - mruknął Lelldorin. Dołączył do kowala i ukląkł w błocie obok niego. - Tak, to moja, Garionie - powiedział cicho. - Następne powinniśmy znaleźć mniej więcej co dziesięć kroków.

Silk zbliżył się szybko do obu mężczyzn, przycupniętych obok strzały.

- Pokaż mi, jak je rozpoznajesz - szepnął niemal bezgłośnie.

- Po lotkach - wyjaśnił Lelldorin. - Zawsze przywiązuję pióra skręconym jelitem.

Silk pomacał pierzasty koniec strzały.

- W porządku - stwierdził. - Teraz umiem je odróżnić.

- Jesteś pewien?

- Jeśli moje palce potrafią wyczuć znaki na ściankach kości, z pewnością rozpoznają różnicę pomiędzy jelitem i lnianą przędzą - odrzekł Silk.

- Dobrze więc. Zaczniemy stąd. - Lelldorin przywiązał koniec zwiniętego w kłębek sznurka do strzały. - Ja pójdę w tę stronę, a ty - w tamtą.

- Zgoda. - Silk przymocował koniec swego kłębka do tej samej strzały, po czym obrócił się do Gariona i Durnika. - Nie przesadźcie tylko z tą wodą. Nie mam ochoty utonąć pod zwałami błota.

Odszedł, nisko pochylony, macając w poszukiwaniu następnej strzały. Lelldorin dotknął lekko ramienia Gariona i zniknął w przeciwnym kierunku.

- Grunt jest już namoknięty - mruknął Durnik. - Jeśli powiększymy te szczeliny o jakąś stopę, woda wypłucze większość ziemi spod muru.

- Dobrze.

I znów wysłali swe myśli w głąb rozmokłego zbocza, zlokalizowali warstwę skały i zaczęli przeczesywać jej nierówną powierzchnię tam i z powrotem, póki nie znaleźli pierwszej szczeliny. Garionowi, kiedy starał się przeniknąć myślą w głąb wąskiego pęknięcia, pełnego napływającej z głębi skał wody, wydało się, że sięga do niego niewiarygodnie długą, niewidzialną ręką, zakończoną wrażliwymi palcami.

- Masz ją? - szepnął do Durnika.

- Chyba tak.

- Rozszerzmy ją nieco. - Garion skupił wolę. Powoli, z wysiłkiem, który sprawił, że na czoła wystąpiły im krople potu, wspólnymi siłami rozwarli szczelinę. Z głębi wilgotnej ziemi dobiegł ostry, stłumiony trzask, gdy skała pękła pod naporem połączonych myśli.

- Kto tam?! - zawołał głos ze szczytu murów.

- Czy jest dostatecznie szeroka? - wyszeptał Garion, puszczając mimo uszu niespokojny okrzyk.

- Woda napływa znacznie szybciej - odparł kowal, zerknąwszy w głąb ziemi. - Pod tą skalną warstwą musi być spore ciśnienie. Przejdźmy dalej.

Gdzieś z tyłu doleciał ich niski jęk zwalnianych lin. Wyrzucony z katapulty hak ze świstem poszybował im nad głowami, ciągnąc za sobą długi sznur i przeleciał nad murem. Z metalicznym zgrzytem ślizgał się po kamieniach, by wreszcie zaryć się w nich na dobre.

Garion i Durnik, przycupnięci, ostrożnie skręcili w lewo, starając się ograniczyć do minimum towarzyszący krokom chlupot błota. Ich umysły sięgały w głąb ziemi w poszukiwaniu następnej szczeliny. Kiedy Lelldorin ponownie do nich dołączył, zdążyli już otworzyć kolejne dwa pęknięcia pod nasyonym wodą zboczem. Gdzieś ponad nimi rozległ się nagły bulgot i rzadka maź wypłynęła na powierzchnię, spływając brązową strugą po zaśnieżonym wzgórzu.

- Dotarłem do końca linii strzał - zameldował Lelldorin. - Z tej strony sznurek jest już na miejscu.

- Świetnie - odparł Garion, lekko zdyszany z wysiłku. - Wróc do Baraka i powiedz, żeby jego ludzie zajęli pozycje.

- W porządku - młodzieniec zawrócił i rozpląnął się w niespodziewanym tumanie śniegu.

- Tu musimy uważać - mruknął Durnik, nadal badając grunt. - W skale pod nami jest mnóstwo pęknięć. Jeśli rozszerzymy je za bardzo, przerwiemy całą barierę i uwolnimy rzekę.

Garion chrząknął potakująco i ostrożnie wysłał swą wolę w kierunku szczeliny.

Gdy dotarli do ostatniego z podziemnych źródeł, w ciemnościach za nimi zmaterializował się Silk. Jego zręczne stopy bezszelestnie stąpały w rzadkiej brei.

- Co cię zatrzymało? - szepnął Durnik. - Miałeś do przejścia tylko sto kroków.

- Oglądałem zbocze - odparł Silk. - Cała ta woda zaczyna przebijać przez śnieg niczym sos przez ciasto. Potem pchnąłem nogą jeden z kamieni u podstawy muru. Zakołysał się jak rozchwiany ząb.

- Cóż - stwierdził zadowolonym z siebie tonem Durnik - więc jednak podziałało.

Zapadła cisza.

- To znaczy, że nie byłeś pewien? - wykrztusił w końcu Silk.

- Teoria brzmiała niezłe - odparł nonszalancko kowal - ale nigdy nie można być do końca pewnym, czy coś zadziała, póki się nie spróbuje.

- Za stary jestem na to wszystko, Durniku. Kolejny hak poszybował w górę.

- Otworzymy jeszcze jedną i zaczynamy - mruknął Garion. - Barak ustawił już żołnierzy. Czy mógłbyś wrócić do Yarbleka i powiedzieć mu, aby wysłał sygnał dla Mandorallena?

- Z przyjemnością - odparł Silk. - I tak chciałem stąd zniknąć, nim wszyscy ugrzęźniemy w błocie po pas.

Odwrócił się i odszedł w ciemność.

Jakieś dziesięć minut później, kiedy ostatnia szczelina została otwarta i całe północne zbocze zamieniło się w śliską masę rzadkiego błota i drobnych strumyczków, nad miastem śmignęła pomarańczowa kula płonącej smoły. W odpowiedzi na wcześniej ustalony sygnał maszyny Mandorallena rozpoczęły stały ostrzał, wyrzucając ciężkie kamienie ponad dachami Rheonu, prosto w wewnętrzną stronę północnego muru. W tej samej chwili sznury, przymocowane do haków Yarbleka, naprężyły się, gdy nadraccy najemnicy podcięli batami zaprzężone do nich konie. Rozległ się złowieszczy trzask i zgrzyt. Osłabiony mur zachybotał się lekko.

- Jak myślisz, długo jeszcze wytrzyma? - spytał Barak, wyłaniając się z mroku wraz z Lelldorinem.

- Niedługo - odparł Durnik. - Grunt zaczyna już ustępować.

Zgrzytliwy jęk nad ich głowami stał się głośniejszy. Towarzyszył mu coraz donośniejszy łoskot, w miarę jak katapulty Mandorallena zwiększały tempo ostrzału, zasypując umocnienia gradem pocisków. Wreszcie, z odgłosem przypominającym huk lawiny, cały odcinek muru zakołysał się i runął. Górna część zwała się na zewnątrz, dolna - zapadła w miękki grunt. Ciężkie głazy z pluskiem stoczyły się po błotnistym zboczu.

- Nigdy nie powinno się stawiać budowli wprost na ziemi - zauważył krytycznie Durnik.

- W tych akurat okolicznościach cieszę się, że to zrobili - odrzekł Barak.

- No tak - przyznał kowal - ale istnieją przecież zasady dobrej roboty.

Wielki Cherek roześmiał się.

- Złoty z ciebie człowiek, Durniku, wiesz o tym?

Kolejny odcinek muru zsunął się z pluskiem po błotnistym zboczu. Na ulicach miasta zaczęły się rozlegać okrzyki alarmu. Rozdzwoniły się dzwony.

- Mam kazać ludziom ruszać? - spytał Gariona Barak. W jego głosie brzmiało napięcie i podniecenie.

- Zaczekajmy, aż runie cały mur. Nie chcę, żeby podczas ataku zasypały ich kamienie.

- Już leci! - zaśmiał się radośnie Lelldorin, wskazując ostatnią, rozkołysaną część mu-

ru.

- Zawiadom ludzi - polecił zwięźle Garion, sięgając przez ramię po wiszący na plecach wielki miecz.

Barak głęboko zaczerpnął tchu.

- Do ataku! - ryknął ogłuszająco.

Z głośnym okrzykiem Rivanie i ich nadraccy sojusznicy runęli naprzód, w śnieżną breję i błoto, i zaczęli wdzierać się po ruinach północnego muru do miasta.

- Ruszajmy! - huknął Barak. - Jeśli się nie pospieszymy, ominie nas walka!

ROZDZIAŁ 24

Walka była krótka i w wielu wypadkach paskudna. Każdy oddział armii Gariona otrzymał dokładne instrukcje od Javelina i jego siostrzenicy, każdemu też przydzielono odpowiednie zadanie. Teraz, nie myśląc drogi, maszerowali przez zaśnieżone, oświetlone płomieniami ulice, zdobywając wyznaczone budynki. Inne oddziały, zataczając szeroki łuk, zajmowały zaplanowaną przez Javelina linię obrony, burząc domy i blokując ulice zwałami gruzu.

Pierwszy kontratak nastąpił tuż przed świtem. Odziani w postrzępione futra wyznawcy kultu Niedźwiedzia wyroili się z wąskich uliczek i przedarli przez obronne wały - tylko po to, by natknąć się na gwałtowny deszcz strzał, padających z dachów i najwyższych okien domów. Szybko wycofali się, ponosząc straszliwe straty.

Gdy blade brzask zajaśniał nad wschodnim horyzontem, padły ostatnie punkty oporu wewnątrz umocnień i północna dzielnica Rheonu ostatecznie znalazła się w rękach atakujących. Garion z posępną miną stał w oknie, wychodzącym na pusty teren, który wyznaczał granicę kontrolowanej przez niego części miasta. Ciała fanatyków, którzy zorganizowali kontratak, leżały poskręcane, w groteskowych pozach, pokryte pierwszą, cienką warstwą śniegu.

- Niezła walka - stwierdził Barak, wchodząc do komnaty z zakrwawionym mieczem w dłoni. Cisnął pogiętą tarczę w kąt i podszedł do okna.

- Nie byłem nią zachwycony - odparł Garion, wskazując rzędy trupów w dole. - Zabijanie ludzi to marny sposób na to, by ich przekonać.

- To oni zaczęli wojnę, Garionie. Nie ty.

- Nie - poprawił go Garion. - To Ulfgar ją rozpoczął. I to jego chcę dostać.

- Będziemy więc musieli go sprowadzić - odrzekł Barak, kawałkiem jakiejś szmaty starannie wycierając ostrze.

Wściekłe natarcia od strony miasta powtarzały się przez cały dzień, ich rezultat był jednak zawsze ten sam. Żołnierze Gariona zajmowali zbyt dobrze chronione pozycje, a łucznicy zapewniali im zbyt szczelną osłonę, żeby takie sporadyczne wycieczki mogły przynieść jakikolwiek efekt.

- Niezbyt dobrze walczą w grupach, prawda? - odezwał się Durnik ze swego punktu obserwacyjnego na piętrze zrujnowanego budynku.

- Brak im niezbędnej dyscypliny - odparł Silk. Drobny Drasanin leżał na połamanej kanapie w rogu pokoju, uważnie obierając małym nożem jabłko. - Osobno każdy z nich jest mężny jak lew, lecz idea zorganizowanego działania nie przeniknęła jeszcze przez ich twarde czaszki.

- Wspaniały strzał - pogratulował Barak. Lelldorin wypuścił właśnie strzałę przez stłuczone okno.

Młodzieniec wzruszył ramionami.

- Dziecinna zabawa. Natomiast tamten człowiek, który skrada się po dachu kilka przecznic dalej - o, to już nieco trudniejsze.

Wybrał kolejną strzałę, naciągnął cięciwę i zwolnił ją jednym płynnym ruchem.

- Trafiłeś - stwierdził Barak.

- Naturalnie.

Zbliżał się wieczór, gdy do obozu pod miastem wrócili Polgara i Beldin.

- No cóż - oznajmił garbaty czarodziej z nutą satysfakcji w głosie. - Przez jakiś czas nie musicie obawiać się pikinierów. - Wyciągnął sękatą dłoń w stronę jednego z żarników Yarbleka.

- Nie zrobiliście im chyba krzywdy? - zapytała szybko Porenn.

- Nie - uśmiechnął się szeroko. - Po prostu ich zablokowaliśmy. Maszerowali właśnie przez podmokłą dolinę, kiedy skierowaliśmy do niej rzekę. W tej chwili całe to miejsce zamieniło się w jedno wielkie bagno. Twoi żołnierze siedzą w hamakach i na gałęziach drzew czekając, aż wody opadną.

- Ale czy to nie opóźni Brendiga? - spytał Garion.

- Brendig maszeruje wokół doliny - zapewniła go Polgara, która przysiadła obok jednego z żarników, popijając herbatę. - Powinien tu dotrzeć za kilka dni. - Spojrzała na Yellę. - Ta herbata jest znakomita.

- Dziękuję, lady Polgaro - odparła ciemnowłosa tancerka, nie odrywając wzroku od miedzianych loków Ce'Nedry, połyskujących w złocistym blasku świec. Westchnęła zazdrośnie. - Gdybym miała takie włosy, Yarblek mógłby mnie sprzedać za podwójną cenę.

- Wystarczy mi połowa - wymamrotał Nadrak - byle tylko uniknąć tych przypadkowych ciosów noża.

- Nie grymas, Yarbleku. Wcale tak mocno cię nie zraniłam.

- To nie ty krwawiłaś przez parę godzin.

- Czy ćwiczyłaś swoje przekleństwa, Yellu? - spytał Beldin.

Demonstrowała je - przez dłuższą chwilę.

- Coraz lepiej ci idzie - pogratulował.

Przez następne dwa dni wojska Gariona wznosiły barykady wzdłuż wyznaczonej linii umocnień wokół północnej dzielnicy Rheonu, aby zagrozić drogę oddziałom wroga. Garion i jego przyjaciele obserwowali budowę z wielkiego okna domu, który przemieniono w kwaterę główną.

- Ktokolwiek nimi dowodzi, nie zna się na podstawach strategii - zauważył Yarblek. - Nawet nie próbuje zagrozić z ich strony tej pustej przestrzeni, by nie dopuścić nas w głąb miasta.

Barak zmarszczył brwi.

- Wiesz, Yarbleku, masz rację. To powinien być ich pierwszy ruch po tym, jak zajęliśmy tę dzielnicę.

- Może ich dowódca jest zbyt pewny siebie, by sądzić, że spróbujemy zdobyć kolejne budynki - podsunął Lelldorin.

- Albo to, albo szykuje jakieś pułapki poza zasięgiem naszego wzroku - dodał Durnik.

- To również możliwe - przytaknął Barak. - Bardziej niż możliwe. Chyba powinniśmy przygotować dokładny plan następnych ataków.

- Zanim cokolwiek zaplanujemy, musimy wiedzieć, jakie zasadzki zgotował nam Ulfgar - stwierdził Javelin.

Silk westchnął i skrzywił się cierpko.

- No dobrze. Po zmroku pójde się rozejrzeć.

- Wcale tego nie sugerowałem, Kheldarze.

- Oczywiście.

- Ale to znakomity pomysł. Cieszę się, że na niego wpadłeś.

Minęła północ, nim Silk powrócił do wielkiej, oświetlonej blaskiem ognia komnaty w kwaterze Gariona.

- Paskudna noc - stwierdził, otrząsając się i zacierając ręce, po czym podszedł do paleniska.

- I co? Czy przygotowują dla nas jakieś niespodzianki? - zagadnął Barak, unosząc do ust miedziany kufel.

- O, tak - odparł Silk. - Budują mury w poprzek ulic, kilkanaście domów od naszych umocnień. Stawiają je na zakrętach, tak że nie zobaczycie ich, póki na nie nie wpadniecie.

- A we wszystkich domach wokoło będą już czekać łucznicy i kotły wrzącej smoły? - dokończył posępnie Barak.

- Najprawdopodobniej - Silk wzruszył ramionami. - Czy macie jeszcze trochę ale?

Przemarżłem na kość.

- Musimy nad tym popracować - stwierdził z namysłem Javelin.

- Powodzenia - rzucił kwaśno Barak, podchodząc do baryłki z piwem. - Nienawidzę walk w mieście. Nie ma to jak ładne, duże pole.

- Ale to w miastach są największe łupy - zaprotestował Yablek.

- Czy ty w ogóle myślisz o czymkolwiek innym?

- Żyjemy po to, aby zarobić, przyjacielu - odparł kościsty Nadrak, rozkładając ręce.

- Mówisz zupełnie jak Silk.

- Wiem. To dlatego zostaliśmy współnikami.

Przez cały następny dzień prószył lekki śnieg. Mieszkańcy Rheonu przeprowadzili kilka próbnych ataków na umocnienia Gariona, ale przez większość czasu zadowalali się strzelaniem do wszystkiego, co się ruszało.

Późnym rankiem kolejnego dnia Podarek wgramolił się na ruinę północnego muru i pomaszerował wprost do domu, z którego Garion dowodził całą armią. Kiedy tam dotarł, jego młoda twarz jaśniała podnieceniem. Był wyraźnie zdyszany.

- To emocjonujące - stwierdził.

- Co? - zapytał Garion.

- Uskakiwanie przed strzałami.

- Czy ciocia Pol wie, że tu jesteś?

- Nie sądzę. Miałem ochotę zobaczyć miasto, więc przyszedłem.

- Napytasz nam obu biedy, wiesz? Podarek wzruszył ramionami.

- Awantura nie jest aż tak straszna. A przy okazji, myślę, że powinieneś to wiedzieć: Hettar już tu jest - albo będzie za jakąś godzinę. Zostało mu tylko kilka mil.

- Wreszcie! - Garion odetchnął gwałtownie. - Skąd o tym wiesz?

- Wybraliśmy się z Koniem na przejażdżkę. Denerwuje się, kiedy długo nie rusza się z miejsca. W każdym razie wjechałem na tamto wielkie wzgórze na południu i zobaczyłem nadciągających Algarów.

- Doskonale. Może wyjedziemy im na spotkanie?

- Czemu nie?

Gdy Garion i jego młody przyjaciel dotarli na szczyt wzgórza leżącego na południe od Rheonu, ujrzeni, jak z zaśnieżonych mokradel wylania się fala za falą algarskich wojowników, żwawo cwałujących naprzód. Jeden z jeźdźców wyprzedził przednie szeregi ludzi i wierzchołców i pogalopował na wzgórze, a jego czarny lok powiewał na wietrze.

- Dzień dobry, Garionie - powiedział niedbale Hettar, ściągając wodze. - Mam nadzie-

ję, że dobrze się miewasz.

- Dość dobrze - Garion uśmiechnął się szeroko.

- Śnieżno tu u was.

Garion rozejrzył się z udanym zdumieniem.

- A wiesz, że masz rację? Nawet nie zauważyłem. Kolejny jeździec wjechał na wzgórze. Był to mężczyzna w podartym płaszczu z kapturem.

- Gdzie twoja ciotka, Garionie?! - zawołał, zanim jeszcze dotarł na szczyt.

- Dziadek?! - wykrzyknął Garion, zaskoczony. - Sądziłem, że wybierasz się do Mar Terrin.

Belgarath prychnął ze złością.

- Byłem tam - stwierdził, ściągając cugle - i okazało się to zupełną stratą czasu. Opowiem ci później. Co słyhać?

Garion streścił im krótko wydarzenia kilku ostatnich tygodni.

- Mieliście sporo zajęć - zauważył Hettar.

- Przy pracy czas szybciej mija.

- Czy zatem Pol jest wewnątrz murów? - spytał Belgarath.

- Nie. Ona, Ce'Nedra i reszta pań mieszkają w pierwszym obozie. Nieprzyjacieli wciąż atakuje nasze umocnienia w mieście, więc uznałem, że pobyt tam nie byłby dla nich bezpieczny.

- Całkiem rozsądnie. Może więc zbierzesz wszystkich i sprowadzisz do obozu? Musimy pomówić o paru sprawach.

- Dobrze, dziadku.

W okolicach południa przyjaciele zgromadzili się w głównym namiocie rivańskiego obozowiska pod miastem.

- Czy dowiedziałeś się czegoś użytecznego, ojcze? - zapytała Polgara, gdy stary czarodziej wszedł do namiotu.

Belgarath opadł na fotel.

- Tylko paru fascynujących aluzji, nic więcej. Mam wrażenie, że należący do Anhega egzemplarz Wyroczni Ashabińskich został gdzieś po drodze - czy może raczej na samym początku - starannie ocenzurowany. Modyfikacje zdają się stanowić część pierwotnego tekstu.

- Prorocy zazwyczaj nie ingerują we własne przepowiednie - zauważyła Polgara.

- Ale nie ten prorok, szczególnie jeśli fragmenty proroctwa mówiły o rzeczach, w które nie chciał uwierzyć.

- Kto to był?

- Torak. Niemal natychmiast rozpoznałem jego ton i charakterystyczny styl.

- Torak?! - wykrzyknął Garion, czując nagły chłód. Belgarath skinął głową.

- Stara malloreańska legenda głosi, że po zburzeniu Cthol Mishrak Torak rozkazał wybudować sobie pałac w Ashabie, w Górach Karandejskich. Kiedy się tam wprowadził, wpadł w trans i ułożył Wyrocznie Ashabińskie. Legenda mówi dalej, że kiedy trans minął, Torak wpadł w straszliwy gniew. Najwyraźniej proroctwo zawierało coś, co go nie zachwycało. To mogłoby tłumaczyć odkryte przeze mnie opuszczenia w tekście. Zawsze nam mówiono, że słowo nadaje sens zdarzeniom. Torak mógł wierzyć, że zmieniając słowa, zdoła też wpłynąć na to, co się stanie.

- Czy to możliwe?

- Nie. Lecz Torak był tak arogancki, że mógł sądzić inaczej.

- Ale to nas wiedzie w ślepy zaułek, nieprawdaż? - spytał Garion czując, jak ogarnia go rozpacz. - To znaczy... Kodeks Mriński powiedział, że musisz odczytać wszystkie misteria. A skoro Wyrocznie Ashabińskie są niepełne... - bezradnie rozłożył ręce.

- Na pewno jest gdzieś kompletny egzemplarz - odparł pocieszająco Belgarath. - Musi gdzieś być, w przeciwnym razie Kodeks udzieliłby mi innych instrukcji.

- Działasz wyłącznie opierając się na wierze, Belgaracie - rzuciła oskarżycielsko Ce'Nedra.

- Wiem - przyznał. - Robię tak, jeśli nie dysponuję niczym innym, na czym mógłbym się wesprzeć.

- Czego się dowiedziałeś w Mar Terrin? - zainteresowała się Polgara.

Belgarath zaklął pod nosem.

- Może tamtejsi mnisi potrafią pocieszyć duchy wymordowanych Maragów, ale zupełnie się nie znają na ochronie rękopisów. W ich bibliotece przecieka dach, a egzemplarz Objawień Malloreańskich leżał oczywiście na górnej półce tuż pod otworem. Był tak mokry, że ledwie zdołałem oddzielić poszczególne kartki, a atrament spłynął i rozmazał się po całych stronach. Niemal nic nie dało się odczytać. Odbyłem na ten temat dłuższą rozmowę z mni-chami. - Poskrobał się po głowie. - Wygląda na to, że aby znaleźć to, czego nam trzeba, będę musiał wyprawić się nieco dalej.

- Zatem nic nie odkryłeś - naciskał Beldin. Belgarath chrząknął.

- Jeden ustęp Wyroczni głosi, że Mroczny Bóg powróci.

Garion poczuł, jak mroźna pięść zaciska mu się wokół żołądka.

- Torak? - wykrztusił. - Czy to możliwe?

- Przypuszczam, że można to tak zinterpretować, ale wobec tego, czemu miałby zadać

sobie tyle trudu i zniszczyć całe fragmenty proroctwa? Jeśli Wyrocznie miałyby zapowiedzieć jego powrót, myślę, że z radością zachowałyby je nietknięte.

- Zakładasz, że Spalona Twarz rozumował logicznie - warknął Beldin. - Osobiście nieczęsto dostrzegałem u niego choćby cień rozsądku.

- O nie - sprzeciwił się Belgarath. - Wszystko, co robił Torak, było niezmiernie racjonalne - jeśli przyjąć jego założenie, iż to on był jedynym powodem, dla którego wszystko stworzono. Nie - przypuszczam, że ten ustęp oznacza coś innego.

- Czy zdołałeś przeczytać jakikolwiek fragment Objawień, ojcze? - wtrąciła Polgara.

- Króciutki. Mówił coś o wyborze między Światłem a Mrokiem.

- To coś nowego - prychnął Beldin. - Wieszczowie z Kell nie dokonali żadnego wyboru od czasu stworzenia świata. Od tysiącleci siedzą okrakiem na płocie.

Następnego dnia późnym popołudniem na pokrytych śniegiem zachodnich wzgórzach pojawiła się sendarska armia. Garion poczuł dumę na widok tych solidnych, rozsądnych ludzi, których zawsze uważał za rodaków. Szeregi Sendarów maszerowały przez śniegi w stronę skazanego na zagładę miasta.

- Mógłbym dotrzeć tu wcześniej - usprawiedliwił się generał Brendig - ale musieliśmy okrążyć bagno, gdzie utkwili drasańscy pikinierzy.

- Czy z nimi wszystko w porządku? - spytała szybko królowa Porenn.

- Czują się świetnie, Wasza Wysokość - odparł jednoręki generał. - Tyle tylko, że nigdzie nie mogą się ruszyć.

- Ile odpoczynku potrzebują twoi żołnierze, nim będą gotowi do ataku? - zapytał Belgarath.

Brendig wzruszył ramionami.

- Jeden dzień powinien wystarczyć, Przedwieczny.

- To da nam czas na opracowanie planów - stwierdził starzec. - Każ swoim ludziom rozbić obóz, a potem Garion streści ci obecną sytuację.

Tego wieczoru, podczas omawiania strategii w wysłanym dywanami namiocie, wyglądali szczegółowo dość prostego planu ataku. Katapulty Mandorallena przez cały następny dzień i noc nadal będą bombardować miasto. Rankiem rozpocznie się pozorowane natarcie na południową bramę, mające na celu odciążenie jak największej liczby nieprzyjaciół od naprzędce skleconych umocnień w głębi miasta. Inny oddział wymaszeruje z opanowanej przez nich północnej dzielnicy i rozpocznie zajmowanie sąsiednich budynków. Jeszcze inny, zgodnie z błyskotliwym pomysłem generała Brendiga, użyje drabin oblężniczych jako kładek i przechodząc po dachach domów wyminie barykady wyznawców kultu.

- Najważniejsza rzecz to ująć Ulfgara żywcem - ostrzegł Garion. - Musimy wydobyć z niego odpowiedzi na całą masę pytań. Chcę wiedzieć, jaką rolę odegrał w porwaniu mego syna i gdzie jest Geran - oczywiście, jeśli tamten zna miejsce jego pobytu.

- A ja chciałabym usłyszeć, jak wielu moich oficerów przekabacił - dodała Poren.

- Wygląda na to, że czeka nas dłuższa rozmowa. - Yarblek uśmiechnął się złowrogo. - W Gar og Nadrak mamy wiele zajmujących sposobów na rozwiązanie języka.

- Pol się tym zajmie - oznajmił stanowczo Belgarath. - Potrafi wydobyć odpowiedzi bez uciekania się do podobnych metod.

- Czyżbyś zaczynał mięknąć, Belgaracie? - spytał z niedowierzaniem Barak.

- Niekoniecznie, ale jeśli Yarblek da się ponieść emocjom, może posunąć się za daleko, a z trupa ciężko jest cokolwiek wydostać.

- Ale potem? - wtrącił z zapałem Yarblek.

- Potem zrobicie z nim, co zechcecie.

Następnego ranka Garion siedział w niewielkiej, oddzielonej zasłoną części namiotu i pochylając się nad mapami i starannie sporządzonymi spisami próbował ustalić, czy cokolwiek przeoczył. Ostatnio zaczynał mieć wrażenie, że odpowiedzialność za całą armię spoczywa wyłącznie na jego barkach.

- Garionie - powiedziała Ce'Nedra, podchodząc do niego. - Przybyło kilku przyjaciół. Uniósł wzrok.

- Trzej synowie Branda - wyjaśniła - i szklarz Joran. Garion zmarszczył brwi.

- Co oni tu robią? - spytał. - Kazałem im zostać w Rivie.

- Powiedzieli, że przynoszą ważne wieści.

- Wprowadź ich więc - westchnął.

Trzej synowie Branda, spowici w szare płaszcze, i jak zawsze poważny Joran weszli do namiotu i skłonili się. Ich ubrania były zachlapano błotem, twarze zdradzały znużenie.

- Nie chcieliśmy rozmyślnie łamać twoich rozkazów, Belgarionie - zapewnił swego władcę Kail - ale odkryliśmy coś bardzo ważnego, o czym musisz się dowiedzieć.

- Naprawdę? Co takiego?

- Kiedy Wasza Wysokość wraz z armią opuścił Rivę - wyjaśnił starszy brat Kaila, Yerdan - postanowiliśmy przeszukać każdą piędź ziemi na zachodnim wybrzeżu. Sądziłyśmy, że możemy natrafić na jakąś wskazówkę, którą wcześniej przeoczyliśmy.

- Poza tym - dodał Brin - nie mieliśmy nic innego do roboty.

- W każdym razie - ciągnął Verdan - znaleźliśmy wreszcie statek, którym ci Cherekowe przyплыли na wyspę.

- Ich statek? - powtórzył Garion, prostując się w fotelu. - Myślałem, że porywacz mego syna użył go, aby wydostać się z wyspy.

Yerdan potrząsnął głową.

- Statek został umyślnie zatopiony, Wasza Wysokość. Napelnili go kamieniami, po czym wyrąbali otwory w dnie. Przepływaliśmy nad nim z pięć razy, aż do dnia, kiedy morze było zupełnie spokojne. Leżał na dnie na głębokości jakichś siedmiu sążni.

- Zatem w jaki sposób porywacz opuścił wyspę?

- To samo przyszło nam do głowy, Belgarionie - stwierdził Joran. - Pomyśleliśmy, że może mimo wszystko twój syn nadal przebywa na Wyspie Wiatrów. Rozpoczęliśmy poszukiwania. I tak natrafiliśmy na pasterza.

- Pasterza?

- Samotnie wypasał swe stado po zachodniej stronie wyspy - wyjaśnił Kail. - Nie miał pojęcia, co się wydarzyło w mieście. Zapytaliśmy go, czy zauważył coś niezwykłego w dniach, kiedy królewicz Geran został uprowadzony z Cytadeli. Powiedział, że mniej więcej w tym czasie widział statek wpływający do zatoczki na zachodnim wybrzeżu. Jakaś postać, niosąca niewielkie zawiniątko, weszła na pokład i statek odbił od brzegu, pozostawiając innych na wyspie. Belgarionie, to była ta sama zatoczka, do której doprowadził nas Klejnot.

- W jakim kierunku pożeglował statek?

- Na południe.

- I jeszcze jedno, Belgarionie - dodał Joran. - Pasterz był pewien, że statek pochodził z Nyissy.

- Z Nyissy?

- Nie miał co do tego wątpliwości. Opisał nawet wciągniętą na maszt banderę z podobizną węża.

Garion zerwał się na równe nogi.

- Zaczekajcie tu - rozkazał, po czym podszedł do zasłony, odgradzającej część namiotu. - Dziadku, ciociu Pol, pozwólcie na chwilę.

- Co się stało, kochanie? - spytała Polgara, gdy oboje znaleźli się w zaimprovizowanym gabinecie Gariona. W ślad za nimi zjawił się zaciekawiony Silk.

- Powiedz im - polecił Kailowi Garion.

Młodszy syn Branda pospiesznie powtórzył swą opowieść.

- Salmissra? - podsunęła ojcu Polgara.

- Niekoniecznie, Pol. Nyissa jest pełna intryg i nie wszystkie pochodzą od królowej - szczególnie po tym, co z nią zrobiłaś. - Zmarszczył czoło. - Czemu Cherek miałby porzucić

własny okręt, aby wsiąść na pokład nyissańskiej łajby? To nie ma sensu.

- Oto jeszcze jedno pytanie, jakie zadamy Ulfgarowi, kiedy już dostaniemy go w swoje ręce - stwierdził Silk.

O brzasku następnego dnia wielki oddział, złożony z żołnierzy wszystkich narodowości uczestniczących w oblężeniu, przemaszerował przez dolinę na południe od miasta, kierując się ku stromemu zboczowi i bramom Rheonu. Żołnierze otwarcie dźwigali drabiny i tarany, aby obrońcy uwierzyli, że stąd właśnie nadejdzie główny atak.

Tymczasem w dzielnicy zajętej przez wojska Gariona Silk poprowadził spory oddział szczytami dachów, aby pozbyć się łuczników kultu i ludzi czuwających przy kotłach z wrzącą smołą, którzy zajmowali dachy budynków po obu stronach pospiesznie wzniesionych barykad, zamykających drogę w głąb miasta.

Garion, z Barakiem i Mandorallenem u boku, stał w zaśnieżonej uliczce w pobliżu własnych umocnień.

- To jest coś, czego nienawidzę - oznajmił napiętym głosem. - Czekanie.

- Muszę wyznać, że i ja znajduję ciszę przed bitwą nieprzyjemną - odparł Mandorallen.

- Zdawało mi się, że Arendowie kochają bitwy. - Barak uśmiechnął się do przyjaciela.

- To nasza ulubiona rozrywka - przyznał potężny rycerz, dopinając sprzączkę zbroi. - Wszelako chwila przed zetknięciem z wrogiem bywa nużąca, ponure, melancholijne myśli odciągają bowiem uwagę od czekającej nas zabawy.

- Mandorallenie - roześmiał się Barak. - Brakowało mi cię.

Na ulicy zmaterializowała się mglista postać Yarbleka, który po chwili do nich dołączył. Zdjął już filcowy płaszcz i miał na sobie ciężki stalowy napierśnik. W dłoni trzymał złowrogi topór.

- Wszystko gotowe - powiedział cicho. - Możemy zaczynać, gdy tylko nasz przyjaciel złodziej da nam sygnał.

- Jesteś pewien, że twoi ludzie zdołają zburzyć ich mury? - spytał Barak.

Yarblek przytaknął.

- Miejscowi nie mieli czasu, by użyć zaprawy. Nasze haki rozwałą te ściany w kilka minut.

- Zdajesz się darzyć szczególnym afektem to narzędzie - zauważył Cherek.

Nadrak wzruszył ramionami.

- Zawsze twierdziłem, że najlepszą metodą przejścia muru jest zwalić go na ziemię.

- W Arendii wolimy używać taranów - stwierdził Mandorallen.

- Też są niezłe - zgodził się Yarblek - ale problem z taranem jest taki, że kiedy mur się wali, ty znajdujesz się tuż pod nim. Nigdy nie przepadałem za kamieniami padającymi mi na głowę. Czekali.

- Czy ktokolwiek widział Lelldorina? - spytał Garion.

- Poszedł razem z Silkiem - odparł Barak. - Uznał chyba, że z dachu dojrzy więcej celów.

- Zawsze był entuzjastą, kiedy przyszło do walki. - Mandorallen uśmiechnął się. - Muszę jednak przyznać, że nigdy nie spotkałem nikogo, kto by mu dorównał w strzelaniu z łuku.

- Jest! - krzyknął Barak, wskazując płonąca strzałę szybującą nad dachami domów. - Oto sygnał!

Garion odetchnął głęboko i wyprostował ramiona.

- W porządku. Zadmiń w róg, Mandorallenie, i ruszajmy.

Metaliczny dźwięk wielkiego rogu rozdarł ciszę. Ze wszystkich ulic i zaułków wysypali się żołnierze Gariona, rozpoczynając ostateczny atak na Rheon. Rivanie, Algarowie, Nadrakowie i stateczni obywatele Sendarii maszerowali w śniegu, wznosząc w dłoniach broń. Sześć dziesiątek odzianych w skóry najemników Yarbleka wybiegło naprzód, wymachując hakami.

Z Barakiem u boku Garion wspiał się na zdradliwy, chwiejny wał gruzu z pospiesznie zwalonych domów, tworzący linię umocnień jego armii. Minał naszpikowane strzałami ciała kilku fanatyków. Nieliczni wyznawcy kultu, którzy zdołali ukryć się w domach naprzeciwko barykady i umknąć przed ludźmi Silka, desperacko zasypywali nadchodzące wojska strzałami. Na krótką komendę Brendiga kilka grupek Sendarów oderwało się od reszty i wpadło do budynków, by unieszkodliwić ostatnich obrońców.

Wewnątrz umocnień panował ogromny zamęt. Kryjąc się za murem z tarcz wojska Gariona zmiotły z ulic zdesperowanych fanatyków. W powietrzu gęsto padały strzały i przekleństwa, a z dachów kilkunastu domów zaczynały już strzelać płomienie.

Zgodnie z przewidywaniami Yarbleka, naprędce sklecone barykady, blokujące ulice w głębi miasta, łatwo padały pod naporem dziesiątków haków, szybujących w powietrzu i wgryzających się w ich szczyty.

Posępna armia niestrudzenie parła naprzód i wkrótce wszędzie wokół rozlegał się szczęk mieczy. W całym tym zamieszaniu Garion rozłączył się z Barakiem i nagle odkrył, że walczy w wąskiej alejce ramię w ramię z Durnikiem. Kował nie posługiwał się mieczem czy toporem, miał za to wielką, ciężką pałkę.

- Po prostu nie lubię ranić ludzi - usprawiedliwiał się, jednym ciosem powalając krzepkiego przeciwnika. - Jeśli ktoś dostanie w głowę pałką, ma sporą szansę przeżycia. No i nie widać całej tej krwi.

Wciąż maszerowali w głąb miasta, gnając przed sobą wystraszonych mieszkańców. Odgłosy walki z południowej strony Rheonu były sygnałem, że Silk i jego ludzie dotarli do murów i otworzyli bramy, wpuszczając do środka wojska, których pozorowany atak podzielił siły kultu i doprowadził je do klęski.

Nagle Garion i Durnik wypadli z alejki na rozległy, zaśnieżony plac, leżący w samym sercu Rheonu. Wszędzie wokół toczyła się walka, lecz po wschodniej stronie spora grupka fanatyków skupiła się ciasno wokół wysokiego wozu. Na wozie stał czarnobrody mężczyzna w rdzawej brokatowej tunice.

Wysoki Nardak, dzierżący w dłoni smukłą włócznię, zamachnął się, wycelował i cisnął swą broń wprost ku mężczyźnie na wozie. Czarnobrody uniósł dłoń, uczynił dziwny gest i włócznia Nadraka nagle poszybowała w bok, by nie wyrządzając nikomu szkody paść ze szczękiem na mokry bruk. Garion wyraźnie usłyszał charakterystyczny szmer, który mógł oznaczać tylko jedno.

- Durniku! - wykrzyknął. - Ten człowiek na wozie. To Ulfgar!

Oczy kowala zwęziły się.

- Bierzmy go, Garionie - powiedział.

Gniew Gariona na człowieka, który był przyczyną całej tej walki, rozlewu krwi i zniszczenia, zawrzał nagle z ogromną mocą. Osadzony w rękojeści miecza Klejnot w jakiś sposób wyczuł wściekłość swego pana i rozjarzył się gwałtownie. Wielki Miecz Żelaznopalcego w jednej chwili zapłonął oślepiającym błękitnym ogniem.

- Patrzcie! To Rivański Król! - wykrzyknął czarnobrody mężczyzna na wozie. - Zabijcie go!

Przez sekundę ich oczy zetknęły się i Garion dojrzał w nich nienawiść przemieszana z podziwem i rozpaczliwym strachem. Lecz tuzin ślepo posłusznych rozkazowi wodza fanatyków rzuciło się ku Garionowi, wznosząc miecze. Nagle zaczęli zwijać się i padać w rozmokły śnieg placu pod naporem gradu strzał.

- Hej, Garionie! - zawołał radośnie Lelldorin z dachu pobliskiego domu. Jego ręce stanowiły dwie rozmyte plamy. Błyskawicznie wypuszczał strzałę za strzałą.

- Hej, Lelldorinie! - krzyknął w odpowiedzi Garion, wbiegając pomiędzy spowitych w futra nieprzyjaciół. Jego miecz zatoczył szeroki krąg. Uwaga grupki wokół wozu była całkowicie skupiona na przerażającym widowisku przed nimi: walczącym Rivańskim Królem i jego

przesławnym orężu. Nikt zatem nie dostrzegł kowala Durnika, który skradał się niczym kot przy ścianie najbliższego domu.

Mężczyzna na wozie uniósł rękę, w której pojawiła się kula czystego ognia. Desperacko cisnął nią w Gariona, Król Rivy odbił ją jednak swym płonącym ostrzem i nadal parł naprzód, zadając straszliwe ciosy stojącym mu na drodze fanatykom. Ani na moment nie odrywał przy tym wzroku od pobladłego mężczyzny o czarnej brodzie. Bliski paniki Ulfgar ponownie wznosił dłoń, nagle jednak jakby skoczył naprzód i runął z wozu w brązową breję, gdy pałka Durnika z ostrym trzaskiem uderzyła go w tył głowy.

Kiedy przywódca kultu padł, rozległ się wielki krzyk rozpacz. Kilkunastu ludzi starało się unieść jego bezwładne ciało, ale pałka Durnika, śmigająca w powietrzu, powalała jednego po drugim. Inni próbowali utworzyć żywy mur, aby nie dopuścić Gariona do leżącego twarzą w śniegu wodza, lecz deszcz wysyłanych przez Lelldorina strzał rychło przerzedził odziane w futra szeregi. Garion, czując dziwną obojętność wobec tej rzezi, przeszedł przez sam środek ogłupiałych niedobitków, wymachując mieczem. Ledwie słyszał obrzydliwy trzask ostrza, przecinającego ciało i kości. Gdy powalił pół tuzina wrogów, reszta stchórzyła i uciekła.

- Czy on żyje? - wydyszał Garion, zwracając się do Durnika.

Kowal obrócił nieruchomego Ulfgara i fachowo odciągnął powiekę, aby sprawdzić oko.

- Nadal przebywa wśród żywych - stwierdził. - Dość ostrożnie go uderzyłem.

- Dobrze - odparł Garion. - Zwiążmy go i zakryjmy mu oczy.

- Po co?

- Obaj widzieliśmy, jak posługiwał się czarami, więc znamy odpowiedź na jedno z naszych pytań. Myślę jednak, że trudno mu będzie zrobić coś takiego, jeśli nie będzie widział, w co celuje.

Durnik zastanowił się chwilę, wiążąc ręce nieprzytomnego mężczyzny.

- Wiesz, że chyba masz rację? To byłoby dość trudne, nieprawdaż?

ROZDZIAŁ 25

Po upadku Ulfgara załamał się dalszy opór wyznawców kultu. Choć garstka najbardziej oszalałych fanatyków walczyła nadal, większość odrzuciła broń i poddała się. Żołnierze Gariona zebrali jeńców i poprowadzili ich przez pokryte splamionym krwią śniegiem ulice na centralny plac miasta.

Silk i Javelin wypytywali przez chwilę ponurego więźnia o głowie owiniętej pokrwanionym bandażem, po czym dołączyli do Gariona i Durnika, którzy stali nad wciąż nieprzytomnym przywódcą kultu.

- To on? - spytał ciekawie Silk, odruchowo polerując jeden ze swych pierścieni o skraj szarej tuniki.

Garion przytaknął.

- Wygląda niezbyt groźnie, prawda?

- Ten wielki kamienny dom należy do niego - stwierdził Javelin, wskazując potężny sześcienn kryty czerwoną dachówką.

- Już nie - odparł Garion. - Teraz jest mój. Po wargach Javelina przemknął przelotny uśmiech.

- Trzeba będzie dokładnie go przeszukać - mruknął. - Ludzie zapominają czasem zniszczyć ważne dokumenty.

- Równie dobrze można też zabrać tam Ulfgara - dodał Garion. - Musimy go przesłuchać, a ten dom nadaje się do tego tak samo, jak każdy inny.

- Zawolałem pozostałych - zaproponował Durnik, zdejmując z głowy przypominający garnek hełm. - Sądźcie, że jest już dość bezpiecznie, żeby Pol i inne damy mogły wjechać do miasta?

- Powinno być - odrzekł Javelin. - Cały, niewielki zresztą, opór skoncentrował się w południowej dzielnicy.

Durnik skinął głową i ruszył przez plac. Jego kolczuga pobrzękiwała głośnie.

Garion, Silk i Javelin podnieśli bezwładne ciało czarnobrodego mężczyzny i skierowali się w stronę okazałego budynku, przed którym na wysokim maszcie powiewała chorągiew Niedźwiedzia. Gdy dotarli do schodów, Garion zerknął na rivańskiego żołnierza, pilnującego gromadki przerażonych jeńców, beznadziejnie przycupniętych w błocie.

- Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić? - spytał wojaka w szarym płaszczu.

- Oczywiście, Wasza Wysokość - żołnierz zasalutował.

- Zrąb to - Garion ruchem brody wskazał maszt.

- W tej chwili, Wasza Wysokość - Rivanin uśmiechnął się szeroko. - Powinienem być sam o tym pomyśleć.

Otworzyli drzwi i zanieśli Ulfgara do środka. Pokój za drzwiami był urządzone zbyt kownie, lecz stojące w nim krzesła leżały teraz poprzewracane na podłogę. Całą komnatę zaścielały karty pergaminu. Spory plik pogniecionych dokumentów leżał w wielkim kamiennym kominku, w którym jednak nie było ognia.

- Świetnie - wymamrotał Javelin. - Przerwano mu, zanim zdołał cokolwiek spalić.

Silk rozejrzał się po komnacie. Ze ścian zwieszały się bogate, ciemne gobeliny, pokrywający posadzkę zielony dywan był gruby i miękki. Krzesła miały obicia ze szkarłatnego aksamitu, a wzdłuż ścian ustawiono świece w srebrnych lichtarzach.

- Nielicho sobie żył - mruknął drobny Drasanin, wraz z towarzyszami bezceremonialnie rzucając więźnia w jeden z kątów.

- Pozbierajmy te dokumenty - polecił Javelin. - Chciałbym je przejrzeć.

Garion odpiął miecz, cisnął na podłogę hełm i uwolnił się od ciężkiej kolczugi. Wyczerpany, opadł na miękką kanapę.

- Jestem kompletnie wykończony - stwierdził. - Czuję się, jakbym od tygodnia nie zmrużył oka.

Silk wzruszył ramionami.

- Jeden z przywilejów dowództwa.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł Belgarath.

- Durnik powiedział, że znajdę was tutaj - oznajmił, odrzucając kaptur wysłużonego płaszcza. Przemierzył komnatę i szturchnął leżącą w kącie bezwładną postać w rdzawej tunice. - Nie jest chyba martwy?

- Nie - odparł Garion. - Durnik ogłuszył go ciosem pałki, to wszystko.

- Po co ta opaska? - stary czarodziej wskazał pas błękitnej tkaniny, przewiązany wokół głowy jeńca.

- Używał czarów, nim go obezwładniliśmy. Uznałem, że lepiej będzie zakryć mu oczy.

- To zależy, na ile jest w tym dobry. Durnik wysłał żołnierzy, aby zawiadomili pozostałych, a sam poszedł do obozu po Pol i inne panie.

- Czy możesz go ocucić? - spytał Silk.

- Zostawmy to Pol. Jej dotknięcie jest delikatniejsze niż moje, a nie chciałbym przy-

padkiem czegoś mu uszkodzić.

Minęły jakieś trzy kwadranse, nim wszyscy zebrali się w wyściełanym zielonym dywanem pomieszczeniu. Belgarath rozejrzył się, po czym usiadł okrakiem na wysokim krześle tuż przed więźniem.

- W porządku, Pol - rzucił zimno. - Obudź go. Polgara rozpięła swój niebieski płaszcz, uklękła obok jeńca i położyła dłonie po obu stronach jego głowy. Garion usłyszał cichy szept i poczuł łagodną falę mocy. Ulfgar jęknął.

- Dajcie mu kilka minut - powiedziała, wstając. - Potem możecie zacząć zadawać pytania.

- Zapewne wykaże spory upór - przewidywał Brin, uśmiechając się szeroko.

- Jeśli nie, będę okropnie zawiedziony - odparł Silk, przeglądając zawartość szuflady dużego, eleganckiego sekretarzyka.

- Czy oślepiłicie mnie, barbarzyńcy? - spytał słabo Ulfgar, z trudem podnosząc się do pozycji siedzącej.

- Nie - wyjaśniła Polgara. - Zakryliśmy ci oczy, abyś nie mógł więcej psocić.

- A zatem moi wrogowie to kobiety? - W głosie czarnobrodego mężczyzny zabrzmiała pogarda.

- Przynajmniej niektórzy - odrzekła Ce'Nedra, odrzucając na bok połę zielonego płaszcza. Tylko dźwięcząca w jej głosie dziwna nuta ostrzegła Gariona i ocaliła życie więźnia. Z płonącymi furią oczami Ce'Nedra porwała jeden ze sztyletów Yelli i rzuciła się ku jeńcowi, dzierżąc przed sobą błyszczące ostrze. W ostatniej sekundzie Garion pochwycił jej uniesioną rękę i wyszarpnął z dłoni nóż.

- Oddaj mi go! - krzyknęła.

- Nie, Ce'Nedro.

- On porwał moje dziecko! Zabiję go!

- Nie, nie zabijesz. Jeśli poderżniesz mu gardło, nie wydobędziemy z niego żadnych odpowiedzi.

Nadal mocno obejmując ramieniem żonę, oddał sztylet Yelli.

- Mamy do ciebie parę pytań, Ulfgarze - oznajmił Belgarath.

- Długo będziecie czekali na odpowiedź.

- Tak się cieszę, że to powiedział - mruknął Hettar. - Kto zaczyna go przekonywać?

- Róbcie, co chcecie - parsknął wzgardliwie Ulfgar. - Nie dbam o moje ciało.

- Postaramy się, abyś zmienił zdanie - stwierdziła Yella złowieszczo słodkim tonem, badając kciukiem ostrość sztyletu.

- Co dokładnie chciałbyś wiedzieć, Belgaracie? - spytał Podarek, odwracając się od stojącego w kącie posągu z brązu, który dotąd oglądał ciekawie. - Jeśli sobie życzysz, mogę podać ci odpowiedzi.

Belgarath spojrzał ostro na jasnowłosego chłopca.

- Wiesz, co kryje jego umysł? - spytał ze zdumieniem.

- Można to tak ująć.

- Gdzie jest mój syn? - wtrącił szybko Garion.

- Tego akurat nie wie - odparł Podarek. - Nie miał nic wspólnego z porwaniem.

- Kto zatem to zrobił?

- Nie jest pewien, ale sądzi, że Zandramas.

- Zandramas?

- Wciąż się na niego natykamy - zauważył Silk.

- Czy on wie, kto to jest?

- Nie. Kiedyś usłyszał to imię od swego Mistrza.

- Kto jest jego Mistrzem?

- Boi się nawet pomyśleć jego imię - wyjaśnił Podarek. - Ale to człowiek o pokrytej plamami twarzy.

Jeniec szarpał się gwałtownie, próbując rozluźnić krępujące go więzy.

- Kłamstwa! - ryknął. - Wszystko to kłamstwa!

- Ten człowiek został tu wysłany przez swego Mistrza, aby upewnić się, że Garion i Ce'Nedra nie będą mieli dzieci - ciągnął chłopiec, ignorując wrzaski więźnia - lub dopilnować, żeby dzieci te nie przeżyły. Nie mógł stać za porwaniem, Belgarionie. Gdyby to on zakradł się do pokoju dziecinnego w Rivie, nie wprowadziłby twego syna, lecz zabił go.

- Skąd on pochodzi? - spytała ciekawie Liselle, zdejmując szkarłatny płaszcz. - Nie mogę umiejscowić jego akcentu.

- Zapewne dlatego, że nie jest naprawdę człowiekiem - poinformował ją Podarek. - Przynajmniej nie do końca. Pamiętaj, że kiedyś był jakimś zwierzęciem.

W tym momencie drzwi otwarły się ponownie i do komnaty wmaszerował garbaty Beldin. Już miał coś powiedzieć, lecz nagle dostrzegł związanego, oślepionego więźnia. Podszedł do niego szybko, nachylił się, zerwał błękitną przepaskę i spojrzał w twarz jeńca.

- I co, psie - powiedział - co wywabiło cię z budy?

- Ty! - jęknął Ulfgar. Jego twarz śmiertelnie zbladła.

- Urvon każe sobie podać twoje serce na śniadanie, kiedy się dowie, jak poszkapieś sprawę - stwierdził miłym tonem garbus.

- Znasz tego człowieka? - spytał ostro Garion.

- Łączy nasz bardzo dawna zażyłość, prawda, Harakanie? Więzień splunął na niego.

- Widzę, że nadal nie nauczono cię porządku - Beldin uśmiechnął się szeroko.

- Kto to jest? - dopytywał się Garion.

- Ma na imię Harakan. To malloreński Grolim - jeden z psów Urvona. Kiedy ostatnio go widziałem, skowyczał i lasił się u jego stóp.

W tym momencie więzień niespodziewanie zniknął. Beldin wyrzucił z siebie wiązkę soczystych przekleństw. Następnie także i on zniknął im z oczu.

- Co się stało? - wykrztusiła Ce'Nedra. - Gdzie oni są?

- Może Beldin nie jest tak sprytny, jak sądziłem - odparł Belgarath. - Powinien był zostawić opaskę na miejscu. Nasz jeńiec translokował się poza budynek.

- Czy to możliwe? - spytał z niedowierzaniem Garion - Kiedy nie wiadomo, dokąd się zmierza?

- To bardzo, bardzo niebezpieczne, ale Harakan był najwyraźniej zdesperowany. Beldin go ściga.

- Dogoni go chyba, prawda?

- Trudno powiedzieć.

- Pozostało mi jeszcze sporo pytań.

- Mogę ci na nie odpowiedzieć, Belgarionie - oświadczył spokojnie Podarek.

- To znaczy, że nadal znasz jego myśli - mimo że jego samego już tu nie ma?

Chłopiec skinął głową.

- Zaczynaj może od początku, Podarku - zasugerowała Polgara.

- Dobrze. Ten Harakan - tak chyba brzmi jego prawdziwe imię - przybył tu, ponieważ jego Mistrz, którego Beldin nazywa Urvonem, polecił, aby zadbał o to, by Garion i Ce'Nedra nie mieli dzieci. Harakan zjawił się tu i zyskał kontrolę nad kultem Niedźwiedzia. Z początku podsycił gadaninę o Ce'Nedrze z nadzieją, że zmusi tym Belgariona, by ją odprawił i poślubił kogoś innego. Potem, kiedy usłyszał, że oczekuje dziecka, wysłał kogoś, aby spróbował ją zabić. Oczywiście nic z tego nie wyszło i Harakan zaczął działać w rozpaczliwym pośpiechu. Okropnie się bał tego, co Urvon z nim zrobi, jeśli go zawiedzie. Raz próbował opanować Ce'Nedre, kiedy spała, i rozkazać jej, by zadusiła dziecko, ale ktoś - nie wie kto - wtrącił się i powstrzymał go.

- To była Poledra - mruknął Garion. - Byłem tam tej nocy.

- Czy wtedy właśnie wpadł na pomysł, by zamordować Branda, kierując podejrzenia w stronę króla Anhega? - wtrącił generał Brendig.

Podarek lekko zmarszczył brwi.

- Zabójstwo Branda było przypadkowe - odrzekł - Z tego, co Harakanowi udało się ustalić, Brand po prostu wyszedł na korytarz i przyłapał jego wysłanników w chwili, gdy zmierzali do swego prawdziwego celu.

- Czyli dokąd? - chciała wiedzieć Ce'Nedra.

- Zdążali właśnie do komnat królewskich, aby zabić ciebie i twoje dziecko. Po to właśnie wyprawił ich do Rivy.

Królowa zbladła.

- Następnie mieli popełnić samobójstwo. Dopiero to miało doprowadzić do wybuchu wojny pomiędzy Belgarionem a królem Anhegiem. W każdym razie coś poszło nie tak. Brand zginał zamiast ciebie i dziecka, a my odkryliśmy, że jest za to odpowiedzialny nie Anheg, lecz kult. Harakan nie śmiał wrócić do Urvona i przyznać, że zawiódł. Potem Zandramas zabrał twojego syna i wraz z nim umknął z Wyspy Wiatrów. Harakan nie mógł go ścigać, gdy dowiedział się bowiem o wszystkim, Belgarion maszerował już na Rheon. Był tu uwięziony, podczas gdy Zandramas uciekał z dzieckiem.

- Ten nyissański statek! - wykrzyknął Kail. - Zandramas wykradł dziecko, po czym pożeglował na południe, pozostawiając nas na fałszywym tropie w Drasni.

- A co z opowieścią, jaką usłyszeliśmy od jednego z Chereków tuż po porwaniu? - wtrącił Brin.

- Wyznawcy kultu Niedźwiedzia zwykle nie są zbyt bystrzy - odparł Kail. - Nie sądzę, by Zandramas miał jakieś problemy z przekonaniem tych Chereków, że to Harakan wydał rozkaz porwania. Ten cały bełkot o wychowaniu królewicza w prawdziwej wierze, tak by pewnego dnia wstąpił na tron Rivy, to typowa obłąkańcza gadanina, trafiająca do ludzi tego pokroju.

- A więc to dlatego zostali w tyle - domyślił się Garion. - Żebyśmy mogli pochwycić przynajmniej jednego z nich i wydobyć z niego starannie przygotowaną historyjkę, która sprawiła, że wyruszyliśmy do Rheonu, podczas gdy Zandramas popłynął na południe z moim synem.

- Wygląda na to, że sprytnie nami manipulowano - stwierdził Javelin, grzebiąc w pergaminach, które zgromadził na błyszczącym stole. - Wszystkimi, także Harakanem.

- My też potrafimy być sprytni - oznajmił Belgarath. - Nie sądzę, by Zandramas wiedział, że Klejnot umie podążać śladem Gerana. Jeśli się pospieszymy, będziemy mogli podkraść się i zaskoczyć go.

- Na wodzie to niemożliwe - lakonicznie oświadczył oschły głos w umyśle Gariona.

- Co takiego?

- Klejnot nie potrafi wyczuć śladu twojego syna na wodzie. Ziemia pozostaje w jednym miejscu. Natomiast woda jest w bezustannym ruchu - wiatr, pływy i tak dalej.

- Jesteś pewien? Ale głos zniknął.

- Mamy pewien problem, dziadku - stwierdził Garion. - Klejnot nie potrafi odnaleźć śladu na wodzie.

- Skąd wiesz?

Garion postukał się w czoło.

- On mi powiedział.

- To trochę komplikuje sprawę.

- Niekoniecznie - nie zgodził się Silk. - Miejsca, w których nyissański statek może wylądować bez dokładnej rewizji, można policzyć na palcach jednej ręki. Większość władców nie jest zachwycona, gdy do ich królestw przemyca się trucizny i narkotyki. Zandramas z pewnością nie będzie chciał zawinąć do portu, gdzie zostałby przyłapany z następcą Rivańskiego Tronu na pokładzie.

- U wybrzeży Arendii można znaleźć wiele ukrytych zatoczek - podsunął Lelldorin.

Silk potrząsnął głową.

- Nie sądzę - stwierdził. - Myślę, że statek popłynął dalej. Zandramas niewątpliwie chciał się szybko znaleźć jak najdalej od królestw Alornów. Gdyby podstęp, który skierował nas tu, do Rheonu, nie udał się, Garion wysłałby wszystkich ludzi i okręty Zachodu na poszukiwania swego syna.

- Co powiecie na południowe Cthol Murgos? - zaproponował generał Brendig.

Javelin zmarszczył brwi.

- Nie - odparł. - Tam jest wojna i murgoskie okręty patrolują całe wybrzeże. Jedyna bezpieczna przystań dla nyissańskiego statku to sama Nyissa.

- A to sprowadza nas z powrotem do Sahnissry, nieprawdaż? - dokończyła Polgara.

- Myślę, lady Polgaro, że gdyby w tę sprawę zaangażowały się jakieś czynniki oficjalne, moi ludzie wiedzieliby o tym - odrzekł Javelin. - Pałac Salmisry znajduje się pod naszą nieustanną obserwacją. Rozkazy musiałyby pochodzić od Sadiego, Naczelnego Eunucha Salmisry, a jego ani na moment nie spuszcza z oka. Nie sądzę, aby pałac miał z tym coś wspólnego.

Skrzypnęły drzwi i do komnaty wkroczył Beldin. Jego twarz była jak gradowa chmura.

- Na bogów! - zaklął. - Zgubiłem go!

- Zgubiłeś go? - powtórzył Belgarath. - Jak?

- Kiedy wy dostał się na ulicę, zmienił się w sokoła. Siedziałem mu już na ogonie, ale wleciał w chmury i ponownie zmienił postać. Gdy się pojawił, był jedną ze stada gęsi, odlatujących na południe. Naturalnie, na mój widok gęsi rozpierzchły się z wrzaskiem na wszystkie strony. Nie potrafiłem rozpoznać go wśród innych.

- Chyba się starzejesz.

- Może byś się tak zamknął, Belgaracie?

- Zresztą to już nieważne. - Belgarath wzruszył ramionami. - I tak dowiedzieliśmy się wszystkiego bez jego pomocy.

- Wolałbym jednak, żeby nie żył. Poza wszystkim innym, strata jednego z ulubionych psów zirytowałaby Urvona, a ja gotów jestem wiele poświęcić, żeby tylko zagrać mu na nerwach.

- Dlaczego nazywasz go psem? - spytał ciekawie Hettar.

- Ponieważ to jeden z Chandimów, którzy dokładnie tym są. Ogarami Toraka.

- Czy mógłbyś to wyjaśnić? - wtrąciła królowa Porenn.

Beldin odetchnął głęboko, opanowując rozdrażnienie.

- To nic skomplikowanego - stwierdził. - Kiedy Angarakowie wybudowali Cthol Mishrak w Mallorei, Torak wyznaczył część Grolimow do pilnowania miasta. Aby mogli dobrze wykonać swoje zadanie, stali się psami. Garion zadrżał. Nagle w jego umyśle z bolesną wyrazistością pojawiło się wspomnienie potężnych stworzeń, które napotkali w drodze do Miasta Nocy.

- Po bitwie pod Vo Mimbre - ciągnął Beldin - kiedy Torak zasnął na całe wieki, Urvon odwiedził zakazane ziemie wokół ruin i zdołał przekonać część stada, że działa z rozkazu spalonej twarzy. Zabrał ich ze sobą do Mai Yaska i stopniowo z powrotem zamienił w Grolimow, choć musiał przy okazji zabić prawie połowę. W każdym razie nazywają siebie Chandimami - czymś w rodzaju tajnej sekty w kościele Grolimow. Są bezgranicznie oddani Urvonowi. To nieźli czarodzieje, zajmują się także magią. Pod tą powłoką jednak nadal kryją się psy - całkowicie posłuszne i znacznie niebezpieczniejsze w stadzie niż pojedynczo.

- Cóż za fascynująca obserwacja - zauważył Silk, unosząc wzrok znad pergaminowego zwoju, który znalazł w jednej z szafek.

- Masz bardzo zręczny język, Kheldarze - rzucił z irytacją Beldin. - Może chciałbyś, abym ci go wyrwał?

- Nie, dziękuję, Beldinie.

- I co teraz, Belgaracie? - zapytała Porenn.

- Teraz? Oczywiście ruszamy w pościg za Zandramasem. Podstęp znacznie nas opóźnił, ale nadrobimy to.

- Bez wątplenia - dodał Garion. - Raz już miałem do czynienia z Dziecięciem Mroku i jeśli trzeba, potrafię to powtórzyć. - Odwrócił się do Podarka. - Czy orientujesz się może, dlaczego Urvon pragnie śmierci mojego syna?

- Chodzi o coś, co wyczytał w jakiejś księdze. Twierdzi ona, że jeśli Zandramas kiedykolwiek pochwyli twojego syna, wykorzysta go, aby coś zrobić. Cokolwiek to jest, Urvon wolałby zniszczyć świat, niż do tego dopuścić.

- Co dokładnie będzie mógł zrobić Zandramas? - spytał Belgarath, spoglądając czujnie na chłopca.

- Harakan nie wie. Wie tylko, że nie spełnił zadania, jakie wyznaczył mu Urvon.

Belgarath uśmiechnął się wolno - zimnym, okrutnym uśmiechem.

- Nie sądzę, abyśmy musieli tracić czas na ściganie Harakana.

- Nie będziemy go ścigać?! - wykrzyknęła Ce'Nedra. - Po tym wszystkim, co zrobił?

- Urvon się nim zajmie. Nie jesteś nawet w stanie wyobrazić sobie, co z nim uczyni.

- Kim jest ten Urvon? - zainteresował się generał Brendig.

- Trzecim uczniem Toraka - wyjaśnił Belgarath. - Kiedyś było ich trzech - Ctuchik, Zedar i Urvon. Ale tylko on pozostał.

- Nadal nic nie wiemy o Zandramasie - stwierdził Silk.

- Parę faktów już znamy. Na przykład to, że Zandramas jest teraz Dziecięciem Mroku.

- Coś tu się nie zgadza, Belgaracie - zagrzemiał Barak. - Czemu Urvon miałby przeszkadzać Dziecięciu Mroku? Są przecież po tej samej stronie, prawda?

- Najwidoczniej nie. Zaczyna wyglądać na to, że w szeregi naszych przeciwników wkradł się pewien zamęt.

- To zawsze się przydaje.

- Wolałbym jednak dowiedzieć się czegoś więcej, zanim zacznę się radować.

Ostatnie grupki fanatyków, broniących się w południowo-wschodnich dzielnicach Rheonu, poddały się dopiero po południu. Wkrótce gromadki przerażonych więźniów zostały spędzone z ulic płonącego grodu i dołączyły do reszty, zebranej na rynku.

Garion i generał Brendig stali na balkonie na piętrze domu, do którego zanieśli nieprzytomnego Harakana, i rozmawiali cicho z królową Porenn, odzianą w czarną suknię.

- Co Wasza Wysokość zamierza z nimi zrobić? - spytał generał, spoglądając na wystraszonych jeńców na rynku.

- Powiem im prawdę i puszcę wolno.

- Puścisz ich wolno, pani?

- Oczywiście.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Bez wątpienia poruszy ich wiadomość, iż zostali przywiezieni do zdrady Alorii kłamstwami malloreńskiego Grolima.

- Wątpię, czy w to uwierzą.

- Przynajmniej pewna część z nich - odparła pogodnie, poprawiając kołnierz żałobnej sukni. - Jeśli zdołam przekonać choćby niewielką grupę, to wieści rozejdą się po ludziach. Gdy zaś większość dowie się już, że kult został opanowany przez Grolima Harakana, trudno im będzie zdobywać nowych wyznawców, prawda?

Brendig zastanowił się przez chwilę.

- Przypuszczam, że masz rację, pani - przyznał. - Ale czy ukarzesz tych, którzy nie chcą słuchać?

- To byłaby tyrania, generale, a ja zawsze staram się unikać wszelkich objawów tyranii - zwłaszcza gdy nie jest to konieczne. Przypuszczam, że kiedy wiadomość o tym, co się tu stało, dotrze do ludzi, każdy, kto zacznie bełkotać o świętej misji podporządkowania Alorii południowych królestw, zostanie powitany gradem kamieni.

- Doskonale. A co z generałem Haldarem? - spytał z powagą Brendig. - Jego chyba nie puścisz wolno?

- Haldar to zupełnie co innego. Jest zdrajcą, a zdrajców należy zniechęcać.

- Gdy dotrą do niego wieści o ostatnich wydarzeniach, zapewne spróbuje ucieczki.

- Pozory często mylą, generale - oznajmiła Porenn ze złowrogim uśmiechem. - Może wyglądam na bezradną kobietę, ale mam bardzo długie ręce. Haldar nie zdoła uciec dostatecznie szybko czy daleko, bym go nie dosięgła.

A kiedy moi ludzie go pochwycają, zostanie odstawiony do Boktoru w łańcuchach i postawiony przed sądem. Myślę, że wynik procesu jest łatwy do przewidzenia.

- Przepraszę was na razie - wtrącił uprzejmie Garion - ale muszę porozmawiać z dziadkiem.

- Oczywiście - odparła Porenn, uśmiechając się ciepło. Garion zszedł na dół i odnalazł Silka i Javelina, którzy wciąż przetrząsali szafki i skrzynie w wyściełanym zielonym dywanem pokoju.

- Znaleźliście coś ciekawego? - zainteresował się.

- Nawet sporo - odparł Javelin. - Spodziewam się, że kiedy skończymy, będziemy znali imię każdego wyznawcy kultu w całej Alorii.

- To tylko dowodzi tego, co zawsze powtarzam - zauważył Silk, nie przerywając lektury. - Nigdy nie powinno się przechowywać ważnych informacji na piśmie.

- Czy któryś z was wie przypadkiem, gdzie mogę znaleźć Belgaratha?

- Sprawdź w kuchni na tyłach domu - zasugerował Silk. - Wspominał coś o tym, że jest głodny. Zdaje się, że Beldin jest z nim.

Kuchnia w domostwie Harakana uniknęła gwałtownych zabiegów ludzi Yarbleka, najwyraźniej bardziej zainteresowanych łupami niż jedzeniem. Obaj czarodzieje siedzieli wygodnie rozparci przy stole, obok niskiego, łukowatego okna, skubiąc resztki pieczonego kurczaka.

- Garionie, mój chłopcze - rzucił wylewnie Belgarath. - Chodź, dołącz do nas.

- Jak myślicie, czy jest tu coś do picia? - spytał Beldin, ocierając palce o przód tuniki.

- Powinno być - odparł Belgarath. - Ostatecznie to kuchnia. Może byś zajrzał do spiżarni?

Beldin wstał i przemierzył pomieszczenie. Garion schylił się lekko, by wyjrzeć przez niskie okno na sąsiednią ulicę, na której płonęły domy.

- Znowu zaczyna padać śnieg - zauważył. Belgarath chrząknął.

- Chyba będziemy musieli pospieszyć się z opuszczeniem miasta. Nie mam ochoty spędzić tu całej zimy.

- Aha! - krzyknął Beldin ze spiżarni. Po sekundzie wyłonił się z niej z tryumfalnym uśmiechem, niosąc w dłoni niewielką drewnianą beczułkę.

- Lepiej najpierw spróbuj - poradził Belgarath. - Może to ocet?

Beldin postawił baryłkę na podłodze i pięścią wbił do środka denko. Następnie polizał palce i cmoknął wargami.

- Nie - oznajmił - to zdecydowanie nie ocet. Pogrzebał w najbliższym kredensie i wy dobył z niego trzy gliniane kubki.

- Cóż, bracie - zagadnął Belgarath - jakie masz plany? Beldin zanurzył jeden z kubków w beczułce.

- Chyba sprawdzę, czy nie zdołam odnaleźć śladu Harakana. Chciałbym z nim skończyć, zanim wyruszę do Mallorei. Nie jest to typ, na którego chętnie natknąłbym się w ciemnej uliczce.

- A zatem zmierzasz do Mallorei? - Belgarath oderwał skrzydełko kurczęcia, leżącego na stole.

- To prawdopodobnie jedyne miejsce, gdzie możemy zdobyć jakiekolwiek pewne informacje o tym Zandramasie. - Garbaty czarodziej beknął.

- Javelin uważa, że to darshivskie imię - wtrącił Garion.

Beldin odchrząknął.

- To może trochę pomóc. Tym razem zacznę stamtąd. W Mai Zeth niczego się nie dowiedziałem, a te półgłówki w Karandzie mdleją ze strachu na samo wspomnienie tego imienia.

- Próbowalesz w Mai Yaska?

- Jeszcze nie oszalałem. Urvon kazał rozwiesić moją podobiznę na każdym domu. Z jakiejś przyczyny lęka się, iż pewnego dnia przybędę, by wypruć mu kilkanaście łokci flaków.

- Ciekawe, dlaczego?

- Sam mu to powiedziałem, oto dlaczego.

- Więc będziesz w Darshivie?

- Przynajmniej przez jakiś czas - po tym, jak Harakan znajdzie się już parę stóp pod ziemią. Jeśli dowiem się czegokolwiek o Zandramasie, dam ci znać.

- Zwróć też uwagę na nietknięte egzemplarze Objawień Malloreańskich i Ashabińskich Wyroczeni - poprosił Belgarath. - Zgodnie z tym, co głosi Kodeks, mam w nich znaleźć wskazówki.

- A ty? Co będziesz robił?

- Chyba udam się do Nyissy i sprawdzę, czy Klejnot zdoła trafić na ślad mojego prawnuka.

- To, że jakiś rivański pastuch widział nyissański statek, stanowi wątlą poszlakę, Belgaracie.

- Wiem, ale w tej chwili to jedyny trop, jakim dysponujemy.

Garion odruchowo skubnął parę kawałków objedzonego kurczaka i wsunął je do ust. Nagle uświadomił sobie, że jest przeraźliwie głodny.

- Zabierzesz ze sobą Polgarę? - spytał Beldin.

- Raczej nie. Ponieważ wraz z Garionem nie wrócimy tak szybko, będziemy potrzebować kogoś, kto miałby oko na to, co dzieje się na północy. W tej chwili Alornowie czują się silni i trzeba twardej ręki, by nie pozwolić im psocić.

- Jak to zwykle bywa z Alornami. Zdajesz sobie sprawę, że Polgara nie będzie zachwycona na wieść, iż musi zostać?

- Wiem. - Belgarath spojrzał na niego ponuro. - Może po prostu zostawię jej list. Ostatnim razem to całkiem nieźle wyszło.

- Upewnij się przedtem, że kiedy go dostanie, w pobliżu nie będzie nic kruchego, co

mogłaby zniszczyć - zaśmiał się Beldin. - Na przykład wielkich miast czy łańcuchów górskich. Słyszałem, co się stało, kiedy przeczytała twój ostatni list. Drzwi otwały się i Barak wsunął głowę do kuchni.

- A, tu jesteście. Na zewnątrz czeka ktoś, kto chciałby się z wami zobaczyć. Mandorallen znalazł ich na przedmieściu. To bardzo dziwna para.

- Co znaczy: dziwna? - zainteresował się Garion.

- Mężczyzna jest wielki jak dom. Ma ręce niczym pnie drzew, ale nie mówi. Dziewczyna jest nawet ładna, ale ślepa.

Belgarath i Beldin wymienili szybkie spojrzenia.

- Skąd wiesz, że jest ślepa? - zapytał Belgarath.

- Ma przepaskę na oczach. - Barak wzruszył ramionami. - Uznałem, że oznacza to, iż nie widzi.

- Lepiej z nią porozmawiajmy - stwierdził Beldin, wstając zza stołu. - Wieszcza nie znalazłaby się w tej części świata, gdyby nie było to coś ważnego.

- Wieszcza? - powtórzył Garion.

- Jedna z ludu z Kell - wyjaśnił Belgarath. - Oni zawsze noszą opaski na oczach, a ich przewodnicy są zawsze niemi. Zobaczmy, co ma nam do powiedzenia.

Kiedy wkroczyli do wielkiej głównej komnaty, zastali resztę przyjaciół ciekawie przyglądających się przybyszom. Wieszcza o przewiązanych oczach była drobną dziewczyną w białej szacie. Miała ciemnoblond włosy, a na jej wargach błąkał się łagodny uśmiech. Czekala cierpliwie na środku pokoju. Obok niej stał jeden z największych ludzi, jakich Garion kiedykolwiek widział. Ubrany w coś w rodzaju pozbawionego rękawów kaftana z szorstkiej, nie barwionej tkaniny, przepasanego w talii, nie miał przy sobie żadnej broni poza solidną, gładką pałką. Wydawał się niemal unosić nad swą drobną panią, spoglądając na nią czujnym, oddanym wzrokiem.

- Czy powiedziała, kim jest? - spytał cicho Belgarath, gdy cała trójka dołączyła do reszty.

- Nie - odparła Polgara. - Mówi tylko, że musi się spotkać z tobą i Garionem.

- Nazywa się Cyradis - wtrącił stojący nie opodal Podarek.

- Znasz ją? - zapytał Garion.

- Spotkaliśmy się raz, w Dolinie. Chciała dowiedzieć się czegoś o mnie, więc przybyła i porozmawialiśmy.

- O co jej chodziło?

- Nie mówiła.

- Nie spytałeś jej?

- Myślę, że gdyby chciała, żebyś wiedział, sama by mi powiedziała.

- Trzeba mi rozmawiać z tobą, Przedwieczny Belgaracie - oznajmiła nagle wieszczka miękko, czystym głosem - a także z tobą, o Belgarionie.

Podeszli bliżej.

- Dano mi niewiele czasu, abym powiadomiła was o pewnych sprawach. Wiedziecie przeto, iż wasze zadania nie zostały dotąd wypełnione. Konieczność żąda jednego jeszcze spotkania pomiędzy Dziecięciem Światła a Dziecięciem Mroku. I zważcie me słowa - spotkanie owo będzie ostatnim, to podczas niego bowiem dokona się ostateczny wybór między Światłem a Mrokiem.

- A gdzie odbędzie się to spotkanie, Cyradis? - spytał Belgarath. Jego twarz zdradzała napięcie.

- W kryjówce Sardionu - w miejscu, którego już nie ma.

- To znaczy gdzie?

- Ścieżka do owego złowrogiego miejsca kryje się w misteriach, o Przedwieczny. Tam trzeba ci jej szukać. - Wieszczka zwróciła głowę w stronę Gariona, wyciągając ku niemu smukłą dłoń. - Twe serce boleje, Belgarionie - powiedziała z wielkim współczuciem - Zandramas, Dziecię Mroku, porwawszy twego syna, umyka bowiem z nim ku Sardionowi. Zadaniem twym jest nie dopuścić, by dotarli do tego kamienia. Gwiazdy bowiem i głosy ziemi szepczą, że w Sardionie kryje się potęga Mroku, tak jak moc Światła zamieszkała w Klejnocie Aldura. Jeśli Zandramas dotrze z dziećmi do Mrocznego Kamienia, Ciemności zatryumfują - już na zawsze.

- Czy moje dziecko jest zdrowe? - przerwała jej Ce'Nedra. Jej oblicze zbladło, w oczach widać było straszliwy lęk.

- Dziecię miewa się dobrze, Ce'Nedro - odparła Cyradis. - Zandramas ustrzeże je przed wszelkim złem - choć nie za sprawą uczucia, ale Konieczności. - Twarz wieszki zniechęciła. - Musisz jednak uzbroić swe serce w stal - ciągnęła - jeśli bowiem nie znajdzie się sposób, by zagrozić im drogę i Zandramas dotrze do Sardionu z waszym synem, ty sama - albo twój małżonek - będziecie musieli zabić dziecko.

- Zabić! - wykrzyknęła Ce'Nedra. - Nigdy!

- Zatem Mrok zwycięży - odrzekła z prostotą Cyradis i zwróciła się z powrotem do Gariona. - Czas mój prawie upłynął - stwierdziła. - Zważ więc, co powiem. Wyborem towarzyszy, którzy wspomogą cię w twym zadaniu, kierować musi Konieczność, nie zaś twoje upodobania. Jeśli źle wybierzesz, nie zdołasz wypełnić zadania i Zandramas cię pokona. Syn

twój zostanie stracony na zawsze, a świat, jaki znałeś dotąd, przeminie, by nigdy już nie wrócić.

Twarz Gariona stężała.

- No dalej - odparł krótko. - Mów, co masz powiedzieć.

Sugestia, że on albo Ce'Nedra mogliby w jakichkolwiek okolicznościach zabić własne dziecko, wzbudziła w nim nagły gniew.

- Tedy opuścisz to miejsce w kompanii Przedwiecznego Belgaratha i jego czcigodnej córki. Musisz także mieć przy sobie Powiernika Klejnotu i twą żonę.

- To absurd! - wybuchnął Garion. - Nie zamierzam narazić Ce'Nedry ani Podarka na takie niebezpieczeństwo.

- Klęska twa jest więc przesądzona. Spojrzał na nią bezradnie.

- Towarzyszyć ci też muszą Przewodnik i Człowiek o Dwóch Żywotach - oraz jeszcze ktoś, którego imię wyjawię za chwilę. Później dołączą do was inni - Łowczyńni, Mężczyzna-Niemężczyzna, Człowiek o Pustym Sercu i Kobieta, Która Patrzy.

- Typowy wieszczy bełkot - mruknął kwaśno Beldin.

- Nie moje to słowa, cny Beldinie. Imiona te zapisane są w gwiazdach i w proroctwach. Przypadkowe, światowe miana, nadawane po narodzinach, nie znaczą nic w bezczasowym królestwie dwóch Konieczności, które zmagają się z sobą w sercu wszelkiego istnienia. Każde z nich ma swe zadanie i wszystkie one wypełnione być muszą przed ostatecznym spotkaniem. Inaczej Proroctwo, które prowadzi wasze kroki od zarania czasu, przepadnie.

- Jakie jest moje zadanie, Cyradis? - zapytała chłodno Polgara.

- Jak zawsze, błogosławiona Polgaro, musisz prowadzić, pielęgnować i chronić, tyś bowiem jest matką - tak jak Przedwieczny Belgarath ojcem. - Po ustach dziewczyny przemknął leciutki uśmiech. - Czasem inni także wspomogą cię w twym zadaniu, Belgarionie - ciągnęła - lecz ci, których nazwałam, muszą towarzyszyć ci podczas ostatecznego spotkania.

- A co z nami? - przerwał jej Barak. - Hettarem, Mandorallenem, Lelldorinem i mną?

- Wasze zadania zostały już spełnione, o Straszliwy Niedźwiedziu, i ich ciężar przeszedł na waszych synów. Gdybyś jednak ty sam bądź Łucznicz, Mistrz Koni czy Wierny Rycerz spróbował dołączyć do Belgariona w jego misji, wasza obecność przyniesie mu klęskę.

- To śmieszne! - zaprotestował cherecki olbrzym. - Nie mam zamiaru zostać w domu!

- Nie do ciebie należy wybór. - Cyradis odwróciła się do Gariona, kładąc rękę na potężnym ramieniu swego niemego obrońcy. - To jest Toth - oświadczyła przygarbiona, jakby nagle ogarnęła ją przemożna słabość. - Prowadził me chwiejne kroki od dnia, gdy spłynęła na

mnie wizja i gdy zakryłam oczy, aby móc dojrzeć ją lepiej. Choć rani to mą duszę, musimy oto rozstać się na jakiś czas. Pouczyłam go, by wspomógł cię w twych poszukiwaniach. W gwiazdach nazwano go Milczącym i przeznaczono, by stał się jednym z twych kompanów. - Zaczęła dygotać, jakby z wyczerpania. - Jeszcze słowo, Belgarionie - powiedziała załamującym się głosem. - Wyprawa twa pełna będzie wielkich niebezpieczeństw i jeden z twych towarzyszy straci w niej życie. Przygotuj zatem swe serce, gdy to się bowiem zdarzy, nie wolno ci się zawahać, lecz musisz dalej dążyć do spełnienia zadania, które ci powierzono.

- Kto? - spytał szybko. - Kto z nich zginie?

- To nie zostało mi objawione - odparła, po czym wyprostowała się z wyraźnym wysiłkiem. - Pamiętaj mnie - dodała - spotkamy się bowiem jeszcze.

Z tymi słowy zniknęła.

- Gdzie ona jest?! - wykrzyknął generał Brendig.

- Naprawdę nigdy jej tu nie było - wyjaśnił Podarek.

- To była projekcja, Brendigu - sprecyzował Belgarath. - Ale mężczyzna - Toth - jest prawdziwy. Jak im się to udało? Czy wiesz, Podarku?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Nie potrafię powiedzieć, Belgaracie. Ale wymagało to połączonych mocy wszystkich wieszczów z Kell.

- Co za totalna bzdura! - wybuchnął wściekle Barak, waląc wielką pięścią w stół. - Nic w świecie nie zdoła mnie zatrzymać!

Mandorallen, Hettar i Lelldorin gwałtownie przytaknęli. Garion popatrzył na Polgarę.

- Czy to możliwe, by kłamała?

- Cyradis? Nie. Wieszczka nie jest zdolna do kłamstwa. Mogła ukryć przed nami parę rzeczy, ale nie skłamać. To, co nam powiedziała, ujrzała w gwiazdach.

- Jak może oglądać gwiazdy z tą przepaską na oczach? - zaproponował Lelldorin.

Polgara rozłożyła ręce.

- Nie wiem. Wieszczowie postrzegają rzeczy w sposób, którego my nie rozumiemy.

- Może źle odczytała swe przesłanie - podsunął Hettar.

- Wieszczowie z Kell zazwyczaj się nie mylą - warknął Beldin - więc nie zakładalbym się o to.

- To prowadzi nas do sprawy najważniejszej - stwierdził Garion. - Zamierzam jechać sam.

- Sam? - zachłysnęła się Ce'Nedra.

- Słyszałaś, co powiedziała. Któryś z moich towarzyszy zostanie zabity.

- Zawsze istniała taka możliwość, Garionie - stwierdził trzeźwo Mandorallen.

- Ale nie pewność.

- Nie pozwolę ci jechać samotnie - zadeklarował Barak.

Garion poczuł gwałtowne szarpnięcie, zupełnie jakby został brutalnie odepchnięty na bok. Bezradnie słuchał cudzego głosu, dobywającego się z jego własnych ust.

- Czy wy, ludzie, przestaniecie wreszcie tyle gadać? - odezwał się głos. - Otrzymaliście instrukcje. Zastosujcie się do nich.

Oczy wszystkich spojrzały ze zdumieniem na Gariona, który szeroko rozłożył ręce, próbując wyjaśnić, że nie kontroluje wypowiedzianych słów.

Belgarath mrugnął, zaskoczony.

- To musi być ważne, jeśli nawet ty zaczynasz działać bez pośrednika - powiedział, zwracając się do świadomości, która nagle przywłaszczyła sobie usta Gariona.

- Nie pora na dyskusje, Belgaracie. Czeka was długa droga, a wasz czas jest ograniczony.

- Zatem to, co mówiła Cyradis, to prawda? - spytała Polgara.

- Co do słowa. Jednak Cyradis nadal pozostaje bezstronna.

- Po co więc w ogóle się zjawiała? - chciał wiedzieć Beldin.

- Ma swe własne zadanie, a to jest jego częścią. Zandramas również musi otrzymać od niej instrukcje.

- Nie przypuszczam, abyś zechciał udzielić nam paru wskazówek co do miejsca, które mamy znaleźć? - zapytał z nadzieją Belgarath.

- Belgaracie, nie rób tego. Wiesz przecież. W drodze na południe musicie zatrzymać się w Prolgu.

- W Prolgu?

- Zajdzie tam coś, co musi się zdarzyć. Czas ucieka, Belgaracie, więc przestańcie go marnować.

- Ciągłe wspominasz o czasie. Czy mógłbyś być nieco dokładniejszy?

- On odszedł, dziadku - stwierdził Garion, odzyskując kontrolę nad głosem.

- Zawsze to samo - stwierdził z pretensją Belgarath. - W momencie gdy rozmowa zaczyna robić się ciekawa, odchodzi.

- Wiesz, czemu to robi, Belgaracie - odparł Beldin. Stary czarodziej westchnął.

- Tak, chyba tak. - Odwrócił się do reszty przyjaciół. - A więc dobrze - oznajmił. - Sądzę, że musimy zrobić dokładnie to, co poleciła Cyradis.

- Nie zabierzecie chyba ze sobą Ce'Nedry! - zaprotestowała Porenn.

- Oczywiście, że jadę z nimi - oświadczyła Ce'Nedra, lekko unosząc głowę. - I tak bym pojechała: nieważne, co powiedziałyby ta niewidoma dziewczyna.

- Ale wspomniała przecież, że jeden z towarzyszy Gariona zginie.

- Nie jestem jego towarzyszem, Porenn, tylko żoną. Do oczu Baraka napłynęły łzy.

- Czy mógłbym jakoś przekonać was, abyście zmienili zdanie? - zapytał błagalnie.

Garion poczuł, że jemu samemu zbiera się na płacz. Barak zawsze stanowił jedną z podwalin jego życia i myśl, że miałby rozpocząć poszukiwania bez rudobrodego olbrzyma u boku, sprawiła, że poczuł nagłą pustkę w sercu.

- Obawiam się, że nie mamy wyboru - stwierdził z ogromnym smutkiem. - Gdyby to zależało ode mnie... - nie dokończył.

- Serce me boleje, najdroższa Ce'Nedro - powiedział Mandorallen, klękając przed królową. - Jam jest wszak twój rycerz, orędownik i obrońca, a jednak wzbroniono mi towarzyszyć ci w tej niebezpiecznej wyprawie.

Wielkie, błyszczące łzy popłynęły nagle po twarzy Ce'Nedry. Rivańska królowa objęła ramionami szyję mocarnego rycerza.

- Drogi, kochany Mandorallenie! - wykrztusiła, całując go w policzek.

- Mam ludzi, którzy pracują w Mallorei nad paroma sprawami - stwierdził Silk, zwracając się do Yarbleka. - Dam ci list do nich, żeby zawiadamiali cię o wszystkim. Nie podejmuj pośpiesznych decyzji, ale też nie przegapij sprzyjających okazji.

- Wiem, jak prowadzić interesy, Silku - odparił Yarblek. - Co najmniej tak dobrze, jak ty.

- Oczywiście, ale zbyt łatwo się zapalasz. Przypominam tylko, żebyś nie tracił głowy, - Drobny Drasanin spojrział ze smutkiem na swą aksamitną tunikę i liczne klejnoty. - No cóż - westchnął - kiedyś już obchodziłem się bez tego wszystkiego. - I odwracając się do Durnika dodał: - Myślę, że powinniśmy zacząć się pakować.

Garion popatrzył na niego nic nie pojmującym wzrokiem.

- Czyżbyś nie słuchał, Garionie? - rzucił Silk. - Cyradis powiedziała ci, kogo masz zabrać ze sobą. Durnik to Człowiek o Dwóch Żywotach, Podarek - Powiernik Klejnotu, a jeśli zapomniałeś, to przypominam, że ja jestem Przewodnikiem.

Oczy Gariona rozszerzyły się nagle.

- Naturalnie, że jadę z tobą - stwierdził Silk z bezczelnym uśmiechem. - Bez moich wskazówek najpewniej zablądziłbyś po drodze.

Tu kończy się PIERWSZA KSIĘGA MALLOREONU. KSIĘGA DRUGA, Król Murgów, opowiada o poszukiwaniach syna Gariona w nowych, nieznanach krainach, aż do miejsca, którego już nie ma, oraz o starciu dwóch przeznaczeń, które zadecyduje o losach ludzkości.